KS. BISKUP BOUGAUD

# KOŚCIÓŁ

239
Bo
30
c2
Bougaud, Ks. Biskup
Kosciol
Bougaud Jan 5 - 1935.
UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
SLAVIC
239
Bo
29
PROPERTY OF
ST. JOHN CANTIUS' HOUSE OF STUDIES
Congregation of ... Correction.

11.50

PROPERTY OF
ST. JOHN CANTIUS' HOUSE OF STUDIES
Congregation of the Resurrection.

# KOŚCIÓŁ

KS. BISKUP BOUGAUD

# CHRYSTJANIZM I CZASY OBECNE

KSIĘGA I: WIARA I NIEWIARA
— „ — II: JEZUS CHRYSTUS
— „ — III: CREDO
— „ — IV: KOŚCIÓŁ
— „ — V: ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

WYDANIE DRUGIE, KOMPLETNE

239
B

KS. BISKUP BOUGAUD

29

# KOŚCIÓŁ

O! quam te memorem, Virgo;
[namque haud tibi vultus
Mortalis, nec vox hominem sonat,
[O Dea, certe!
(Virgile, Aeneid. lib. I, vers. 331.)

WYDANIE DRUGIE

PROPERTY OF
ST. JOHN CANTIUS' HOUSE OF STUDIES
Congregation of the Resurrection

NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

Printed in Poland

NIHIL OBSTAT.
Poznań, dnia 16 marca 1925 r.
*X. Dr. Janasik.*

IMPRIMATUR.
Poznań, dnia 18 marca 1925 r.
(L. S.) *X. Meysner*
Wikarjusz generalny.
L. Dz. 2364/25. *X. St. Durzyński.*

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

282
B662c: Po
1925
v. 4

# Przedmowa autora.

Otośmy doszli[1]) do tego wielkiego zagadnienia, jakiem jest Kościół: zagadnienia zasadniczego naszego stulecia.

Niedosyć jest bowiem, kiedy człowiek inteligentny i poważnie myślący wziął rozbrat z owem życiem obojętności i niewiary, o którem mówiliśmy w pierwszym tomie tej pracy, — życiem bez Boga, bez wyznania, bez modlitwy, którego nie znała i przed którem wzdrygnęłaby się ze zgrozy pogańska starożytność.

Niedosyć również zachwycać się osobą Chrystusa tego „wzniosłego i słodkiego Ukrzyżowanego"[2]), którego piękność nie miała nigdy i mieć nie będzie sobie równej.

Niedosyć nawet pojąć, kim jest Chrystus, i uczcić w Nim Słowo wcielone, przedwiecznego Syna Boskiego, który się stał człowiekiem, ażeby występną ludzkość odkupić i zbawić.

Nie, wszystko to nie wystarcza. Potrzeba wejść do Jego Kościoła, bo On go założył, dając mu za zadanie prowadzenie dalsze Jego dzieła, rozprzestrzenianie wszędzie i zawsze światła, cnoty, boskiego życia, które sam na świat przyniósł. Gdyby nie był zostawił Kościoła po sobie, cóż znaczyłoby Jego przyjście? Coby przez nie osiągnął? Po Jego odejściu umysł ludzki zapadłby znowu w dawne ciemności, serce — w dawne błędy i zepsucie. Po chwilowej jasności zapanowałaby znowu noc głęboka.

[1]) W trzech pierwszych częściach tego dzieła.

[2]) Cousin. Du Vrai, du Beau et du Bien, XVI leçon.

To też założył Kościół, wzbogacił go nieocenionemi darami, nacechował znamieniem boskości i przez to samo pozostawił ludziom obowiązek należenia do tego Kościoła, wierzenia w naukę jego, posłuszeństwa jego ustawom. Sprawa ta, pierwszorzędna co do swej doniosłości, winna być w każdem poważnie pojętem życiu zgłębioną sumiennie i wyczerpująco.

Na szczęście zasadnicza ta kwestja coraz więcej zostaje wyświetlana. Światło napływa na nią z dwóch stron naraz. Protestantyzm, zrywając z Kościołem, zmusił ducha katolickiego do bliższego badania jego ustroju, cech znamiennych, nierozdzielnej jedności, płodności cudownej. Z drugiej strony rewolucja wstrząsając posadami społecznemi, burząc trony, ogałacając i prześladując Kościół, ujawniła jego moc niespożytą i boską niewzruszoność. Przez trzy stulecia zagadnienie to dojrzewało wpośród burz, poczem, jak zawsze, zostało ostatecznie wyświetlone przez sobór Watykański.

Sobór Trydencki w XVI w. był soborem O d k u p i e n i a, U s p r a w i e d l i w i e n i a i Ł a s k i. Sobór Watykański w XIX w. był soborem K o ś c i o ł a. Rozproszył on ostatnie wątpliwości, nawet te, jakie mogły powstać w najlepiej usposobionych umysłach.

W świetle to soboru Watykańskiego, będziemy roztrząsali kwestję Kościoła.

Pracę naszą podzielimy na trzy części:

1) O K o ś c i e l e r o z p a t r y w a n y m s a m y m w s o b i e: jego geneza historyczna, prawdziwy jego ustrój, jego boskie cechy, wzniosły i wszechpotężny punkt środkowy; jego zwierzchnik, na czoło którego Bóg włożył dwie korony: w nauczaniu — nieomylność, w rządzie — najwyższą władzę.

2) K o ś c i ó ł i k o ś c i o ł y, to kamień probierczy boskości Kościoła. Obok gałęzi żyjącej, gałęzie suche; i nietylko suche, ale zgubne; zobaczymy to jasno traktując kwestję ras łacińskich. Z ich pozornego i chwilowego

poniżenia wyciągniemy dowód nieodparty żywotności jedynie Kościoła katolickiego i niechybnej śmierci kościołów.

3) Kościół i społeczeństwo tegoczesne. Jakie są w istocie ich względem siebie stosunki? Czy prawdą jest, że Kościół potępia tegoczesne społeczeństwo i nie chce, ani może z niem się porozumieć? Nie będziemy też unikali kwestji Syllabusa, tak źle zrozumianej, ponieważ była tak źle tłumaczona; — owszem, weźmiemy się do niej odważnie. Pochylamy też tutaj głowę przed owym darem podwójnego wzroku, którym Bóg zawsze obdarza najwyższych Kapłanów rzymskich.

W końcu tego czwartego tomu umieścimy epilog zatytułowany: Papież, gdzie postaramy się wyrazić, jakie uczucia czci i tkliwego przywiązania powinien żywić względem swego Pasterza każdy dobry katolik.

Nie cofniemy się zatem przed żadną drażliwością tak wielkiego przedmiotu, ani przed trudnościami zewnętrznemi. Siłę do tego będziemy czerpali w prostocie, szczerości, w niezależności od wszelkich stronnictw, w przekonaniu, że najlepszej i jedynej nagrody prac swoich winniśmy szukać w Bogu.

Tak więc broniąc i opiewając kolejno Matkę naszą, składając jedną ręką wieńce na jej czoło, a drugą walcząc z jej nieprzyjacioły; łącząc dawne ideje z nowemi dążnościami, będziemy usiłowali zadośćuczynić temu, czego żąda wiara wiernych i czego się domagają niepokoje i ciemności smutnych czasów, w których żyjemy.

Autor.

---

# Część pierwsza.

## Kościół katolicki.

Miłość Boga dla dusz i miłość dusz dla Boga wzniosły i wznoszą bezustanku gmach Kościoła katolickiego. Dzieło to nie potrzebuje zaiste innego twórcy, jak sama miłość Boża, ale taż sama miłość chce, ażeby miłość dusz ludzkich z nią współdziałała. Ona to przed wiekami zamierzyła utworzyć Kościół; ona stworzyła wszystkie cuda świata, ażeby przygotować dlań godne jego tło i ramy; ona od początku nakreśliła zarysy Kościoła, doskonaląc go w następstwie bezustanku i obsypując darami, niemożliwemi napozór do udzielenia; ona nareszcie, łącząc z hojnością bez granic najtkliwszą delikatność, powołała człowieka do współpracownictwa w tem wielkiem dziele, dając ułomnemu, grzesznemu i znikomemu udział w rzeczy wiekuistej i świętej.

Zobaczymy w tej pierwszej części, jak obie te miłości zjednoczyły się dla utworzenia Kościoła, nadając mu niespożytą jego boską i ludzką piękność.

Po dwakroć już usiłowałem odtworzyć czcigodną postać Zbawiciela; obecnie pragnę przedstawić Jego Oblubienicę. Pragnę ukazać, jak jest piękna i jak sama jej postać zewnętrzna daje świadectwo jej świętości, — a następnie pragnę przedstawić stokroć większą jeszcze, jedyną i niezrównaną piękność boskiego jej ducha. Nadewszystko zaś chciałbym opowiedzieć, jak Duch ten boski obecny w Kościele, podnosi i przeistacza jego ludzkie

ciało; jak znowu ciało nawzajem uczłowiecza przebywającego w niem boskiego Ducha, — i nawet wówczas, kiedy słabnie i upada, jak wszelka rzecz stworzona, nietylko że nie pociąga za sobą ducha, ale przeciwnie, rozżarza jego światło i ukazuje go nam piękniejszym.

Z radością tedy i pokorą bierzmy się do rozważania tych cudów.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

### Ciało Kościoła.

### I.

Spójrzmy teraz na kolebkę Kościoła, w chwili kiedy ukazuje się on po raz pierwszy. Ale chwili tej niepodobna określić; początek Kościoła bowiem gubi się w pomroce czasów, wyprzedza wszystkie rzeczy znane. Pierwszego zaczątku Kościoła należy szukać przed Jezusem, przed Abrahamem, przed Adamem nawet — w czasie, o którym mówi Ewangelja: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo“[1]).

Na początku, pierwej aniżeli wszelki początek, była już społeczność boska: Ojciec, Syn i Duch Święty, otoczeni tą samą miłością, odrębni, a stanowiący jedność w szczęściu nieskończonem. Czy tę boską społeczność możemy uważać za zaczątek Kościoła? Dokładniej będzie, jeżeli powiemy, że to jest ognisko, z którego on wychodzi i do którego znowu powróci.

Bo oto w pewnej chwili Pan Bóg zaczyna stwarzać. Stwarza. Co? Dusze. Wszystko inne jest niczem. Dusze są to istoty zdolne do życia, do szczęścia, zachwytu, miłości. A dlaczego Bóg takiemi je stwarza? Dlaczego daje im takie uzdolnienie? Dlatego, ażeby móc udzielić im swego własnego światła, życia, miłości, szczęścia wiekuistego. To było celem stworzenia.

---

[1]) Jan I, 1.

Obok tego na niższych szczeblach niejako, ludzie będą uprawiali i używali kulę ziemską: to rzecz błaha. Będą zakładali cesarstwa, królestwa, rzeczypospolite: to zabawka jednodniowa. Nie poto zostały stworzone dusze. Takie cele nie byłyby godne ani ich, ani Boga, który je stworzył. Bóg uczynił je nato, iżby nawet już tu na ziemi, żyły tem samem, co i On, życiem; i dlatego, stwarzając je, ustanowił jednocześnie swój Kościół, ażeby w tej świętej społeczności mogły znaleźć światło i miłość, dla których zostały stworzone.

Takim jest Kościół. Jest on społecznością dusz w światłości i w miłości. Istnieją stowarzyszenia mające na celu zbadanie jakiegoś kraju, eksploatację pewnej kopalni i t. p. Kościół jest stowarzyszeniem dusz dla utrzymania, rozwijania i doprowadzenia do rozkwitu tego, co jest najpiękniejszem w niebie i na ziemi. Dlatego też nawet przed przypatrzeniem się mu bliżej, twierdzimy śmiało, że jest to najwspanialsza społeczność, jaka kiedykolwiek istniała i mogła istnieć pod słońcem.

A iżby świętej owej społeczności dusz nadać najwyższą możliwą piękność, przeznacza Bóg swego boskiego Syna za ognisko jej i podstawę. Z niego będą czerpały życie wszystkie dusze, wszystkich czasów i krajów. Najwyższe to i najczystsze źródło, jakie mieć mogły.

Wszelako społeczność ta boska, poczęta odwiecznie, nie odrazu dosięgła całej swej doskonałości; Bóg kształtował ją powoli. Przez ciąg czterech tysięcy lat przygotowywał i zarysowywał to wielkie dzieło. Za każdem stuleciem dodaje doń rys jakiś: zwiększa światło, udoskonala obrzędy, uduchownia kapłaństwo, aż do przyjścia Chrystusa, który wszystko: światło, miłość, władzę, hierarchję podnosi do najwyższej piękności. Jest to ten sam sposób działania, jakiego Bóg trzymał się przy stworzeniu świata: idzie naprzód powoli, z powagą i majestatem; ustanawia dzisiaj jedno królestwo, jutro drugie,

wyższe; wznosząc się nieznacznie poprzez olbrzymie paprocie i ogromne czworonogi, aż do najdoskonalszego ze swoich stworzeń, człowieka, który dzieło Jego miał zakończyć i uwieńczyć. Tak samo stwarza Bóg Kościół. Ale w tych podlegających zmianom i doskonaleniu się formach żyje ten sam duch i jeden cel: połączenie dusz z Bogiem i między sobą świętym węzłem miłości. A raczej forma Kościoła dlatego tylko się udoskonala, ażeby objąć tem większą liczbę dusz i zjednoczyć je w wyższem świetle i głębszej miłości.

I oto rozpatrując tylko składowe części, wchodzące do budowy Kościoła, musimy skłonić głowę w uwielbieniu. Bo cóż jest większego nad duszę? Jedna dusza warta jest więcej, aniżeli wszystkie światy. A cóż piękniejszego w duszy nad jej wzniosłe aspiracje do prawdy, do sprawiedliwości, do miłości? Czemże zatem musi być społeczność, której jedynym celem jest utrzymywanie w duszach tych uczuć, rozwijanie ich na ziemi i zaspakajanie ich w niebie!

## II.

Tak, jak nie można wskazać początku Kościoła, nie można określić jego rozmiarów. Z natury rzeczy rozciąga się on na świat cały. Został stworzony dla wszystkich dusz, jakie tylko były, są lub będą. Wszystkie bez wyjątku, w każdem miejscu i w każdym czasie, do niego należą.

Nie znaczy to jednakże, aby Kościół nie miał granic wyraźnych, ściśle określonych. Nie jest on, jak to zaraz zobaczymy, rozrzucony bez ładu. Przeciwnie, ma zewnętrzny obwód bardzo widoczny, z jedną bramą widzialną, — chrztem, — a drugą niewidzialną, która się zwie miłością. Oficjalnie ci tylko należą do Kościoła, którzy przekroczyli tę pierwszą bramę. Ale marne miałby wyobrażenie o Kościele, ktoby się nań z tego tylko punktu za-

patrywał. Nie takim jest jego obszar. Przekracza on swoje granice. Ma swoje tajemne i ukryte rozgałęzienia, które budzą podziw i zachwyt.

Kościół jak już mówiliśmy, jest zespoleniem dusz w miłości Boga. Otóż każdy, kto Boga miłuje, z porządku rzeczy należy już do Kościoła. Ktokolwiek zachował w herezji lub odszczepieństwie prawdziwą miłość Boga, jest jego żyjącym członkiem. Chociażby nawet nie otrzymał chrztu, należy on bezsprzecznie do Kościoła, jak dziecko zbłąkane wieczorem, które szuka drzwi domu rodzicielskiego, a tylko z przyczyny ciemności trafić do nich nie może.

Zapewne, jeżeli owa dusza zbłąkana w herezji lub schizmie, ale jak przypuszczamy, przejęta miłością Bożą, wie o tem, że Kościół jest ustanowiony przez samego Boga, — obowiązkiem jej jest za każdą cenę do niego się przyłączyć. I uczyni to niewątpliwie, bo nie może nie uczynić, skoro w sercu jej żyje ta sama miłość Boga, której Kościół jest źródłem i ogniskiem. Ale jeżeli o tem nie wie, nieświadomość ta nie będzie jej za grzech poczytaną. Dusza ta kocha Boga, a zatem należy do społeczności dusz, które Go miłują. Jest siostrą dla mnie, który Go miłuję. Jest córką Kościoła, którego jedynem zadaniem jest łączyć w jedno wszystkich miłujących Boga. Wyobrazić sobie Zbawiciela mówiącego o takiej duszy: „Nie znam jej", jest poprostu niedorzecznością.

Powie kto może, iż taka dobra wiara w błędzie, taka miłość Boga na łonie herezji nigdy się nie spotyka. Mniemanie to jest błędnem. Biskup de Cheverus napotkał w Ameryce trzech młodych duchownych protestanckich, którym udzielił sakramentu chrztu i kapłaństwa. Otóż twierdzi on, że przed łaską, nawrócenia się swego, nigdy nie przypuścili, ażeby religja ich była fałszywą, i żyli w wielkiej niewinności. Sławny kardynał Newman mógł powiedzieć o długich latach, jakie przeżył w herezji: „Nie sądzę, abym kiedykolwiek zgrzeszył przeciwko światłości".

My sami, w zakonach francuskich, a mianowicie u Wizytek i Karmelitanek napotkaliśmy młode Angielki i Amerykanki, które już przed nawróceniem się swojem prowadziły żywot iście anielski, a po chrzcie wzniosły się odrazu do najwyższej doskonałości. Czyż nie należały one zawsze do Kościoła? Należały; były zawsze członkami tej społeczności dusz, złączone z nią świętym węzłem i świętą jednością miłości Bożej.

Ale jeżeli w herezji, w schizmie są dusze prawe, czyste, miłujące Boga, — co łatwiej nam zrozumieć, ponieważ przyjmują one chrzest i wierzą we Wcielenie i Odkupienie, — czy ośmielimy się przypuścić możliwość tego zjawiska u narodów pogańskich? Dlaczegożby nie? Czyż Bóg, Stwórca dusz Korejczyków, Japończyków, nie kocha ich? Czyż krew Baranka bez zmazy nie została wylana i dla nich? I któż nie zrozumie, że działanie jej niewidoczne, ukryte, musi być tem silniejsze, im bardziej brak mu dróg zewnętrznych. Roczniki Propagandy mogą nam przedstawić mnogie świadectwa misjonarzy, że napotykają mnóstwo nietylko dzieci i dziewic, ale mężów i starców, którzy kochają Boga, gotowi są iść za wolą Jego skoro ją tylko poznają; a przez to samo należą do Kościoła i dają tego dowód, przyłączając się doń skwapliwie za pierwszą sposobnością.

Oto pierwsza kategorja dusz należących do składu Kościoła: dusze przeniknięte miłością Bożą, czy wprowadzone w obręb widzialny Kościoła przez bramę chrztu, czy w zakres jego niewidzialny przez bramę miłości.

Ale jeżeli wszystkie dusze przejęte miłością Boga należą do Kościoła, chociażby żyły w błędzie, — zdawałoby się, że przynajmniej grzesznicy powinni być z niego wykluczeni. Kościół — to społeczność dusz w świetle i w miłości. Skądżeby mogło być w nim miejsce dla tych, którzy już nie kochają Boga, którzy się przeciw niemu zbuntowali? A przytem jakżeby to być mogło! Ich grzeszne życie, zgorszenia, jakie sieją, będą rzucały cień na

nieskalaną szatę Kościoła, zaćmią jego piękność. Słowem, i rozum, i logika, i sztuka, jeżeli można tak się wyrazić — cały skład Kościoła i jego istota zdają się wymagać, ażeby grzesznicy nie należeli do jego świętej społeczności. Ale, jakto! grzesznicy mieliby być z Kościoła wyłączeni! Mielibyśmy wyznawać te pełne miłości słowa: „Bom nie przyszedł wzywać sprawiedliwych, ale grzeszników[1])"; i te drugie: „Nie potrzebują, którzy zdrowi są lekarza, ale którzy się źle mają[2])". A zresztą gdzież są ci grzesznicy? Albo raczej, gdzież ich niema? Ci, którzy dzisiaj nie kochają Boga, miłowali Go wczoraj, albo może będą Go miłować jutro. Paweł jest prześladowcą dzisiaj, jutro będzie to apostoł. Augustyn jest dzisiaj wolnomyślicielem, o którego trwoga wyciska łzy jego matce, — jutro będzie to święty biskup i doktór. Póki jesteśmy na tej smutnej ziemi, nikt z nas nie jest utwierdzony w dobrem, ale też, dzięki Bogu, nikt nie jest utwierdzony w złem. W duszach jest ciągły ruch, to wzniosły, to znowu opłakany, i to daje Kościołowi piętno tragiczne i rzewne. Kościół bez grzeszników nie byłby Kościołem ludzkim. Nie obchodziłby nas wcale. Byłby zbyt wysoki, zbyt zimny, a razem niedostrzegalny, niewidoczny. Byłby to Kościół z marmuru. Bóg lepiej wykonywa swoje arcydzieła.

To też Jezus Chrystus, ustanawiając sakrament chrztu, nie ustanowił go jedynie w tym celu, ażeby otwierał przed duszami podwoje Kościoła; chciał zarazem, ażeby sakrament ten, wyrażając na nich charakter niezatarty, kładł w nie zaród życia, prawie nie do wyplenienia. Kiedy grzech zabija w nich miłość, pozostaje wiara i nadzieja; a jeżeli i wiara zgaśnie, jeszcze żyć będzie pod popiołami wraz ze świętem znamieniem chrztu wiążącego

[1]) Matth. IX, 13.
[2]) Luc. V, 31.

je z Kościołem, ów ukryty zaród życia, do którego wzrostu trzeba tylko rosy łaski Bożej.

Zestawiając to wszystko, cośmy tu pobieżnie przejrzeli, można zacząć zdawać sobie sprawę z niezmiernego obszaru Kościoła katolickiego, którego nie jest w stanie objąć żadne oko ludzkie. Z prawa jest on tak rozległy, jak świat cały. Wzywa do siebie wszystkie dusze ludzkie. Ogarnia też w swem łonie nieprzeliczone ich zastępy. Pomijając już te, które rozproszone w różnych błędach religijnych, w głębi herezji, pogaństwa nawet, połączone są z Jezusem węzłami niewidzialnemi i tajemniczemi, spróbujmy przeliczyć te tylko, które przez sakrament chrztu świętego urzędowo są do Kościoła zaliczone. Liczbę ich dzisiaj szacują na dwieście miljonów. Jak ogromna cyfra! Dwieście miljonów ludzi, którzy na wszystkich miejscach kuli ziemskiej wyznają Chrystusa, jako swojego Pana i Mistrza! Dwieście miljonów ludzi zgiętych do ziemi, dręczonych przez namiętności, którzy pod jego boskim wpływem usiłują stać się lepszymi i którzy prawie wszyscy jakkolwiekby grzesznem było ich życie, ich obojętność, ich zapomnienie o Bogu, umierają w żalu za grzechy, całując zbawczy i pocieszający krzyż Chrystusa!

I to tylko w chwili obecnej. Ale cofnijcie się wstecz. Przyjmijcie na każdy upłyniony wiek po trzy pokolenia. Uczyni to sześćset miljonów ludzi, którzy w tym jednym XIX w. należeli do widzialnego ciała Kościoła. Zatem w r. 1880 będzie to już około dwudziestu miljardów istot ludzkich, zjednoczonych w tej samej wierze, nadziei i miłości, a które, różne co do czasu, miejsca, języka i zwyczajów, utworzyły ze swych odrębnych osobowości jedną społeczność, najrozleglejszą i najwspanialszą jaka kiedykolwiek istniała. I czyż na widok tego ogromu nie zawołamy z Bossuet'em: „Jaki widok! Co za zgromadzenie! Co za piękność Kościoła!“ „Jako piękne przybytki twoje Jakóbie, i namioty twoje Izraelu“[1]).

[1]) Num. XXIV, 5.

## III.

Ale do wytworzenia sobie dokładnego pojęcia o Kościele nie wystarcza rozważanie jego tak dawnego początku, wspaniałych rozmiarów i drogocennych materjałów, z jakich jest zbudowany; należy także zbadać plan jego i układ. Bo Bóg nie rzucił bez ładu ani dusz na ziemię, ani gwiazd w przestrzeń. Tylko małe umysły rozpraszają: potężne — skupiają i grupują. Przypatrzcie się światu: niema w nim nic odosobnionego, — wszystkie istoty ujęte w harmonijny system lub złączone w społeczeństwa. Tem bardziej więc święte królestwo dusz nie mogło być rozrzucone na chybił trafił.

Tego wymagało wysokie mistrzowstwo cechujące dzieła Boże, tego również wymagała natura człowieka, jego szczęście i cierpienie, jego słabość i genjusz. Bo człowiek jest istotą społeczną, potrzebującą towarzystwa różnych sobie istot. Potrzeba ta do tego stopnia jest mu wrodzona, że nie wystarczają mu społeczności, ustanowione przez Boga. Tworzy sobie sztuczne dla swych rozrywek, dociekań lub interesów. Tak że gdzie tylko wzrok obrócimy, wszędzie napotykamy człowieka, jako istotę towarzyską, — odosobnionego nie dostrzegamy nigdzie. Gdyby więc nawet Bóg nie stworzył Kościoła, stworzyłby go sobie człowiek sam; powstałby Kościół z jego serca, sumienia, z jego pragnień wiekuistych, które zmusiłyby dusze do stworzenia pomiędzy sobą społeczności. Za dowód niech służy ten fakt, że protestanci, którzy w XVI w. przez zaprzeczenie władzy Kościoła doszli do zaprzeczenia jego uspołecznienia, a sami nie mogąc wykazać swych przodków, musieli wymyślić chrystjanizm indywidualny, niewidoczny, poufny, — niebawem porzucili tę mrzonkę i złączyli się w społeczność religijną.

Były jeszcze inne przyczyny, ażeby olbrzymia społeczność dusz nie żyła w rozsypce, ale była społecznością jawną, świetną, łatwą do zobaczenia i odnalezienia. Bóg dał duszom wolną wolę. Nie przeznaczył ich zgóry i po-

mimo ich woli do światła i miłości, czyli raczej, stwarzając je z tem wysokiem przeznaczeniem, nie chciał go im narzucać. Chciał, iżby były przyjęte do wiekuistego Kościoła w niebie pod tym tylko warunkiem, aby na ziemi należały do tego Kościoła dobrowolnie. I im większą tu na ziemi będzie ich wiara i miłość, tem większą wiarą i miłością, tylko że w stopniu nieskończonym, będą się cieszyły w wieczności.

Dlatego to powstał na kuli ziemskiej w tak wspaniałych ramach czasu i przestrzeni gmach widzialny Kościoła, ów skarbiec prawdy i miłości, które Jezus Chrystus na świat przyniósł. Dlatego poprzedził go Bóg tak cudownymi wypadkami, ustanowił z tak wielkimi cudami, nadał mu te wspaniałe cechy jedności, świętości, powszechności, odróżniające go na zawsze od wszystkich zgromadzeń odszczepieńczych, — i ukazał go światu jako prawdziwe miasto Boże. Wszelka dusza może go zobaczyć i powinna doń się przyłączyć, bo w nim tylko jednym, w jego boskiej społeczności umieścił Zbawiciel skarby, jakie ziemi przyniósł; i obowiązek ten przyłączenia się do Kościoła wynika nie tyle z wyraźnego rozkazu Jezusa, ile z tego, że w nim, i w nim jednym tylko znajdują się prawda i łaski, których dusze potrzebują tak nieodzownie i dla których stworzone zostały.

## IV.

Tu natrafiamy na wielką trudność. Kościół — to zgromadzenie dusz w świetle i w miłości. Gdyby Zbawiciel chciał był uwiecznić swą obecność na ziemi, On sam byłby dla dusz szafarzem tego boskiego światła i miłości. Ale ponieważ po trzydziestu zaledwie leciech miał zniknąć z przed oczu naszych, potrzeba było, ażeby nie przestając być w swoim Kościele jedynym, acz utajonem źródłem tych bezcennych darów, ustanowił zastępstwo, któreby prowadziło dalej jego dzieło, a które liczne jak dusze i jak

one niezniszczalne, mogłoby pośredniczyć w rozdawnictwie tych darów. Otóż w tem leżała cała trudność. Komu będzie powierzone to zastępstwo? Kto będzie dla dusz zwierciadłem prawdy i szafarzem łaski? Zdawałoby się, że taką misję wypełnićby mogły tylko istoty wolne od wad ludzkich i wyniesione ponad ziemskie namiętności; bo czyż podobna przypuścić, ażeby ludzie tacy, jakimi ich znamy, mogli być powołani do czegoś podobnego? Jakto! stworzenia ciemne, ograniczone, fałszywe, kłamliwe, miałyby głosić prawdę! Istoty do złego skłonne byłyby szafarzami łaski i przebaczenia! Grzesznicy — mieliby w innych grzech powściągać. Ależ to niedorzeczne i niemożliwe!

A jeżeli już boskie te przywileje mają być im udzielone, może przynajmniej zostaną wyniesieni ponad siebie samych; może daną im będzie bezgrzeszność? Bo cóż za zniewaga dla Kościoła, co za zgorszenie dla dusz i co za nieuchronne podkopanie religji, jeżeli dając przebaczenie za grzechy, sami będą grzeszyli, — jeżeli sami będą zdradzali w sobie to zło, które tylko co w drugich potępili. Takby się zdawało według ludzkiego rozumu. Ale drogi Boskie nie są naszemi drogami. Pan Bóg chcąc w tem wielkiem dziele przyjąć człowieka za współpracownika, nie cofnął się przed temi trudnościami; a raczej chciał, aby z tychże trudności wystrzelił wspaniały gmach hierarchji katolickiej. Nie wykluczając ze swego Kościoła grzeszników, chciał żeby podnosili ich i oczyszczali również grzesznicy, którzy w sposób nadprzyrodzony, pomimo swojej ułomności, stali się nieskazitelnemi narzędziami prawdy i żyjącemi arterjami Jego boskiego ciała.

I w tym celu, jak został ustanowiony sakrament, mocą którego człowiek staje się chrześcijaninem, tak powstał inny sakrament, sakrament k a p ł a ń s t w a. Chrystus wybiera pewnych ludzi, zapładnia ich święceniem k a p ł a ń s k i e m; elektryzuje, jeżeli wolno tak powiedzieć, życiem boskiem, tak jak się ładuje maszynę elektrycznością. Mają niem przepełnione ręce, usta, całą swą istotę. Odczuwamy jego prąd błogosławiony a potężny. Czy to

jeszcze ludzie? Boską jest ich nauka, boska mowa, nieskończone światło, które zlewają na dusze. Tak, to jeszcze ludzie, bo obok tego pozostają słabymi i grzesznymi. Są w nich skarby życia boskiego dla innych, ale oni sami potrzebują być oświecani, oczyszczani, rozgrzeszani, upominani. Przez kogo? przez innych ludzi. To też w Kościele są dwie kategorje: ci, którzy otrzymują życie boskie, i którzy go udzielają. Ale ci, którzy go udzielają, muszą je znów od innych otrzymywać; i chociaż wobec ludzi są wierni i pasterze, wobec Chrystusa są tylko wierni.

A jakgdyby dla pokazania, że pasterze są tylko narzędziami, kanałami owego boskiego życia, życie to, którego udzielać moc mają, nie jest proporcjonalne do stopnia, w jakim je sami posiadają. Judasza rozgrzeszenie jest tak samo ważne, jak i świętego Jana. Najułomniejszy kapłan konsekruje tak skutecznie, jak najświętszy. Nawet w upadłych odstępcach, w zasuspendowanych, trwa jeszcze w wielu razach owa władza udzielania boskiego życia. Dlaczego? Dlatego, że nie posiadają jej dla siebie, ale dla dusz, które nie powinny cierpieć z przyczyny ich zdrady. Skoro tylko duszom grozi niebezpieczństwo, moc ta budzi się w kapłanie, choćby była przez Kościół zawieszona. Przy łożu umierającego tracą moc wszelkie wyroki, wydane na niegodnego kapłana; upust boskiego życia otwiera się znowu. Nie trzeba, by cokolwiek tamowało swobodne życia tego krążenie. Nie trzeba, aby były tu jakie przerwy i tamy. Dusze przedewszystkiem.

Oto jest istota kapłaństwa. Jest ono tem w Kościele, czem jest w świecie ojcowstwo. To moc sprawiająca, że kapłan czerpie boskie życie u źródła i udziela go duszom. Kapłan — to arterja, dostarczająca całemu ciału światła, łaski, krwi odkupienia.

W następnym rozdziale będziemy rozpatrywali wspaniałą organizację tej hierarchji, ustanowionej przez Zbawiciela dla podtrzymania życia dusz. Na pierwszym stopniu niezmierne zastępy kapłanów, poddanych zarządowi

biskupów; na drugim, biskupi, ulegający władzy papieża; na stopniu trzecim wspaniałe następstwo, szereg nieprzerwany najwyższych kapłanów. Ponad tymi wszystkimi zaś kapłanami, biskupami i papieżami — Chrystus, zawsze obecny w swoim Kościele, przebywający w nim i dający mu to życie, tę prawdę, świętość, które przez Kościół dosięgają do dusz najpokorniejszych, ukrytych w najdalszych nawet zakątkach ziemi, ożywiając je i podnosząc.

Widział ten cud i opiewał go Dawid. Ta owa wonność rozlana na głowę Aarona, sicut unguentum in capite Aaron; spływająca po brodzie i aż do skraju szat jego, quod descendit in barbam, barbam Aaron, quod descendit in oram vestimenti ejus. To niby owa rosa spadająca z nieba na górę Hermon, tryskająca w świeżych a ożywczych kroplach aż na skromne wzgórza Sjonu; sicut ros Hermon qui descendit in monte Sion. Patrząc na to prorok wznosi się duchem i woła: „Oto jako dobra, a jako wdzięczna rzecz mieszkać braciej społem. Albowiem tam przykazał Pan błogosławieństwo, i żywot aż na wieki“[1]).

## V.

A oto jeszcze jedno cudowne zjawisko, owoc owego boskiego życia, przenikającego do dusz. W ludzkich społecznościach dusze stoją obok siebie, odosobnione. Tutaj są one złączone, stanowią jedność, na wzór tych atomów, które złączone siłą wyższą i nieprzepartą, składają się na jedno żyjące ciało. We wszystkich duszach należących do Kościoła, krąży ten sam prąd boskiego życia. Toruje on sobie do nich drogę przez chrzest, utrzymuje się w nich przez sakramenta, sprawiając to, że wszystkie społem żyją z Bogiem i w Bogu. Tak, że pomimo wszelkich różnic osobistych, językowych lub narodowościowych

[1]) Ps. CXXXII.

w rzeczywistości wszyscy chrześcijanie tworzą jedno ciało: „Unum corpus multi sumus — wielu nas jednem ciałem jesteśmy"[1]); ciało Chrystusowe; ciało jedyne, cudownie piękne, bo złożone z dusz nieśmiertelnych, mających jednego ducha, jedno serce i jedno życie.

Ten prąd boskiego życia nietylko jednoczy dusze, ale je użyźnia. Mocą jego najsłabsze nawet zdobywają się na czyny podnoszące siły przyrodzone. Wrócimy później do tego życia, krążącego w ciele Kościoła, wykwitającego w niem bezustannie dziełami nadludzkiej piękności. Tu dzieła wiary; prace doktorów; kontemplacja świętych, ruch, wolność, wielkość umysłu ludzkiego, rozwijającego się swobodnie w tym niezmierzonym oceanie prawdy i budującego z pomocą Bożą wspaniały przybytek jedności. Owdzie dzieła gorliwości świętej: poświęcenie i trudy misjonarzy, krew męczenników tworzące powszechność Kościoła, ową powszechność, która postępuje naprzód i cofa się, jak fala zraszająca kolejno rozmaite wybrzeża, według praw tajemniczych, które będziemy rozpatrywali później. Gdzie indziej znowu akty pokuty, zadośćuczynienia, pokory, poświęcenia się Bogu i ludziom, rozpowszechniające i uwieczniające świętość Kościoła, a z nią dzieło odkupienia. Słowem, w całem ciele Kościoła widnieje bezustanny prąd życia, nieustającą działalność i płodność, świadczące o źródle również żywem i nieustającem.

Ciało takie, o częściach tak ściśle połączonych, ożywione tak potężnie Duchem niebieskim, nie jest jak nasze ciało, skazane na śmierć, nie utraca z dniem każdym czegoś ze swej istoty. Przeciwnie, dąży ono do życia, wzrasta wciąż, wcielając ustawicznie w siebie dusze, nowych apostołów, kapłanów, męczenników, dziewice, a nie tracąc dawnych. Ci bowiem, co umarli, co znikli nam z przed oczu, jak np. św. Piotr, św. Paweł, św. Augustyn, św. Tomasz, św. Franciszek Salezy albo Wincenty a Paulo,

[1]) Corinth. X, 17.

nie wyszli przez to z Kościoła. Pozostają w nim jak my i z nami. Należą do składu tego ciała, które wzrasta codziennie, którego głowa jest już w wieczności, a które nie wprzód przestanie wzrastać, aż osiągnie to, co tak słusznie nazywa Apostoł: „zupełnością Chrystusową“[1]).

A jeżeli wiele jest dusz, które opuszczając tę ziemię niedostatecznie jeszcze skorzystały z niezmierzonych pomocy, jakie przedstawiał im Kościół katolicki, i przez to mają jeszcze grzechy do odpokutowania, nie są i one wyłączone z Kościoła, tworzą trzecią grupę, środkową pomiędzy tą częścią Kościoła, gdzie już triumfują, a tą, gdzie walczą jeszcze, — grupę cierpiących dla dostatecznego oczyszczenia się z grzechów. Nie są one odłączone ani od Kościoła wojującego, ani od triumfującego. Z pierwszym łączą je wspomnienia, uczucia, modlitwy, któremi żebrzą dla nas pomocy; z drugim — gorącość ich pragnień, nadzieje, które przejdą niebawem w rzeczywistość. A my, pozostali tutaj, tworzymy wspólnie z temi i tamtemi duszami jeden Kościół, wielką i powszechną społeczność dusz miłujących Boga.

## VI.

Ale to jeszcze nie wszystko; nie wykazaliśmy jeszcze całej wysokości, rozciągłości i głębi świątyni i miasta Bożego. Wszak ziemia to jeden tylko punkt w bezmiarze, a plemię Adama — to prawdopodobnie jedno tylko pokolenie w powszechnym Kościele Bożym i Chrystusowym. Któż ośmieli się twierdzić, że gwiazdy nie są zamieszkałe? A jeżeli mieszkają na nich istoty, posiadające prawdopodobnie tak jak my, jak Bóg, rozum i miłość, czyż nie tworzą one kościołów rozproszonych w przestrzeni, ale wobec Boga połączonych jednością dla nas niewidzialną? Nauka skłania się ku temu przypuszczeniu, a wiara mu nie za-

[1]) Ephes. IV, 13.

przecza. W każdym razie naucza, że jeżeli wpośród tych istot jest boskie światło, boska miłość, świętość, — nie mogą pochodzić z innego źródła, jak od Pana naszego Jezusa Chrystusa. W Nim jednoczą się wszystkie Kościoły.

Wznieśmy się na skrzydłach wiary wyżej jeszcze i posłuchajmy, co mówi nauka objawiona. Uczy ona, że nasz Kościół ziemski połączony jest tajemnymi węzłami z innym Kościołem, dawniejszym odeń i prawdopodobnie rozleglejszym: z Kościołem aniołów. Aniołowie na łonie Bożem muszą mieć właściwe sobie życie, ale życie to nie może być niczem innem, jak życiem rozumu, miłości, życiem uczestniczącem w nieskończonem świetle i miłości, których Trójca święta jest zarazem ogniskiem i wzorem. Dodajmy jeszcze, że w tym związku naszego Kościoła z Kościołem anielskim, „nietyle my z aniołami, ile aniołowie jednoczą się z nami, z przyczyny Jezusa, naszego wspólnego wodza, i więcej jeszcze naszego, aniżeli ich"[1]).

O piękności Kościoła katolickiego! O bezmiarze jego obszaru! O doskonałe ustosunkowanie jego składowych części! O życie boskie, które na podobieństwo oceanu bez dna i brzegów obmywasz i użyźniasz wszystkie wybrzeża, któż was pojmie i godnie wysławi! Tam żyje się w światłości. Tam się nie zna wątpliwości okrutnych, dręczących tak często najwznioślejsze umysły. Tam pracuje się w miłości. Tam cierpi się dla Boga. Tam, pomimo smutków ziemi, już się czuje przedsmak pokoju i spoczynku nieba:

Coelestis Urbs Jerusalem,
Beata pacis visio[2]).

---

[1]) Bossuet, XLVI, p. 19.
[2]) Brew. Rom. Offic. de Dedicatione.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### Rząd Kościoła katolickiego.

Przypatrzmy się teraz rządowi Kościoła. Każde społeczeństwo musi być rządzonem, inaczej zginie przez anarchję. Jakiż rząd uzna Mistrz Boski za dostatecznie piękny dla najpiękniejszego ze społeczeństw?

### I.

Już od wieków rodzaj ludzki silił się na wynalezienie najdoskonalszej formy rządu; już wtedy, zarówno jak i dziś, trzy formy ustroju społecznego walczyły o pierwszeństwo.

Naprzód forma monarchiczna, ze wszystkich najpiękniejsza. To forma, której pierwowzór mamy w organizacji nieba.

Potem forma arystokratyczna, piękna też, ale już bardziej ludzka: władza w ręku wybrańców narodu, którzy przez długi szereg znakomitych przodków, przez tradycje honoru i cnoty po nich odziedziczone, jako też przez bogactwo, dają gwarancję, że będą wykonywali powierzoną im władzę najlepiej i najuczciwiej.

Nareszcie forma demokratyczna — rząd ogółem w rękach samego ogółu. Forma to rządu wielka i wspaniała, o ileby narody mogły osiągnąć taki stopień cywilizacji, cnoty, iżby wszystkie jego jednostki były zdolne do czynnego udziału w pracy około dobra publicznego.

Jakąż z tych form wybierze Zbawiciel? Starożytność była tego zdania, że jeśliby jaki prawodawca kierowany

natchnieniem z góry zdołał zlać w jedno wszystkie te trzy formy uspołecznienia, osiągnąłby dopiero doskonałość. Tak też czyni Chrystus. Bierze naprzód formę monarchiczną, formę boską; do niej przyłącza w ustosunkowaniu, którego piękność niebawem ujrzymy, obie formy ludzkie: arystokratyczną i demokratyczną; zlewa je w jedną, poprawia jedną przez drugą i łączy ze sobą z takiem mistrzowstwem, w tak cudownych wymiarach, że każda z nich zatraca w tem połączeniu wady swoje i braki, a znajduje zalety, których nigdy nie posiadała. Forma monarchiczna traci swój absolutyzm; forma arystokratyczna swoją pychę, swą zazdrosną a ciasną wyłączność; forma demokratyczna swoją burzliwość i wybryki anarchistyczne. Wynika z tego ustrój społeczny, dotychczas nieznany, jeden i niewzruszony jak monarchja; czynny i gorący jak demokracja; giętki i zarazem bardzo odporny; wykwintnej delikatności i siły niepokonanej; bardzo ludzki pod jednemi względami, a pod innemi znów absolutnie boski; i w ludzkiej swej części, mniej znacznej, wzór idealny, lecz niedościgniony wszystkich organizacyj społecznych od wieków osiemnastu. Otwórzmy Ewangelję i sprawdźmy idee przez fakty.

## II.

Naprzód i przedewszystkiem bierze Zbawiciel formę monarchiczną. Urabia swój Kościół na ziemi, na wzór Kościoła w niebie. Jedna owczarnia i pasterz jeden. Piękno doskonałe. Tysiące gwiazd rozsianych w nieskończonych przestworach z jednym punktem środkowym, około którego zgodnie krążą.

Na ten punkt środkowy Jezus wybiera zawczasu Piotra i jego następców, i wyboru tego dokonywa tak powoli, ażeby świat widział jasno, że nie był on dziełem przypadku. Gdyby Piotr przyszedł był do Jezusa najpierwej, możnaby było powiedzieć, że dlatego został odznaczony. Trzeba zatem, ażeby przed nim przyszli Andrzej i Jan

i żeby dopiero Andrzej przyprowadził brata. Ale skoro tylko ten przyszedł, wnet zaczyna się objawiać boski zamiar. „A wejrzawszy nań Jezus", opowiada św. Ewangelista, rzekł: „Tyś jest Symon syn Jana: ty będziesz zwan Cephas (co się wykłada: Opoka"[1]). Oto rys pierwszy. Imię jego pospolite zostaje zastąpionem przez imię symboliczne, pełne znaczenia, które przyszłość ma wytłumoczyć.

W krótkim czasie potem Jezus wstępuje na górę i po długiej modlitwie wybiera apostołów swoich w liczbie dwunastu, na pamiątkę prawdopodobnie dwunastu pokoleń i jakgdyby dla zaszczepienia nowej hierarchji na pniu starożytnym. Św. Mateusz mówi nam: „A dwanaście Apostołów te są imiona: Pierwszy Szymon, którego zowią Piotr"[2]). Dlaczego pierwszy? Wszakże Jan pierwszy przemówił do Zbawiciela. Wszak Andrzej zawołał pierwszy: „Naleźliśmy Mesjasza!" Dlaczego umieszczają przed nimi Piotra? Dlatego, że Mistrz tak chciał. Innej przyczyny tu niema.

Ale może to tylko pierwszeństwo honorowe, nominalne? Czytajmyż dalej. Zbawiciel udaje się na pustynię do świętych źródeł Jordanu. W drodze zapytuje apostołów: „Czem mienią być ludzie syna człowieczego? A oni rzekli: Jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eljaszem, a inni Jeremjaszem, albo jednym z proroków. Rzekł im Jezus: A wy, kim mię być powiadacie? Odpowiadając, Symon Piotr rzekł: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego".

Zwróćmy uwagę na odpowiedź Jezusa. Nacechowana jest ogromnym majestatem, powagą, mocą, prostotą i wielkością: „Błogosławionyś jest Symonie Barjona, bo ciało, ni krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebie-

[1]) Joan. I, 42.
[2]) Matth. X, 2.

siech. A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech"[1]).

Słowa te stworzyły Papiestwo. Czuje się, że to przemawia wiekuisty Władca nieba i ziemi. On jeden tylko mógł tak powiedzieć. Przytem jak zręcznie i stopniowo przygotowuje do tych wyrazów. Szymon zostaje naprzód wyróżniony z tłumu, wyosobniony. Dostaje imię Piotra. On, człowiek, syn człowieka, jest mianowany opoką, tem słowem, które urzeczywistnia wszystko, co wypowiada. Następnie opoka owa zostaje podstawą Kościoła: „Iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój". I oto zostaje Piotrowi przyobiecane nieustanne, wiekuiste istnienie. Czyliż bowiem mogłaby kiedykolwiek przestać istnieć podstawa Kościoła wiekuistego, niewzruszonego, którego nie zwyciężą bramy piekielne? „Nie, — odpowiada na to wybornie Bossuet — to, co ma podtrzymywać wiekuisty Kościół, końca mieć nie może"[2]).

Kościół ten, który ma wznieść Zbawiciel, to odbudowanie wiekuistej i powszechnej dusz społeczności w świętem zjednoczeniu miłości Bożej; społeczności, której początek jest tu na ziemi, ale która doskonały swój rozwój w niebie zaledwie osiągnie. Dlatego też Chrystus dodaje: „I tobie dam klucze królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech". Rozpatrzymy później całe znaczenie tych słów, pełnych majestatu. Przez nie

[1]) Ibid. XVI, 13—19.

[2]) Bossuet, Sermon sur l'unité de l'Église, I-re partie.

zostaje nadaną całkowita i najwyższa władza nad wszystkiemi duszami, bez żadnych wyjątków i ograniczeń. „Cokolwiek zwiążesz". Zbawiciel nie mówi tu o żadnym wyjątku: któż ośmieli się uczynić jaki wyjątek?

Ale skoro Piotr posiadł całkowitą, najwyższą władzę, czyż nie potrzeba mu również całkowitego światła? Bo inaczej przecież nie będzie mógł wskazywać duszom prawdziwej drogi, — poprowadzi je na manowce. A oto słuchajcie i patrzcie, jak się powoli rozwija plan Zbawiciela. Oto ostatnia wieczerza; pozostaje już tylko kilka godzin do ukrzyżowania. Jezus zwraca się do Piotra: „Symonie, mówi doń, Symonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę; alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja. A ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracią twoją"[1]). To już nie ta niezniszczalność, która czyni, że Piotr, mimo wszelkich wrogich usiłowań, materjalnie, fizycznie zginąć nie może, jako pierwszy kamień u podstawy gmachu. To nowy przywilej — nieomylność. Prosiłem za tobą, aby nieustała wiara twoja: wiara twoja będzie zawsze czysta, zawsze prawdziwa; ani uszczuplona, ani przyćmiona, ani wahająca się, ale zawsze silna i jaśniejąca; nietylko dla ciebie, ażebyś ty był oświecony, ale ażebyś swoich braci oświecał i umacniał, jeżeli zachwieją się w wierze — a zachwiać się mogą. Mógłbym o tę niewzruszoną wiarę prosić dla nich, — ale nie uczyniłem tego. Dla ciebie jednego prosiłem o nią. Kto umacnia podstawę i szczyt gmachu, umacnia gmach cały.

Niedosyć jest wszelako oświecać dusze. Nadaremnie Piotr wskazywałby im drogę, nauczał je prawdy, jeżeliby nie miał władzy rządzenia niemi i mocą tej władzy bronienia ich przed zagrażającemi niebezpieczeństwami. Tem też uzupełnia swe dzieło Zbawiciel. „Gdy tedy obiad odprawili, rzekł Symonowi Piotrowi Jezus: „Symonie Ja-

[1]) Luc. XXII, 31—34.

nów, miłujesz mię więcej niźli ci"? Rzekł mu: Tak Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję. Rzekł mu: Paś baranki moje. Rzekł mu powtóre: Symonie Janów, miłujesz mię? Rzekł mu: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję. Rzekł mu: Paś baranki moje. Rzecze mu po trzecie: Symonie Janów, miłujesz mię? Zasmucił się Piotr, że mu trzeci kroć rzekł: Miłujesz mię? i rzekł mu: Panie, ty wszystko wiesz: ty wiesz, że Cię miłuję. Rzekł mu: Paś owce moje"[1]).

Końca nie byłoby, gdybyśmy się chcieli rozwodzić nad całą pięknością i tkliwością słów tych, nad tem, ile w nich się mieści delikatności i siły i jak bardzo ta forma, w której Zbawiciel nadaje Piotrowi najwyższą władzę nad duszami, jest odpowiednią posłannictwu Kościoła. Później powrócimy jeszcze do tego. Na tem miejscu zaznaczamy jedynie zupełność władzy danej Piotrowi. Wszystko zostaje poddanem jego pasterskiej lasce: wszystkie baranki jak również i owieczki; wierni jak i kapłani; kapłani jak i biskupi. Jedna tylko będzie owczarnia i jeden pasterz. I oto on, ten jedyny pasterz, to Piotr, to papież, z całkowitą władzą oświecania dusz, rządzenia niemi, usuwania wszelkich przeszkód. Nie może go nigdy zabraknąć Kościołowi, ani w zakresie prawdy, ani łaski; nie braknie go też nigdy i zawsze dzierży on najwyższą władzę nad duszami.

Od niego to Zbawiciel rozpoczyna budowę swego Kościoła. Kiedy ciało niebieskie jest w stadjum kształtowania się, najpierwej ustala się w niem jądro. W ciele człowieka, wcześniej niż narządy, istnieje jądro życia. Tego samego porządku trzyma się i tu Zbawiciel. Rozpoczyna od jądra, od centrum. Rozpoczyna od papieża.

## III.

Po założeniu na szczytach swej budowy najpiękniejszej ze wszystkich form rządu, formy monarchicznej,

[1]) Joan. XXI, 15—17.

Chrystus idzie dalej. Papież nie mógł zostać sam, bo nie mógłby dosięgnąć wszystkich dusz rozsianych w czasie i przestrzeni. Gdyby to było wolą Bożą, mógłby zapewne wybierać sobie zastępców od siebie zależnych, mianować ich i odwoływać. Ale byłoby to zanadto ludzkiem, znikomem. Zastępcy owi nie mieliby w sobie nic boskiego. Więc też obok papiestwa stwarza Zbawiciel episkopat. Czyni go wiekuistym i niezgładzonym, jak samo papiestwo; tego samego, co ono, boskiego pochodzenia, tylko nierówne mu co do władzy. Sam mianuje pierwszych biskupów. Są nimi Apostołowie. Mianuje ich jednocześnie z Piotrem i wszystkich razem, omal że nie w tych samych słowach, bo też i posłannictwo ich jest takie samo. „Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam[1]). Idąc na wszystek świat, opowiadajcie Ewangelję wszemu stworzeniu[2]). Kto was przyjmuje, mnie przyjmuje: a kto mnie przyjmuje, przyjmuje tego, który mię posłał[3]). Weźmijcie Ducha Świętego. Których odpuścicie grzechy są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane"[4]). Opuszczając ich zaś, mówi: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał. A oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata"[5]).

W tych uroczystych i wzniosłych słowach Zbawiciel ustanowił episkopat, nakazując biskupom rządzić królestwem dusz wraz ze świętym Piotrem i pod jego zwierzchnictwem. Słowa jednakże wyrzeczone do św. Piotra i sło-

---

[1]) Jan XX, 21.
[2]) Marc. XVI, 15.
[3]) Math. X, 40.
[4]) Joann. XX, 22, 23.
[5]) Math. XXVIII, 19, 20.

wa zwrócone do apostołów, pomimo że prawie równobrzmiące, zawierają ważne różnice. To, co Jezus mówi do Piotra, stosuje się wyłącznie tylko do tego apostoła; do innych zaś Zbawiciel nigdy nie przemawia z wyłączeniem Piotra. Oprócz tej różnicy, porównajmy samą treść wyrazów. Piotrowi rzekł: „Na tobie zbuduję Kościół mój;" apostołom: „Idąc nauczajcie wszystkie narody". Naprzód pasuje Piotra na węgielny kamień Kościoła, następnie kreśli prawa jego rozwoju. Piotrowi mówi: „Cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech;" apostołom: „Których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane. „Znaczenie słów tych jest jedno, ale pierwsze zostały wyrzeczone do jednego św. Piotra, drugie do Piotra wespół z innymi apostołami. Skoro zaś mówi Pan: Idąc nauczajcie wszystkie narody, nie mówi tego ani do apostołów z wyłączeniem Piotra, ani do Piotra jednego. Wyosabnianie byłoby tu niemożebnem. Mówi razem do Piotra i apostołów, złączonych ową jednością nierozerwalną, o którą prosił a więc i otrzymał, kiedy mówił: „Aby byli jedno, jako i my"[1]). Niechże zatem nikt nie próbuje oddzielać papieża od biskupów, ani też biskupów od papieża. Pozostaną na wieki złączeni na mocy modlitwy i ustanowienia Zbawiciela; złączeni i zależni; i ta właśnie jedność, zwierzchność i zależność tworzą Kościół i bramy piekielne ich nie przemogą.

Ale papież i biskupi, czy to już cały skład Kościoła? Jeszcze nie. Chociażby liczba biskupów wzrosła w nieskończoność, gdyż papież ma prawo mianowania ich bezliku, hierarchja katolicka nie byłaby tak piękną i odpowiadającą celowi, gdyby nie było pośredników pomiędzy biskupem a wiernymi. I oto dlaczego woła dnia pewnego Zbawiciel z głębi serca: „Żniwo ście wielkie,

[1]) Joann. XVII, 11.

ale robotników mało"[1]). Poczem powołuje siedemdziesięciu dwóch uczniów, nakazując im opowiadać Ewangelję po wsiach i miasteczkach, ażeby przygotować je na przyjście Jego. Próbowano nadużyć słów tych wspaniałych, stawiając kapłanów, pasterzy parafij narówni z biskupami. Jest to błędem. Chrystus nie tak samo względem nich się zachowuje. Nie wkłada rąk na nich. Nie tchnie im uroczyście na czoła. Pozostawia tę czynność apostołom, właśnie dla zaznaczenia stanowiska, jakie mają zająć uczniowie: stanowiska owiec względem narodów, jagniąt względem biskupów. Ale tak samo jak władza biskupia nie pochodzi od papieża, władza kapłana nie pochodzi od biskupa. Pochodzi ona bezpośrednio od Jezusa Chrystusa, chociaż w wykonaniu zależy od biskupa. Jak papiestwo, episkopat, tak kapłaństwo jest instytucją boską; niespożyte, wiekuiste jest jak one. A raczej jest jedno tylko kapłaństwo; pełnia jego jest w episkopacie, a źródło i korona w papiestwie.

Trzy zatem mamy w hierarchji stopnie: papiestwo, episkopat i kapłaństwo. Są one jakgdyby szkieletem Kościoła, a dopasowanie i doskonałe ustosunkowanie jego części składowych utrzymuje święte ciało tej Matki naszej w wspaniałej jedności.

Nazwałem niedawno Kościół: społecznością dusz w świętym związku miłości Bożej. Dla dokładniejszego określenia winienem tu jeszcze dodać: pod zarządem pasterzy, ustanowionych przez Jezusa Chrystusa, a osobliwie namiestnika Jego, najwyższego kapłana. Oto jest Kościół, rozpatrywany nietylko w składających go żywiołach, ale w narządach dających mu ruch i życie.

## IV.

Przypatrzmy się bliżej owemu rządowi Kościoła, owej jedności, porządkowi doskonałemu, owemu podziało-

[1]) Luc. X, 2.

wi władzy, owej harmonji trzech stopni świętej hierarchji, owej całości tak prostej, naturalnej, tak przystosowanej do religijnych potrzeb dusz, że gdyby Jezus nie był im jej nadał mocą swej boskiej władzy, wyszłaby niejako sama z wnętrzności Kościoła przez swego rodzaju dobór naturalny.

Weźmy zgromadzenie dusz najmniejsze: parafję. Przypuśćmy, że wszystkie dusze w tej parafji są przejęte ową potrzebą światła i miłości, która dała początek Kościołowi. Jakież uczucie będzie w nich przeważającem? Oto pragnienie znalezienia źródła obfitego i niezawodnego, z którego mogłyby czerpać to boskie życie, — a zarazem czujnej straży, zdolnej zachowywać je i bronić. Tym wzniosłym strażnikiem, tym niewzruszonym obrońcą, tem źródłem świętem, które same stworzyłyby, gdyby nie otrzymały go od Zbawiciela, jest — kapłan.

Kapłan — to człowiek cały oddany duszom. Wprowadza je przez chrzest święty do Kościoła. Żywi je prawdą objawioną; nie swoją myślą, nie swoimi systemami filozoficznemi albo politycznemi, ale czystem słowem Bożem, którego on jest tylko kanałem. Naczynie może być ze złota, ze srebra, z bronzu lub też poprostu z gliny, ale każde zawiera w sobie i daje duszom czystą prawdę przez Boga objawioną. Skoro dusze już ochrzczone i nauczone upadną, kapłan je oczyszcza przez sakrament pokuty; jednoczy z Bogiem przez sakrament Eucharystji, modli się wespół z niemi; podtrzymuje je w walkach, pociesza w cierpieniu; wskazuje im niebo i nie odstępuje ich, aż dopóki nie odda ciał poświęconej ziemi cmentarza a dusz w ręce Boga miłosiernego. Wzniosłem jest powołanie kapłana! Jakiż urząd może być mu równy! Kapłan zamyka w sobie wszystkie dusze. Jest jednoczącym je węzłem, siłą, unoszącą je ku niebu. Przez niego dusze wznoszą się do Boga. Takie jest powołanie kapłana. Jest on jednością parafji w światłości i w miłości.

Ale to jeszcze dopiero zaczątek wielkiej jedności katolickiej. Gdyby na tem się kończyło, byłyby tysiące

i miljony małych społeczności odrębnych, odosobnionych, bez żadnej pomiędzy sobą spójni; byłyby to kościoły, ale nie Kościół. Chrystus zapobiegł temu w sposób następujący. Nadał on kapłanowi olbrzymią władzę, ale właśnie w interesie jedności, odmówił mu jej w jednem: kapłan nie może stworzyć kapłana. Schodząc ze świata nie pozostawia po sobie następcy, i koniec jego życia jest zarazem końcem jego Kościoła. Widzieliśmy to w Japonji. Byli tam wierni zdolni do męczeństwa. Byli kapłani wybitni, bohaterscy. Zabrakło biskupów i ogromne, wspaniałe chrześcijaństwo wygasło. Sam tylko biskup może wyświęcać kapłanów. Jest to władza przysługująca wyłącznie biskupowi i nie mogąca być przekazana przez niego. I to jest powodem nietylko tego, że jest on przełożonym, szefem w hierarchji kościelnej, ale i tego, że wszystkie parafje złączone w jedności z kapłanami swymi, muszą się skupiać dokoła biskupa, który sam tylko mocen jest dać im życie trwałe, nieprzerwane, ponieważ sam tylko ma władzę wyświęcania kapłanów. Tem jest biskup. Około niego, przez niego i w nim tworzy się i żyje druga grupa dusz w Kościele: diecezja. Biskup jest jednością diecezji w światłości i w miłości.

Ale to jeszcze nie jest ostatnim wyrazem jedności. Tak samo jak wszyscy kapłani jednoczą się w biskupie, od którego biorą życie, — wszyscy biskupi jednoczą się w papieżu. Poprzez dzielącą je przestrzeń kościoły patrzą na siebie. Uznają się za dzieci jednego Ojca. Czują że w żyłach ich krąży jedna i ta sama krew, i że wszystkie razem stanowią jeden tylko Kościół, wielki Kościół Boży. Otóż wszystkie te ich pragnienia jedności i dążenia do niej, znajdują punkt środkowy najwyższej jedności, który stworzyłyby same, gdy ich w tem Bóg nie uprzedził: Papiestwo! Papież jest ogniskiem i przedstawicielem całego katolicyzmu. Jest także niewyczerpanem nigdy źródłem całego jego życia. On tylko może wyświęcać biskupów, tak samo jak biskup tylko może wyświęcać kapłanów. On tylko może nadawać Kościołowi nieśmiertelność,

dając im nowe życie po śmierci każdego biskupa. On tylko nareszcie może nauczać je nieomylnie. On jest widomym znakiem i urzeczywistnieniem jedności dusz. Wszyscy wierni są w kapłanie; wszyscy kapłani są w biskupie; wszyscy biskupi są w papieżu. Oto jedność. Oto przypływ i odpływ miłości. Cześć, posłuszeństwo, poświęcenie, wierność, wszystko wznosi się do kapłana, przez kapłana do biskupa, a przez biskupa do papieża. Następnie zaś światło, łaski, władza, przywileje, błogosławieństwo, wszystko zstępuje od papieża do biskupa, od biskupa do kapłana, od kapłana do wiernych. Papież — to jedność Kościoła w światłości i miłości.

I oto, jak przez trzy węzły boskiego życia, przez trzy święte siły atrakcji, wszystkie dusze są zgromadzone i skupione naprzód dokoła kapłana w parafji, następnie dookoła biskupa w diecezji, a nareszcie dokoła papieża w powszechnym Kościele. Za każdym stopniem wyżej, życie spływa obficiej i rozkwita tajemnica jedności.

## V.

Ale przypatrzmy się temu jeszcze bliżej. Niedosyć, że widzimy, jak piękne są te święte członki ciała Kościoła, jak cudownie odpowiadające potrzebom dusz; należy również zobaczyć, jak są one mocne, nienaruszone, wyniesione przez Boga ponad ciosy złości ludzkiej, a jednak zarazem jak podobne, subtelne, wzajemnie od siebie niezależne, każdy w odrębnym zakresie działania, — a jednakże złączone nierozerwalnie i ukonstytuowane w hierarchję.

Największe niebezpieczeństwo, jakie może zagrażać wielkim ludzkim ustawom, to ich zmienność. Człowiek może zawsze odmienić i zniweczyć to, co zrobił. Gdyby więc Zbawiciel kazał apostołom, naczelnikom Kościoła, nadać mu ustawę, dałby im tem samem prawo odmieniać ją i modyfikować. Nie uczynił tego. Sam wszystko zbu-

dował jak król, jako Bóg, bez żadnego ludzkiego współudziału. Ta sama potęga, która rozsiała w przestrzeni ciała niebieskie, powołała Piotra i apostołów. To samo mistrzowstwo, które nadało gwiazdom rozmaity blask i wielkość, jako też siłę przyciągania, warunkującą całą harmonję niebios: dało papieżowi, biskupom i kapłanom władzę niejednakową, ale zarówno boską, której ani naruszyć, ani zmienić nie są w stanie. Papiestwo, episkopat, kłamstwo, ewangelja, sakramenta — wszystko to jest poza człowiekiem, ponad nim, dane mu boską mocą Tego, który nie powiedział apostołom: „Zbudujcie Kościół"; ale tylko jednemu z nich: „Tyś jest Opoka, a na tej Opoce zbuduję Kościół mój".

I nietylko dlatego budowa Kościoła jest niewzruszona, że jest dziełem bezpośredniem, osobistem, doskonałem Jezusa Chrystusa, Słowa wcielonego, — ale jest nią jeszcze i w inny, bardziej cudowny sposób. Ową boską władzę, jaką Zbawiciel nadał biskupom, kapłanom, wyrył niejako w ich duszach, tak że nikt nie może im jej odjąć. Ustanowił sakrament, który na duszach sług Jego wyraża charakter boski, niezatarty, wiekuisty. Najniższy stopniem kapłan skoro tylko raz otrzymał kapłaństwo, jest kapłanem na wieki wieków. Ani papież, ani biskupi chociażby zebrani w sobór powszechny, nie mogliby sprawić, iżby kapłan przestał być kapłanem; a chociażby, nie mając już doń zaufania, nie posyłali go więcej na pracę około dusz, nie wyznaczyli mu już parafji, ani owieczek i uniemożliwili mu przez to wykonywanie niektórych czynności, przywiązanych do kapłaństwa: pozostaną mu inne, świadczące o jego wiekuistem dostojeństwie, a mianowicie moc poświęcania ciała i krwi Chrystusowej. Tej jego mocy nie zdoła nikt unieważnić, ponieważ tyczy się ona samego Boga. Tak samo i z biskupem; można mu odjąć jego stolicę, ale nigdy jego charakteru biskupiego. Jest biskupem na wieki wieków.

Ale oto szczyt mistrzowstwa: jednocześnie z tem wrośnięciem niejako w duszę sług Kościoła boskiej ich

władzy, wyrażają się tam również władzy owej granice. Stąd niema żadnego zamieszania w porządku hierarchicznym, ani wkraczania jednej władzy w atrybuty drugiej. Kapłan przy wyświęceniu otrzymuje władzę chrzczenia, rozgrzeszania, konsekrowania; ale nie otrzymuje władzy wyświęcania na kapłaństwo. Nie ma jej i nie może otrzymać od nikogo: ani od papieża, ani nawet od powszechnego soboru. Stąd jego niższość i zależność od biskupa, który posiadając tę wyższą władzę, jakiej mu braknie, jest przełożonym nad nim, mocą boskiego rozporządzenia. Tak samo rzecz się ma z biskupem. Przy wyświęceniu otrzymuje on władzę rozległą: władzę bierzmowania, wyświęcania na księży. Ale jednej władzy nie ma i mieć nie może: władzy nieomylnego nauczania. Wszyscy biskupi razem nie posiadają jej, tak samo jak jeden biskup: i przez to poddani są papieżowi, mającemu tę władzę powszechną i nieomylną.

Nigdzie nie widzimy nic podobnego. W społeczeństwie świeckiem dostojeństwa są zupełnie zewnętrzne. Władza nadająca je nie może wyrazić ich na duszy. To też patrzcie, jakie tego następstwa. Podczas kiedy najlżejszy podmuch rewolucyjny obala urzędników, ministrów, a nawet niestety samych panujących, — najgwałtowniejsze zawieruchy są bezsilne wobec świętej cechy wyrażonej na czole kapłana, biskupa. Wygnany, uwięziony, wysłany jak najdalej, kapłan pozostanie zawsze kapłanem; biskup — biskupem; papież papieżem. Czy wolnym, czy uwięzionym, wierni winni to samo posłuszeństwo, i porządek świętej hierarhji pozostaje zawsze nienaruszony.

Ale ten święty charakter nietylko powoduje niewzruszoność; wynikiem jego jest całe stopniowanie szacunku, czci i miłości. Kapłan czci biskupa, uosabiającego pełnię kapłaństwa. Biskup czci papieża, na czole którego jaśnieją nieomylność i najwyższa władza. Papież znowu czci biskupa, równego mu we władzy wyświęcania kapłanów; obaj zaś schylają głowę przed kapłanem, który

stoi narówni z nimi w tem, co w nich jest najwznioślejszego: we władzy poświęcenia ciała i krwi Jezusa Chrystusa, i u stóp którego obaj korzą się, wyznając swoje grzechy i otrzymując przebaczenie. Tak więc uszanowanie, miłość, cześć, posłuszeństwo, jak aniołowie we śnie Jakóbowym, wznoszą się i zstępują po tych boskich stopniach hierarchji katolickiej.

Ażeby zresztą przy niewzruszoności organizacja Kościoła miała jeszcze ruch i życie, obok święcenia stoi misja. Święcenie, to nadanie władzy przez Boga; misja, to pozwolenie Kościoła na użytkowanie tej władzy i ujęcie jej w karby. Święcenie bez misji nie prowadzi do niczego. Niedosyć jest być kapłanem, biskupem; potrzeba być posłanym. Chrystus powiedział Piotrowi i apostołom: „Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam". Papież mówi biskupom: „Jako mię posłał Chrystus i ja was posyłam". Biskup mówi kapłanom: „Jako mię posłał papież i ja was posyłam". Wspaniałe następstwo i stopniowanie władzy i posłannictwa, dowód życia Kościoła i jakgdyby widoma nić przewodnia jego jedności. Ale kto posyła, musi zarazem mieć prawo nadzorowania, sądzenia, przenoszenia z miejsca na miejsce w miarę potrzeb Kościoła, jako też i odwołania. I to stanowi żywotność i karność hierarchji katolickiej, jako też blask jej świętości. Ponieważ kapłan nie spełniający swego posłannictwa byłby natychmiast w czynnościach zawieszony, ponieważ biskup w podobnym razie zostałby zawieszony przez papieża, — najuboższy proboszcz wiejski uosabia w sobie dla wiernych Kościół i rozkazuje w imieniu samego Jezusa Chrystusa.

## VI.

Stwarzając papieża, biskupów, kapłanów, Chrystus ich jednocześnie uzbraja. Nacóż bowiem zdałoby się stworzyć ich i posłać, gdyby im nie dał środków wypeł-

nienia tego posłannictwa? Daje im dwa oręże: władzę i wolność; najwyższą władzę wewnątrz, najzupełniejszą wolność nazewnątrz.

Jakże możnaby nawet przypuścić, iżby Jezus Chrystus nakazując swojemu Kościołowi prowadzić dusze do żywota wiecznego, nie zaopatrzył go we wszystkie władze: władzę prawodawczą, sądowniczą, administracyjną, których mu potrzeba dla wypełnienia tego posłannictwa? Stawiłby go przez to niżej od najostatniejszego ze stowarzyszeń. Z drugiej strony, jakążby władzę mógł mieć Kościół, gdyby król, cesarz lub rzeczpospolita mogli mieć prawo krępować go, stawiać przeszkody w jego wielkiem dziele uświęcania dusz? To rzecz niepodobna. Nikt nie ma, ani mieć będzie tego prawa i tej mocy. Czuje się instynktowo, że ktokolwiek zechce stawać na przeszkodzie temu wspaniałemu pochodowi dusz ku wieczności, prędzej lub później musi być obalony, złamany.

Przypomnijmy sobie ostatnie słowa założyciela Kościoła. Jakie z nich bije światło. „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał. A oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata"[1]).

Idźcie, ku wszystkim i przeciw wszystkim. Idźcie, bez wahania i obawy. Bądźcie pewni, że żadne władze, ani potęgi ziemskie nie są w mocy odjąć wam to pierwsze nad wszystkie prawo i tę pierwszą wolność, jaką wam daję: prawo i wolność istnienia i postępowania naprzód.

„Nauczajcie wszystkie narody, nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał". Oto drugie prawo i druga wolność Kościoła. Jest on wolny co do swego nauczania. Żadna potęga ziemska nie ma prawa go krę-

[1]) Matth. XXVIII, 19, 20.

pować, ani przeszkadzać mu. Jeżeli to czyni, popełnia świętokradztwo ze swoją własną szkodą i wstydem; bo Słowo Boże nie może być skrępowane, według słów apostoła. Św. Jan Złotousty mówi, że łatwiejby było skrępować promień słońca. Musi on oświecać świat, pomimo wszelkich przeszkód i złości.

Chrzcząc wszystkie narody w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Po świetle — miłość. Uświęcajcie dusze, gładźcie ich grzechy, rozdawajcie im łaski, których potrzebują dla wypełnienia swojego wiekuistego przeznaczenia. Oto trzecie prawo i trzecia wolność Kościoła. Jest on najzupełniej wolny w udzielaniu sakramentów.

A ponieważ słowo Boże i łaska powinny krążyć w świecie bezustanku i powinny być szafowane przez kapłaństwo zrodzone nie ze krwi i ciała, więc Jezus Chrystus dał Kościołowi swojemu czwartą jeszcze wolność — wolność wyboru. Kościół jest najzupełniej wolny w przekazywaniu swojej władzy, w zaciąganiu świeżych sił do szeregów duchowieństwa, w wyborze i wyświęcaniu kapłanów i biskupów, w wyborze Najwyższego kapłana. Wszelkie pokuszenie o skrępowanie tej jego władzy, wolności jest niegodziwem i zbrodniczem.

Oto zasadnicze punkty stosunku Kościoła do rządów. Żadnego innego Chrystus nie wskazał. Nie powiedział Kościołowi swemu: Będziesz za tą lub ową formą rządu; dasz pierwszeństwo monarchji, albo też rzeczypospolitej. Powiedział tylko: Idź, nauczaj wszystkie narody, chrzcij je, uświęcaj; strzeż twojej boskiej władzy i potrzebnych swobód; pozwalam ci na wszelkie stosunki z rozmaitemi rządami, które tej władzy i swobód na szwank narażać nie będą.

Ale zarazem uprzedził swój Kościół, że będzie to trudne bardzo; że owe prawa i swobody będą podlegać nieustannym napaściom; że bardzo nieliczne będą rządy, które je uszanują; — i wskazał mu, jak ma się zachować: a mianowicie spodziewać się prześladowań, nie obawiać

się niczego, przemawiać głośno i stanowczo i rachować na obecność Ducha Bożego, który Kościoła swego nie opuści i pozostanie z nim aż do skończenia wieków.

## VII.

Z tego co tu wyżej powiedziano widzimy, że nie oglądaliśmy jeszcze arcydzieła Chrystusowego w całej jego piękności. Widzieliśmy materjał, z którego jest utworzone; kształt, jaki został mu nadany: ale to tylko szkielet, posąg bez ducha, któryby go ożywił.

Czytelnicy pamiętają wspaniały akt stworzenia Adama. Bóg bierze w swoje święte ręce nieco prochu ziemskiego, nadaje mu kształty ludzkie i, o chwilo uroczysta! dobywa z serca swego tchnienie miłości; i oto boski posąg podnosi się, oczy jego się otwierają, serce zaczyna bić i ludzkość wstaje do życia.

Niedoskonały to obraz tego, co miało miejsce przy stworzeniu Kościoła. Ciało jego już jest gotowe, boskie członki i arterje ukształtowane, ale niema tam jeszcze świętego tchnienia, ducha, który je ożywi i w ruch wprawi. Chrystus obiecuje mu tego ducha, mówi o nim na długo przedtem, zanim go ześle. „Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy[1]). — Tom wam powiedział u was mieszkając, lecz pocieszyciel Duch Święty, którego Ojciec pośle w imię moje, on was wszystkiego nauczy, i przypomni wam wszystko, cokolwiekbym wam powiedział[2]). „I jeszcze: „A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha prawdy“[3]).

---

[1]) Joann. XVI, 12, 13.
[2]) Joann. XIV, 25, 26.
[3]) Joann. XIV, 16, 17.

Wszystkie te słowa mówią jeszcze o czasie przyszłym. Jest to obietnica; ale czekajmy na zmartwychwstanie, na to, ażeby Jezus wystąpił nareszcie jako wódz odrodzonej ludzkości. Wówczas to usłyszymy wyrazy niezrównanego majestatu i powagi.

„A przystąpiwszy Jezus — mówi Ewangelista — mówił im, rzekąc: dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi[1]). — Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam. To powiedziawszy tchnął na nie i rzekł im: Weźmijcie Ducha Świętego"[2]).

Bóg tchnął na twarz Adama — „natchnął w oblicze jego dech żywota" — i uczynił mu duszę żyjącą — „i stał się człowiekiem w duszę żywiącą"[3]). Chrystus tchnie na twarz Kościoła, „tchnął na nie" i czyni zeń społeczność żyjącą: „Weźmijcie Ducha Świętego"; zaraz też słowem śmiałem i wszechstronnem rzuca go w przestrzeń: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je, nauczając je chować wszystko, com wam przykazał". Euntes ergo... Wspaniałe ergo, które samo w sobie jest całą teologją.

Wszelako wspaniały ten akt był w myśli Zbawiciela tylko wstępem i przygotowaniem do jeszcze uroczystszego nadania. Potrzeba było, ażeby ten Duch Boży, ta żyjąca dusza Kościoła ożywiła go nie tajemnie, nie w małem kółku zaufanem, ale publicznie, w oczach tysięcy.

W dziesięć dni po Wniebowstąpieniu, kiedy Apostołowie pod wodzą Piotra mieszkali na osobności, ażeby stosownie do rozporządzenia Zbawiciela, przygotować się do swego posłannictwa, około godziny dziesiątej zrana dał się słyszeć szum, jakgdyby gwałtownego wiatru. Jednocześnie ujrzeli języki ogniste zstępujące z nieba i zatrzymujące się na każdym z nich; „i napełnieni byli wszyscy

---

[1]) Matth. XXVIII, 18.
[2]) Joann. XX, 21, 22.
[3]) Gen. II, 7.

Ducha Świętego", dodaje ewangelista. „A stanąwszy Piotr z jedenaścią podniósł głos swój i mówił... i przystało dnia onego jakoby trzy tysiące dusz"[1]).

Ożywiony tchnieniem Bożem Adam powstaje i rozpoczyna śpiew natchniony; pod tchnieniem Ducha Świętego Kościół również powstaje, mówi, działa, nawraca świat. I odtąd w jego nauczaniu, w jego czynach, w jego odporności, w cnotach jego i cudownie płodnych urządzeniach czuje się Ducha, który nie z ziemi pochodzi. Ciało Kościoła jest piękne i harmonijne; ale bardziej jeszcze piękna i harmoijna jest dusza jego, ożywiający go Duch Boży.

Nieprzyjaciele Kościoła dziwne mają złudzenia co do swojej potęgi. Bo w gruncie rzeczy, co mogą przeciw niemu? Uwięzić papieża, wygnać kilku biskupów, obciąć lub całkiem wykreśli budżet wyznań? Marne środki! Trzebaby im uchwycić i unicestwić duszę Kościoła. Ale jakżeż to uczynić, kiedy dusza najmniejszego nawet dziecięcia jest nieuchwytna, niedosięgnięta! O potężni! O prześladowcy! Bóg daje wam moc nad ciałem, ale duszy nie dosięgniecie nigdy. Urąga ona potędze świata całego. Nie uchwycicie jej ani na ustach, ani w oczach; nie zmusicie do przemówienia, kiedy chce milczeć, ani do milczenia, skoro mówić zapragnie. Bo mowa duszy to słowo, znak, gest, wejrzenie, tchnienie jedno, mniej niż to nawet. Nie widzieliście nic oczami, nie dotknęliście ręką, a dusza przemówiła.

A jeżeli tak jest z każdą duszą, o ileż bardziej z boską duszą Kościoła? Oto już od osiemnastu stuleci rozbijają się o nią wszelkie wysiłki nieprzyjaciół, i bezskuteczność tych wysiłków jest wymownym dowodem, że można przeciw Kościołowi wszystko przedsięwziąć, ale nie można dosięgnąć boskiego Ducha, który go ożywia.

Cezar powiedział podczas burzy do przerażonego przewoźnika: „Quid times? Caesarem vehis!" Wspaniałe słowa, ale wspanialsze jeszcze powiedzieć mo-

[1]) Act. apost. II.

że chrześcijanin, świadomy istoty i przeznaczeń swego Kościoła: Quid times? Jesum Christum vehis!

A teraz, kiedyśmy już doszli do tego punktu, możemy dokończyć i uzupełnić nasze określenie Kościoła: To społeczność dusz w wierze i miłości Boga, pod zwierzchnictwem niewidzialnem Jezusa Chrystusa, widzialnem zaś — jego namiestnika, papieża.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

**Boski depozyt powierzony Kościołowi. Jak potrzeba było, iżby Kościół był nieomylny, ażeby mógł strzec tego depozytu, tłumaczyć go i nim szafować.**

Z tego wszystkiego widzimy już, jakiem jest prawdziwe Kościoła posłannictwo. Bóg stworzył dusze nato, ażeby żyły wiecznie w tej samej co On światłości i miłości; a zanim nadejdzie czas, kiedy w niebie będą się napawały według rozmiarów swojego pragnienia, polecił Kościołowi zasilać niemi dusze na tym świecie.

Dwóch rzeczy potrzeba było nato. Naprzód potrzeba było, iżby Kościół posiadał prawdę, i posiadał ją z bezwzględnością, a następnie, ażeby nie mógł jej zmienić. Bo jeżeli Kościół nie otrzymał od Boga prawdy, albo jeżeli posiadając ją, może ją zatracić, naruszyć, zaćmić; jeżeli nie może udzielać jej ludziom w całości i nieomylnie, to nacóż jest Kościół i poco było go stwarzać?

To też zakładając Kościół, Bóg ustanowił tem samem na ziemi ognisko boskiego światła, skarbnicę prawd objawionych, gdzie będą bezpiecznie przechowane i skąd dusze będą je mogły czerpać.

Dwa rozróżniamy okresy w powstawaniu tego depozytu powierzonego Kościołowi: jeden, w którym on został stworzony, drugi, w którym Kościół rozwinął się tak, że jest w stanie wiernie go przechowywać, rozumieć i udzielać wiernym. Pierwszemu możemy nadać miano okresu N a t c h n i e n i a, drugiemu — okresu P o m o c y. Pierwszy okres, wspanialszy, ciągnący się przez cztery tysiące

lat, od Adama do Jezusa Chrystusa; drugi, skromniejszy, niemniej boski, trwający od lat tysiąca dziewięciuset przeszło, od Chrystusa do dziś dnia, a który skończy się dopiero z końcem świata.

Przypatrzmy się kolejno tym dwom okresom. Naprzód, przez czterdzieści stuleci, powstawanie ogniska światła; następnie zlecenie Kościołowi przez Zbawiciela, ażeby wiernie strzegł tego świętego depozytu, tłumaczył go bez błędu i był jego szafarzem dla całej ziemi.

Dobre pojęcie tych dwóch rzeczy otworzy nam oczy na wspaniały plan Boży w stworzeniu dusz.

## I.

Nikt nie może wątpić, że Pan Bóg mógłby bezpośrednio dać każdej duszy zosobna potrzebną jej prawdę. Ale nikt z tych, co zastanawiali się nad ogólnym planem, jakiego trzymał się Pan w całem stworzeniu, nie będzie zadziwiony, że wolał On stworzyć ogólne ognisko światła, gdzie wszystkie dusze są obowiązane czerpać je, jeżeli nie chcą pozostać w ciemnościach.

Spójrzmy naprzód na to, co dzieje się w świecie fizycznym. Zaledwie dziecko przyjdzie na świat, wnętrzności jego uczuwają głód. A cóż to jest głód? Oto niezaprzeczony dowód, że istota doznająca go, nie ma w sobie życia. A życie owo, na którem jej zbywa, gdzież się znajduje? Na zewnątrz niej, w tem, co Pismo św. oznacza przez te słowa: P o s u i t e u m i n p a r a d i s o v o l u p t a t i s; a co starożytność opiewała w sławnych słowach:

Salve, magna parens... magna frugum.

I dając nam w tem uczuciu głodu dowód, że nie posiadamy w sobie życia, Bóg jednocześnie obmyślił dla nas pożywienie: a p e r i s t u m a n u m t u a m. Rozsiał na łonie nieśmiertelnej natury kwiaty i owoce, wody bie-

żące, całą roślinność sprzyjającą człowiekowi, ów sok życia, jakgdyby duszę natury, co w nas życie utrzymuje i odnawia. A ponieważ jest czas w życiu, kiedy nowonarodzone dziecię nie jest zdolne czerpać w tem niezmiernem źródle i musiałoby zmarnieć na płodnem łonie natury, Bóg stworzył inne łono, pełne tkliwości i życia, które samo zbliża się do dziecięcia nie mogącego przyjść doń, niosąc mu życie w mleku ogrzanem miłością macierzyńską.

Oto jest plan świata fizycznego. To też ludziom odtrącającym od siebie łono Kościoła chciałoby się powiedzieć: nie uznajecie wielkiego ogniska życia boskiego. Mówicie, że dacie sobie sami radę, że znajdziecie życie sami, bez obcej pomocy. Dlaczegóż nie rozpoczęliście tego w kolebce, odpychając od siebie łona matek waszych? Utrzymujecie, że człowiek nie potrzebuje szukać życia boskiego nazewnątrz siebie; tymczasem widzicie, że nawet życia doczesnego nie znajduje on sam w sobie. Kościół jest zbudowany według tego samego planu, a dla wykazania jego piękności, wystarczyłyby mi dwie tylko rzeczy: krzyk na ustach głodnego dziecka i czasza mleka na sercu jego matki.

Idźmy dalej i wyżej, do innego życia wielkością i wspaniałością o wiele przenoszącego życie fizyczne: do życia umysłowego i moralnego. Czy posiadamy to życie w całej pełni! Także nie. Przychodzimy na świat ze zdolnością poznawania, z potrzebą życia umysłowego; potrzeba to szczytna, prawda, ale zawsze tylko potrzeba, prosta zdolność. A gdzież jest owo życie, na którem nam zbywa? Zewnątrz nas, tak jak i tamto pierwsze; tylko już nie w naturze, ale w społeczeństwie, w tej ludzkości, która otrzymała od Boga pierwsze zasady, aksjomaty, prawa zasadnicze, i nie może ich zatracić, ale może się niemi podzielić z tym tylko, kto z nią pozostaje w stałym stosunku.

Można się spierać o to, czy jednostka przynosi z sobą lub nie, wrodzone pojęcia, wszakże posiada je z pew-

nością, i kto chce żyć życiem duchowem, musi czerpać je w tem ognisku.

Oto przed nami racjonalista, który odosabnia się, który głosi, że chcąc znaleźć prawdę, trzeba się usunąć od ludzkości, zamknąć się w sobie samym. Jest to tak, jakgdyby człowiek chcąc żyć lepiej, oddzielił się od natury! I cóż z tego wynika? Oto po osiemnastu stuleciach chrześcijaństwa, wobec Ewangelji i Kościoła, wobec ludzkości wierzącej w Boga, w duszę, w nieśmiertelność, dochodzą tacy ludzie do ateizmu, do materjalizmu jedynie; a zeszliby jeszcze niżej, gdyby owo ognisko życia umysłowego, którem gardzą i które odtrącają, nie rozjaśniało ich umysłów pomimo ich woli.

Sięgnijmy wyżej do życia boskiego, które jest koroną dwóch tamtych; do tej potrzeby nieskończonego światła, nieskończonej miłości, nieskończonego szczęścia, stanowiącej tło mojej natury i świadczącej o mojej zdolności do życia nieskończonego.

Gdzież jest owo życie? Nie we mnie, ponieważ go szukam; nie w ludzkości, ponieważ ona musi go szukać tak samo, jak ja. Musi być gdzieś, ale gdzie? Gdzie mamy szukać owego ogniska boskiego życia?

Patrzcie, jak się wszystko wiąże i wzajemnie dopełnia. Przynoszę z sobą na świat zdolność do życia cielesnego i znajduję przygotowane ogromne ognisko tegoż życia, płodną i wiecznie żyjącą naturę, skąd mogę czerpać je dowoli. Świadczy to o nieskończonej mądrości i miłości wielkiego Budowniczego świata.

Przynoszę z sobą również zdolności do życia umysłowego i zastaję ogromne ognisko tego życia, dorobek i spuściznę tylu wielkich umysłów, tylu ludzi rozumnych, którzy podawali sobie od stulecia do stulecia pochodnię myśli, nauki, rozumu, wielkich zasad, odwiecznych i nieśmiertelnych pewników życia umysłowego. I tutaj również uznaję i witam wdzięcznem sercem mądrość i miłość nieskończoną.

Nakoniec przynoszę z sobą trzecią jeszcze zdolność do życia boskiego; i nie miałżebym zastać nic wcale do zaspokojenia tej ze wszystkich najszlachetniejszej i najbardziej nieprzepartej potrzeby! Ognisko życia duszy istniećby nie miało! Nie miałbym znaleźć żadnej podniety dla mego życia religijnego; nic, coby mu się rozwijać dopomogło; coby mu dało coś z owej nieskończonej światłości i miłości, której potrzebuje tak bardzo; coby stanowiło dla niego obronę, bo tej, niestety, bardzo mu też potrzeba. Życie to we mnie na tyle jest narażone niebezpieczeństw; wszystko sprzysięga się na jego zagładę, a co najgorsza, ja sam zabijam je w sobie. Bywają dnie i godziny, kiedy wyszydzam najwznioślejsze dążenia mojej duszy, kiedy własnoręcznie obcinam jej skrzydła; kiedy tarzam w błocie własne swoje ja, istotę stworzoną ze światła i miłości! Czyżby więc dla zadośćuczynienia tym wszystkim potrzebom nie miało być wielkiego ogniska światła, zostającego pod strażą boską, nie miało być władzy, któraby je broniła, nie miało być świętego ojcowstwa? Musi być; inaczej plan byłby zepsuty dysonansem, brakiem harmonji. Tymczasem dysonansu takiego niema, nie może być. Dzieło boskie jest harmonijne we wszystkich swoich częściach, nie omieszkamy też dalej tego dowieść.

## II.

Tak samo, jak z naturą i ludzkością, postąpił Bóg z Kościołem: zaraz po jego stworzeniu rzuca weń różne nasiona, ażeby mógł odpowiedzieć potrzebom duchowego życia człowieka. Zasiewa więc w nim potoki światła: czyni zeń ognisko życia boskiego tak obfite, tak jaśniejące, że dosyć wyciągnąć rękę, ażeby czerpać tam pokarm, jakiego łakniemy.

Paweł święty na początku swego listu do Hebrajczyków określił pięknie ten zasiew na niwie Kościoła, to

utworzenie ogniska boskiego światła i miłości, z którego wszystkie dusze mogą i są obowiązane czerpać. Oto są jego słowa: „Rozmaicie i wielą sposobami mówiwszy Bóg dawno przez proroki, naostatek tych dni mówił do nas przez Syna“[1]).

W ten zatem sposób zostało utworzone owo ognisko światła: nie powstało raptownie, przez rozświecenie jednorazowe i całkowite, ale powolnie i stopniowo; nie przez bezpośrednie niebieskie oświecenie każdej zosobna duszy, ale przez nauczanie ludu powierzone ludziom pewnym, wybranym, zesłanym, natchnionym, ażeby głosili światu czyste słowo Boże.

Jakim zaś sposobem otrzymali sami od Boga to, czego mieli nauczać ludzi? Sposobem boskim, który zwiemy Natchnieniem.

Natchnienie — to owo tajemnicze działanie wywierane przez Boga na proroków, po przyjściu zaś Chrystusa Pana, na apostołów, ażeby byli w stanie bez niebezpieczeństwa błędu ogłaszać prawdy, których chciał nauczyć ludzkość.

W jaki sposób zsyłał Bóg na nich to Natchnienie? W jaki sposób Duch Boży, który mówił przez Proroków, qui locutes est per prophetas[2]), ogarniał duszę, objawiał jej prawdę jakowąś i kazał głosić ją światu? Na ile człowiek tak natchniony, głosząc ową prawdę, trzymał się ściśle formy, w jakiej została mu objawioną, a na ile pozwalał sobie być sobą w stylu i przejawach swego uczucia? Kościół nie mówi nam tego. Twierdzi tylko stanowczo i każe nam w to wierzyć, że mówią oni z natchnienia boskiego, że od Boga pochodzą nauki, jakie nam dają. Od Adama do Noego, od Noego do Abrahama, od Abrahama do Dawida, Izajasza, Jeremiasza, Daniela, Ezechiela; od Proroków do Apostołów, do Świętych: Mateusza, Marka Łukasza, Jana, Pawła — oto

[1]) Hebr. I, 1.
[2]) Symbol Nicejski.

widzimy całe ich zastępy. Wszystko w nich jest boskiem: godzina, w jakiej się ukazują, prawda, jaką głoszą, nawet słowa, jakich do tego używają. Czy to kiedy opowiadają, jak Mojżesz, o tajemnicach przeszłości starszej, aniżeli istnienie ludzi na ziemi, czy jak Jan święty, wpatrują się w przyszłość dalszą, niż koniec istnienia kuli naszej; czy objawiają nam uroczyście przedwieczne Najwyższego zamiary, lub przenikają z cudownem jasnowidzeniem tajniki ludzkiego serca; czy opisują, jak św. Jan to, co ich serce widziało i zapamiętało, czy jak św. Łukasz, radzą się tradycji, opowieści starszych ludu i dokumentów — wszystko powtarzam, jest w nich boskie; wszystko otrzymali w natchnieniu z nieba. Nie są to ani historycy, których usilne badania doprowadziły do bezwzględnej ścisłości naukowej; ani myśliciele, którzy przez głębokie spostrzeżenia osiągnęli znajomość tajemnic duszy i umysłu ludzkiego; ani genialni poeci, jasnowidzeniem genjuszu odczuwający wszystkie uczucia ludzkości; są to N a t c h n i e n i, liry brzmiące pod ręką wielkiego Mistrza i wyrażające to tylko, co On chce, w sposób, w jaki on chce i w godzinie przez niego wybranej.

Boskiem tedy jest w nich wszystko, ale jakże ludzkiem zarazem! Jak każdy z nich ma swoją odrębną cechę, swój charakter, styl, akcent! Zapomnijcie o imionach autorów i przeczytajcie mowę przy Ostatniej Wieczerzy, a potem weźcie list do Rzymian; czyż nie poczujecie, że dwóch tu macie ludzi, obu wzniosłych, ale najzupełniej różnych? Komu przyszłoby na myśl, że Apokalipsę napisał święty Marek? A gdybyśmy nie wiedzieli, czyjem są dziełem listy św. Piotra, czyliż przypisalibyśmy je św. Pawłowi? Każdy ze świętych pisarzy zarysowuje się przed nami oddzielnie ze swoim umysłem, wychowaniem, ze swemi wspomnieniami, z warunkami życia swojego zewnętrznemi i wewnętrznemi. Widzimy jasno polot jego umysłu, porywy serca i wyobraźni, całą jego duchową fizjognomję. Przemawia tam do nas Bóg, ale także i człowiek. Naucza Bóg, ale także i człowiek. S ł o w o c i a-

łem się stało i mieszkało między nami. Słowo boskie stało się słowem ludzkiem i doszło do nas pełne łaski i prawdy; pełne takiego majestatu, że musieliśmy ugiąć przed niem kolana, ale zarazem i tak ludzkie, tak pełne sympatji i oddźwięku dla bólu stanowiącego treść naszej istoty, że musielibyśmy ulec jego czarowi.

Niezrównana dynastjo Natchnionych! Bóg chcąc dać ludzkości ognisko według potrzeb jej i uczuć, uczynił je z samejże ludzkości, z jej pasterzy, królów, wojowników, kapłanów i prostych ludzi, ażeby drgało w niem tętno ludzkie, iżbyśmy tu jak wszędzie ogarnięci byli tem, co Pismo św. zwie tak właściwie „powrozami Adamowymi"[1]; a zarazem tak kierował ich piórami, podnosił umysły i darzył dusze ich natchnieniem, że niezależnie od tego, jakimi byli pisarzami, historykami, poetami, mówcami — słowo ich było zawsze czystem słowem Bożem. Tyś, Panie, przemówił przez usta sługi twego, mówi prorok. Dawid zaś: „Duch Pański mówił przez mię, a mowa jego przez język mój"[2]). A św. Paweł: „Wszelkie pismo od Boga natchnione"[3]).

Stwarzając zaś owo ognisko stopniowo, w sposób boski i ludzki zarazem, Bóg zbliża je do ludzkości; udostępnia je i przystosowuje do ludzkiej miary — nie za wysokie dla maluczkich i nie za niskie dla wielkich. Wzbudzało to podziw św. Augustyna. „Przejmowało mnie to podziwem, mówi on, przyoblekając zarazem w moich oczach naukę Kościoła katolickiego urokiem czcigodności i wiarogodności, że pod swoją prostotą zastosowaną do umysłów maluczkich, kryje ona dla innych skarby najwznioślejszych tajemnic. Jasność jej wyrażeń i prostota stylu zrozumiała dla wszystkich, zadawalnia jednak potrzeby i umysłów wyższych, sięgających głębiej. Tuląc

[1]) Osee, XI, 4.
[2]) II Reg., XXIII, 2.
[3]) II Tim., III, 17.

do siebie wszystkich ludzi, podnosi potężniejsze umysły aż do źródeł światłości"[1]).

A czy owi Natchnieni znali, widzieli całą doniosłość tego co pisali? Niewiadomo, ale wolno nam jest o tem wątpić. Z jednej bowiem strony nie było to potrzebne do wypełnienia zamiarów Opatrzności, z drugiej zaś — słowo, które głosili, było ponad pojęcie umysłu ludzkiego. Im większy jest genjusz, tem dalsze obejmuje widnokręgi, tak że nieraz potrzeba aż kilku pokoleń komentatorów, iżby odkryć wszystko, co mieści w sobie słowo Mistrza. O ileż bardziej stosuje się to do księgi, pisanej pod natchnieniem Boga a dla ludzkości, gdzie sam Bóg przemawia, opowiada, naucza, rozkazuje, używając do tego ludzi, aby słowa swoje nam uprzystępnić. Styl jest właściwy pisarzowi, ale pod tym stylem kryje się nieogarniony Duch Boży, i dlatego pod dokładnie określonemi i ograniczonemi formami tkwi znaczenie nieograniczone, nieskończone.

Tem są księgi święte. Tak zostały utworzone; napozór bez żadnego ładu, w istocie z cudownym porządkiem, miarą, stopniowaniem, harmonją i jednością. Jak wielki artysta, kierujący zespołem muzycznym, daje znak tym lub innym muzykom, by wprowadzili w grę swe instrumenta, z których ma się utworzyć piękna melodja, i dopiero po jej odegraniu zaprzestaje swoich rozkazów: tak od wieków Pan Bóg miał zwrócone oczy na ludzkie narzędzia, które wybrał, przygotował, uporządkował z myślą o wiekuistej piękności swojego dzieła. Od samego początku ogarnia wzrokiem ten instrument czterdziestowiekowy; trąca jego struny nie na chybił trafił, ale w porządku przez mądrość jego przejrzanym. Zatrzymuje się, kiedy wszystko już skończone, kiedy w języku niezrównanym przez cztery tysiące lat wypowiedział nie wszystko, co wie, ale co chciał, żeby wiedziała ludzkość; to wszystko, co jest jej potrzebne, ażeby mogła żyć, goić

[1]) Confess. lib. VI, cap. V.

swoje rany, rządzić się, uświęcać, kochać, umierać, dojść do Boga. Na ostatnim wierszu Apokalipsy kończy się okres Natchnienia. Bóg przemawiał tysiącznymi sposobami: multifariam, multisque modis, przez patrjarchów, przez proroków, olim Deus loquens in prophetis; naostatek mówił przez swego boskiego Syna, novissime autem in Filio. Powiedział wszystko: niewszystko, powtarzam, co wie, ale wszystko, co człowiek wiedzieć powinien. Nie przemówi już więcej. Księga zamknięta — ognisko zapalone. Kościół zasiany. Zbliżacie się do tego ognia, czytajcie tę świętą księgę, słuchajcie tej boskiej władzy. Wszystko tam jest: wszystkie tajemnice czasu i wieczności.

## III.

Ową naukę powierza Bóg Kościołowi, jako święty i nienaruszalny depozyt. Kościół bowiem istniał przed utworzeniem tego depozytu, a nawet dla niego jedynie został stworzony.

Otrzymał Kościół depozyt, o którym mowa, pod rozmaitemi postaciami: Multisque modis; ale głównie pod dwiema: ustną i pisaną.

Na początku, kiedy pisma jeszcze nie było, nie inaczej jak ustnie otrzymywali boską naukę Adam, Noe i wszyscy patrjarchowie przedpotopowi, jako też Abraham i sprawiedliwi, którzy byli przed Mojżeszem.

Później, skoro wynaleziono pismo, zaczęto go używać do przekazywania światu owej nauki. Pismo rzecz to mniej żyjąca, ale zato trwalsza. Posługiwali się niem prorocy, jak również apostołowie. Ale nie wyrzekli się przeto formy ustnej. Nie spisywali wszystkiego i nie mogliby też tego uczynić, szczególniej apostołowie. Żyjąc obok Zbawiciela przez lat trzy, mając Go ciągle przed oczami, słuchając bezustanku nauk Jego, jakżeby mogli spisać wszystkie fakty jego życia, wszystkie nauki, jakie

z ust jego słyszeli? „Świat nie mógłby ogarnąć ksiąg, któreby się pisać miały"[1]), powiada apostoł. Zresztą Zbawiciel nie kazał im pisać, tylko nauczać. Nauczali ciągle; pisać zaczęli późno i czynili to dopiero przy nadarzonej sposobności. To też mówiąc o boskim depozycie, odsyłając do niego wiernych, mają zawsze na myśli jego całość, obiedwie jego formy. „Przeto bracia stójcie, a trzymajcie podania, którycheście się nauczyli, choć przez mowę, choć przez list nasz"[2]).

Ojcowie Kościoła mówią tak samo. Odwołują się zarówno do nauki pisanej jak i ustnej. Są rzeczy, przedstawiające się jaśniej w nauce ustnej, inne — w pisanej; depozyt wszakże jest jeden i ten sam[3]).

Ponieważ zaś w całej nauce jest największa i niezakłócona jedność, możemy twierdzić, że w Tradycji niema ani jednego punktu, któregoby nie pozwalało przynajmniej przypuszczać Pismo; tak jak niema w Piśmie dogmatu, zasady, któreby nie tkwiły w Tradycji. Pod jedną i drugą formą tchnie ten sam duch, przemawia do nas ten sam głos.

Ciasnym zatem i fałszywym poglądem grzeszą protestanci, widzący tylko część pisaną boskiego depozytu i na niej tylko opierający swój kościół. Z prawa Kościół dawniejszym jest od Pisma. Naprzód został stworzony, potem powierzono mu depozyt. Przecież istniał on już, zanim którykolwiek z apostołów nakreślił jeden wyraz nauki Chrystusowej. Uznaje to Lessing, jeden z najpierwszych genjuszów literackich Niemiec protestanckich. Mówi on w tej kwestji „Wierzono już w całą naukę Zbawi-

---

[1]) Joann. XXI, 25.

[2]) II Thessal. II, 25.

[3]) Cf. Brugère, De Ecclesia Christi praelectiones novae, p. 8. Przytacza on teksty najzupełniej stanowcze ze św. Bazylego, św. Epifanjusza, św. Jana Złotoustego, a także niemniej przekonywające fakty zaświadczone przez Orygenesa, Tertuljana, św. Augustyna, św. Hieronima. Patrz także Franzelini'ego: De divina Traditione, th. XIX.

ciela i wprowadzano ją w czyn, a jednakże Ewangelje nie były jeszcze napisane"[1]).

Kiedy Dawid, Izajasz, Daniel, Jeremiasz mówili albo pisali swoje psalmy, treny lub proroctwa, Kościół żydowski istniał i wnet zbierał wszystkie te cenne rzeczy dla ich przechowania. Tak samo oddawna już istniał Kościół katolicki, kiedy ukazała się pierwsza Ewangelja. Oddawna już w Koryncie, w Atenach, w Efezie, w Rzymie nauczał Paweł święty, i sam jeszcze nic nie był napisał, kiedy pojawiła się druga. Kościół żył już sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat, gdy św. Jan Apokalipsą przypieczętował boską księgę. Nauczano, chrzczono, przyjmowano Komunję świętą, odprawiano Mszę, wyświęcano biskupów, kapłanów, kiedy nie było jeszcze żadnej Ewangelji, żadnego listu, żadnego wiersza napisanego ręką apostołów.

---

[1]) Lessing. Dzieła. Berlin, 1825. Tom VII i VIII. Należy tu wskazać ciekawe tezy, bardzo ważne i bardzo katolickie, które protestant Lessing przeciwstawia Goetzemu:

1-o. Reguła Wiary, ustanowiona przez Ojców Kościoła, nie jest wyjęta z pism Nowego Testamentu.

2-o. Owa Reguła wiary istniała, kiedy nie było jeszcze ani jednej księgi Nowego Testamentu.

3-o. Tę Regułę uważali za najzupełniej dostateczną nietylko pierwsi chrześcijanie z czasów apostołów, ale wierni przez cały czas czterech pierwszych stuleci.

4-o. Ta zatem Reguła, a nie Pismo, jest skałą, na której stoi Kościół Chrystusowy.

5-o. Niemożliwą jest rzeczą dowieść, że apostołowie układali swe pisma z zamiarem pomieszczenia w nich całej religji chrześcijańskiej.

6-o. Nietylko ludzkość znała już historję Zbawiciela, nim ją opowiedzieli Ewangeliści, ale cała religja funkcjonowała już przed ich pismami. — Odmawiano Ojcze nasz, zanim je podał św. Mateusz. Chrystus nauczył go swoich uczniów. Używano formuły chrztu, przepisanej Apostołom przez Zbawiciela, pierwej nim wyczytano ją u tegoż św. Mateusza. — Tak samo i wszystkie inne zasadnicze rzeczy chrześcijańskiej religji, etc., etc. (Patrz bardziej wyczerpujący wykaz owych tez, w nader ważnem dziele doktora Hettingera, Apologie du Christianisme, 5 tomów in 8-o).

W naszych czasach, kiedy ludzie chcą coś ustanowić, choćby najmniejsze bractwo, przedewszystkiem spisują jego ustawy. Starożytność nie pojęłaby tego. Ona pisała mało. Więcej ufała żywemu słowu i czynom, jak pismu. Ożywiała dzieło życiem, przed przeniesieniem go na papier. W każdym razie Chrystus tak postąpił. Kościół to, czego naucza, co opowiada, otrzymał z Jego ust; opiera się na Tradycji, ani na Piśmie, ale na Zbawicielu Jezusie Chrystusie. Nie Jego depozyt podtrzymuje Kościół, ale Kościół niesie depozyt ten przez wieki.

## IV.

Na nic jednakże nie przydałoby się stworzyć ognisko światła i życia i oddać je w opiekę Kościołowi, gdyby Kościół nie był przyobleczony w boską władzę do strzeżenia tego depozytu potrzebną. Ludzkość jest niestała, zmienna: druzgoce dzisiaj to, co czciła wczoraj; a jeśli i nie druzgoce, to wypuszcza z rozczarowanych rąk. Nadto ma wstręt do wszystkiego, co ją krępuje. Każdą prawdę prędzej lub później zapozna, oplwa — a żadna nie obroni się sama. Potrzeba zatem było niezwyciężonej strażnicy dla strzeżenia tego boskiego ogniska; potrzeba władzy czujnej, nieskazitelnej, której byłaby dana pomoc z góry, dla wiernego przechowania go do końca. To też po okresie N a t c h n i e n i a, trwającym przez cztery tysiące lat, od pierwszego wiersza Genezy do ostatniego wiersza Apokalipsy, okresie siejby bożej i rozniecania ogniska Kościoła, następuje drugi, zupełnie odrębny, który zamianujemy okresem P o m o c y.

Kościół w kolebce otrzymał od Chrystusa najwznioślejsze dary, jednego nie otrzymał wszakże: N a t c h n i e n i a. Chociaż jest o całe niebo wyższy od Kościoła mojżeszowego, którego jest dokończeniem i udoskonaleniem, nie ma jednakże mocy jak tamten dodać chociażby jeden wiersz do boskiej Księgi. Księga ta jest,

powtarzam, skończona. Kościół jedno ma tylko posłannictwo, jeden święty przywilej: ma pomoc z góry do przechowywania depozytu jemu powierzonego.

Nie dlatego, iżby Bóg nie mógł udzielać mu w dalszym ciągu łaski Natchnienia, jak prorokom, i kazać mu także głosić prawdy dotychczas nieobjawiane. Trzebaby być pozbawionym cienia nawet rozsądku, iżby przypuszczać, że w nieskończonym widnokręgu Bożym niema już nic, coby nam mógł objawić. Tylko, że nie chce tego uczynić. W ciągu czterech tysięcy lat powiedział nam, co chciał, abyśmy wiedzieli. Jest tam wszystko, co nam wiedzieć potrzeba. Teraz zostaje nam tylko rozważać jego słowa, otwierać je, jak się otwiera kwiat, i wydobywać z nich utajoną woń. Żeby zaś nie zbrakło nam ich nigdy, wspomaga swój Kościół w nieomylnem czuwaniu nad Objawieniem.

Wspomagać zaś, to wspierać w trudnościach; oświecać w ciemnościach; powstrzymywać od błędów i kroków fałszywych! I czyż nie jest to konieczne w tak delikatnej materji? Czyż nie był to winien Chrystus Kościołowi, ludzkości, samemu sobie? Był winien, i uczynił tak. „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody..., nauczajcie je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał. A oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata“[1]).

Nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał. Niechaj nikt nic tu nie dodaje, ani odejmuje. Chowajcie wszystko. Nic nie zmieniajcie, choćby tego od was żądali aniołowie z nieba. Chowajcie depozyt w całości. „Strzeż tego, coć powierzono“[2]). A ponieważ duch ludzki łatwo omylny, skłaniający się do nowości, nie wydołałby sam przez się temu za-

[1]) Matth. XXVIII, 19, 20.
[2]) I Tim. VI, 20.

daniu: Oto ja jestem z wami aż do skończenia świata.

Nie mówmy więc, że Kościół jest natchniony w nauczaniu prawdy. To błąd. On ma jedynie pomoc, ażeby mógł w całości prawdę tę zachować. Nie mówmy również, że Kościół naucza nowych prawd wiary. Mógłby, gdyby Bóg chciał tego. Ale nie może i nigdy tego czynić nie będzie. Po dynastji Natchnionych, którzy przez czterdzieści wieków nauczali ludzkość prawd jeszcze nieznanych, nastąpiła dynastja Wspomaganych. Dynastja ta ostatnia — innej już nie będzie aż do końca. Nie naucza ona niczego nowego, ale strzeże i zachowuje w całości, każdy najmniejszy szczegół z nauki objawionej i jej powierzonej. Oto jest plan boski. Pierwsi stworzyli ognisko światła, — drudzy go strzegą.

## V.

Ale ażeby zadowolnić potrzeby religijne ludzkości, nie wystarcza strzec jedynie boskiego depozytu. Trzeba umieć go otwierać; potrzeba odczytywać treść jego; rozumieć go; a jeśli pojawią się różne jego tłumaczenia, orzec, które jest prawdziwe i powagą swoją nakazać w nie wiarę, jeśli zajdzie tego potrzeba. Nato również niezbędną jest boska Pomoc.

De Maistre wypowiedział zdanie głębokiego znaczenia. Mówi on, że nieomylność, to rzecz jednoznaczna z najwyższą władzą i dodaje, iż domagając się dla Kościoła nieomylności, żądamy dlań tylko przywileju nieodłącznego od każdej władzy, wszystkie bowiem one działają jako nieomylne.

I tak jest w istocie. Niemasz żadnej władzy, żadnego najwyższego trybunału, żadnej najwyższej instancji, którychby wyroki mogły powstrzymać rozburzone umysły, uspokoić społeczeństwo, jeżeli nie działają jako do pewnego stopnia nieomylne. W każdej jurysdykcji musi być

sąd, od którego niema już apelacji. Jedyny to dla ludzi hamulec.

Powiedziałem: „do pewnego stopnia nieomylne", i przyczyna tego jest jasna. Staję przed sądem; procesuję się. Ani ja, ani mój przeciwnik nie możemy nie przyjąć wyroku. Jest on ostatecznym, decydującym, uznanym za nieomylny. Res judicata pro veritate habetur. Ale jeżeli muszę zatrzymać się, umilknąć, zaprzestać wszelkich dalszych kroków, i być posłusznym, w sumieniu swojem nie jestem obowiązany wierzyć w słuszność wyroku. Dlatego wystarcza tu prawie nieomylność, pewien jej stopień.

Ale jeżeli zamiast posłuszeństwa powierzchownego, mam obowiązek uwierzyć w duszy; jeżeli dlatego, ażeby społeczeństwo mogło żyć i wypełniać swoje przeznaczenie, winienem powiedzieć: „Wierzę, że ten wyrok jest samą słusznością i prawdą"; czyż w takim razie wystarcza pewien stopień nieomylności owego sądu? czyliż przeciwnie, niepotrzebna tu jest nieomylność całkowita?

Tak właśnie ma się rzecz z Kościołem. Nie zewnętrznego jedynie posłuszeństwa wymaga on od nas. Nie zadawalnia się nie może się zadowolnić kornem milczeniem. Wymaga on całkowitej wiary, zupełnego przyzwolenia duszy. I tak być musi. Chodzi tu o prawdę, o słowo samego Boga, którego istnienie i znaczenie on zatwierdza. Ale jakże można rzec: „wierzę", jeżeli jest choć najmniejsza możliwość omyłki? Skoro mówię: „Mój Boże, wierzę mocno we wszystko, coś nam objawił i przez Kościół katolicki do wierzenia podał". Skoro mówię: „Mój Boże, wolałbym umrzeć, aniżeli wątpić o jednym artykule mojej wiary"; jeżeli mówię to, a Kościół nie jest nieomylny, mówię niedorzeczność. Lepiejby mi było być Turkiem.

Ta jest druga przyczyna nieomylności Kościoła; drugie znaczenie słów: Oto ja jestem z wami aż do skończenia świata; jestem z wami, wspomagam

was nietylko w strzeżeniu świętego depozytu, ale i w otwieraniu go ludziom i głoszeniu im jego zawartości z zupełną pewnością.

## VI.

Jest jeszcze trzecia przyczyna nieomylności, nazbyt głęboka i wzniosła, ażebyśmy ją tu mogli całkowicie rozwinąć, ale o której wspomnimy teraz pokrótce, zachowując sobie na później bliższe jej rozpatrzenie.

Wielu ludzi wyobraża sobie, że Bóg rozsiał w swoim Kościele prawdy, jak się rozrzuca po polu bezduszne kamienie, nakazując mu strzec ich, jak się strzeże archeologicznych jakichś głazów. Jest to błąd zasadniczy, sprzeciwiający się Pismu, wyraźnym słowom Chrystusa, zdrowemu rozsądkowi, naturze umysłu i serca ludzkiego. Gdyby takiemi były prawdy objawione, ludzkość odwróciłaby się od nich dawno, jeżeli nie z pogardą, to z najzupełniejszą obojętnością. To też Bóg, znający naturę stworzonego przez się człowieka, inaczej to urządził. Dał owe prawdy Kościołowi nie jako twarde i niewzruszone bryły granitu, ale jako nasiona żywe, obdarzone niezmierną siłą kiełkowania i wzrostu, ażeby wschodziły, rozwijały się, dawały kwiaty i owoce. Do owego zaś pięknego zadania pielęgnowania prawdy, otrzymywania z niej kwiatów i owoców, kogoż powołał? Oto umysł człowieka. A ponieważ zadanie to delikatne jest i niebezpieczne, dla wskazywania ludzkiemu umysłowi drogi, podtrzymywania go i strzeżenia od upadku — dał mu nieomylność Kościoła.

Dotykałem już tej kwestji[1]); zamierzam traktować ją obszernie mówiąc o życiu Kościoła, ale chodzi mi o to, ażeby tu ją zaznaczyć; największą bowiem pięknością boskiego depozytu jest ów rozwój nauki, ów postęp ludz-

[1]) Le Christianisme et les temps présents, t. III. Les Dogmes du Credo, I-e partie, ch. I, § 5.

kiego umysłu pod nieomylną wodzą Kościoła Bożego. Dlatego to, że człowiek należy do Kościoła nie biernie i bezwładnie, ale czynnie; że każdy, bądź papież, biskup, kapłan lub inny wierny obowiązany jest badać dogmaty, rozwijać je, wyprowadzać z nich należne wnioski, stosować je zawsze i wszędzie; że Ewangelja została mu daną jako nasienie, którego nie powinien zagrzebywać w grobie, ale wydobywać najaw zawarte w niem niewysłowione piękno, dobro, prawdę, pożytek i sprawiedliwość, — powiedział Pan Jezus Kościołowi swojemu: „Idąc nauczajcie wszystkie narody; oto ja jestem z wami aż do skończenia świata".

O Kościele, nauczaj je wszystkiego, czegom ciebie nauczył: nasamprzód zasad jasnych, oczywistych, stokrotnie powtórzonych w Ewangeljach; potem pierwszych ich wyników, które równie ode mnie pochodzą, kto bowiem objawia zasadę, objawia i jej wynik; następnie wyników z tych wyników, trudniejszych już do odnalezienia, ale które odnajdziesz niechybnie i również głosić będziesz, gdyż inaczej dzieło moje byłoby wstrzymane w połowie drogi; nie osiągnęłoby ostatecznego celu; nie rozświecałoby i nie odnawiało świata po wszystkie wieki. A ponieważ takie zadanie jest zarówno niemożebne dla człowieka pojedyńczego, jak i dla pewnej liczby ludzi, a popełniane błędy pociągałyby za sobą zgubę i zagładę Kościoła: „Oto ja jestem z wami aż do skończenia wieków".

Można naciągać teksty, zużywać wiele dowcipu, uciekać się do greckiego i syryjskiego języka, by nie uznać bijącej z tych wyrazów prawdy. Ale jeżeli z Ewangelją i historją w ręku zapytam człowieka spokojnego i prawego: Czy, ażeby strzec boskiego depozytu, rozumieć go i ogłaszać światu, potrzebował Kościół nieomylności i czy dał mu ją Zbawiciel? Otrzymam odpowiedź twierdzącą.

Tak jest; chciał tego, jak wszystkiego, czego chciał dla spokoju, szczęścia i uświątobliwienia ludzkości. Bo oto pracuję na życie swoje, na droższe mi od własnego,

życie żony mojej i dzieci; nie mam chwili wolnej od pracy; i nie miałbym znać prawdy, ponieważ brakuje mi czasu na jej szukanie! Albo też miałbym ją mieć od innych ludzi ciasną, chwiejną, ciemną! O nie, dusza moja jest dosyć cenna, ażeby Bóg sam dał jej światło.

Jakto! idę wypocząć po usilnej i gorliwej pracy dla moich ukochanych, i oto spotyka mię ciepło słoneczne promieni i upajająca harmonja przyrody; a dla mej spragnionej i strudzonej duszy, dla umysłu, dla serca, które potrzebują prawdy, miłości, nadziei, miałbym nic nie znaleźć? Bóg, tak wspaniały w małych rzeczach, miałby być skąpym w wielkich! To niemożliwe, i tak też nie jest. Słońce prawdy większą ma od ziemskiego słońca jasność. Wschodzi wcześniej a zachodzi później od niego. Oświeca nietylko moje dnie, ale i noce. Wpośród cieni tego świata nawet, czujemy w Kościele światło czyste i łagodne; oddychamy niem w ciszy i ukojeniu; w niem wypoczywamy, odzyskujemy nadzieję i pociechę. Nie utrzymuję, ażeby to już było słońce wieczności. Łagodne i blade, jak światło gwiazdy nocnej, przygotowuje jednak do tamtego; i dusza pyta w zachwyceniu, czem będzie światłość wiekuista, jeżeli tak piękny jest jej przebłysk na ziemi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### Nieomylność Papieża.

Kościół tedy jest nieomylny. Zawsze w to wierzył; zawsze go utrzymywał, a co zasługuje na uwagę, ze wszystkich religij on tylko jeden miał naiwność, czy też wzniosłą śmiałość, głosić to i w to wierzyć.

Nieomylny, czyli niezdolny do zbłądzenia! Starożytność nie znała tego wyrazu. Niema go ani u Platona, ani u Cycerona; i wyobrażam sobie, jak szyderczo uśmiechnąłby się Horacy, gdyby mu ktoś o tem nadmienił. Nawet po Chrystusie, kiedy już światu objawiona została ta rzecz wspaniała i niezbędna, wszelka sekta odłączająca się od Kościoła zrzeka się jej, jako zbyt ciężkiej dla siebie. Ani Luter, ani Kalwin, ani Henryk VIII, ani królowa angielska nie ośmielili się nigdy podawać się za nieomylnych; zanadtoby się też z tego śmiano. Kościół czyni to, i nikt się nie śmieje. Wielki to już dowód jego boskości.

Bo też jeżeli dziwnem jest, że Kościół ośmielał się przez osiemnaście wieków i ośmiela się dziś jeszcze podawać się za nieomylny, to dziwniejszem jest jeszcze dla mnie, że są społeczności religijne, które podając się za boskie, nie podają się jednocześnie za nieomylne. Bo być religją i religją boską, nie jestże to zstępować z góry Synaju z promiennem czołem i tablicami prawa w ręku; nie jestże to wychodzić z Wieczernika z płomykiem Ducha Świętego nad głową; nie jestże to wreszcie mówić ludzkości: „Potrzebujesz prawdy, oto ją masz; świętości, oto ją masz; potrzebujesz dążyć do Boga, podaj mi rękę, ja znam drogę, która do Niego prowadzi". Ale czyż do tego

wszystkiego nie potrzeba nieomylności? Jeżeli możesz mnie oszukać, podać mi błąd miasto prawdy, jeżeli znasz drogę i zamiast poprowadzić mię bezpiecznie, możesz zawieść na manowce: nie potrzebuję cię; postaram się sam znaleźć drogę.

Po takiem stwierdzeniu nieomylności Kościoła, powstaje przed nami drugie pytanie: Jak się objawia ta nieomylność? Gdzie jest jej siedlisko i władza wykonawcza? Odpowiadam: Siedlisko nieomylności jest w Rzymie; organem — papież.

Tak też orzekł sam Kościół. Postawił sobie te pytania; zbadał siebie sumiennie, wyczerpująco i rzekł, że w papieżu jest moc jego nieomylnego sądu.

Ostrzegano go przed tem orzeczeniem. I łatwo pojąć, dlaczego, bo takie ogłoszenie nieomylności papieskiej jest tak śmiałe, tak niemal zuchwałe, iż dziwić się nie można, że ludzie bledli z trwogi. Kościół nie cofnął się jednak i co do mnie, dosyć tego jednego, ażeby uznać Kościół Boży, jako w s p o m a g a n y przez Boga samego.

Przedtem można było przypuszczać, iż owa nieomylność była jakby rozlana w całem ciele Kościoła nauczającego. Było to roztropniejsze, bardziej ludzkie. Nie można przekupić tysiąca biskupów, ani ich pozabijać. Dzisiaj Kościół naucza, że nieomylność przebywa w jednej tylko głowie. Ale cóż łatwiejszego, jak ściąć tę głowę! Królowie, cesarstwa, rzeczypospolite spróbujcie, — może zdołacie zatrwożyć ją groźbami, albo przekupić obietnicami!

Godniejszem zaś podziwu jest to, że Kościół ogłosił rzecz taką w połowie wieku XIX, wobec tych racjonalistów, rewolucjonistów i ludzi bezbożnych, kiedy wszystko zdawało się zalecać ostrożność. Ale Kościół nie działa na sposób ludzki. Jakże często widzimy, że porwany tajemniczą jakąś siłą, zatrważa on swoich przyjaciół, a zdumiewa siebie samego.

Tymczasem rozpatrując rzecz tę bliżej, widzimy, że zasada nieomylności papieża nie jest wcale tak nowa. Jest ona tylko logicznem następstwem jego najwyższej

nad duszami zwierzchności. I oba te jego przywileje były zawsze uznawane przez Kościół. Należały do powierzonego mu depozytu. Tylko z biegiem czasu uwydatniały się one i pogłębiały, aż wreszcie okoliczności, o których powiemy niżej, skłoniły sobory powszechne: Lioński i Florencki do uroczystego orzeczenia pierwszego z nich, a sobór powszechny Watykański — drugiego.

Przejdźmy więc teraz do zbadania rozwoju owej potężnej doktryny, której początek sięga ostatnich słów Zbawiciela, a nakoniec — soboru Watykańskiego. Będziemy mieli uderzający przykład, jak dogmaty rozwijają się, nabierają dokładności pod kierunkiem Ducha Bożego; i jak ten Duch światła i miłości, działający we wszystkiem z porządkiem, miarą i wagą, przygotował stosowną chwilę do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestji.

## I.

Przywiedźmy sobie naprzód na pamięć wszystko, co Ewangelja mówi o papieżu. Czytamy w niej słowa, które czy to rozważane oddzielnie, czy zestawiane i porównywane, rzucają na tę kwestję żywe światło: „Iżeś ty opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go[1]). I tobie dam klucze królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi będzie rozwiązane i w niebiesiech[2]). Symonie, Symonie..... alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja; a ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracią twoję[3]). Paś baranki moje; paś owce moje"[4]).

[1]) Matth. XVI, 18.
[2]) Ibid. 19.
[3]) Luc. XXII, 32.
[4]) Joann. XXI, 15, 17.

Słowa te stworzyły papiestwo. Weźcie każde z nich oddzielnie; postarajcie się wyprowadzić zeń wszystkie wnioski. Połączcie je ze sobą; oświetlcie jedne przez drugie. Będziecie olśnieni bogactwem zawartej w nich treści. Weźcie pierwsze słowa: Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój; Kościół mój jeden, święty, nieomylny, wieczny. Umysł gubi się w przewidywaniu, czem będzie podstawa takiego Kościoła. Albo te słowa: Cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebiesiech; albo znowu: Paś owce moje. Tobie dam klucze królestwa niebieskiego. Zgłębcie te słowa; postarajcie się zważyć je wszystkie. Co słowo — błyskawica; co słowo — bezmiar. Żadnych zastrzeżeń; żadnych ograniczeń. Papież, to zastępca Chrystusa, podstawa Kościoła, klucznik niebieski, utwierdzenie w wierze, pasterz baranków i owiec, czyli całej owczarni. Czemże on nie jest w Kościele? Jak on nieśmiertelny, jak on wiecznie trwały; jak on odradza się z własnych popiołów. Nie może go zabraknąć Kościołowi. Niezdolny jest karmić baranki swoje i owce trucizną, błędem. Nie może otworzyć podwoi nieba temu, kto na to nie zasługuje. Jednem słowem, jest on dalszym ciągiem Chrystusa na ziemi.

Zapewne nie brak tu znaków zapytania. Przy każdym tytule, przy każdym przywileju kapłana możnaby postawić ich tysiące żądając, określenia jego władzy, dokładnego oznaczenia granic jej i doniosłości. Ale na początku, w katakumbach nie pyta nikt i niktby pytać nie śmiał. Wiara i miłość żyją zaufaniem i posłuszeństwem. Wystarcza to, co bije w oczy, to jest, że ten najwyższy kapłan jest wyniesiony ponad wszystkich, jest najwyższym przedstawicielem Jezusa Chrystusa; że należy mu się cześć i posłuszeństwo; że trzeba zachować się względem niego tak, jakgdyby to był sam Chrystus. I to wystarcza. Aż nadto prędko przyjdą smutne walki, nie-

szczęsna konieczność rozróżniania i orzekania. Rozróżnianie bowiem idzie w parze z przeczeniem, a potrzebę orzeczeń wywołują wątpliwości.

## II.

To też kiedy się cofamy do pierwszych wieków chrześcijaństwa, uderzają nas tam dwie rzeczy, poprzedzające wszelkie określenie i rozróżnianie.

Pierwszą jest, że papieże mają pełną, całkowitą świadomość najwyższej władzy, jaką zostali przyoblecz eni. Używają owej władzy oględnie, dyskretnie; podnoszą głos wtedy jedynie, kiedy zachodzi konieczna tego potrzeba; ale wtedy czynią to ze stanowczością i siłą, nie dopuszczającą oporu.

Drugą — że Kościół również ma pełną, całkowitą świadomość całej władzy nauczania i rządzenia, jaką otrzymał papież. Przez wzgląd na heretyków, a czasem i na zbyt gorliwych biskupów, unika on ciągłego wysuwania papieża naprzód. Ażeby go nie narażać bez potrzeby, obchodzi się pozornie bez niego. Zachowuje się względem niego z prostotą i poufałością dzieci względem ojca; ale nigdy śmiałość jego nie przekracza pewnej granicy. W wieku IV i V, kiedy na tylu soborach poruszano tyle niepokojących zagadnień, piękny widok przedstawia wzajemny stosunek owych dwóch świadomości, zobopólne ich poszanowanie i względy. Nie mogę wdawać się tu we wszystkie szczegóły, ograniczę się na kilku faktach.

Na sobór powszechny zgromadzony w Efezie, dla potępienia nauki Nestorjusza i ogłoszenia boskiego macierzyństwa Marji, papież Celestyn wysyła legatów dla przewodniczenia obradom. Jakże kończy udzielane im instrukcje? „Jeżeli zdania będą podzielone, pamiętajcie, że jesteście tam nie poto, ażeby rozprawiać, ale żeby w y-

rokować"[1]). Oto w jednem słowie względność a zarazem siła. Jeżeli zebrani będą jednej myśli, nie występujcie naprzód, nie podnoście głosu. Jednozgodność soboru powszechnego będzie miała większy wpływ na nawrócenie odłączających się. Ale za najmniejszą oznaką rozterki, macie wystąpić naprzód i pamiętać, że przybyliście nie dla rozprawiania, ale dla wyrokowania.

Około połowy V w. papież Leon święty pisał do powszechnego soboru Chalcedońskiego: „W materji tej nie chodzi już o rozprawianie, ale o wierzenie; gdyż list mój do błogosławionej pamięci Flawiana rozstrzygnął już jasno i dokładnie wszystko, co w Tajemnicy Wcielenia jest przedmiotem wiary"[2]). I wobec tak stanowczego potwierdzenia nieomylności Najwyższego Kapłana, nie zaprotestował nikt, pomimo, że było tam zebranych sześciuset biskupów. Owszem, wszyscy zawołali jednozgodnie: „Piotr przemówił przez usta Leona; Piotr żyje zawsze na swojej stolicy!"

Inocenty I znowu do biskupów afrykańskich, zebranych w Kartaginie i w Mileris: „Kiedy poruszane są zagadnienia dotyczące wiary, myślę że nasi bracia i współbiskupi powinni się w nich odwoływać tylko do Piotra, jako do twórcy ich godności"[3]).

A św. Agaton: „Nigdy Kościół apostolski rzymski nie zboczył z drogi prawdy; cały Kościół katolicki, wszystkie sobory powszechne wyznawały zawsze jego naukę, jako naukę książęcia Apostołów"[4]). I całe koncyljum Konstantynopolitańskie jednozgodnie oświadcza papieżowi, że przyjmuje jego listy do cesarza, jako napisane z natchnienia Bożego i książęcia Apostołów.

Tak się objawia owa podwójna świadomość, o której wyżej mówiłem: papież wie, kim jest, co może na mocy boskiego rozporządzenia; Kościół wie to rów-

[1]) Epist. 17, Migne, t. L, col. 503.
[2]) Epist. 93, Migne, t. LIV, col. 937.
[3]) Epist. 29 et 30.
[4]) Labbe, t. VI, col. 635.

nież, i oboje działają razem i w jednym kierunku: raz występuje bardziej naprzód papież, to znowu Kościół, wedle potrzeby dusz i natchnienia Ducha Bożego.

## III.

Moglibyśmy poprzestać na wyżej przytoczonych faktach, gdyż mamy w nich świadectwo całego Kościoła, i to wydane tak uroczyście, jak rzadko bywa. Ale oprócz tych świadectw publicznych, bijących w oczy, których możnaby znaleźć więcej, miło nam powołać się na inne, nie tak głośne, ale też niemniej cenne. Są to głosy największych genjuszów i ludzi świętych, którzy z czytania Ewangelji wyciągają te same wnioski. Świadectwa to tem cenniejsze, że nie są wcale obmyślane; że wyrywają się z ich piersi już to jako okrzyk wiary, wobec przeczeń heretyków, już jako wyrażenie miłości, uwielbienia, świętego zapału na widok piękności Kościoła, zjednoczonego ze swoją głową i nieomylnie przez nią nauczanego i kierowanego. Wspomnę tu św. Ireneusza[1]), Orygenesa[2]), Cyprjana[3]), św. Grzegorza Nazjanzeńskiego[4]), św. Bazylego[5]), św. Efrema[6]), św. Epitanjusza[7]), św. Hieronima[8]); św. Ambrożego[9]), Prudencjusza[10]), św. Astera z Amazji[11]), św. Au-

---

[1]) Iren., Adversus Haereses, lib III, cap. III.

[2]) Orig., In Matthaeum, tom XII, na 11. — Migne, P. G., t. III, col. 1003.

[3]) Cypr., De unitate Ecclesiae, cap. IV.

[4]) Greg. Naz., Carmen de vita sua, V, 562—572.

[5]) Basil., Epist. XCII, Ad Italos et Gallos.

[6]) Ephrem., In Josue, cap. XXIV. — Encomium in Petrum, etc.

[7]) Epiphan., Ancorat., cap. IX.

[8]) Hieron., Epist. XV, ad Damasum. — Epist. CXXX. ad Demetriadem.

[9]) Ambros., Enarratio in Psalm. XL, cap. XIX. — Epist, XI, ad Imperatores.

[10]) Prudent., In sanctum Laurentium.

[11]) Ast. Amas., Homil VIII, in sanctum Petrum.

gustyna[1]), św. Piotra Chryzologa[2]), św. Teodoreta[3]), św. Maksyma[4]), św. Teodora Studytę[5]). Można tych świadectw przytoczyć jeszcze trzy razy, pięć razy więcej; wszystkie cechuje wspólny ton, akcent — nie nieśmiały, wahający się, jak gdy chodzi o rzeczy podlegające zaprzeczeniu i niedostatecznie jeszcze wyjaśnione, — przeciwnie, żywy, gorący, pełen zapału i czci dla tej obecności Piotra, czuwającego zawsze na swej stolicy, ażeby nauczać świat. Ośmielam się twierdzić, że dlatego, kto umie czytać, owo bogactwo określeń, trochę może pozbawionych ścisłości, jest dowodem bardziej jeszcze przekonywającym, aniżeli cała późniejsza ścisłość i poprawność. W ich świetle odczuwa się już i nieomylność, i zwierzchnictwo, i niespożytość, i wszystkie inne prerogatywy stolicy Piotrowej.

## IV.

Ale oto na widnokręgu pojawia się chmura. Przeniesienie przez Konstantyna stolicy na wybrzeże Bosforu, podniosło Konstantynopol do rzędu pierwszego miasta po

---

[1]) August., Epist. CV, ad Donatistas, cap. XVI. — Epist. CXC, ad Optatum.

[2]) Petr. Chrysol., Epist. ad Eutychetem.

[3]) Theodor., Epist. CXVI, ad Renatum presbyterum.

[4]) Maxime Chrysop., Opuscula Theologica, Migne, II, 138.

[5]) Theod. Studit., Epist. XXXIII, Leoni Papae. — Epist. XIII, Paschal. Papae.

Wszystkie te teksty i wiele innych znajdujemy przytaczane, roztrząsane i komentowane w następujących dziełach: Bouix, de Papa, 3 tomy in 8-o, Paris, Lecoffre, 1869. M-gr. de la Tour d'Auvergne, La Tradition Catholique sur l'infaillibilité pontificale, 1 tom in 8-o, Paris, Palmé, 1875. M-gr. Deschamps, arcybiskupa Malines, L'infaillibilité et le Concile général, 1 vol. in 8-o, Paris, Magnin, 1870. Don. Guéranger, La Monarchie pontificale, 1 tom in 8-o, Paris, Palmé, 1870. Wskazujemy te dzieła temu z czytelników, któryby chciał głębiej wniknąć w omawiane zagadnienie. Sami nie możemy wdawać się w przytaczanie owych tekstów, gdyż zadużo zajęłoby to nam miejsca.

Rzymie, i równo z tem biskupi tego grodu zapragnęli mieć w kościele drugie miejsce. Nie było to słuszne, gdyż podział administracyjny Kościoła wcale nie stosuje się do podziału państw świeckich. To wszakże nie zdołało ich powstrzymać. Kiedy przez ciągłe usiłowania, zręczność i poparcie cesarskie, wyrośli nad patrjarchów Antjochji, Aleksandrji, Jerozolimy, zdobywając nareszcie w Kościele drugie miejsce, którego tak niepomiernie pożądali, podnieśli oczy i na pierwsze. Zaczęli twierdzić, że godność biskupa powinna iść w parze z godnością miasta, że zatem biskup Konstantynopola, stolicy i pierwszego miasta w świecie, winien być przez to samo najwyższym ze wszystkich biskupów chrześcijaństwa. Stąd wynikło opłakane odszczepieństwo Kościoła greckiego, trwające dziś jeszcze; zapoczątkowane przez Focjusza (857—886), potem przerwane, (886—1054), wznowione przez Michała Cerularjusza (1054—1059), które pociągnęło za sobą część Wschodu.

Do tej pory Kościół nie roztrząsał ani orzekał prerogatyw Stolicy Apostolskiej. Nie było to potrzebne, ponieważ nikt nie podawał ich w wątpliwość. Chrześcijanie żyli wiarą, posłuszeństwem, poświęceniem się, miłością, bez rozróżniań i odgraniczeń, wiedząc, że papież jest namiestnikiem Chrystusowym, następcą św. Piotra, głową Kościoła, któremu powierzone zostały owieczki Pana. Zadawalniano się tem, bo też zaiste powinno to było wystarczyć. Ale za ukazaniem się owego uroszczenia, które uparcie trwało i rosło, grożąc Kościołowi schizmą i już ją rozpoczynając, niewolno było się wahać; należało sformułować dogmat jasny, wyraźny, żeby oświecić Wschód i zatrzymać go, jeżeli będzie można, na zgubnej drodze, na którą go wiodły: ambicja biskupów Konstantynopola i pycha cesarzy. To było zadaniem trzynastego soboru powszechnego, zgromadzonego w Lionie w 1245 r. Należeli doń Grecy — i oba Kościoły, Wschodni i Zachodni, przyjęły jednozgodnie orzeczenie dogmatu o zwierzchnictwie Kościoła rzymskiego.

Przytaczamy tutaj dosłownie to orzeczenie, gdyż jest ono nadzwyczaj ważne.

„Święty Kościół rzymski posiada najwyższe i całkowite zwierzchnictwo, nad całym Kościołem katolickim, i uznaje w duchu prawdy i pokory, że otrzymał je z pełnią władzy od samego Zbawiciela, w osobie błogosławionego Piotra, księżęcia i głowy Apostołów, którego następcą jest Najwyższy Kapłan rzymski. I tak samo, jak ten Kościół ponad wszystkie inne, ma obowiązek bronienia prawd wiary: tak, skoro powstają różnice zdań w rzeczach wiary, jego wyrok winien je rozstrzygać[1]).

To jest pierwsze dogmatyczne orzeczenie, tyczące się papiestwa. Patrjarchowie konstantynopolitańscy chcieli osiągnąć prymat, na zasadzie politycznego znaczenia swojego miasta. Sobór wyrokuje, że ów prymat nie znajduje się w żadnym związku z jakimikolwiek politycznemi warunkami; że sam Zbawiciel nadał go Kościołowi rzymskiemu w osobie Piotra i jego następców. Sobór ogranicza się ściśle na określeniu tego tylko, co było poddane wątpliwości. Nie dotyka innych przywilejów Piotrowych, którym nikt nie zaprzecza i które z porządku rzeczy wynikają z prymatu. Nie wymienia zatem i nieomylności. Ale któż nie dostrzeże jej bardzo jasno w zakończeniu orzeczenia soboru: „I tak samo, jak ten Kościół przed wszystkimi innymi ma obowiązek bronienia prawd wiary, tak skoro powstają różnice zdań w rzeczach wiary, jego wyrok winien je roz-

[1]) Ipsa quoque sancta Romana Ecclesia summum et plenum primatum super universam Ecclesiam catholicam obtinet: quem se ab ipso Domino in beato Petro apostolorum principe sive vertice, cujus Romanus Pontifex est successor, cum potestatis plenitudine, recepisse veraciter et humiliter recognoscit. Et sicut prae caeteris tenetur fidei veritatem defendere; sic et si quae de fide subortae fuerint quaestiones, suo debent judicio definiri. (Labbe tom. XI, col. 966).

strzygać". Jeżeli jego wyrok ma rozstrzygać w rzeczach wiary, jakżeby wyrok ten mógł być omylnym?

To też od tej chwili coraz więcej genjuszów i świętych głosi zgodnym chórem, podziw swój i uwielbienie. Po chórze Ojców Kościoła, podnosi się chór wielkich teologów, współzawodnicząc w dokładnem i jasnem wysławianiu nieomylności Najwyższego Kapłana. Na czele tego chóru widzimy świętego Tomasza, który wyraża się w tym względzie z jasnością, nie pozostawiającą nic do życzenia[1]). Przed nim wymieniamy św. Anzelma[2]), Lanfranc'a[3]), św. Tomasza Kantorberyjskiego[4]), Piotra Bloseńskiego[5]), Iwona de Chartres[6]), Alberta Wielkiego[7]); po nim zaś: Jana z Paryża[8]), św. Jana Kapistrana[9]), św. Antonina[10]), Djonizjusza Kartuza[11]) i mnóstwo innych.

---

[1]) 2. 2-ae. Quaest. I. Art. X. „Jedność Kościoła, mówi św. Tomasz, nie mogłaby się utrzymać, gdyby za powstaniem jakiejś niepewności w rzeczach wiary, nie mógł takowej rozstrzygnąć przewodnik całego Kościoła, iżby przez to wyrok był ściśle zachowywany przez tenże Kościół: ten, który ma prawo rozstrzygać ostatecznie (determinare ea quae sunt fidei) w rzeczach wiary, ażeby były niezachwianie przez wszystkich wykonywane".

[2]) Anselm. De fide Trinitatis, Prooem. — Epist. LXV, ad Humbertum comitem.

[3]) Lanfranc, De Corpore et Sanguine Christi, cap. XVI.

[4]) Thom. Cantuar., Epist. ad suffraganeos. Migne, tom. CXC, col. 534 et 599.

[5]) Petr. Bles., Epist. ad Honorium Papam III (Bibl. Max. vel Patrum, tom. XXIV, p. 1017).

[6]) Iv. Carnut., Epist. ad Richerium. — Ad Hugonem, Lugd. archiep. — Ad Paschalem Papam.

[7]) Alb. Magn,, In commentario ad cap. XVI S. Matthaei. — Ad cap. V S. Lucae.

[8]) Joan. Parisiens., De potestate regia et papali, cap. III.

[9]) Joan. Capistr., De papae et concilii auctoritate. Passim.

[10]) Anton., In sua Summa, parte III, tit. XXII.

[11]) Dyon. Carthus, In Comment, ad cap. XXII S. Lucae. Patrz Bouix, De Papa, t. I. Są tam te wszystkie teksty i wiele innych; gdyż jak mówi dom Guéranger, byłoby zbyt nudnem

## V.

W lat sto dziewięćdziesiąt cztery, po orzeczeniu przez sobór powszechny Lioński zwierzchnictwa Kościoła rzymskiego nad całym światem katolickim, widnokrąg zaczyna się przyćmiewać. Przeniesienie stolicy Apostolskiej do Awinjonu było przyczyną wielu klęsk; między innemi, owego pozornego rozdwojenia, któremu nadano niewłaściwą nazwę wielkiego odszczepieństwa zachodniego. Świat katolicki ujrzał dwóch naraz papieży, a potem i trzeciego: wszyscy mienili się prawowitymi, — a wybory wszystkich tak były zawikłane, okoliczności towarzyszące im tak szczególne, że narody katolickie rozdzieliły się na trzy partje, do których należeli nawet święci: z jednej strony św. Wincenty z Ferrary, z drugiej św. Katarzyna Sienneńska. Nie było już sporów o jedność Kościoła, ani o posłuszeństwo prawemu papieżowi, jedynemu następcy św. Piotra. Chodziło o to, który jest tym prawym następcą. Najprościej byłoby, iżby wszyscy trzej zrzekli się swojej godności, a katolicy obrali innego. Na tem się też skończyło. Ale trzeba było na to czasu — i można sobie wyobrazić, jakie namiętności i niepokoje miotały duszami w czasie tego przesilenia, jakiego Kościół nigdy jeszcze nie przechodził i prawdopodobnie przechodzić nie będzie.

Podczas tej niepewności, w umyśle mnóstwa ludzi szczerze do Kościoła przywiązanych — kapłanów, doktorów Kościoła, szukających ratunku, musiały powstać rozmaite kwestje trudne i delikatne, których wzburzone namiętności nie pozwoliły traktować z należytą roztropnością. Skoro pokój Kościoła zależy od trzech ludzi, którzy mogliby i powinni zrzec się swojej godności, a nie chcą

---

zamieszczać tu spis kilku tysięcy autorów wszystkich krajów, którzy bronili tej samej zasady od czasów św. Tomasza. (Monarchie pontificale, page 209.)

tego uczynić, czyż nie można im tej godności odebrać? Czyż cały Kościół nie jest wyższym nad papieża? Czyż papież nie jest mu danym in bonum! Czy nie jest Kościół jego sędzią? Sobór Lioński orzekł, że Kościół rzymski ma pełną moc, najwyższą duchową zwierzchność nad całym katolickim Kościołem, zgoda; ale co innego jest rzymski Kościół, a co innego papież. Kościół rzymski jest nieomylny, wiekuisty; ale papież!

Trudno brać za złe takiemu Gersonowi albo Piotrowi d'Ailly te wątpliwości, zrodzone z pragnienia pokoju, czci i jedności Kościoła; ale nie można ich tolerować. Teologja to buntownicza; gdyby jej nie poskromiono, wstrząsnęłaby całym gmachem Kościoła podkopując jego podstawy.

To też po skończonem przesileniu, skoro Marcin V jednozgodnie obrany na papieża, połączył pod swojem berłem wszystkie narody, dała się uczuć potrzeba położenia końca całemu temu wirowi wniosków fałszywych, zuchwałych i zgubnych; przeto sobór Florencki, zwołany w r. 1439, powtórzył i zaakcentował silniej, wyrok trzynastego powszechnego soboru Liońskiego z 1245 r. Tam, gdzie ów sobór wymienił tylko Kościół rzymski, ponieważ wówczas szło jedynie o jego stosunek do całego świata katolickiego, — florencki wymienia papieża. Łączy, niedosyć przedtem złączone pojęcie Kościoła i Papieża. Orzeka, że stanowią oni jedność, i opromienia głowę papieża tymi samymi przywilejami, które były przyznane Kościołowi rzymskiemu. Oto ów wyrok:

„Orzekamy, że Święta Stolica Apostolska i Najwyższy Kapłan rzymski mają zwierzchnictwo nad całym światem; że Najwyższy Kapłan rzymski jest następcą błogosławionego Piotra, książęcia Apostołów; że jest namiestnikiem Jezusa Chrystusa, głową całego Kościoła, ojcem i nauczycielem wszystkich chrześcijan; i że Zbawiciel nadał jemu, w osobie błogosławionego Piotra, całkowitą władzę rządzenia i kierowania Kościołem pow-

szechnym, tak jak jest napisano w aktach soborów powszechnych i świętych kanonach"[1]).

Takiem jest powtórne orzeczenie dogmatyczne papiestwa. Jest ono wyraźniejsze od pierwszego. Tamto mówi, że Kościół rzymski ma zupełną i najwyższą zwierzchność nad całym Kościołem katolickim; to dodaje: i Najwyższy Kapłan rzymski, ażeby wyraźnie zaznaczyć, że Kościół rzymski i papież są nierozdzielni. Nadto pierwsze mówi, że wszystkie kwestje tyczące się wiary, mają być rozstrzygane wyrokiem Kościoła rzymskiego. Drugie mówi więcej, że ma to czynić wyrok papieża; papież bowiem jest Nauczycielem wszystkich chrześcijan, ma prawo nauczania ich wszystkich, oni zaś, co za tem idzie, mają względem niego obowiązek posłuszeństwa. A jakże moglibyśmy mieć obowiązek posłuszeństwa papieżowi, gdyby on mógł nas wprowadzić w błąd?

Takiem jest rozumowanie Bellarmin'a[2]), Suarez'a[3]), Franciszka Salezego[4]), i t. d. Od soboru Florenckiego widzimy jakby nowy wzrost gorliwości u pisarzy katolickich, w głoszeniu i bronieniu nieomylności papieża.

---

[1]) Item, definimus sanctam Apostolicam Sedem et Romanum Pontificem in universum orbem tenere primatum, et ipsum Pontificem Romanum successorem esse beati Petri principis apostolorum, et verum Christi Vicarium, totiusque Ecclesiae Caput et omnium christianorum Patrem et Doctorem existere; et ipsi in beato Petro pascendi, regendi, ac gubernandi universalem Ecclesiam a Domino nostro Jesu Christo plenam potestatem traditam esse: quemadmodum etiam in gestis oecumenicorum Conciliorum, et in sacris canonibus continetur. (Labbe, tom XII, col. 515).

[2]) Bellarm, De summo Pontifice, lib. IV, cap. II.

[3]) Suarez, De Fide, Disput. V, Lect. VIII, N. 4.

[4]) Saint François de Sales, Controverses. III-e partie, chap. XL. Dosyć tego jednego arcydziełka, ażeby zrozumieć, dlaczego Kościół nadał wielkiemu temu świętemu tytuł doktora. Ale należy czytać je w rękopisie, a nie w drukowanych wydaniach, gdyż je niegodziwie w nich zmieniono i zniekształcono. Naprzykład w dziewiątym rozdziale rękopisu czytamy: „Kościołowi potrzebny był zawsze ktoś, ktoby nieomylnie zatwierdzał jego wyroki". Wydanie Blaise

## VI.

Ale Kościół ani przez chwilę nie może zaznać spokoju. Zjawia się Luter: dogmatyzuje, błądzi. Papież go potępia. Luter ciska bullę w ogień na placu miejskim w Wittembergu. Oświadcza, że papież go nie zrozumiał, a roznamiętniając się bardziej, twierdzi, że Kościół katolicki od tysiąca lat jest w błędzie i że przyczyną tego jest papież.

Poraz to pierwszy zaprzeczono nieomylności papieża. Zaprzeczano już boskiemu zwierzchnictwu Kościoła rzymskiego. Zaprzeczano zwierzchnictwu papieża nad Kościołem katolickim; zaprzeczano i temu, że papież absolutną jest jego głową, że nie odpowiada przed nim za rządy swoje. Obecnie podają w wątpliwość jego nieomylność, ów boski przywilej, bez którego nie może on nauczać Kościoła ani w rzeczach wiary, ani w rzeczach sumienia.

Protestantyzm możnaby określić jako zbyt wybujałą niezależność człowieka, mającą za cel główny obalenie władzy papieża, a tem samem obalającą i władzę Kościoła, której papież jest przedstawicielem.

Otóż zasadniczem prawem Kościoła jest, że każde uparte zaprzeczanie prawdy przez Boga objawionej, sprowadza naprzód gorliwą tejże prawdy obronę, następnie — jej zupełny rozwój, a nareszcie — dogmatyczne orzeczenie.

---

(Paris 1824) brzmi natomiast: „Kościołowi potrzebny był zawsze ktoś, ktoby „stale" zatwierdzał jego wyroki". Usunięto „nieomylnie" zastępując je przez stale! Dalej czytamy w rękopisie: „Wszyscy następcy św. Piotra mają te same przywileje, które nie są przywiązane do osoby, ale do dostojeństwa i urzędu publicznego". W wydaniu Blaise: „Następcy św. Piotra mają sami tylko (poza soborem powszechnym) te przywileje, które nie są przywiązane do osoby, ale do dostojeństwa i urzędu osoby". Nie podnoszę już w tem ostatniem zdaniu, zastąpienia wyrazu wszyscy przez sami tylko — opuszczenia wyrazu same; zmiany wyrażenia publiczny urząd na urząd osoby, i całej ciężkiej budowy zdania. Ale cóż rzec o tym nawiasie: (poza soborem powszechnym) wprowadzonym w doktrynę św. Franciszka Salezego i tak ją wynaturzającym?

Widzieliśmy dwa uderzające tego przykłady. Zaprzeczenie boskiego zwierzchnictwa rzymskiego Kościoła, doprowadziło do ogłoszenia go, na trzynastym soborze powszechnym, Lionskim (1245); zaprzeczanie zwierzchnictwa papieża nad całym Kościołem, wywołało jego orzeczenie na siedemnastym soborze powszechnym Florenckim (1439). Niepodobną więc było rzeczą, ażeby zaprzeczenie nieomylności papieskiej niedoprowadziło prędzej lub później, do jej dogmatycznego orzeczenia.

Luter oświadczał, że papież jest antychrystem; Kościół katolicki musiał więc ogłosić, że jest on Namiestnikiem Zbawiciela, najwyższym jego przedstawicielem.

Luter piętnował papiestwo jako źródło błędu. Kościół zmuszony był przeciwstawić temu twierdzeniu dogmat, że papież jest nieomylnym prawdy narzędziem.

Zamyślał to uczynić sobór Trydencki. Po potępieniu głównych błędów protestantyzmu i orzeczeniu prawd temuż przeciwnych, winien był w naturalnym rzeczy porządku orzec i dogmat nieomylności. Dekret był już nawet przygotowany. Ale w samem łonie soboru powstał nieprzewidziany opór. Biskupi hiszpańscy odgrodzeni od reszty świata, zamknięci na swoim półwyspie, gdzie nie dosięgnął protestantyzm, sprzeciwili się temu energicznie. Nie zaprzeczali nieomylności papieskiej, owszem, wyznawali ją głośno; ale nie widzieli potrzeby dogmatycznego jej orzekania. Według nich nie było nagłości i zdanie ich przeważyło w soborze; więc też Stolica Apostolska, dając w tem nowy dowód tej rozwagi i mądrości, jakie ją zawsze cechowały, rozkazała cofnąć wniosek.

Ośmielimy się twierdzić nie ubliżając soborowi, że było to nieszczęście. Gdyby sobór Trydencki uchwalił był nieomylność papieża, najprawdopodobniej nie mielibyśmy we Francji gallikanizmu, w Austrji józefinizmu, we Włoszech regalizmu, ani też owej dziwnej postawy kościołów narodowych, opierających się na monarsze dla lepszego oporu papieżowi. Jeżeli zbadacie dzieje Kościoła katolickiego w ciągu ostatnich trzech stuleci, bę-

dziecie zdumieni i zasmuceni. Żadna encyklika, bulla, brewe, albo reskrypt, — żaden dokument Najwyższego Kapłana nie może dojść do rąk biskupów, zanim nie zostanie przez władze świeckie rozpatrzony, zbadany, skazany na kwarantannę, jakgdyby niósł zarazę. Żaden biskup nie może udać się do Rzymu bez pozwolenia monarchy, żaden zresztą nie myśli o tem.

Skąd w narodach katolickich taka dziwna nieufność względem Namiestnika Chrystusowego? Była ona po części wynikiem protestantyzmu. Jak podczas wielkich powodzi rzeka, chociaż nie może zerwać tam nadbrzeżnych, przesącza się przez nie, podminowując je przecież powoli i tworząc wzdłuż nich stojące kałuże; jak epidemja pustosząc daną okolicę, szerzy swój wpływ zgubny daleko dokoła, tak też i protestantyzm, chociaż nie mógł obalić zapór niedopuszczający go do Francji, Belgji, Austrji, Włoch i Hiszpanji, tchnął na nie ducha buntu przeciw Stolicy Apostolskiej. Stąd to od lat trzechset we wszystkich narodach katolickich, owo dziwne odsunięcie się od papieża, owa bojaźń jego władzy, owo jeżeli nie zerwanie, to możliwe zredukowanie stosunków z nim. Gdyby ogłoszono w swoim czasie dogmat nieomylności, nie byłoby tego wszystkiego, nie mielibyśmy trzech stuleci osłabienia wiary i jedności katolickiej.

Prawdopodobnie i jansenizm byłby również niemożliwy, a przynajmniej nie mógłby ani trwać tak długo, ani wprowadzić w błąd tyle dusz, ani tak zręcznie unikać ciosów wymierzanych mu bezustanku przez następców św. Piotra, stróżów powierzonego im depozytu wiernych, ale obezwłasnowolnionych, których słowa były zatrzymywane w drodze przez tysiące przeszkód.

Można przypuszczać, że gdyby nie te rozterki, sama nawet rewolucja napotkałaby silniejszy opór wśród Francji katolickiej, idącej ręka w rękę z papieżem.

Chociaż więc zawyrokowanie papieskiej nieomylności przez sobór Trydencki wywołałoby może zaniepokojenie

i niezadowolenie wśród biskupów hiszpańskich, przysporzyłoby było Kościołowi wiele spokoju.

## VII.

Pomimo, że Kościół odroczył przez przezorność orzeczenie dogmatu nieomylności papieża, nie wyrzekł się go jednak. Wielcy doktorowie i wielcy święci nie ustawali w głoszeniu o jego konieczności. Niesprzyjające zaś warunki nietylko nie wpłynęły na poczucie stłumienia tej potrzeby, ale owszem, wzmogły je tylko. Im bardziej herezja i rewolucja wstrząsały światem, tem mocniej wszyscy odczuwali konieczność zogniskowania światła. Głosili to przed innymi, święci: Franciszek Salezy i Alfons Liguori, dwaj ostatni doktorowie Kościoła.

Prawda, że we Francji wobec przesilenia z r. 1862, przekonanie o nieomylności zachwiało się i zbladło. Ale nie zapominajmy, że żaden naród nie świadczył o niej głośniej i w słowach piękniejszych, jak to czyniła Francja przez usta św. Bernarda[1]), Hincmara z Reims[2]), Piotra de Blois, Iwona de Chartres, Jana z Paryża i t. d. Nie zapominajmy również, że wszyscy biskupi francuscy na ogólnych zgromadzeniach nie zaprzestali z niej nauczać bez wszelakich omówień i zastrzeżeń, nawet po nieszczęśliwych zajściach w Konstancji i Bazylei[3]). A także, że

---

[1]) Bernard, Epist. CCXXIII, ad Papam Innocentium; — CIII, ad Mediolanenses; et in multis locis.

[2]) Hincm. Rhem, De Praedestinatione, cap. XXIV. — De Divortio Lotharii, Cap I.

[3]) Zgromadzenie Biskupów Francji, w Paryżu w r. 1625. „Będą też czcili naszego świętego Ojca Papieża, głowę widzialną powszechnego Kościoła, biskupa biskupów, na którym rozpoczęły się apostolstwo i biskupstwo i na którym Pan nasz Jezus Chrystus założył Kościół swój, powierzając mu klucze od królestwa niebieskiego z nieomylnością wiary, którą widzieliśmy, jak cudownie pozostała niewzruszoną w jego następcach aż do dziś dnia". Zgromadzenie biskupów Francji w roku 1653: „Wyroki Najwyższego Kapłana rzymskiego w rzeczach wiary, używają w całym Kościele władzy boskiej i najwyższej".

podczas zaburzeń w łonie zgromadzenia w r. 1682, za panowania Ludwika XIV, wiernymi jej wyznawcami pozostali byli najwięksi ludzie i najwięksi święci we Francji: św. Wincenty a Paulo, Olier, kardynał Berulle, Fenelon i t. d. A i po nich któż zliczy wszystkich biskupów, kapłanów, mówców i teologów francuskich, którzy przez stulecie XVIII i XIX nie ustawali w głoszeniu wiary w nieomylność papieża.

Tak więc jak widzimy zaprzeczanie nieomylności sprowadziło stopniowo zupełny jej rozwój. Każda napaść wywoływała mocniejsze potwierdzenie i nowe jakieś zastosowanie. Nie rozprawiano już, i to od wieków, o z góry danem zwierzchnictwie, ani o wiecznotrwałości Kościoła rzymskiego. Nie przeczono również oddawna duchownemu papieża zwierzchnictwu, jego boskiej bezpośredniej władzy nad każdym biskupem, nad każdym kapłanem, nad każdym wiernym. Nieomylność jego w rzeczach wiary nie wzniecała już w nikim wątpliwości[1]); zbliżała się do wiary, jak mówili najlepsi teologowie[2]); a jeżeli gdzie niegdzie podnosił się jeszcze opór, to dotyczył mniej

---

[1]) Suarez. „Jest to prawda uznana w Kościele katolickim, że wyrok papieża ex cathedra jest prawidłem wiary nieomylnym, to jest, kiedy papież podaje coś Kościołowi, każąc mu w to wierzyć, jako w rzecz przez Boga objawioną. Tak uczą dzisiaj wszyscy doktorowie katoliccy i myślę, że nauka ta jest pewna w rzeczach wiary. Et censeo esse rem de fide certam. (De Fide, Disput V, Lect. VIII.)

[2]) Takiem było zdanie św. Alfonsa Liguori. Utrzymuje on, że nauka o nieomylności papieskiej graniczy z wiarą: nostram sententiam esse saltem fidei proximam; a nauka przeciwna wydaje mu się całkiem błędną i graniczącą z herezją: Contrariam vero videri omnino erroneam et haeresi proximam. (De Legibus, Dissert. de Rom. Pontif.). Melchior Cano tegoż samego jest zdania. W oczach jego nauka sprzeciwiająca się nieomylności papieża jest heretycka; a jeżeli powstrzymywał się od nadawania jej tego miana, to tylko dlatego, ażeby, jak mówił, nie uprzedzać wyroku Kościoła. Sed nolumus Ecclesiae judicium intervertere. (De Locis theologicis, lib. VII, cap. VII.)

samego przywileju, jak sposobu, w jaki on miał być wykonywany.

Rozwojowi nauki odpowiadał rozwój uczuć. Niektóre rządy utrzymywały jeszcze zapory, które powznosiły, tamując słowa i czyny papieża; ale katolicy niewiele się o nie troszczyli i zapory owe nie powstrzymywały władzy i słów Najwyższego ich Kapłana. Miejsce dawniejszej nieufności zajęła miłość bez granic — a synowskie posłuszeństwo głosowi Stolicy Apostolskiej i gorąca obrona wszystkich jej przywilejów, stawały się coraz powszechniej cechą prawdziwego katolika.

W takich to warunkach został zwołany sobór Watykański. Czyż możebnem byłoby teraz powtórzenie omyłki, popełnionej tak nieszczęśliwie w czasie soboru Trydenckiego? Czyż się zawaha sobór zerwać owoc, który dojrzewał przez te trzy stulecia; czy znowu wypuści go z ręki? Czyż nie było jasnem, że Kościół skorzysta ze swego powszechnego zgromadzenia tak zawsze trudnego do zebrania a tak obecnie niespodziewanego, aby przeprowadzić dwie rzeczy: 1) obalić zapory powznoszone między poszczególnemi kościołami a Kościołem naczelnym, matką i władczynią ich wszystkich, tak, ażeby papież odzyskał swobodę działania; 2) ustalić pojęcie o nieomylności papieskiej, ogłaszając ją jako dogmat wiary, aby żaden wykręt, żaden opór ze strony władzy świeckiej i duchowej nie był już możliwym, i żeby papież odzyskał w ten sposób nietylko całkowitą wolność działania, ale też całkowitą wolność nauczania.

Tak się też stało; zaraz ujrzymy z jakiem umiarkowaniem i z jaką zarazem powagą. Przeczytajmy sam tekst wyroku. Ufam, że to rozproszy ostatecznie wszystkie trudności.

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### Orzeczenie nieomylności Papieża na soborze Watykańskim.

Przystąpmy teraz do samegoż orzeczenia. Po takiej mnogości słów niedokładnych, zbytecznych i żeby już nie powiedzieć więcej — czysto ludzkich, któremi nasze stulecie rozbrzmiewało i będzie jeszcze rozbrzmiewać w kwestji nieomylności papieskiej, posłuchajmy słów Kościoła. Zauważmy, jak są jasne i umiarkowane. Kościół nie zapożyczył nic od zapaleńców i nie ustąpił nic bojaźliwym. W jego wyroku nie czuć wzburzenia, pośród którego został zredagowanym. Wieje od niego pokój czysto niebiański.

Sobór Watykański orzeka naprzód supremację papieża, następnie jego nieomylność. Naprzód zasadę, zwierzchnictwo duchowe; potem nieodzowny jej wynik, nieomylność w nauczaniu. Jeszcze raz utrzymuję, że proste przeczytanie tej mistrzowskiej karty z pewnemi wyjaśnieniami, rozwieje ostatnie uprzedzenia najupartszych nawet umysłów.

### I.

Pierwszym dogmatem orzeczonym przez sobór Watykański był dogmat zwierzchnictwa duchowego, bezpośredniego i powszechnego, papieża nad każdym katolikiem, każdym kapłanem, każdym biskupem; traktuje o tem rozdział trzeci: (De vi ac ratione primatus romani Pontificis). Nie zwrócono nań wiele

uwagi. A jednakże rozdział to niezmiernie ważny, przynajmniej na tyleż, co i czwarty, który spowodował tyle hałasu. Po sformułowaniu wyroku, że zwierzchnictwo w zarządzaniu całym Kościołem Bożym, zostało oddane bezpośrednio błogosławionemu apostołowi Piotrowi świętemu, przez samego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, i że to zwierzchnictwo, ustanowione dla trwałego dobra Kościoła, musi istnieć koniecznie i nieprzerwanie, święty Sobór rozbiera jego naturę i charakter. Ponawia naprzód orzeczenie soboru Florenckiego: „Ponawiamy orzeczenie soboru powszechnego Florenckiego, mocą którego wszyscy wierni Chrystusowi są obowiązani wierzyć, że święta stolica Apostolska i Najwyższy Kapłan rzymski ma zwierzchnictwo nad całym światem..." Następnie uzupełnia to orzeczenie: „Uczymy i oświadczamy, że owo zwierzchnictwo Kościoła rzymskiego z boskiego rozrządzenia jest zwierzchnictwem jurysdykcji diecezjalnej, nad wszystkiemi innemi Kościołami, i że ta jurysdykcja Pasterza rzymskiego, jurysdykcja istotnie biskupia jest bezpośrednią: że pasterze i wierni, każdy zosobna i wszyscy razem, bez względu na obrządek ich i dostojeństwo, są mu poddani przez obowiązek subordynacji hierarchicznej i prawdziwego posłuszeństwa, nietylko w rzeczach dotyczących wiary i obyczajów, ale także w tych, które należą do karności i rządu Kościoła powszechnego; tak, że zachowując z Najwyższym Pasterzem rzymskim jedność, czy to obcowania, czy wyznania wiary, Kościół Chrystusowy jest jedną owczarnią, pod jednym najwyższym pasterzem. Taką jest nauka prawdy katolickiej, od której nikt nie może odstąpić bez utraty wiary i zbawienia"[1]).

Papież zatem nie jest w jakiejś niedostępnej dla nas odległości, jak to sobie wyobrażano. Jest to pasterz, niemal proboszcz każdego wiernego, każdego księdza, każdego biskupa. Nikt niema prawa stawać jako zapora,

[1]) Constit. dogmat. de Ecclesia Christi, I, cap. III.

jako przeszkoda pomiędzy papieżem i wszelką ochrzczoną duszą. Zapewne, wskutek olbrzymich rozmiarów Kościoła, nie może papież obcować bezpośrednio z każdą duszą, ale ile razy tego zapragnie, może to uczynić. Zazwyczaj czyni to przez pośrednictwo biskupa, jak biskup przez pośrednictwo kapłana, a pośrednictwo owo, to tylko ułatwienie, ale nigdy przeszkoda. Z woli i rozrządzenia Bożego przeszkody tu niema, być nie może.

A jeżeli tak jest odnośnie do władzy duchownej, o ileż bardziej gdy idzie o władzę świecką. Co świeckiej władzy do obcowania dusz z ich pasterzem? Sobór dodaje to natychmiast: „Z tej najwyższej Pasterza rzymskiego władzy rządzenia Kościołem powszechnym, wypływa dla niego prawo zupełnie niezależnego obcowania, w wykonywaniu swoich obowiązków, z pasterzami i owczarniami całego Kościoła, ażeby mogli być przezeń nauczani i kierowani na drodze zbawienia. Dlatego też potępiamy i odrzucamy twierdzenie tych, którzy utrzymują, że można prawnie stawiać przeszkody takiemu obcowaniu najwyższego naczelnika z pasterzami i owczarniami, albo też chcą takowe czynić zależnem od władzy świeckiej, twierdząc, że rozporządzenia wydane przez stolicę Apostolską, lub oparte na jej władzy nie są ważne, jeżeli nie były potwierdzone przez władzę świecką"[1]).

Niema już więc gallikanizmu, niema józefinizmu, niema regalizmu, niema kwarantan narzucanych bullom papieskim, niema zapór stawianych papieżowi w ciągu trzech stuleci, w prawidłowem, prawnem i niezbędnem wykonywaniu jego władzy. Niechaj nikt nie staje pomiędzy Ojcem a dziećmi! Nakazuje to Bóg — wymaga tego wolność Kościoła.

Sobór dodaje: „Ponieważ Najwyższy Pasterz rzymski z boskiego prawa prymatu apostolskiego, jest na czele powszechnego Kościoła, nauczamy przeto również

[1]) Constit. dogmat. de Ecclesia Christi, I, cap. III.

i oświadczamy, że jest on najwyższym sędzią wiernych, i że się winno uciekać do jego sądu we wszystkich sprawach, wchodzących w zakres kompetencji duchownej; a przeciwnie, sądu stolicy Apostolskiej, ponad którą niema wyższej władzy, nikt nie może odmienić i nikomu nie wolno sądu tego przesądzać. Ci, którzy utrzymują, że wolno jest apelować od wyroków papieża do soboru powszechnego, jako do władzy wyższej, od władzy najwyższego Pasterza rzymskiego, zbaczają z prostej drogi prawdy".

Widzicie więc, jak sobór powszechny druzgocze kolejno wszystkie te przestarzałe machiny wojenne, używane w ostatnich wiekach do osłabienia i podkopania władzy papieża, do zamknięcia go w Watykanie i zamurowania tam z całym pozornym szacunkiem. Obraca je w gruzy jednozgodnie ośmiuset biskupów, gdyż w kwestji całkowitej i zupełnej władzy Papieża nie było nawet dyskusji. Grunt jest już przygotowany; niechże teraz pogodnie a silnie rozwija się monarchja papieska. Będzie mogła doznawać zaprzeczeń z zewnątrz, nigdy z wewnątrz. Przygotowanie to opatrznościowe do jedności zupełniejszej i niezaprzeczonej.

## II.

Kwestja zatem zwierzchności papieża nad wiernymi orzeczona w Lionie 1245 r., we Florencji 1439 r., została ostatecznie rozjaśniona i rozstrzygnięta na soborze Watykańskim, w r. 1870; przejdźmy teraz do kwestji nieomylności. Jest ona postawiona i rozstrzygnięta w rozdziale czwartym: De Romani Pontificis infallibili magisterio; o nieomylnem nauczaniu Najwyższego Kapłana.

Zanim pójdziemy dalej, zwróćmy uwagę na tytuł tego rozdziału. Do tej pory brzmiał on: De Romani Pontificis infallibilitate, „O nieomylności Najwyż-

szego Kapłana rzymskiego". W tym tytule prostym, ogólnie przyjętym, brak było należytej ścisłości; między innemi jego usterkami była ta, że dawał do myślenia, iż nieomylność jest nieodłączna od osoby papieża i wszystkich jego czynów. Na wniosek wielu biskupów zastąpiono go też następującym: De Romani Pontificis infallibili magisterio, który lepiej wyrażał prawdziwą istotę nieomylności: przywilej przywiązany nie do osoby, ale do urzędu i to nie całego, ale niektórych jego ściśle określonych aktów.

Po rzuceniu tego pierwszego światła, sobór wychodzi z zasady, że jeżeli papież ma zwierzchnictwo duchowe nad całym Kościołem, logicznem następstwem tego musi być nieomylność. „Stolica Apostolska zawsze wierzyła i w zwyczajach Kościoła zawsze się przejawiało, a sobory powszechne, szczególniej te, w których Wschód łączył się z Zachodem w jedność wiary i miłości, głosiły, że najwyższa władza nauczania objęta jest w supremacji Najwyższego Pasterza rzymskiego nad Kościołem powszechnym, jako następcy Piotra, książęcia Apostołów".

Po przytoczeniu dowodów na to, sobór święty dodaje: „Ten dar prawdy i wiary, który nie pozwala zbłądzić[1]), został dany przez Boga Piotrowi i następcom jego na tej stolicy, aby sprawowali swój wysoki urząd dla zbawienia

[1]) Hoc veritatis et fidei nunquam deficientis Charisma. Zwróćmy uwagę na wyraz użyty przez Sobór (Χάρισμα). Jest to wyrażenie własne św. Pawła ap. i spotykamy je jedynie w jego listach (I Corinth. XII, 4—11 i 31) i w liście pierwszym św. Piotra (IV, 10). Oznacza ono łaskę udzieloną na korzyść innych, dla innych, a nie dla osoby, która ją otrzymuje. Może ona być udzieloną grzesznikom, a nawet niewiernym. Jest w istocie swojej odmienną zasadniczo, od łaski nadanej człowiekowi dla jego duchowego dobra, która sprawia, że człowiek nią obdarzony staje się miłym Bogu. Tę nazywa teologja: gratia gratum faciens; tamtą: gratia gratis data. Otóż nieomylność w rozumieniu Soboru nie jest wcale gratia gratum faciens. Ani nie sprowadza ona świętości, ani jest jej dowodem. Jest to gratia gratis data na korzyść Kościoła. Jest to Χάρισμα.

wszystkich; iżby owczarnia Chrystusowa, trzymana przez nich zdala od pastwisk zatrutych błędem, karmiona była niebieską nauką i iżby nie było przyczyn do rozdwojenia i cały Kościół trwał w jedności, a wsparty na swej podstawie, opierał się niezachwianie bramom piekielnym. To też, ponieważ dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek potrzeba zbawiennej skuteczności posłannictwa apostolskiego i tylu jest ludzi usiłujących obniżyć jego powagę, osądziliśmy, że jest koniecznie potrzebnem uroczyście potwierdzić przywilej, który Syn Boga jednorodzony raczył dołączyć do godności najwyższego pasterza".

Po tych poważnych słowach wykazujących potrzebę i niezbędność orzeczenia, sobór dodaje z większą jeszcze uroczystością: „Dlatego to, trzymając się wiernie tradycji sięgającej początków wiary chrześcijańskiej, na chwałę Boga naszego Zbawiciela, dla wywyższenia religji katolickiej i zbawienia narodów chrześcijańskich, nauczamy i orzekamy[1]) (sacro approbante Concilio), iż jest to prawda z góry objawiona, że:

„Najwyższy Pasterz rzymski, skoro przemawia ex cathedra, to jest skoro, pełniąc urząd Pasterza i Nauczyciela wszystkich chrześcijan, mocą swojej najwyższej apostolskiej władzy orzeka, iż pewna nauka tycząca się wiary lub obyczajów, winna być artykułem wiary dla całego Kościoła, posiada wtedy całkowicie, przez ową pomoc boską obiecaną mu w osobie błogosławionego Piotra, nieomylność, w którą boski Odkupiciel chciał, ażeby Kościół jego został zaopatrzony kiedy stanowi w rzeczach wiary lub obyczajów; a skutkiem tego takie Najwyższego Pasterza rzymskiego wyroki są niezmienne same przez się, nie zaś mocą zgody całego Kościoła.

---

[1]) Dopiero odtąd zaczyna się prawdziwe orzeczenie, od uroczystego: Nauczamy i orzekamy. Wszystkiemu, co poprzedza te słowa, należy się od nas religijna cześć i uszanowanie, ale nie jesteśmy obowiązani w to wierzyć, jak to później wyjaśnimy.

„Ktokolwiek zaś, co nie daj Boże, ośmieli się sprzeciwić naszemu orzeczeniu, niech będzie wyklęty"[1]).

Oto owo wielkie orzeczenie przygotowane przez najcierpliwsze badania, ogłoszone po najgorętszych rozprawach, po którem nastał w całym Kościele tak głęboki pokój i posłuszeństwo tak powszechne. Trzeba zważyć w niem wszystkie wyrażenia. Każde ma swoją wartość. W niewielu krótkich słowach, z rzadką ścisłością w wyrażeniach, z nadzwyczajną miarą zostało zgromadzone, streszczone, określone, w najwyższym stopniu wyświetlone wszystko, co stanowi przywilej nieomylności w nauczaniu Najwyższego Kapłana, wszystko, w co każdy chrześcijanin obowiązany jest wierzyć i co winien wyznawać. Sprobujemy wykazać to dotykalnie niemal w dalszym ciągu.

## III.

Najpierw musimy wykazać prawdziwą istotę nieomylności, która zbyt często bywa źle zrozumiana.

Nieomylność, to łaska nadprzyrodzona, którą Zbawiciel nadał papieżom w osobie świętego Piotra, sprawująca, że nie mogą zbłądzić kiedy przemawiają, wolni od przymusu, ex cathedra, jako najwyżsi nauczyciele Kościoła powszechnego, wyrokując, czy ta lub owa nauka należy, albo nie należy do składu objawionej wiary,

---

[1]) Docemus et divinitus revelatum dogma esse definimus: Romanum Pontificem, cum ex cathedra loquitur id est cum omnium Christianorum Pastoris et Doctoris munere fungens, pro suprema sua apostolica auctoritate, doctrinam de fide et moribus ab universa Ecclesia tenendam definit, per assistentiam divinam ipsi in beato Petro promissam, ea infallibilitate pollere, qua divinus Redemptor Ecclesiam suam in definienda doctrina de fide et moribus instructam esse voluit; ideoque ejusdem Romani Pontificis definitiones ex sese, non autem ex consensu Ecclesiae, irreformabiles esse.

Si quis autem huic Nostrae definitioni contradicere, quod Deus avertat, praesumpserit; anathema sit.

i że ci, którzy nie chcą w to wierzyć, wyłączają się przez to z Kościoła.

Nieomylność zatem nie jest przywiązana do osoby papieża, ale do obowiązku, do urzędu jego, a właściwie do jednej urzędu tegoż czynności, do czynności najwyższego Nauczyciela wszystkich wiernych. Ażeby być nieomylnym, niedość być papieżem, ani wypełniać jakiekolwiek czynności przywiązane do papiestwa, ale trzeba wypełniać tę właśnie czynność. Trzeba ażeby papież wstąpił na swą katedrę, super cathedram Petri, i żeby przemawiając z niej, ex cathedra[1]) do Kościoła powszechnego, pełniąc swój urząd najwyższego nauczyciela oświadczył, że pewna nauka w rzeczach wiary lub obyczajów jest nauką objawioną przez Boga, że jako taka wymaga od wszystkich chrześcijan aktu wiary, i że odmawiający takowego są tem samem wyłączeni z Kościoła.

Taka jest, powtarzam, prawdziwa istota nieomylności. Byli papieże i to z pomiędzy największych, co nigdy nie zrobili użytku z tego przywileju, ponieważ pełniąc wszystkie inne czynności przywiązane do papiestwa, do spełniania tej nie mieli sposobności. Posiadali nieomylność tak, jak święty jaki kapłan posiadałby moc poświęcania ciała i krwi Zbawiciela, chociażby przez pokorę nie wstąpił nigdy na stopnie ołtarza.

To jasne, chciałbym wszelako jeszcze większej jasności. Papież jest tedy nieomylny. Ale pod jakim względem? co w nim jest nieomylne? Z pewnością, że nie człowiek. nie jednostka, nie prywatna osoba. Jako człowiek, jako jednostka papież może zbłądzić.

---

[1]) Tutaj to pierwszy raz Kościół wprowadza do swego dogmatycznego, oficjalnego języka wyraz: ex cathedra. Teologja oddawna nim się posługiwała. Spotykamy go u niektórych Ojców Kościoła: u św. Cyprjana, św. Augustyna. Kościół przyswaja go sobie i określa dokładnie jego znaczenie. Wyrażenie ex cathedra będzie odtąd oznaczać czyny wykonane przez Najwyższego Kapłana, jako najwyższego i nieomylnego katolików Nauczyciela.

Jan XXII potępił jako papież wszystko, co jako prywatny doktór Kościoła, utrzymywał o naocznem widzeniu Boga w niebie[1]). Grzegorz XI w swoim testamencie potępił i odrzucił wszystko, co mógł był głosić błędnego jako osoba prywatna, „bądź przez lapsus linguae, bądź przez jakieś inne nieumiarkowanie, nieostrożność lub lekkomyślność: wszystko, co moglibyśmy byli rzec błędnego przeciwko religji katolickiej, odwołujemy, potępiamy i chcemy, ażeby było uważane za niepowiedziane"[2]). Oto prawda i mądrość. A oto znowu przesada. Wszakże niektórzy katolicy wyobrażają sobie, że nieomylnem jest najmniejsze słowo z ust papieża wychodzące. A jeden poczciwiec mówił mi nawet: „Gdybym po odbytej u papieża audjencji usłyszał odeń słowa: Do jutra, — wierzyłbym, że ani on ani ja nie umrzemy tej nocy". Fanatyzm to i głupota.

Nie człowiek więc jest w papieżu nieomylny. Któż tedy? Może pisarz? Nie. Papież może napisać dzieło równie dobrze, jak wy albo ja. Może odznaczać się erudycją, jak Benedykt XIV; stylem pięknym i wykwintnym, jak Grzegorz XVI; wymową, jak Pius IX; głębokością, jak Leon XIII. Może mieć genjusz; ale chociażby miał go w tym stopniu, jak św. Augustyn, albo jak Bossuet, nie więcej jest w swych dziełach nieomylny od was lub ode mnie.

Może więc nieomylnym w papieżu jest kaznodzieja? I to nie. Ojciec święty przemawia do owego mnóstwa pielgrzymów pragnących go oglądać. Naucza, napomina, wygłasza zdania o sprawach tego świata. Słowom jego winniśmy szacunek najgłębszy, ale żadne słowo w tych przemówieniach jego nieomylnem nie jest.

Idźmy dalej sędzia w papieżu nie jest także nieomylny. Papież jest sędzią ostatniej instancji wszystkich spraw kościelnych, wszystkich trudności, mogących

---

[1]) Rohrbacher, Histoire universelle de l'Eglise, tom. XX, p. 228.

[2]) Ballerini, cap. XV, § 10.

powstać pomiędzy biskupami, kapłanami, zakonami, jako też i wiernymi w zakresie rzeczy świętych. Wyrokuje on ostatecznie, bez apelacji. Wyrokom jego należy się od nas posłuszeństwo. Ale czy taki wyrok ma być nieomylnym? Nie. Czy jesteśmy obowiązani wierzyć, że papież osądził dobrze? Bynajmniej. Słuchać go tylko powinniśmy, jak wszystkich wyroków najwyższych instancji.

Jestże nieomylny jako administrator, prawodawca, któremu dany jest rząd Kościoła? I to nie. Jako taki, ma papież moc stanowić prawa, obowiązujące w sumieniu każdą ochrzczoną duszę. Nikt nie może uchylić się od posłuszeństwa tym prawom, pod grzechem. Ale i tutaj nie jesteśmy zmuszeni wierzyć, że dane prawo jest najlepsze, najmędrsze, najstosowniejsze w obecnej chwili, i że inny plan nie byłby lepszy. Nie przeczę, że zdanie takie jest zuchwałe, jak zuchwałe jest potępianie dowódcy, który ma przed oczami całość, plan ogólny, przez prostego szeregowca ukrytego w jakimś załomie gruntu. Mówię tylko, i nikt mi nie zaprzeczy, że nie obowiązuje nas tutaj akt wiary.

Któż tedy jest w papieżu nieomylnym? Doktór, nauczyciel jedynie, i to tylko wtedy, kiedy przemawia do całego Kościoła i kiedy wyrokuje w kwestji wiary lub obyczajów. Jeżeli zaś odezwie się do kogoś prywatnie przez breve, przez reskrypt, jeżeli składa podziękowanie autorowi, chwaląc jego talent, nawet zasady; jeżeli przytem wskazuje niebezpieczeństwa danej chwili, — wszystko to będzie nieskończenie cennem, godnem głębokiego rozważania, ale nie będzie nieomylnem, gdyż papież nie przemawia wtedy jako Najwyższy Doktór Kościoła[1]).

---

[1]) Punkt to tak ważny, że pozwolę sobie poprzeć go kilku tekstami. Oto naprzód Instrukcja pasterska biskupów szwajcarskich (czerwiec 1871), głośno zaaprobowana przez Piusa IX. „Papież nie jest nieomylnym ani jako człowiek, ani jako uczony, ani jako kapłan, ani jako biskup, ani jako książę doczesny, ani jako sędzia, ani jako prawo-

Czy to już wszystko? Jeszcze nie. Oto papież wstępuje na katedrę, super cathedram Petri, i przemawia z niej z zupełną swobodą, ex cathedra, do Kościoła powszechnego w rzeczy tyczącej się wiary albo obyczajów. Czy nieomylnem będzie każde jego słowo? Bynajmniej. Monsiniore Fessler, generalny sekretarz soboru, tak mówi: „Nawet w dekretach dogmatycznych, w bullach dogmatycznych i t. d. nie powinniśmy wszystkiego bez różnicy, co w nich jest, uważać za wyrok dogmatyczny, a co zatem idzie, za nieomylne; a mianowicie za takie nie powinniśmy przyjmować tego, co jest tam tylko wzmiankowane mimochodem, lub też co

---

dawca. Nie jest nieomylnym ani bezgrzesznym w swojem życiu i postępowaniu, ani w swoich opinjach politycznych, ani w stosunkach z panującymi, ani nawet w zarządzie Kościoła; jedynie i wyłącznie jest nieomylnym wtedy, kiedy jako najwyższy nauczyciel Kościoła wydaje w rzeczach wiary i obyczajów wyrok, do przyjęcia i zachowywania którego są obowiązani wszyscy wierni".

Tak samo mówi kardynał Manning: „Wyrazy ex cathedra wyłączają z nieomylności wszystkie czyny papieża jako osoby prywatnej, albo jako nauczyciela prywatnego, albo jako biskupa miejscowego, albo wreszcie jako panującego. We wszystkich tych czynach może papież pobłądzić. Nieomylny jest w jednym tylko razie, wtedy, kiedy jako nauczyciel Kościoła powszechnego, uczy ten Kościół w rzeczach wiary i obyczajów". Histoire du Concile du Vatican, p. 78, 1 vol. in — 12. Paris, Palmé, 1872). Ale już i przed Soborem odzywają się tak samo wybitni teologowie. Cf. Ballerini: De vi ac ratione Primatus Rom. Pontif. cap. XV, § 6. Perrone: De locis theologicis, pars. I, sect. II, cap. IV. „Neque facta personalia, neque praecepta: neque rescripta, neque opiniones, quas identidem promunt Romani Pontifices; neque decreta disciplinae, neque omissiones definitionis, aliaque id genus plurima in censu veniunt decretorum de quibus agimus. Quamquam enim haec omnia pro summa auctoritate ex qua dimanant, magno semper in pretio habenda sint, ac humili mentis obsequio ac veneratione sint excipienda. nihilo tamen minus non constituunt definitionem ex cathedra de qua loquimur, et in qua sola adstruimus pontificiam infallibilitatem".

służy za wstęp albo za uwagi poboczne"[1]). Tak samo mówią wszyscy teologowie[2]).

Ileż nadużycia i przesady napotykamy w tych rzeczach nawet u ludzi gorliwych i pobożnych, ale nieoświeconych. Tymczasem nawet w bulli dogmatycznej, wystosowanej do całego Kościoła ex cathedra i orzekającej, jak mamy wierzyć, de fide, w tej lub owej kwestji dogmatów albo moralności, niewszystko jest nieomylnem. Poglądy wyrażone na początku, osobiste zapatrywania się papieża, różne argumenty przygotowujące umysły do przyjęcia ostatecznego orzeczenia — nie są nieomylne. Nieomylnemi, czyli wymagającemi aktu wiary są same tylko słowa wyroku; słowa zwięzłe, dokładne, uroczyste, w których papież ogłasza, że dana prawda została objawioną przez Boga, że winniśmy w nią wierzyć pod karą wyłączenia z Kościoła.

Nieomylność zatem nie jest to, jak niektórzy sobie wyobrażają, jakaś nieokreślona prerogatywa przywiązana do władzy papieża, której ten może używać albo nie używać, jak sam zechce i zawsze bez wiedzy ludzi. Jest to łaska przywiązana do pewnego określonego aktu władzy papieskiej, uroczystego, rzadkiego bardzo, obchodzącego Kościół cały i dokonywanego jawnie w obliczu całego tegoż Kościoła.

## IV.

Orzekając tak dokładnie, kiedy i w jakich warunkach papież posiada nieomylność, sobór Watykański z niemniejszą jasnością rozstrzyga przedmiot owej nieomyl-

---

[1]) Mgr. Fessler, sécrétaire général du Concile, De la vraie et de la fausse infaillibilité. 1 vol. in — 12. Paris Plon, 1873, p. 67.

[2]) Quae in Pontificum decretis vel explicandi gratia inducuntur, vel ut objectioni respondeatur, vel etiam obiter et in transcursu praeter institutum praecipuum de quo erat potissimum controversia, ea non pertinent ad fidem, hoc est, non sunt catholicae fidei judicia". (Melch. Cano De Locis theologicis, lib. V, cap. V).

ności. Nieomylności tej podlegają rzeczy tyczące się wiary lub obyczajów: in doctrina de fide et moribus definienda. Św. Antonin przewybornie określił: „Potrzeba koniecznie przypuścić w Kościele jednego naczelnika, któryby rozstrzygał wszelkie wątpliwości we wszystkiem, co się tyczy wiary, czy to w zakresie teoretycznym, czy praktycznym“[1]). Bo i dlaczegóż Kościół został stworzonym? Ażeby oświecał mój umysł i kierował sumieniem mojem. A zatem koniecznem jest, iżby nie mógł wymagać ode mnie wiary w rzecz błędną, ani posłuszeństwa w rzeczy złej. Jego dziedziną winny być nadprzyrodzona prawda, nadprzyrodzona świętość. Wszystko inne podlega wstrząśnieniu. Historja, geografja, nauki ścisłe, literatura, wynalazki ludzkie, — wszystko jest pozostawione jako pole działania umysłu ludzkiego. Kościół miesza się tam wtedy tylko, jeżeli jest zniewolonym przez coś, co ma związek z wiarą, „czyto w zakresie teoretycznym, czy praktycznym“.

Monsiniore Fessler słuszną czyni uwagę, że tak samo ma się rzecz ze wszystkiem w Kościele, co należy do jego zarządu, sposobu postępowania, karności i t. d. „Cztery są, mówi, główne kategorje rzeczy poddanych w Kościele najwyższej władzy papieża, a mianowicie:

To, co się tyczy wiary;
To, co się tyczy moralności;
To, co się tyczy karności;
To, co się tyczy zarządu Kościołem.

W rozdziale trzecim sobór Watykański oświadcza, że papież posiada władzę pełną i najwyższą nietylko w rzeczach dotyczących wiary i obyczajów, ale także w rzeczach należących do karności i rządu Kościoła; i że odtąd we wszystkich tych przedmiotach każdy obowiązany jest do posłuszeństwa.

---

[1]) Summ. theol. p. III, tit. 21, cap. III.

Ale w rozdziale czwartym zatytułowanem: „O nieomylności w nauczaniu Najwyższego Kapłana rzymskiego", sobór zajmuje się tylko przedmiotami pierwszej i drugiej kategorji (wiara i obyczaje), a pozostawia na stronie trzecią i czwartą (karność i zarząd Kościołem), nie wzmiankując ich nawet. I jedynie o wyrokach papieża w rzeczach wiary i obyczajów mówi się tam, jako o prawdzie przez Boga objawionej że te wyroki, dzięki pomocy Boskiej przyobiecanej, papieżowi w osobie Piotra, mają cechę pewności niedostępnej błędowi, czyli inaczej nieomylnej"[1]).

Nie można jednakże zaprzeczyć temu, że nieomylność papieża w rzeczach wiary i obyczajów odbija się z konieczności, chociaż pośrednio na niektórych rzeczach bliski z niemi mających związek. Na pewnych powodach, które chociaż nie objawione, tak są połączone z objawieniem, że zdaje się, iż nie można strzec wiary, opowiadać jej i w niej wyrokować, bez nieomylnego poglądu na te prawdy nieobjawione. Ale owo rozszerzenie nieomylności, które przyjmują wszyscy teologowie, chociaż przedłożone do zbadania soboru, nie zostało jeszcze uchwalonem.

Oto zatem dwa wielkie i niezbędne warunki nieomylności Papieża:

1) Przedmiotem wyroku winna być prawda, odnosząca się do wiary albo do obyczajów.

2) Papież powinien oświadczyć ex cathedra, mocą swojej najwyższej w nauczaniu władzy, że ta prawie jest częścią nierozdzielną objawionej przez Boga nauki; że cały Kościół katolicki obowiązany jest w nią wierzyć, i że przez to ci, którzy odmówią takiej wiary, przestają być członkami Kościoła.

Oba te warunki potrzebne są jednocześnie. Odejmijcie którykolwiek, a niema już wyroku nieomylnego. Po-

---

[1]) Fessler, De la vraie et de la fausse infaillibilité, p. 66.

łączcie je, a wyrok jest dogmatyczny, nieodwołalny czyli nieomylny. Wspomagany przez Ducha Bożego, który zbudował Kościół, aby przechowywał nieskażoną prawdę i cnotę, papież wygłosił pewnik, który nie przeminie z nim razem; który za dziesięć tysięcy lat będzie również, jak i dziś, prawdziwym; którego nie naruszą ani przewroty polityczne, ani katastrofy społeczne, ani odkrycia naukowe; i którego ani teraz, ani w przyszłości nikt na świecie nie będzie mógł odwołać, tak, jak ów promień światła, któremu pomimo że dochodzi do ziemi i miljony lat po wyjściu ze swego źródła, ani czas, ani przestrzeń nie zdołały odjąć piękności.

## V.

Po uchwaleniu tych dwóch punktów, sobór określa trzeci, ze wszystkich najważniejszy, a w każdym razie podlegający największym sporom: że nieomylność papieża nie wypływa ze zgody i pozwolenia Kościoła. Wyroki papieża są nieomylne ex sese, non autem ex consensu Ecclesiae, „same przez się, a nie przez zgodzenie się Kościoła“[1]). Zapewne Kościół zawsze po-

[1]) Ostatnie te słowa: sine consensu Ecclesiae, dodano w ostatniej chwili, dla wzmocnienia wyrażenia: ex sese i dla silniejszego zaakcentowania, że prawomocność wyroków papieskich nie jest zależna od zgody Kościoła. Są one skierowane przeciw czwartemu artykułowi Uchwały z r. 1682, gdzie było powiedzane, że wyroki dogmatyczne papieża stają się nieodmiennymi, dopiero po przystaniu na nie Kościoła. Nec tamen irreformabile esse judicium summi Pontificis nisi Ecclesiae consensus accesserit. Niektórzy z najgorliwszych biskupów chcieli byli zamiast wyrażenia: sine consensu zamienić na absque consensu. Ale byłoby to przesadą. Możnaby z tego wyciągnąć wniosek, że wyroki papieskie nietylko, iż nie zależą od zgadzania się na nie Kościoła, ale mogłyby jeszcze nie zgadzać się z jego przekonaniem. Sobór ze zwykłem sobie umiarkowaniem i przezornością odrzucił ten zbytek gorliwości i zadowolnił się wyrażeniem: sine consensu.

wie: tak. Nie może odpowiedzieć: nie. Zawsze słowom papieża orzekającego ex cathedra odpowie wyrazem: Credo. Ale nie to czyni nauczanie papieża nieomylnem. Jest ono nieomylnem nie przez zgodzenie się Kościoła, tylko przez pomoc Ducha Św.

Szukano wyrazu, któryby określił dokładnie istotę owej nieomylności, niepochodzącej od Kościoła — i uznano za takie następujące wyrażenie: Nieomylność Papieża osobista i oddzielna. Ale sobór je odrzucił. Słowa: nieomylność osobista są wysoce niewłaściwemi, ponieważ nieomylność nie do osoby papieża, ale do jego urzędu jest przywiązana; słowa zaś: nieomylność oddzielna, jeszcze są gorsze. Nie trzeba nigdy używać wyrazu oddzielny, kiedy chodzi o papieża i o Kościół. Kościół i Papież — to jedność. Gdzie jest Papież, tam jest i Kościół — a gdzie jest Kościół — jest Papież. Zdarza się widzieć głowy oddzielone od ciała, ale nie u istot żyjących, jeno u trupów. Niedosyć jest nawet powiedzieć, że skoro papież przemówi, Kościół zgadza się zawsze. W słowach papieża słyszymy głos Kościoła. Papież przemawia z Kościołem, w Kościele. To, co mówi, czerpie z jego serca. Duch Święty, kładący te, nie inne słowa w usta Papieża, wkłada je jednocześnie w serce Kościoła, włożył je tam już przedtem, gdyż dopiero z serca Kościoła wstępują one na usta papieża. Mimo to papież czyta je tam i głosi nieomylnie jedynie dzięki pomocy Ducha Świętego. Zlanie się tych dwóch nieomylności, nieomylności czynnej w głowie a biernej w ciele, stanowi całkowitą nieomylność Najwyższego Kapłana.

Oto w całej prostocie, jasności, wielkości i sile owo orzeczenie nieomylności, tak niecierpliwie oczekiwane przez jednych, a uważane za niepodobne do przeprowadzenia przez drugich. Ale Kościół, który wie czem jest i co posiada, umie się także wypowiedzieć. W jego słowach niema nigdy napuszności, przesady ani słabości. Pod doskonałą ich prostotą, kryje się nadprzyrodzona siła. I oto

ów wielki przywilej nieomylności w nauczaniu, bez którego niepodobna przypuścić żadnej religji, a do czego pomimo to żadna religja nie rościła sobie prawa; do czego żadna sekta nie ośmieliła się przyznawać; który jeden tylko Kościół katolicki przyznaje sobie i używa do osiemnastu (dziewiętnastu) stuleci, a którego teraz określił siedlisko i organ z odwagą nadludzką, mogącą służyć już sama przez się za dowód jego boskości.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

**Próżne zarzuty przeciw nieomylności papieskiej. — Szczęśliwe wyniki orzeczenia.**

Chociaż rozpocząłem zawód mój kapłański, jak to widzą moi przyjaciele i liczni uczniowie z lat 1846—1852, od nauczania zasad powyżej wyłożonych, i nie przestałem odtąd wyznawać ich publicznie i prywatnie, — nie jestem wcale z tych, którzy dziwią się gorącym sporom, wywołanym przez owe zasady tak przed soborem, jak i po nim. Nie zaliczam się nawet do tych, którzy nad tymi sporami ubolewali.

Cóżby powiedzieli nieprzyjaciele Kościoła, gdyby zagadnienia takiej wagi, sięgające głębin Chrystjanizmu, kwestje tak palące, mogły być rozstrzygane bez wzruszenia i sporu? Rzekliby, że zabrakło mu swobody i dzielności umysłowej. Kiedy przeciwnie, gorącość rozpraw przed wyrokiem, w połączeniu z jednozgodnem temuż poddaniu się, skoro został ogłoszony, jest jednym ze wspaniałych widowisk tego wieku i nowym dowodem piękności i boskości Kościoła.

Drugim dowodem jest doniosłość tego wyroku Watykańskiego samego w sobie, oraz jego zastosowanie do potrzeb czasu i tych niebezpieczeństw, jakie zagrażają duszom i społeczeństwom. Wstrząśnienia, którym podlega obecnie Europa, wykażą wkrótce całą wagę tego dowodu.

Kościół podobny jest do owych natchnionych starców, o których mówi Homer, że tchną boską ku ludziom litością, ale prawie zawsze są przez współczesnych zapoznani i wyszydzani, ponieważ myśl ich, będąca wynikiem

wyższej mądrości, widzi zdarzenia, ukryte jeszcze przed wszelkim innym wzrokiem.

Wykażemy to, przebiegając pokrótce zarzuty, jakie się wówczas zewsząd podnosiły.

## I.

Mówiono tedy, a niektórzy i dzisiaj jeszcze mówią: „Papież jest przecie człowiekiem tylko: jakże może być nieomylnym? Nigdy nie zgodzę się na to, ażeby człowiek nie mógł omylić się, ani drugich w błąd wprowadzić". I dlaczegóżby nie, jeżeli się podobało Bogu uczynić ten cud dla zachowania prawdy na ziemi.

Przecież kapłan, to także tylko człowiek! Czyż dlatego nie wierzycie w boską moc słów rozgrzeszenia w ustach jego? Czyż nie wierzycie w boską moc słów konsekracji? Ależ poświęcać ciało i krew Chrystusa, sprawiać, że On zstępuje żyjący na ołtarze, czyż to nie jest potęga większa, cudowniejsza, aniżeli nauczanie nieomylne prawdy? Jeżeli chcecie zaprzeczać, to już trzeba przeczyć każdej z tych łask, wszystkim tym cudom stanowiącym podstawę i samą istotę Kościoła. Ale przyjmować jedne a odrzucać drugie, przyznawać najpokorniejszemu z kapłanów nieomylne i wszechmocne słowa konsekracji i absolucji, a odmawiać papieżowi wszechmocności i nieomylności słów orzeczenia dogmatycznego — to dziecińśtwo!

Zauważcie zresztą, że jeżeli papież nie jest nieomylnym, w takim razie jest pozbawionym pomocy Bożej w nauczaniu prawdy, stoi więc niżej, jako papież od najmniejszego z organów Bożych w Kościele. Jako papież stoi niżej od kapłana, niżej od biskupa. Wszystkie stopnie hierarchji miałyby pomoc boską, z wyjątkiem stopnia najwyższego.

Kapłan, spełniając obowiązki swego stanu, ma pomoc Boga. Biskup, spełniając obowiązki swojego stanu, ma

ją również. Miałżeby jeden papież przy spełnianiu obowiązków pontyfikatu być tej pomocy pozbawionym! To niedorzeczne.

Albo cały Kościół, od podstaw aż do szczytu, jest budową Boską, albo też cały jest budową ludzką. Środka tu niema. Potrzeba wybrać.

## II.

Mówią jeszcze: Nietylko, że papież jest człowiekiem, ale jest i grzesznikiem. Może to być taki Borgia. Jak przypuścić, żeby z ust podobnego człowieka, mogła wychodzić nieskończona prawda.

Zapewne, papież jest grzesznikiem. Ale grzesznikiem jest również kapłan i biskup. A przecież cudowne ich powołanie nie doznaje przez to szwanku.

Od wieków to już czternastu datuje się ten zarzut. Tysiąc czterysta lat temu, podniósł się w Kościele spór ogromny. Utrzymywano, że ażeby ważnemi były chrzest, rozgrzeszenie, konsekracja, trzeba iżby kapłan znajdował się w stanie łaski. Utrzymywano, że jeśli serce kapłana zmazane jest grzechem, nie może on być narzędziem nieskończonej świętości. Ale Kościół potępił tę naukę, a wraz z nim potępia ją zdrowy rozsądek, gdyż byłoby to zgubą kapłaństwa, religji, — zgubą całkowitą i bez ratunku. Gdzież bo w takim razie byłaby pewność, spokój duszy i sumienia? Jakże mogę wiedzieć, czy w stanie łaski był ksiądz, który mnie ochrzcił? Nie znam go nawet. A rozgrzeszenie po spowiedzi, a Msza, której słucham! Któż mi zaręczy, że ksiądz, co mię rozgrzesza, sam jest święty? Bóg chciał wybrać ułomne narzędzia, do zsyłania przez nie duszom miłości i światła. Było to w jego planie i trudno pomyśleć plan nad ten piękniejszy. Narzędzia te on sam urabia, oczyszcza; nie zaniedbuje niczego, co może uczynić je godniejszemi spełniania boskiego posłannictwa, które im powierza. Ale pozostawia im

wolną wolę. Działanie jego osobiste, boskie, nie zależy od ich świętości albo niegodności. Jak słońce przenika promieniami swemi lśniący kryształ, a także brudne i zapylone szkło, tak promienie nieskończonej prawdy i świętości przechodzą zarówno przez serca czyste jak i występne; przechodzą, ażeby dojść do dusz, a niegodność narzędzi nie może im stanąć na przeszkodzie. To samo prawo rządzi na najwyższym szczeblu hierarchji, co i na wszystkich niższych, i ono to właśnie świadczy jasno, o nadprzyrodzonym papiestwa początku i władzy.

Powiadają: „Nieomylny, to to samo, co niemogący zgrzeszyć". Cóż znowu! Kościół głosząc, że papież nie może się omylić, nie utrzymuje wcale, iżby nie mógł wpaść w grzechy.

Niedawno byłem na żałobnem nabożeństwie, za duszę ś. p. papieża Piusa IX. Słyszę jeszcze jęki Kościoła; brzmią mi w uszach jego uroczyste błagania, które zanosi do Boga przy każdym zmarłym, a które tu ponawia pięciokrotnie. I uważmy, w jakich słowach: „Absolve, Domine, animam famuli tui Pii. Przebacz, Panie, duszy sługi twojego, Piusa. Niema już tu ani tiary, ani korony papieskiej; jest tylko wierny sługa Boży. A dalej: Non intres in judicium cum servo tuo, Domine, quia nullus apud te justificabitur homo, nisi per te omnium peccatorum ei tribuator remissio. Nie wchodź w sąd ze sługą twoim, Panie, albowiem nie usprawiedliwi się przed obliczności Twoją żaden żyjący, jeżeli nie odpuścisz mu grzechów jego".

A oto pobudki, dla których mają mu być odpuszczone jego winy: „Pomnij Panie, że on zawsze wierzył w ciebie i w tobie nadzieję pokładał, ut quia in te speravit et credidit; że zawsze miał prawdziwą wiarę, ut sicut hic eum vera fides jungit fidelium turmis". Kościół śpiewa to nad grobem Najwyższych swych nieomylnych Kapłanów, ażeby umysły nasze nie dały się obałamucić sofizmatami. Jako papież,

jako najwyższy chrześcijan nauczyciel, jest Najwyższy Kapłan rzymski nieomylnym; ale jako człowiek, w życiu prywatnem, może nawet wiarę utracić. Może, jak każdy z nas zasłużyć na potępienie.

Dlatego to owo ostatnie wezwanie, powtarzane pięciokrotnie na grobie Najwyższego Kapłana: „Erue animam ejus a porta inferi. Wyrwij duszę jego z mocy piekielnej". „Requiescat in pace. Niech odpoczywa w pokoju".

Co za wzniosła równość wszystkich w obliczu śmierci. Jaki boski we wszystkich umiar Kościoła! Korzy się on u stóp papieża, ale nie zapomina nigdy, że ten jest człowiekiem, i że pod tiarą jest dusza wolna, która może się zbawić albo też potępić, że jest to chrześcijanin, mogący jak każdy inny zachwiać się w cnocie, utracić miłość, pokorę, nawet wiarę, a który będzie miał do zdania rachunek tem straszniejszy, im wyższą była jego godność.

## III.

Powiecie może: „Dobrze, ale cóżby było, gdyby papież poszedł w jedną stronę, a Kościół w drugą?"

Przypuszczenie niedorzeczne. Coby się stało z wozem, któregoby koło szło w jedną, a drugie w drugą stronę? Odpowiecie mi: „To niemożebne; przecież te koła obracają się na wspólnej osi".

A gdyby u człowieka w innym kierunku chciała iść głowa, a w innym nogi? Niemożliwe, ożywia je przecież jedna dusza.

Tak samo ma się rzecz z Kościołem i papieżem. Ożywia ich duch jeden, którym jest Duch Święty.

Przypuszczenie to zatem nietylko, że jest niedorzecznem, nietylko świadczy o zupełnej nieznajomości ustroju Kościoła u tych, którzy je czynią, ale jest nadto przeciwnem wierze. Kardynał Manning mówi w tym przedmio-

cie: „Rzeczą wiary jest, że głowa Kościoła nie może nigdy być oddzieloną od K o ś c i o ł a  n a u c z a j ą c e g o, ani od K o ś c i o ł a  s ł u c h a j ą c e g o, to jest ani od biskupów, ani od wiernych. Przypuszczać możebność tego, byłoby jednoznacznem z zaprzeczaniem działania Ducha świętego w Kościele, działania, mocą którego ciało mistyczne jest ściśle połączone we wszystkich swoich częściach, głowa z ciałem, ciało z głową i ze wszystkimi członkami. Byłoby to odłączeniem Jezusa, czyli niweczeniem doskonałej symetrji budowy, nazwanej przez Apostoła ciałem Chrystusa, o której mówi św. Augustyn, że tak samo, jak głowa z ciałem stanowią jednego całkowitego człowieka, tak samo Chrystus z Kościołem stanowią jedność doskonałą. Na tej jedności spoczywają wszystkie właściwości i przywileje Kościoła: niespożytość, jedność, nieomylność. Kościół tak samo nie może być oddzielonym od swojej głowy widzialnej, jak i od głowy niewidzialnej"[1]).

Jeżeli zatem przeczycie boskości Kościoła, jeżeli uważacie go li tylko za instytucję ludzką, bardzo uzasadnionem może być wasze przypuszczenie, że Papież i Kościół mogą kroczyć innemi drogami. Mniemacie, że Kościół jest czysto ludzki a więc znikomy, nic więc dziwnego, że przypuszczacie w nim rozdział, źródło śmierci. Ale jeżeli jesteście katolikami, jeżeli wierzycie, że Duch Święty ożywia Kościół i kieruje nim zawsze — nie czyńcie przypuszczeń będących zniewagą mądrości i wszechpotęgi Boga.

## IV.

Zarzucają ludzie: „A jeżeli papież będzie nazbyt ryzykowny, jeżeli zacznie orzekać naoślep, według własnego widzimisię, bez badań i zasięgania rady?"

---

[1]) Cardinal Manning, C o n c i l e  d u  V a t i c a n, p. 141.

Na to odpowiem: sąd o tem nie do nas należy. Czyliż każdy biskup, każdy kapłan, każdy wierny, zanim uwierzy słowom Ojca świętego, ma się wprzód upewniać, czy tenże dostatecznie rzecz zbadał, dostatecznej liczby rad zasięgnął, dostatecznie zabezpieczył się od omyłek? Wszak byłoby to wprowadzeniem do Kościoła wolnych badań protestantyzmu.

Przytem niedokładne utworzyliście sobie pojęcie nieomylności. Bierzcie rzecz tę po ludzku. W waszem przekonaniu papież jest nieomylny, ponieważ zgłębiał, zasięgał rad, dowiadywał się u biskupów, jak wierzą ich Kościoły, sprawdził ich jednomyślność, bo niepodobna jest, iżby wszystkie Kościoły, wszystkie podania, wszyscy biskupi, skoro wierzą jednozgodnie, mogli być w błędzie. To nieomylność ludzka — nieomylność płynąca z powszechnej zgody.

Jest to w związku z waszem pojęciem o Kościele, jako o wielkiem zgromadzeniu z przewodniczącym na czele, które naucza i uchwala większością głosów.

Ale to nie to. Nieomylność jest czemś głębszem i bardziej tajemniczem. Jest to łaska nadprzyrodzona, dana przez Zbawiciela Najwyższemu Kapłanowi, mocą której nie może omylić się, skoro nauczając ex cathedra jako najwyższy Nauczyciel Kościoła, nakazuje temuż Kościołowi przyjąć jako artykuł wiary, że ta lub owa prawda w jego nauce, należy do objawienia Chrystusowego. Mało tu znaczą zgłębiania, badania, uczoność doradców, genjusz papieża. Wszystkiem jest pomoc Ducha Świętego, który nie dozwoli papieżowi zbłądzić, chyba żeby chciał zagłady Kościoła, a to jest niemożebne, utworzył go bowiem na wieki. Symbolem nieomylności papieża jest święty Grzegorz Wielki z gołąbkiem, który mu szepcze do ucha.

Widzimy, jakiego rodzaju są te wszystkie zarzuty. Powstają z fałszywego punktu widzenia, z utożsamiania boskiego ustroju Kościoła nadanego mu przez Chrystusa,

z ustrojem parlamentarnych monarchji ziemskich. Źródłem światła tych monarchij jest genjusz ludzki, naturalną jest więc rzeczą, iż potrzebują one mądrości wszystkich, licznych zgromadzeń i głębokich rozpraw. Źródłem światła w Kościele jest nieomylność, czyli Duch Święty. Cóż wobec tego znaczy jeden człowiek, czy pięciuset? Jeżeli przypuszczacie, że pięciuset znaczy więcej niż jeden, podajecie tem samem w wątpliwość nieomylność samą.

## V.

Powiadają jeszcze: „Taka uchwała, dając papieżowi w ręce władzę nieograniczoną, może z natury rzeczy zaniepokoić królów, cesarzy, nawet rzeczpospolite i zamącić zgodne stosunki Kościoła i państwa". Za najlepszy dowód czczości owych postrachów niech służy to, że nie zlękli się ich ani Napoleon III, ani Bismark, a rozwiał je ostatecznie Pius IX, który zaraz po wyroku Soboru, przyjmując 20 lipca akademję katolicką, tak się odezwał: „Zgubny to błąd przedstawiać nieomylność, jako zawierającą w sobie prawo zrzucania z tronu panujących i rozwiązywania ludów z przysięgi wierności. Rzeczywiście, papieże prawa tego używali niekiedy w ostateczności, ale niema ono zupełnie nic wspólnego z nieomylnością papieża. Był to wynik prawa publicznego, obowiązującego naówczas i wynik przyzwolenia narodów, uznających w papieżu najwyższego sędziego chrześcijaństwa i poddających się jego wyrokom nawet w rzeczach świeckich. Obecne warunki są zupełnie inne. Zła wiara tylko może mieszać ze sobą tak różne materje i tak odmienne epoki: w rzeczywistości bowiem wyrok nieomylny, orzekający jakąś prawdę objawioną nie ma nic wspólnego z prawem, którego papieże, skło-

nieni życzeniem narodów, musieli używać dla dobra ogółu. Podobne twierdzenia, to tylko środek podburzania przeciwko Kościołowi"[1]).

Zjazd biskupów niemieckich w Fuldzie (maj 1871 r.), zjazd biskupów szwajcarskich (czerwiec 1871 r.), mnóstwo biskupów i arcybiskupów w poszczególnych odezwach do swoich owieczek, mówią to samo w tej materji. Pius IX ciągle ich pochwala i błogosławi im. Pisze mianowicie do biskupów szwajcarskich: „Sobór Watykański nie nadał żadnego nowego prawa Najwyższemu Kapłanowi rzymskiemu; jego orzeczenie jest prostem wytłumaczeniem bardzo starego dogmatu, pozostawiając rzeczy tak, jak były pierwotnie. Dogmat ten, ograniczający się do nauki o wierze i obyczajach, nie wprowadza nic nowego do stosunków Głowy Kościoła z Kościołem nauczającym, ani do stosunków Kościoła z władzą polityczną. Zła wiara tylko albo głupota mogą wmawiać, że przyniósł on uszczerbek prawom władzy świeckiej"[2]).

Pod zbawczem wrażeniem tych słów, płynących z góry, uspokoiły się umysły. W sprzeciwieństwie do soboru Trydenckiego, którego ogłoszenie kanoniczne, tak wiele napotkało trudności, sobór Watykański został ogłoszony bez przeszkody we Francji, Hiszpanji, Portugalji, Włoszech, Austrji — wszędzie. Prawda, że później Bismark rozpoczął kulturkampf (1871), rzeczpospolita zaś francuska wypędziła zakony i sekularyzowała szkoły (1880). Ale wiadomo jest wszystkim, że orzeczenie nieomylności papieskiej wcale się do tego nie przyczyniło. Jest to tylko wynik przesilenia religijnego, jakie Europa obecnie przebywa.

---

[1]) Mowa Piusa IX (20 lipca 1870 r.) przytoczona przez szwajcarskich biskupów w ich Instrukcji pasterskiej, przez tegoż papieża potwierdzonej.

[2]) Bref de Pie IX aux évêques suisses, (27 novembre 1871).

## VI.

Rozpatrzmy zkolei zarzuty głoszące, że wyrok nieomylności wydano w porę. Zarzuty te biorą początek w fałszywym punkcie widzenia innej natury, a są również bezpodstawne.

Brzmią one: „Dobrze, nieomylność papieża nie ulega zaprzeczeniu, ale pocóż ją było uchwalać? Uchwała ta zupełnie nie była potrzebna, ani stosowna. Wszak Kościół obywał się bez niej przez osiemnaście stuleci. I ogłaszać ją teraz, kiedy dla kościołów wschodnich, dla protestantów, dla niewierzących wszystkich krajów będzie ona nowym kamieniem obrazy! Gdzież potrzeba tego wystąpienia?"

Błędem i to grubym jest mniemanie, jakoby Kościół obywał się dotychczas bez nieomylności papieża. Chociaż nieogłoszona jako dogmat, nieomylność istniała; żyła ona, działała, przemawiała przez te wszystkie wieki swobodnie, bez przeszkód żadnych. A jeżeli pomyślano o dogmatycznem jej określeniu w ostatnich dopiero czasach, to dlatego, że ludzie zaczęli podawać ją w wątpliwość. Gdybyśmy nie mieli byli soboru Bazyljańskiego, ani Konstancjeńskiego, ani galikanizmu, ani jansenizmu, wyrok ten opóźniłby się może o całe jeszcze wieki. Ale Urban VIII, Inocenty X, Benedykt XIII, a nawet Benedykt XIV nie mieli już tej swobody działania, jaką mieli Inocenty I, Leon św., papież Gelazjusz, święty Grzegorz Wielki. Fałszywa wiedza przyćmiła ich nieomylne nauczanie wątpliwościami, mącącemi wiarę chrześcijan. Trzeba było, ażeby promień światła przeniknął owe wątpliwości i przywrócił boską świetność temu, co tak nieszczęśliwie zostało zaćmione. Z tego względu wyrok dogmatyczny był nietylko stosownym, ale i niezbędnym.

Próżna obawa, że może on odstręczyć tych, którzyby pragnęli przyłączyć się do Kościoła. Władza absolutna naszego Kościoła, przestraszająca niektóre dusze, przyciąga inne. Nieomylność papieska to przeciwieństwo

wolnego badania. Im więcej gorzkich owoców swojej zasady będzie zbierał protestantyzm, im głębszą będzie w duszach otchłań niepewności z każdym dniem boleśniejsza, — tem więcej wejrzeń kieruje się ku Kościołowi katolickiemu, a nieomylność właśnie będzie najwyższym jego urokiem. Tam przynajmniej widzi się jasno; tam ma się spokój ducha; tam, wśród wątpliwości i niepokojów życia, ma się punkt oparcia stały, niewzruszony, gdzie dusza doznaje wytchnienia i ukojenia. Czuje się to w zachowaniu się nawróconych w Anglji i w Ameryce. Nikt bardziej od nich nie obstaje przy nieomylności papieża; podobni do rozbitków, którzy po długiem błąkaniu się w ciemnościach, wśród fal zdradliwych, witają z uniesieniem latarnię morską, błyszczącą na brzegu, nie skarżąc się wcale, że światło jej jest za silne.

Zresztą, gdyby nawet orzeczenie nieomylności stanowiło dla protestantów i ludzi niewierzących nie powód, ale pretekst do deklamacji, cóż to znaczy, jeżeli wobec ogólnego stanu Kościoła, orzeczenie to było na dobie i niezbędne. Przyznaję, że nie rozumiem owego przesądzania, czy chwila była odpowiednią. Bo i któż może wyrokować w tej kwestji? Gdyby chodziło o przeszłość, możnaby oprzeć się na historji; gdyby o teraźniejszość — jeden papież, ogarniający wzrokiem całość, ogół biskupów, rozsianych po całym świecie, mógłby może mieć o tem jakieś zdanie. Mówię: może; bo cóż to jest teraźniejszość? W każdym razie nie może w tej kwestji wyrokować żadna jednostka, czy to biskup, czy wierny. Widzi on zbyt małą cząsteczkę kuli ziemskiej; ma o całości pojęcie zbyt mgliste.

Ale nie chodzi tu o teraźniejszość: chodzi o przyszłość. Dogmat nieomylności papieskiej to gwiazda, powołana do oświecania przyszłości. A któż zna przyszłość? Któż może wiedzieć, co przyniesie jutro, jakie wydarzenia straszne a bolesne mogą wymagać od Kościoła władzy absolutnej, niezaprzeczalnej? Kto powie, ile wolność prasy rozpowszechniana w społeczeństwach nowożytnych, spra-

wi zamieszania w umysłach i ilu będzie wymagało odpowiedzi niezwłocznych, rozstrzygających, jasnych i niezaprzeczalnych? Jak obliczyć, jakiego wzrostu władzy duchownej wymagać będzie sam zanik władzy doczesnej? Fryderyk II pisał: „Usuńcie władzę doczesną, a każdy biskup stanie się patrjarchą i jedność Kościoła w proch się rozsypie". Jeżeli to prawda, czyż nie jest jasnem, że Patrjarcha nad patrjarchami powinien być opromieniony aureolą, do której żaden inny nie będzie mógł rościć pretensji? Powtarzam, nie znamy przyszłości, jakże zatem możemy wydawać sądy o tem, czy ogłoszenie nieomylności było albo nie było na dobie?

Co do mnie, za podniesieniem tej kwestji czekałem w skupieniu ducha, mówiąc sobie: „Duch Święty może jedynie o tem wyrokować. Jeżeli sobór Watykański orzecze nieomylność, to, ponieważ Duch ożywiający go czyni wszystko w zastosowaniu do pory i potrzeby, będziemy wiedzieli, że przyszłość brzemienna jest burzami, kiedy ów Duch każe nam zabezpieczać się od takowych.

## VII.

Ale nie wyrok o nieomylności spowoduje te zamieszki i burze. W tem to może najwięcej omylili się ci, co dowodzą jego niewczesności. Pominąwszy bowiem pewien lekki niepokój, towarzyszący zawsze wszelkim postanowieniom takiej wagi, pominąwszy kilka odstępstw, które czekały tylko cienia sposobności, a które dla Kościoła były jakby pęknięciem niebezpiecznego wrzodu, to jest uspokojeniem i ulgą — gdzież jest choć jeden człowiek wybitny, prawy i oddany Kościołowi, któryby się od niego z przyczyny dogmatu nieomylności odzielił? Jakiż biskup, nawet najbardziej temu przeciwny, nie ukorzył się? I któż nie będzie błogosławił poprzedzających wyrok ten sporów, których ostatecznym wynikiem miało być opromienienie jaśniejszem, światłem boskiej jedności Kościoła?

Zarzucają niektórzy: „To jedność w ucisku". Bynajmniej: jedność to w wolności. Do czego dążyła Stolica Apostolska przez ciąg ostatnich lat trzystu? Do ustalenia swojej władzy. Otaczały ją wrogie potęgi; spotykała zapory na drodze swojej wszędzie, nawet pomiędzy własnymi biskupami; nigdzie nie znajdowała wolnego dostępu: co miała czynić, by się nie wyrzec swego boskiego posłannictwa? Musiała utwierdzić swoją władzę, zastosować ją ściślej i szczegółowiej w hierarchji, w karności, w osobistych czynach swoich dzieci, jednem słowem we wszystkich sferach, gdzie sięga jej zakres. Musiała odzyskać stopniowo cały grunt sobie wydarty. Od trzech wieków Stolica Apostolska miała za zadanie, utrzymać władzę powierzoną Piotrowi i jego następcom, broniąc ją nietylko przeciw wrogom, dążącym do całkowitego jej obalenia, jak protestantyzm, ale i przeciw zamachowi galikanizmu, józefizmu i regalizmu, dążących do jej zmniejszenia i osłabienia. Kres owej walce kładzie dopiero sobór Watykański.

Zato dzisiaj, kiedy już minęły niebezpieczeństwa zagrażające mu dotychczas, papiestwo będzie o wiele swobodniejsze; nie będąc nadal zmuszone utwierdzać i podtrzymywać władzę, której mu już nikt nie przeczy, będzie mogła dać dzieciom swoim więcej wolności, która już nie będzie mogła obrócić się na złe.

Emil Ollivier utrzymuje, że orzeczenie nieomylności zwiększyło też raczej, aniżeli zmniejszyło szanse zgromadzania się soborów powszechnych[1]). To jasne. Co mogło powstrzymać papieży od częstszego zwoływania tych soborów? Nietylko obawa wtrącania się władzy świeckiej, ale przedewszystkiem obawa oporu i uroszczeń episkopatu, jak tego miano smutne przykłady w Konstancji i Bazylei. Obawiano się zawsze owej, buntowniczej teologji stawiającej sobór nad papieża. Teraz nie będzie już tej

[1]) L'Eglise et l'Etat au Concile du Vatican, 2 vol. in 18. Paris, Garnier, 1879, tome II, p. 370.

obawy. Sobór Watykański zabezpieczył władzę papieża od zamachów biskupów; a nie powołując do swego składu książąt świeckich, położył koniec ich roszczeniom do rządzenia soborami. Papiestwo tedy zewsząd zabezpieczone, pewne, że nikt nie zaprzeczy mu pierwszeństwa, będzie skłonniejszem do zwoływania w trudnych razach owych wielkich zgromadzeń, których zebranie się było zawsze dla Kościoła zapowiedzią pokoju i jakby odnowieniem życia.

Jeszcze będzie miało orzeczenie nieomylności i inne dobre skutki: oto przyczyni się do odbudowania kościołów narodowych. Potrzeba było zgnieść je, gdyż utworzyły się były bez papieża i przeciw niemu. Wspierały się na królu, ażeby dać silniejszy opór papieżowi. Trzeba było zatem odjąć im stopniowo owe mniemane prawa, owe fałszywe, swobody, — przypomnieć biskupom źródło ich władzy, wskazać im jej granice, krępować ich przez indulty, mogące zawsze być odwołane, lub dawane na krótki przeciąg czasu, ażeby nie wyobrażali sobie, że są papieżami w swych diecezjach. Ale teraz, kiedy podobny stan rzeczy nie jest już możliwym, papież z własnej inicjatywy przywróci poszczególnym kościołom część ich praw starodawnych. Niemasz już episkopatu; są tylko we wszystkich krajach biskupi pojedyńczy, nie tworzący oddzielnego stanu, otoczeni przez wrogie potęgi i — co za tem idzie — słabi jak wszystko, co jest odosobnione. Papież uznany za nieomylnego, zaradzi teraz sam owej ogromnej niedogodności. Przywróci dawne episkopaty złączone i umocnione przez sankcjonowane przezeń ustawy i wróci im owe prawa i swobody, których nie będą już mogły nadużyć, a z niemi i ową samodzielność, życie i siłę, które zmniejszyły się u nas zdaje się nieco w ostatnich wiekach.

Sami nawet wierni, kapłani, mówcy, pisarze odniosą stąd korzyść. Będą teraz mogli z większą swobodą i pewnością iść za natchnieniem Ducha Świętego. Będą mieli głębszą znajomość ustroju Kościoła. Łatwiej im będzie

zabrać się do zaniechanej pracy zgłębiania dogmatów, pracy rozpoczętej przez greckich i łacińskich Ojców Kościoła, prowadzonej dalej przez scholastyków, a przerwanej na nieszczęście, wskutek sporów z protestantyzmem i niezgód w Kościele.

I dzięki temu, po trzech stuleciach sporów i stagnacji, nadejdzie ta nowa i wielka era, którą przeczuwał de Maistre kiedy pisał: „Zbliżamy się do największej ze wszystkich religijnych epok. Albo się pojawi lada chwila jakaś nowa religja, albo siły chrystjanizmu zostaną w nadzwyczajny sposób odnowione“[1]); owa era triumfu nie zewnętrznego i politycznego może, ale religijnego i boskiego, którą przewidywał Pius IX, kiedy mówił: „Tak jest, zmiana ta i ten triumf nadejdą; nie wiem, czy to się stanie dopóki żyję, ja, niegodny namiestnik Chrystusowy, — ale to wiem, że nadejdą. Przyjdzie zmartwychwstanie; i ujrzymy porażkę wszystkich tych bezbożności“[2]); era nareszcie wzrostu światła i sił niebieskich, a przez to owo odnowienie oblicza świata, którego spodziewają się wszyscy i oczekują nazbyt żywo, ażebyśmy nie mieli widzieć w tem oczekiwaniu jednego z owych przeczuć zsyłanych przez Boga, dla podtrzymania Kościoła wpośród ciemności i niebezpieczeństw, które przechodzi obecnie.

Dogmatyczny wyrok soboru Watykańskiego jest punktem wyjścia i osią tego nowego zwrotu w Kościele.

---

[1]) De Maistre, Soirées de Saint Petersbourg, XII, entretien.

[2]) Pie IX. Année du plébiscite romain, 1872.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

### O życiu Kościoła. — Prawa rządzące owem życiem.

Kościół — to społeczność dusz w boskiej światłości i boskiej miłości.

Widzieliśmy, jak Chrystus go stworzył, a raczej zreorganizował; początek bowiem Kościoła sięga z konieczności samych początków świata. Widzieliśmy potem jak Pan Bóg przez proroków naprzód, a potem przez swojego boskiego Syna, powierzył mu święty depozyt prawdy i miłości, czyniąc go nieomylnym tłumaczem i strażnikiem nienaruszalności tego depozytu. Pozostaje teraz Kościołowi dopełnienie tego posłannictwa; zjednoczenie dusz wszystkich w świetle prawdy; podnoszenie ich i uświęcanie w świetle miłości, jednem słowem ożywianie świata życiem bożem, które było mu powierzone.

Po zagadnieniach stworzenia i organizacji Kościoła, jest jeszcze trzecie, które stoi wyżej od tych obydwóch i przesądza je, — zagadnienia życia. Czy Kościół ma w sobie życie boskie? Czy życie to jest w nim w takiej pełni, ażeby zadowolnić wszystkie pragnienia ludzkości: pragnienie światła, pragnienie miłości, pragnienie wiekuistego szczęścia? Czy zadowolniło je kiedy i w jakiej mierze? Dwa tedy zagadnienia przedstawiają się nam: po pierwsze, jakiem powinno być życie Kościoła, powtóre, jakiem było. Naprzód prawa, a potem fakty.

Zacznijmy od zbadania życia Kościoła, w rządzących niem prawach.

#### I.

Życie — to rozwój! Pojęcie życia przypuszcza dwa pierwiastki: jeden niewzruszony, gdyż inaczej istnienie

trwaćby nie mogło; drugi zmienny, bez któregoby skamieniało. Gdyby nic nie zostawało takiem samem, w krótkim czasie nie byłoby bytu; gdyby nic się nie zmieniało, nie byłoby życia.

Darwin próbował zrobić zmienność jedynem prawem, rządzącem światłem. Tak nie jest. Ileż rzeczy nie zmienia się nigdy! Pierwiastki, bieg ciał niebieskich, budowa roślin, kolej pór roku, budowa zwierząt, człowieka i t. d. Wogóle rzeczy zasadnicze nie zmieniają się. Tworzą one jakby markę, pieczęć Mistrza. Niewolno ich tykać. Po kilku tysiącach lat człowiek pozostaje co do swej wewnętrznej budowy takim, jakim go nam ukazują mumje Wschodu. Ptaki, owady, dziś są najzupełniej podobne do znajdywanych w podziemiach Egiptu. Nawet żyjątka mikroskopijne, powodujące fermentację soku winnej jagody, są te same dzisiaj,, co za czasów Noego.

Nie należy mimo to zaprzeczać zmienności. To drugie prawo świata. Zmienność, to rozwój, to postęp, to życie. Zmienności podlega każda żyjąca istota. W Kościele również, jeżeli ma on życie w sobie, obok niewzruszoności powinien być rozwój ciągły i postępowy, który jest znamienną cechą życia.

A przytem wszak Kościół utworzony został dla człowieka? Należała się mu zatem niezmienność, by każde pokolenie widziało go u swej kolebki; — ale również potrzebny mu był postęp, ponieważ człowiek idzie wciąż naprzód; stworzonem do postępu jest jego serce, wołające ciągle o więcej, — jego umysł pragnący ciągle nowej karmy, — jego strona fizyczna; prawda, że pod tym ostatnim względem postępowi zdaje się zaprzeczać śmierć, — ale przecież śmierć nie jest zatrzymaniem się ani końcem: śmierć, to tylko początek. Jeżeli zatem Kościół miał odpowiedzieć dążeniom człowieka, powinien był tak jak on być zdolnym do postępu i z majestatem starożytności niewzruszonej złączyć piękno i urok odnawiającej się wciąż młodości. „Więc też — mówi Bossuet — jedną z właściwości Kościoła jest jego wiekuista młodość

i wiecznotrwała nowość. Odnowi się jako orłowa młodość twoja[1]). A także: Odnawia się od dnia do dnia[2]). Wynikiem tego jest, że zamiast się starzeć w miarę przybywania lat, jak to ma miejsce w życiu zwierzęcem, Kościół odmładza się z biegiem czasu"[3]).

## II.

Jeszcze jedno. Przypatrzcie się wielkiemu prawu dzieł Bożych! Wszystko, cokolwiek Bóg czyni w sobie, ad intra, jak mówią teologowie, — wszystkie akty należące do samego Jego jestestwa są nacechowane niezmiennością. Jest; rodzi swojego Syna; od Ojca i Syna bierze początek Duch Święty; wczoraj, dzisiaj, jutro, zawsze jak było na początku, teraz i zawsze. Ale skoro działa dla człowieka, dodaje drugie prawo — prawo rozwoju, postępu.

Stwarza świat, naprzykład. Jednem słowem, jednem zachceniem mógłby rzucić w przestrzeń wszystkie niebiosa, wszystkie gwiazdy, wszystkie kwiaty, wszystkich ludzi. Nie czyni tak. Dlaczego? Ponieważ nie tak stworzył człowieka. Stwarza dniami, tygodniami, epokami, nazwijcie to jak chcecie; ale stwarza według prawa kolejnego postępu. Przechodzi od kreacji do kreacji, coraz to piękniejszej i doskonalszej.

W pierwszym dniu stwarza ziemię, minerał zimny, bezwładny, nieczuły, niezmienny co do liczby, urozmaicony co do wyglądu. Następnie roślinę, czyli świat nowy, od poprzedniego piękniejszy, gdyż posiada ruch, krążenie soków życiodajnych, zdolność rozmnażania się. Nakoniec zwierzę, mające ponad to instynkt, zaczątek inteligencji, woli. Nakoniec człowieka, który od wszystkich darów tworów poprzedzających, łączy trzy rzeczy prze-

[1]) Ps. CII, 5.
[2]) II Cor. IV, 16.
[3]) Bossuet, Sermon sur la pénitence, 2-e point.

dziwne: myśl, wolność i miłość. Czy to już koniec? Bynajmniej. Oto po upływie czterech tysięcy lat, nowy akt tworzenia. Na człowieku zaszczepia Bóg chrześcijanina, istotę boską i ludzką w Jezusie Chrystusie. Potem zaś uczyni świętego, przemienionego i ubłogosławionego w chwale Bożej; a któż wie, jaki jeszcze stopniowy, niezmierny i świetlany postęp przeznacza nam na zapełnienie wieczności? bo Stwórca tak stworzył nas do ruchu, że może i w wieczności nawet nie pozwoli nam znieruchomieć. Oto jest prawo stworzenia: ciągły postęp, ciągłe dążenie naprzód i wyżej.

Stworzywszy istoty wolne i rozumne, Bóg je oświecił. Jak? Czy odrazu, wielkim, jedynym błyskiem światła? Wcale nie. Oświeca powoli, stopniowo. Zwolna uchyla zasłony. Otwiera kolejno przed oczarowanym wzrokiem człowieka nowe, coraz piękniejsze księgi.

Pierwszą księgę, pierwszą, że się tak wyrażę, biblją, jest biblja natury. Niebiosa, ziemia, prześliczne nauki z ich rosą, blaskiem, śpiewem ptasząt, brzęczeniem pszczół, wspaniałe zachody słońca, wieczory poważne jak modlitwa, liście jesienne zeschłe jak nasze złudzenia, unoszone wiatrem jak marzenia nasze — wszystkie te rzeczy przemawiające tak rzewnie do naszej duszy, — to pierwsza księga, która miała wnieść do naszych serc imię i pamięć Tego, który to wszystko dla nas uczynił.

Po tej biblji otwiera Bóg drugą, piękniejszą, bardziej jeszcze boską: biblję ludzkości. Czemże są wszystkie wspaniałości natury wobec wspaniałości duszy ludzkiej, wobec jej porywów do nieskończoności, wobec tych żywotów poświęcanych za prawdę, wobec bohaterskich ofiar tylu serc macierzyńskich! Niebiosa mogą przestać istnieć; dopóki wszakże istnieć będzie jedno serce ludzkie, będzie na świecie dowód niezbitej dobroci i miłości Boga. Bo do czegóż nie jest zdolnym Stwórca, jeżeli nędzne stworzenie zdobywa się na tyle uczuć szlachetnych! Jakież cuda mogą powstać z oceanu miłości, kiedy jedna tej mi-

łości kropelka, umieszczona w znikomem naczyniu, potrafi się zdobyć na tak piękne czyny.

Po księdze natury i ludzkości daje Bóg człowiekowi trzecią, większą, zrozumialszą, bardziej świetlaną. Przemawia sam do człowieka. Przez cztery tysiące lat cały szereg proroków tłumaczy ludzkości Boga, człowieka, świat, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; księga to cudowna, przepromieniona światłem.

To jeszcze nie koniec. Czemże jest natura, ludzkość, Pismo, prorocy! Oto sam Bóg się ukazuje! Okazała się ludzkość Zbawiciela naszego Boga[1]). A Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami, pełne łaski i prawdy[2]).

Cóż teraz pozostaje? Jaki postęp jest jeszcze możliwym? Chyba ten, ażeby zasłona pokrywająca bóstwo Chrystusa uniosła się i ażebyśmy w światłości wiekuistej twarz w twarz oglądać mogli Boga.

Po stopniowaniu stworzeń i światła, spójrzcie na stopniowanie miłości. Bóg kocha nas; kocha nas nieskończenie. Otóż czy ta miłość objawia się odrazu, w całej pełni i blasku? Czy i tutaj będzie postęp i stopniowy rozwój? Patrzcie i podziwiajcie.

Naprzód Bóg stwarza. Czule i z miłością tworzy piękną powłokę, ciało ludzkie; potem ożywia je przeczystem serca swego tchnieniem. Tu już miłość objawia się cudownie wielka i wspaniała. A jednakże czemże jest stworzenie wobec Wcielenia. A Wcielenie wobec Męki? Bóg cierpiący, ubiczowany, znieważony, umierający dla człowieka! Zdawałoby się, że to już szczyt miłości. Ale oto Eucharystja. Ale ponad Eucharystją jest jeszcze Niebo!

Tak więc wszędzie i zawsze, wszystko co tylko Bóg czyni dla człowieka, ze względu na człowieka, jest nacechowane ruchem, stopniowym rozwojem, postępem. Sam

---

[1]) Tit. III, 4.

[2]) Joann. I, 14.

w sobie jest niewzruszoną istnością, niewzruszonem światłem, niewzruszoną miłością. Ale skoro skłania się ze swojego tronu, aby zlać na swoje stworzenia życie, światło i miłość, czyni to zgodnie z prawem postępu.

I tak wszędzie, zawsze; we wszystkich dziełach Bożych znajdzie te dwie cechy: niezmienność, ponieważ pochodzą od Boga; i ruch, postęp, ponieważ mają na celu człowieka. Jakżeby Kościół, to arcydzieło Boże, mógł być wyjętym z pod tego prawa? I czyż nie słusznem jest, ażeby obie te cechy dzieł Boskich były tu posunięte do doskonałości? To też Zbawiciel przedstawia nam swój Kościół pod figurą nasienia gorczycznego, które najmniejszeć jest ze wszego nasienia, ale które wzrasta, rozwija się, aż staje się wielkiem drzewem: I stawa się drzewem[1]). Kościół będzie zatem niewzruszonym, nie jak piramida, albo słup kamienny, ale jak drzewo, jak olbrzymi cedr górski: pień jego jest wkorzeniony głęboko; nie obawia się burz żadnych; stoi niewzruszony, — a tymczasem krążą w nim soki, rosną gałęzie i liście, rozwijają się kwiaty; jeżeli jaka gałąź uschnie, inna ją zastępuje, a w nadmiarze swego życia roztacza tak wspaniały cień, że spocząć może pod nim świat cały. Pod taką to przenośnią przedstawił nam Zbawiciel Kościół swój, w podwójnym składzie jego pierwiastków, niewzruszoności i postępu.

## III.

Skoro tak jest, staje przed przed nami pytanie, jakim będzie ten rozwój Kościoła, jakim rozkwit jego życia? A jeśli owo życie jest boskiem, jakie nadziemskie owoce mają świadczyć o tej jego boskości?

W tym celu zbadajmy ponownie istotę tego życia. Widzieliśmy oba jego składowe pierwiastki, niezmienność

---

[1]) Matth. XIII, 31, 32.

i postęp, i odnaleźliśmy takowe w Kościele. Rozpatrzmy te jego znamienne cechy.

Naprzód dawność, starożytność. Życie poprzedza istotę żyjącą. Ojciec poprzedza syna. I tylko dlatego, że go poprzedza w życiu, w cnocie, w znajomości ludzi i rzeczy, może go zrodzić, bronić, dopomagać mu w dążeniu naprzód. I dlatego w miarę jak synowi przybywa lat i doświadczenia, przybywa ich i ojcu; a gdy już ten dojdzie do szczytu dojrzałości, poza którym niestety jest już tylko cofanie się, w chwili, kiedy syn mógłby go wyprzedzić, — siwe włosy nadają mu taki majestat, że chociażby się było już starym, mamy sobie za szczęście pochylić ze czcią głowę przed tym, którego czoło otacza aureola ojcowstwa.

Tak samo się dzieje z życiem społeczeństw. Ono także jest uświęcone przez czas, przez dawność, przez to, że początki jego sięgają najdalszej przeszłości; to też ludy w szale jedynie ściągają na nie rękę. To samo prawo rządzi i życiem umysłowem. Prawda, że miewamy upodobania w nowych ideach; ale w gruncie ufamy tylko tym, które czas wypróbował. Stąd to owe słowa pełne głębokiego znaczenia, które stary Egipcjanin wyrzekł do Solona: „Solonie, Solonie, wy, Grecy, przy całym waszym rozumie jesteście tylko dziećmi, ponieważ niema pomiędzy wami mądrości przez wiek ubielonej".

Jeżeli zaś jest to cechą wszelkiego życia, o ile bardziej musi ją posiadać życie Kościoła, przeznaczonego nie dla jednego człowieka, ani rodu, ani stulecia, ale dla ludzkości całej. Każdy naród, każde stulecie musi go widzieć u swej kolebki, dawniejszym, niż jego życie, dlatego musi on osięgnąć początków świata, a trwać aż do jego końca.

Tym to prostym ale skutecznym argumentem, rodzaj ludzki usuwa w cień społeczności, mające datę. „Wczoraj więc powstałoś? A cóż się działo przedtem na świecie? Powiadasz, że Kościół był umarłym i że ty go wskrzesiłoś? A zatem stworzyłoś własną swoją matkę. Skądże samo pochodzisz?"

Katolicy też słusznie mogą się radować, widząc nieprzerwany szereg wstępny od Leona XIII aż do św. Piotra, a od tego przez wszystkich arcykapłanów Starego Zakonu, aż do Aarona i Mojżesza, od nich zaś do patrjarchów i aż do początku świata. Wspaniały to szereg i najpewniejsza ciągłość, a także niezbite przeświadczenie prawdy. Bo pierwszą cechą życia jest, że ażeby udzielać się, musi poprzedzać.

Druga jego cecha, to właśnie udzielanie się. Dlatego tylko jest się ojcem, ażeby dawać życie. I dlatego Bóg stworzywszy człowieka powiedział mu: Rośnijcie i mnóżcie się[1]).

Tak samo się dzieje w życiu umysłowem; poto tylko ma się pióro w ręku, słowo na ustach, myśl w głowie, ażeby być ojcem z ducha, oświecając niemi ludzkość. Czego wart umysł nie rozsiewający światła wokoło? Mówią o niektórych uczonych, że to są studnie mądrości. Nie studnią to być trzeba, ale gwiazdą, słońcem, które daje światło i ciepło.

A jeśli tak się rzecz ma z życiem przyrodzonem, ze światłem, z miłością; jeżeli dusza przepełniona temi świętościami, potrzebuje wylewać je na zewnątrz i niemi się dzielić, to cóż powiedzieć o życiu nadprzyrodzonem, życiu boskiem, które jest nieskończoną prawdą, nieskończoną jasnością, nieskończoną miłością. I jeżeli jest gdzieś społeczność, mająca to życie w sobie, łatwo będzie ją rozpoznać. Będzie rozbijała krępujące ją tamy, a raczej nie zechce ich uznawać. Dusze, wszystkie dusze, gdziekolwiek one są, oto jej dziedzina. Celem jej zagarnięcie ich wszystkich.

Precz więc ze społecznościami religijnemi, które usadowiwszy się w cichym zakątku doliny, nie doznają potrzeby wyjrzeć, czy niema dusz po drugiej stronie góry! Niema w nich życia. Bo życie musi się udzielać, rozle-

---

[1]) Gen. I, 22.

wać, — a życie nieskończone musi udzielać się wszędzie i bezustanku.

Trzecią cechą życia jest jedność. Życie daje się tylko przez zjednoczenie się i dla jedności. I będą dwoje w jednem ciele[1]). Dziecię, owoc tej jedności, nie narusza jej bynajmniej. Ojciec, matka, dziecię — to przecież jedno. A kiedy znużeni smutkiem życia zapragniemy wytchnienia, szukamy go w zjednoczeniu serc, bo to jest jedyne szczęście nas godne. Światło jednoczy, miłość jednoczy; prawda, życie, wszystko co dobre, wzniosłe i czyste — jednoczy. Poza jednością niema radości, ani siły. Z tego możemy wnosić, czem będą nieskończona światłość, nieskończona miłość, nieskończone życie. Muszą one dawać światu taką jedność, przed którą zblednie każda inna.

Ostatnią nareszcie życia cechą jest świętość. Nawet fizyczne życie, ażeby trwać długo, musi być czystem. Nadużycia są jego zagładą. Najmniejszy upadek moralny, najmniejszy grzech oddziaływa na materjalną stronę naszej istoty, osłabiając takową. Dlatego opiewa poeta zdrową duszę w zdrowem ciele. Mens sana in corpore sano. I gdyby rzeczywiście tak było, gdyby dusza i ciało mogły być bez najmniejszej skazy, życie trwałoby wiecznie.

Tak samo czystem winno być życie umysłowe. Zadaniem jego jest podnosić dusze, odrywać je od ziemi, zbliżać do ideału. Jeżeli nie odpowie temu wzniosłemu zadaniu, wywierać będzie na dusze wpływ zgubny i popychać je na bezdroża.

O ileż więc bardziej czystem powinno być życie boskie! Jest ono z konieczności świętem. Nie może go zaćmić mgła żadna, nie może zepsuć nawet żadne skażenie tych, których zadaniem jest je szerzyć. Odczuwamy to tak dalece, że zawsze mianujemy Kościół świętym: święty Kościół, matka nasza.

---

[1]) Gen. II, 24.

Jedną zatem, świętą, powszechną, niezmienną czyli wiecznotrwałą musi być społeczność, przechowująca depozyt życia boskiego. Jeśli kto spyta, dlaczego każde życie, na jakimbądź stopniu, musi mieć te cechy, odpowiedź na to łatwa: Bóg ma te wszystkie cechy: jest jeden, święty, powszechny czyli nieskończony, przedwieczny czyli wiekuisty. A ponieważ na swój obraz i podobieństwo stworzył każde życie i każde ojcostwo, a Kościołowi powierzył życie najbardziej boskie i najwyższy stopień ojcowstwa, dał mu przez to samo wszystkie te cechy w takim blasku, że nikt nie może ich zaćmić, ani im zaprzeczyć.

## IV.

Oto jakiem jest to życie boskie, które Bóg powierzył swojemu Kościołowi: życie dążące do rozszerzenia się po całym świecie, by zjednoczyć go w prawdzie i uświęcić w miłości.

Ale w jaki sposób ma się rozszerzać to życie Kościoła? Czy będzie to rozkwit cudowny, nagły, dzieło samego tylko Boga? Przeciwnie, i człowiek będzie mu współdziałał. Życie Kościoła podobnem jest do życia przyrody. Człowiek go nie wytwarza. Istniało pierwej, niżeli on, niezmierne, głębokie i niezniszczalne, — ale on to budzi je, niem kieruje, pracą swą i genjuszem czyni zdolnem do wydawania obfitych plonów. Tak samo dzieje się i z Kościołem. Pracuje w nim dwóch wspaniałych robotników, Bóg i człowiek, i człowiek prawie w równej mierze, co i Bóg. Nietylko miłość Boga dla człowieka wzniosła ten wspaniały gmach nacechowany boską pięknością; współdziałała tu z nią i współdziała miłość dusz dla Boga. A raczej obie miłości pracują razem i trudno orzec, której z nich zawdzięcza Kościół więcej piękna.

Rozpatrzmy znowu piękne, znamienne cechy naszego Kościoła i zobaczmy, jaki w nich udział mają nasi pracownicy.

A naprzód, czyjem jest dziełem starożytność Kościoła, jego wiecznotrwałość? Oczywiście dziełem Boga, jego miłości dla dusz. Trzeba było ażeby ludzkość przy narodzeniu swojem, ujrzała Kościół roztaczający nad nią opiekuńcze skrzydła, zlewający na nią swoje nieskończone światło i łaskę; a z drugiej strony należy się, by po najdłuższem chociażby swem istnieniu, znalazła go u swego kresu, jako opiekuna i kierownika rodzaju ludzkiego. To jest udział miłości Boskiej w dziele wiecznotrwałości Kościoła.

Ale kiedy zbłąkani ludzie chcieli zgasić to światło, odepchnąć i zniszczyć tę łaskę, kto oparł się temu? kto zwyciężył czas, prześladowanie? kto utrzymał wiecznotrwałość życia Kościoła, za cenę swojej krwi i życia swojego? Człowiek, miłość jego dla Boga. Ta miłość to stworzyła męczennika. Cóż może być nad to piękniejszego? Oto istota ułomna, obawiająca się cierpienia, mająca zaledwie jedną chwilę życia, a miłująca je całą siłą, a jednak mówiąca Bogu: „Kocham Cię tak, że dla bronienia ciebie, dla całości twojego dzieła, gotów jestem oddać życie. Mam wstręt do cierpienia; pomimo tego dla ciebie wydam członki moje na męczarnie. Chciałbym mieć tysiąc istnień i wszystkie tobie oddać". Oto jest męczennik. A jest ich miljony. Miały ich wszystkie epoki; krwawy to i nieprzerwany łańcuch, ciągnący się od Kalwarji aż do dni naszych. Patrzcie na wiecznotrwałość Kościoła i jej dwóch wspaniałych budowniczych: miłość Boga dla człowieka, czyniąca cuda, by nigdy nie zabrakło ludzkości światła, prawdy i łaski; i miłość człowieka dla Boga, przelewająca krew swoją, ażeby utrzymać nienaruszonem zbawcze dzieło nieskończonej miłości. A kiedy świat stworzony, zwijając żagle, dopłynie już do wieczności, dziełem to będzie tych dwóch miłości, które nie szczędziły niczego, by dokonać wspaniałego dzieła zrzeszenia dusz w świetle i miłości.

Tego samego wrażenia doznajemy, rozpatrując powszechność Kościoła. Miłość to Boża chciała, ażeby nie

był on ograniczonym przez morza ani góry i ażeby sięgał wszędzie, gdzie tylko są dusze ludzkie. Ale miłość człowieka zamiar ten urzeczywistniła. Jakiż byłby wasz zachwyt, gdybyście mogli widzieć, jak miłość Boża działa w duszach, ażeby przywieść je do Kościoła; jak rzuca w nie zbawienne wątpliwości, nastręcza sposobności opatrznościowe; jak utrzymuje w nich dobrą wiarę, czystość, żal za grzechy, przywodząc w ten sposób ku sobie w cieniu, tajemnie, niewidzialnie dla oka ludzkiego, mnóstwo dusz zrodzonych w herezji lub pogaństwie. Boski to widok! Ale niemniejszy byłby wasz zachwyt, gdybyście mogli widzieć wysiłki człowieka, by współdziałać w tem dziele. Posłuchajcie rozlegającego się w obszarach odgłosu kroków misjonarzy. Gdzie ich niema! Wyspy Oceanji, niegościnne wybrzeża Chin, Korei, obszerne lasy Japonji, pełne są tych wysłańców, mających jeden jedyny cel: pomagać Chrystusowi w zdobyciu jak najwięcej dusz. Jeżeli cudownem zjawiskiem jest męczennik, nie ustępuje mu i apostoł. Błogosławione są jego kroki, ręce jego rozsiewają zbawienie. Któż powie, ile tak Franciszek Ksawery przyczynił się do powszechności Kościoła. Kto zliczy dusze ochrzczone przez najpokorniejszego z misjonarzy? Widziano, jak zupełnie nieznanym z pomiędzy nich, ręce opadały ze zmęczenia, po udzieleniu chrztu tysiącom. I tutaj, po dokonaniu czasów, kiedy obie te miłości złączą się w wiecznym uścisku, trudno będzie powiedzieć, która z nich położyła więcej trudów i zasług.

A trzecia cecha Kościoła, — jedność! Bogu czy człowiekowi więcej ona zawdzięcza? Słuchajcie wołania nieskończonej miłości: „Ojcze święty, zachowaj je aby byli jedno, jako i my“[1]). Patrzcie, jak skłania dusze ku duszom, by je złączyć ze sobą i zjednoczyć z Bogiem w świetle, w miłości, w posłuszeństwie, i na tej smutnej ziemi, gdzie panuje anarchja, przeprowadzić wielką i cudowną jedność. Ale też patrzcie, jak i tu

[1]) Joann. XXVIII, 11.

współdziała człowiek. Ileż wspaniałych prac Doktorów Kościoła jedność tę sławiących! Ile ostrożności, by jej nie przyćmić! Ile wyrzeczeń się swoich przekonań osobistych, od odwołań św. Augustyna, aż do poddania się Fenelona! Jaka czuła, głęboka i bohaterska uległość najwyższemu Kapłanowi! Jak pełne miłości ciążenie ku centrowi jedności. Dla przyczynienia się do wiecznotrwałości, do niespożytości Kościoła, człowiek oddał życie. Dla rozpowszechnienia go opuścił kraj i rodzinę. Dla utrzymania jego jedności poświęca swoje osobiste pojęcia, przekonania, systemy — wszystko to, o co mu nieraz więcej, niż o życie chodzi. Tak więc Kościół się wznosi, dzięki tkliwej miłości Boga i ofiarności człowieka. Bóg daje swą potęgę, człowiek swoją krew, krew duszy więcej jeszcze, niż krew ciała.

Wszystko to jest może jeszcze widoczniejszem, kiedy chodzi o świętość. Któż wypowie wszystkie cudowne sposoby Boga dla uświęcenia człowieka? Ale również kto potrafi odmalować gorliwość, z jaką człowiek odpowiada na te boskie wezwania? Łaski wewnętrzne, sakramenta, obecność rzeczywista Pana Jezusa nieustanna, sięgająca do najnędzniejszych wiosek, trybunał pokuty i komunia święta — przez te wszystkie cuda nieskończona miłość pracuje nad uświęceniem dusz. A z drugiej strony święte śluby zakonne, posłuszeństwo jednych, dziewictwo drugich, apostolstwo innych, a jeszcze innych pokuty i ofiary, wszystko to są sposoby, przez które człowiek utrzymuje i rozszerza świętość Kościoła. Pod działaniem słońca miłości Boga dla człowieka, pod błogosławieństwem rosy miłości człowieka dla Boga, rozkwitają największe cuda, jakie człowiek mógł kiedykolwiek pojąć. Czemże są kwiaty naszych ogrodów, czem gwiazdy naszego nieba, wobec duszy takiej świętej Cecylji, św. Róży, św. Teresy; wobec męstwa takiego świętego Wawrzyńca, anielskiego ducha św. Augustyna i św. Tomasza? Wszystko stworzone blednie wobec Kościoła i czujemy, że wszechświat, z całą swoją wspaniałością, jest tylko rzeczą drugorzędną,

jak owe piękne ramy, odrabiane artystycznie dlatego tylko, ażeby były godne obrazu, który mają okalać.

Nie brońmy więc sercom naszym uczucia dumy słusznej i dozwolonej. Że Bóg zbudował Kościół, a uczynił go jednym, świętym, powszechnym, wiecznym, — nic dziwnego. Cechy to nieodłączne od jego boskiej istoty, a których ślady odnajdujemy i w świecie materjalnym. Ale wezwał człowieka do współdziałania w takiem dziele i że człowiek nie wywiązał się źle z tego zadania; że człowiek przemijający jak błyskawica, przyłożył się, i to potężnie do wieczności Kościoła; że człowiek, punkt mały w przestrzeni, pracował i pracuje codzień nad niezmierzonością Kościoła; że człowiek, o umyśle pełnym ciemności, o sercu pełnem słabości grzesznej, współdziałał i współdziała świetlanej jedności i świętości Kościoła; że jesteśmy do tego dzieła wszyscy powołani, nietylko biskup i kapłan, ale zwykły wierny, ale cicha niewiasta; to jest jednym z tych cudów, których nie znamy chyba dostatecznie, jeżeli nie wielbimy kornie Tego, który w swych dziełach okazuje więcej jeszcze czułości, niż wielkości.

## V.

Te główne cechy Kościoła, jedność, powszechność, świętość, wieczność, tworzą jego aureolę. Są to jakgdyby cztery diamenty jego korony. Gdyby one dawały odrazu wszystkie ognie z całym blaskiem, do jakiego są zdolne, piękność Kościoła byłaby tak wielka, że uniemożliwiałaby wiarę. Widzielibyśmy; nie moglibyśmy już mówić: Wierzę w święty Kościół. To też Bóg nie zapalał naraz tych wszystkich świateł. Miarkuje On blask ich z wysokim artyzmem. Kiedy jedna cecha przyćmiewa się, druga silniej rozbłyska. Powszechność nie zawsze istniała, ale wówczas świętość była najwidoczniejszą. W wieku X zbladła świętość, za to jaśniały jedność i powszechność. Skoro w wieku XV jedność zostaje przesłoniętą

przez wielką schizmę Zachodnią, wzmaga się świętość i powszechność. Wiekuistość boska Kościoła, wiecznotrwałość, nie może nigdy zniknąć, ale podlega tak nieustannym i zażartym napaściom, że chwilami potrzeba odwagi, żeby w nią wierzyć.

Te przemijające i częściowe zaćmienia wynikają z planu Bożego. Potrzeba było naturalnie, by Kościół ukazał się jaśniejący światłością, inaczej ludzie nie mogliby uznać w nim boskości. Ale z drugiej strony światło to nie powinno było być nazbyt żywem, bo inaczej gdzież byłaby wolna wola i co zatem idzie, zasługa? Trzeba było, ażeby człowiek mógł widzieć albo nie widzieć, stosownie do swego wewnętrznego usposobienia. Dosyć światła dla oświecenia pokornych; dosyć cieni dla zaślepienia pysznych. Ani całkowite promieniowanie boskości, ani brak jej zupełny; wszędzie Bóg ukryty, iżby wiara miała więcej zasługi, a miłość słodyczy. To jest plan Stwórcy.

Ażeby rzucić cienie na jasność Kościoła, Bóg nie potrzebował, niestety, nic więcej, jak zostawić nam swobodę działania. Jeżeliśmy pomogli do rozwoju i blasku boskich cech Kościoła, aż nazbyt często działaliśmy także dla ich przyćmienia; i więcej może wypada nam udział nasz opłakiwać, aniżeli zeń się radować.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

## O życiu Kościoła (fakty).

### Boska niezmienność Kościoła.

Zajrzyjmy teraz do historji i zobaczmy, czem w istocie było owo życie Kościoła, na które złożyły się te sprzeczne napozór, a jednakże wspaniałe pierwiastki: niezmienność i postęp.

Daremnie ludzie chcieli pociągnąć Kościół za sobą, by szedł z wiekiem, narzucić mu życie swojej epoki: jest on niezmienny w jestestwie swojem, niezmienny w świetle i niezmienny w miłości.

Daremnie inni starali się go unieruchomić, przykuć do miejsca, skazać go na trupią bezwładność: jest z nim postęp w jestestwie, postęp w świetle i postęp w miłości.

Przez te obie cechy cudownie połączone odnosi on zwycięstwo nad wrogami, a dzieciom swoim daje dowód, że ma w sobie życie prawdziwe. W nim był żywot[1]. Przekonywa zaś dostatecznie i zachwyca dzieci swoje, przez wspaniałe tego doskonałego żywota owoce: jedność, powszechność, świętość.

Zacznijmy tedy od rozważania niezmienności Kościoła.

### I.

Gdyby nawet zgłębienie budowy Kościoła i jego pierwiastków składowych nie wykazywało jasno, że Kościół

[1]) Joann. I, 4.

winien być niezmiennym, wskazywałby to sam rozum. Kościół, to prawda; a przecież prawda jest niezmienna. Straży Kościoła powierzone jest słowo Boże, a przecież Bóg nie mówi dziś tak, jutro nie. Nadto, dla kogóż to powierzony został Kościołowi ten cenny depozyt? Dla dusz, dla wszystkich dusz, czy żyły one w zaraniu świata, czy też mają zmierzch jego oglądać. A przecież wszystkie te dusze mają to samo prawo do prawdy, te same obowiązki, tak samo powinny wierzyć. Zatem i przedmiot ich wiary powinien być jeden i ten sam. Nie można nauczać jednych dusz wręcz przeciwnie temu, czego się uczyło drugie. Nareszcie któż ustanowił Kościół nato, ażeby uczył dusze prawdy? Chrystus, Słowo wcielone. On sam natchnął Ewangelje, ustanowił rozmaite stopnie hierarchji kościelnej, dał skuteczność sakramentu. Nikt więc nie ma prawa tknąć tego wszystkiego, pod karą stracenia wiary w skuteczność przywiązaną do formuł, jeżeli te nie będą już temi samemi, jakie ustanowił Chrystus.

Taką była wiara Kościoła po wszystkie czasy. Zawsze i wszędzie znajdziecie we wszystkich umysłach pewność najzupełniejszą, niezwyciężoną, że w organizacji Kościoła nie mogą nic zmienić ludzie, ani nawet sobór powszechny, ani nawet sam papież. Kościół jest niedościgły dla wielkich pokuszeń i zamachów ludzi. Ustanowił go Jezus Chrystus, jako Bóg i władca, sam bez pomocy ludzkiej, to też nikt, prócz Niego samego, nie ma nad nim władzy.

I nietylko, że owa niezmienność Kościoła jest artykułem wiary katolickiej; wierzą nadto wszędzie w tę potrójną niezmienność, o której dopiero co wspomniałem: niezmienność istności, niezmienność światła i niezmienność miłości. Potrójna ta niezmienność leży w naturze Kościoła.

Naprzód, Kościół jest społecznością dusz. Stąd pierwszym jego składowym pierwiastkiem, niewzruszonym i niezniszczalnym jest jego organizacja hierarchiczna. A któż kiedy pomyślał, że episkopat mógłby

zastąpić papiestwo, albo też władza papieska i biskupia mogłaby znieść kapłaństwo? Rzecz to niemożliwa.

Nadto jest Kościół społecznością dusz w światłości i w miłości. Drugim tedy jego niewzruszonym pierwiastkiem składowym jest powierzony mu depozyt prawdy. Któryż katolik ośmieliłby się nauczać, że Kościół mógłby, bodaj na soborze powszechnym, usunąć jaki artykuł Składu apostolskiego, albo ustanowić dogmat nowy? Wierni w Konstantynopolu, słysząc jak ich arcybiskup zmienił jedno słowo w Ewangelji, oburzyli się i oskarżyli go; — skoro się zaś tenże przy swojem upierał, został złożonym z godności.

Nakoniec, Kościół jest to społeczność dusz w miłości Bożej. Jego trzecim składnikiem jest zatem prawo moralne, łaska pomagająca do przestrzegania go, siedem sakramentów udzielających tej łaski. Któż powie, albo któż kiedy powiedział, że Kościół może odrzucić któryś artykuł prawa moralnego, ustanowić albo znieść jaki sakrament? Wszystko to jest poza obrębem człowieka, ponad nim, niewzruszone, wieczne, granitowe, nietykalne, noszące na sobie piętno Boga samego. Taką jest wiara Kościoła.

Zresztą obstając za niezmiennością składowych pierwiastków, nie żądamy nic nad to, co jest prawem powszechnem. Wszystkie istoty, nawet najbardziej podległe postępowi, mają w sobie część stałą, niewzruszoną, stanowiącą o ich tożsamości. Iluż przemianom podlega dziecko, nim stanie się człowiekiem dojrzałym, a następnie starcem! Ale jest to ta sama istota, ten sam organizm, to samo bicie serca i pulsowanie arterji, ta sama działalność płuc, ten sam układ kości i nerwów. Spróbujcie zmienić to wszystko! Najśmielsi nie kusili się o to, składając tem hołd nieskończonej wszechmocy Tego, który stwarzając istoty żyjące, uczynił to w sposób przez nikogo niedościgniony. Tak się ma rzecz i z Kościołem. Ani papież, ani biskupi nie mogliby zmienić jego budowy hierarchicznej,

doktrynalnej i sakramentalnej. Ani cesarze, ani rzeczpospolite nie mogłyby jej zniszczyć. Kościół kroczy ze stulecia w stulecie zawsze identyczny, zawsze nieporuszony, codzień bogatszy, a nie zmieniający się nigdy, ofiarując wszystkim duszom na wszelkich punktach czasu i przestrzeni tę samą światłość i tę samą miłość.

## II.

Trzeba jednakże przyznać, że o ile żądanie nasze niewzruszoności składowych pierwiastków Kościoła jest proste, naturalne i konieczne, o tyle też jest niesłychanie trudne do urzeczywistnienia. Człowiek jest tak zmienny, tak chciwy nowości, tak prędko obalający dziś to, co czcił wczoraj, tak w różnych miejscach, wiekach i cywilizacjach różnym! Należało więc, aby Chrystjanizm, nie zmieniając się nigdy sam, zawsze go zadawalniał. „Trzeba mu będzie, mówi ksiądz Perreyve, zadowolnić kolejno Żydów, Greków, Wschód, Egipt, Rzym, Galję, Germanję, Brytanję, barbarzyńców i wszystkie narody przyszłości".

„Ludzie o umysłach najróżnorodniejszych będą sobie podawali z rąk do rąk pochodnię tej wiary; i pomimo zmiennych losów, nie ulegnie ona najmniejszej zmianie.

„Taką samą będzie w ustach Origenesa ze Wschodu, prawnika Tertuliana, platończyka Justyna, eklektyka Klemensa, mówcy Chryzostoma, filozofa Augustyna. Przyjmą ją dusze marzycielskie i poetyczne ze św. Grzegorzem Nazjanzeńskim, a dusze ze stali ze św. Atanazym. Z subtelności szkoły aleksandryjskiej przejdzie bez zmiany do pism św. Leona, św. Grzegorza, tych Rzymian poważnych i ścisłych, u których przemaga zmysł praktyczny i zdrowy rozsądek.

„A oczyściwszy świetny genjusz Greków, uświęciwszy prawy i potężny rozum Rzymian, trzeba będzie, by ta sama nauka mogła z biegiem czasu oświecać barbarzyńców,

żeby była zrozumiałą dla okrytych skórami Franków, przyjętą przez Gotów i Wandalów. Z wdzięcznych portyków Partenonu i z wonnych gajów Akropolu, zejdzie na skały Armoryki, na zimne morza Skotów i do lasów Gryzonów. Oderwawszy dusze Koryntjan i Ateńczyków od złotych snów liry Hezjoda i Homera, będzie musiała w dzikiej i rozbujałej wyobraźni ludów Północy, zastąpić mitologję skandynawską i surowe bóstwa Eddy.

„Skoro połączenie się genjuszu greckiego z chytrością barbarzyńską da początek scholastyce, ta sama nauka powinna i tutaj być stosowana; powinna dać materjał do subtelnych sporów średniowiecznych, podołać ruchliwości szkół i przebudzeniu się rozumu; powinna mieć dosyć siły, żeby rozniecić a potem miarkować zapał rycerstwa i takowym rządzić, jakoteż dawać natchnienie wielkim rycerskim epopejom.

„Potem nadejdzie odrodzenie i Kościół poraz drugi będzie musiał powstrzymywać świat w upojeniu wieku piętnastego tak, jak utrzymywał go, koił i urządzał w ciemnościach najazdów barbarzyńskich. Dokona szczęśliwie tego niebezpiecznego dzieła, pozostając zawsze niewzruszonym i wiernym sobie, a pod pędzlem Rafaela i dłutem Michała Anioła ujrzy siebie takim samym, jakim był pod łukami starych opactw w Chartres, w Saint-Quen w Westminsterze.

„Cóż jeszcze mam dodać? Gdy zostanie odkryty za oceanem świat nowy, Kościół będzie musiał i tam przeniknąć, a jego nauka, stosowna do państw dwunastego stulecia, będzie obowiązaną uzacniać i uświęcać obywateli Waszyngtonu"[1]).

Już to jest zdumiewające, ale nie na tem cud się kończy. Zmieniają się nietylko ludzie, ale pojęcia, nauki, potrzeby umysłu. Kościół musi zatem stosować się do postępu nauk, przemysłu i do odkryć wszystkich wieków.

---

[1]) L'abbé Perreyve, Entretiens sur l'Eglise catholique, 2 vol. in 8-o, Paris, Douniol, 1865, t. I, p. 430.

„Nadejdzie Bakon, a później Kepler, Newton, Leibniz, po nich zaś Buffon, Geoffroy, Saint-Hilaire, Cuvier, Burnouf, Humboldt. Ukażą się nowe nauki. Etnografja i lingwistyka tak się rozwiną, że będą to już poniekąd nauki zupełnie nowe. Będą odkrywać coraz więcej prawd odnoszących się do początków ludzkości, do pierwotnych różnic języków i ras, jako też do pierwszych wielkich wędrówek narodów. Zbadają Wschód, odnajdą w łonie ziemi i w ruinach odwieczne napisy; nauczą się je odczytywać. Czasy ewangeliczne będą poznane wkrótce lepiej, niżeli my dzisiaj znamy wiek XVI. Wszystko będzie tam wyjaśnione i najmniejszy błąd nie będzie mógł przejść niepostrzeżenie. Czy przyszłoby komu na myśl, że Anglik M. J. Smith, przeprowadzi długą i cierpliwą krytykę podróży św. Pawła, opowiedzianych w Aktach Apostolskich, krytykę ze stanowiska marynarskiego; zastanawiając się nad każdym szczegółem tych podróży, nad każdym ruchem statku, nad każdym okrążonym przezeń przylądkiem, nad każdym powiewem wiatru i manewrem okrętu, i badając wszystko ze stanowiska geografji nowożytnej, róży wiatrów, starożytnej sztuki nawigacyjnej, jakby badał dowódzca floty d z i e n n i k  o k r ę t o w y jakiegoś kapitana statku. Takich prób nie przewidywał zapewne św. Paweł, ani historyk jego św. Łukasz.

„To samo, co o postępie naukowym, rzec należy o ruchu historycznym, społecznym, przemysłowym. Dokonają się olbrzymie zmiany w położeniu ludzi. Jakże wobec tak radykalnych przewrotów, ostają się zasady dane przez chrześcijaństwo za czasów Nerona, jak podstawy stosunków bogatych i ubogich, panów i sług, mężów i żon, panujących i poddanych; czy będą jeszcze możebne za św. Ludwika i za Ludwika XIV? Czy można je będzie uznawać po roku 89 i rewolucji francuskiej?“[1]).

---

[1]) L'abbé Perreyve, E n t r e t i e n s  s u r  l'E g l i s e  c a t h o l i q u e, t. I, p. 441.

Oto próba stanowcza, rozstrzygająca. Jeżeli chrześcijanizm wyjdzie zwycięsko, zastosowując się do wszystkich potrzeb, a nie zmieniając się w niczem, będzie to najlepszym dowodem jego boskości. Ale to chyba niepodobna. Napaści, na jakie będzie narażony, nie oszczędzą niczego. Ludzie będą usiłowali zmieniać go, naginać, obalać, udoskonalać; każda jednostka według swoich namiętności, każdy wiek według swoich idei społecznych i politycznych; a przyjaciele jego będą mu tyleż groźni, co i nieprzyjaciele, biskupi jego i kapłani tyleż, co jego prześladowcy i kaci. Zajrzyjmy do historji i przypatrzmy się rozkiełznaniu wszystkich namiętności ludzkich, na jego zgubę i jego zwycięstwa.

## III.

Świat posiada dwie siły: siłę ciała i siłę myśli; a ponieważ ludzie składają się nietylko z umysłu i ciała, ale mają także serce, istnieje i trzecia siła od dwóch tamtych groźniejsza: siła namiętności. Któż się kiedy oparł zgodnemu tych sił działaniu? Jakież najbardziej trwałe instytucje nie zachwieją się pod tchnieniem idei, nie zgoreją w ogniu namiętności, nie upadną pod naciskiem przemocy? Jeden tylko Kościół przetrwał bez najmniejszego naruszenia całości swojej te wszystkie napaści, działające czy to kolejno, czy jednocześnie.

Pierwsza z tych trzech sił, siła ciał, ma za godło i narzędzie — miecz, rzecz zarazem najszlachetniejszą i najnikczemniejszą. Szlachetną — kiedy broni całości ojczyzny, nikczemną — skoro przemocą narzucać chce wiarę i przekonania. Otóż Kościół od dziewiętnastu wieków ma na gardle ten miecz nikczemny, miecz przemocy.

Po raz pierwszy zimno tego miecza poczuł na Kalwarji, że pominę czasy faraonów, Nabuchodonozora i innych prześladowców przed przyjściem Chrystusa, — na Kalwarji, gdzie założyciel jego i Wódz skonał na szubie-

nicy. Apostołowie poginęli równie sromotnie; a po nich miljony chrześcijan. Poddawajcie rzecz jakiej sobie chcecie krytyce; zmniejszajcie liczbę męczenników; przedstawiajcie dowolnie charakter prześladowców. Przerabiajcie Nerona, brońcie Tyberjusza, fałszujcie Dioklecjana; nie zmieni to faktu, że przez trzy stulecia chrześcijanie nadstawiali głowy, a miecz prześladowców spadał na nich bez miłosierdzia, zapamiętale, aż wyszczerbił się i wypadł sam z ręki zmęczonych katów, przy okrzyku upokorzonej wściekłości ostatniego z prześladowców: Z w y c i ę ż y ł e ś G a l i l e j c z y k u!

Wszystkie narody i wszystkie rządy naśladowały ten przykład cesarstwa rzymskiego. Wszędzie Kościół napotykał ostrze prześladowczego miecza, zarówno pośród narodów barbarzyńskich, na brzegach Renu, Dunaju, Wisły, Dniepru, jak nad morzem Kaspijskiem, wśród fanatycznych wyznawców Mahometa, jak w Ameryce, w Chinach, w Kochinchinie, Japonji i w Korei. Zawsze przemoc, ohydna przemoc siły naturalnej. Dziesięć prześladowań chińskich, że nie wspomnimy innych, dorównały najgorszym prześladowaniom rzymskim. Zawsze musiał Kościół krwią okupywać wstęp do nowego kraju.

I gdyby to tylko pogańscy władcy zwracali przeciw Kościołowi ten miecz ohydny! Ale jak tylko wypadł on ze znużonej ich prawicy, podnosili go natychmiast inni, którzy nie powinniby nigdy go dotykać. Od Konstancjusza do Fryderyka Barbarossy, od Henryka III niemieckiego i Filipa Pięknego do Ludwika XIV, od tegoż do konwencji, od konwencji do komuny, któż nie podnosił na Kościół ręki? I nie dziwmy się temu. Skoro człowiek widzi coś napozór słabego, bezbronnego a jednakże niezwalczonego, bo boskiego, — jeżeli chce tę potęgę nagiąć do swojej woli, zmieniać, kierować nią, a nie może tego dokazać, odczuwa urazę, a potem gniew. Sięga po miecz i mówi: „Trzeba raz z tem skończyć". I wtedy następują prześladowania, wyjęcia z pod praw, więzienia i wygnania, stanowiące zwykły orszak Kościoła, krwawy

a wspaniały. Ileż to już razy uciekano się do tego wszystkiego! A mimo to, czegóż przeciw niemu dokonano? Co zyskali wszyscy ci gwałtownicy, wszyscy zbrojni prześladowcy. Oto shańbili się tylko sami. „Zyskali to, mówi wymownie Montalembert, co się zyskuje uderzając kobietę, matkę. Mówi wam ona: Uderzcie, ale mnie nie zwyciężycie, a shańbicie sami siebie"[1]).

Oto co nasamprzód dostrzegam w historji Kościoła. Przyglądając się ze wzruszeniem i uwielbieniem bliznom tego miecza przemocy na szyi naszej ukochanej Matki, witam w niej pierwszą dziewiętnastowiekową niezmienność: niezmienność jestestwa.

## IV.

Należy jednakże oddać sprawiedliwość ludzkości. Chociaż używa gwałtów, wstydzi się ich następnie; widzi i uznaje całą ich bezużyteczność, mimo że później chwyta się ich znowu. Okrywa nawet hańbą pamięć prześladowców. W takich chwilach przenosi spór na grunt idei. To już lepsze zaiste. Czy można rozstrzygać mieczem takie zagadnienia, jak Bóg, dusza ludzka, życie wieczne? Słusznie mówił ów odważny deputowany na stopniach Konwencji: „Będziecież widzieli jaśniej po ucięciu mi głowy?" Niechże więc ludzkość odrzuci brutalną siłę, która nic nie dokazała przeciw Kościołowi, tylko opromieniła go blaskiem męczeństwa, i niech spróbuje, czy więcej zdoła osiągnąć potęgą myśli.

Bo też myśl groźniejsza jest daleko od miecza. Miecz, tak samo jak ręka, która się nim posługuje, jest znikomy. Ale idea raz zrodzona jest wieczna: uderza na świat, wzrusza go z posad i niczem nie daje się powstrzymać. Prześladowanie Nerona i tylu innych nowoczesnych ty-

---

[1]) Discours du 19 octobre 1849, Oeuvres complètes, t. III, p. 289.

ranów przeminęło wraz z nimi. Kiedyż się skończą prześladowania Lutra, Rousseau'a, Voltaire'a? Dlatego też, by wypróbować boską niezmienność Kościoła, niedosyć było napaści sił materjalnych; trzeba jeszcze było, by stanęły przeciw niemu siły intelektualne.

I walka ta prowadzoną jest nadzwyczaj umiejętnie i na wszystkie sposoby. Oto już dziewiętnaście stuleci, jak Kościół spotyka się z przeczeniami najzuchwalszemi, najprzewrotniejszemi, i to z ust największych genjuszów. Czemuż już nie zaprzeczano? Z czego nie szydzono? Czego nie zwalczano? Wszystko w Składzie Apostolskim, wszystko w Dziesięciorgu Przykazań, wszystko w konstytucji Kościoła. A że broń ducha przewyższa o całe niebo broń, która umie tylko ścinać głowy, któż wypowie ilość, rozmaitość, wielkość i piękno tych walk? A jednakże cóż osiągnięto? Czy stracił moc chociaż jeden artykuł Składu Apostolskiego? Czy trzeba było choćby jeden wyraz z nauk Kościoła wyrzucić, zaprzeć się go? Zdarzało się to w nauce, w filozofji, w prawie; wszędzie trzeba było odrzucić coś, w co wierzono niegdyś, a czego obecnie uznać niepodobna było. W Kościele nic podobnego. Ani jeden punkt nie jest dziś i nie okazuje się oczom naszym innym, aniżeli przed wiekami.

„Państwa nie mogłyby istnieć, mówi Pascal, gdyby nie naginano często praw wedle konieczności. Ale Kościół tego nigdy nie dopuszczał i nigdy tak nie czynił. Trzeba więc albo ustępstw, albo cudów... Rzecz naturalna, że naginając się, ratujemy naszą egzystencję; ale że Kościół bez żadnych ustępstw utrzymał się nienaruszony, na to trzeba było boskości"[1]). Herder zaś mówi: „Nigdy Rzym nie uchylił głowy przed żadną herezją, choćby nie wiem jak potężną i groźną. Cesarze Wschodu, Ostrogoci, Wizygoci, Burgundowie i Lombardowie byli arjanami; napróżno atoli grozili Rzymowi i kilkakrotnie nad nim panowali: Rzym pozostał katolickim. Wreszcie

[1]) P e n s é e s, II-e partie, art. 4 et 6.

odłączył od siebie Kościół grecki, nie bacząc na to, że owo odłączenie odbiera mu połowę świata"[1]).

A podczas kiedy Kościół trwał niewzruszony i niezwyciężony, cóż się stało z tymi, którzy dali się unieść duchowi nowości? Gdzie systematy Arjusza, Nestorjusza? Gdzie nawet nauki Lutra, Kalwina, Bajusa, Jansenjusza? Czegóż jeszcze więcej możecie dzisiaj dokazać? Przeczyć istnieniu Jezusa? Przeczono mu i przed wami. Napastować Kościół? Czyniono to przed wami i lepiej od was. Ich los i was oczekuje. Legniecie w tym samym pyle zapomnienia i pogardy.

A my, dzieci Kościoła, chyląc czoło przed blizną naszej Matki, pozostawioną przez bezsilny miecz przemocy materjalnej, uczcimy jednocześnie bliznę po zamachach jeszcze bezsilniejszych umysłu ludzkiego, po jego zaprzeczeniach i sofizmatach, jako świadectwo drugiej niezmienności. Wobec siły brutalnej — niezmienność jestestwa; wobec siły umysłu — niezmienność nauki.

## V.

Oprócz tych dwóch groźnych wrogów, ma Kościół jeszcze trzeciego, najniebezpieczniejszego: w namiętnościach ludzkich. A owe, szerzące rozkład i zniszczenie, namiętności tkwią nietylko w jego wrogach, ale i w jego dzieciach. Całą jego usilnością jest zwalczanie ich i przytłumianie. Nie zawsze skutek wieńczy te usiłowania. Były epoki fatalne, kiedy zło rozwielmożniło się w Kościele do tego stopnia, że budziło uczucie upokorzenia i trwogi. Skalało suknię jego kapłanów; zachwiało serca zakonników; rzuciło nawet cień na czoło najwyższych pasterzy. Przyznajemy to, a pomimo że nieprzyjaciele Kościoła dopuścili się przesady co do tych nadużyć, przyj-

---

[1]) Herder, Idées pour la philosophie de l'histoire de l'humanité, tom. IV, p. 19.

mijmy je tak, jak je nam oni podają. I jakiż tego wynik? Czy zginęła w Kościele święta miłość? Czy odjętym mu został święty skarb łaski i cnoty? Zaprawdę nie. Nawet w owych smutnej pamięci czasach, nawet wobec skalania swych naczelników, Kościół miał zawsze pełną świadomość dobrego i złego. Zawsze widział zło w całej jego rozciągłości i najsubtelniejszych odcieniach; i zawsze nienawidził go, odrzucał i potępiał, nawet w swoich występnych przywódcach. Nie kapitulował przed niem nigdy. Możnaby się było obawiać, że pod rządami takiego Aleksandra VI nauka Kościoła obniży swój poziom. Bynajmniej: wszystkie bulle tego papieża są bez zarzutu, tak jak sobory wieków IX i X. Biskupi winni symonji, zgromadzeni na soborach, potępiali symonję; biskupi cudzołożni głosili prawo czystości kapłańskiej, jakgdyby przez ich usta przemawiał duch od nich czystszy.

Przypatrzcie się dobrze temu widokowi, bo godny on jest nieustającego uwielbienia. Oto ten Kościół ma dzisiaj 45,000 kapłanów we Francji, 30,000 we Włoszech, 40,000 w Niemczech, 200,000 na całym świecie, a miał ich w średnich wiekach dwa razy tyle, a od swojego początku miljardy — i temi wszystkiemi miljardami głosów bezprzestannie nauczał ludzkość nienawidzić zło, a wykonywać dobro. Kościół ten, współczesny wszystkim rasom ludzkim, towarzysz podróży wszystkich ich narodów i pod każdem niebem, musiał zawsze rozstrzygać wszystkie ich trudności moralnej natury, ich wątpliwości, skrupuły i drażliwości sumienia; i przemawiając miljonami głosów, przez dziewiętnaście wieków nie uchybił nigdy najsurowszym zasadom moralności i ani na jotę sobie się nie sprzeciwił. To rzecz nigdzie nie widziana i nie słyszana. Chwiali się wszyscy filozofowie starożytności. Chwiali się założyciele wszystkich religij, wszyscy herezjarchowie czasów nowszych. Kościół nigdy. Ani jednej cnoty nie poświęcił, ani jednej zasady się nie wyrzekł, ani jednej namiętności nie uprawnił. Nigdy ani słowem, ani milczeniem, w najnieszczęśliwszych czasach, nie uczynił naj-

mniejszego wyłomu w całości powierzonej sobie nauki. Wspaniały widok przedstawia taka dziewiczość nauki, wpośród nieprawości ludzkości zwyrodniałej! Przychodzi na myśl ewangeliczny obraz lilji, kwitnącej na śmietnisku.

Nietylko zachował Kościół w całości powierzony sobie skarb cnoty i łaski, ale nadto nie przestawał przyczyniać się do jego rozkwitu. Nawet w owych najgorszych czasach, stworzył on mnóstwo instytucyj najzbawienniejszych. Ze środowiska złych obyczajów, potrafił wywołać tylu wielkich świętych. Jak te dziewice, które wleczono do miejsc hańby, Kościół przetrwał najgorsze epoki nie tracąc swojego dziewictwa, zachowując nienaruszone: swą pokorę, czystość, zaparcie się siebie, szczytną miłość Boga i ludzi. Nic nie mogło pozbawić go tych boskich darów; i my, jego dzieci, ze wzruszeniem i dumą witamy w nim trzecią niezmienność. Wobec brutalnej siły, niezmienność jestestwa; wobec ścierania się najróżnorodniejszych idei i prądów, niezmienność nauki; wobec rozpraszania się namiętności, niezmienność miłości.

## VI.

Najcudowniejszem zaś może jest to, że owa potrójna niezmienność spoczywa na jednym jedynym człowieku. Na jednym człowieku, tak z natury swojej niestałym, tak przez owo wysokie posłannictwo narażonym na wszelkie burze. Papież, to wcielona Kościoła niezmienność, wiekuistość. Wszystkie inne Kościoły mogą upaść; jeden Kościół Piotrowy jest od tego z a b e z p i e c z o n y. Wszystkie następstwa apostolskie mogą się poplątać, albo ustać, jedno tylko nigdy nie ustanie. Zawsze po papieżu będzie następował papież i zawsze od jednego do drugiego Kościół będzie przechodził nietknięty, niewzruszony, niezmienny, aż do końca wieków niezmienny.

W ten sposób Kościół będzie miał zawsze niezmienny typ, z którym będzie musiał się porównywać każdy Ko-

ściół poszczególny, dla przekonania się, czy się nie zmienił w ciągu wieków, choćby bez swojej woli i wiedzy.

W ten sposób także każdy Kościół poszczególny, który winien być apostolskim, czyli wznosić się od swoich obecnych pasterzy nieprzerwanem następstwem aż do apostołów, będzie miał niewzruszony i autentyczny punkt wyjścia, skąd będzie mógł odszukać i odbudować swoje następstwo apostolskie, jeżeli zostało przez czas przyćmione lub zniweczone.

Spójrzcie z tego stanowiska na następstwo biskupów rzymskich. Przeprowadźcie je od św. Piotra do św. Klemensa, św. Grzegorza, św. Inocentego, aż do Leona XIII; od tego ostatniego cofnijcie się do Piusa IX, Grzegorza XVI, Benedykta XIV, aż do św. Piotra. Jaki szereg ciągnący się bez żadnej przerwy! Jest to jakgdyby kolumna pacierzowa Kościoła, do której są przytwierdzone wszystkie żebra, wszystkie nerwy, naokoło której krążą wszystkie soki żywotne. Jakie ułatwienie w orjentowaniu się w ciągu wieków. Jaka łatwość odnalezienia tych punktów stycznych, w których Kościoły łączą się! Ale i jaka śmiałość w Tym, który zdziałał ten cud. Wszak, ażeby sprowadzić śmierć żywego organizmu, dosyć jest złamać jego kolumnę pacierzową, a nato dosyć jednego uderzenia; a oto wiedzą o tem nieprzyjaciele Kościoła, to też któż się nie rzucał na papiestwo: wszyscy mocarze ziemscy, ponieważ papież jest wcieleniem niewzruszoności hierarchji; wszyscy heretycy i schizmatycy, ponieważ wciela w sobie niewzruszoność sakramentalną. I to trwa od osiemnastu stuleci! Przeciwko tym wszystkim napaściom jeden tylko człowiek, którego życia nic nie broni i który do tego umiera od czasu do czasu, zostawiając tron Piotra niezajętym, więc tem łatwiejszym do obalenia. Ale ani gwałt ani podstęp nie przemogły namiestników Chrystusowych i dzisiaj po 1925 latach witamy w Piusie XI 263-e ogniwo kolumny pacierzowej Kościoła, zawsze zagrożonej a nigdy niezłamanej, zawsze niewzruszonej, żyjącej i życie dającej.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

### O życiu Kościoła (fakty).

---

**Boski postęp Kościoła: 1) Postęp jestestwa.**

Piękna jest ta niezmienność, ta gruntowna trwałość. Kościół ma wszakże coś jeszcze nad to piękniejszego: oto postęp, oto stopniowy i nieustający rozwój. Mówimy zawsze o niezmienności Kościoła; nie zapominajmyż i o jego dążeniu naprzód. To jego znamienne piękno, to cud nad cuda.

Bezwątpienia mógł Stwórca sam Kościół swój stworzyć i wykończyć, ale wolał do tego wykończenia użyć współdziałania człowieka. Było to delikatniej, tkliwiej i zgodniej z naturą człowieka czynną i interesującą się przedewszystkiem dziełem rąk własnych. Znacząc zatem składowe pierwiastki Kościoła boską cechą niezmienności, dał je światu w stanie zarodkowym, jako nasiona, powierzając człowiekowi staranie o ich uprawę i rozkwit.

Bo i czemże jest Kościół wychodzący z Wieczernika?

1) Pod względem swego j e s t e s t w a, jest to małe nasionko, powierzone ludzkiej pieczy i gorliwości, które będzie się rozwijało bezustanku trudami misjonarzy i męczenników, aż rozwinie się w olbrzymie drzewo osłaniające całą ziemię.

2) Pod względem n a u k i, małe nasionko powierzone ludzkiemu umysłowi, które przez pracę mędrców będzie się rozwijało, będzie rzucało światło codzień żywsze, aż ogarnie wszystkie dusze i połączy je w taką jedność, jakiej świat nie domyślał się nawet.

3) Pod względem miłości, małe nasionko powierzone ludzkiemu sercu, które pod wpływem rozmyślań świętych będzie się rozwijało i wzrastało, aż powoli oderwie człowieka całkiem od ziemi, uszlachetni go i całkowicie z Bogiem połączy.

Postęp ten potrójny i wspaniały, przez wiele wieków będzie wyczerpywał siły ludzkie, aż się dokona pod tajnym wpływem Jezusa Chrystusa, jako widzialnego naczelnika Kościoła, a pod jawnym nadzorem i przewodnictwem papieża, jego naczelnika widzialnego.

Nie opisywać, ale opiewaćby to należało, bo jest to poemat, poemat miłości Boga dla człowieka i człowieka dla Boga.

Przystępujemy tedy do rozważania tego boskiego postępu Kościoła, zaczynając od rozwoju jestestwa.

## I.

Otóż kiedy Kościół wychodzi z Wieczernika, jakimże przedstawia się oczom naszym? Jako małe nasionko ukryte w ziemi. Przez trzy wieki depczą po niem, naprzód nie dostrzegając go, a potem umyślnie, ażeby je zniszczyć. Szukają go na powierzchni ziemi i w jej wnętrzu, usiłując zgładzić je doszczętnie. Wszystko to naprożno! Cóż zdziała człowiek przeciw posiewowi Bożemu?

Bóg zasiał na kuli ziemskiej i w łonie ludzkości życie fizyczne. Spróbujcież powstrzymać je tak na ziemi jak i w ludzkości!

Zasiał w umyśle ludzkim życie umysłowe. Usiłujcie je przytłumić. Uda się to wam na krótko, poczem słowo ludzkie wytryśnie tem żywiej, im silniej było powstrzymywane.

Zasiał życie boskie, i myślicie, że będziecie je mogli zabić? O, nie! Maluchne ziarnko gorczycy wychodzi z ziemi, rośnie pomimo Nerona, pomimo Domicjana, po-

mimo Dioklecjana. Oto już łodyga, oto rośnie wyżej, wydaje kwiaty, owoce. Nie przeszkodzicie, iżby nie urosło w wielkie drzewo.

A wzrost ten cudowny nie był wcale jakimś niespodziewanym wypadkiem, ale urzeczywistnieniem planu powziętego, przepowiadanego, obwieszczanego z najdziwniejszą śmiałością. Od samego początku głosił Kościół spokojnie i stanowczo, że ogarnie wszystkie narody i napełni świat aż do skończenia czasów. Przybrał też nazwę malującą dobrze to, do czego dążył. Wyraz: katolicki, czyli powszechny, zrobił swem imieniem własnem. Wciągnął go jako artykuł wiary do pierwotnego Credo, ułożonego przez apostołów przed ich rozproszeniem się po świecie: Credo in Ecclesiam catholicam — Wierzę w Kościół powszechny.

Biorąc po ludzku było to niedorzeczne. Kiedyż jakiekolwiek państwo było powszechne? A jeśli nie osiągnęła tego siła miecza, przemoc fizyczna, jakże będzie mogła pokusić się o to idea? Głowy można nagiąć przemocą, ale w jaki sposób ulokować w nich pojęcie, jedno i to samo pojęcie w głowach wszystkich? Ażeby przyjąć czyjeś pojęcia, muszę wyrzec się swoich własnych. Ależ one mi są drogie, — a im ich kto mniej posiada, tem są czasem droższe. A nietylko każda jednostka ma swoje przekonania, od których nie chce odstąpić, i stara się wszelkiemi siłami nie dopuścić rozpowszechniania się przekonań cudzych; ma je również naród każdy, a ktokolwiek porywa się na nie, odważa się na więcej, niż gdyby porywał się na jego granice, bo dotyka duszy narodu w najgłębszych i najbardziej osobistych jej tajnikach. Nawet wiek każdy ma też swoje przekonania, i widzieliśmy powielekroć w naszym wieku, jakie się wznieca burze, dotykając przekonań danej epoki. A dodać potrzeba, że i w epoce, kiedy Apostołowie wychodzili z Wieczernika, każdy naród miał swoje własne pojęcia religijne, swoich bogów, których nazywał Dii nostri,

którzy wchodzili w skład jego życia, jego historji i byli bezpieczni i szanowani pod strażą ich oręża.

Dlatego powiedziałem, że pokuszenie się o zawładnięcie światem w tych warunkach i ustanowienie na nim Kościoła katolickiego, było co najmniej niedorzecznem. Niedorzecznem wobec ludzkiego rozumu, a jednakże wzniosłem. Bo i cóż znaczą te wszystkie pojęcia indywidualne, wszystkie różnice narodowościowe i cywilizacyjne? Dwie są tylko rzeczy na świecie i obie są katolickie: Bóg na niebie i dusza na ziemi.

We wszelkich klimatach, pod każdą odzieżą, pod czarną albo białą skórą Kafra czy Europejczyka, jest jedno tylko: dusza człowieka, zawsze i wszędzie jednakowa, dręczona temi samemi pragnieniami, bólami i niepokojami, potrzebująca przeto tego samego światła, tej samej nadziei i tej samej miłości. A ponad tą duszą, pochylony ku niej miłośnie, jest tylko Bóg, jeden Bóg stwarzający, zbawiający i nagradzający. A od tego Boga do tej duszy droga jedna tylko i jedna tylko być może: droga wiary, nadziei, miłości; drabina Jakóbowa, po której wstępuje i zstępuje prawdziwa religja, religja powszechna, mająca za zadanie prowadzenie dusz z ziemi do Boga.

Wszyscy wy zatem, bogowie poszczególni, bogowie ras i narodów, nie jesteście prawdziwym Bogiem, bo nie jesteście Bogiem powszechnym, katolickim. A ty, święty Kościele, kiedy widzę, jak jeden tylko między temi wszystkiemi religjami i sektami ciasnemi, przywiązanemi do miejsca, do jednej jakiejś góry, doliny, załomu gruntu, kasty albo szkoły, wznosisz swój wspaniały sztandar z godłem: E c c l e s i a  c a t h o l i c a, Kościół wszystkich dusz na świecie — uwielbienie moje dla ciebie niema granic. Nie wiedząc nawet jeszcze, czy Kościół jest w stanie program ten wypełnić, widzę, że to program wzniosły, że wszelka religja wyrzekająca się go, wydaje sama na siebie wyrok śmierci, i że Kościół, który z tak daleka mógł go powziąć i ogłosić, musi przedstawiać rękojmię, że potrafi go przeprowadzić.

## II.

Przyjrzyjmy się jednakże bliżej. Bądź co bądź, śmiałe to uroszczenie. Może ono być jasnowidzeniem genjuszu, ale może być także niedorzeczną próżnością. Przypatrzmy się faktom.

Dla urzeczywistnienia tego programu trzy rzeczy oczywiście były niezbędne. Po pierwsze, światło katolickie, stosowne dla dusz wszystkich na każdem miejscu i stopniu rozwoju umysłowego. Powtóre, dla szerzenia owego światła, po całym świecie, serce katolickie, któreby kochało wszystkie dusze, i to miłością jak sam świat szeroką. Nakoniec, skoro już rodzaj ludzki światło to otrzyma, władza katolicka, powszechna, którąby osiedlała się wszędzie, gdzie tylko są dusze, ażeby owo światło utrzymywać, osłaniać i chronić od zgaśnięcia.

Czyli że do urzeczywistnienia tego wzniosłego uroszczenia, potrzeba było trzech rzeczy jeszcze wznioślejszych.

Naprzód więc potrzebne było światło powszechne, światło katolickie, któremby się mogły karmić dusze wszystkie, w każdym czasie i miejscu. Otóż tego właśnie nie dokażą ludzkie teorje. Każda teorja, każda nauka przechodząc przez umysł jednostki, kształtuje się na jego podobieństwo, nabywając trzech znamion, które przeszkadzają jej powszechności: 1) piętno tego, który je utworzył; a im umysł ów jest potężniejszy i oryginalniejszy, tem to piętno jest wyraźniejsze; 2) piętno kraju, w którym powstała. Każda choćby najpotężniejsza jednostka jest dzieckiem swojego narodu, oddycha powietrzem swej ziemi rodzinnej, patrzy oczami swych ziomków, ma swój pewny narodowy sposób czucia i pisania. Zobaczcie, z jaką trudnością rozpowszechniają się we Francji książki niemieckie. Spytajcie Anglików, co myślą o dziełach najrdzenniej francuskich. Prawidło to ogólne, że im ściślej autor jest narodowym, tem mniej jest poczytnym za granicą swojego kraju; 3) piętno swojej epoki. Książka jest

tak samo odbiciem danego stulecia, jak narodu. Jest odbiciem jego pojęć, złudzeń, marzeń i szlachetnych porywów. To stanowi zarówno jej urok, jak i słabą stronę. Czas posuwa się naprzód i unosi z sobą książkę z tylu innemi rzeczami, które przebrzmiały i nigdy już nie wrócą.

Takie są dzieje każdej teorji, która przeszła przez umysł człowieka. Staje się jak on ciasną. I nigdy żadna teorja ludzka nie doszła do tego, ażeby stać się powszechną. Platon dzielniej niż inni stawił czoło wiekom, podziwianym był jednak tylko przez wybitniejsze jednostki. Mahomet porwał pustynię, ale poza nią nie wyszedł. Budda nie zdołał przejść granic Indji, ani Konfucjusz — Chin. Po Chrystusie były kościoły anglikańskie, ruskie, greckie, zamknięte w obrębie jednego kraju. Jeden tylko był i jest Kościół katolicki, który nie zna granic; jedna tylko nauka jego przechodząc przez tysiące ust, głoszona we wszystkich językach, nie nabyła żadnej z tych cech, o których mówiłem powyżej, i która się nigdzie nie zatrzymała. Podobny jest w tem Kościół do swego boskiego Założyciela, który ukazał się światu z obliczem nad wszystkie wznioślejszem, ale nie noszącem na sobie piętna ani czasu, ani miejsca, ani plemienia; z obliczem nie należącem ani do Żyda, ani do Greka, ani do Rzymianina; z obliczem człowieka, w którym widnieje bóstwo.

Ale to światło powszechne, światło stosowne dla dusz wszystkich, potrzebuje jeszcze być głoszonem, potrzebuje, ażeby ktoś podał je ludzkości. Rzecz to wcale niełatwa. Od czasu, kiedy Bóg powiedział rodzajowi ludzkiemu Crescite et multiplicamini — „Rośćcie i mnóżcie się", rozproszył się on po całej kuli ziemskiej. Narody i plemiona oddzielone są jedne od drugich przez góry, rzeki i pustynie, przez niezmierne odległości. Któż zdoła je przebyć? Kto będzie miał potrzebne do tego siły, potrzebną miłość, miłość nie cofającą się przed cierpieniem i śmiercią? Kto zechce się tak poświęcić dla plemion nieznanych, dzikich, okrutnych, wstrętnych? Gdzie znajdzie

się serce tak głębokie, tak powszechne, tak katolickie, ażeby się nie dało niczem powstrzymać? Posłuchajcie:

Oto młodzieniec w kwiecie wieku. Przebywa w ognisku cywilizacji i komfortu. Wszystko mu się uśmiecha w życiu. Nagle myśli jego zwracają się w innym kierunku. Zaczyna rozmyślać nad tem, że gdzieś daleko jest tyle ludzi nie znających prawdy, żyjących w ciemnościach. Ogarnia go pragnienie poświęcenia im swego życia, głoszenia im zbawczej prawdy. Dla tego celu wyrzeka się życia, wpośród ziomków, na łonie rodziny; opuszcza kraj i strzechę rodzinną. Nie wróci już tutaj; nie zobaczy więcej starego ojca i matki, musi nawet wyrzec się swojego języka i ubrania, do którego przywykł od dzieciństwa. Bierze rozbrat z nauką, z wymową; zawsze będzie walczył z trudnościami języka nieznanego i ubogiego w pojęcia. I życie jego nie będzie upływało jawnie i czynnie; będzie musiał ukrywać się jak złoczyńca, ukradkiem szukać sposobności czynienia dobrze. Prędzej czy później umrze w mękach straszliwych. I to go nie odstrasza. Jedzie bez żalu; śpieszy z upragnieniem do tego okropnego życia. Kto go pociągnął, kto natchnął? Kto go podtrzymuje, daje mu tę pogodę i zapał? O wichry, nie czyńcie mu krzywdy! Fale, uspokójcie się. Niesiecie serce Kościoła katolickiego. Prawdziwy Kościół idzie odszukiwać swe dzieci.

Czy to już cała cudowność katolicyzmu? Jeszcze nie, i to, co pozostaje, jest może najtrudniejsze. Światło katolickie i dla rozpowszechniania jego — serce katolickie, obejmujące całą ludzkość, to wiele, ale tego niedosyć. Apostoł, misjonarz przemija; potrzeba kogoś, ktoby stale przebywał. Po apostole jest pasterz, biskup, ażeby rządził nawróconą gromadką. Czyli, że w łonie każdego narodu niezbędne było zaszczepienie władzy odrębnej i niezależnej, którąby objęła rządy dusz, pozostawiając władzy świeckiej li tylko zarząd spraw doczesnych. Przed Jezusem Chrystusem, wszędzie król był zarazem arcykapłanem, rządzącym duszami i ciałami jednocześnie. I nie-

przepartą być musi skłonność ku temu, skoro nawet w czasach po Chrystusowych, wszyscy panujący odłączający się od Kościoła sięgają po tiarę. Otóż potrzeba było to przełamać i zniewolić każdy naród, ażeby obok swojego rządu narodowego, przyjął drugi rząd niezależny; obok swojej hierarchji narodowej, hierarchję niezależną; w łonie swojej narodowej jedności, jedność niezależną, klucze do której byłyby w ręku obcego monarchy. Jaką to przedstawiało trudność, można wnosić z tego, że nawet dzisiaj, w kraju katolickim jak Francja, po dziewiętnastu wiekach, które powinnyby nas do tego przyzwyczaić, tyle się podnosi burz z tego powodu.

## III.

A jednak, mimo tych wszystkich przeszkód, ziarnko gorczycy nie przestało się rozwijać. Śledźmy dalej wzrost jego cudowny i nieprzerwany.

Kiedy Kościół ukazał się, cesarstwo rzymskie dokonywało właśnie próby zjednoczenia wszystkich ludów na tak szeroką skalę, o jaką nie kuszono się nigdy dotąd. Biorąc Rzym za środek, zakreśliło dokoła niego krąg, którego, zdawało się, że dalej posunąć się nie da. Kościół przyjął świat takim, jakim był wówczas. Umieścił w Rzymie stolicę swego naczelnika i rozesłał swoich dwunastu apostołów we wszystkich kierunkach. Niektórzy uczeni utrzymują, że już za życia św. Piotra Kościół wyszedł poza olbrzymi krąg rzymski i że kiedy apostołowie pomarli, Ewangelja była już opowiadana światu całemu. Dla poparcia tego przypuszczenia powołują się na wyraźne słowa apostołów i pierwszych Ojców Kościoła. Św. Paweł np. mówił do Rzymian, „iż wiara wasza bywa opowiadana po wszystkim świecie..." (Rom. 8), a do Kolossan, że Ewangelja „na wszystkim świecie jest, i owoc przynosi, i pomnaża się..." (Col. 1, 16) jakoteż, że „.....opowiadana jest wszelkiemu stworzeniu, które jest nad niebem..." (Ibid. 23).

Św. Justyn w lat sto po śmierci Zbawiciela, zaliczał już do wiernych wiele narodów dzikich, nawet z pomiędzy ludów koczujących, które nie posiadając stałej siedziby, przenosiły się na wozach z miejsca na miejsce. „Nie była to wcale przesada, ani zwrot retoryczny, twierdzi Bossuet; był to fakt niewątpliwy i znany, o którym mówił on w obecności głów koronowanych i przed całym światem"[1]). Nieco później nadchodzi św. Ireneusz i widzimy, że przy nim liczą jeszcze więcej kościołów. Wśrodku wieku III Tertuljan i Orygenes wymieniają jako należące do Kościoła całe narody, o których trochę wcześniej nie wzmiankowano wcale. Te, które przepuścił Orygenes, a które były w najdalszych krańcach znanego świata, Arnobiusz wylicza wkrótce potem. Wymienia je wszystkie Teodoret: „Nietylko Rzymianie i wszyscy pod panowaniem ich będący, ale jeszcze Scytowie i Jarmaici, i Indjanie i Etjopowie, i Persowie, Chińczycy i Hyrkańczycy, i Baktrjanie, i Bretonowie, i Cymbrowie, i Germanie, — jednem słowem cały rodzaj ludzki i wszystkie narody"[2]).

Nie kładziemy zresztą nacisku na owo nawrócenie całego świata, jeszcze za życia apostołów[3]). Zapewne że musiała Ewangelja rozbłysnąć i nad temi dalekiemi narodami, ale prawdopodobnie było to światło błyskawicy, po której niebawem nastąpiły ciemności. Pewnem jest natomiast, że w IV stuleciu Kościół zaprowadził był w całem państwie rzymskiem nietylko swoją naukę i moralność, ale i swoją hierarchję.

Niema potrzeby szukać dowodów na to, co do Azji Mniejszej, Palestyny, Syrji, których wielkie Kościoły — Jerozolimski, Antjocheński, Efezki, Koryncki, Tessalo-

---

[1]) Bossuet, Histoire universelle, part. II, chap. XX.

[2]) Theodor, Graecor. affect. curatio IX de Legibus, p. 125 Edit. Migne.

[3]) Gaume, Evangélisation apostolique du globe, p. 56.

nicki występują na każdej stronnicy Listów św. Pawła i Apokalipsy św. Jana.

Nie ustępują im co do czasu i Włochy. Zaraz w pierwszym dniu zostaje założony Kościół Rzymski; wkrótce zaś ustanowione są stolice biskupie od Bai, Puzzoli, Catano aż do Rawenny i Medjolanu. Większa nawet ich część powołuje się na początek apostolski.

Jednocześnie i bardzo świetnie rozprzestrzenia się wiara w Afryce. Nie mówię już o męczennikach, ani uczonych; mam na myśli jej biskupów i diecezje. Za czasów św. Augustyna liczą tam więcej, niżeli czterysta stolic biskupich. Na wielkiem zgromadzeniu pod przewodnictwem św. Augustyna, zwołanem w celu pojednania biskupów katolickich z biskupami donatystami, było dwustu osiemdziesięciu sześciu biskupów katolickich i stu pięćdziesięciu donatystów, którzy po większej części powrócili do katolicyzmu.

Hiszpanja chlubiąca się tem, że była nawrócona przez św. Jakóba apostoła, posiada również w pierwszych wiekach biskupów, sobory, świętych. Na soborze Elwirskim, około roku 305, jest dziewiętnastu biskupów; a są dowody pewne, że niewszyscy biskupi hiszpańscy byli tam obecni.

A czyż trzeba mówić o Galji? Już w I wieku widzimy biskupów w Marsylji, w Arles, w Viennie, w Limoges, w Narbonnie, a może i w Paryżu; w II wieku w Lionie, Autun, Lange, Besançon i t. d.; w III wieku — wszędzie. Sobory narodów Gallijskich są słynne od czasów św. Ireneusza.

Oto jest pierwsza fala Ewangelji. Jednym rzutem ogarnęła i zalała całe państwo rzymskie, pomimo dziesięciu prześladowań i przeszkód najstraszniejszych. Przy wstąpieniu na tron Konstantyna granice Kościoła katolickiego dorównywają conajmniej granicom rzymskim, jeżeli ich nie przekraczają.

## IV.

Ale Chrystus nie powiedział: „Idźcie, nauczajcie państwo rzymskie", tylko: „Idźcie, nauczajcie wszystkie narody". Niepowstrzymana fala płynie dalej, zwraca się w stronę owych sławnych wysp Brytańskich, Anglji, Szkocji, Irlandji, których nie mógł pokonać orzeł Cezarów. Już w drugim stuleciu papież Eleuterjusz wysyłał apostołów do Lucjusza, króla Wielkiej Brytanji; już dwie kobiety, dwie niewolnice przyniosły Irlandji pierwszą zapowiedź wiary; już biskup Ninianus dotarł do Szkocji i apostołując w niej przez lat dwadzieścia, założył tam podwaliny społeczności chrześcijańskiej. Ale byli to tylko pierwsi gońce wiary; plemię to dumne i nieugięte nie uległo odrazu. Prawdziwi apostołowie i założyciele Kościoła angielskiego, to św. Patryk, który oświeca i rozpłomienia Irlandję, zostawiając w niej po trzydziestoletniem apostolstwie, ten dzielny i kwitnący Kościół, którego nie zdołały pokonać żadne prześladowania; św. Kolumban, który przebiega we wszystkich kierunkach wyspy i zatoki wybrzeży szkockich, nawraca ich mieszkańców, chrzci wodzów, namaszcza króla Aidana i prosty zakonnik, zakłada kilka stolic biskupich; nadewszystko zaś Augustyn i jego czterdziestu zakonników, którzy wylądowują w Anglji i zdobywają ją za cenę nadludzkich wysiłków, zaszczepiając w niej tak silną wiarę katolicką, że prawie zaraz potem kraj ten przez mnogość swoich świętych biskupów, zakonników, panien Bogu poświęconych, zasługuje na miano wyspy Świętych, a przez swój żarliwy prozelityzm przygotowuje się do wzmocnienia i zdwojenia tego prądu szerzenia się wiary.

To też odtąd Kościół brał Anglję za punkt oparcia w swojem posuwaniu się naprzód. Po tym pierwszym kraju, którego nie mógł ujarzmić Rzym pogański, potrzeba było zdobywać inne, jeszcze dlań niedostępniejsze. Trzeba było przebyć Ren, Dunaj, Wisłę, aż do źródeł Skaldy, przedostać się do nieprzebytych lasów Germanji i Skan-

dynawji. Oddawna już Kościół miał w swojem posiadaniu ziemie, które pozwolę sobie nazwać rzymskiemi wybrzeżami Dunaju i Renu. W V wieku liczono tam dwudziestu biskupów; pięciu na południu u Bawarów: Salzburg, Ratysbona, Freisingen, Passau, Sewen; pięciu pośrodku u Alemanów: Augsburg, Coire, Konstancja, Bazylea, Strasburg; dziesięciu na północy u Franków wschodnich: Moguncja, Spira, Wormacja, Trewir, Metz, Toul, Verdun, Kolonja, Maestricht, Cambrai. Zakreślona to przez cesarza Augusta granica od Renu i Dunaju. Nadszedł czas przekroczenia jej idąc śmiało w owe rozległe krainy, nietknięte żadnym promieniem cywilizacji. O ten zaszczyt, o to niebezpieczeństwo ubiega się mnóstwo apostołów. W pierwszym rzędzie stoi św. Bonifacy, apostoł Niemiec, który z siedziby swej, Moguncji, z Fuldy, gdzie zakłada klasztor, opowiada przez trzydzieści lat Ewangelję krajom zamieszkałym przez Turyngów, Alemanów, Hessów, Kattów, Saksonów. Sprowadza z Anglji kapłanów, zakonników, zakonnice, wznosi wiele kościołów, zakłada biskupstwa, a zapuszczając się coraz głębiej pomiędzy narody pogańskie, ginie śmiercią męczeńską na granicy Fryzji wschodniej. Uczniowie jego, zagrzani przykładem, prowadzą dalej jego dzieło, — i po pięćdziesięciu latach trudów i cierpień bohaterskich, cała Germanja jest już chrześcijańska.

Dla dokończenia owego olbrzymiego przedsięwzięcia, uwieńczonego takiem powodzeniem, należało jeszcze pozyskać dla chrystjanizmu dwa wielkie plemiona, skandynawskie i słowiańskie. Nawróceniu skandynawów poświęcił się mnich frankoński, św. Ansgarjusz, dla prac swoich nazwany apostołem Północy. Nawraca on Holsztyn, Szlezwig, Jutlandję, dociera aż do Szwecji i rozsyła uczniów do Danji, Norwegji, Islandji, Grenlandji i wysp Feroerskich. Opór był długi i krwawy; wielu apostołów zostało umęczonych. Wreszcie po długim szeregu prześladowań, Danja przyjmuje chrześcijaństwo pod królem Kanutem Wielkim, Szwecja i Norwegja pod dwoma Ola-

łami; ulega nawet Islandja, i wiara przenika aż do Grenlandji.

Przez ten czas dokonywa się też nawrócenie Słowian. Dwóch wielkich misjonarzy, św. Adalbert biskup magdeburski i św. Wojciech — praski, zakładają kolejno biskupstwa: Oldenburskie w Wagrji, Brandenburskie nad Sprewą, Praskie w Czechach, Wrocławskie na Szląsku, Kołobrzeskie na Pomorzu, Gnieźnieńskie, Poznańskie, Krakowskie w Polsce. Uczniowie ich wkroczyli z jednej strony aż do Prus, z drugiej do Węgier, zakładając tam również stolice biskupie. Przed końcem w. XI liczono za Renem i Dunajem trzynaście arcybiskupstw i siedemdziesiąt trzy biskupstwa. Misjonarze zachodni spotykali się w najdalszych zakątkach Bułgarji, Litwy i Rusi z misjonarzami greckimi, św. Cyrylem i Metodym, wysłańcami papieża Adrjana II; i dzięki wszystkim tym pracownikom Pańskim, dzieło nawrócenia zostało tu szczęśliwie doprowadzone do końca. Z jednej strony dosięgło aż Syberji, z drugiej — Islandji; wiara zapanowała na wyspach Feroerskich, i podają za rzecz pewną, że okręt norweski zawiózł do Grenlandji pierwszego biskupa amerykańskiego, na czterysta lat przed Krzysztofem Kolumbem.

Wzruszenie ogarnia na widok zwycięskiego pochodu tej nowej potęgi, co bez żadnej pomocy ludzkiej, bez broni, przekracza wszystkie granice, przed któremi musiały zatrzymać się orły rzymskie, i wszędzie, aż na krańcach świata zaprowadza nietylko swoją naukę, moralność i karność, ale nawet swoją hierarchję. Jakkolwiek wspaniałym był pierwszy wylew Chrystjanizmu, ale na drodze swej znalazł on tylko narody urobione przez rząd rzymski na jedną modłę, o prawie takich samych obyczajach, prawie jednym języku, jakby przygotowanych przez jedność państwową do wielkiej jedności religijnej. Tutaj nic z tego wszystkiego; żadnego w niczem podobieństwa, i zwycięstwo w tych warunkach, w takiem ze wszelkiej pomocy

ogołoceniu, wpośród takiej rozmaitości języków, obyczajów, zwyczajów, charakterów — przedstawia cud opanowania ziemi w świetle nowem i jeszcze bardziej zdumiewającem.

## V.

Wprowadzając tak wykonanie na Zachodzie słowa Chrystusa: „Idźcie, nauczajcie wszystkie narody", prowadzi Kościół dalej to samo dzieło na Wschodzie. Od wielkich Kościołów w Antjochji, Jerozolimie, Konstantynopolu, posuwa się stopniowo do Medji, Persji, Indji i nawet do Chin. Na soborze Nicejskim w r. 325 widzimy już biskupów perskich. W pięćdziesiąt lat potem istnieją już liczne gminy chrześcijańskie w Chinach i w prowincjach pomiędzy Chinami i Indjami. Naprożno zaczynając od V w. walą się na Wschód klęski bezliku. Naprzód barbarzyńcy, którzy obracają w proch wspaniałe kościoły afrykańskie. Potem mahometanizm, narzucający swoje jarzmo Egiptowi, Palestynie, Grecji, nawet Konstantynopolowi. Wreszcie schizma, która odrywając kolejno starożytne ludy chrześcijańskie od jedności katolickiej, osłabia je, psuje, czyni łatwą pastwą mahometanizmu, i prowadzi do znikczemnienia i niewoli. Kościół boleje nad temi klęskami, ale nic nie może odjąć mu odwagi, ani zniechęcić do głoszenia Ewangelji na Wschodzie. Niedosyć, że wzywa do broni cały Zachód, bardziej dla oswobodzenia dusz i Kościołów Wschodu, aniżeli dla zdobycia grobu Chrystusa. Niedosyć, że z najwznioślejszem zaparciem się siebie i niezmordowaną wytrwałością podejmuje ciągle nowe usiłowania zaprowadzenia Unji, usiłowania tak często udaremniane przez grecką przewrotność. Po całym Wschodzie rozsiewa apostołów. Zaledwie powstali Dominikanie, Franciszkanie, Karmelici, już ich wysyła na Wschód, a raczej na wskrzeszenie Kościołów wschodnich. Już od końca w. XIII mają Franciszkanie stacje u Greków

i Tatarów, w Persji, w Armenji, na wybrzeżach morza Czarnego aż w Tybecie i Chinach. Ich działalność jest tak wielką, że w XIV w. przełożony jednej z tych misji Franciszkańskich nie wahał się zażądać od kapituły generalnej, wysłania czterech tysięcy misjonarzy, a żądanie to nie wydało się kapitule przesadnem. Dominikanie współubiegają się z Franciszkanami, tak w liczbie, jak i w gorliwości. W r. 1253 Inocenty IV tak do nich pisał: „Naszym ukochanym synom Zakonu Kaznodziejskiego, którzy nauczają w krainach Saracenów, Greków, Bułgarów, Kumanów, Etjopów, Syryjczyków, Gotów, Jakobitów, Armeńczyków, Indjan, Tatarów, Węgrów i innych niewiernych narodów Wschodu, pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie, i t. d." To samo da się powiedzieć o Karmelitach; a chociaż wszystkie te misje nie przyniosły takich owoców, jakich się po nich spodziewano, a to z racji wspomnianej już wyżej przewrotności Greków, to jednak teraz w całej Azji, w każdej najmniejszej choćby gminie chrześcijańskiej jest część jakaś wiernych, którzy trwają w jedności z Kościołem katolickim, a całe narody, jak Armeńczycy i Maronici, im zawdzięczają to, że są dzisiaj wolne od wszelkiej schizmy i herezji.

Ale to wszystko nie zadawalniało jeszcze gorącej żądzy Kościoła szerzenia królestwa Chrystusowego aż po krańce Wschodu. Poza leżącymi na Wschodzie zachodnim Egiptem, Palestyną, Syrją, które popadły w herezję, albo jęczały pod jarzmem Mahometa, były wielkie państwa nie ulegające jeszcze islamizmowi, znane już misjom wysyłanym do wyższej Azji: cała Azja wschodnia, Tybet, Chiny, Japonja, ziemie Tatarskie, liczne narody pogrążone w bałwochwalstwie, których nawrócenia do Chrystusa pożądał Kościół gorąco. Ale jak się tam przedostać? Droga do tych krajów była zamknięta; — nie otworzyły jej nawet wyprawy krzyżowe. Nie można już było pokonać mieczem islamizmu, wznoszącego się jak nieprzeparta zapora. Próbowano iść brzegami morza Kaspijskiego, ale długa to była droga, a przytem stawił zaporę z jednej

strony islamizm, z drugiej niemniej fanatyczna schizma grecka. Co począć? Dojść potrzeba było przecież. Może drogą morską dotrze się do Indji Wschodnich. Wszakże ziemia jest podobno okrągłą. Może możnaby okrążyć przylądek Dobrej Nadziei i utorować sobie do Indji drogę dotąd nieznaną? To pragnienie stworzyło Krzysztofa Kolumba, Ameryka Wespucjusza, Vasco de Gama, Sebastjana del Cano; nie chodziło tu o odkrywanie nowych ziem dla prostej przyjemności powiększania znanego świata; szło o utorowanie drogi Chrystusowi, o pomoc w wypełnianiu rozkazania Jego. Idźcie, nauczajcie wszystkie narody. Czytajcie historję tych wszystkich wielkich podróżników; patrzcie na świętą radość i zapał Kościoła; patrzcie, jak w ich ślady, otwartą przez nich drogą śpieszą liczniejsze niż kiedy zastępy apostolskie: Dominikanie, Franciszkanie, Karmelici, Jezuici dopiero co założeni, a na ich czele wielki, niezrównany misjonarz, św. Ksawery. Japonja już zdobyta, Chiny poddają się, w lasach Paragwajskich zakwita wiara katolicka, Indje oglądają cuda niemniejsze od cudów katakumb. Niema już wątpliwości, że nadchodzi chwila, w której chrześcijaństwo Wschodu spotka się poprzez antypody z chrześcijaństwem Zachodu i w której Kościół na całym świecie będzie mógł zanucić hymn radosny w zwycięstwie Chrystusowem.

## VI.

Wiemy, niestety, że to było tylko marzenie i pozostało marzeniem. Ale dlaczego? Jak mogła się nie ziścić taka nadzieja? Jak mogliśmy utracić Japonję? Co sprawiło, że w takich Chinach, liczących czterysta miljonów mieszkańców na dwanaście miljardów zaludniającch kulę ziemską, została nieznaczna tylko garść katolików (około sześciuset tysięcy)? Dlaczego olbrzymia Azja drzemie dotąd w nieruchomości, despotyzmie, wielożeństwie? Dla-

czego Budda liczy dotąd dwieście miljonów wyznawców? Jak się to dzieje, że u samych bram naszych, na wybrzeżach tego morza Śródziemnego, które przezwano jeziorem francuskiem, a które powinno być przynajmniej jeziorem chrześcijańskiem i katolickiem, Afryka, Egipt, Syrja, Palestyna są jeszcze w takim upadku i znikczemnieniu? Co spowodowało owo tak nagłe, tak bolesne powstrzymanie rozszerzenia się wiary?

Jedna jest tego wszystkiego przyczyna: protestantyzm. On to, w chwili, kiedy już miały ziścić się te błogie nadzieje, dzieląc Europę na dwoje, odebrał misjom połowę środków, jakimi mogły rozporządzać: wszystkich tych apostołów z Anglji, Szkocji, Niemiec, którzy w poprzedzających wiekach dokonali tylu nawróceń. Niedosyć na tem: duchowieństwo Francji, Włoch, Hiszpanji, Portugalji, Austrji musi odtąd cały swój czas i siły poświęcić na obronę przeciw protestantyzmowi. Nie czas myśleć o nawracaniu Chin, Japonji, wyższej Azji, skoro zaledwie starczy sił na walkę z herezją, ze schizmą, z wojną domową i religijną. A kiedy w walce z katolicyzmem zrozumiał protestantyzm całą swą jałowość, podkopał on doszczętnie misje, wysyłając w ślady apostołów katolickich ich parodje, t. j. misjonarzy żonatych, handlujących, siejących biblje i oszczerstwa, zamiast kłaść życie swoje. Wtedy zamiast budującego widoku jedności, miłości Boga i bliźnich, który zawsze zwyciężał, skoro był wolny od ziemskich domieszek, niewierni widzieli tylko rozterki, spory, nienawiść. Czyż się Bóg mógł im objawiać w ten sposób? Odwrócili się tedy i pogrążyli znowu w bałwochwalstwo.

Nie można pomyśleć bez bólu o tem, czem byłby świat dzisiaj, gdyby nie fatalne pojawienie się protestantyzmu, który złamał jego jedność i zatamował postęp. Światło Ewangelji, które oświeciło Zachód aż do Islandji, oświeciłoby bezwątpienia i cały Wschód po jego krańce. Jedność wiary zapanowałaby na kuli ziemskiej. Ilużby to cierpień świat nie był zaznał! Jaki postęp zrobiłaby cywilizacja! Dlaczego Bóg zezwolił na takie zahamowa-

nie pochodu ludzkości ku światłu wiary? Dlaczego wtedy, kiedy Kościół miał już ziścić te boskie słowa: Idźcie, nauczajcie wszystkie narody, kazał mu nagle zawrócić z drogi? Na to nie mamy odpowiedzi. Możemy tylko w milczeniu i pokorze uwielbiać nieprzeniknione wyroki Tego, dla którego tysiąc lat są jako dzień jeden.

## VII.

Ale chociaż protestantyzm mógł stanąć jako zapora na drodze katolicyzmu, nie zdołał ani zachwiać jego bytu, ani przyćmić jego blasku, ani tem mniej naruszyć jego zasady. Przeciwnie, dodał mu jeszcze świetności, dając nowy dowód, że cecha powszechności jest wyłączną własnością Kościoła katolickiego. Jakto, Anglja przez osiem wieków wydawała tylu wielkich i świętych apostołów, którzy nawracali całe narody, a gdy raz zetknęła się z protestantyzmem, zabrakło jej ich całkowicie! Nie ma ich również Szkocja, ani Szwajcarja, ani Niemcy. Wskażcie mi kościoły kalwińskie w Chinach i Korei; wymieńcie w Japonji bodaj kilku misjonarzy luterańskich. Wprawdzie Anglja w swoich ogromnych posiadłościach indyjskich osadziła swoich biskupów, ale osadziła ich tak, jak swych konsulów, generałów, bankierów, domy handlowe, jako jeden z pierwiastków swojej potęgi. Posuwają się i cofają jednocześnie z angielskim sztandarem. Nie Kościół brytański się rozszerza, ale państwo brytańskie. Znajdźcie mi jakiegokolwiek biskupa anglikańskiego, któryby wyszedł poza granice posiadłości angielskich i opowiadał tam Ewangelję z narażeniem życia. Wskażcie choćby jednego tylko, który oddał życie za Chrystusa. Nie nadeszła jeszcze chwila rozprawienia się z protestantyzmem. Ale jakże chętnie powiedziałbym mu: „Dlaczego niemasz apostołów? Masz tyleż genjuszu, co i my, a więcej pieniędzy, więcej okrętów, śmiałości, która weszła

w przysłowie, więcej zamiłowania do podróży, a nie masz apostołów. Czyżby Kościół twój nie mógł już być matką?"

Obok tego świadectwa najnowszych czasów na korzyść Kościoła katolickiego, jest drugie. Wolą było Boga, ażeby nawet w tych krajach, gdzie się najbardziej rozwielmożniła schizma i herezja, pozostały nietylko grupy katolików, jako odosobnione szczątki, ale całe narody, któreby opierały się otaczającemu je odstępstwu i były wpośród heretyków wiernie płonącem ogniskiem życia katolickiego. Tak naprzykład, obok owej wielkiej i potężnej Anglji, jest od trzech stuleci Irlandja, Irlandja prześladowana, ogładzana, ale zawsze niezłomna, przechowująca pomimo świetności panującej rasy anglosaksońskiej, wiarę swą i czystość obyczajów, których najkrwawsze i nieubłagane prześladowania nie mogły złamać, ani naruszyć. Tak samo w Niemczech. Daremnie przebiegły, zręczny i dzielny Fryderyk II chciał założyć państwo wyłącznie protestanckie; na wschodnim jego krańcu znalazł bohaterską ludność Śląska, a na zachodnim niemniejszego podziwu godną ludność Westfalji i księstw Nadreńskich, która mu przeciwstawiła serca katolickie tak wielkie, jak te próby, na jakie była wystawiona, zmuszając go do ustąpienia. Napróżno potem cesarz Wilhelm i Bismarck wrócili do tych urojeń, nadając im szerszy zakres; Bóg sprawił, że w kombinacji ich wypadło przyłączenie Bawarji, ażeby to nowe państwo obejmowało trzy wielkie narody katolickie, które nie pozwolą mu działać jako potęga wyłącznie protestancka.

Tak obronił Bóg w Europie pierwiastek katolicki. W każdem państwie heretyckiem albo schizmatyckiem osadził państwo katolickie, jak się osadza drogi kamień w otaczającą go oprawę. Kiedyś, skoro wypełnią się wyroki Boże, oprawa rozsypie się w proch, zostawiając tylko drogi kamień, a wszystkie te wielkie narody powrócą do katolicyzmu.

Ale nietylko w ten sposób, negatywny niejako, została w naszem stuleciu zachowana Kościołowi jego au-

reola powszechności; stało się to w sposób pozytywny dzięki zastępom apostołów, męczenników, których Kościół nie przestaje wysyłać aż na krańce świata, i wielkim ich, pomimo wszystkich klęsk, zdobyczom. Dzięki im Kościół utrzymał wiarę w rzeczachpospolitych Ameryki Południowej i wprowadził ją do Ameryki Północnej. Stany Zjednoczone w r. 1800 posiadały jedno tylko biskupstwo; dzisiaj mają ich osiemdziesiąt, a przy końcu wieku mieć ich będą sto pięćdziesiąt. Nadto dotarł do Indji i założył tam wiele biskupstw, pośród coraz liczniejszej katolickiej ludności. Ze świętą uporczywością zbroczył krwią swoją wybrzeża chińskie, i dwanaście prześladowań nie ustępujących w niczem prześladowaniom Nerona, Dioklecjana, nie zdołały zachwiać trzódkę sześciuset tysięcy katolików gotowych na męki. Lepiej się narazie powiodło Japonji. Po otrzymaniu z rąk apostołów cywilizacji chrześcijańskiej, powstała przeciw swoim dobroczyńcom, wygnała ich od siebie, a iżby nie wrócili, opasała się wałem dla nich nieprzebytym, kładąc na ziemi we wszystkich swoich portach krucyfiksy i znieważając wszystkich przybyszów deptać po nich. Tego nie wymyślił nawet Neron. Ale i to nie pomogło. Apostołowie wyczekiwali burz, ażeby być wyrzucani na ląd w najnieprzystępniejszych miejscach wybrzeża. Widziała takie poświęcenia Korea i dwadzieścia tysięcy jej katolików nie ulękło się żadnych pogróżek. I wszędzie, pomimo najstraszliwszych przeszkód, widzimy apostołów, męczenników; nauczają oni, cierpią niedostatek, głód, prześladowanie, a na pytania mandarynów mają zawsze jedną odpowiedź: Jestem chrześcijaninem. Oddają życie z takim zapałem, jak męczennicy pierwszych wieków.

A kiedy jedni misjonarze zakładają w Chinach, Korei, Japonji gminy chrześcijańskie, którym papież daje biskupów, inni udają się do Australji, do Botany-Bay, między przestępców angielskich; do Taiti; na wyspy Gambier, z których robią nowy Paraguaj; do Nowej Walji, która jest już prawie cała katolicką; do Nowej Zelandji i wysp Sand-

wichskich, gdzie wiara ciągle wzrasta. Ruch ten datuje zaledwie od wczoraj, a już w Australji i na przyległych do niej wyspach jest dziesięć biskupstw, a w nich zakonnicy, Siostry Miłosierdzia, szkoły, szpitale, cały ten orszak ewangeliczny, tworzący nieodłączną armję Kościoła katolickiego.

Wiem, że to nawracanie dalekiego Wschodu nie jest skończone. Daleko jeszcze do tego. Ale jeżeli się nie mylę, dochodzimy już do kresu tego nieszczęśliwego i raptownego zastoju, do którego zmusił nas protestantyzm. Uznaję, że nie mamy ani tylu ludzi, ani tyle pieniędzy, ile potrzeba na tak niezmierzone obszary: ale same okoliczności przyjdą nam w pomoc i zdwoją nasze siły. Wymagania Rosji i Stanów Zjednoczonych, otwierając rynki Japońskie, zniosły świętokradzką zaporę powstrzymującą misjonarzy; tchnienie cywilizacji europejskiej, przenikając do tego pięknego kraju, pomoże mu do wskrzeszenia religji, którą tak kochał, za którą poniosły śmierć miljony Japończyków, mężczyzn, niewiast, młodzieży i dzieci nawet. Z drugiej strony Francja i Anglja, narzucając Chinom stosunki handlowe z Europą, zrobią to samo w tem wielkiem państwie, mniej opornem wierze chrześcijańskiej, niżby się napozór zdawało, ponieważ przyjęło ją tak wcześnie, a mało brakowało w w. XVI, by jej zupełnie uległo. Ze wszystkich stron, jak się zdaje, torują się drogi dla Kościoła i Ewangelji. Przyczynią się jeszcze do tego koleje. Pokryliście niemi Europę i Amerykę; pokryjcież jeszcze Japonję, Chiny, Koreę, Indje, Australję. Przekopaliście międzymorze Sueskie; przekopcie jeszcze Panamskie; rozciągnijcie druty telegraficzne po wszystkich lądach, przeprowadźcie je pod wszystkiemi morzami. Przyśpieszcie chwilę, kiedy próżniak wielkomiejski z dziennikiem w ręku a cygarem w ustach, zabawi się dla rozpędzenia nudów w podróż naokoło świata; obok niego, na tej samej ławce, znajdzie się przypadkiem ksiądz z brewiarzem, Siostra Miłosierdzia z różańcem, Karmelitanka w swej długiej zasłonie. Będzie to Kościół kato-

licki, jadący koleją aż na krańce świata, iżby tam dopełnić ostatecznie nakazu swego boskiego Mistrza: Idąc nauczajcie wszystkie narody.

Oto jest katolickość Kościoła. Jest ona, jak widzimy, wspólnem dziełem Boga i człowieka. Bóg dał zarodek, nasionko: człowiek uprawiał je, zraszał swoim potem, swoją krwią, swoją miłością, aż uczynił zeń owo wielkie drzewo napełniające świat. A to, co czynił człowiek przez osiemnaście stuleci, czyni dziś i będzie czynił zawsze. Trzeba, żeby boska roślina brała początek w sercu Boga, ale potrzeba również, iżby wyrastała z serca człowieka. Rorate, coeli, desuper... Aperiatur terra, et germinet.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

### O życiu Kościoła (fakty).

---

**Boski Kościoła postęp. — 2) Postęp światła.**

Podziw, jaki odczuwamy na widok tego pierwszego postępu Kościoła, tego rozwoju jego jestestwa i życia zewnętrznego, na skutek pracy i usiłowań człowieka pod niewidzialnem kierownictwem Ducha św., wzrasta w dwójnasób kiedy poznajemy postęp jego nauki. Jest on bardziej jeszcze zadziwiający, bo bardziej niespodziewany. Zdawałoby się, że go wyklucza jedność Kościoła; jedność taka przynajmniej, jak jest pospolicie rozumiana; wielka bowiem i wspaniała jedność Kościoła, taka jaka powstała w wyrokach Bożych, przeciwnie, przyzywa go i wymaga. Jak w Bogu troistość osób nie narusza jedności Boskiej, ale przyczynia jeszcze jej chwały: tak jedność Kościoła wskutek postępu nauki nie traci nic ani ze swej piękności, ani ze swej swobody. On to sprawia, że Kościół nie jest wyłącznie boskim, ale i ludzkim także. On otwiera boskiej niewzruszoności i działalności ludzkiej nowe pole, na którem się spotykają i jednoczą.

Ponieważ prawda z natury swej jest tylko jedna, Kościół, któremu powierzoną została, jeden jest również. A ponieważ skarb prawdy dlatego tylko został Kościołowi powierzonym, ażeby szafując nim oświecał dusze wszystkie jednem i tem samem światłem, przetoż Kościół sprowadza jedność. To go odróżnia od fałszywych religji; to jest cecha, po której go zawsze będzie można poznać.

Dzieło takie mogłoby się najzupełniej obejść bez współudziału człowieka. Bóg mógłby dokonać je sam tylko. Nie chciał tego wszelako; uznał, że piękniej i wspaniałomyślniej będzie wezwać do współdziałania w tem cudownem dziele człowieka. Dlatego zamiast rozsiać w Kościele prawdy, na podobieństwo głazów archeologicznych lub kamieni przydrożnych, których Kościół musiałby strzec jedynie, rozsiał je jak nasiona mające stopniowo kiełkować i rozwijać się, wkładając na ludzi obowiązek dobycia z nich liści, kwiatu, owocu, to jest ich logicznych wyników i zastosowań pod natchnieniem Ducha Świętego i pod kierownictwem nieomylnego Kościoła.

Takim jest cud jedności. To zjednoczenie Ducha Bożego i ducha ludzkiego. Duch Boski daje ludzkości takie światło, że duch człowieka jest niem zdumiony i zachwycony. Udręczony zaś i niespokojny duch człowieka zatrzymuje się przed tem światłem, czerpie w niem ukojenie, wnika w nie coraz głębiej, odnajdując w tej starożytności rzeczy coraz nowe, w tej niewzruszoności — ruch ciągły, w całości — nasycenie i rozkwit.

Już dwukrotnie zwracałem uwagę na ten punkt zapatrywania się[1]).

Teraz czas przyjrzeć mu się bliżej, poprzeć go wyraźnymi tekstami, i wykazać ów piękny postęp nauki, tak bardzo zapoznany przez jednych, a oplwany przez drugich, a który stanowi jeden z najwspanialszych dowodów dobroci i opatrzności Boga przy stwarzaniu Jego Kościoła.

Wejdźmyż więc w bliższe szczegóły.

## I.

Bóg otaczał zawsze największemi względami, przyrodzoną umysłowi ludzkiemu potrzebę czynu. Przedsięwziął najrozmaitsze środki, ażeby istota żądna postępu,

[1]) Chrystjanizm i czasy obecne, t. III, r. 1, § 5; t. IV, roz. III, § 6.

stworzona do światła nieskończonego, nie nudziła się w cieniu jednostajności tego biednego świata. Dał jej za przedmiot badania naprzód ziemię ze wszystkiemi jej cudami, ciała niebieskie niezmierzone liczbą i wielkością, nauki matematyczne i fizyczne i wszelkie ich zastosowania. Następnie cały zakres praw moralnych i społecznych; wszystkie zagadnienia filozofji, i jakby jeszcze niedość było tych bezmiarów, które umysł ludzki przebiega od sześciu tysięcy lat, z coraz nowym zapałem, otwiera przed nim tajemnice nieskończoności, dozwalając przenikać je powoli, ale nigdy zgłębić i wyczerpać do dna, ażebyśmy mieli coraz nowy pokarm i nowe dla ducha widnokręgi.

W dziedzinie nieskończoności, tak jak we wszystkich naukach, dał nam Stwórca pewną liczbę pewników, a cecha ich jest ta sama, co pewników nauki. Pewniki te wyrażają niektóre prawdy w sposób niezbity, rzucający się w oczy i nie potrzebujący dowodzenia, i ogłoszone są przez apostołów i proroków. Dowodzić prawdziwości ich nie trzeba. Gdyby ktoś spróbował im zaprzeczyć, wystarcza prosta odpowiedź: Quod semper, quod ubique, quod ab omnibus. „Tak wierzono zawsze i wszędzie; tak wierzyli wszyscy". Jak można podawać to w wątpliwość? Rzecz, w którą wierzyli wszyscy i zawsze i wszędzie, to już oczywistość. Kościół prawie nie potrzebuje pomocy z góry dla strzeżenia prawd takich.

Ale niewszystkie prawdy objawione mają tę cechę. Wiele jest nie tak jasnych, lecz zawiłych, domyślnych. Niektóre zawarte są potencjonalnie, w owych pierwszych pewnikach, jak skutek w przyczynie. Tem niemniej są one, również jak i tamte, objawieniem boskiem, bo kto objawia zasadę, objawia tem samem i jej wynik, — ale nie są tak widoczne. Dla wydobycia ich potrzeba czasu i starań. Potrzeba wstrząśnienia, by wywołać iskrę.

Weźcie wielkie prawdy wiary. Oto naprzykład: Jezus Chrystus jest Synem Bożym, który stał się człowiekiem. To jest zasada; jaśnieje ona w Piśmie św. Ale ileż

się tu nasuwa pytań! Jeżeli Chrystus jest istotnie Bogiem i człowiekiem, czy są w Nim dwie osoby, boska i ludzka, czy też jedna tylko? Czy ma jedną naturę, czy też dwie? i t. d., i t. d.

Jeżeli Chrystus jest Bogiem, potrzeba Go wielbić. Ale cóż mamy w Nim wielbić? Czy bóstwo tylko? Czy można wielbić złączone z tem bóstwem człowieczeństwo? Czy zasługują na uwielbienie Jego umysł, serce, ciało, krzyż Jego? Zapewne, wszystko to znajduje się w świętym depozycie Kościoła, ale potrzeba to w nim odnaleźć, i to prawie zawsze wyprowadzając wyniki z założenia.

Albo ta druga: papież jest głową Kościoła, ma prymat nad wszystkimi katolikami. Ale jaki to prymat? Może to tylko przodowanie? Może przywilej nadawania praw, nauczania, rządzenia? Jest on wiecznotrwały, ale czy jest nieomylny? I czy jest nim bezpośrednio, przez działanie nań Ducha Św., czy wskutek swojej łączności z nieomylnym Kościołem i t. d. i t. d.

Tak samo ze wszystkiem. Mamy zasadę jasną, widoczną, wypisaną ognistemi zgłoskami w świętych księgach. Tej nie potrzeba prawie dowodzić, jest widoczna, wierzono w nią powszechnie. W zasadzie tej jasnej, bijącej w oczy, kryje się wszakże mnóstwo wyników mniej widocznych, ale dążących do wydobycia się na światło, które czas, logika, ruch umysłów, praca teologów, przeczenia heretyków, a nadewszystko opatrznościowe działanie Ducha Św., który wie czas i godzinę, wydobywają powoli i stopniowo.

Taki to jest rozwój dogmatów, którego chciał Stwórca, ponieważ rozwój, postęp, piękniejsze są niźli nieruchomość, rozwój mający na celu pobudzanie i podsycanie działalności człowieka, a strzeżony przez Kościół, który ma na to pomoc z góry.

Stąd się zrodziło w ludzkości nowe życie umysłowe, najwznioślejsze, najgłębsze, jakie kiedykolwiek istniało. Wejdźcie do którejkolwiek bibljoteki i spójrzcie, jak namiętnie rzucił się umysł ludzki do zgłębiania tych świę-

tych formuł; jakie wspaniałe widnokręgi otworzyły one przed nim; jak śmiałemi pomysłami go natchnęły; i jak nietylko, że go nie zgasiły, ale owszem rozjaśniły go i wyćwiczyły. Najpiękniejszym rozdziałem w historji rozwoju umysłu ludzkiego byłaby historja rozwoju dogmatów.

## II.

Czy prawda to jednakże, że Bóg powierzył święte formuły objawienia pracy umysłu ludzkiego, wkładając nań obowiązek zgłębiania ich i rozwijania? Słuchajmy, co mówi o tem św. Wincenty Lireński. Przeszłość nie zostawiła nam cenniejszej i piękniejszej karty nad tę, na której ów Święty doktór wykłada tę myśl wielką, tak w XVII wieku zapomnianą, a której zapomnienie doprowadziło do tak zgubnych nieporozumień. Naprzód udowadnia on niespożytość wiary Kościoła. Od tego też należy zacząć: nie zmienia się ona, nie waha; jest zawsze tą samą, jak sama prawda niewzruszoną i wieczną. Potem święty doktór przypuszcza następny zarzut: „Ale w takim razie, powie kto może, że w Kościele Chrystusowym nie będzie żadnego religijnego postępu?" Na to daje przepiękną odpowiedź: „Postęp taki jest i jest olbrzymi, i nie znajduje się chyba nikt, ktoby był o tyle wrogiem Boga i ludzi, żeby temu zaprzeczył". Istotnie, potrzebaby być wielkim wrogiem Boga i ludzi, ażeby przypuścić jakąś doktrynę pozbawioną możności rozwoju. Byłaby ona tak nieodpowiednią naturze ludzkiej, że musiałaby niebawem zniknąć w obojętności i pogardzie.

„Tylko, prowadzi rzecz dalej święty doktór, należy baczyć, ażeby to był istotnie postęp, a nie zmiana jedynie. Jest postęp, kiedy rzecz jaka rozwija się sama w sobie; jest zmiana kiedy przestaje być sobą i staje się czem innem. Niechajże więc wzrasta owa święta nauka: tak po-

trzebna! Niech z biegiem wieków postępuje szybko i wspaniale, przez wiedzę, rozum, mądrość wszystkich i każdego, każdej jednostki i całego Kościoła. Ale niech postępuje zgodnie ze swoją własną naturą... Zapewne, wielka jest różnica między kwiatem dzieciństwa a dojrzałością męża. Ale mąż dorosły jest tymże samym, co młodzian i dziecię..... Niechże nauka Kościoła ulega temu prawu postępu; niech pogłębia się z biegiem czasu, ale niech pozostaje zawsze tą samą, czystą, nienaruszoną. Niech wszystko, co wiara naszych ojców zasiała na niwie Kościoła, będzie przez pracę jego dzieci uprawiane, upiększane, kwitnące; niechaj wszystko dojrzewa, postępuje i rozwija się, pod warunkiem, iżby pozostało nienaruszonem i nietykalnem".

Niemożna lepiej powiedzieć, ani przedstawić lepiej stanu nauki rozkwitającej stopniowo, na podobieństwo kwiatu, stopniowo ukazującej wszystkie swoje cuda i roztaczającej wonie.

Ale któż dokona tej pracy i potrafi wyprowadzić wszystkie w nauce tej zawarte wyniki? „Wszyscy — mówi dalej święty doktór: — teolog, kapłan, doktór Kościoła, dusza wierna rozważająca z miłością i pokorą objawioną prawdę, rozchylająca ze czcią kwiat i wydobywająca najaw całą jego cudowną piękność. O Tymoteuszu, kapłanie, teologu, doktorze! jeżeli za łaską Bożą zdolny jesteś być przez naukę, przez genjusz, przez pracę stróżem duchowego przybytku, obrabiajże z miłością drogocenne kamienie boskiej nauki, oprawiaj je i wzbogacaj; dodawaj im tyle blasku, wdzięku i piękności, ile tylko będzie w twej mocy. Niechaj, słuchając ciebie, ludzie rozumieją w światłości to, w co wierzyli w ciemności; i niechaj dzięki tobie potomność posiada w świetle rozumu to, co ojcowie czcili nie rozumiejąc!"

Ale człowiek jest omylny: któż będzie czuwał nad jego pracą? Kto powstrzyma kapłana, teologa, doktora

Kościoła, chociażby najmędrszego i najpokorniejszego, od wpadnięcia w błąd? Kościół, który właśnie nato został ustanowiony. „Kościół Chrystusowy, wierny stróż powierzonej mu nauki, nic w niej nie zmienia, nie zmniejsza i nie powiększa. Ale jeżeli znajduje w niej szczegóły niewykończone albo nieuporządkowane, opracowuje je, wyjaśnia, utwierdza i umacnia to, co było już wyrażone, strzegąc starannie tego, co już jest określone i jasne. Wszak sobory nie inne mają zadanie, jak wyprowadzanie na większe światło tego, w co dotychczas wierzono poprostu, jak określanie dokładnie tego, w co wierzono nie określając tego ściśle. Kościół katolicki zawsze to czynił i czyni. Streścił olbrzymią naukę w krótkich formułach, a nieraz dla dopomożenia rozumowi stworzył nowy wyraz określający starodawne znaczenie wiary"[1]).

Prosimy czytelnika odczytać tę przepiękną stronicę, liczącą wieków piętnaście, rozważając w niej i poddając ocenie każde słowo. Będzie miał pojęcie o życiu nauki Kościoła, i nigdy już nie przyjdzie mu zdradliwa chęć mówienia o nowych dogmatach.

## III.

Jeżeli od pierwszych wieków, które streszcza nam św. Wincenty Lireński, przejdziemy do wieków średnich, mamy tam św. Tomasza, jednego z tych doktorów Kościoła, którego słuchając, słyszymy wszystkich doktorów. Traktuje on ten przedmiot z ową trzeźwą jasnością, charakteryzującą jego genjusz. Zaprzeczywszy niewzruszoności bez postępu tak ją zbija w dalszym ciągu: „Opowiadam i mówię, że artykuły wiary są tem dla nauki chrześcijańskiej, czem dla doktryn, które nabywamy przez rozum przyrodzony, są pewniki poznawane same przez się,

---

[1]) Vinc. Lirin. Com Monitor. XXII, XXIII.

w których odnajdujemy porządek polegający na tem, że niektóre rzeczy zawarte są domyślnie w drugich... Trzeba zatem powiedzieć, że co się tyczy samej istoty nauki, liczba artykułów wiary nie wzrosła z biegiem czasu, ponieważ wszystko, w co wierzyły następujące po sobie pokolenia aż do dni naszych, było zawartem domyślnie w wierze ojców, którzy nas poprzedzili; ale liczba ta wzrosła co się tyczy wyjaśnień prawd objawionych, ponieważ niektóre znamy dzisiaj lepiej, aniżeli znano je na początku". Kończy zaś święty Tomasz twierdzeniem, że jak jest postęp wiary w każdej jednostce, tak jest i w całym rodzaju ludzkim[1]).

Do tych dwóch świadectw dodajmy trzecie, jeszcze większej wagi. Bulla Ineffabilis, ogłaszająca całemu Kościołowi dogmat Niepokalanego Poczęcia, zawiera wyraźne i przedziwne określenie tej nauki o rozwoju dogmatów i o warunkach tego rozwoju. Sama już ta bulla mogłaby służyć za świadectwo, gdyż wykazuje, jak wiara w Niepokalane Poczęcie złożona w zarodku w Objawieniu, rozwija się i wzrasta z biegiem czasu; ale z tego poszczególnego faktu przechodzi do zasady ogólnej i wyświetla ją całkowicie. „Że ta nauka o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Panny rozwijana codzień tak potężnie i świetnie, przez coraz głębsze poczucie Kościoła, przez nauczanie, badanie, wiedzę i mądrość, zatwierdzana i rozwijana cudownie u wszystkich narodów świata katolickiego, zawsze w tymże Kościele istniała jako przyjęta od przodków i nosząca na sobie piętno nauki objawionej, świadczą o tem niezbicie najpoważniejsze zabytki Kościoła wschodniego i zachodniego. W istocie Kościół Chrystusowy, czujny stróż i mściciel dogmatów w łonie jego złożonych, nic w nich nigdy nie zmienia, nie zmniejsza, nie powiększa, ale piastując z uwagą, wiernością i mądrością starożytne dogmaty, nie ustaje w kształto-

[1]) Summa, 2-a, 2-ae, quaest. 1, art. VII.

waniu i ogładzanie tego, co było dawniej wskazanem tylko i co zasiała wiara Ojców, tak że dawne dogmaty nabierają wyrazistości, jasności, dokładności, zachowując przytem całą swą pełnię i nienaruszoność, wzrastając tylko zgodnie z naturą swoją, to jest, jako ten sam dogmat i w tem samem znaczeniu".

Nie możnaby wyrazić się głębiej i jaśniej[1]). Zresztą jeszcze przed ogłoszeniem bulli „Ineffabilis" miał miejsce fakt wielkiej bardzo wagi. Pius IX w r. 1852 zebrał komisję złożoną z kardynałów i teologów, dając im do rozstrzygnięcia kwestję, jakich warunków potrzeba, aby orzec, że dana nauka jest de fide? Cóż oni na to? Czy powiedzieli, że trzeba, iżby w naukę tę wierzyli wszyscy, wszędzie i zawsze? Jeśliby tak było, czemże byłaby nieomylność Kościoła? określaniem oczywistości.

Oto odpowiedź komisji:

1) Ażeby można było uznać jakąś naukę za artykuł wiary, nie jest potrzebne, ażeby nie było nigdy co do niej różnicy zdań w Kościele, ani żeby wierni i nauczyciele wiary zgładzali się zawsze z sobą.

2) Nie jest potrzebne, ażeby można było poprzeć ją świadectwami Pisma św., czy to wypowiedzianemi wyraźnie, czy domyślnie w innym artykule zawartemi. Orzec coś jako prawdę wiary można i na podstawie Tradycji tylko.

3) Nie jest potrzebne dla skonstatowania Tradycji, powoływanie się na nieprzerwany szereg świadectw Ojców Kościoła, idący od Apostołów aż do dni naszych.

---

[1]) Patrz także list Leona XIII do arcybiskupa Bourges, 19 września 1878 roku: „Ponieważ niewolno jest cokolwiekbądź ujmować lub dodawać w nauce zostawionej nam przez Chrystusa, i ponieważ, co zatem idzie, ani Najwyższy Pasterz, ani Kościół nauczający nie może wprowadzić nowego dogmatu, rzecz jasna przeto, że jeżeli się znajdzie w Piśmie św., albo w tradycji coś ciemnego, trudnego i jakgdyby w zarodku, zadaniem ich jest jedynie tłumaczyć to, wyjaśniać i określać".

Po ustanowieniu tych prawideł przeczących tak ważnych, a jak to niebawem wykażę, tak niedostatecznie przedtem zrozumianych, komisja orzeka cechy twierdzące, po których poznajemy naukę, mogącą być uznaną za prawdę wiary. Jest ich pięć:

1) Trzeba przedstawić kilka świadectw uroczystych, stanowczych, w których nauka ta jest zawarta.

2) Trzeba, ażeby można było wskazać jedną, czy też kilka prawd objawionych, w których nauka ta jest zawarta.

3) Trzeba, ażeby nie można było zaprzeczyć tej nauce, bez obalenia jednego albo więcej pewnych już artykułów wiary.

4) Trzeba, ażeby można było oprzeć się na zgodzie w obecnej chwili episkopatu katolickiego.

5) I na praktyce Kościoła[1]).

Bóg zatem powierzył Kościołowi swojemu zbiór prawd, w które wierzyć należy. Niezmierne to i niezgłębione ognisko światła. W ognisku owem jedne prawdy jaśnieją takiem światłem, że uznawali je bez protestu wszyscy, zawsze i wszędzie. Inne są mniej jaśniejące, mniej oczywiste, co do których bywały różnice zdań, ale także objawione i przeczenie którym zachwiałoby cały gmach wiary. Są nareszcie ukryte, zawarte w innych, jasnych, ale które także stopniowo wyjdą na światło. Umysł ludzki, wiara, genjusz, miłość, opracowują te dane nieustannie, wyjaśniają je, rozróżniają i wyodrębniają, szukając dla nich najstosowniejszych wyrażeń; a obok tej pracy ludzkiej czuje się w samych tych prawdach jakąś, że tak powiem, żywotną siłę, która prze je do światła, wyprowadza wyniki z zasad i wywodzi najaw tę lub ową doktrynę, stosownie do czasu, niebezpieczeństw, chorób i potrzeb danej epoki.

Znaczy to, że księga wiary nie jest księgą zamkniętą, powierzoną straży Kościoła jako przedmiot archeologi-

---

[1]) Ważny ten dokument podaje kardynał Manning w swojej Historji Soboru Watykańskiego, w dodatku Nr. XIX.

czny. To ksiąga żyjąca, która nie zmieniając się wzrasta codzień, rozwija się z biegiem czasu.

## IV.

Przez niezrozumienie to tej prawdy, protestanci wpadli w takie błędy, urabiając sobie pojęcie o wierze pierwszych wieków jako o czemś nieruchomem, skamieniałem. Zwraca na to uwagę Bonald. Po zaznaczeniu wielkiego prawa rozwoju dogmatów, dodaje: „Historja wszystkich nauk jest tylko historją ich postępu. Chrześcijaństwo, które dało pełną i doskonałą znajomość osób społecznych i ich stosunków między sobą, jest samo, od czasu ogłoszenia Księgi zawierającej zaczątek wszystkich praw moralnych i społecznych, aż do aktów jego zgromadzeń ostatniej doby i pism jego ostatnich doktorów, — li tylko długim rozwojem prawdy, podobnej, według słów jego Założyciela, do ziarna, które dojrzewa i do ciasta, które rośnie. O tę to skałę rozbiły się pycha i nieświadomość nowatorów. Nie dostrzegając owego koniecznego rozwoju, uznali oni za nowe wymysły rzeczy mniej widoczne w czasach poprzednich, a więcej rozpowszechnione w naszych"[1]).

Ostatnie słowa, potępiające stanowczo protestantyzm, mieszczą w sobie ten że argument, jakiego użył już Leon X na sejmie w Wormacji w r. 1521 przez sławnego swojego posła Aleandro: argument ciała ludzkiego, którego wszystkie części wzrastają z biegiem czasu, ale którego wielkość tkwiła już w nim jako zasada, od samego początku; a także ziarno które posiane w ziemi, zawiera w sobie korzeń, łodygę, liście, kłos, kwiat i owoc. Tak samo, mówił przedstawiciel papieża, jest i z wiarą, która posiana na niwie Pańskiej, mnoży się, rozwija, jak to widzimy[2]).

---

[1]) De Bonald, L é g i s l a t i o n p r i m i t i v e, liv. I, chap. VIII, note 6.

[2]) Audin, V i e d e L u t h e r, t. II, p. 72.

Pomimo całej czci, jaką wzbudza we mnie genjusz Bossuet'a, ośmieliłbym się powiedzieć, że wielki ten człowiek niedosyć uwzględnił taki sposób zapatrywania się, walcząc z protestantami. Powtarzając ciągle, że nauka katolicka „pochodząca od Boga, odrazu jest zupełnie doskonała jako dzieło Boże, że odrazu była zupełnie znana i wyznawana w całości"; co jest najzupełniej prawdziwe, ale tylko w tem znaczeniu, że kto przyjmuje zasadę, przyjmuje tem samem wszystkie zawarte w niej wyniki — oburzał ogromnie protestantów: Jurien'a, Claude'a, a nawet Leibniz'a. „Gotów jestem przypuścić, mówi Jurien, że p. Bossuet nie rzucił nigdy okiem na cztery pierwsze wieki. Inaczej jakżeby mogło się stać, ażeby człowiek uczony dawał dowód tak głębokiego nieuctwa? Mówi on, że prawda Boża była odrazu doskonała, czyli że odrazu była doskonale znana i jak najlepiej wykładana. Jest to w zupełnej sprzeczności z tem, co było istotnie, i ażeby temu zaprzeczać, potrzeba mieć czoło miedziane"[1]).

Prędzejby może ich nawrócił, wykładając im owo wielkie prawo rozwoju, które za dni naszych tylu zyskało katolicyzmowi wyznawców w Anglji i Ameryce. Jeżeli wpośród moich czytelników znajdzie się protestant, któregoby wprawiała w kłopot owa pozorna zmienność dogmatu katolickiego, zaklinam go, niechaj przeczyta piękne dzieło kardynała Newman'a. Kiedy je pisał, był on jeszcze protestantem. Widząc jasno, że w nauce katolickiej ma miejsce od osiemnastu stuleci ruch, którego nie można zaprzeczyć, postawił sobie pytanie, czy to jest rozkład, czy postęp? Wszystko na świecie jest zmienne. Ale są rzeczy zmieniające się przez psucie się, — inne znowu, — przez rozwój i postęp. Zaczął tedy badać prawa rządzące tym rozwojem; usiłował zdać sobie sprawę z charakteru rzeczy wiecznych przeniesionych w doczesność i bytujących tam w sposób nie zmieniający wpraw-

---

[1]) Bossuet, Premier avertissement aux protestants Nr. 2. Cytaty samego autora.

dzie ich natury, ale nadający im nowe oblicze. Doszedł do tego, że przekonał się, ujrzał jasno i widocznie, iż nauka katolicka nie odrazu osiągnęła całą swą doskonałość, iż wolą Boga było, ażeby dochodziła do niej stopniowo, i dlatego dał jej zasady, pozostawiając ludzkiemu umysłowi, sercu i wierze, ażeby pod pieczą, natchnieniem i kierunkiem Ducha Świętego, wyciągnął z nich wszystkie ich dalsze wyniki. Niebawem światło takiej dosięgło mocy, że nie mógł mu się opierać dłużej. Wyrzekł się przyszłości, stanowiska, majątku i przyłączył się do Kościoła wiecznego, ale postępującego naprzód, gdzie wszystko trwa niewzruszenie, jak przystoi dziełu Bożemu, ale rozwija się, jak przystoi dziełu utworzonemu dla człowieka; gdzie nic z tego, co raz zostało ogłoszone, nie ulega zaprzeczeniu, ale gdzie z tego, co jest, wyprowadza się bezustanku wyniki w niem zawarte i wydzierające się na światło.

To samo, co protestantom, radzę też usilnie i tym katolikom, których zadziwiło orzeczenie Niepokalanego Poczęcia i nieomylności Papieża. Niech przeczytają to dzieło; niechaj zbadają tę starodawną naukę o rozwoju, zanadto zaniedbaną w wieku XVII, w którym stanowiła sprzeczność ze sztywną majestatycznością ogólnego nastroju. Niechaj przypomną sobie te słowa Zbawiciela, wyrzeczone nie do Apostołów jedynie ale do całego Kościoła: „Teraz znieść nie możecie, lecz gdy przyjdzie on Duch Prawdy, nauczy was wszelakiej prawdy“[1]); nie prawd nowych, ale prawd niedostatecznie dostrzeżonych, niezupełnie uwolnionych z krępujących je obsłon. Niechaj ujrzą to wszystko, a będą błogosławili Boga, że Kościół, który utworzył, jest zarazem boski i ludzki: niewzruszony jak Bóg; jak człowiek i przez człowieka postępowy, sam jeden zdolny do pozyskania nas sobie, przez ludzki urok swojego rozwoju i postępu i do zapanowania nad nami przez urok boski swojej niewzruszoności.

---

[1]) Joan. XVI, 12. 13.

## V.

Możnaby się obawiać, aby ta praca, powierzona czynności umysłu ludzkiego, nie skończyła się niezgodą. Ale nie. Badając rozwój dogmatów, więcej jeszcze zdumieni jesteśmy cudowną jasnością, aniżeli ruchem, zapałem i śmiałością umysłów, podniesionych przez Objawienie do wyżyn zazwyczaj niedostępnych.

Rozważcie dobrze to zjawisko. Oto ludzie wybitni rozumem, nauką, liczni jak gwiazdy na niebie, w ciągu dziewiętnastu stuleci rozsiani na całej powierzchni kuli ziemskiej; ludzie o najśmielszych pomysłach, o najbardziej sprzecznych osobistych przekonaniach, często wrodzy sobie przez współzawodnictwo; o odmiennym języku, zwyczajach i metodzie pracy umysłowej; czasem nawet nieprzyjaciele polityczni; — a mimo to wszyscy jednozgodnie wyznają tę samą wiarę, wszyscy stanowią w niej j e d n o ś ć. Jakże to wytłumaczyć?

Oto ludzie o śmiałym umyśle, charakterze niezależnym, trawią życie na zgłębianiu dogmatów, obrachowywaniu ich podstaw, wyprowadzaniu z nich wyników, gromadzeniu dowodów, badaniu ich zgodności z filozofją, naukami ścisłemi, historją; dzieje się to na olbrzymią skalę, trwa wieki całe, a j e d n o ś ć pozostaje nienaruszona.

Łatwiej byłoby zrozumieć tę jedność, gdyby wszystko było pogrążone w milczeniu, w zupełnej martwocie. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Sam Kościół pobudza do tych badań; wzywa do nich swoich obrońców; zachęca ich do przetrząsania archiwów, do studjów nad nauką. Tworzą się szkoły, uczeni toczą spory, teologowie tworzą systemy. Każdy dogmat służy za pole walki, i po dziesięciowiekowych rozprawach i najśmielszych dociekaniach, j e d n o ś ć jest bardziej niż kiedy piękna, silna i kwitnąca. Cóż to jest zatem?

Na każdem innem polu spory rodzą niezgodę, rozdział a nawet i śmierć. Tutaj prowadzą do j e d n o ś c i.

Prawda, że niektórzy chwieją się, padają: taki Tertuljan, Arjusz, Pelagjusz, Luter, Lamennais, co świadczy o wolnej woli; ale niezmierna większość pozostaje umocniona w wierze, szczęśliwa, w zgodzie, w jedności.

Jak się to dzieje. Jakim sposobem Kościół zachował jedność szukając światła, powołując świat cały do roztrząsań? Szukajcie w historji wszystkich czasów, i jeżeli znajdziecie gdziekolwiek tak dziwne zjawisko, jak naukę idącą w parze z wiarą, genjusz ludzki poddany władzy, a jedność wykwitającą coraz piękniej z łona sporów, będzie to odkrycie godne uwagi świata całego. Ale nic podobnego nie znajdziecie; nie możecie znaleźć. Znajdziecie przeciwnie, albo martwą niezmienność bez postępu, albo postęp szalony bez jedności.

Bezstronny więc rozum, dobra wiara, zdrowy rozsądek wyprowadzą stąd ten logiczny wniosek, że jest w Kościele katolickim coś, czego nie znajdziemy gdzie indziej.

## VI.

Posłuchajcie pięknych słów Piotra świętego do Chrystusa: Domine, ad quem ibimus? Verba vitae aeternae habes. „Panie, do kogóż pójdziemy? słowa żywota wiecznego masz“ [1]). Czyli, tłumacząc jaśniej: Masz żywe słowa, słowa żywota wiecznego. Albo jeszcze jaśniej: Masz słowa, w których tyle jest żywotności, że skoro się je usłyszało, nie można już odejść. Trzeba pozostać w zdumieniu.

Oto, co tworzy jedność.

Jedność nie przychodzi z zewnątrz. Nie podtrzyma jej żadna siła ludzka. Nieomylność nauczania Kościoła otacza ją opieką, ale jej bynajmniej nie stwarza. Pochodzi ona z wewnątrz, z niedoścignionej piękności, niezrów-

[1]) Joan. VI, 69.

nanego życia słowa powierzonego Kościołowi. „Słowa, którem ja wam mówił, duchem i żywotem są"[1]).

Poza tem, u największych nawet genjuszów, słowo jest słabe, zaledwie żyjące. Dosięga jedynie powierzchni duszy. Tamto tylko słowo sięga jej głębi.

Bo i gdzież szukać słów żywych, któreby dotarły aż do głębi dusz i porwały je za sobą aż do złączenia w jedno! Nigdy myśl nie rodziła się prędzej, jak obecnie; nigdy też nie ginęła prędzej. Myśli opadają, jak te liście jesienne, którym zabraknie soków żywotnych. Giną dzienniki, broszury, książki, na podobieństwo tych znikomych żyjątek, odkrytych przez naukę, które w przeciągu jednej sekundy wyczerpują cały swój zasób sił żywotnych.

A w krótkim tym przeciągu czasu, kiedy myśl ludzka cieszy się jakiemś życiem, jakąż jest najwyższa jej ambicja? Oto znaleźć czytelników. Ale cóż znaczy czytelnik? Właściwie trzebaby jej uczniów; trzebaby jej się wcielić nie w karty nieśmiertelnej księgi, ale w dusze. Trzebaby pozyskać miljony dusz, któreby się karmiły naszą myślą, żyły nią, dla niej gotowe były umierać. Ale któż wie o czemś podobnem dzisiaj? któż zaznał tego kiedykolwiek? Większa część ludzi pisze na piasku; niektórzy na ulotnych świstkach; mała liczba na pargaminie, — na żyjącem zaś sercu — nikt. Oto jest bilans myśli ludzkiej w wieku XIX.

Mylę się; dzisiaj nawet, wśród wieku XX, jest jedno słowo żywe, Słowo żywota wiecznego, słowo utrwalone nietylko na kartach nieśmiertelnej księgi, które stworzyło nie szkołę o kilkuset wyznawcach, ale które sięga głębi dwustu miljonów dusz, a porywając je swoim urokiem, jednoczy. I to nie przeszłość którejby się dało zaprzeczyć. Niedawno słyszeliśmy to słowo żywe. Wygłosił je czcigodny starzec, słowa owego stróż i tłumacz. Działo się to 8 grudnia r. 1854. Cały świat uciszył się, by słuchać. I zaledwie Najwyższy Pasterz przeby-

[1]) Joan. VI, 64.

wający w Watykanie wymówił to słowo, przeniknęło ono jak błyskawica umysły całego otaczającego go zgromadzenia, i wszyscy zawołali: C r e d o! Potem słowo żywe wylądowało w Marsylji i Francja zawołała: C r e d o! Przeszło Pireneje i Hiszpanja zawołała: C r e d o! Przeszło przez Alpy, i wraz Austrja i Węgry, i Polska i Belgja zawołały: C r e d o! Przebyło na okrętach Anglji ocean, i obie Ameryki zawołały: C r e d o! I na podobieństwo górskiego echa powtarzającego powielokroć rzucone mu odgłosy, usłyszano młodziutkie gminy chrześcijańskie Oceanji, Chin, Korei, Japonji powtarzające: C r e d o! C r e d o! C r e d o!

To, co miało miejsce w r. 1854, powtórzyło się potem z jeszcze większą uroczystością. Cały episcopat był zebrany w Rzymie na soborze powszechnym. Chodziło o rzecz ogromnej doniosłości w praktycznem zastosowaniu. Spór był gorący, namiętny. Nagle zapanowała cisza. Żywe słowo miało się dać słyszeć. Zapowiadano odłączenia się — schizmy. Tymczasem któryż biskup nie uchylił głowy? I oto poraz wtóry w tym wieku dwieście miljonów ludzi zawołało: C r e d o!

## VII.

A zwróćcie też uwagę na charakter owego słowa, łączącego świat w tak cudowną jedność. Gdyby ono było samą jasnością, oczywistością, łatwiej byłoby zrozumieć to zjednoczenie wszystkich umysłów: ale to właśnie zadziwia najbardziej, że jest ono samą niemal ciemnością. Cóż bowiem mówi ono? W co każe wierzyć? Mówi, że Bóg jest jeden we trzech osobach, równych sobie i odrębnych, a które mimo to stanowią razem jednego Boga; że wszyscy ludzie przychodzą na świat w stanie grzechu, jako nieprzyjaciele Boga, ponieważ wszyscy zgrzeszyli w swoim pierwszym rodzicu; że Bóg stał się człowiekiem w łonie Dziewicy; że Bóg umarł; że Bóg jest ukryty pod postacią

odrobiny chleba; że jest wiekuiste piekło i że papież jest nieomylny. Tego wszystkiego naucza; i wszystkie te rzeczy niezrozumiałe, a według świata nawet niedorzeczne, jednoczą dwieście miljonów ludzi, nietylko w jedności światła, co już było wspaniałem, ale w jedności tajemnicy, w wierze w to, co się nie da pojąć. W tem leży boskość słowa! A jeśli się pomiędzy moimi czytelnikami znajdą ludzie, ruszający ramionami na sam wyraz: tajemnica, powiem im: O mędrcy tego świata, potężni filozofowie, książęta wiedzy, macie za sobą wszystko: rozum, oczywistość, erudycję, krytykę, naukę, a nie możecie utworzyć ani jednej szkoły! Te, któreście założyć usiłowali, są już w rozsypce i upadku. My zaś mamy tajemnicę, czyli podług was niedorzeczność, głupstwo i szaleństwo; a osiągamy jedność, i to nie na małą jakąś skalę; ale wspaniałą jedność dwiestu miljonów ludzi! Czego chcecie więcej na dowód wszechpotężnej żywotności słowa powierzonego Kościołowi, słowa żywota wiekuistego. Verba vitae aeternae.

I to jeszcze niewszystko. Słowo to o przedziwnej mocy, nietylko opanowuje umysły, ale sięga aż w głąb sumień; stworzywszy jedność umysłów, stwarza jedność woli, a zawsze w wolności. Podczas kiedy gdzie indziej myśl, nie mając potęgi fizycznej, musi wzywać z zewnątrz pomocy miecza, tutaj niema ani wojsk, ani policji, ani oręża, a jednakże jest społeczeństwo olbrzymie, powszechne, jest król, są urzędnicy, przepisy, prawa. Wchodzi się do tego społeczeństwa z dobrej woli. „Czy chcesz być ochrzconym? — Chcę". Wychodzi się także z wolnej i nieprzymuszonej woli. Z prawami jego i przepisami czynić można również to, co się komu podoba. Dzisiaj można być katolikiem, jutro protestantem, pojutrze bezwyznaniowcem i t. p.; ma się potemu wszelką swobodę; jeżeli nie wobec Boga, to przynajmniej wobec ludzi. Kościół ma tylko jedną karę, karę moralną, której rzadko używa, a która polega na powiedzeniu: „Nie chcesz mnie, — ja również nie chcę ciebie. Wyszedłeś pierwszy; za-

mykam drzwi za tobą". I to nigdy nie zamyka ich tak, ażeby winny nie mógł wrócić. I w takich warunkach, w których nie przetrwałoby godziny najmniejsze ze społeczeństw, takie księstwo Monaco, owo społeczeństwo olbrzymie, powszechne — żyje; ów król dwustu miljonów dusz panuje: taka jest moc ducha ożywiającego Kościół, słowa żywego stwarzającego go bezustanku.

Prawda, że fakt to zbyt stary, by działać na umysły. Tak samo dzieje się z tym cudem, jak ze wschodem i zachodem słońca, które powszednieją, gdyż widzimy je codziennie. Ale gdyby tak jeden z tych wielkich umysłów świata pogańskiego, tęskniących do jedności a nie znających drogi do niej — gdyby Platon, który przy całym swoim genjuszu zdołał zaledwie utworzyć szkołę — wszedł do którego z naszych kościołów w dzień świąteczny i usłyszał na wstępie głos ludu chrześcijańskiego: Wierzę w jednego Boga; gdyby zobaczył ten tłum różnej płci i wieku zjednoczony w szczytnem świetle jedności Bożej, którą on przeczuwał, ale której nie ośmielił się głosić z obawy, że lud niezdolny jest ją zrozumieć, — wyobrażam sobie, jakie zdziwienie przykułoby go do progu. A gdyby wsłuchując się dalej w pieśń rozlegającą się w świątyni, usłyszał słowa: I w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego, który się narodził z Marji Dziewicy; czyli gdyby po ujrzeniu jedności dusz w świetle dostępnem, ujrzał, jedność dusz w tajemnicy, w świetle niedostępnem i nieskończonem, wielki ten umysł przeniesiony tak raptownie w świat tyle dlań nowy, ukorzyłby się w podziwie i zachwycie. Gdyby zaś w dalszym ciągu usłyszał: I w jeden Kościół święty, katolicki i apostolski, czyli nietylko już jedność umysłów, ale najwyższą jedność dusz, sumień, żywotów w wolności powszechnej, nie mówiłby już wtedy: „Trzeba, ażeby Bóg zstąpił na ziemię dla nauczania ludzkości"; powiedziałby: „Bóg ten przyszedł; uznaję Go, czczę i wielbię"; złączyłby głos swój z chórem całego świata mówiącego: Wierzę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

### O życiu Kościoła (fakty).

#### Boski postęp Kościoła. — 3) Postęp miłości.

Po postępie jestestwa i po postępie światła mamy oto rozpatrywać postęp miłości. Ale czyż może być postęp w miłości? Czyż z samej jej natury nie wynika, że powstaje odrazu, na podobieństwo gromu, i że od samego początku ma blask, piękność, słodycz, delikatność i siłę nie idące dalej? Czyż nie tak rzecz się miała z Kościołem? Czyż nie odrazu opromieniał go Chrystus całą swoją miłością? I czyliż Kościół nie zwracał mu jej zaraz w mierze, jeżeli nie równej, to możliwie największej. Któż kiedy tak ukochał Chrystusa, jak apostołowie, jak pierwsi męczennicy, jak dziewice pierwotnego Kościoła? Co dorówna owej jutrzence Chrześcijaństwa, kiedy wierni mieli tylko jedno serce i jedną duszę, i żyli wszyscy jakby w pewnego rodzaju ekstazie pierwszej miłości?

Tak, to prawda. Początek ten jest niewymownie piękny, tak jak każdy początek miłości. A jednakże Renan powiada: „Jezus Chrystus jest dzisiaj tysiąc razy więcej kochanym, aniżeli za życia". Wtóruje mu Havet: „Nigdy Chrystusa tak nie kochano, jak kochają Go obecnie". Jest więc jakiś postęp w miłości Chrystusa i dusz; i jest widocznie bardzo znaczny, jeżeli mogli go dostrzec ludzie tak ślepi.

Przypatrzmy się, na czem on zależy; zbadajmyż to, co ksiądz Perreyve nazwał tak pięknie pochodem miłości.

„Należy wiedzieć, mówi on, że miłość, ażeby mogła istnieć, musi koniecznie wzrastać. Musi wzrastać, wznosić się, umacniać przez radość i cierpienie, musi się pogłębiać przez szczęście, a więcej jeszcze przez boleść i ofiarę, słowem ciągle i bezustanku musi postępować naprzód, rozszerzając ciągle swe podboje i zwiększając swe dary"[1]).

Spójrzmy, czy nie tak było z miłością dusz dla Jezusa i z miłością Jezusa dla dusz?

## I.

Co stanowi istotną świętość Kościoła, to miłość jego dla Jezusa; a miłość tę stwarza w nim, odnawia i podnieca nieustanne wpatrywanie się w boskiego Zbawiciela. Oblubienica wpatruje się w swego Ukochanego, podziwia go, opiewa, uszczęśliwia ją rozmyślanie o Jego doskonałościach, ponieważ On jest Bogiem, a zatem nieskończony, powraca bezustannie do tej kontemplacji, nie mogąc się nigdy nasycić.

To wielbi w zachwyceniu całość, to analizuje boską postać, dla lepszego rozpatrzenia jej i uczczenia. Mówią, że wszystkiemu w Chrystusie zaprzeczono, wszystko oplwano i znieważono, — ongi jego, ręce, głowę, serce, człowieczeństwo, bóstwo, życie i śmierć. Prawda. Ale Kościół również wszystko uczcił, uwielbił, ukochał, okrył pocałunkami i oblał łzami.

Dla dokładniejszej kontemplacji nadał jej stały porządek. Co roku wielbi kolejno fakty z życia Zbawiciela. Kolejno ze czcią i modlitwą wpatruje się w jego łaski pełne narodzenie, niewinny wiek młodzieńczy, ukryte życie w Nazarecie, nauki jego i gorliwość apostolską w Galilei, jego mękę, biczowanie, śmierć z miłości dla nas, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie. Skoro skończy,

[1]) Perreyve, Une Station à la Sorbonne, pag 208.

zaczyna znowu od początku, nigdy nie zmordowany, ale i nigdy nie zadowolony, z miłością zawsze nową, zawsze wzrastającą, bolejącą jedynie nad tem, że nie może wniknąć głębiej w całą tę piękność i świętość. Martwi go to. Wzywa więc każdego wiernego z osobna, ażeby starał się lepiej od niego czcić i wychwalać:

Quantum potes, tantum aude,
Quia mojor omni laude,
Nec laudare sufficis.

Ale znużony wkrótce bezowocnemi wysiłkami, wzywa dusze wybrane do grupowania się dokoła jednego czynu Zbawiciela, jednej jakiejś tajemnicy z jego życia. Dosyć bo też jednej, ażeby ją całem swem życiem czcić, wielbić, a rozważając ją, pobudzać się do miłości i wdzięczności. Ma więc czcicieli święte dzieciństwo jego; twarz święta spoliczkowana i oplwana; nogi i ręce przebite, serce włócznią rozdarte. Jak powstają te poszczególne nabożeństwa? Któż to może powiedzieć? Mnożą się one w Kościele. Ilość ich świadczy o nigdy nie wyczerpanem życiu, czynności, nowości, zapale, jak iskry rozrzucone przez ognisko świadczą, że ogień trwa nieustannie.

Może nie będzie zbytnią zuchwałością, jeżeli w ruchu tym i w tem życiu spróbujemy wykazać pewien system i postęp. Nasamprzód, w katakumbach, kiedy wierni są deptani, i pogardzani, przeważa nabożeństwo do Chrystusa zmartwychwstałego, do boskiego Jonasza, wychodzącego z wnętrzności wieloryba, do boskiego Orfeusza, który oczaruje dzikie zwierzęta i zbuduje Kościół przy dźwięku swojej liry. Te wyobrażenia spostrzegamy bezustanku na murach katakumb; krzyża, biczowania, oblicza znieważonego, oplwanego niema tam wcale; wszędzie tylko lira, laska pasterska, biała szata Zmartwychwstałego, piękne młodzieńcze oblicze nie dotknięte ani zębem czasu, ani ościeniem śmierci. Na rusztowaniach i sto-

sach chrześcijanie karmią się tem nabożeństwem zrodzonem z wiary i nadziei.

Potem, za Konstantyna, kiedy Chrystjanizm zdaje się religją panującą, a wierni nietylko nie boją się już o życie, ale dostępują wszelkich zaszczytów, jakie nabożeństwo ogarnia dusze pomału i niepostrzeżenie? Oto nabożeństwo do krzyża. W cierpieniu — kult zwycięstwa; w radości — kult krzyża! Krzyż wychodzi na powierzchnię ziemi, gdzie go ukrywano w ciągu trzech stuleci, a z niego panuje nad światem boski Ukrzyżowany, okryty krwią i ranami. Tym ludom, którym grozi zepsucie cesarstwa, tym barbarzyńcom, którzy nadchodzą pełni brutalności i gwałtu, potrzeba było dla pobudzenia jednych a zmiękczenia drugich tych gwałtownych wstrząśnień, tego wzruszającego objawienia nieskończonej miłości w cierpieniu. Nabożeństwo do krzyża, do korony cierniowej, do gwoździ, słupa, rąk i nóg przez miłość przebitych, zapełnia cały schyłek państwa rzymskiego i całe najście barbarzyńców. Przenika ono dusze wzruszeniem, rozrzewnia je, napełnia taką miłością, że narody chrześcijańskie powstają i idą na oswobodzenie grobu Chrystusowego; a widok Jerozolimy pobudza tych surowych żołnierzy do łez, które u niektórych przechodzą w omdlenie, a nawet w śmierć.

Powoli pod świętym tym wpływem uszlachetniają się umysły, dusze nabierają tkliwości. I ukazuje się nowe nabożeństwo, mniej działające na zmysły, głębsze, serdeczniejsze jeszcze, świadczące o wierze bardziej uczuciowej i bardziej już wewnętrznej: nabożeństwo do Jezusa Chrystusa utajonego w Przenajświętszym Sakramencie. Jeden z papieży każe podnosić Hostję świętą we mszy podczas konsekracji, wzywając tem wiernych do jawniejszego uwielbienia. Drugi ustanawia piękne procesje Bożego Ciała. Trzeci wzywa dwóch największych genjuszów współczesnych, śś. Bonawenturę i Tomasza do ułożenia pieśni, odpowiadającej ogólnemu nastrojowi ducha. Święty jeden zakonnik, porwany tym prądem, pisze czwartą księgę N a ś l a d o w a n i a. I Kościół odnowiony i jak-

gdyby odmłodzony przez tę nową chwałę, przygotowuje się do godnego spotkania prób ciężkich, które go czekają.

Upływa kilka wieków; — oto nabożeństwo nowe, świadczące o duszach bardziej wewnętrznych, przygotowanych przez Najświętszy Sakrament do zrozumienia wszystkich najdelikatniejszych odcieni duszy Zbawiciela: nabożeństwo do Serca Jezusowego. Ono także pochodzi z nieba, a zarazem z ziemi. Przychodzi, kiedy wybiła jego godzina, i posuwa narody chrześcijańskie o cały krok naprzód w miłości.

Nie koniec na tem. Oto na widnokręgu świta nowe nabożeństwo do Kościoła, do papieża, o których niegdyś mówiono tak mało, a które rozświetlą chrześcijaństwo niespodziewanemi a tak potrzebnemi blaskami.

Pomiędzy temi głównemi nabożeństwami rozmieśćcie nabożeństwa pomniejsze. Zbadajcie datę narodzenia każdego z nich, epokę, w której powstaje i środowisko, w którem się rozwija. Przypatrzcie się, jaki w tem wszystkiem porządek, ruch, życie, — jakie nieśmiertelne odmładzanie się wiary, pobożności i świętości. Miłość boska jest w kościele. Jest niewzruszona i niezachwiana, jak to widzieliśmy, ale jednocześnie postępująca naprzód i żyjąca. W całym zaś tym postępie, w owym pochodzie naprzód, pierwszą rzeczą do zaznaczenia jest postęp w nabożeństwie.

## II.

Ale kiedy się kocha, niczem jest jeszcze rozważać, czcić i wielbić. Potrzeba oddać się ukochanej istocie. Potrzeba się jej poświęcić, — żyć dla niej a nie dla siebie. I tutaj widzimy ogromny postęp.

Któż jest w stanie powiedzieć, jak powstało szczytne prawo wstrzemięźliwości czystości kapłańskiej? Czy to Chrystus wymagał jej od apostołów, a ci od biskupów i kapłanów? Czy może uchwalili ją w chwili zapału kapłani Kościoła pierwotnego? Jakto, przystępujemy co-

dzień do ołtarza, codzień bierzemy w ręce najczystsze ciało Zbawiciela naszego Jezusa, to ciało dziewicze urodzone z Dziewicy, i nie mielibyśmy być mu podobni! Patrząc na celibat kapłański już tylko z czysto ludzkiego punktu widzenia, przejmujemy się już podziwem. On to stworzył kapłana, dał mu jego aureolę, całą jego wielkość. Wymagając odeń świętego osamotnienia, dał mu cześć i zaufanie; dał mu swobodę. Ale rozważając go z wyższego punktu widzenia, dostrzegamy w nim przedewszystkiem słodki owoc miłości Chrystusa. Ona tylko sama mogła stworzyć cud podobny. Ale jakie to było śmiałe! Człowiek miał ukochać Boga do tego stopnia, żeby poświęcić mu najwyższą i najbardziej usprawiedliwioną z ludzkich namiętności. Powstrzymać w sobie życie, powiedzieć sobie, że potomstwo moje nie napełni ziemi i nieba; umrzeć samotnie po samotnem życiu: jakże trzeba miłować Boga, aby móc zrobić taką ofiarę! A tej ofiary żąda miłość Boża nie od kilku dusz wybranych, ale od niezmiernej ich mnogości: od czterdziestu pięciu tysięcy ludzi we Francji, od dwiestu tysięcy w Europie, od miljonów, biljonów przez ciąg osiemnastu stuleci. A żąda jej nie wtedy już, kiedy lata posrebrzą włosy i pokażą młodości, pełnej złudzeń i zapału, że wszystko przechodzi i że po najczystszej miłości pozostają w końcu tylko popioły. Chce ta miłość Boża, ażeby człowiek w zaraniu lat swoich poświęcił Bogu nie smutną a nieznaną jeszcze rzeczywistość, ale cudne marzenia i niewysłowione nadzieje, przepełniające jego młodociane serce. A żądając tego poświęcenia, trzeba było obawiać się nie tego, iżby go odmówiono, bo pełna zapału młodość niczego nie odmawia, ale tego, żeby później nie żałowano swej ofiary, żeby Kościół nie zginął przez zbyteczne rachowanie na siły ludzkie. Tymczasem mimo wszelkich trudności, Kościół nie przerachował się bynajmniej i dowiódł w sferze, w którą sięgnąć nie ośmieliła się żadna religja, że w miłości do Zbawiciela mieści się nadludzka moc poświęcenia i ofiary.

## III.

Chociaż ten pierwszy rozkwit cnót, zrodzonych z miłości dla Jezusa, był tak nadzwyczajny, wkrótce ukazuje się drugi, obfitszy, samodzielniejszy jeszcze, a niemniej cudowny. Chrystus powiedział był: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, przedaj co masz i daj ubogim, a przyjdź, pójdź ze mną“ [1]). Powiedział: Jeśli kto chce za mną iść, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień, i niech idzie za mną[2]). Powiedział: Są, którzy się sami otrzebili dla królestwa niebieskiego. Kto może pojąć, niechaj pojmuje[3]). I oto ludzie pobudzeni przez te słowa, pałający chęcią wypełnienia ich, łączą się ze sobą i zobowiązują przez śluby publiczne, uroczyste, nieodwołalne: 1) że nie będą mieli nigdy innej miłości, nad miłość Jezusową; 2) że nie będą mieć na ziemi nic własnego, ani domu, ani roli, ani nawet odzienia, które ich przykrywa, żyjąc jak żebracy: ślub ubóstwa; 3) że wyrzekną się własnej woli i będą pozostawali w nieustannej od drugich zależności, jak dzieci: ślub posłuszeństwa. Czyż to nie nadmiar śmiałości? Jak to pojąć, że Kościół dał swe upoważnienie? Nie dlatego, żeby to było całkiem niepodobne, ale że potrzeba do tego jednego warunku: miłości. Kto kocha, jest posłuszny; kto kocha, gardzi rzeczami ziemskiemi. Kto kocha, składa w ofierze wszelką inną miłość. Dajcie mi dusze, kochające Boga jedynie, kochające go z całą gorącością, a ręczę wam, że potrafią żyć w ubóstwie, w posłuszeństwie, w czystości. Nie będzie to dla nich ofiarą, ale szczęściem. Ale gdzież są dusze, któreby tak Boga miłowały, któreby mieszkając w ciałach ułomnych, zmysłowych, namiętnych, żyły w tak ści-

---

[1]) Matth. XIX, 21.
[2]) Luc. IX, 23.
[3]) Matth. XIX, 12.

słem z nim zjednoczeniu, żeby tylko jego widziały i żeby im wystarczał? Gdzież są one? W Kościele katolickim i tylko tam.

A tego, kto zna charakter tych zakonów, zdumiewa wielka ich ilość. Łatwiej jeszcze zrozumieć, że niektóre dusze wybrane, wskrzeszone boską pięknością Zbawiciela, uniesione miłością ku niemu, ślubują czystość, posłuszeństwo, ubóstwo. Ale czyni to nieprzebrane dusz mnóstwo; zastępy ciągle się odnawiające. Któż zliczy dzieci św. Benedykta? Kto opisze tłumy, idące w ślady śś. Dominika i Franciszka z Asyżu? Kto zliczy rodziny śś. Ignacego, Filipa Nereusza, Wincentego à Paulo, Alfonsa Liguori? A niewiasty współzawodniczą z mężami, przewyższając ich często ilością, czynnością, bohaterstwem, świętą gorliwością. I trwa to przez dziewiętnaście stuleci, i każde słowo Zbawiciela wzbudza tysiące bohaterów.

Żeby zaś ocenić całą piękność tego zjawiska, należy jeszcze wziąć pod uwagę godzinę, w której zrządzenie Opatrzności powołuje do życia każdy zakon, godzin tych porządek, ich kolej i zastosowanie do potrzeb czasu. Czuć w tem świętem kiełkowaniu ducha ukrytego, który dla każdego oznacza czas i godzinę; lub też nieustające działanie miłości nigdy nie zadowolonej, nawet przez najpiękniejsze swoje dzieła, i z każdej potrzeby, niebezpieczeństwa i bólu ludzkości, biorącej pochop do nowych dla niej dobrodziejstw. Cudowny ten widok przedstawia tylko jeden Kościół katolicki, co dowodzi, że miłość w nim jest nietylko niewzruszona i niezwyciężona, ale dążąca naprzód, żyjąca.

## IV.

A oto, co lepiej jeszcze tego dowodzi. W każdym zastępie walczących, wśród oddziałów wyborowych i ponad nimi, są jeszcze bohaterowie; ludzie posiadający wobec niebezpieczeństwa odwagę, zimną krew, dobry humor

i szczęście, które elektryzuje otaczających. To samo widzimy w Kościele katolickim. Powstają w nim od czasu do czasu istoty, w których spotęgowana miłość Boga i ludzi dochodzi, nie gorszcie się tem, co powiem, do namiętności i szału. Opisywałem już to zjawisko[1]). U stóp Golgoty, na której Chrystus umarł z miłości dla ludzi, zjawiają się istoty które poprzysięgły żyć i umierać z miłości dla Chrystusa; istoty narówni z nami mające pociąg ku rzeczom ziemskim, zaślepiane i kuszone przez nie, a które pomimo to kochają Boga więcej, niż ojca, matkę, żonę, dzieci i żyją w upojeniu, w zachwyceniu; w najwznioślejszych a zarazem najdziwniejszych szaleństwach miłości.

Żeby zaś to zjawisko nie było uważanem za wynik złudzenia, Bóg miłość tę uświęca. Znakami widomemi daje dowód, że ją podziela. Kocha tak, jak jest kochanym. Wkrótce w miłości tej między Bogiem a świętym, następuje pewne utożsamienie. Święty, mówi Pismo św., uczestniczy w potędze Bożej. Staje się prorokiem, co znaczy, że zjednoczony z Bogiem, który wie wszystko, poznaje on przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, czyta w sercach, przenika dusze. Staje się cudotwórcą, czyli, że zjednoczony z Bogiem, który wszystko może, — rozkazuje on żywiołom, chorobom, a nawet śmierci. I jest to tak koniecznem następstwem takiej miłości, że Kościół nie umieścił na ołtarzu żadnego Świętego, zanim nie sprawdził, czy czynił on cuda, czyli, czy był do tego stopnia z Bogiem zjednoczony, żeby uczestniczyć w boskich atrybucjach. Ale świat, mniej pod tym względem surowy od Kościoła, uprzedza jego wyrok. Ludzie garną się ze czcią do Świętego, dotykają jego szat, całują ślady stóp jego, a skoro umrze, dzielą się jego szatami, nie czekając, aż go Kościół umieści w rzędzie Świętych.

Jest to fakt, któremu nie możecie chyba zaprzeczyć. Nie chodzi tu o jakieś wydarzenie zaszłe w oddalonym zakątku ziemi i co do którego historja nie ma pewności.

---

[1]) Chrystjanizm i czasy obecne, t. III, roz. XV, § 3.

Fakt ten powstał jednocześnie z Kościołem, jest jednym z zasadniczych pierwiastków w jego ugruntowaniu; wraz z nim wzrósł i opanował świat; a tak jest rozpowszechniony, że niema narodu, prowincji, miasta na całej przestrzeni świata chrześcijańskiego, któreby nie miały kiedyś zaszczytu i szczęścia wydania na świat Świętego. Z tego, co napisano o Świętych, można utworzyć olbrzymią bibljotekę. Ojciec Bollandus i jego towarzysze, którzy podjęli się napisać historję Świętych naukową i krytyczną, wydali jej już sześćdziesiąt trzy tomy in folio. Radzę wam nie przeczytać je, bo na to nie wystarczy życia, ale przynajmniej przerzucić. Będziecie zachwyceni. Tam to się widzi dowodnie, jak wielka jest wszechmocność miłości w Kościele; jak miłość ta może czynić świętych z ludzi wszystkich klas społeczeństwa: z kapłanów, z wojowników, królów, filozofów, dziewic; ze wszystkich plemion: św. Cecylja, św. Agata, św. Agnieszka, z pośród zgniłych szczątków państwa rzymskiego; św. Genowefa, św. Radegunda, św. Klotylda z pośród surowych i burzliwych barbarzyńców; św. Róża z Limy w dziewiczych lasach Ameryki.

Tam również widzi się cały porządek i postęp w kolejnem pojawianiu się Świętych. Świat wyobraża sobie, że są oni rozrzuceni bezładnie w historji, bez związku z sobą. Błędne to mniemanie. Święci rodzą się w godzinie, naznaczonej wyrokiem miłości nieskończonej. Jest to chór, orkiestra, i nic piękniejszego, jak porządek wzniosłego zjawiska. Zgłębianie go wszakże zaprowadziłoby nas zbyt daleko i cały tom nie wystarczyłby na najogólniejsze zarysy tak wspaniałego przedmiotu.

Tam też nadewszystko widzi się w całej oczywistości, że sam tylko Kościół katolicki może wydać świętych.

Weźmy np. Kościół anglikański. Iluż świętych ma on z czasów swej jedności z Kościołem! Wszak była to wyspa Świętych, wyspa św. Edwarda, św. Alfreda, św. Tomasza Kanterberyjskiego. Potem miała mówców, autorów, admirałów, filantropów, ale ani jednego świętego,

ani jednego oddanego bez podziału Bogu i ludziom. Od czasu Henryka VIII lista ich nie pomnożyła się ani o jedno imię.

Tak samo jest z Niemcami, z Prusami, ze Szwecją, I wielkie te, ale nieszczęśliwe narody nie znalazły nic lepszego dla zamaskowania swojej jałowości, nad obrzucanie świętości bluźnierstwami; jak owe niepłodne niewiasty, któreby zamiast znosić z godnością to nieszczęście, jeżeli to jest nieszczęście, albo ukrywać je, jeżeli to jest zbrodnia, — zaczęły szydzić z kobiet macierzyństwem ubłogosławionych, albo też je znieważać.

Macierzyństwem ubłogosławiony jest jedynie Kościół katolicki, był nim zawsze, i wszelkie ludzkie występki, wszelkie wstrząśnienia społeczeństw nie przeszkodziły mu rodzić w obfitości słodki owoc świętości doskonałej. Wszak to nie dalej, jak wczoraj, wydał on św. Franciszka Salezego, św. Joannę de Chantal, których krewni znajdują się prawdopodobnie pomiędzy moimi czytelnikami. Wczoraj przecie chodził po ulicach Paryża stary kapłan w łatanej sutannie, o wyglądzie pospolitym i wzniosłym zarazem, nazywany przez ubogich Ojcem Wincentym. Wczoraj Włochy spoglądały z uwielbieniem na starego biskupa, odmawiającego wciąż różaniec, co nie przeszkadzało mu być wielkim teologiem i którego Kościół obdarzył właśnie mianem Doktora. Wczoraj też żyła owa święta i anielska Małgorzata Marja, z której tyle drwił wiek XVIII i której dziwaczne trochę nazwisko dziś jeszcze rozwesela tylu idjotów.

Powiecie: i gdzież są święci? Ja nie spotkałem żadnego. Być może, i to jest nieszczęściem waszego życia. To dowód, że idziecie drogami, na których ich niema. Skierujcie się na inne, a kto wie, może zdarzy się wam to, co się zdarzyło mnie samemu. Byłem bardzo młody. Dnia pewnego wszedłem do ubogiego kościołka w nędznej wioszczynie. Powiedziano mi, że stary ksiądz tameczny, to człowiek wielkiej świętości; przybyłem, by go obejrzeć, jak się ogląda jakieś zjawisko. Ujrzałem go; skierował

na mnie wejrzenie nadludzkiej piękności. Upadłem na kolana zalany łzami. Kiedym był jeszcze młodszym, przybyłem raz do Neapolu. Umarła tam była właśnie młoda królowa. Nie widziałem jej, ale całe miasto było przepełnione odgłosem jej świętości i niebiańskie tchnienie owiewające jej pamięć dało mi uczuć, że jest coś wyższego, niż młodość, piękność, niż korona królewska; coś nad to wszystko wznioślejszego i słodszego — świętość. Skoroście tedy nie spotkali nigdy świętych, wejdźcie na drogę pokory, pokuty, poświęcenia, ofiary, a znajdziecie ich; byli bowiem zawsze i zawsze będą!

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

### Dusza Kościoła.

Dla wykończenia obrazu tego cudownego dzieła Boga, jakim jest Kościół katolicki, cofnijmy się od skutku do przyczyny, do duszy jego, czyli do rzeczywistej i ustawicznej w nim obecności Jezusa Chrystusa. Jak dusza moja przebywa w mem ciele, ażeby je ożywiać, rządzić niem, podnosić je i uduchowniać, tak samo Chrystus przebywa w Kościele swoim. Jest jego duszą. Kieruje nim; ożywia go; obliczu jego i całemu postępowaniu nadaje cechę boskości.

Widzieliśmy już piękność świętego ciała Kościoła, tego ciała widzialnego, jaśniejącego najwyższą harmonją; tej potężnej społeczności tchnącej najwyższą powagą; tego życia; które jest całe światłością, świętością, miłością. Teraz postaramy się odmalować niewidzialną jego duszę, czyli nieustającą wspaniałą obecność w nim Jezusa Chrystusa, i do tylu rysów tak doskonałej piękności spróbujemy dodać ten rys ostatni, ze wszystkich najdoskonalszy.

O boski Oblubieńcze świętego Kościoła, okaż się zazdrosnym o piękność i chwałę Twojej Oblubienicy; niech wsparty przez Ciebie nie zeszpecę zabardzo jej obrazu!

### I.

Ludzie powiadają, że narody mają duszę, że istotą narodu nie są ani posiadłości, ani rząd, ani piękne i bezpieczne granice, tylko jego dusza. Przez duszę zaś tę poj-

mują jakąś wypadkową wszystkich sił i woli; jednomyślny i samodzielny poryw wszystkich serc w chwilach wielkich przesileń. Wielka to rzecz ta dusza narodu, i ona to istotnie stanowi jego życie.

Mówią także o założycielu jakiegoś państwa, że przekazał mu swoją duszę. Po długim lat przebiegu czuje się ją żyjącą. I czasem tak jest w samej rzeczy.

Jednakże wszystko to są tylko sposoby mówienia; nie mogą one dać pojęcia o prawdziwej duszy Kościoła. Tę to duszę Kościoła miał na myśli Zbawiciel, kiedy mówił: „Pocieszyciel Duch Święty, którego Ojciec pośle w imię moje, ten was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, cokolwiekbym sam powiedział[1]). I jeszcze: A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki Duch prawdy, którego świat znać nie może, bo go nie widzi, ani go zna. Lecz wy poznacie go, iż u was mieszkać będzie i w was będzie"[2]).

I nakoniec: „Idąc nauczajcie wszystkie narody... A oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata"[3]). Z wami będę nauczał, wspomagając was mojem światłem; z wami chrzcił, zlewając na was łaskę moją; z wami zdobywał świat, wspierając was moją wszechmocą.

Jakgdyby powiedział: „Przedsiębierzemy razem wielkie dzieło oświecania, oczyszczania, uświęcania dusz. Wy będziecie narządami, ja życiem; wy będziecie ciałem — ja duszą".

Kościół okazywał też świadomość owego rzeczywistego przebywania w nim Ducha Chrystusowego, skoro nazajutrz po zesłaniu Ducha Świętego, powiedział w pierwszem swem orzeczeniu dogmatycznem i moralnem: „Zdało

[1]) Joann. XIV, 26.
[2]) Joann. XIV, 14, 17.
[3]) Matth. XXVIII, 16, 20.

się Duchowi Świętemu i nam"[1]). Mamy tu ciało Kościoła i jego świętą duszę. Duchowi Świętemu, to dusza i nam, to ciało.

Dusza Kościoła zatem nie jest tem, czem jest w społeczeństwach ludzkich, w pewien sposób pojętem zbiorowem ich życiem; — to najwznioślejsza z rzeczywistości. Kościół — to ciało żyjące rządzone przez duszę żyjącą, którą jest Pan nasz Jezus Chrystus.

## II.

Spytacie, gdzie przebywa ta dusza Kościoła? Ależ gdybyście mnie spytali, gdzie przebywa moja dusza, odpowiedziałbym: nie wiem. Jest ona wszędzie. Przenika mnie całego czuciem i życiem. Każdy mój członek czuje; każde włókienko żyje: Mens agit at molem et toto se corpore miscet.

W niektórych zaś organach, wyrzeźbionych zda się z większą miłością przez Stwórcę, czuję obecność mej duszy żywiej, istotniej. Kładę rękę na sercu; — o, jakże żywo czuję w niem jej obecność; objawia się ona tam gorącem promieniowaniem miłości. Dotykam czoła; i tam również, u tego szczytu mej istoty, pod tym przejrzystym puklerzem stworzonym ręką Wielkiego Artysty, o, jakże bardzo odczuwam mą duszę. Tylko tutaj promieniowanie jej odbywa się nie jako ciepło, ale jako światło.

Oto dusza całkowita, dusza żyjąca: promieniuje ona ciepłem z serca, światłem z czoła.

Słaby a jednakże piękny to obraz nieustannej Chrystusa w Kościele obecności. On także jest wszędzie. Przenika cały Kościół życiem boskiem, światłem, czuciem i miłością. Niemasz duszy ochrzczonej, w którejby nie drgała dusza Kościoła; niemasz czynności kapłana, biskupa, w którejbyśmy pod zewnętrznemi formami nie musieli

[1]) Act. XV, 28.

uczcić rzeczywistej Chrystusa obecności. Kto na chrzcie świętym wyraża na duszy charakter niezgładzony? Jezus Chrystus. Kto przy ołtarzu przemienia istotę chleba i wina? Jezus Chrystus. W bierzmowaniu, w sakramencie kapłaństwa kto działa? Jezus Chrystus. Przez wszystkie te akty życie boskie krąży w całym Kościele, przenikając aż do najmniejszych włókien jego organizmu. Mens agitat molem et toto se corpore miscet.

Ciało zaś Kościoła, ożywione świętą duszą, ma, tak jak i ciało ludzkie, świetlane centry, boskie ogniska, gdzie życie jest bardziej natężone, niż gdzie indziej, skąd rozchodzi się, jak ze źródła po całem ciele. Sercem Kościoła jest ołtarz; tam Zbawiciel jest rzeczywiście obecny z całą miłością, jaką pałał na ziemi. Powiecie: jakże bardzo jest tam ukryty! Prawda, ależ i moje serce jest także zupełnie ukryte w mej piersi; ukryte, ale ciepłe, żyjące i ożywiające całe ciało. Tak i Jezus w ołtarzu. Tam tworzy on Kościół, czyli raczej zapoczątkowuje go, bo jakkolwiek gorącem jest to ognisko, nie zawiera przecież w sobie całego życia. Serce, to wiele; ale jest jeszcze czoło, gdzie się myśl zapala, skąd tryska przez usta płomiennem słowem. Toż samo w Kościele. O tak, to wiele, ale to jeszcze nie wszystko: jest jeszcze Watykan.

Oto jest dusza Kościoła całkowita, żyjąca. Tutaj, w świętych głębiach cymborjum źródło miłości; tam, na świetlanym szczycie Watykanu — źródło światła. W jednem zaś i drugiem, nigdy nierozłączonych i absolutnie nierozdzielnych, całkowite, nieprzebrane źródło życia boskiego.

## III.

Gdyby nawet Ewangelja nie świadczyła nam o tej rzeczywistej obecności Chrystusa w Kościele, objawia się ona sama przez się w sposób bijący w oczy. Społeczność ożywiana i kierowana przez Ducha Świętego czyliż bę-

dzie zachowywać się, jakby była wyłącznie ludzką? Czyliż poprzez jej ziemskie składniki nie będzie się przejawiało widocznie jej bóstwo? Wszak dusza widnieje na czole; rzuca swój odblask na oblicze. Zaraz się o tem przekonamy.

Spójrzmy naprzód na pierwszą z charakterystycznych cech Kościoła. Jakże całkowitą ma on świadomość posiadania prawdy? jaką pewność stanowczą, niezachwianą, że prawda jemu, i jemu wyłącznie została powierzona! Co za spokój i pewność siebie w tem posiadaniu! Czy mówią naokoło niego o odkryciach historycznych, które mogą zachwiać wiarogodność treści ksiąg Mojżeszowych, czy o filozoficznych systematach, które obala jakiś dogmat wiary; czy grożą mu rozwojem nauki albo postępem społecznym, które mogą spowodować jego ruinę; — zawsze pozostaje spokojnym i niewzruszonym. Ludzie mogą się zaniepokoić — on nigdy. Jest w posiadaniu prawdy. Poza nim jest tylko fałsz, błąd, które szybko przemijają.

Takie rozumowanie, takie zachowanie się może się z początku wydać dziwnem, zarozumiałem nawet. Przypuśćmy jednak, że zjawi się na ziemi prawda matematyczna naprzykład albo geometryczna; jakiemże byłoby jej postępowanie? Czy ona także nie miałaby pewności całkowitej, niezachwianej, że dwa a dwa, to cztery? Czy wzruszaliby ją choć trochę ci, coby chcieli dowieść jej, że jest przeciwnie? Z jakąż pogardą usunęłaby tych, coby utrzymywali, że później przynajmniej, z postępem cywilizacji, dwa a dwa będą czyniły pięć, a najkrótszą drogą pomiędzy dwoma punktami nie będzie już linja prosta! Tak też postępuje Kościół, tylko, że ma nadto miłość bliźniego.

A w tym spokoju niezrównanym, jedynym w swoim rodzaju, w owej pewności ducha, niedopuszczającej cienia wątpliwości, co za boska przenikliwość! Jak jasno widzi Kościół prawdę! jak nigdy nie zmiesza jej z błędem! jak ją rozwija aż do wyprowadzenia najdalszych z niej wyników! jak oddziela światło od ciemności! Najlepiej widać

to w sporach religijnych, w które obfituje historja Kościoła, naprzykład w sporze o Wcielenie. Trwał on przez trzy stulecia; błąd pojawiał się, ukrywał, ginął niby, potem znowu występował w innej postaci i znowu znikał; wszystko to z najzręczniejszemi zasadzkami i sofizmatami. Czterdziestu papieży brało udział w tych rozprawach, cztery sobory powszechne, więcej niźli dwadzieścia soborów poszczególnych, niezliczeni Ojcowie i Doktorowie Kościoła. Posłuchajmy w tej kwestji słów teologa protestanckiego. „Jeden fałszywy krok pogrążyłby całą tę teorję w chaos, z którego niepodobnaby wybrnąć; ale mówiąc językiem ludzkim, zdawałoby się, że jakaś inteligencja indywidualna i przenikliwa od początku do końca kierowała dysputą teologiczną. Kościół wiódł ją przez całe wieki z jasnem, prostem i prawdziwem poczuciem tej doktryny, mimo pozornych w szczegółach porażek najzdolniejszych Ojców Kościoła i Świętych — i dzięki swojej wytrwałości ustanowił jedyną rozsądną teorję, jaką można przyjąć w tej kwestji"[1]).

Owa inteligencja indywidualna i przenikliwa, kierująca takim sporem przez trzy stulecia, cóż to jest w istocie, jeżeli nie rzeczywista obecność Chrystusa w jego Kościele, jakby przeświecanie jego Ducha poprzez Ducha ludzkiego?

Jeszcze jeden przykład. W sporach owych tak zawikłanych, tak subtelnych, w tak delikatnej nieraz materji Kościół rozstrzyga tak dokładnie, że nigdy nie potrzebuje do nich powracać. To, co było orzeczonem w Nicei, w Efezie, jest orzeczonem na wieki. Chociażby świat istniał przez lat dziesiątki tysięcy, przy końcu jego istnienia będą wierzyć w to, będą nauczać tego, co ogłoszono na soborze Watykańskim. Co za pewny rzut oka! jaka zupełna, bezpośrednia i boska intuicja! Ludzie mylą się

[1]) Newman, Conférences prechées a l'Oratoire de Londres, 3-e Conférence.

i naprawiają swoje błędy. Św. Augustyn pisze swoje O d w o ł a n i a; św. Tomasz odrzeka się niektórych doktryn, które dawniej wyznawał. Kościół — nigdy. Reformuje swoje obyczaje; nigdy nie odmienia wyroków. Odrazu, bez wahania i poprawek mówi to, co trzeba, a to co mówi, mówi raz na zawsze.

Ale oto rzecz najcudowniejsza. Kiedy nauka bada te wyroki, wydawane w wiekowych odstępach, przez papieży i sobory pod tylu względami ze sobą się różniących, znajduje w nich dziwną zgodność. Oczywiście są to części jednej całości. Wyroki te wypływają jeden z drugiego i zgadzają się z sobą z dokładnością, której nie widzieli, nie mogli widzieć ci, co je wydali. Z wyroków zaś tych spływa światło, które oświeci wszystko: naukę o duszy, naukę o ciele, o świecie, o społeczeństwie, których to nauk nie było jeszcze wówczas i o których z pewnością papieże nie myśleli.

Nie powiem już nic o stylu, w którym są wypowiedziane te boskie formuły. Styl to prosty, zwięzły, jasny, równie spokojny jak przejrzysty; niema on nic wspólnego z namiętnościami ziemi, nie nosi żadnej cechy współczesnej, i przez to ma niespożytość granitu.

## IV.

Zbadaliśmy ducha Kościoła; zbadajmy teraz jego sumienie, rozumiem przez to jego samopoczucie. Cechuje je to, że Kościół czuje siebie wiecznym. Poczucia tego nie ma żaden naród. Rzym miał słaby jego odblask; kazał się mianować Miastem wiecznem, nie domyślając się, że będzie niem dlatego tylko, iż jest podstawą gmachu, który trwać będzie wiecznie. Kościół przeciwnie, poczucie to ma w całej sile. Wie on, że będzie zawsze istniał w tej formie, co obecnie, bez przeistoczenia ani zmiany. Nie jest w jego mocy przestać istnieć. Nie mogą naruszyć jego całości prześladowania; nie mogą obalić go królowie, ani

rewolucje. Wszystko to on przeżyje i pogrzebie. Stąd to wypływa jeszcze jedna jego cecha: boski spokój wpośród burz najgwałtowniejszych. Wstrząsają one nim, ale nie mogą go wzruszyć. Czuje się silniejszym od wszelkich napaści.

Bossuet kładzie w usta zatrwożonych dzieci Kościoła następne zapytanie: „O Kościele, tak już dawno podlegasz tym wszystkim napaściom! Czyżby Bóg zapomniał o tobie? Gdybyś to cierpiał niedługo; — ale trwa to już tyle wieków!... Wichry ryczą; fale się wzdymają; płyniesz miotany burzą; czyż nie obawiasz się utonąć?"

Piękną odpowiedź daje na to w imieniu Kościoła: „Moje dzieci, nie dziwcie się tylu przeciwnościom; przywykłem do nich od dzieciństwa mego: Saepe expugnaverunt me a juventute mea. Ci sami nieprzyjaciele, co teraz mię napastują, prześladowali mnie już od mojej młodości. I cóż zdziałali? Numquid non ideo perveni ad senectutem. To też i ty, mój synu, nie dziw się tej gwałtowności. Patrz na moją dawność; zważ na moje siwe włosy. Czyż okrutne prześladowania, któremi dręczono moje dzieciństwo, przeszkodziły mi osiągnąć ten wiek czcigodny? Saepe expugnaverunt me a juventute mea; numquid ideo non perveni ad senectutem?... Chociaż pozornie zdany jestem na wolę wichrów, wszechmocna ręka, która jest moją podporą, potrafi wybawić mnie od utonięcia"[1]).

Oto samopoczucie Kościoła. W przeciwieństwie do ludzi, którzy sięgają do głębin swojej istoty słyszą tam to, co św. Paweł nazywa wyrokiem śmierci[2]), głuchą robotę śmierci, która już rozkłada ich pierwiastki, Kościół czuje w sobie tylko działanie życia, młodość, tylko młodość, która rozkwita nawet pod najgwałtowniejszymi ciosami i która z każdym wiekiem odnawia się, jak u orła.

---

[1]) Bossuet, Sermon sur l'Église, I-re partie.
[2]) II Cor., I, 9.

Gdyby Kościół był ludzkim, czułby się dumnym z tego. Pragnąłby stawić czoło wrogom. Ale wieczne jego zycie nie od niego pochodzi, i on dobrze wie o tem. Pochodzi ono od Jezusa; on to je w nim przechowuje, czasem pomimo niego samego, a przynajmniej pomimo błędów jego dzieci. Stąd jego pokorna radość w pokoju, pogodna rzewność, stanowiąca najwyższą duchową piękność.

## V.

Do tychże samych wniosków dochodzimy, badając sposób postępowania i działania Kościoła. „Całe postępowanie Kościoła, mówi Ojciec Faber, jego ze światem stosunki, nawet w rzeczach napozór najpospolitszych, zdają się być owocem natchnienia poczęści świadomego siebie a po części nieświadomego. Nie można tego określić, nie można sformułować; ale historja Kościoła, nawet w materjach nie mających związku z jego nieomylnością, pełna jest dowodów tego nadprzyrodzonego światła. Skoro już jesteśmy na dostatecznej odległości i możemy dobrze ocenić całość faktów, widzimy z podziwem, jak Kościół czynił zawsze wszystko, co było potrzeba, i w czasie do tego najstosowniejszym; jak niezachwianie trzymał się zawsze prostej drogi wpośród ciemności i zamętu wydarzeń dziejowych, jakgdyby ożywiany proroczym jakimś instynktem. Co współczesnym mało wierzącym wydawało się uporem, okazuje się teraz jako najwyższa mądrość prawości. Co zdawało się słabością, albo pomimowolnem ustępstwem, to uznano później za roztropną i przezorną apostolską względność. Czemże jest to wszystko, jeżeli nie dowodem czynnej i skutecznej obecności Ducha Świętego w Kościele"[1]).

Ten rodzaj nadprzyrodzonego natchnienia zdaje się nawet czasem ożywiać postęp wrogów Kościoła. Rzekłbyś, że jakaś ukryta siła zmusza ich do występowania

[1]) Faber, De la Dévotion à l'Église.

w najpoufniejszych nawet sprawach Kościoła w chwili, kiedy zachodzi tego potrzeba. Pius VI jest wygnany przez Rewolucję ze stolicy Piotrowej. Umiera w Walencji. Jakże się dokona obiór następcy? I oto Rosja, państwo niekatolickie, działając bezwiednie, zwołuje kardynałów pod osłoną swoich sztandarów i pomaga do wyboru Piusa VII. Pełno jest w historji podobnych niespodzianek.

W ogólności, kiedy chodzi o Kościół, nie można wdawać się w przewidywanie jego postępków. Myli ono najczęściej; to, czego się spodziewano, nie staje się, a stają się rzeczy zdumiewające, nieprzewidziane, które po przeminięciu pierwszego zdziwienia okazują się natchnionemi. Któryż autor nie utrzymywał, że po odjęciu Kościołowi władzy świeckiej, władza duchowna obróci się wniwecz? Fryderyk II-gi i Wolter dowodzili tego głośniej niźli de Maistre i de Bonald. Ale, o próżności poglądów ludzkich! Jezus tak jest obecny w swoim Kościele, że wybór Leona XIII jest tak samo wolny, jak wybór każdego innego papieża i żaden z nich nie miał zda się więcej niezależności w rządzeniu Kościołem, jak ci dwaj znamienici więźniowie, Pius IX i Leon XIII[1]). Badajcie sobór Trydencki, powstanie protestantyzmu, wielką schizmę zachodnią, kiedy ludzie okazali się często tak słabymi, tak niedorosłymi do wysokości położenia i przez swe niskie namiętności tak szkodzili sprawie Boga i dusz, a zobaczycie tam na każdym kroku ślady nadprzyrodzonego natchnienia, jakby widzialny przebłysk Ducha boskiego, który jest w Kościele.

## VI.

Ale żeby oglądać w całej piękności żyjącą duszę Kościoła, trzeba sięgnąć do serca jego. Umiłowania jego nie

[1]) Nie znaczy to, ażeby odebranie papieżom władzy świeckiej nie było zbrodnią i żeby nie potrzebowało papiestwo tej władzy. Znaczy to tylko, że Duch, ożywiający Kościół, przezwycięża wszystkie trudności.

są z tej ziemi i ulega im z naiwną namiętnością, wywołującą uśmiech na usta polityków. Dla zbawienia jednej duszy, duszy dziecka, naraża się na wszelkie prześladowania, a co gorsza, na najbardziej płaskie koncepty.

Władza doczesna poświęciłaby sto tysięcy ludzi, ażeby wzrość o piędź jedną. Kościół nie poświęciłby jednej duszy dla zbawienia całego świata.

Ludzie cenią nadewszystko handel, przemysł, koleje, telegrafy. Kościół nie gardzi tem; ale oddałby to wszystko dla zbawienia jednej jedynej duszy.

Ubogi, ogołocony Kościół potrzebuje poparcia sfer rządzących. Mimo to, skoro tylko chodzi o duszę, jaknajśmielej sprzeciwia się im, drażni je, i oburza na siebie przez postępki, które świat uważa za nierozsądne. Poco było naprzykład przywracać hierarchję w Anglji i Holandji? Biorąc rzeczy po ludzku, ze stanowiska politycznego, było to niedorzecznem. Ale ułatwiało to duszom dostęp do źródeł prawdy i łaski, — tego dosyć dla Kościoła.

Dosyć, bo Kościół jest Matką. Święty Kościół — Matka nasza. To jest nazwa dla niego najwłaściwsza. Mógł on obrać jaką inną, szumniej brzmiącą nazwę, naprzykład Król, Cezar, Mistrz. Ale żadna z nich nie była dlań właściwą, żadna nie malowała dobrze całego jego serca; więc też przez jakieś wyższe natchnienie pierwsi chrześcijanie na czole owego Kościoła, tak pokornego i tak zarazem królewskiego, położyli te słowa: K o ś c i ó ł ś w i ę t y, M a t k a n a s z a. A jakże subtelnem, jak wzruszającem jest to, że ta władza najwyższa, od której zależą wszystkie narody, której wszyscy winni są posłuszeństwo, nie męskie nosi miano, ale niewieście.

I powtarzam, nie jest to przypadek, ale natchnienie. Kościół bowiem jest nietylko matką, ale i małżonką zarazem. Płodność jego bierze swój początek w Chrystusie. Ma świętych, ale ich świętość jest owocem krwi Jezusa Chrystusa. Ma kapłanów rządzących nim z łagodnością i powagą, ale to nie ich powaga; to jest powaga Chrystusa.

Ma uczonych doktorów, ale światło ich jest światłem Jezusa Chrystusa. Nowa ta Ewa powstała ze zranionego boku Zbawiciela naszego, nowego Adama, bierze z niego ową świętą płodność, przez którą bardziej jeszcze, niźli pierwsza Ewa, zasługuje na miano Matki żyjących.

Małżonka ta ma także inne rysy, cechujące ogół małżonek; ma ich miłość, ich zazdrość w miłości. Widzi tylko Jezusa Chrystusa, tylko Jego kocha. W duszach także Jego to ona miłuje. Każda napaść na Jezusa przejmuje ją boleścią i oburzeniem. Z zapałem walczyła zawsze za cześć Jego Imienia, za całość Jego nauki, za świętość prawa, za rozszerzenie królestwa Jego. Celowi temu poświęcała wszystko: spokój swój, dobrobyt, nawet życie swych dzieci. Po skończonych dziewiętnastu wiekach w sercu swojem zachowała Chrystusa nienaruszonego, nietkniętego, czego nie dokazała żadna ze społeczności, przybierających miano „prawdziwego Kościoła"; zachowała Go dla miłości i uwielbienia świata całego.

Z tem wszystkiem łączy jeszcze Kościół wzruszającą słabość niewiasty. Nie nosi zbroi, ani miecza. Ma on broń lepszą: łagodność, cierpliwość, miłość, łzy. Kiedy płacze, jest niezwyciężony. W tem leży różnica Kościoła z potęgami ziemi. Naród płaczący jest narodem zgubionym. Skoro jaki naród jest deptany, znieważany, uciemiężany, nie pora to wtedy na płacze. Trzeba wówczas zerwać się, chwycić za broń, walczyć do ostatniej kropli krwi. Ale z Kościołem rzecz się ma inaczej. Jest on niewiastą, matką; nieprzyjaciółmi jej są jej własne dzieci! Nie może w nie godzić. Może tylko płakać, modlić się, mieć nadzieję, kochać je i wyciągać ku nim ręce. Siłą jej jest słabość, owa szczytna i niezwyciężona słabość niewiasty, matki. I ludzie nie mogą się jej oprzeć. Wzrusza się ich sumienie, oburza się poczucie honoru. Mówią potężnym głosem: Dosyć tego. Czyż nie widzicie, że macie do czynienia z matką? A przecież uderzyć niewiastę, to shańbić się, a uderzyć matkę — to ściągnąć na siebie klątwę.

A przy tem swojem macierzyństwie Kościół jest zarazem dziewicą, dziewicą niepokalaną. Kocha on dusze czule, gorąco; kocha je tak, jak żadna matka nie kocha swych dzieci. Ale nie tykajcie dziewiczości jego wiary, czystości jego tradycji. Poświęciłby on tysiące światów dla jednej duszy; ale poświęciłby raczej tysiące dusz, aniżeliby pozwolił naruszyć na jedną jotę swoje prawo, zmienić jeden punkt lub przecinek w Ewangelji. Jest więcej małżonką, aniżeli matką; więcej dziewicą, niż małżonką; jest pokorną córą Boga, jego wierną służebnicą. Albo właściwie jest tem wszystkiem złączonem w jedno, otoczonem jaśniejącą aureolą dobroci, pokory, wielkości, siły, godności. Ziemia nie widziała przedtem nic podobnego, a z tego zespołu wynika całość, którą trudno odmalować, tyle tam jest odcieni zlewających się w jedno. Poeta, spostrzegając boginię, poznaje ją po chodzie. Dosyć jest posłuchać uderzeń serca Kościoła, ażeby poznać, że jest on boskim.

## VII.

Nie skończyliśmy jeszcze. Oto w samem ciele Kościoła bardziej jeszcze dotykalne tchnienie ducha Chrystusowego. Ciało to olbrzymie, złożone z ludzi ułomnych, a obdarzonych wolną wolą, rozluźnia się czasem, przyćmiewa się w tem lub owem miejscu. Ale czyż przez to traci ożywiająca je dusza piękność swoją? Przeciwnie, piękność ta nabiera jeszcze większego blasku.

Tak samo jak Zbawiciel, przy swem Wcieleniu, nie wziął na siebie cienia, pozoru tylko ciała, ale wziął naturę ludzką z całą jej słabością, tak też ustanawiając Kościół nie użył do składu jego i zarządu cieni ludzkich, ale wziął całą ludzkość, nie obawiając się, że jej ułomności naruszą boską piękność Kościoła; wiedział bowiem, że duch jego naprawi wszystko, co ludzie popsują i braków nawet potrafi użyć do lepszego uwydatnienia jego bóstwa. Posunął się dalej jeszcze. Ludziom tym czy to należącym do składu Kościoła, czy stojącym na jego czele, zostawił

nawet te właściwości i ułomności natury ludzkiej, na które w tajemnicy Wcielenia nie pozwoliła świętość Jego boskiej osoby: wolny wybór pomiędzy złem i dobrem, namiętności i wrodzoną skłonność do złego, skutek pierworodnego grzechu. Naturalnie, że zlewa na nich przytem swe łaski, ale nie tyka w niczem ich wolnej woli, to też przy ułomności natury ludzkiej niesposób uniknąć mnóstwa upadków.

Widzimy, jak trudne jest przeto położenie Kościoła. W pochodzie ku wieczności ciągnie za sobą słabych i ułomnych, których nie może opuścić. Trzyma w swych objęciach olbrzymią liczbę grzeszników, którzy ciągle na nowo w grzechy wpadają, a przez te ciągłe upadki nasuwają wątpliwość w Kościół i w jego sakramenty. Przechowuje w swem łonie niezliczone mnóstwo umarłych, których nie zdoła wskrzesić swoją miłością i którzy kalają czystość jego szaty przez życie występne. Piękność jego nie ginie przez to, ani się zmniejsza, ale bywa często przyćmioną. Ruch jego naprzód nie jest powstrzymywany, ale o jakże nieraz trudny! Pozostaje czysty i bez skazy, ale jego szata bywa nieraz skalana. W niektórych wiekach i w niektórych krajach widzimy, jak na wzór swego boskiego Oblubieńca jest policzkowany, oplwany, ogołocony ze wszelkiej chwały i podobny do trędowatego. „Widzieliśmy ją, powiada Prorok, i nie poznaliśmy jej". Czyż to jest owa czysta Dziewica, poślubiona Chrystusowi, o której mówi Apostoł: Virginem castam exhibere Christo. „Czystą, pannną stawić Chrystusowi"[1]). To ona, nie wątpcie o tem; to Kościół niepokalany!

Zaprawdę, jak upokorzenia naszego Zbawiciela nie mogły zaćmić Bóstwa Jego, tak samo upadki i nawet zbrodnie dzieci Kościoła nie potrafią przysłonić jego blasku. Można było szarpać ciało Zbawiciela, biczować je i przybić do krzyża, ale Prorok powiedział: „Kości nie

[1]) Matth. XIV, 30.



PROPERTY OF
ST. JOHN CANTIUS' HOUSE OF STUDIES
Congregation of the Resurrection

złamiecie z niego"[1]). Tak samo z Kościołem. Może on być oplwany, poraniony; święte jego ciało może nawet częściowo ulec owrzodzeniu. Ale to nie dotyka jego istoty. Kości nie złamiecie z niego. Zawsze nauka jego będzie czysta, karność święta, rozrządzenia jego w rzeczach zasadniczych zawsze niezbite; i z tego podłoża ludzkiej słabości i zepsucia, których niesposób jest uniknąć, będą zawsze wyrastały najpiękniejsze owoce pokory, czystości, miłości Boga i ludzi. Wzruszeni stajemy przed tem wspaniałem połączeniem. Ciało jego pochodzi z ziemi, ale dusza — z nieba.

## VIII.

Naostatek jeszcze jeden dowód rzeczywistej i ustawicznej obecności Chrystusa w Kościele Jego. Oto organizm ten słaby napozór, bezbronny, od tak dawna wystawiony na wszelkie napaści i pociski, żyje jednakże. Nikt nie zdołał mu zadać śmiertelnego ciosu. Chodźcie królowie, książęta, wojownicy — wytężcie wszystkie siły. Oto Bóg wydaje wam na pastwę swój Kościół bezbronny. Zachował sobie jedynie prawo odebrania go wam, kiedy już myślicie, że go macie w swem ręku i zmuszenia was swojem wdaniem się do uznania jego boskości.

Często w tym celu dopuszcza Bóg, ażeby niebezpieczeństwo doszło do ostatniego kresu. Rzuca Kościół na morze. Łódź zdaje się już tonąć. Woda sięga Piotrowi do kolan. „A gdy począł tonąć"[2]), nieprzyjaciele Kościoła klaszczą w dłonie. Jeszcze chwilka a woda sięgnie mu do piersi — sięgnie wyżej głowy. Ale krótkiem jest złudzenie. Piotr jest niebawem podźwignięty, a wyciągnięta doń prawica Chrystusowa nie jest tak ukryta żeby jej nie dojrzeli tak przyjaciele, jak i wrogowie.

---

[1]) Joan. XIX, 26.
[2]) II Cor. XI, 2.

I to dzieje się perjodycznie. Każda epoka dziejowa widziała zbliżającą się zgubę Kościoła, widziała też cudowne jego ocalenie. Możnaby powiedzieć poniekąd, że w każdem stuleciu Bóg dozwala swojemu Kościołowi umierać, ażeby mieć przyjemność go wskrzeszać.

Ale triumfy te nie cieszą Kościoła. Z walk tych wychodzi zawsze zwycięski, ale zawsze zalany łzami. Jego przeciwnikami — są jego dzieci; prześladowcami — właśni synowie. Więcej go boli zło, jakie wyrządzają oni sobie samym, aniżeli to, jakie jemu wyrządzić usiłują. Jemu zaszkodzić nie zdołają, ale jakże krzywdzą siebie samych i tylu innych: maluczkich, słabych, ciemnych! Gorszą ich, przywodzą do zwątpienia i upadku. Każde pole bitwy, z której Kościół wychodzi zwycięsko, jest usiane trupami jego dzieci. To też nie rozbrzmiewa nigdy po odniesionych zwycięstwach radosnem T e D e u m. Łkania zdławiłyby głos jego.

## IX.

Te ustawiczne łzy, te ciągłe cierpienia, są ostatecznym dowodem obecności Chrystusa w Kościele Jego. Przez ten ból czyni go Zbawiciel współuczestnikiem swojej ofiary, przybija go do swojego krzyża; w nim i przez niego w dalszym ciągu cierpi i umiera za nas. Pierwsza Ewa wyszła z boku Adama uśpionego w zachwyceniu wśród kwiatów raju. Druga wyszła z serca Zbawiciela, uśpionego w ekstazie także, ale na krzyżu, w ekstazie cierpienia i miłości. Bok jego otwiera się... O, nie wyobrażajcie sobie nic gminnego, woła św. Jan Złotousty. Z przebitego boku Jezusa, z jego otwartego serca wypływa woda chrztu świętego, krew Eucharystji; wychodzą sakramenty; nowa Ewa rodzi się na Golgocie i już z niej nie zstąpi. Bo natychmiast po zdjęciu z krzyża Zbawiciela, ona zajmie tam Jego miejsce, i w niej będzie się nadal przedłużała Męka naszego Pana. Chrystus był nienawi-

dzonym, i Kościół znienawidzą; Chrystus był spotwarzanym, i jego spotwarzać będą; Chrystus był bity, oplwany i zelżywością obrzucany — z Kościołem tak samo. Zawsze tak będzie z Kościołem, i tylko z nim jednym. Inne społeczności religijne roszczą prawo do miana prawdziwego Kościoła, oblubienic Jezusa Chrystusa. Ale żadna z nich nie doznaje nienawiści. Pomnąc, że narówni z Kościołem katolickim garną się pod Imię tego Chrystusa, o którym powiedziano, że będzie położon na znak, któremu sprzeciwiać się będą[1]); czytając te uroczyste słowa Ewangelji: Jeśli mnie prześladowali, i was prześladować będą[2]), — zazdroszczą nienawiści otaczającej Kościół; dopominają się o zaszczyt prześladowania. Ale nikt nie raczy zadosyć uczynić ich chęci. Cała nienawiść zwrócona jest wyłącznie przeciw Kościołowi katolickiemu. I jaka nienawiść! Ogólna, nieubłagana, niczem nie zadowolona; nienawiść przechodząca u niektórych dusz w nienawiść samego Boga. Bezbożnicy gardzący wszelką religją, tą nie gardzą, tylko jej nienawidzą. Nadaremnie Kościół mnoży swoje dobrodziejstwa: obala niewolę, podnosi kobietę, uzacnia małżeństwo, uświęca władzę, organizuje lud. Wszystkie jego dobrodziejstwa rozdmuchują tylko naokoło niego coraz silniejszą nienawiść. Siłami, jakie mu zawdzięczają, posługują się przeciwko niemu samemu; policzkują go wolnością, którą sam stworzył; zarzucają mu, że jest zaporą do cywilizacji, która od niego pochodzi; przepędzają jak wrogów jego zakonników, — jak zakałę jego dziewice Bogu poświęcone; grożą jego biskupom i kapłanom; więżą jego Najwyższego Pasterza; jednem słowem, nie szczędzą mu niczego, i zginąłby już tysiąc razy, gdyby jego boski Oblubieniec, który dopuszcza nań tyle cierpień, ażeby przez nie świat był zbawionym, nie przychodził mu wkońcu na pomoc i nie podnosił go wówczas właśnie, kiedy wszystko jest sprzysiężone na jego zgubę.

---

[1]) Luc. II, 34.
[2]) Joan. XV, 20.

Tak z pewnemi odmianami, ma się rzecz w każdem stuleciu. W ten to sposób Bóg z Kościoła swojego uczynił przedmiot wiary zawsze doświadczanej, zawsze upokarzanej, ale zawsze pocieszonej i zawsze w końcu zwycięskiej. Wierzę w Święty Kościół. Credo Ecclesiam.

Wierzę, że pomimo wszelkich namiętności, miernoty, pospolitości i wad swoich członków i naczelników, będzie on zawsze wzniosły, szlachetny, święty, godny wszelkiej czci i miłości ludzkości. Wierzę w Święty Kościół.

Wierzę, że pomimo wszelkich podstępów, przemocy, obłudy i zwycięstw jego wrogów, będzie zawsze potężnym, zawsze żyjącym i ożywiającym, będzie zbawieniem dusz i ostoją narodów. Wierzę w Święty Kościół.

Wierzę, że dla wypróbowania mojej wiary, dla uwydatnienia wielkości i boskości duszy ożywiającej Kościół, Bóg często dopuszcza, ażeby wrogowie jego upokarzali ten Kościół święty, deptali go, okrywali wzgardą, wypędzali go do katakumb, do lochów i na strychy; i wierzę także, że nie śpieszy się z wyzwoleniem go, ażeby wiara nasza zyskała większą moc i zasługę. Tysiąc lat dla Boga, to wszak to samo, co dzień jeden. A więc moje biedne i krótkie życie może upłynąć, zanim przyjdzie godzina zwycięstwa. Lecz cóż to szkodzi! Wierzę. Wierzę w Święty Kościół.

Wraz ze świętemi niewiastami usiądę na kamieniu, grób przykrywającym. Ale nie będę z niemi zapytywał, kto kamień odwali. Znam tego, który to czyni. Czynił on to zazwyczaj, i nazbyt dobrze czynił przez dziewiętnaście stuleci, ażebym miał dzisiaj o nim zwątpić. Skoro godzina jego nadejdzie, ukaże się ten wszechpotężny Duch Kościoła, ten uwielbiony Oblubieniec, który dlatego jedynie pozostawia swój Kościół w przygnębieniu i upokorzeniu, ażeby lepiej mu okazać, kim jest. Oczekują Go z całym spokojem i ufnością.

# Część druga.

## Kościół i Kościoły

Po zbadaniu Kościoła, należy zwrócić się do k o ś c i o ł ó w i po pniu żyjącym zbadać gałęzie oderwane odeń, suche lub też usychające. Przez dziewiętnaście wieków wstrząsanych tylu urąganiami, cóż dziwnego, że pewna liczba konarów została przez wichry oderwana? Ale większa część z nich tak dziś jest w proch rozsypana, że niema co nad nimi się zastanawiać. Istnieją dzisiaj i na uwagę zasługują dwie tylko gałęzie: schizma grecka i herezja protestancka; jedna oderwana od Wschodu, druga od Zachodu. Pierwsza z nich, po oderwaniu się w IX w. i nadaremnych usiłowaniach złączenia, oddzieliła się ostatecznie od pnia macierzystego w w. XI i pogrążyła w schizmę część Wschodu; druga została odłamana przez huragan w XVI wieku, pociągnęła w swoim upadku Niemcy, Anglję, Szwajcarję i część Francji. Obie upadły ze straszliwym łoskotem, pokrywając swemi szczątkami duże powierzchnie, ale nie uschły jeszcze i dzisiaj całkowicie, i jak wiele drzew obalonych w naturze, okazują ślady dawnego życia u wierzchołków uschłych gałązek.

Nie będziemy tu mówili o pierwszej, ale przejdziemy odrazu do protestantyzmu. Nie dlatego, iżby on miał dla katolików szczególny urok. Katolik pozostaje katolikiem, albo też traci wiarę, ale nie staje się protestantem. Niemniej mamy go przed oczami ciągle; stykamy się z nim codziennie; a przytem wyznaje go mnóstwo dusz prawych

i szczerych, potrzebujących może tylko żywszego promienia łaski, ażeby powrócić do wiary swoich przodków. Przypatrzmy mu się tedy bliżej; a pozostawiając na stronie mnóstwo rzeczy podrzędnych, zarzutów po wielokroć odpartych, spróbujemy umieścić się wpośród wypadków współczesnych i rozpatrzyć zagadnienie z dzisiejszego punktu widzenia.

Zagadnienie przedstawia się jak następuje:

Zasadą protestantyzmu jest wolne badanie. Wolne badanie, to czynnik rozkładu wszelkiej religji i wszelkiego społeczeństwa. Katoliccy doktorowie Kościoła wykazali to z niezrównaną logiką i wymową. Na ich czele stoi Bossuet, który po wielekroć przepowiadał, że protestantyzm zginie przez swoją własną zasadę, i że rozkład religijny doprowadzi w państwach protestanckich do rozkładu społecznego.

Ale dotychczas proroctwo to nie ziszcza się. Po upływie czterech stuleci protestantyzm wydaje się silniejszym niż na początku. Znosi bezkarnie swój pierwiastek rozkładowy i nietylko, że w narodach protestanckich nie pojawiło się przepowiedziane rozprzężenie, ale one to — Anglja, Niemcy, Stany Zjednoczone, zajęły zdaje się pierwsze miejsce w pochodzie narodów na drodze postępu i cywilizacji.

Oto, jak się dziś przedstawia ta kwestja. Jak się to dzieje, że protestantyzm istnieje jeszcze i nie zginął przez swoją zasadę? A powtóre, jak się to dzieje, że w państwach protestanckich zasada owa nie podkopała społeczeństwa, ale przeciwnie, te właśnie państwa zdają się dzisiaj żywotniejsze, niżeli państwa katolickie?

Postarajmy się rozstrzygnąć oba te zagadnienia.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

**Stan religji protestanckiej. — Jak się tłumaczy, że protestantyzm trwa dotychczas i nie został pochłonięty przez swoją zasadę.**

Weźmy z początku zagadnienie religijne. Arjanizm istniał przez cztery wieki, a dzisiaj należy do wspomnień. Mahometanizm trwał przez dwanaście wieków, i rozpadłby się już w proch, gdyby trup jego nie był potrzebnym Europie dla względów politycznych. Nie byłoby w tem nic dziwnego, że protestantyzm będąc skazanym na zagładę, przetrwał już trzy i pół wieku. Ale zadziwiający jest sam fakt jego egzystencji z taką trucizną wewnątrz, jak wolność badania. Zadziwiającem jest, że ta zasada zabójcza dla każdej religji, nie sprowadza na tę swoich logicznych wyników. Co tu stanęło na przeszkodzie? Oto jest pierwsza część zagadnienia i temu poświęćmy całą uwagę.

### I.

Przed pojawieniem się protestantyzmu, skoro kto chciał się odłączyć od Kościoła katolickiego, nie zaprzeczał mu mimo to władzy, prawa najwyższego i nieomylnego sądu w rzeczach wiary. Głosił tylko, że go nie zrozumiano, albo że sobór nie miał swobody zdania, albo że papież został w błąd wprowadzony. Odwoływał się do przyszłego soboru, do papieża lepiej uwiadomionego i bezstronniejszego, ale zasada władzy Kościoła nie była podawana

w wątpliwość. Pierwszy Luter posunął się do tej ostateczności. Zaprzeczył racji bytu Kościołowi. Nie uczynił tego odrazu; przeciwnie, zdaje się jakoby doszedł do tego wyniku stopniowo, prawie mimowolnie: przez logiczne następstwo rozumowania, ale doszedł doń i pierwszy umieścił na swoim sztandarze owo hasło ponętne, ale zgubne, które tylu omamiło swoim urokiem, ale które nosi w sobie zaród śmierci: wolność badania.

Papież Leon X wezwał cały świat katolicki do uczestnictwa we wzniesieniu nad grobem św. Piotra wspaniałej świątyni, ażeby była symbolem zwycięstwa Kościoła po piętnastu stuleciach walki. Pomysł to wspaniały, zasługujący na uznanie całego Chrześcijaństwa. A ponieważ składki na ten cel miały być dowolną jałmużną, a zatem czynami wiary i miłości papież przywiązał do nich odpusty; czyli, że każdy, kto z żalem za grzechy i obrzydzeniem do nich, przyczyniłby się do tego pobożnego dzieła, miał otrzymać całkowite albo częściowe odpuszczenie kary, na jaką zasłużył przez swoje grzechy dotychczas popełnione. Jak chwalebne było przedsięwzięcie, tak samo słuszny środek prowadzący do celu i niktby nie zgadł, że to, co miało być uwieńczeniem pokoju i zjednoczenia katolicyzmu, spowoduje rozdwojenie.

Być może, że Dominikanie, którym jednym tylko było poruczonem ogłaszanie bulli papieskiej, — co było może jedynym tu błędem, bo dlaczegóżby nie miały być do tego powoływane wszystkie zakony i wszyscy kapłani świeccy? — być może, że niezawsze zachowali tu potrzebną miarę, i że nadawali czasem odpust za samą tylko ofiarę materjalną, bez należytej dbałości o usposobienie dusz; być także może, że Augustjanie, zazdroszcząc im tego przywileju, o który sami się ubiegali, więcej im zarzucali, aniżeli należało. Tak czy owak, wszczęły się spory. Całe Niemcy zostały rozpłomienione przez pisma żywe, gorące, namiętne. Leon X, pochłonięty przez arcydzieła starożytności, przez cuda, jakimi zdobili jego pałac Rafael i Michał Anioł, nie zajął się z początku tym sporem tak,

jak było potrzeba. Mianował go z uśmiechem „kłótnią mnichów". Ale niebawem musiał zwrócić nań uwagę. Pomiędzy tymi mnichami spierającymi się o odpusty, był jeden umysł śmiały i nieposkromiony, którego wymowa zarazem wzniosła i gminna, potrafiła roznamiętnić i poruszyć całe tłumy.

Od kwestji odpustu Luter poszedł powoli do zgłębiania nieogarnionych tajemnic łaski i wolnej woli. Zabłąkał się w nich; a rozgłos jaki nadawał swoim błędom, namiętność, z jaką je podtrzymywał, jako też zapał jego uczniów zmusiły Leona X, chociaż pomimo jego woli, — bo pragnąłby on, ażeby ten ogień przygasł sam przez się, — do uroczystego potępienia tego zuchwałego mnicha.

Kościół nigdy nie uważał błędu za zbrodnię. Tylko upór w błędzie podlega jego potępieniu. Luter był w błędzie, upatrując w Piśmie św. i Tradycji to, czego tam nie było. Dotychczas nie było też w nim jeszcze winy, a pokorne uznanie błędu mogło go tylko podwyższyć w oczach Kościoła i całej ludzkości. Ale pycha w nim przemogła. Zwołał przyjaciół, uczniów, tłumy ciekawych i wobec nich na wzniesionym na placu publicznym stosie, spalił bullę papieską ze słowami pogardy. Czynem tym narażał życie, bo poza papieżem był miecz cesarza, jako władza wykonawcza Kościoła, ale więcej jeszcze narażał pokój i bezpieczeństwo Europy. I oto pożar raz rozdmuchany już nie zagasnął i dziś zagraża wszystkim tronom.

Cóż teraz pocznie zapalczywy reformator, po tak stanowczem zerwaniu z Rzymem? Tutaj okazuje się cała jego genjalność. Mógł był postępować jak wszyscy heretycy przeszłych wieków, jak Arjusz, jak Eutyches, jak Jan Hus; mógłby komentować ten albo ów tekst Pisma, zarzucać wyrokowi błąd w formie, utrzymywać, że papież nie jest dostatecznie obznajmiony z jego nauką i odwoływać się do soboru, do Kościoła powszechnego. Ale gdyby był tak uczynił, byłby tylko zwyczajnym buntownikiem. Zginąłby jak Hus; zostałby zapomniany, jak Hie-

ronim z Pragi, a świat po chwilowem wstrząśnieniu, znowu poszedłby swoim torem.

Ale on patrzył głębiej. Wychodząc z zasady, że cała nauka chrześcijańska oparta jest na słowie Bożem, zawartem w Piśmie św., wywnioskował, że papież, biskupi i kapłani istnieli nie przed tem Pismem, ale po niem, że zatem z niego brali początek, a więc z Pismem w ręku można było obejść się bez nich. Powiedział do papieża i biskupów: „Któż wy jesteście? i kto uczynił was tem, czem jesteście? wszakże słowo Boże? Otóż to słowo Boże tak samo jest moją, jak waszą własnością; jest własnością wszystkich. Biorę je sobie i jemu tylko będę posłusznym. Przecież nie jesteście bardziej jedni, bardziej święci, starożytni, powszechni i nieomylni, jak słowo Boże. Kto ma Biblję, ma wszystko i nikogo nie potrzebuje".

I oto tem uspakaja Europę, rozbraja panujących. Wszakże on nic nie wprowadza nowego, nic nie wymyśla; wszak nie ściąga ręki na religję chrześcijańską, ale przeciwnie, chce jej przywrócić pierwiastkową jej czystość. Precz ze wszystkimi dogmatami, które nie są zawarte w Piśmie św. Precz z moralnością inną, niż ewangeliczna! Precz z kapłaństwem innem, niż czyste i ubogie, surowe kapłaństwo pierwszych wieków! Precz z papieżem, z biskupami, z kapłanami, z mitrami złotemi, z rozległemi dobrami, owocem wyzysku wiernych! Pismo św., jedno tylko Pismo, w całej jego jasności i boskiej prostocie, badane i zgłębiane przez każdego z całą swobodą.

Zuchwały ten okrzyk musiał z konieczności trafić do mnóstwa dusz; do jednych przez ich pychę, do drugich przez pożądliwość, do trzecich, książąt i wielkich tego świata, przez chciwość i ambicję. Z drugiej strony do przyjęcia go przez ogromne masy, do nadania mu siły straszliwej, choć przemijającej, przyczyniło się bardzo niezaprzeczone rozprzężenie części duchowieństwa, fakt, że nie zabrano się do naprawy tego zła, chociaż świat ciągle się tego domagał i oczekiwał.

Nie piszę historji początków reformy. Było to już czynione kilkakrotnie i po mistrzowsku. Zaznaczam tylko rys jej znamienny, a ci, którzy znają pisma Lutra, wiedzą, że nie przesadzam słów jego. Z jaką gwałtownością rzucał się on na odwieczną budowę Kościoła! Jak gorzkie albo błazeńskie szyderstwa miotał na papieża, biskupów, kapłanów! Na jakież napaści ze strony chciwości i namiętności ludzkich wystawiał kościoły i klasztory! Z jakiemże upojeniem pychy odrzucając dawne podstawy, dał swojemu dziełu, swojemu odrodzonemu chrystjanizmowi, Pismo św., samo tylko Pismo tłumaczone przez rozum każdej jednostki!

A jednakże już wtedy, wobec całego tego wrzenia religijnego, największego, jakie kiedykolwiek spowodował człowiek, — już wtedy można było napewno przepowiedzieć Lutrowi niepowodzenie jego dzieła. Można mu było powiedzieć: „Nie uda ci się oprzeć religji na podstawie samego tylko słowa Bożego. Nie będziesz miał jedności, bo zaprzeczasz powadze, która jest jej podstawą: a stawiąc na jej miejsce wolność badania, zakładasz królestwo anarchji. Nie będziesz miał dogmatów, bo idea dogmatu mieści w sobie uległość naszego rozumu władzy wyższej nadeń i nieomylnej; a tutaj każdy ma być sam sobie nauczycielem, trybunałem i sędzią. Nie będziesz miał prawa moralnego, bo zamiast powoływać się na cnotę przy jego tłumaczeniu, powołujesz się na namiętności, najgorsze nieprzyjaciółki moralności. Nie będziesz miał kapłaństwa, ponieważ obalając odwieczną hierarchję i odrzucając śluby, pozbawiasz kapłana jego podwójnej aureoli, boskiej jego władzy i czystości przez wieki uświęconej. Będziesz schodził coraz niżej po stopniach świętości, i powinieneś jeszcze być zadowolonym, skoro staniesz na poziomie prostej uczciwości, zanim pogrążysz się w otchłaniach racjonalizmu i najzupełniejszej obojętności religijnej".

Uczuł to Luter jeszcze przed śmiercią. Widział powstających przeciwko sobie przyjaciół swoich i uczniów.

Słyszał ich zaprzeczających mu miana nauczyciela, głowy nowej religji, tak samo, jak on zaprzeczał papieżowi. Dożył nieskończonego mnóstwa wyznań wiary, symbolów, rozdrobnienia się swego dzieła, a z jego rozgoryczenia w starości możemy zdaje się wnosić z całą słusznością, że położył się do grobu rozczarowany i zupełnie świadomy religijnej martwoty postawionej przez się zasady.

## II.

Bo też przypatrzmy się tej zasadniczej podstawie protestantyzmu: prawu wykładania Biblji, przysługującemu każdej jednostce. Jak pochlebia ono ludzkiej pysze! ale zarazem na ileż naraża rozczarowań! Człowiek dobrej wiary, który z Pisma świętego, bez żadnej z zewnątrz pomocy, pragnie się dowiedzieć w co ma wierzyć, napotyka trudności nie do rozwiązania. Naprzód trudności h i s t o r y c z n e. Czy to rzeczywiście ta sama księga, którą pod natchnieniem Ducha Św. napisali prorocy i apostołowie? Potem k r y t y c z n e. Czy przez tyle czasu księga ta nie uległa sfałszowaniu? czy mogła pozostać nienaruszoną tak w poszczególnych częściach, jak i w całości? L i n g w i s t y c z n e. Pisano ją w języku hebrajskim, syrochaldejskim i greckim. Jeżeli nie możesz jej czytać w oryginale, czy możesz być pewnym, że przekład, jaki masz w ręku, jest dobry? Tłumaczenie jest zawsze niemal niedokładnem. G r a m a t y c z n e. Jakiem jest prawdziwe znaczenie tego lub owego tekstu, tak pod względem gramatycznym jak i teologicznym? Trudności l o g i c z n e. Teksty nie stoją w odosobnieniu. Każdy z nich ma łączność z wielu innemi. Dany tekst św. Pawła tłumaczy się przez inny św. Jana; albo przeciwnie, sprzeciwia się napozór jakiemuś tekstowi Mojżesza, Izajasza i t. p. Ogromna to praca. Czy jesteś w stanie jej podołać? A jeżeli ty to możesz, czy będą mogli robotnik, niewiasta, dziecię? Więc Chrystus miałby rzucić pomiędzy ludzi i wydać

na pastwę tłumaczenia, jakie podyktują im kaprys, albo namiętności, księgę, która, od początku swego istnienia, pobudza uczonych do nieskończonych nigdy sporów! Maluczkim, ubogim, pracującym Bóg miałby dać naukę, dla zrozumienia której potrzeba nieodzownie znać język łaciński, grecki, hebrajski i inne najtrudniejsze nauki! „Biedne niewinne dusze, powiada Lessing, mówiące językiem, na który jeszcze nie przetłumaczono Pisma św., jakże was żałuję. I was także, którzy nie umiecie czytać. Jesteście ochrzczeni, mieliście się za chrześcijan, a tymczasem, nieszczęśni, wiedzcie, że do zbawienia tak samo potrzebna jest umiejętność czytania, jak chrzest"[1]).

Daremnie protestant w chwili wątpliwości szukałby oparcia. Do kogóż bowiem pójdzie? Do swojego duchownego? Odpowiada na to Strauss: „Ależ o ile takie odwołanie się do swego pasterza jest naturalnem u katolika, o tyle u protestanta jest nielogicznem, jest łudzeniem samego siebie". Cóż mu bowiem odpowie duchowny? Może on właśnie w tej chwili sam szuka, w co ma wierzyć, sam układa sobie swoją religję na podstawie badań, jakie nad Pismem przeprowadził? A jeżeli, przypuśćmy, już tę pracę ukończył, już ułożył swoje wyznanie wiary, jakąż ono może mieć dla kogoś powagę? To zdanie człowieka tylko; wiara potrzebuje silniejszych podstaw.

Cóż więc ma czynić. Zwrócić się do swego Kościoła? Ależ Kościół protestancki może tylko odesłać go do Biblji. Nie więcej rozumie ją od niego samego. Sam może się mylić. Przecież protestanci utrzymują, że aż do Lutra byli w błędzie wszyscy Ojcowie, wszystkie sobory, cały wreszcie Kościół powszechny, i to w najważniejszych kwestjach[2]). Jakże zatem miałby się kto odwoływać do odłamu Kościoła, kiedy nie można polegać nawet na całym Kościele powszechnym?

---

[1]) Lessing, Oeuvres complétes, t. V, p. 96.

[2]) „Wszyscy Ojcowie, mówi Luter, błądzili w wierze". Luther, Oeuvres, XI serm.

O kłopocie, jakiego nabawiały reformatorów te zagadnienia, świadczy najlepiej dziwaczny sposób, w jaki usiłują je rozwiązać. Oto według nich chrześcijanin ma poznawać prawdziwe znaczenie Pisma św. nie za pośrednictwem Kościoła, nie ze słów kapłana, ani doktora Kościoła, ale „przez bezpośrednie natchnienie Ducha Świętego. Bóg, który stworzył Biblję, ażeby była przewodnikiem i pokarmem dusz, musi dać tym duszom potrzebne do zrozumienia jej światło. Przez to światło człowiek rozpoznaje n a d n a t u r a l n i e, przez poczucie, przez jakieś nadziemskie upodobanie, prawdy, jakich potrzebuje, tak samo jak rozróżnia n a t u r a l n i e słodycz i gorycz, zimno i gorąco". — Ale pomijając już śmieszność tego rodzaju religji wrażeń, przekonano się niebawem, że wedle słów Straussa, „położenie było bez wyjścia. Wpadano w fanatyzm; bo skoro tylko za probierz boskości Pisma św. przyjęto wewnętrzne objawienie, wewnętrzne poczucie, to już ostatnią instancją nie jest Pismo, jeno wewnętrzne oświecenie przez Ducha Świętego. I oto jako pierwiastek zasadniczy mamy najabsolutniejszy subjektywizm. A to dopiero jest pierwsze stadjum." Strauss ciągnie dalej: „Od najdzikszego fanatyzmu przechodzi się do racjonalizmu najrozpaczliwszego. Bo jeżeli o boskości Biblji upewnia mnie świadectwo Ducha Świętego, które w sobie czuję, to przy najlżejszem zastanowieniu się nad tem powstaje nowa kwestja: Kto mi zaręczy, że to uczucie, to świadectwo we mnie od Ducha Świętego pochodzi? Kto zaświadczy o boskości tego głosu? Kto dowiedzie, że czytelnik nie bierze swego własnego ducha za Ducha Świętego? Oto pięta Achillesowa systemu protestanckiego".

I jeszcze: „Mówić, że Pismo jest jasne i tłumaczy się samo przez się, albo że miejsca w niem ciemniejsze Duch Święty tłumaczy w duszy, to tylko niedokładny sposób mówienia. Pierwiastkiem czynnym jest tutaj sam umysł ludzki"[1]). Protestant nie wierzy w Biblję, tylko sam w sie-

[1]) Strauss, O e u v r e s, t. II, p. 317.

bie. Wiara jego nie jest to, ściśle mówiąc, wiara; to tylko pogląd, ludzkie przekonanie, z natury swej chwiejne i zmienne: przekonanie o s o b i s t e, które nie może służyć innym, a i dla siebie samego nie mogłoby być podstawą jakiejkolwiek religji. Wierzyć w siebie, to wcale nie wierzyć. Dla natur poziomych — to obojętność; a dla tych, które dbają o rzeczy wyższe, to zwątpienie a czasem i rozpacz.

## III.

Owa czczość dogmatyki protestanckiej objawiła się w całej swej rozciągłości w sporze o Kościele i znamionujących go cechach. Zarzuty, które uczeni katoliccy stawili uczniom Lutra, nie dopuszczały odpowiedzi. Mówili oni: Prawdziwy Kościół jest z istoty swojej j e d e n, tak jak jedną jest prawda. Tymczasem wy nie mogliście się nigdy zgodzić na jedno wyznanie wiary, układając i odrzucając jedno po drugiem. Dzielicie się na sekt tysiące. Błądzicie bez końca od dogmatu do dogmatu, od zdania do zdania, niezdolni do otrząśnięcia się z wiekuistej niestałości umysłu i chwiejności wiary. Zatem nie jesteście tym Kościołem, za którym Chrystus zanosił prośbę do Ojca, aby był j e d n o, jako i oni z Ojcem są j e d n o.

Prawdziwy Kościół jest p o w s z e c h n y, ustanowiony dla wszystkich ludzi, dla wszystkich miejsc i czasów. Tymczasem wy powstaliście zaledwie wczoraj, a każda z osobna wasza sekta znaną jest zaledwie w maleńkim zakątku kuli ziemskiej: zliczcie bowiem, jeżeli możecie owo mnóstwo odrębnych wierzeń zawartych w ogólnych określeniach luteranizmu, kalwinizmu, anglikanizmu we Francji, Niemczech, Anglji; prawie każda rodzina przedstawi wam odmienną religję. Tak niewiele dbacie o powszechność, że nawet odstąpiliście dawnemu Kościołowi owo chwalebne miano katolickiego, czyli powszechnego, będące jego mianem wyłącznem i wyróżnia-

jącem go od innych po całej ziemi. Waszą niezaprzeczalną własnością jest duch odrębności, duch, który dzieli i różni bez końca; to wasza niezatarta cecha. Zatem nie jesteście prawdziwym Kościołem.

Prawdziwy Kościół jest apostolski. Ponieważ nie może nigdy wygasnąć, jego pasterze powinni bez przerwy następować jedni po drugich, ażeby w każdej epoce jego istnienia, można było odwołać się przez nieprzerwane następstwo, od pasterzy istniejących w danej chwili aż do apostołów. Tymczasem wy nie nastąpiliście po nikim. Zerwaliście z przeszłością, nie możecie podać całego szeregu poprzedników aż do samego Chrystusa. A nawet nie o szereg cały tu chodzi. W przeciągu tych piętnastu wieków nie wskażecie mi ani jednego, któryby wykładał tę samą co wy naukę. Zatem nie jesteście prawdziwym Kościołem.

Nakoniec ów Kościół jeden, odwieczny, powszechny, apostolski, jest z natury rzeczy widzialny. Był nim zawsze. Tymczasem powiedzcież nam, gdzie był wasz Kościół przed Lutrem? Pokażcie przed owym mnichem odstępcą społeczność wyznającą waszą naukę. „I oto, mówi Lamennais, gorliwie i niespokojnie przeszukują roczniki herezji, zbierając w tem błocie rozrzucone skrawki błędu, gromadzą brudne łachmany zapomnianych sekciarzy z różnych epok, ażeby z tego sporządzić sobie szatę chwały; ale nie potrafią przykryć swojej nagości. Jeżeli w V wieku odnajdują takiego Wigilancjusza, nieprzyjaciela relikwij świętych, w X wieku Berengarjusza, zaprzeczającego rzeczywistej obecności, wychodzi najaw, że ci herezjarchowie, potępieni przez cały Kościół, nie mieli prawie uczniów, i że jeden z nich publicznie błąd swój odwołał. Różniąc się przytem w błędach, różnili się jeszcze z protestantami w zapatrywaniach, na wielu bardzo ważnych punktach. Napróżno tedy ci ostatni wywłóczą ich z grobu, ażeby przytulić się pod ich wyklęte skrzydła. Pozostaje im zawsze luka dziesięciu pierwszych wieków, i pozostaje im jedynie szukać sobie przodków pomiędzy

Albigensami, bezzecną kolonją Manichejczyków, którzy ze Wschodu przeszli do Włoch a z Włoch do Galji, gdzie przez nieznane dotąd zbrodnie budzili przestrach w mieszkańcach; pomiędzy Waldensami, garścią ciemnych fanatyków, wyznającymi niektóre opinje odrzucone przez reformę i nawzajem odrzucającymi większą część jej nauki. Wstydząc się wkońcu przodków, jakich sobie nadali, nowatorowie wyrzekają się tego rodowodu zarówno hańbiącego, jak kłamliwego i utrzymują już tylko, że w łonie Kościoła katolickiego k r y ł a się zawsze pewna liczba sprawiedliwych, którzy w t a j e m n i c y wyznawali zasady reformy. Na co katolicy odpowiadali: Jeżeli ci wrzekomi sprawiedliwi tak byli ukryci, że nie pozostał ślad po nich, jakże odkryliście ich istnienie? Jak możecie znać tak dokładnie t a j e m n e przekonania ludzi, których nigdy nikt nie znał? Bardzo to łatwo wymyślić takich sprawiedliwych, o których świat nic nie wie, i odeprzeć w ten sposób zarzut, który nas w kłopot wprawia. Ale gdybyśmy nawet przyjęli to niedorzeczne przypuszczenie, to i ono nie ratuje sytuacji; sprawiedliwi u k r y c i bowiem nie tworzą Kościoła widzialnego; a my właśnie domagamy się, ażebyście pokazali Kościół widzialny, złożony z wiernych i z nauczających ich pasterzy. Takiego Kościoła nie pokazaliście nam i nigdy nie pokażecie, a zatem raz jeszcze, nie jesteście prawdziwym Kościołem"[1]).

## IV.

Tak to jeszcze za życia Lutra upadały jedne po drugich szańce Bożego grodu. Tak znikły te jaśniejące cechy, któremi Bóg Kościół swój naznaczył. Nie było już nawet Kościoła: padł bezsilny. Były tylko jednostki, przewracające poomacku kartki niezrozumiałej księgi i wykrawujące sobie z niej religję według swojego widzi-

[1]) Lamennais, E s s a i s u r l'i n d i f f é r e n c e, t. I, chap. VI.

misię i swojej ułomności. A waliły się nietylko widzialne wieże i mury świętego miasta; wewnątrz niego wolne badanie podkopywało wszystkie dogmaty, kaleczyło święte księgi, wyrywało z nich całe stronice, z siedmiu sakramentów zostawiało już to dwa tylko, już trzy i dokonywało ostatecznej ruiny, znosząc hierarchję. Henryk VIII, mówi: Precz z papieżem; powinni być sami tylko biskupi". Luter, mówi: „Precz z biskupami, niech będą sami kapłani". Kalwin zaś: „Precz z kapłanami, niech będą sami ministrowie, kaznodzieje". Mnóstwo zaś innych sekt zawołało: „Precz z duchownymi i kaznodziejami; każdy jest sam dla siebie prorokiem, nauczycielem i kapłanem!"

Do tego doszło już w początku. Można było z całą pewnością wnosić, że protestantyzm nie wytrzyma tego, że niebawem zginie, zabity przez własną swą zasadę. Nie wątpił o tem Bossuet. Mówiąc o tej ranie reformy, ciągle przepowiada niechybny tejże koniec. „Wszystko złe, pisze on, pochodzi stąd, że ci, którzy w zeszłem stuleciu nie zawahali się próbować reformy Kościoła przez schizmę, — znajdując w świętej władzy tegoż Kościoła najsilniejszy opór przeciw swoim wszystkim inowacjom, widzieli się zmuszeni ją obalić. I oto wyrok soborów, nauka Ojców Kościoła i święta ich jednozgodność, odwieczna tradycja Stolicy Apostolskiej i Kościoła katolickiego nie są już, jak dawniej, prawem świętem i nietykalnem. Każdy ustanowił sobie trybunał, a w nim siebie mianował sędzią swojej wiary; i chociaż zdawałoby się, że nowatorowie chcieli nałożyć pewien hamulec na umysły, zamykając je w obrębie Pisma św., to przecież przez to właśnie, że każdy z wiernych miał być owego Pisma tłumaczem, wierząc, że Duch Św. daje mu do tego natchnienie, — niema jednostki, którejby ta nauka nie upoważniała do uwielbiania własnych pomysłów, do uświęcania własnych błędów, do ubóstwiania swojej własnej myśli. To też odrazu słusznie przewidziano, że przy takiem rozprzężeniu, sekty będą się mnożyły do nieskończoności, że upór będzie nieprzezwyciężony; i że kiedy jedni będą wieść nieustanne spory

albo swoje mrzonki brać za natchnienie z góry, drudzy, znużeni temi nierozumnemi przywidzeniami, nie mogąc już dopatrzyć godności w religji tylu sektami rozdartej będą wkońcu szukali zgubnego spoczynku i zupełnej niezależności, w całkowitej obojętności religijnej i w ateizmie"[1]). Gdzie indziej mówi: „Przez ową zasadę wolnego badania widocznem było, że artykuły wiary jeden po drugim upadać będą; że umysły, raz poruszone i same sobie pozostawione nie będą mogły wrócić w karby; i że w ten sposób religijna obojętność będzie nieszczęsnym owocem wzniecanych w Chrześcijaństwie sporów i fatalnym wynikiem reformy"[2]).

Po wskazaniu tego końca protestantyzmu „w religijnej obojętności", Bossuet przepowiadał mu inny jeszcze bliższy, w powrocie do Kościoła katolickiego dusz, rozczarowanych i oświeconych przez zgubne wyniki wolnego badania: „Nie podejmuję się powiedzieć wam, chrześcijanie, jaki będzie los herezji tych ostatnich wieków, ani oznaczyć terminu, do jakiego Bóg postanowił ograniczyć ich trwanie. Ale jeżeli sąd mój się nie myli, jeżeli przywodząc sobie na pamięć wieki przeszłe, wyciągam z nich słuszne co do stanu obecnego wnioski, śmiem twierdzić, i widzę, że mędrcy są jednego ze mną zdania, iż dni zaślepienia przeminęły i że już jest czas, ażeby powróciło światło"[3]).

## V.

A jednakże, powtarzam, proroctwo to nie ziściło się. Zasada wolnego badania, ta zgubna trucizna, nie zabiła religji protestanckiej. Po trzech wiekach żyje ona, tak

---

[1]) Bossuet, Oraison funèbre de la reine d'Angleterre.

[2]) Bossuet, VIme Avertissement aux protestants, IIIe partie, § 3.

[3]) Bossuet, Oraison funèbre de la reine d'Angleterre.

napozór silna, jak w początku swego istnienia. Silniejsza nawet, gdyż początkowe jej konwulsje przeminęły i nie przewiduje się jej końca. Skąd to pochodzi? W jaki sposób zdołano zażegnać wyniki tak obrzydłej zasady?

Jest to wynikiem niezwykłego faktu, któremu podobnego nie znajdujemy w historji. Reformacja ostrzeżona przez te oznaki śmierci, czując, że upada, odrzekła się swojej zasady. Upodobniła się do katolicyzmu. Zachowała zasadę wolnego badania, jedynie tylko jako broń przeciw Kościołowi. Dla zachowania życia powróciła do zasady katolickiej, czyli do zasady władzy.

Tego jeszcze nigdy nie było, żeby religja ginęła przez swoją własną zasadę i podejmowała zasadę obcą dla ocalenia życia. I jeszcze tę zasadę, której się wyparła, ażeby się narodzić.

Tak jest, skoro tylko pierwsi reformatorowie bez poprzedniego zamiaru, bez planu, nie mocą swego genjuszu, tylko nieubłaganej logiki, zostali doprowadzeni do tej zasady wolnego badania, wnet uczuli, że popełnili, za pozwoleniem, głupstwo. W takiej atmosferze żyć nie można; na gruncie tak ruchomym nic nie można budować. Każdy dzień przynosił nowy dogmat, nowe odszczepieństwo, a ciągle w imię tej samej zasady. I niczem zbić jej nie można. Niema żadnego sposobu nakazania jej milczenia, osiągnięcia trochę karności, choćby tylko pozoru jedności. Ani porywczy duch Lutra, ani zimna i okrutna władza Kalwina, ani łagodność Teodora de Bèze, ani smutek Melanchtona, nic na to nie mogły poradzić. Reforma upadła, rozsypała się w proch. Cóż było czynić? Powrócić do jedynej zasady, która mogła zjednoczyć dusze, do zasady władzy. Rzecz była trudna. Zasadę ową tak przedtem oplwano! Naprzód już można było przewidzieć szyderstwa i gniewy tych, którym było obiecano zrzucenie jarzma wszelkiego. Ale potrzeba było żyć, a tutaj anarchja codzień się wzmagająca, groziła pogrążeniem wszystkiego w otchłań.

„Jeżeli świat potrwa jeszcze długo, pisał Luter do Zwingljusza, potrzeba będzie znowu, z przyczyny rozmaitych interpretacyj, jakiemi obecnie tłumaczą sobie Pismo św., przyjąć wyroki soborów i chronić się w nich dla zachowania jedności wiary"[1]). A kiedy tak Luter czuł potrzebę władzy soborów, Melanchton domagał się władzy biskupiej: „W Kościele potrzebni są nadzorcy dla utrzymania porządku, dla uważnego czuwania nad tymi, którzy są powołani do obowiązków kapłańskich, dla czuwania nad nauką księży i wydawania wyroków duchownych; tak, że gdyby biskupi nie istnieli, potrzebaby ich stworzyć". Żałowano nawet władzy papieskiej: „Monarchja papieża, mówi dalej Melanchton, byłaby także nader użyteczną dla zachowania wpośród tak różnorodnych narodów, jednostajności nauki"[2]). Grotius zaś: „Bez supremacji papieża niepodobna jest położyć końca sporom"[3]). A Kalwin: „Bóg umieścił stolicę swojej wiary w centrum ziemi i posadził tam jednego dla wszystkich Najwyższego Kapłana, ażeby wszyscy mogli nań patrzeć i przez to lepiej zachować się w jedności"[4]). Melanchton dodaje do tego: „Na to zgadzają się wszyscy nasi". Ale już było za późno. Nie można już było powrócić do Papieża Rzymskiego, tak pogardzonego i wyszydzonego. Trzeba było stworzyć innego.

Spróbowano naprzód papieża papierowego, według ironicznego wyrażenia Bucer'a. Luter wydał katechizm obowiązujący, wyklinając i odsyłając do wszystkich djabłów tych, którzy od niego na jotę odstąpią.

---

[1]) „Si diutius steterit mundus, iterum erit necessarium, propter diversas Scripturae interpretationes quae nunc sunt, ad conservandam fidei unitatem, ut conciliorum decreta recipiamus, atque ad ea confugiamus". (Luth. ad Zwingliu m).

[2]) Melanchton. Resp. ad Bell.

[3]) Grot., Votum pro pace Ecclesiae.

[4]) Calv., Instit. VI, § 2.

Kalwin też zredagował swoją naukę i postanowił najsurowsze kary, nawet doczesne, na tych, którzyby mu się sprzeciwili. Zjechano się w Augsburgu, ułożono tam wyznanie wiary i postanowiono, że wszyscy uroczyście, pod przysięgą zobowiążą się przyjąć je i nigdy przeciw niemu nie występować. Trzeba przeczytać u Bossuet'a tragiczną i wymowną historję tego pierwszego wyznania wiary i dowodzenia wielkiego biskupa, którem przekonywa Jurieu i Claude'a, że przysięgając uroczyście poddać się wszystkiemu, co zostanie postanowionem na tem zebraniu, w przekonaniu, że Bóg Duchem swoim będzie mu przewodniczył, sprzeniewierzają się zasadzie protestanckiej i powracają do zasady katolickiej[1]). Wiedziano o tem aż nadto dobrze, ale potrzeba było żyć. Wkrótce przywrócono sobory pod mianem soborów prowincjonalnych, narodowych, grożąc ekskomuniką tym, którzyby nie chcieli poddać się ich wyrokom[2]). Prawda, że z początku trudno było zmusić do takiego posłuszeństwa umysły tak pobuntowane. Ale powoli głos logiki przemógł głos pychy. Ci, których nie zadawalniało wyznanie wiary Augsburskiej, potworzyli sobie inne. Wkońcu namnożyło się ich bezliku. Każde z nich miało swoich zwolenników, którzy przystali na nie i nauczali ich swoje dzieci, a te przyjęły je tak, jak katolicy przyjmują Symbol Nicejski, t. j. drogą nauczania i władzy: a wynikiem tego było, pod firmą

---

[1]) Bossuet, Histoire des Variations, liv. III. Conférence avec M. Claude sur la matiére de l'Église.

[2]) „Przyrzekamy w obliczu Boga, poddać się wszystkiemu, co będzie uradzone i postanowione w waszem świętem zgromadzeniu, być temu posłusznymi, i wykonywać to całą naszą mocą; ponieważ jesteśmy przekonani, że Bóg będzie zgromadzeniu temu przewodniczył i Duchem swoim świętym doprowadzi was do wszelkiej prawdy i sprawiedliwości, na zasadzie swojego słowa". (Synod protestancki w Vitré w r. 1617.) Katolicy nie więcej mogą powiedzieć o Soborze Watykańskim. Patrz także synod narodowy w Sainte-Foi w 1578. (Bossuet, Exposition de la doctrine catholique, § XX).

protestancką, mnóstwo drobnych kościołów, które żyły i jeszcze żyją po katolicku.

Spójrzcie na parafję protestancką i porównajcie ją z parafją katolicką. Gdzie tu jest różnica, co się tyczy zasady i prawidła wiary? Protestant chodzi na kazanie tak samo, jak katolik na mszę. Słucha swojego kaznodziei tak, jak katolik słucha swego biskupa. Czy studjuje on głęboko Biblję, ażeby osobiście przekonać się, w co potrzeba wierzyć o Bogu, o Zbawicielu, Jezusie Chrystusie? Bynajmniej, wierzy swemu pasterzowi. Studja owe osobiste przeprowadzają duchowni być może, ale nie wierni. Masy nie badają, nie poszukują, nie mogą badać ani poszukiwać. Wierzą. Zdala i wysoko ponad niemi, w świecie duchownych, jest sfera rozpraw biorących źródło w zasadzie wolnego badania. Ale i tam jakże owe rozprawy są rzadkie! Iluż to pastorów nie bada, nie poszukuje, przyjmują z konsystorza gotową naukę, żyjąc w ten sposób także po katolicku. Do tego doszedł protestantyzm. Niewarto było wyprzysięgać się w teorji zasady, ażeby w praktyce do niej powrócić.

Rzecz ta tak szczególna, nie uszła baczności wszystkich protestantów. Perthes mówi o tem: „Niech tam sobie teologowie mówią, co chcą, ale zasada obu Kościołów praktycznie jest ta sama; i Kościół reformowany nie mógłby istnieć, gdyby w rzeczywistości miał być oparty na własnem każdej jednostki badaniu i opinji, a nie na wierze, wynikającej z posłuszeństwa i poddania się Kościołowi widzialnemu, jak to jest w Kościele katolickim. Zatem z jednej strony Kościół protestancki, tak samo jak i katolicki, poczyna każde ze swoich dzieci w swem łonie, a potem naucza je i kształci; wciela się zwyczajowo w życie narodów i kieruje takowem; udziela wszystkim swego własnego ducha. A z drugiej strony nie ustaje w nauczaniu teoretycznem, że wolne badanie przysługujące każdej jednostce jest warunkiem czystego chrystjanizmu“[1]).

[1]) Perthes, Oeuvres complètes, t. III, p. 213

Wskutek tej fałszywej pozycji, dla podtrzymania jedności ciągle chwiejnej, przesadzano nawet nieraz władzę pastorów i obowiązek uległości wiernych; tak, że co chwila słyszymy głosy oburzenia samychże protestantów przeciwko temu, iż oni, synowie wolnego badania, są bardziej skrępowani w swoich wierzeniach, aniżeli nawet katolicy. „Nie można sobie wyobrazić, mówi Harless, niewoli bardziej hańbiącej kościoły, nad tę, która zmusza wiernych poddawać szyję pod jarzmo, codzień inaczej fabrykowane przez teologów"[1]).

A jeszcze to jarzmo doktryny, tak sprzeciwiające się pierwiastkowi reformy, nie wystarczyło. Wszędzie na pomoc mu wezwano miecz i berło. Religja owa, tak dumnie w początku swym głosząca wolność badania, głosi potem wszędzie, że panujący jest przyrodzoną głową religji[2]). Z początku czyni to nieśmiało, wstydliwie, — ale potem chlubi się z tego. Jurieu pisze: „Jest rzeczą pewną, że panujący są przyrodzonemi głowami Kościoła chrześcijańskiego, władcami religji tak, jak i państwa. W ten sposób cofano się o piętnaście stuleci. Zrywano z tą wzniosłą właściwością Kościoła katolickiego, co pierwszy i jedyny, szanując wszelką władzę polityczną i cywilną więcej, niż to kiedykolwiek przed nim czyniono, zachowywał mimo to zawsze swoją wobec niej niezawisłość, gotów raczej przelać krew swoją, aniżeli ustąpić na jotę z wolności, jaką go boski Nauczyciel obdarzył. Od

---

[1]) Harless, Feuille périodique, t. I, p. 33. — Burke mówi to samo, t. IV, numer 37.

[2]) Luter pierwszy z tem się śmiało odezwał (Oeuvres, XIV, 520; XIX, 287). Zwingliusz poszedł za jego przykładem w Zurychu (Doellinger, l'Église et les églises, p. 302). Melanchton w Naumburgu dowodził tekstami z Pisma, że Kościół powinien być poddany władzy doczesnej. Grotius napisał całe dzieło dowodzące, że panujący są najwyższymi sędziami w rzeczach wiary i całkowitymi panami religji: De imperio summarum potestatum circa sacra, o którem Bossuet mówi, że jest to dzieło olbrzymiej ale próżnej erudycji. Z dzieła tego czerpali Claude, Jurieu i inni.

protestantyzmu można było oczekiwać przynajmniej tegoż samego, jeżeli nie czegoś więcej, ze względu na jego zasadę. Ale w fałszywem położeniu nie można zawsze tak postępować, jakby się chciało. Przedewszystkiem potrzeba było żyć, a żyć można było znowu jedynie kosztem wspierania nielogicznego jarzma doktryny, przez bardziej jeszcze nielogiczne jarzmo naturalne.

Z głębokiem tedy zadziwieniem ujrzała Europa, jak protestantyzm wyciągnął ręce po kajdany władzy świeckiej, wzywając ją na pomoc, i wzamian za wolność religijną otrzymał możność egzystowania. Przestał być religją wolną, zależną tylko od Boga, a stał się gałęzią administracji cywilnej, jak rzeki lasy, mosty i drogi. Jest rzeczą, którą rządzi państwo, której życie zatem jest warunkowem życiem państwa.

W ten sposób protestantyzm przetrwał wieki i jeżeli nie usunął całkiem, to przynajmniej odsunął od siebie na czas jakiś ów rozkład, który koniecznie musiał wyniknąć z wolnego badania. „Owa wielka próba oswobodzenia myśli ludzkiej", wedle określenia Guizot'a, doprowadziła li tylko do poddania tej myśli jarzmu doczesnemu, wzamian za dawną jej podległość władzy duchowej i boskiej. Zamiast papieża, następcy św. Piotra, papież świecki. Ale tylko za tę cenę można było żyć.

Jak gmach, źle pomyślany i już porysowany przed ukończeniem budowy, trwa jednakże czas długi, dzięki dodanym później skarpom i żelaznym spojeniom, tak samo protestantyzm zawdzięcza niespodziewane przedłużenie swego istnienia zasadzie katolickiej, którą wskrzesił ratując sobie życie, i władzy świeckiej, która od dwóch stuleci służy mu za spójnię i podporę.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

**Stan religji protestanckiej. — Jak się tłumaczy, że protestantyzm trwa dotychczas i nie został pochłonięty przez swoją zasadę.**

(Ciąg dalszy.)

### I.

Jeżeli udało się protestantyzmowi powstrzymać do czasu proces rozkładowy, będący nieuniknionym skutkiem jego zasady wolnego badania, było jeszcze coś, czego nie mógł usunąć ani złagodzić. Duszom tkliwym, głębokim, duszom potrzebującym nieskończoności, protestantyzm nie mógł nigdy dać dostatecznego pokarmu. Możnaby się wyrazić, że przyszedł on na świat pod nieszczęśliwą gwiazdą. Logika faktów, okrutna czasami, zmusiła naczelników reformy pomimo ich woli, do odrzucenia, do zdeptania najpiękniejszych, najbardziej pocieszających kwiatów katolicyzmu, a do zostawienia gorzkich ziół, znośnych, kiedy są przez tamte otaczane i łagodzone; nie do zniesienia, kiedy zostały same.

Negacja rozpoczęła się od nauki o odpustach. Cóż może być milszego, słodszego dla duszy nad odpust, pobłażliwość? Jak można powstawać przeciw pobłażliwości? Jest ona tem w życiu, czem oliwa w ruchu maszyn. Odrzućcie pobłażliwość, a zabijecie zarazem miłość. To też Bóg chciał być w stosunku do nas nietylko ściśle sprawiedliwym, ale i pobłażliwym, co właśnie stworzyło odpusty. Powiedział, że za biednych grzeszników, niedosta-

tecznie wypłacających się jego sprawiedliwości, przyjmie zadośćuczynienie sprawiedliwych, wypłacających więcej, niżeli są winni. Za tego ojca, który nie modli się, nie czci Go i obraża, przyjmuje łzy jego świątobliwej towarzyszki, modlitwy drobnych jego dzieci. Ich czystość pokrywa jego winy; a ponieważ solidarność ludzka niezawsze byłaby wystarczającą śród wszystkich, którzy płaczą, kochają, skarbią sobie zasługi: umieścił swego boskiego Syna; zaliczył Go do rodziny ludzkiej, ażeby Jego zasługi mogły być dodane do naszych i udzielić im tej pełni, której nie posiadają same przez się. Gdzież znajdziemy piękniejszą nad tę naukę? Czyż można brać za złe, że Bóg chce być pobłażliwym? Jest że to niesprawiedliwem? Czyż sami nie musimy codzień wykonywać cnoty pobłażliwości? A tymczasem protestanci to odrzucili. Znieśli naukę o odpustach i postawili człowieka samego, z jego winami i maluczkiemi zasługami wobec Tego, o którym mówi Apostoł: „Strasznoć jest wpaść w ręce Boga żywego"[1]).

Po dogmacie odpustów musiał już protestantyzm nieodbicie, według praw logiki, znieść dogmat czyśćca. Nauka o czyśćcu jest cudownie piękną. Odrzućcie ją, a pozostanie tylko niebo i piekło. Potrzeba koniecznie umrzeć całkowicie czystym, niewinnym, bez żadnych długów do spłacenia; inaczej idzie się do piekła. Ale ileż to ludzi nie schodzi tak ze świata! Ile ukochanych istot, które, czujemy to, mówimy sobie w głębi duszy, pomimo całej naszej dla nich miłości — nie są jeszcze godne wejść do nieba, mają jeszcze długi do spłacenia, winy do odpokutowania, — ale które, czujemy to również, nie zasługują też na piekło; które były zanadto dobre, zanadto uczciwe i sprawiedliwe, czyniły zawiele dobrego, ażeby je Bóg na wieki od siebie odtrącił. Kościół podaje nam tu środek ratunku. Im straszliwszym przedstawia nam czyściec, tem więcej w myśli o nim znajdujemy pociechy. Im płomienie

---

[1]) Hebr. X, 31.

jego są dotkliwsze, tak samo często ciężkie, jak płomienie piekielne, tem więcej nabieram otuchy, że moi ukochani znajdą w nich oczyszczenie, którego potrzebują. Protestantyzm lekkomyślnie wszystko to odrzucił. Od tej pory, już nie mówią, że dla tego, co umiera, ale dla tych, co go kochali i opłakują, jest tylko jedna alternatywa: niebo, albo piekło. Czasem jest to okropne.

Protestantyzm posunął się dalej. W tym zapędzie niszczycielskim nie oszczędził najdelikatniejszego, najrzewniejszego, najbardziej niebiańskiego ze wszystkich kwiatów religji katolickiej: modlitwy za zmarłych. Zmuszony był do tego siłą logiki; ale są wypadki, gdzie logika bywa karą. Kościół naucza, że kiedy przez śmierć stracimy ukochaną istotę, możemy jeszcze dużo dla niej uczynić. Zapewne, już to coś znaczy wznieść jej pomnik, składać na grobie wieńce, wspominać jej imię z miłością i wdzięcznością. Ale Kościół uczy nas, że możemy uczynić daleko więcej. Tak samo jak niegdyś otaczaliśmy ją naszą tkliwością, tuliliśmy ją do serca, tak dzisiaj, kiedy już jej tu niema, możemy jeszcze wspierać ją, zmniejszać jej karę, przyśpieszać jej szczęście przez nasze modlitwy i dobre uczynki, przez pamięć o niej w Bogu. Jak można temu zaprzeczać? Czyż nie prawdziwe i nie piękne? Jakto! Bóg nietylko pozwolił mi, ale nawet rozkazał czcić ojca i matkę moją; i nie potrzebował mi nawet tego rozkazywać, bo serce moje samo mię do tego pociągało; a teraz, kiedy mi ich zabrał, miałożby to być złem, że mi pozwala i nadal służyć im i pomagać? Czyż nie rozumiecie, że to gorące, nieprzezwyciężone pragnienie służenia im, wspomagania ich w dalszym ciągu, musi koniecznie pochodzić od Boga, który stworzył mnie na obraz i podobieństwo swoje.

Tak obszedł się protestantyzm ze wszystkiem. W religji katolickiej, obok każdego dogmatu przerażającego, jest drugi, który go łagodzi, osładza. Przez to Kościół nasz zachwyca dusze i panuje nad niemi. Protestantyzm usunął wszystkie te tony przejściowe, łagodne i pociesza-

jące, zostawił zaś dogmaty przerażające, które owiewają duszę pewną stałą atmosferą grozy i lęku. Oto jeszcze parę tego przykładów.

Cóż wyrówna miłości Jezusa, naszego Zbawiciela? I możemyż się Go bać, widząc Go na krzyżu, z przebitemi rękami i nogami, z otwartem sercem? A jednakże są chwile, kiedy tenże sam krzyż przejmuje nas drżeniem! Jakże udam się do tego, którego tak znieważyłem! Przecież to ja przebiłem te ręce i nogi! Ja otworzyłem to serce! Gdzież się ukryję przed gniewem tego Baranka, którego umęczyłem! Wtedy to Kościół pomiędzy grzesznikiem a Chrystusem stawia boską pośredniczkę: niewiastę, dziewicę, matkę, — Matkę Boga i ludzi. Jakże można było odrzucić ten pomysł miłości? Jak można było przypuścić, że Chrystus, Zbawiciel, Bóg nieskończony mógłby być zazdrosnym o stworzenie i to o stworzenie, które wybrał sobie za matkę! Jak można było pomyśleć, że kropla jedna, choćby najczystsza, choćby przeniknięta i oświetlona przez światło słoneczne, może rywalizować z niezmierzonym Oceanem! Otóż to przypuścił protestantyzm; tego się przeląkł. A idąc dalej w swem odrzucaniu wszelkich tonów przejściowych, wszelkich odcieni łagodniejszych, bez których przecież nie może istnieć prawdziwe piękno: odrzucił i cały otaczający Najśw. Pannę orszak apostołów, męczenników, dziewic świętych, pod jej przewodnictwem wstawiających się za nami do boskiego majestatu i sprawiedliwości, a pozostawił człowieka wobec tego majestatu samotnego, w całej jego nagości i brzydocie. I to jest druga przyczyna owego tła grozy, o którem wspominałem, uciskającego i przygniatającego dusze w protestantyzmie.

Grozę ową zwiększa jeszcze to, że człowiek w obliczu Boga jest nietylko nicością, ale i przestępcą. Grzeszy codzień, co godzina. Im dalej postępuje w życiu, tem się bardziej zwiększa brzemię jego nieprawości. Otóż tu się zjawia w Kościele cudowna instytucja. Grzeszysz: zasługiwałbyś na piekło. Ale jest spowiedź, żal, rozgrzeszenie, przebaczenie. Czyż to nie boskie? Protestantyzm

odrzucił to wszystko. Potrzeba więc dźwigać ciężar swojego grzechu, zapomnieć o nim, starać się wmówić w siebie, że Bóg jest dobry i nie będzie nas za to karał. Jeżeli potrafimy to w siebie wmówić, następstwem tego będzie recydywa, nałóg, znieczulenie sumienia. Jeżeli nie, — to trwoga, rozpacz. „O, cóżbym dała, pisze pani de Staël, ażeby móc uklęknąć przed konfesjonałem katolickim!" A Naville: „Któż nie spoglądał z zadrością na ten trybunał pokuty? Kto w goryczy wyrzutów sumienia, w niepewności przebaczenia boskiego nie zapragnął, ażeby ktoś uprawomocniony przez Chrystusa powiedział mu: Idź w pokoju, grzechy twoje są ci odpuszczone"[1]).

Ale największą szkodę wyrządził duszom protestantyzm przez odrzucenie Najświętszego Sakramentu. Czuł to Luter i rozumiał, że pozbawić dusze rzeczywistej obecności Boga, to doprowadzić je do rozpaczy. Pozostawił więc tę obecność przynajmniej w czasie mszy. Suchy i zimny Kalwin odrzucił ją całkowicie. I oto znikły z protestantyzmu nietylko najwyższa pobudka do świątobliwego życia, żal za grzechy, mocne postanowienie poprawy, umiłowanie niewinności, pragnienie uczynienia się godnym boskiego gościa, który ma nawiedzić naszą duszę; ale także owo zjednoczenie z Bogiem, potrzeba, marzenie, ideał dusz wielu, i to najlepszych. Protestantyzm przypomina ogród spustoszony, z któregoby wyrwano kwiaty najpiękniejsze, najmilsze, i najwonniejsze, a zostawiono same ciernie.

W tych wszystkich negacjach nietrudno jest dostrzec pierwiastek wspólny, który już wskazałem gdzie indziej i którego wszystkie są wynikiem. Protestantyzm nie pomieścił całego Chrystjanizmu. Chrystjanizm — to miłość. To miłość nieskończona, zniżająca się ku człowiekowi, nietylko żeby go otoczyć opieką, ale by go oczarować i zachwycić. Dlatego też Chrystjanizm posiada nietylko

[1]) Teza broniona przed Akademją Genewską przez J. E. Naville'a, 1839.

niezbędne, ale i zbytek w boskiem tego słowa znaczeniu. Tego protestantyzm nie mógł zrozumieć. Przypuścił, że Bóg daje człowiekowi rzeczy dlań niezbędne, bo na tyle tylko ten ostatni zasługuje; ale żeby miał mu dawać nadmiar, przepych, żeby miał zasypywać człowieka darami, — to uznał za niemożebne. Przyjął więc protestantyzm, że Bóg kocha człowieka, ale żeby go miał ukochać namiętnie, do zbytku, do szału — temu zaprzeczył. Wskutek tego odrzucił wszystkie fakty, w których widział nadmiar, przesadę. Przyjął, że Bóg umarł za człowieka, ale nie przyjął, ażeby umarł za wszystkich, nawet za bezbożników: to już zawiele. Przyjął, że Bóg zstępuje na ołtarz w czasie mszy; ale żeby pozostawał tam zawsze, w każdej godzinie dnia i nocy, tego też zawiele. Przyjął w Bogu sprawiedliwość, nawet litość i miłosierdzie; nie przyjął miłości.

I cóż stąd wynikło? Już to mówiłem, ale pozwólcie, że powtórzę tutaj. Ponieważ Bóg protestantów, to Bóg mądry, rozsądny, wróg wszelkiej nadzwyczajności w stosunku swoim do człowieka: człowiek również w stosunku swym do Boga jest mądry, rozsądny, uczciwy, wróg wszelkiej nadzwyczajności. Ich Bóg nie czynił dla ludzi szaleństw; ludzie też nie czynią szaleństw dla Niego. Szaleństwem jest żyć w czystości, odmawiać sobie największego szczęścia ziemi, szczęścia miłości; to też protestant nie odmawia go sobie. Szaleństwem — poświęcać się na usługi biednych, tak brzydkich i niewdzięcznych; protestant nie czyni tego. Rozsądnem i przyzwoitem jest żyć w pobożności, uczciwości, wypełniać swoje obowiązki. Protestant żyje w pobożności i uczciwości, wypełniając swe obowiązki. Zamiast być b o h a t e r e m, jest tylko p o p r a w n y m. Ale czyż to ma być najwyższym owocem boskiej religji, czynić ludzi tylko poprawnymi? Wystarczyć to może niektórym duszom, pospolitemu tłumowi; a i to jeszcze rzecz wątpliwa. Ale p o p r a w n o ś ć czyż może zadowolnić dusze wielkie, czy może im wystarczyć? Oprócz tej p o p r a w n ś o c i, która jest niezbędą,

łakną one bohaterstwa, wyzucia się z siebie, szczęścia oddania się całkowitego, posunięcia miłości do granic najdalszych, bez nadziei jakiejkolwiek nagrody albo uznania, przeciwnie, z tajemną nadzieją, że będą jak sam Zbawiciel zapomniane, zapoznane, obrzucone wzgardą. Otóż to bohaterstwo w religji katolickiej jest na porządku dziennym. Ono to stwarza apostołów, męczenników, dziewice, Karmelitów, Siostry Miłosierdzia, Siostrzyczki Ubogich: wszystkie instytucje, których nie zna i znać nie może protestantyzm. On zna tylko p o p r a w n o ś ć; stwarza jedynie l u d z i u c z c i w y c h. Prawda, i to już coś znaczy; ale uczciwi bywali już i za Jowisza; i dla takiego rezultatu nie warto było zaiste, ażeby Bóg zstępował z nieba i umierał na krzyżu!

Zawsze ludzie cierpieli nad tą pospolitością i bezbarwnością protestantyzmu; zawsze czuli brak powietrza w jego zacieśnionych przestrzeniach; ale w miarę pogłębiania się serc, cierpienie to potęguje się jeszcze. Ludzie potrzebują światła, ideału, boskości i nie znajdują ich. To też duszno im i smutno.

## II.

Protestantyzm stłumił wszakże pozornie tylko ruch rozkładowy, wynikający z wolnego badania. Naprawdę nie potrafiły tego uczynić ani zasada powagi dogmatu, przywrócona dla utrzymania w masach jedności, ani władza świecka, wezwana jako hamulec dla niespokojnych umysłów. Duch rozkładu przeniknął wszystkie tamy. Logika nie dała się zepchnąć z placu. Wolne badanie pomimo wszelkich ograniczeń i zaprzeczeń rozerwało nakoniec więzy, któremi je skrępowano, burząc wszystko na swojej drodze. Dzisiaj protestantyzm przestał już być odrębną herezją. Jest nietyle religją, ile schroniskiem dla nieskończonego mnóstwa różnych religij.

Oto, co mówi o tem duchowny protestancki, wielebny Steeg: „Ta nazwa protestantów, wspólna tylu ludziom, osłania wiele różnic. Różnice owe istnieją w tymże sa-

mym kraju, w temże mieście, na jednej nawet ulicy. Czy są to różnice niewielkiego znaczenia? Bynajmniej; są nawet czasem bardzo głębokie. Jakaż to odległość od Kościoła anglikańskiego, który wierzy w symbol wiary św. Atanazego, do Kościołów unitarjuszów, którzy Trójcę mają za bluźnierstwo! Luteranin uważa sakramenty za kanały łaski Bożej; kalwinista widzi w nich jedynie symbole, pamiątki. Jakież wyznanie wiary, jaki katechizm mógłby zyskać naraz uznanie baptystów, metodystów, milenarjuszów, sekt założonych przez Penn'a, Zinzendorf'a, Irwing'a, Darby Rapp'a, Michała Hahn'a i t. d., nie mówiąc o wielkich kościołów urzędowych? Jeżeli od kościołów przejdziemy do składających je jednostek, różnice występują jeszcze wyraźniej. Można stanowczo stwierdzić, że n i e m a a n i j e d n e g o p u n k t u w n a u c e, k t ó r y b y n i e b y ł p r z e z j e d n y c h p r z y j m o w a n y, p r z e z d r u g i c h o d r z u c a n y, albo tłumaczony najrozmaiciej i najsprzeczniej. Nie mam tu na myśli jedynie punktów drobniejszych, szczegółów podrzędnych, ale i d o g m a t y u w a ż a n e z a p o d s t a w o w e, określające osobę i dzieło Chrystusa, naturę grzechu, powagę Pisma św. Wszyscy używając terminów jednakowych nadają im znaczenie odmienne: odkupienie, modlitwa, łaska, Duch Święty, Kościół, nawrócenie, zbawienie. Cała przestrzeń pomiędzy ultra luteranami i piuseistami graniczącymi z Rzymem, a krańcowo liberalnymi, jest zapełniona mnóstwem przekonań, odcieni, stopni, które prowadzą od jednego do drugiego bez przerwy, jednolicie. Zdawałoby się, że między temi ostatecznościami jest przepaść, ale przepaść ta jest wypełniona przez mnóstwo najrozmaitszych wierzeń. Wszystko to razem, ostateczności i łączące je stopnie pośrednie, tworzy ogromną całość zwaną protestantyzmem. Wszyscy należący do jakiejkolwiekbądź z tych sekt, kościołów i przekonań mianują się i są protestantami[1]).

[1]) Raport wielebnego Steeg'a ogłoszony został i n e x t e n s o w protestanckim dzienniku U c z e ń C h r y s t u s a (L e D i s c i p l e d u C h r i s t), 15 maja 1867.

Zwróćcie uwagę na to światłe zdanie, wyjęte z raportu oficjalnego, który był czytany w r. 1867 wobec osiemdziesięciu ministrów zebranych w Paryżu, a któremu nikt nie zaprzeczył. Nie zgodzono się tylko co do środków położenia końca owemu chaosowi. Wtedy to zaczęto wygłaszać najniedorzeczniejsze zdania w kwestji religji. Musiano się rozłączyć bez powzięcia żadnego postanowienia.

Najstraszniejszem zaś jest, że protestantyzm nie ma siły wyrzucić ze swego łona tych, którzy już do tego doszli. Nie ma siły i nie ma prawa. Ktoś nie wierzy w Trójcę, w Odkupienie, w grzech pierworodny, a pozostaje mimoto duchownym. Inny głosi wzgardę dogmatów i Pisma św., sprowadzając całą religję do ogólnikowego i nieokreślonego deizmu, a pozostaje urzędowym kaznodzieją. Inny odrzuca cudowne fakty Ewangelji, cuda, jakie czynił Chrystus, tłumaczy magnetyzmem a nawet kłamstwem, a jest mimo to członkiem konsystorza. W Holandji, na tysiąc ośmiuset duchownych, tysiąc pięciuset przyjęło publicznie Życie Chrystusa, Renan'a. Czyż można pojąć fakt taki; czy można sobie wyobrazić straszniejsze rozprzężenie kościoła, który ma się jeszcze za chrześcijański?

Pod grozą tego niebezpieczeństwa wszędzie istniejącego i wzrastającego z dniem każdym, powstał Związek ewangelicki, który ma za cel podtrzymywać protestantyzm przez porozumiewanie się co do prawd niezbędnych. Związek ten miał już cztery zjazdy, które możnaby prawie nazwać powszechnemi: w Londynie, Paryżu, Berlinie i Genewie. Otóż ile było zebrań, tyle przeróżnych wyznań wiary, dogmatów zaś coraz to mniej. W Genewie symbol wiary, mający dotąd dziewięć artykułów, zostaje ograniczony do czterech. W Paryżu jest już ich trzy tylko. Wzmiankuje się tam jeszcze nieśmiało o bóstwie Chrystusa, ale już wyrzucono Trójcę, grzech pierworodny, zadosyćuczynienie. Nareszcie na ostatnim zjeździe, w r. 1866, znika z wyznania wiary bóstwo Chrystusa

i Związek ewangelicki przestaje istnieć. Czyliż religja, która do tego doszła, jest jeszcze religją i czy nie stoi już jedną nogą w grobie?

## III.

Konanie religji tak samo, jak konanie jednostek, miewa ostatnie odblaski życia, jakgdyby jego przypływ. Gasnąca lampa ożywia się na chwilę i jaśnieje żywszym blaskiem zanim zgaśnie. Miał tę chwilę i protestantyzm. Nazywają to przebudzeniem. Stworzyło je pragnienie wyjścia z tej śmiertelnej martwoty starego protestantyzmu, z owej lodowatej obojętności, ze straszliwej pustki w sercach; pragnienie przebudzenia się i zbliżenia do Boga.

Mówi nam to głęboki autor. „Przebudzenie powstało z potrzeby wiary i z pewnego niejasnego poczucia, że w reformie takiej, jaką ją uczyniły trzy wieki rozkładu, niema już wiary. Powstała z potrzeby serc, łaknących trochę miłości Bożej; z poczucia, że ten niebieski balsam nie istnieje w pustych i mroźnych przestrzeniach protestantyzmu. Są przecież pomiędzy protestantami dusze szlachetne, ale cierpiące, które szukały tej ukrytej manny w swoich świątyniach, w swoich kazaniach, w swej komunji niemej i bez życia, owym złudnym mirażu, obiecującym im Chrystusa, ale nic im z Niego nie dającym. Ich religja nie wierzy, nie modli się: a one łakną wiary, modlitwy; ich religja nie kocha, nie poświęca się: a one pragną miłości, poświęcenia; pragną wyjść z siebie, odzyskać bądź co bądź trochę życia nadprzyrodzonego. Co mają począć? Ich religja nietylko, że nie ma mocy dać im ten pokarm nieskończoności, ale jest im jeszcze przeszkodą. Wyznanie wiary, kapłaństwo, obrzędy, kazania, wszystko utrzymuje je w sennem odrętwieniu; jest ciężkim i zimnym kamieniem grobowym, przygniatającym tę trochę życia, co jeszcze w nich nie zgasła; rozpaczliwie

odczuwają potrzebę zrzucenia tego głazu, który je dławi i wstrzymuje krążenie powietrza i krwi Chrześcijanizmu. Raz jeszcze, cóż mają począć? Oto stoją osamotnione, pozbawione pomocy słowa i kapłaństwa, symbolów i sakramentów; to też zwracają się na jedyną drogę, jaka im pozostaje, szukania Boga o własnych siłach, bez przewodnika i kompasu; idą też według oryginalnego wyrażenia Gasparin'a, „na schadzkę z Bogiem", ażeby w tem „bezpośredniem spotkaniu" prosić Go o światło i o miłość. I oto nagle mniemają się być wstrząśnięte, czasem przemienione raptownie, jak to widzimy w Ameryce, w Anglji; kiedy indziej znów powolniej, z większem stopniowaniem, jak we Francji, w Niemczech, gdzie przemaga zmysł racjonalny. To nawrócenie, powtórne narodzenie, drugie życie. Dusze owe mają się za przeniknione promieniami boskiej miłości, za oświecone światłem z góry; ogarnia je pobożność, ale pobożność bez kierunku, bez umiaru, bez równowagi, na podobieństwo owych prądów elektrycznych, które, o ile nie są rozprowadzone i miarkowane przez odpowiednie przyrządy, są bezsilne albo też niebezpiecznie"[1]).

P r z e b u d z e n i e powstało na początku tego stulecia. Największy jego rozkwit przypada na czas od r. 1830 do 1850; w tym przeciągu czasu było przejęte nadzieją mnóstwo serc w Niemczech, w Anglji, w Holandji; w Stanach Zjednoczonych, nawet we Francji, chociaż Francja protestancka była zawsze oporną temu ruchowi. Dzisiaj on już zagasł. Szaleństwa jednych, rozczarowania drugich, szyderstwa innych jeszcze, grób mu zgotowały. Zrodzony z wolnego badania, cierpiał na tę samą chorobę i tak samo skończyć musiał. A raczej był on tem samem

[1]) L'abbé Martin, chanoine de Belley, d e l'A v e n i r d u p r o t e s t a n t i s m e e t d u c a t h o l i c i s m e, p. 52: 1 vol in 8-vo. Paris, Tolra et Haton, 1869. Dzieło to doniosłe, które nie miało takiego uznania, jakiego było warte. Ma wszystko: logikę, naukę, głęboką obserwację — brak mu może tylko uroku, daru przyciągania czytelnika.

wolnem badaniem, które od dwóch wieków powstrzymywane i krępowane, zbudziło się jeszcze groźniejsze i po przebyciu w krótkim przeciągu czasu tych samych doświadczeń, miało zginąć tem prędzej, że było niezdolne do stworzenia sobie tych samych podpór.

Strauss przypatrując mu się bystro i ozięble je dysekując, znalazł w niem dwa prądy, które w niedalekiej przyszłości miały unieść całe życie, całą treść protestantyzmu. Jest w niem jeszcze prąd trzeci, którego on nie widział, a który przyśpieszy ruinę. Pierwszy prowadzi do iluminizmu, drugi do niewiary; trzeci pozbiera rozbitków i doprowadzi ich do katolicyzmu.

## IV.

O pierwszym wspomnę tylko dla pamięci. Iluminizm, to choroba ludzkiej duszy. Katolicyzm uspokaja ją, protestantyzm wzmaga. Jeżeli mam tylko Biblję dla sformułowania mojej wiary, a dla zrozumienia tejże Biblji bezpośrednie światło Ducha Świętego, któż mię powstrzyma od brania najdzikszych wybryków mojego umysłu za natchnienia niebieskie? Tak też było w pierwszych konwulsjach reformy: świat ujrzał anabaptystów, kwakrów, purytanów i masę innych sekt, jedne od drugich niedorzeczniejszych. Powtórzyło się to w pierwszej gorączce p r z e b u d z e n i a: pojawiły się raptowne nawrócenia, dziwne halucynacje, bezpośrednie działania bóstwa, nadzieje tysiącolecia, duchy pukające, wszystkie szaleństwa najabsolutniejszego iluminizmu. Widział to wszystko nasz wiek tak prozaiczny. Widział w Anglji, w Niemczech, w Holandji, w Stanach Zjednoczonych całe zastępy pietystów, braci morawskich, metodystów, mormonów. Widział w Ameryce tłumy biegnące na pustynię, naglone niby przez Ducha Św., a tam oddające się szaleństwom, okrywającym hańbą naturę ludzką. Jest w tym przedmiocie bardzo ciekawe dzieło, K a z n o d z i e j a l a s ó w

i zachodnich krajów Ameryki[1]). Śledzi się tam krok każdy jednego z największych apostołów tych zebrań obozowych, camps meetings, i jest się obecnym najdziwniejszym scenom szaleństwa i furji religijnej, opowiadanym przez głównego aktora, który zapewne w dobrej wierze, usiłuje przedstawić je jako cudowne skutki łaski. Dzieło to miało w Stanach Zjednoczonych trzydzieści dwa wydania; najlepszy to dowód rozmiarów, do jakich zło doszło.

Ale to jeszcze niewszystko. Nie stąd grozi największe niebezpieczeństwo współczesnemu protestantyzmowi. Iluminizm czepia się tylko niektórych dusz, bardziej egzaltowanych i to przemijająco. Ale wszystkim zagraża otchłań głębsza, z której wyjście jest trudniejsze: racjonalizm. Tyleż co i iluminizm logiczny, logiczniejszy nadeń nawet, jest ostatniem słowem przebudzenia w w. XIX, tak samo, jak był ostatniem słowem wolnego badania w w. XVI. Mam Pismo św.; a któż je czyta? Ja sam. Kto tłumaczy mi jego znaczenie? Ja sam. Jeżeli Duch Święty mi pomaga, kto rozpoznaje obecność we mnie tegoż Ducha? Także ja sam. Jakiemże światłem kieruje się ten mój sąd? Światłem mego własnego rozumu. Zatem mój rozum, to ostatnie słowo wszystkiego. Ale kiedy protestant odosobniony od wszelkiego wierzenia oficjalnego, od wszelkiej religji tradycyjnej, od Kościoła dziedzicznego, gardząc nawet tem wszystkiem, usiłuje odbudować olbrzymi gmach Chrześcijanizmu, potyka się na każdym kroku, stąpa poomacku; i po dłuższem albo krótszem przesileniu, niepokoju i dręczących wątpliwościach, znajduje spoczynek i senne odrętwienie w zupełnej obojętności i niewierze.

To jest nieuniknionem. Kobieta może wznieść się od wolnego badania do wyżyn mistycyzmu; mężczyzna — nigdy. A jeżeli w czasie pierwszej swojej młodości za-

---

[1]) Le Prêcheur des forêts et des contrées occidentales de l'Amérique, par Peter Cartwright.

błąka się tam na chwilę, to potem, wykolejony i zawiedziony, tem ciężej popada w obojętność i sceptycyzm.

To prawdziwy grób protestantyzmu. Zgadzają się na to jego wielcy ludzie; najinteligentniejsi duchowni jego przyznają, że zbliżają się do tego grobu, że są w nim już niemal pogrzebani. Przecież jeden z nich wydał broszurę pod tytułem: Konanie protestantyzmu. Między innemi mówi on tam: „Widzimy tyle symptomów śmierci w protestantyzmie francuskim, że nie możemy powstrzymać się od wniosku, iż doszedł on już do tego punktu w swoim rozwoju, od którego rozpoczyna się chylenie do upadku, i że koniec jego jest już niedaleki. Wybiła godzina śmierci dla Kościoła Kalwina“[1]). Duchowny anglikański w Ameryce, dr. Ewer, odzywa się w niemniej ponurym tonie. Wszakże obrał on za przedmiot swoich konferencji religijnych w Nowym Jorku Niepowodzenie protestantyzmu. Wykazuje tam przytaczając niezbite dowody, że „wszędzie, gdzie tylko zakrzewił się protestantyzm, nastąpiła najradykalniejsza niewiara, ponieważ jego podstawą zasadniczą jest nie co innego, jak tylko racjonalizm“[2]). W Niemczech doktor Brüchner, w trzech konferencjach mianych w Lipsku, mówił o chyleniu się do upadku protestantyzmu również dobitnie, jak pastor Ewer w Ameryce, albo Gasparin we Francji[3]).

Rozkład ten tak jest widoczny, że Schérer mógł powiedzieć: „Dni protestantyzmu, jako pozytywnego systemu, jako instytucji, są policzone“[4]). Prawda, że dodaje: „Jako zasada, jest on nieśmiertelny“. Tak, zaiste; nieśmiertelną w protestantyzmie jest zasada, czyli bunt, schizma, powstawanie przeciwko Bogu. To nie skończy się nigdy. Ale skończy się i chyli się już do upadku owa

---

[1]) Agonie du protestantisme français, p. 7 et 8.

[2]) Conférences religieuses, p. 302.

[3]) Trois Conférences sur l'Etat présent de l'Église, tenues à Leipzig, 1863.

[4]) Schérer, Mélanges de critique religieuse, p. 155.

specjalna forma buntu, mianująca się protestantyzmem. W dniu, kiedy przekroczył ostateczne granice błędu, kiedy nie mógł wyprzeć się deistów, racjonalistów, ateuszów przez się samego stworzonych, — przestał być religją. Stał się ciałem w rozkładzie. Rozkładając się wytworzył zabójczy pył, niewiarę, która przyśpieszy jego zgubę.

Niewszystkie jednakże dusze wpadają w iluminizm, który jest abdykacją rozumu, ani w niedowiarstwo, które jest abdykacją wiary. Jest ich bardzo wiele, i to najlepszych, które obawiają się tej podwójnej przepaści, a którym w ich środowisku ciasno jest i duszno. Wobec religijnej czczości pierwiastku reformy, wobec oschłości i chłodu jej nabożeństw, wobec drobnych okruchów dogmatów podawanych ich duszy spragnionej wiary, tęsknią do czegoś lepszego; ale gdzie mają to lepsze znaleźć? Są one jakby osoby zamknięte w ciasnej, bez światła i powietrza przestrzeni, które szukają wyjścia, otwierają to jedno, to drugie okno, ruszają się i niepokoją, aż dopóki nie odnajdą drzwi, a szczęśliwe i uspokojone nie wejdą w bezmierną i ożywczą atmosferę katolicyzmu.

Ruch ten powrotny już się rozpoczął, i w niektórych krajach doszedł znacznych rozmiarów.

Może zanadto pośpieszono się i łudzono, mówiąc o tak blizkiem nawróceniu się Anglji. Ale nikt nie zaprzeczy wspaniałym zdobyczom, jakie w niej uczynił i czyni co dzień Kościół katolicki. Na początku tego wieku Anglja i Szkocja miały tylko sześćdziesiąt tysięcy katolików. W r. 1821 liczba ich urosła do pięciuset tysięcy; w 1842, do dwóch miljonów; w 1870 — do trzech miljonów. Tak samo na początku tego stulecia było w Anglji tylko czterech wikarjuszów apostolskich. W r. 1840 musiano liczbę tę podwoić i było ich ośmiu. Zaś 1850 przywróconą została hierarchja: arcybiskup i dwunastu biskupów. Skądże ten wzrost katolicyzmu? Nie z zewnątrz, przez importowane obce żywioły; tej drogi Anglja nie ma. Z wnętrza oto jej samej; z samychże wnętrzności Kościoła anglikańskiego, przebudzonego przez naukę, przez bez-

stronne badanie, przez dobrą wiarę. Przewidział ten zwrot Bossuet, a co dziwniejsza, to że przewidział nawet sposób, w jaki on nastąpi. „Naród tak mądry, mówi on, nie pozostanie długo w tem zaślepieniu: jego poważanie dla Ojców Kościoła, jako też jego ciekawe i ustawiczne badania starożytności, powrócą go do nauki pierwszych wieków“[1]). Rzeczywiście tą drogą powraca Anglja do wiary swoich przodków. Nie inne jest źródło puseizmu i rytualizmu. Wiemy o nawróceniu się Newmana, Manninga, Fabera, Spencera, przywróconych wierze katolickiej przez studjowanie Ojców Kościoła; wiemy, jak za przykładem Newmana przyjęło katolicyzm stu pięćdziesięciu duchownych; wiemy o niezliczonych nawróceniach się we wszystkich klasach społeczeństwa, w łonie duchowieństwa protestanckiego, pomiędzy lordami Izby Parów i doktorami uniwersytetów, wywołanych przez słynne Traités pour les temps présents; wiemy, jak w mnóstwie kościołów protestanckich przywrócono wszystkie ceremonje Kościoła, które reforma odrzuciła była, a które odnaleziono w pismach Ojców Kościoła, przy sumiennem ich zgłębianiu, jako też w katakumbach. Taki ruch, na takich zasadzający się podstawach, prędzej lub później musi zrobić swoje. Można stawiać mu przeszkody, ale pokonać go nie można.

W Holandji zwrot ten jest niemniej wyraźny. Holandja dąży bardzo wyraźnie do jedności religijnej. Liczba katolików zwiększa się w niej codziennie przez nawrócenia. Przywrócono już tam hierarchję, i nie będąc prorokiem można jednakże oznaczyć czas, kiedy będzie zupełnie katolicką.

Niemniej pocieszający widok przedstawiają Stany Zjednoczone. W początku tego wieku był na całej tej niezmiernej przestrzeni tylko jeden biskup; dzisiaj jest ich osiemdziesięciu. Mnożą się tam kościoły; osiadają zakony; zgromadzają się sobory; liczba katolików bezustan-

[1]) Bossuet, Histoire des variations, liv. VII. Conciusion.

nie się wzmaga. Co jest tego przyczyną? Prawda, że w dużym stopniu emigracja katolicka z Irlandji i Niemiec. Ale zarazem i mnóstwo nawróceń, wywołanych przez ów protestantyzm amerykański, podkopywany jednocześnie przez niedorzeczności iluminizmu i wybryki niewiary.

Niemcy nie tak daleko zaszły na tej drodze. Po słynnych nawróceniach w początku naszego stulecia, takiego hrabiego Stolberga, poety Wernera, księcia Meklemburg-Szweryn, księcia Fryderyka Hesko-Darmsztadzkiego, historyka-filozofa Szlegla, nastąpiła cisza, i żadne już głośniejsze nawrócenie nie zaświadczyło o ich pracy wewnętrznej. Ruch ten wszelako istniał. Liczba katolików zwiększała się powoli. Obecnie zaś z jednej strony zdumiewająca śmiałość egzegezy biblijnej, obalającej wszystko; z drugiej s z c z ę ś l i w e prześladowanie kulturkampfu, uwydatniającego całą moc i spokój Kościoła katolickiego, przyśpieszą ten ruch, który opóźnić chwilowo może jedynie nienawiść do Francji.

Jednem słowem wszędzie widzimy najoczywistsze symptomy powrotu do katolicyzmu. Ani Anglja, ani Szwajcarja, ani Niemcy, ani Ameryka nie pozostaną protestanckimi. Zwrócą się całkowicie do katolicyzmu, albo do racjonalizmu. Dla spokoju Europy, dla bezpieczeństwa przyszłości, życzmy, aby niewiara nie odniosła zwycięstwa! Oby Bóg zachował nas, nasze dzieci i wnuki od nieszczęść tak strasznych!

## V.

Streśćmy co było powiedziane w tych dwóch rozdziałach.

Naprzód zobaczyliśmy, że pierwiastek zasadniczy protestantyzmu jest fermentem burzącym i rozkładającym wszelką społeczność religijną; że zaledwie został wprowadzony, zrodził tyle klęsk i nadużyć, iż sami założyciele protestantyzmu zatrzymali się zmieszani i przestra-

szeni; że nie wypierając się go głośno, na co nie pozwalałaby im miłość własna, po cichu go zahamowali i przytłumili, a kiedy to nie wystarczało, stopniowo wprowadzili na jego miejsce katolicką zasadę władzy, hierarchji, posłuszeństwa duchownym. Dziewięć dziesiątych protestantów żyje dzisiaj pod tym względem p o k a t o l i c k u. Nie korzystają z prawa wolnego badania; nie myślą o uformowaniu sobie swojej osobistej religji przez czytanie Pisma św.; poprostu są posłuszni swojemu ministrowi. I tylko dzięki temu nielogicznemu przedstawieniu, protestantyzm przetrwał do dziś dnia. Lecz czegoż warta religja, żyjąca nie mocą swojej zasady, ale pomimo niej, — powstrzymująca ją i sprowadzająca do zera o ile tylko może, — a czepiająca się zasady innej, przeciwnej, z powodu której odłączyła się, której się wyparła, którą okryła wzgardą.

Potem ujrzeliśmy, że, aby lepiej zapobiec zgubnym skutkom wolnego badania, protestantyzm wezwał na pomoc władzę polityczną. Nie poprzestał na wejściu z tą ostatnią w taki stosunek, iżby zachowując swą niepodległość mógł mieć od niej tylko opiekę: przeciwnie, on ogłosił panujących za głowy Kościoła, za „panów religji, tak samo — jak państwa" i za cenę tego służalstwa użył ich władzy na podparcie walącego się gmachu swojego.

Dzięki tym dwom zabiegom protestantyzm z ową sztuczną jednością wewnątrz, a podporami i żelaznemi wiązadłami zewnątrz, przetrwał jako tako wiek XVII i XVIII. Ale to nie może trwać dłużej. Z jednej strony wiek XIX obala owe, dotychczas podtrzymujące protestancką religję, podpory. Nie cierpi on religji państwowych. Rozluźnia coraz bardziej węzły, łączące Kościoły z władzą doczesną. Ukazała się wolność prasy. Wolne badanie nie ma więc już żadnych hamulców, a rozprzężenie religijne szerzy się z całą siłą. Z drugiej strony, klęski rewolucyjne i rozwój cywilizacji napełniły świat duszami tkliwemi, głębokiemi, zmuszonemi żyć życiem gorzkiem, albo poziomem; sercami smutnemi, rozczaro-

wanemi, spragnionemi pociech nadziemskich, a nie znajdującemi ich w protestantyzmie. Nie wystarcza on im. Wymykają się mu na wszystkie strony.

Bossuet omylił się jedynie co do daty. Spełnienie się jego przepowiedni opóźniło się tylko o dwa wieki, ale teraz się zbliża. Protestantyzm kona.

Oto odpowiedź na pierwszą część zagadnienia, jakieśmy postawili: W jaki sposób protestantyzm trwa jeszcze i nie został strawiony przez swoją zasadę.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

**Stan protestantyzmu polityczny i społeczny. — Wzrost narodów protestanckich i mniemane chylenie się do upadku narodów katolickich.**

Weźmy się teraz do drugiej części zagadnienia.

Przepowiadano, że zasada wolnego badania, zgubna dla każdego społeczeństwa religijnego, będzie też zgubną i dla społeczeństw politycznych. Narody protestanckie, toczone przez tego raka, miały się rozsypać w proch i upadkiem swoim jeszcze bardziej uwydatnić niewzruszoność społeczeństw katolickich, które ich zasada władzy darzyła pokojem i trwałością. Tymczasem, mówią teraz, oto rzeczy dzieją się całkiem przeciwnie. Narody katolickie, Francja, Włochy, Hiszpanja, Austrja, chwieją się w swoich podstawach, podkopywane przez rewolucje, i zdają się nieuchronnie podążać do upadku; przeciwnie, narody protestanckie, Anglja, Niemcy, Stany Zjednoczone, z każdym dniem wzrastają i zdają się, pomimo swojej zasady, dosięgać szczytu potęgi i panowania. Cóż to znaczy? Miałożby to być prawdą, że katolicyzm, odrywając zanadto ludzi od ziemi, odejmuje hart duszom i doprowadza narody do zniewieściałości? Ale w takim razie, jakże mógłby być prawdą? I odwrotnie, miałożby to być prawdą, że protestantyzm przyniósł ludzkości nowy żywioł wzrostu i wielkości politycznej i społecznej? Ale w takim razie, jakże mógłby być błędem? Mamyż przyjąć jako fakt niezaprzeczalny, wzrost narodów i rządów protestanckich, a upadek coraz to głębszy narodów i rządów katolickich? W tem leży kwestja. Nie mamy potrzeby dowodzić, że

kwestja to pierwszorzędnej wagi. Rozpatrzmy ją i starajmy się dotrzeć do głębi śmiało i z dobrą wiarą.

W tym rozdziale postaramy się zbadać zagadnienie rzekomego upadku narodów i rządów katolickich. W drugim przejdziemy do wzrostu narodów i rządów protestanckich.

## I.

Musimy naprzód przyjąć jako pewnik nie ulegający zaprzeczeniu, że ziemia nie miała nigdy ras większych, ani pod żadnym względem piękniejszych, jak rasy łacińskie; a trzeba dodać, że do tej doskonałości doszły one pod wszechpotężnym wpływem Kościoła katolickiego. Z tego zmieszania się narodów barbarzyńskich i szczątków państwa rzymskiego, zniewieściałości i zepsucia z jednej strony, a brutalności i dzikiej energji z drugiej, Kościół wyprowadził jak Bóg z nicości, owe piękne całokształty, zwane Francją, Włochami, Hiszpanją, Austrją. Całemi stuleciami prowadził ich wychowanie, poprawiał tu jedną wadę, tam inną, przeciwną; tu lekkomyślność, ówdzie słabość serca i zmysłów, gdzie indziej wyniosłość i zuchwałość słowa; wszędzie zaś gwałtowność; wszczepiając im łagodność, pokorę, posłuszeństwo, wybaczanie uraz, ducha ofiary; podnosząc je stopniowo do zamiłowania rzeczy nadziemskich, do czci ideału. Spójrzcie, czem stały się te narody pod owym błogosławionym wpływem. Jaki naród starożytny przewyższył je? Jaki naród protestancki im dorównał? Zwiedźcie miasta i wioski Hiszpanji. Przypatrzcie się arcydziełom Murilla, Zurbarana, boskiego Velasqueza; czytajcie Calderona, Serwantesa, św. Jana od Krzyża, św. Teresę. Co za wspaniały duch we wszystkich tych przejawach: w malowidle, śpiewie, piśmie, śmiechu, modlitwie! A co za duma w życiu prywatnem, jaka odwaga na polach bitew! A przy tem wszystkiem co za współczucie dla maluczkich, ubogich, nieszczęśli-

wych! Gdzie człowiek, nawet ulepszony przez Ewangelję, nawet kierowany, kształcony przez Kościół, był większym, był istotniej i doskonalej pięknym?

Może kto powie na to: we Włoszech. Prawda, i tam był on cudownym. Z tego starego cesarstwa rzymskiego, wydającego już tylko dzieła upadku i zepsucia, oto powstają dzieła młode, tchnące duchem nowym, cudowne objawienia dusz, których świat jeszcze nie widział. Czytajcie Boską Komedję Dantego, Wyzwoloną Jerozolimę Tassa, poezje Petrarki. Przypatrzcie się dziełom błogosławionego Angelica de Fiesole, Michała Anioła, Rafaela, Leonarda da Vinci. Czyż nie czujecie, że duch chrześcijański przenika te wszystkie wielkie dusze; że nic w nich nie zepsuł, nie odarł z uroku; że dał im zadziwiającą wzniosłość, wielkość, prostotę i siłę? Nie poniżam wcale starożytności. Grecy są naszymi mistrzami co do formy; ale to nie ulega wątpliwości, że nie przeczuwali nawet ideału tak wzniosłego, tak subtelnej delikatności, tkliwości, tak czystej siły, idącej w parze z uczuciem, wogóle piękności tak wspaniałej.

A cóż nam rzec o Francji? Mówiłem już o niej tyle, że nie będę się powtarzał. W zakresie świętości wydała ona dwie istoty skończenie piękne: świętego Ludwika i Joannę d'Arc; w zakresie wymowy Bossueta; w filozofji — Pascala i Kartezjusza; w poezji — Corneille'a i Racine'a; w miłosierdziu — świętego Wincentego à Paulo. Złączcie myślą wszystkie te dary w jednym człowieku, a będziecie mieli człowieka idealnego, najwyższy szczyt, jaki ludzkość może osiągnąć. Takiego człowieka idealnego nie możecie utworzyć w wieku Peryklesa ani Augusta. Nie utworzycie go również pomiędzy uczniami Lutra, Kalwina, ani Henryka VIII. Będzie tam zawsze brakło pewnych rysów i to najpiękniejszych.

A zwróćcie też uwagę na to, że wszystkie te poematy, pienia, wspaniałe obrazy, wszystkie te dzieła przejęte duchem tak czystym, wzniosłym, opiewają, wysławiają Ewangelję, jej naukę, moralność, święty wpływ Ko-

ścioła katolickiego. A nadto ci malarze, poeci, pisarze, to prawie wszystko kapłani, zakonnicy, chrześcijanie całą duszą, często święci: jakgdyby Bóg chciał był wyraźnie pokazać, że cały ten rozkwit genjuszu zawdzięczał swoje panowanie Kościołowi, matce nowożytnych narodów, który narody te trzymał jeszcze w objęciu, kiedy wydawały owe wszystkie arcydzieła.

A nie zapominajmy też, że serce u tych wszystkich narodów stało na wysokości umysłu. Nie mają już one niewolnictwa, ani dzieci skazanych na zatracenie, ani starców wzgardzonych i opuszczonych, przeciwnie: wszędzie widzimy ogromną liczbę wszelkiego rodzaju szpitali i przytułków dla najprzeróżniejszych chorób i niedoli, tak w swoim rodzaju pięknych i tak świadczących o wzniosłości dusz, jak arcydzieła Rafaela albo Dantego.

A przy całej tej miłości dla nieszczęśliwych, dochodzącej aż do całowania nóg ubogiego, żadnej zniewieściałości; przeciwnie, dzielność męska, największe dzieła rycerskie, natchnione wojenne pienia. Nie zapoznają Maratonu, Salaminy ani Termopilów. Skłaniamy głowę przed rycerzami, którzy staczali te wielkie bitwy. Ale bohaterowie z pod Tolbiac, Bouvines, Taillebourg, Poitiers nie ustępują bohaterom Grecji i Rzymu. Mają równą waleczność, a prócz niej jeszcze tkliwość serca, tamtym nieznaną.

To też bez względu na to, czem jest rasa łacińska obecnie, wielbię w niej jedno z największych dzieł chrystjanizmu. Rzymianie podbili świat. Grecy przez czas jakiś go zachwycali. Narody rasy łacińskiej, bynajmniej nie ustępując pierwszym co do siły, ani drugim co do rozwoju umysłowego, dodały do tego jeszcze wzniosłość ducha, delikatność uczuć, czystość serca i obyczajów, miłość bliźniego — jednem słowem — piękność zupełnie odrębną, której nigdy nie przeczuwała starożytność.

## II.

Mówią, że rasy łacińskie znajdują się w stanie zupełnego upadku. Nie przyznaję tego bynajmniej i postaram się zaraz zdanie moje udowodnić. Człowiek ciężko chory nie jest jeszcze przeto w stanie upadku, chociaż życie jego zagrożone. Ale zanim przypatrzymy się owemu rzekomemu upadkowi, odpowiedzmy na jedno pytanie: Jeżeli to nawet jest upadek, kiedyż on się zjawił? Czy podczas największego rozwoju w narodach tych życia katolickiego, czy przeciwnie, przy odstępstwie ich od wiary? Dwa wieki temu narodu te, wychowańcy Kościoła, pod wpływem jakiegoś obłędu obróciły się przeciwko niemu. Ich rządy poczęły zazdrościć mu władzy, krępować go, sprzeciwiać mu się na każdym kroku. Przyjęły jako pewnik, że dopiero wtedy będą wielkie, potężne, wolne, szczęśliwe, zdolne do postępu, kiedy Kościół nie będzie się mieszał, w ich interesy. Posunęły się nawet dalej. Pierwsza Hiszpanja wygnała wszystkich swoich zakonników. Francja w szale gilotynowała swoich kapłanów i biskupów, obalała krzyże, paliła kościoły, wygnała całkowicie religję. Włochy, obałamucone i ośmielone przez te przykłady, powstały przeciwko papieżom, a zapominając o zaszczycie, że są miejscem ich pobytu, siedliskiem błogosławieństwa, jakie przez nich na świat spływa, odarły ich ze wszystkiego i doprowadziły do ciężkiego położenia więźniów w ich własnej siedzibie. Austrja poszła tą samą drogą, a chociaż w sposób mniej napozór gwałtowny, skrępowała religję i wygnała Boga ze swoich obyczajów bardziej może wyrafinowanie, niźli wszelkie inne narody. I w tych oto warunkach mówią o osłabnięciu ras łacińskich! Cóż w tem dziwnego? Dziwnem byłoby, gdyby było przeciwnie. Wszakże te rasy przez Kościół zostały stworzone, jemu zawdzięczały całą swoją wielkość w przeszłości, a dzisiaj, kiedy go odtrącają, kiedy odstępują od swojej wiary, kiedy obrzucają Kościół drwinami i obelgami, miałyby wzrastać! To właśnie byłoby nie do po-

jęcia. Słabną one, więdną, tracą panowanie nad światem, bledną tak widocznie, że sami katolicy mówią o ich upadku; przebieg to logiczny i najlepsze potwierdzenie twórczej i wychowawczej potęgi Kościoła względem narodów skoro, ludy już wykształcone, jak tylko odrzucą jego władzę, tracą wszelką moc i siłę.

Zwróćcie też uwagę na czysto opatrznościową cechę tego osłabnięcia. Osłabły u nas łacińskie rządy. Upadła ich potęga polityczna i społeczna. A któż to powstał przeciwko Kościołowi? Daleko więcej rządy, aniżeli narody. Z jakiej dziedziny najenergiczniej Kościół wygnano? Z dziedziny polityki. Jednostki mogą jeszcze mieć religję, wyznawać Boga. Rządy są całkiem bezwyznaniowe i chlubią się tem. I właśnie one to są w całkowitem rozprzężeniu. Jak to się wszystko dobrze ze sobą wiąże! Jak we wszystkiem przejawia się najwyższa i wszechpotężna logika, która jest nie czem innem, jak ręką Boga!

Pewnego dnia, kiedy przyjęty na audjencji prywatnej przez Ojca św., Piusa IX, mówiłem z nim o Francji (o czemże bliższem mojemu sercu mógłbym z nim mówić?), wyłuszczając przed nim moje obawy i nadzieje, powiedział mi: „Wy Francuzi macie chorobę polityczną. Pod wszelkiemi innemi względami jesteście zupełnie zdrowi: wasza religja jest kwitnąca, miłosierdzie — wzniosłe; ale cierpicie na chorobę polityczną"! Po chwili zaś milczenia dodał: „Wiecież, czego wam potrzeba do uzdrowienia? Oto drugiego Karola Wielkiego". Zapamiętałem te słowa, w których jest wielkie światło. Niech tylko Bóg w łasce swojej ześle nam człowieka genjalnego, człowieka głęboko wierzącego, a przytem energicznego i umiejącego rządzić, — i niechaj ten człowiek przywróci Francji jej przyrodzoną atmosferę — a podźwignie się ona o własnej sile, jak owe kłosy zboża zgięte przez burzę, a pod ożywczem promieni słonecznych działaniem powstające zwolna, ale niechybnie.

Nie upadkiem jest tedy stan obecny ras łacińskich, tylko chwilowem osłabieniem, które wynika z ich odstępstwa od wiary, a które nie jest nieuleczalne.

## III.

Jest wszelako i czemś więcej, i ktoby w tym obecnym stanie widział li tylko karę za nasze odstępstwo, patrzyłby na rzeczy niedość głęboko. Niezależnie od owego społecznego i politycznego osłabienia, będącego słuszną karą za ich odwrócenie się od wiary, rasy łacińskie są chore; przebywają przesilenie. Ale pośpieszmy dodać, że owa choroba, owo ostre przesilenie, nietylko, że nie świadczy o ich upadku, ale chyba przeciwnie — o ich wielkości. Rasy te pierwsze przybyły do celu. Pierwsze dojrzały. Pierwej, aniżeli wszystkie inne, przeczuły wzniosły ideał społeczności chrześcijańskiej. I było to słusznem, ponieważ bardziej od innych były pod cywilizującą opieką Kościoła. Tylko, że na nieszczęście oświecone światłem, odtrącały rękę, która trzymała pochodnię; buntowały się przeciw Kościołowi, który objawił im ten ideał i sam jeden tylko mógł im do osiągnięcia go dopomóc; więc też nie mogą go urzeczywistnić. Stoi ten ideał przed ich oczami, gdyż skoro się go raz ujrzało, nie można o nim zapomnieć; starają się go osiągnąć, jest bowiem piękny i porywa je swoim urokiem; ale albo nie mogą wznieść się doń przez słabość, albo zapędzają się zbyt daleko, i stąd pochodzi obecne przesilenie.

W ogólności narody cywilizacyjne, noszące w swojem łonie wielkie społeczne i polityczne zagadnienia, podlegają prawie zawsze licznym niebezpieczeństwom. Nie nosi się ognia bezkarnie. Judea, Grecja, Włochy z czasów Odrodzenia, wywarły cały swój wpływ na świat tylko kosztem własnej wielkości. Jakże tedy Francja mogłaby uniknąć wewnętrznych zamieszek, dotykając niebezpiecznych zagadnień równości cywilnej i politycznej,

wolności, braterstwa ludów? Jak mogłaby przejść spokojnie od upadających już w części dawnych form społecznych do nowych, które ledwie przeczuwa? Takie przejścia zagrażają życiu. A o ileż niebezpieczeństwo było bardziej groźnem, skoro dążeniu do urzeczywistnienia tego wspaniałego, przez inne narody jeszcze nie przeczutego ideału, towarzyszyło gwałtowne oderwanie się od Kościoła, któremu ideał ten zawdzięczała. Wszystko trzeba okupić; tak genjusz, jak i błędy. Nielogiczność mści się sama przez się. To druga przyczyna przejściowej słabości ras łacińskich, drugi powód przebywanego przez nie obecnie przesilenia.

Jest jeszcze i trzeci powód. Kiedy wzniosły ideał przez dziewiętnaście stuleci przygotowywany i dojrzewający w ukryciu, ukazał się nareszcie, uchwycili go i wypaczyli sofiści antychrześcijańscy, trzymający Francję pod swoim urokiem. Podczas, gdy ten ideał pochodzi z nieba, jako słodki owoc Ewangelji, i może być urzeczywistniony tylko siłami boskiemi, oni go przedstawili jako pochodzący z ziemi, jako powstający w sercu człowieka, nawet człowieka będącego w rozterce z Kościołem i mogący być przezeń całkowicie urzeczywistnionym. Odrzucili z pogardą wszystkie tamy, jakie Kościół, tak przezorny i tak znający ludzkie serce, wzniósł naokoło tego ideału, ażeby jego urzeczywistnienie nie stało się klęską; zepsuli go przesadą i pchnęli Francję, zachwyconą, pełną zapału, ufną, że nadeszło panowanie prawa, sprawiedliwości, wolności, braterstwa ludów, — pchnęli ją na poszukiwanie ideału, zaiste wspaniałego, boskiego, ale przesadzonego i przez to samo niemożebnego do urzeczywistnienia. W okolicznościach tak trudnych, stare doświadczenie Kościoła i jego władza nie byłyby wcale zbyteczne. Tymczasem po odrzuceniu tej ostoi cóż pozostało? Mrzonka, utopja, fałszywe zasady i ich zgubne skutki, wzburzone i rozpasane namiętności; tak, że cel został w części chybiony, nietylko przez słabość, anemję, przez brak boskiej siły, którą jeden tylko Bóg dać może ludom przodującym

i cywilizującym inne, ale przez nadużycia i gwałty towarzyszące z konieczności uganianiu się za mrzonką i chimerą.

To jest prawdziwy stan ras łacińskich. Nie upadają one bynajmniej; a gdyby i tak było, nie możnaby tego przypisać Kościołowi, bo dopóki nie wyłamywały się z pod niego, stały bardzo wysoko, a właśnie rozdział z nim sprowadził takie obniżenie ich wartości, że nazwano to upadkiem. To tylko choroba. Zgadzają się na to wszyscy obserwatorowie. „Narody te zostały zatrute", mówi Donoso Cortès. Le Play: „Naruszyły którąś ze społecznych podstaw, dających szczęście narodu". Zaś Renan: „Być może, iż w naszej gorączce rewolucjnej zbyt daleko posunęliśmy się z amputacjami; że pragnąc usunąć chorobliwe tylko narośnie, naruszyliśmy jakiś podstawowy organ życia, — tak że owo uporczywe niedomaganie może mieć przyczynę w jakiemś ważnem uszkodzeniu wewnętrznem".

Oto jest stan prawdziwy, który na szczęście nie jest rozpaczliwy; rasy łacińskie bowiem, chociaż osłabione a nawet chore, mają jeszcze takie życie, taką rzutkość i płodność, jakich nie zaznają nigdy narody protestanckie.

## IV.

Tak jest, nawet osłabłe, nawet zmniejszone, zatrute przez sofistów i targane konwulsjami rewolucji, mają rasy łacińskie więcej życia i lepszego, aniżeli narody protestanckie; przewyższają je o tysiąc razy ze stanowiska prawdziwej cywilizacji. Zaraz to zobaczymy. Dusza ich jest piękniejszą, mniej wysuszoną przez egoizm. Bezustanku rozkwitają w nich wszystkie cuda w porządku moralnym, wszystkie dzieła miłosierdzia i najróżnorodniejsze przejawy poświęcenia. Wydają one bezustannie zastępy dziewic oderwanych od rzeczy ziemskich, umarłych światu, a oddających się kojeniu wszelkich cierpień. Z pomię-

dzy ludzi tak zimnych, tak samolubnych, tak niezdolnych do poświęcania się, powołują codziennie całe armje apostołów, misjonarzy, którzy roznoszą po swoich krajach i wszędzie, aż do krańców świata, wiarę i cywilizację, dając je tym nawet ludom, które polityka tegoczesna umiała tylko zmusić z bronią w ręku do krycia się po lasach. A na całej przestrzeni Francji, Włoch, Belgji, Hiszpanji, katolicy, opuszczeni przez swoje rządy, oddają na usługi bezustannie powstających dzieł miłosierdzia czas, pieniądze, trud osobisty, a kiedy okoliczności tego żądają, i krew swoją. Widzieliśmy już i to ostatnie. W dziewiętnastem stuleciu widzieliśmy reminiscencję wojen krzyżowych; widzieliśmy mężów opuszczających swe domowe ogniska i majątki, narażających na niebezpieczeństwo życie dla obrony Kościoła i Papieża, i bynajmniej ofiary swej nie żałujących.

Prawda, że są to wszystko objawy życia jedynie religijnego. Ale któż nie wie, że tylko życie religijne podtrzymuje życie narodów; że tylko zasady społeczne, wcielone w ich prawa i obyczaje, nie dają im zginąć? Kościół, wpośród największych zamieszek rewolucyjnych, nie przestawał głosić ich i nauczać; nigdy narody owe, nawet wśród największych swych wstrząśnień, nie przestawały w nie wierzyć, zachowywać je i bronić. Zawsze te święte zasady jaśniały w narodach katolickich, jako zapowiedź lepszej przyszłości. To też naprzekór złowróżbnym przepowiedniom, wierzę w nowy rozkwit ras łacińskich. Są one chore; cierpią wskutek zatrucia; ale noszą w sobie samych antydot.

W jednym tylko razie rasy te zginęłyby nieodwołalnie: w razie ostatecznego zerwania z Kościołem, odstępstwa nie już rządów, ale samych narodów. Otóż to zerwanie jest według mnie niemożliwem. Chociaż wyrzucona z rządów i ze zgromadzeń politycznych zakorzeniona jest religja w obyczajach i zwyczajach narodów. Francja, najbardziej napozór zarażona niewiarą, wydaje jeszcze pięćdziesiąt tysięcy księży, dwieście tysięcy za-

konników i zakonnic i tyle najrozmaitszych i wszędzie rozpowszechnionych dzieł miłosierdzia, że nuży to już samych katolików. A i cóżby zastąpiło dla ras tych katolicyzm? Może protestancka religja? Ależ Włochy, Hiszpanja, Francja, Austrja wstręt mają do zimna i martwoty tego wyznania. Może niewiara, materjalizm, ateizm? Tego chwycą się niektóre jednostki, ale narody całe potrzebują religji, nie mogą się bez niej obejść.

Możemy tedy być pewni, że prędzej lub później narody łacińskie, nawrócone przez nieszczęście, pogodzą się z religją, a pozbywszy się wszystkiego, co je w błąd wprowadzało, ocenią należycie boże królestwo wolności i sprawiedliwości w społeczności chrześcijańskiej, i z całym zapałem oddadzą się Kościołowi katolickiemu, który może im dopomóc je osiągnąć, tak jak dopomógł poznać.

A zanim ten czas nadejdzie, pozostaną pomimo odniesionych ran, narodami idealnemi, rozkochanemi w poezji i sztuce, w dobru i pięknie, szlachetnemi a uczuciowemi, ozdobą świata i jedyną nadzieją prawdziwej cywilizacji.

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

**Stan protestantyzmu polityczny i społeczny. — Wzrost narodów protestanckich i mniemane chylenie się do upadku narodów katolickich.**

(Ciąg dalszy.)

Nie można zatem mówić o upadku ras katolickich. A chociażby był on prawdą, to jako spółczesny, nie z najwyższym rozkwitem ducha katolickiego w łonie tych narodów, ale przeciwnie z jedną z tych chwil nieszczęsnych, kiedy rasy łacińskie, ogarnięte szałem, wytężały swe siły na wygnanie religji ze wszystkich swoich cywilnych i politycznych instytucyj, — upadek ten stanowiłby jeden więcej dowód, jaką Kościół posiada moc wznoszenia narodów do istotnej wielkości. Ale nie, powtarzam; upadku niema; jest niedomaganie, choroba; są konwulsje i omdlenia, logiczny wynik odstępstwa i kara za takowe.

Spójrzmy teraz na tak zwany wzrost narodów i rządów protestanckich, i zobaczmy, czy i tutaj nie łudzą nas pozory i szumne frazesy.

### I.

Postawmy przedewszystkiem jako zasadę, że bez względu na to, jakim jest wpływ prawdy i błędu religijnego na dany naród, wpływ ten niezawsze może wywierać się bez przeszkody. Są czasy, kiedy prawda, jest chwilowo stłumiona i bezpłodna A są też inne, kiedy przeciwnie, błąd religijny, który musi sprowadzić rozkład

narodu, zetrzeć w proch podstawy jego istnienia, jest jakgdyby czemś zahamowany. Jego naturalne wyniki pozostają w zawieszeniu. A wtedy naród noszący w sobie zaród zguby, może nawet stać czas jakiś wysoko. Weźmy jako wybitny tego przykład, islamizm.

Każdy wykształcony człowiek wie, że w wieku X i XI świat zwątpił o przyszłości narodów katolickich. Jedna część świata chrześcijańskiego popadła pod jarzmo mahometańskie, nad drugą zaciężyła schizma Focjusza. Stan tego, co pozostawało, był też dalekim od stanu kwitnienia. Karność Kościoła rozluźniła się w zamieszkach wojen domowych, znikły tak nauka jak i cnota; a na stolicy Piotrowej, którą intryganci wydzierali sobie nawzajem, widziano wielkich zbrodniarzy, albo tragiczne ofiary. W przeciwstawieniu temu straszliwemu upadkowi, wzrostała młoda i świetna cywilizacja arabska. Co mogli myśleć sobie chrześcijanie, widząc wybrzeża Afryki i Azji usiane szkołami, akademjami, bibljotekami, tysiącem pomników stwarzanych codzień przez zwycięski islamizm? Arabowie tłumaczyli Arystotelesa, pisali kroniki, kreślili geograficzne karty, uprawiali medycynę, chemję, algebrę, sztuki piękne, a zwycięski ich oręż przerażał Włochy i groził Rzymowi. Co za widok? I przez lat dwieście trzeba go było znosić! Zaiste upadek był straszny, i z pewnością nigdy głośniej nie mówiono o upadku narodów katolickich, a wznoszeniu się narodów mahometańskich. A jednakże były to tylko pozory. Owa świetna cywilizacja opierała się na fałszu. Przez jakąś chwilę duch gorący tych ras, ich rzutność, upojenie zwycięstwem, bogactwo ich wyobraźni, pokonały i przytłumiły wszystkie złe pierwiastki, kryjące się w ich łonie. Ale niezadługo te szkaradne pierwiastki musiały się przejawić, niosąc swe zgubne owoce; i podczas kiedy Europa katolicka, po przebyciu tego przesilenia, wydawała wiek świętego Bernarda i świętego Ludwika, cywilizacja mahometańska, zostawiona sobie samej, miała niebawem zostać wstydem i zakałą świata cywilizowanego. Nie nosi się bezkarnie

raka w piersi. Staje się on wkońcu panem, i pomimo całego genjuszu, całej wymowy, całej poezji, całego wojowniczego zapału, obala on chorego i sprowadza zwolna śmierć.

Weźmy drugi przykład. Przenieśmy się w środek wieku XVII, w rok 1640, na lat dziesięć przed traktatem Westfalskim. Protestantyzm zdawał się zwyciężonym. Anglja była szarpana przez rewolucję religijną i polityczną, która miała zawieść Karola I na rusztowanie. Niemcy od lat trzydziestu trapiła nieubłagana wojna domowa; i protestantyzm byłby zginął, gdyby obałamucona przez Richelieu Francja nie wyciągnęła doń ręki. Był to czas, kiedy rasy łacińskie wchodziły w swój najświetniejszy okres; kiedy Francja stanowczo zyskiwała przewagę w całej cywilizowanej Europie; kiedy Hiszpanja przebłyskiwała jeszcze odbiciem świetności Izabeli katolickiej; kiedy Portugalja śmiałością i wytrwałością doszła do najwyższej swojej potęgi morskiej i kolonjalnej; kiedy Polska swoim zwycięskim mieczem osłaniała Europę; kiedy święte cesarstwo rzymskie, zagrożone przez Francję, odgrywało jeszcze wielką rolę; kiedy wszędzie rozkwitały sztuki piękne nauki i literatura. Gdybyśmy wnioskowali z tych faktów o prawdzie katolicyzmu, byłoby to tak samo niesłusznem, jak dzisiejsze wnioskowanie o prawdzie protestantyzmu z wzrostu Anglji, Prus i Stanów Zjednoczonych. Religja jest dla narodów wielkim warunkiem wzrostu, ale nie jest jedynym, i potrzeba jeszcze brać w rachubę wiele innych żywiołów.

## II.

Po tych wstępnych uwagach, przejdźmy do tak zwanego wzrostu narodów protestanckich. Zapewne, szaleństwem byłoby przeczyć ich obecnej wielkości. Im więcej przypatrujemy się naprzykład Anglji, owemu narodowi tak nielicznemu, osadzonemu na ciasnej przestrzeni, a mi-

moto rozciągającemu swoje panowanie nad stu siedemdziesięciu czterema miljonami poddanych i wasali, rozrzuconymi na całej kuli ziemskiej, tem bardziej zdumiewa nas ów cud równowagi i ten rozum, charakter i siła woli, bez których równowaga taka nie byłaby możebną. Tak samo nie ulega wątpliwości wielkość Stanów Zjednoczonych. Siła, która skupiła tych różnoplemiennych i różnojęzycznych wychodźców na przestrzeniach niezmierzonych i stworzyła im takie stanowisko wpośród narodów, jest jedną z największych sił kiedykolwiek w historji zapisanych. To samo musimy powiedzieć o Prusach, chociaż ich początek tak niedawny, ich wzrost tak szybki, który zdaje się być dziełem jednego człowieka i który może go nie przeżyje, pozwalają wnosić, czem będą one jutro. Ale uznając tę wielkość narodów protestanckich, i to w zakresie jak najszerszym, mamy przytem wiele uwag do zrobienia.

Naprzód to, że wielkość ową przygotowało nie co innego, jeno sam Kościół. Przez tysiąc lat Anglja była katolicką. Protestancką jest dopiero od trzech stuleci. Przez ciąg owego tysiąca lat ukształtowała się ona, nabyła tych rzadkich i cennych przymiotów, które ją czynią tak wielką; potworzyła swoje godne naśladowania instytucje: parlament, sąd przysięgłych, uniwersytety, swobody publiczne, które ją dzisiaj zachowują i bronią. Najpopularniejsi z pomiędzy jej królów, Alfred, Edward Wyznawca, Ryszard Lwie Serce, Edward III, Henryk V, to królowie katoliccy. Najpiękniejsze jej zabytki, katedry, kościoły, szkoły, zamki, które z takim kultem utrzymuje i odnawia, to dzieło pokoleń katolickich. Same nazwy takich kolegjów: jak św. Magdaleny, św. Jana, św. Albana, św. Edwarda, Corpus Christi w Oksfordzie, Corpus Christi w Cambridge, All'souls czyli Dusz czyśćcowych i t. p., świadczą o starodawnej wierze tego kraju. Dodajmy, że żaden naród nie wydał więcej świętych; wszakże Anglja zasłużyła sobie kiedyś na miano wyspy Świętych; co świadczy o wpływie, jaki Kościół wy-

wierał na nią przez te tysiące lat. Wśród tylu danych, przyczyniających się do jej chwały i potęgi, znajdźcie cośkolwiek, coby było protestanckiem, wyłącznie protestanckiem: nadaremnie szukalibyście. Wszystko, co ma ona wielkiego, szlachetnego, liberalnego, ma od Kościoła. To samo trzeba powiedzieć i o Stanach Zjednoczonych, które, oprócz naturalnie niektórych różnic, są jakby dalszym ciągiem Anglji. Co do Niemiec, na tych niemniej głęboko odbiło się piętno Kościoła katolickiego. Prusy były lennością zakonu Krzyżackiego. Prawie wszyscy ich panowie byli biskupami, a jak mówi stare nadreńskie przysłowie, dobrze było żyć pod ich pastorałem. A jeżeli jest jeszcze w tych rasach germańskich pewna twardość, ponieważ Kościół nie miał czasu dokończyć w nich swego zadania, to przy wrodzonej szorstkości mają one w sobie coś wzniosłego, rzewnego, idealnego, co zawdzięczają tylko katolicyzmowi. Jan Tauler, Henryk Suso, Eckhart, Ruysbroch, Otton z Passawy, nadali językowi niemieckiemu ten charakter głęboki i tajemniczy, powstrzymany w swoim rozwoju przez reformę, jako też ową zdolność wyrażania pojęć abstrakcyjnych, której tak nadużyła teraźniejsza sofistyka[1]).

Jednem słowem wszystkie te plemiona germańskie i anglosaksońskie w przeciągu lat tysiąca, były przez Kościół katolicki kształtowane i urabiane. Niemożliwem było, ażeby po tak długim czasie nie zachowały nic z jego wpływu: tak samo jak jest niemożliwem, ażeby ktoś, odrzucający w dojrzałym wieku zasady i religję swojego dzieciństwa i młodości, nie zawdzięczał tego dobrego, co

---

[1]) Lindemann, Histoire de la littérature allemande, 1846, p. 304. — Baumer, Influence du Christianisme sur le haut allemand, Stuttgard, 1845. — Wedewer, Le Christianisme et la langue allemande. Patrz w tem dziele listę wyrazów, którym Chrystjanizm nadał specjalnie głębokie znaczenie. — Patrz także Mundta, l'Art de la prose allemande.

w nim jest, chrześcijance, która była jego matką i otrzymanemu od niej wychowaniu.

Zdaje się, że pierwsza ta uwaga nie spotka się z zaprzeczeniem; ale może ktoś powiedzieć, że jeżeli Kościół katolicki przygotował wielkość narodów protestanckich, protestantyzm uwieńczył ją, przynosząc im nowy i potężny pierwiastek wzrostu: wolność cywilną i polityczną. W istocie mówią to. Ale historja przeczy temu urojeniu nie wytrzymującemu krytyki. Wolność cywilna i polityczna istniała już przed reformacją i ta ostatnia prawie wszędzie ją przytłumiła. Guizot przyznaje to co do Niemiec, gdzie według niego protestantyzm przyniósł raczej ujarzmienie, niżeli wolność cywilną[1]). Doellinger wykazał to samo co do Holandji, Szwajcarji, Szkocji, Szwecji, Norwegji, i wszystkich krajów skandynawskich, gdzie herezja ta skrępowała wolność i wzmocniła absolutyzm[2]). Tego samego zdania jest Chateaubriand: „Spójrzcie, mówi on, na północ Europy, na kraje, gdzie reformacja powstała, gdzie utrzymała się, — wszędzie ujrzycie rządzącą wszystkiem wolę jednego pana. Szwecja, Prusy, Saksonja pozostała monarchją absolutną; Danja stała się siedzibą upragnionego despotyzmu. W krajach republikańskich protestantyzm nie doznał powodzenia; nie mógł opanować Wenecji, ani Genui. W Szwajcarji został przyjęty tylko przez kantony arystokratyczne, zgodne z jego naturą i to jeszcze z wielkim krwi rozlewem. Kantony demokratyczne, Schwitz, Ury i Unterwald, kolebka wolności helweckiej, odrzuciły go. Dla Anglji nie był on bynajmniej twórcą konstytucji, która na długo przed wiekiem szesnastym już się kształtowała na łonie katolicyzmu. Kiedy wielka Brytania oddzieliła się od kurji Rzymskiej, parlament już sądził był królów i zrzucał ich z tronu; trzy władze były odrębne od siebie, pobór podatków i pobór do wojska odbywały się tylko za zgodą Izby niższej i Izby Panów; je-

[1]) Guizot, Histoire de la civilisation en Europe, leçon XII.

[2]) Doelinger, l'Église et les églises, Ch. III, p. 69.

dnem słowem monarchja reprezentacyjna istniała już de facto. Czas i cywilizacja dałyby jej to, czego jej jeszcze brakło, tak pod panowaniem katolicyzmu, jak i protestantyzmu"[1]).

Balmès jeszcze rozszerza ten pogląd zgodny z prawdą. Skreślił on znakomity obraz epoki, poprzedzającej reformację, i wykazał jak na dłoni, że wszystko było gotowe do całkowitego rozkwitu Europy chrześcijańskiej, pod względem umysłowym, moralnym i społecznym. Potrzeba było tylko czasu, ażeby wszystkie te narody z Anglją na czele, wzniosły się na najwyższy stopień wielkości. Doszłoby do tego celu pod wpływem katolicyzmu, jak mówi Chateaubriand, nie tak samo dobrze, ale tysiąc razy lepiej i prędzej, niźli pod panowaniem protestantyzmu. Ten ostatni był dla nich przymusowym kilkowiekowym hamulcem i zawadą. Te myśli rozwija Balmès w rozdziale zatytułowanym: Powstrzymanie ogólnego rozwoju cywilizacji, przez pojawienie się protestantyzmu[2]).

## III.

Idźmy dalej. Chodzi nam nie o to, czy protestantyzm przyczynił się do wielkości ras anglosaksońskiej i germańskiej, ale o to, jakim sposobem nie przeszkodził im osiągnąć tę wielkość, jak nie powstrzymał ich na drodze ich rozwoju. Według wszelkiej logiki, zasadniczy pierwiastek reformacji jest z konieczności pierwiastkiem antyspołecznym, pierwiastkiem rozprzężenia i rozkładu. Powinien był okazać się dla ras tych trucizną. Tymczasem one wzrastały i rozwijały się, i rozwinęły się tak, że prześcignęły narody katolickie. Otóż to jest kwestja, o którą nam idzie.

---

[1]) Études historiques, François I.

[2]) Balmès, Le Protestantisme comparé au catholicisme, ch. XLV.

Jakaż tego przyczyna? Przyczyn tych jest trzy, bardzo ciekawych do zbadania, a które bynajmniej nie świadczą o cywilizacyjnej potędze protestantyzmu, ale przeciwnie, wykazują całą jego religijną i polityczną nicość. Zdziwi to może czytelników, ale nic nad to prawdziwszego. Jeżeli reformacja dopomogła do wielkości narodów protestanckich, to nie przez swoje zalety, ale przeciwnie przez swoje braki i niebezpieczeństwa, od niej im zagrażające; na podobieństwo chronicznego cierpienia, które przez pewien przeciąg czasu utrzymuje nawet w chorym niejaki zasób sił, zmuszając go do ostrożności i uniemożebniając nadużycia. Takiem jest obecnie prawdziwe położenie narodów protestanckich i osobliwsza przyczyna chwilowej ich wielkości.

Wejdźmy nieco w szczegóły i spróbujmy dowieść prawdę powyższego twierdzenia.

1° Pierwszą przyczyną wielkości narodów protestanckich jest to, że nie były jeszcze tyle szalone, żeby popełnić zbrodnię wygnania Boga ze społeczeństwa. Przeciwnie, z zazdrosnem staraniem utrzymały religję, jako podstawę swoich urządzeń cywilnych i politycznych. Dlaczego? Oto dlatego, że były nazbyt słabe, że gdyby postępowały inaczej byłyby niepowrotnie zgubione. Istotnie, niewiele brakowało, iżby protestantyzm zabił narody, które go przyjęły. Przez sto lat chwiały się one w podstawach. Straszliwa wojna anababtystów i chłopów zalewała je krwią. Strach je ogarniał. Jeżeli się da swobodę działania takim Zwingljuszom, Muncerom, Janom z Leydy, tym prawdziwym synom wolnego badania, nic się nie ostoi: ani religja, ani społeczeństwo. Otóż i Kościół i Państwo muszą się łączyć, muszą wspólnie stawić opór broniąc swojej egzystencji. Stądto u narodów protestanckich to zlanie się religji z rządem; oddanie na usługi władzy świeckiej wszystkich środków religji, i nawzajem zupełne religji tej pod opieką władzy świeckiej bezpieczeństwo; owe surowe kary na tych, którzy ściągną rękę na jedną albo drugą; ów kult Boga publiczny, narodowy.

Anglja, Prusy, Stany Zjednoczone są jeszcze w tem stadjum i widzimy w nich narody nie wyrzekające się swojej religji i wypełniające jej przepisy.

Cóż uczyniły tymczasem narody katolickie? Wyobrażając sobie w dziwnem zaślepieniu, że ich trwałość i pomyślność są ustalone, rozpoczęły ten wielki pojedynek Państwa z Kościołem, który trwa dzisiaj jeszcze i jest główną przyczyną naszych nieszczęść. Zamiast wspierać Kościół i nawzajem być od niego wspierani, królowie zazdroszczą mu, usiłują wpływ jego zniweczyć. W w. XVII Ludwik XIV chce go ujarzmić. W w. XVIII Ludwik XV oddaje go na pastwę szyderstw filozofów i zamachów parlamentu. Niebawem zaczynają postępować z nim jak z wrogiem, zabijać jego biskupów i kapłanów. Skoro zaś przeminął obłęd rewolucyjny, królewskość, która niczego się przez ten czas nie nauczyła i niczego nie zapomniała, znowu zaczęła go prześladować swą małostkową zawiścią. Wiek XIX będzie cały zajęty wyganianiem Boga z praw, z ustaw społecznych, ze szkół, z wojska, ze szpitali — zewsząd. Protestanckie narody nie posiadają religijnej podstawy, dość silnej do oparcia się podobnemu szaleństwu. Wiedzą o tem dobrze. Spoglądają na nas z przestrachem, a ostrzeżone naszemi klęskami, tem usilniej starają się utrzymać Boga i religję jako podstawy swoich konstytucji. Owo poszanowanie tej pierwszej podstawy społeczeństw przyczyniło się bardzo dużo do ich trwałości i potęgi, którą narody katolickie mogą odzyskać, skoro tego zechcą, ale które utraciły przez odstępstwo swe od wiary.

2° Drugą przyczyną wznoszenia się narodów protestanckich jest staranność, z jaką dotychczas zachowują i rozwijają w sobie cnoty przyrodzone, właściwe katolicyzmowi, który jedynie zdolny jest je wytwarzać: czystość, pokorę, miłość bliźniego, zaparcie się siebie posunięte aż do męczeństwa — tem bardziej przylgnęły do cnót przyrodzonych. Mając już tylko taki szczątek religji, uczepiły

się go rozpaczliwie. Gdyby i to miały stracić, cóżby im pozostało? Przepisały tedy prawami modlitwę, święcenie niedzieli z pewną jawnością i uroczystością polityczną i społeczną. Głoszą sprawiedliwość, uczciwość, posłuszeństwo władzy, poszanowanie przysięgi, zaprzysiężonej wiary, zmuszając katolików do rumienienia się za swą lekkomyślność w rzeczach tak ważnych. Otóż te cnoty są właśnie podstawą pomyślności narodów: Sprawiedliwość wywyższa naród[1]). Cnoty nadprzyrodzone mają przedewszystkiem swoją nagrodę w niebie; cnoty przyrodzone odbierają ją na ziemi. Skoro tedy narody protestanckie lepiej od nas te ostatnie zachowują, dlaczegóżby Pan Bóg nie miał ich za to wynagradzać? Dlaczego nie miałby postąpić z nimi jak ongi z Rzymianami? „Jeżeli za wielkie czyny Rzymian, powiada Bossuet, należała się im nagroda, Bóg znalazł dla nich taką, która odpowiadała zarówno ich zasługom jak i pragnieniom. Daje im oto w nagrodę panowanie nad światem, rzecz w gruncie bez wartości..." Próżni otrzymali nagrodę tak próżną, jak ich pragnienia[2]).

Przytem, może to Bóg zarazem uczy nas tu i karze. Wszakże my igramy ze wszystkiem, co jest najświętsze; jak najusilniej staramy się o wygnanie religji ze wszystkich naszych praw i instytucyj; stoimy w tem niżej od narodów protestanckich, które mając tylko połowę objawienia, tak są o tę połowę dbałe, że na niej opierają swój ustrój polityczny, podczas kiedy my, będąc w posiadaniu całego skarbu, zewsząd się go pozbywiamy; jakżeż moglibyśmy wzrastać i przodować innym! To niemożebne. Państwa katolickie mniej się opierają na prawdzie objawionej, aniżeli protestanckie: słusznem jest tedy, że ustępują im i w innych względach i podczas kiedy tamte wznoszą się coraz wyżej, one nie są w stanie im nadążyć. Bóg jest panem i nauk swych udziela w sposób najrozmaitszy.

---

[1]) Prov. XIV, 34.

[2]) Oraison funébre du prince de Condé.

3° Trzecią przyczyną wzrostu narodów protestanckich to, że nie przechodziły jeszcze przez klęski rewolucji. Nie wyobrażajmy sobie, iżby to było na chwałę reformacji; przeciwnie, nowy to i oczywisty dowód jej nicości religijnej i społecznej. Rewolucja uznała protestantyzm za niebudzący obaw. Owszem przeczuła, że ów protestantyzm, nie rządzący się zasadami, tylko interesami albo nienawiściami, stanie się dla niej pomocnikiem przynajmniej czasowym; że będzie mogła posłużyć się nim do swoich celów. Skoro wielki i straszny wróg, Kościół katolicki, będzie już obalony, protestantyzm niewiele będzie zawadzał. Skoro nie będzie religji, nie będzie Boga. Najpierwszem więc zadaniem — znieść religję; religje upadną potem same przez się.

Różnicą tą protestantyzm uczuł się z początku dotknięty, ale potem zgodził się z nią i postarał wyciągnąć z niej korzyść. Wkońcu złączył się z rewolucją, nasamprzód przez nienawiść do katolickiego Kościoła, ażeby skuteczniej z nim walczyć, a potem przez interes własny, dla własnego bezpieczeństwa. Rewolucja przyjęła jego usługi i wywdzięczyła mu się za nie, kierując swoje ciosy w inną stronę i pozostawiając go w spokoju. Ale czy taki stan potrwa długo? Czy nie ulegnie on zmianie? Ważne przyczyny kazałyby tak wnioskować. „Z politycznej rewolucja zamienia się w społeczną, a z antykatolickiej staje się bezbożną. Społeczna wymaga zrównania majętności, zniesienia rodziny, rozwiązania całego społeczeństwa; bezbożna odrzuca Boga. Nadszedł dla niej czas rozpoczęcia walki ze społeczeństwami protestanckiemi. Oto już ją rozpoczęła. W Niemczech, w Szwajcarji, w Anglji, w Stanach Zjednoczonych, występują wszędzie straszliwe objawy jej działania jawnego lub podziemnego. W tych to krajach wypracowują się doktryny najbardziej rozprzęgające. Bez żadnej wątpliwości sprowadzą one za sobą klęski tem prędsze i tem bardziej nieuniknione, że na drodze swojej nie napotkają przeszkód w postaci owych trwałych i niewzruszonych zasad, które jedynie mogą mieć dusze

przeniknione poważnemi i surowemi naukami Chrześcijanizmu. W łonie protestantyzmu zasady te nie istnieją, albo istnieją jedynie jako opinje, to jest bez fundamentu pewności, a co za tem idzie, bez żadnej siły odpornej... Będzie-li miał protestantyzm dosyć środków, ażeby te przewrotowe teorje zwalczyć i odeprzeć? Myślę, że nie"[1]).

Powiększa niebezpieczeństwo to, że właśnie teraz, kiedy rewolucja skierowuje swe ciosy ku narodom protestanckim, ich Kościoły narodowe rozpadają się. Owa jedność Kościoła z państwem, której zawdzięczają swoją potęgę, jest zerwana. Przyczynia się do tego rozrastanie się narodów protestanckich. Powiększając się, zagarniają w swój skład mnóstwo grup katolickich, których nie można już jak dawniej zgnieść, ujarzmić, których swobody potrzeba uszanować. Rządy widzą się zmuszone do oszczędzania katolików, do udzielania im praw, i tak stopniowo oddzielają się od swoich narodowych kościołów. Tą drogą oddzielają się od nich zupełnie, i kościoły narodowe istnieć przestaną. Przewrót ten dokonał się w Stanach Zjednoczonych; rozpoczął się już w Anglji; ogarnia i Niemcy. Nie będzie już wtedy rządów protestanckich, tak samo, jak niema rządów katolickich. Będą jedynie religje żyjące życiem własnem, bez podpory państwa. Okaże się wtedy, wiele jest wart protestantyzm i wiele potrwa wobec wolności prasy i wobec rewolucji. Okaże się także, jaką jest trwałość owych państw, wydających się tak wielkiemi. Pod ciosami rewolucji znajdą się tam ruiny jeszcze opłakańsze, niźli te, które dotknęły narody katolickie.

Te są trzy przyczyny wzrostu protestanckich narodów i rządów. Protestantyzm nic się do tego nie przyczynił. Ich wielkość podobna jest do wielkości Rzymian. Jest ona wynikiem zasad i cnót przyrodzonych, które narody protestanckie przechowały lepiej, ponieważ czuły się mniej przez swoją religję podtrzymywane, a nawet narażane przez nią na niebezpieczeństwo.

---

[1]) L'abbé Martin, de l'Avenir du protestantisme et du catholicisme, p. 526.

## IV.

Ale jeżeli owa wielkość przygotowana przez katolicyzm, do której protestantyzm przyczynił się jedynie przez swoją słabość religijną i polityczną, zmuszającą go do szukania podpór i unikania nadużyć; jeżeli, mówię, owa wielkość jest rzeczywistą, należy przyznać, że jest dziwnie niezupełną, właśnie dlatego, że brak jej katolicyzmu. Z jednej strony nie ma ona tych cnót wyższych, porywających urokiem lub wzniosłością, które nadałby jej był katolicyzm; z drugiej, plamią ją haniebne wady, które katolicyzm wytępiłby.

Naprzód tedy, czyżby religja katolicka, będąca cała miłością, nie zdołała złagodzić przynajmniej w części owej pruskiej brutalności, genewskiej oschłości, angielskiego egoizmu, tak bijących w oczy, że stały się przysłowiowe? Niewątpliwie znalazłaby sposób na nieznośną i wstrętną arogancję angielskiej polityki względem słabszych, na pruską napastniczość i nieszanowanie praw i swobód cudzych, na obrzydliwy materjalizm Amerykanów. Tymczasem protestantyzm, ośmielamy się stanowczo to twierdzić — nietylko, że nie zwalczał tych smutnych błędów, ale im jeszcze pochlebiał, wzmocnił je i zwiększył.

Skoro potęga polityczna i charakter narodowy ras anglosaksońskich i germańskich są zeszpecone temi tak hańbiącemi wadami, które Kościół katolicki zwalczałby skutecznie i może całkowicie usunąłby, cóż rzec o rozkwicie ich przemysłu, fabryk i handlu? Nie zaprzeczymy, że protestantyzm przyczynił się do tej wielkości materjalnej, ale tutaj także przez swoje braki. Ograniczając widnokręgi niebieskie, zwiększył zakres starań i zabiegów doczesnych. Przytem usuwając pomoc miłosierdzia, zmusił jednostki do większego liczenia na własne swoje siły. To nie ulega zaprzeczeniu. Ale jakże drogo zapłacił za ten postęp. Dla zadowolnienia z dniem każdym wzrastających potrzeb, potrzeba było stworzyć tak smutnie

nazwanych „murzynów przemysłu". Na miejsce człowieka artysty, a przynajmniej człowieka rzemieślnika, trzeba było postawić człowieka maszynę. Litość bierze patrzeć nań, jak nie potrzebując do swego zajęcia ani siły, ani zręczności, jest tylko nadzorcą swego robotnika z żelaza, jak musi się stosować do każdego jego poruszenia, zepchnięty na stanowisko prostego pomocnika maszyny, stając się sam maszyną. Wychodzi stamtąd przygasły, zwiędły, z twarzą wybladłą, z muskułami zesztywniałemi. Jest to taka robota, że wszystko, co nic nie umie, do niej się garnie. A im ich więcej przychodzi, tem zarobek jest mniejszy, a nędza większa. A znowu potrzeba ich coraz więcej. Pitt wyrzekł straszne słowa: „Weźcie dzieci". Słowa te zaciężyły na Anglji przekleństwem. Od tego czasu rasa karłowacieje; ten naród atletów denerwuje się i słabnie. Gdzież jest owa cera świeża, kwitnąca, którą cały świat podziwiał u angielskiej młodzieży?... Niema już jej... Usłuchano Pitt'a, w z i ę t o d z i e c i[1]).

Gdybyż przynajmniej owo wznowienie starożytnego niewolnictwa dawało szczęście bogatym, a biednym przynajmniej chleb powszedni! Ale niebogaci, pomimo wszelkich swoich zysków, umierają z nudy, trawieni przez s p l e e n. Biedni są coraz liczniejsi i umierają z głodu. Dreszcz przejmuje, kiedy zwiedzając bogatą Anglję, widzi się zastępy jej ubogich, zastępy niezliczone, wstrętne, ziejące nienawiścią. Na ośmiu mieszkańców przypada jeden; inni obliczają, że jeden na czterech. W trochę większych miastach liczą ich dziesiątki tysięcy. I cóż to za ubodzy! Ogarnięci rodzajem martwego odrętwienia, znajdują się oni na ostatnim stopniu poniżenia ludzkości. Policja chwyta ich i zamyka w domach roboczych, norach przejętych zarazkami, ze złą wentylacją, gdzie przerażonym oczom zwiedzającego, przedstawiają się tysiące istot spodlonych, przedwcześnie zestarzałych przez nędzę i rozpustę, nie wiedzących nic o Bogu, ani o wieczności i które

[1]) Michelet, l e P e u p l e, 3-e édit., p. 91.

w tym stanie upadku, bliższym zwierzęcości aniżeli człowieczeństwa, nie umieją nawet złorzeczyć i nie są zdolne do buntu.

Ażeby te istoty wyciągnąć z takiej przepaści poniżenia, potrzebaby, iżby miłosierdzie użyło swych sposobów najdowcipniejszych, najsubtelniejszych, najbardziej miłości pełnych i przekonywających, najzdolniejszych do udzielania niebieskiej pociechy. Ale w Anglji niema miłosierdzia. Niema tam sióstr św. Wincentego a Paulo przy łóżku umierających. Niema Siostrzyczek ubogich, przygarniających opuszczoną starość. Niema kobiet światowych, któreby na poddaszu nędzarza głosiły słodkie słowa religji. W Anglji wspierają bliźnich tak samo, jak szerzą wiarę: bez współudziału czynnego. Dają składki na rozpowszechnianie Biblji i płacą podatek na ubogich. A chociaż podatek ten jest uciążliwy, nieszczęśliwi otrzymują wsparcie bardzo małe.

Cóż tedy czynić, skoro znikąd niema ratunku, ani pocieszenia? Odurzać się, ażeby się odurzyć — pić. „W Glazgowie dziesięć tysięcy jednostek upija się w sobotę wieczorem, zaraz po wypłacie, i są pijane przez niedzielę, poniedziałek, a czasem i wtorek. W temże mieście aresztują po dwadzieścia tysięcy kobiet tak pijanych, że nie mogą się utrzymać na nogach. W Edynburgu powstały wielkie zakłady, gdzie na wielką skalę praktykuje się sztuka utracania przytomności za jeden penny (dziesięć centymów)"[1]).

Kobiety uciekają się do jeszcze jednego sposobu — nierządu. Śmiemy utrzymywać, że nierząd paryski jest niczem w porównaniu z londyńskim. Tam doszedł on do takich rozmiarów, że nie starczy mu angielek i cały świat musi mu dosyłać ofiary.

Badacze oburzają się. „Czyż, wołają, prząść i tkać bawełnę i jedwab tanio i w największych możliwie ilościach, rozwijając całą potęgę machin, można jedynie za cenę ta-

[1]) Moigno, Splendeurs de la foi, t. IV, p. 694.

kich okropności, jak zburzenie rodziny, niewolnictwo, zgrzybiałość, niemoralność dzieci, pijaństwo mężczyzn, prostytucja kobiet, upadek ogólny moralności i życia"[1]).

Trochę odmienny widok przedstawiają Stany Zjednoczone, chociaż zawsze odnajdujemy tam wiele z cech powyższych. „Ale któż opisze poniżenie, w jakie wpadł ten naród?... Bóg dolar panuje tam nad wszystkiemi klasami społeczeństwa... Amerykanie nie pytają, czy dana osoba jest uczciwą, ale czy jest zdolną, to jest, czy potrafi zarabiać pieniądze. W celu tym zużywają całe życie na pogoni gorączkowej. Uczucie w nich wygasło; zostały tylko wrażenia. Sprawiedliwość jest sprzedajna i sprzedajność ta często się nawet nie ukrywa. Miłosierdzie nie istnieje. Nic zwyklejszego, jak znalezienie rano na ulicach kilku nieszczęśliwych zmarłych z głodu. A owe niezliczone poronienia, praktykowane najbezczelniej; a owa pogarda cudzego życia dochodząca do tego stopnia, że kapitanowie dwóch parowców nie wahają się narazić życia stu albo dwustu podróżnych, byle tylko wyprzedzić współzawodniczący statek. Opinja nietylko że się tem nie oburza, ale prawie nie zwraca na to uwagi"[2]). Wielkie to wady, a są jeszcze inne, którym macierzyńska ręka Kościoła bardzoby się przydała.

Co do Niemiec, długiem byłoby wyliczanie przejawów rozkładu, a raczej barbarzyństwa, występujących wszędzie w obrębie cesarstwa: postępy podziemnych robót socjalizmu, szybki wzrost żebractwa; zdemoralizowanie robotników, nawet i kobiet; wyczerpanie kasy państwa, nawet po pochłonięciu naszych miljardów i t. d. Ogólny to głos, że wyziewy Berlina grożą prześcignięciem wyziewów Paryża, Londynu i Nowego Jorku.

Widzimy tedy, że narody katolickie nie mają nic do zazdroszczenia Anglji, Niemcom, ani Stanom Zjednoczonym; a jeżeli rasy anglosaksońskie czy germańskie

[1]) M. Léon Faucher, Etudes sur l'Angleterre, t. I, p. 698.

[2]) Moigno, Splendeurs de la foi, t. IV, p. 698.

zdają się w obecnej chwili mieć nad niemi przewagę polityczną, to one daleko poza sobą pozostawiają tamte, na drodze prawdziwej cywilizacji.

## V.

Ośmielamy się wypowiedzieć całą naszą myśl. Gdyby nawet rasy anglosaksońskie i germańskie zostały były katolickiemi, nie dorównałyby one rasom łacińskim. Brakuje im dobrego smaku. Dzierżą miecz w ręku, ale brak im liry. Mogą ujarzmiać narody, ale nie mogą ich czarować. Anglja ma jedynie mówców politycznych, bo tego wymaga jej życie parlamentarne, i powieściopisarzy, jak przystało narodowi cierpiącemu na nudy. Wielki jej poeta współczesny, Byron, jest jak ona zimny, smętny i zrozpaczony. Ale nie ma Anglja wielkich genjuszów przyszłości, poetów ideału, muzyków, malarzy, wszystkiego tego, do czego potrzeba ognia, zapału, — wszystkiego, co po oczarowaniu jednego kraju, idzie oświecać, cieszyć i czarować inne narody. Spowita we mgły, jest ona w koncercie europejskim tem, czem w rodzinie córka smutna i nadąsana. Nie rozjaśnia naokoło siebie atmosfery. Nie promieniuje. Nie jest i nie będzie nigdy narodem, któryby oświecał świat, pocieszał go i zachwycał.

Ameryka również. Brak jej smaku. Kobiety jej nie umieją się ubierać. Brak jej dzieł sztuki. Jej budowniczowie umieją jedynie budować giełdy lub koleje. Brak muzyki i malarstwa. Jej bogacze zasypują złotem naszych śpiewaków i malarzy, ale nie rozumieją ich i nie są zdolni ich ocenić. Sztuka żyje ideałem. Amerykanin zaś gardzi ideałem, i ta jego poziomość wyklucza go z wytwornej grupy narodów inicjatywnych jak: Grecja, Włochy z czasów odrodzenia, Hiszpanja Izabeli Katolickiej i Francja Ludwika XIV.

Niemcy mogłyby może wejść do tej grupy, chociaż zajmując w niej podrzędniejsze stanowisko: ale ich schiz-

ma z w. XVI, obezwładniając najpiękniejsze ich przymioty, zamknęła im do tego drogę. Zachowały one swoje upodobanie w muzyce i wydały Beethowena. Zachowały upodobanie w poezji, w sztuce, ale po wydaniu Szyllera, który stał się katolikiem, wydały już tylko Göthego, który stał się poganinem. Zachowały zamiłowanie kontemplacji, ideału, abstrakcji, ale pozbawione hamulca i przewodniego światła, dały światu jedynie sofistów: Kanta, Fitchego, Hegla, Straussa, których nasi biedni Francuzi pozbawieni twórczości usiłowali sobie przyswoić, ale od których nic nie skorzystali. Stopniowo genjusz niemiecki, upadając coraz niżej, szedł na drobiazgową erudycję. Mają uczonych „ale uczonych na swój sposób, uczonych pełzających po ziemi jak erudyci. Cierpliwie obserwują i poddają rozbiorowi fakty i t. d."[1]). Tymczasem tego wszystkiego za mało na stworzenie cywilizacji. Genjusz niemiecki nie wyda nigdy nic dosyć wzniosłego, jasnego i powszechnego, ażeby porwać ludzkość i przeniknąć ją swoim nastrojem.

Dodajmy też, że język nie nadaje się do tego. „Język niemiecki jest bardzo bogaty, filologicznie śmiały w budowie, oryginalny a nawet dziwaczny w gramatyce, jakgdyby lękał się, ażeby nie został zbyt łatwo zrozumianym. Ale to nie jest język apostolstwa, nauczania. Nie jest to nawet język popularny. Większość mówiących nim nie zna go, nie może go znać prawie tak samo, jak chińszczyzny. Rzeczywiście język niemiecki nie jest wykończony i nigdy nim nie będzie. Będą się go uczyć z potrzeby, mówić nim z musu, a zapominać go jak tylko będzie można"[2]).

Nie wierzę więc w cywilizacyjną przyszłość ras germańskich i anglosaksońskich. Mogą one opanować świat; nie mogą go podnieść, umoralnić ani zachwycić. A opanować, pokonać, to nic nie znaczy. Zwyczajny tragarz pokonałby Wirgiljusza i obalił Homera. Ale to przecho-

[1]) Moigno, p. 697.
[2]) Moigno, t. IV, p. 697.

dzi, mija jak burza, jak huragan. Wieczną jest tylko sztuka, która świat czaruje, i religja, która go uświęca.

## VI.

Posunę się nawet dalej jeszcze i ośmielę wyrazić wątpliwość, nawet co do politycznej trwałości ras anglosaksońskich i germańskich. Brakuje im pierwszego warunku wszelkiej trwałej potęgi, ziemi, bez której naród żyć może jedynie sztucznie i do czasu.

Ziemia jest tem dla narodu, czem ciało dla duszy. Zapewne, i w słabem ciele może być wielka dusza; ale jakże trudno jej będzie wykonać rzeczy wielkie i wykonywać je przez czas dłuższy! Dajcie chorowity organizm Bossuetowi, Berryer'owi, a zobaczycie, jak straci na tem ich cudowna wymowa. Dajcie Napoleonowi płuca suchotnicze, i powiedzcie, czy będzie w stanie przebiegać konno Europę. Wielkie dusze, nie dlatego, iżby być wielkiemi, ale iżby móc dokonywać rzeczy wielkich, potrzebują ciał do siebie zastosowanych, będących w stanie odpowiadać wielkości ich porywów i gwałtowności wzruszeń.

To samo trzeba powiedzieć i o ziemi. Cóż, proszę, was, ma się stać z narodem, nie siedzącym mocno i szeroko, na podstawie odpowiadającej wielkości jego duszy? Może on mieć porywy, ale nietrwałe. Otóż pod tym względem narody protestanckie są źle uposażone. Olbrzymia Anglja siedzi na końcu igły. Ma ona dwadzieścia miljonów Anglików, właśnie tyle, ile potrzeba, ażeby być narodem czwartorzędnym, a sto siedemdziesiąt cztery miljony poddanych i lenników rozsianych na obydwóch półkulach. Istnienie jej, to cud równowagi. Patrząc na nią przypominam sobie te posągi, wytwory upadającej sztuki, które czasem widzimy, umieszczone na ciasnym piedestale, o ciele poddanem naprzód i rękach przed siebie wyciągniętych. Szukamy środka ciężkości. Nogi skurczone, muskuły napięte pokazują, że to sztuczny wysiłek.

To nie Apollo Belwederski, ani Wenus z Milo, stojące poważnie i swobodnie; to ekwilibrystyka. Ale czy to potrwa? Czy to trwać może? Czyż Indjanie będą zawsze Indjanami, zawsze dziećmi, zawsze dzikimi? Czyż nie dojdą kiedyś do wieku męskiego, do dojrzałości, do wolności, do samorządu? Czyż nie jest to nieuniknionem? Cóż wtedy stanie się z potęgą Anglji? To, co stało się z Wenecją, z Kartaginą, co staje się zawsze z narodami kupieckiemi, których cała potęga jest nazewnątrz, które nie mają pod nogami ziemi rozległej, bogatej, żyznej, mogącej pomieścić wielki naród, wyżywić go i jemu wystarczyć.

Prusy gorzej jeszcze są uposażone. Naród ten dusi się na swej nieurodzajnej ziemi, ginie na niej z głodu. To też co Bismark odpowiada na zarzuty, że poświęcił trzysta tysięcy ludzi swojej nienawiści do Francji? „Trzysta tysięcy! to przecież tyle, ile Niemcy składają co rok w dani hydrze emigracyjnej!" Ilu naliczycie w Niemczech Hiszpanów, Francuzów, Włochów? Nadzwyczaj mało. A i ta garstka nudzi się tam i tęskni. A ilu liczycie albo liczyliście przed wojną Prusaków? Setki tysięcy. Francja w niecałe dwa lata wydobyła ze swojej ziemi pięć miljardów kosztów wojennych. Niemcy pochłonęły te pięć miljardów, i już narzekają na finansowe przesilenie. Dla wydobycia ich z tego więzienia, gdzie im brakuje powietrza, mężna Holandja, jaśniejąca tylu chwalebnemi wspomnieniami, będzie musiała zostać morską prowincją tego nowego państwa. Ale i to okno niewiele pomoże Prusom: zawsze jeszcze będą czuły brak wolnego oddechu i będą mogły podtrzymywać swą potęgę jedynie sztucznie, a co za tem idzie, nietrwale. Jedno, co będą mogły uczynić, jeżeli my w dalszym ciągu będziemy słabnąć, to przysyłać nam do Francji swoich grubijańskich mieszkańców. Okrzeszemy ich tam, wygładzimy, i wzamian za ich surową energję, jaką przeleją w nasze żyły, damy im wdzięk, subtelność, szlachetność. Nie zrobią z nas Prusaków; przeciwnie, po paru pokoleniach my uczynimy ich Francu-

zami. Francja pozostanie zawsze Francją; a Prusy będą zawsze Prusami, ziemią brzydką i nieurodzajną, nie mogącą wyżywić swoich dzieci.

Jeden tylko widzę naród protestancki, który posiada ziemię piękną, rozległą, żyzną, odpowiednią swojej wielkości: Amerykę. Ale czyliż Ameryka jest krajem protestanckim? Wszystkie religje w niej kwitną, a katolicka tyleż, a nawet więcej, niżeli inne. Powstała ona tam zaledwie wczoraj, a dzisiaj już przewyższa liczbę każdą z osobna sektę. Jutro zajmie połowę zamieszkałego gruntu. Zresztą Ameryka zbyt jest od Europy oddaloną. A jeżeli nawet naród amerykański potrafi utrzymać swoją jedność i nie rozsypie się na kilka narodów, jak Europa, jest mało prawdopodobne, ażeby mógł mieć na nas wielki wpływ. Zanadto stoi od nas niżej co do darów umysłu. Nie uprawia ani filozofji, ani literatury, ani sztuk pięknych. Brak mu smaku. To robotnik, mechanik. To nie cywilizator.

Może należałoby zakończyć te dowodzenia, porównaniem narodów łacińskich z protestanckimi i na tym ostatnim punkcie. Ale to zbyteczne. Któż nie zna doskonałej piękności ziemi Francji, Hiszpanji, Włoch? Jakaż ziemia była kiedy piękniejszą, lepiej przystosowaną do przeznaczeń zamieszkującego ją narodu? I nietylko piękna jest ta ziemia, ale bogata, żyzna, zdobna we wszystkie dary nieba, tak w te, które opromieniają życie urokiem, jak w te, które stanowią jego bezpieczeństwo i siłę. To też wszystkie narody ziemi przybywają zwiedzać Francję, Włochy, Hiszpanję, — osiedlają się w nich, znajdują tam spoczynek, zadowolenie, słońce, sztukę. Tymczasem ani Francuz, ani Włoch, ani Hiszpan nie emigrują. Pozostają u siebie, ponieważ jest im dobrze.

## VII.

Czegóż tedy potrzeba, ażeby berło świata powróciło do narodów protestanckich? Oto niechaj zwycięsko prze-

będą obecne przesilenie, niechaj odtrącą trawiącą je truciznę; niech wzmocnią zachwiane w swych podstawach powagi: polityczną, cywilną i domową; i niechaj odpychając zgubne błędy, przywrócą Boga na czoło praw swoich i urzędu. Wtedy odzyskają siły, i pod ich przewodnictwem wzmoże się znowu ogólny rozwój cywilizacji, powstrzymany przez ukazanie się protestantyzmu.

A czegóż jeszcze potrzeba, iżby do tego rozkwitu cywilizacji przyłączyło się wspaniałe odrodzenie Kościoła i nowe jego rozszerzenie się? Na to potrzeba, żeby narody anglosaksońskie i germańskie powróciły do prawdziwej wiary. Wtedy one także, ze wzrostem swych przymiotów i ujarzmieniem swych przywar, odzyskałyby rolę, jaką Bóg im przeznaczył w historycznym rozwoju swego Kościoła; rolę, którą przez wieki całe tak wspaniale wypełniały, a której nam dzisiaj brakuje tak boleśnie.

Wszystkie wielkie narody mają posłannictwo, dane sobie przez Opatrzność, i wszystkie winne są w pewien szczególny sposób służyć Chrystusowi. Bóg użył narodów łacińskich do rozwinięcia władzy Kościoła, jego tradycji tak boskich jak i kościelnych, jego nabożeństw i obrzędów, wogóle całej jego zewnętrznej piękności. Wyszkolone przez ducha rzymskiego, przyzwyczajone do władzy, do hierarchji, obdarzone duszą czułą i głęboką, narody te były najdoskonalszym materjałem, jakim Kościół mógł rozporządzać w tej swojej pracy. Praca ta trwała blisko tysiąc osiemset lat, od soboru Nicejskiego do Trydenckiego, a od Trydenckiego do Watykańskiego. Obecnie jest skończoną. Pierwszy ten okres jest zamknięty.

Pan Bóg użyje teraz narodów anglosaksońskich i germańskich do rozpowszechnienia swego Kościoła po całym świecie. To ich posłannictwo odwieczne i opatrznościowe. Wypełniały je cudownie od VI do XVI w. Teraz podejmą się go na nowo. Wszystko jest do tego przygotowane. Po pierwsze, trzeba, iżby Kościół przekroczył

swoje granice. Nie może on pozostawać wiernie na jednem i tem samem miejscu. Wszakże jest stworzony dla całego świata. Powtóre, podczas kiedy narody łacińskie, Francuzi, Hiszpanie, Włosi, pozostają u siebie, narody anglosaksońskie zalewają świat cały. Oto zapanowały wszędzie w Ameryce, w Australji, na wszystkich wybrzeżach dalekiego Wschodu. Niech Europejczyk zapuści się jak najdalej od swej ojczyzny, a spotka język angielski. W ich ślady wstępują Niemcy. Co roku wysyłają trzykroć tysięcy ludzi w różne strony Wschodu. Tylko, że oni wsiąkają w ludność anglosaksońską, asymilują się z nią, więc ostatecznie panowanie pozostaje przy tej ostatniej. To, co dzisiaj widzimy, przypomina to, co działo się za czasów Augusta, na krótko przed narodzeniem Zbawiciela. Anglosaksonowie, jak naówczas Rzymianie, sposobią się w milczeniu do posłannictwa, o którem jeszcze sami nie wiedzą. A podczas, kiedy tak rozlewają się po całym świecie, Bóg zaczyna otwierać im oczy. Zasłona, kryjąca przed nimi boską piękność Kościoła, uchyla się stopniowo. Zaczynają rozumieć, że niewszystko w Kościele rzymskim jest władzą, hierarchją, zewnętrzną okazałością; że jest tam podstawa i treść boska, istniejąca od samego początku jego i zasilająca dusze ludzkie. Skoro to zrozumieją, niedługo będą zwlekać z nawróceniem się.

Spostrzegacz bystry i głęboki Prévost-Paradol zadaje sobie pytanie, ile też czasu będzie potrzeba, ażeby potęga anglosaksońska dosięgła najdalszych krańców Wschodu. I oznacza na to dwuwiekowy okres czasu[1]). Czy tyleż go potrzeba, ażeby narody anglosaksońskie powróciły do katolicyzmu? Czy to Anglja nawróci się odrazu cała, oficjalnie, pociągając za sobą kolonje; czy też wróci do wiary stopniowo, przez nieznaczne przenikanie pomiędzy masy: czyż będzie to przypuszczenie zbyt śmiałe, że praca ta ukończy się przed upływem dwóch wieków? Przypuśćmy

---

[1]) Prévost-Paradol, la France nouvelle, liv. III, chap. III; 1 vol. in 8-o. Michel Lévy, 1868.

więc, że z chwilą, kiedy narody saksońskie ostatecznie zapanują nad Wschodem, powrócą też do wiary i uprzytomnijmy sobie wszystkie tego następstwa. Jakże rychło i łatwo skończyłoby się przesilenie, jakie Kościół przechodzi dzisiaj! Jak prędkoby się on podźwignął! Świat przybrałby postać odmienną. Jeżeli wówczas narody łacińskie będą już wolne od zabijającej je trucizny, powszechne oświecenie nastąpi tem prędzej; jeżeli nie, nie opóźni się wiele. I Kościół, opłakując Francję, Włochy, Hiszpanję, jak niegdyś Afrykę, skieruje się bez nich na nowe tory.

# Część trzecia.

## Kościół i społeczeństwo tegoczesne.[1])

---

### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

#### Społeczeństwo tegoczesne.

Widziałem wczoraj w oknie księgarni książkę zatytułowaną: Zatarg Kościoła z tegoczesnem społeczeństwem. Żałuję, żem jej nie kupił, bez względu bowiem na to, czyim jest utworem, czy przeciwnika Kościoła, czy też niezręcznego przyjaciela, porusza zagadnienie tak ważne, że należy koniecznie zdać sobie z niego sprawę.

Czyż to możliwe, ażeby między Kościołem i społeczeństwem tegoczesnem istniał zatarg? i jakiego jest on rodzaju? Czy to walka na śmierć? Tegoczesne społeczeństwo miałoby tedy zabić Kościół? To niemożliwe. A zatem Kościół miałby zabić społeczeństwo? Ależ to wstrętne!

W jakiemże położeniu znaleźliby się w takim razie katolicy? Ja kocham Kościół ze wszystkich sił mojej du-

---

[1]) Ponieważ zagadnienia poruszane w tej trzeciej części są nader delikatne, czuliśmy się w obowiązku oddać tę część pod sąd czterech teologów, członków zgromadzeń zakonnych, ludzi mądrych i umiarkowanych. Orzekli oni, że po najstaranniejszem zbadaniu nie widzą tu nic, coby się nie zgadzało z nauką chrześcijańską. Co się zaś tyczy tych, którym teorja nasza się nie podoba, ich idee niejasne, zmącone i gwałtowne nie byłyby w stanie odwieść nas od niej.

szy. Życiebym me za niego oddał. I mam patrzeć, jak cywilizacja nowożytna bezustannie wymierza w niego ciosy i usiłuje go podkopać! Cóż to za straszna boleść!

A przytem, ja kocham też czule nowożytne społeczeństwo. Wszakże nie przyszedłem na świat w czasie wędrówki narodów. Matka nie nosiła mnie na plecach w kolebce z kory. Urodziłem się w pełni XIX stulecia. Te instytucje są dziełem moich ojców; tamże wynalazki moich współczesnych. Utworzenie się nowożytnego społeczeństwa jest okupione krwią moich blizkich. A wy mi mówicie, że pomiędzy tem społeczeństwem a Kościołem jest śmiertelna walka! Serce moje boleje i trwoży się. Cóż ze mną będzie? Ludwik XIV mówił:

> Mój Boże, coż to za straszliwa wojna!
> Dwóch ludzi czuję w sobie.

Tutaj byłoby jeszcze gorzej. Bo jeżeli macie słuszność, ja jako chrześcijanin musiałbym przekląć to, co czczę jako Francuz, jako obywatel mojego kraju. To rzecz niemożliwa. Musiałbym wybierać jedno z dwojga: albo być złym chrześcijaninem, albo złym obywatelem mojego kraju, — a ja nie chcę być ani jednym, ani drugim.

A przytem, jakże pomiędzy Kościołem a społeczeństwem mógłby być zatarg, i to śmiertelny?

Kościół to prawda; zatem społeczeństwo nowożytne byłoby samym błędem.

Kościół — to dobro; społeczeństwo nowożytne byłoby tedy samem złem.

Ale zastanówcie się tylko! Cywilizacja nowożytna miałaby być samym złem, samym błędem? Przebiegam myślą wszystkie cywilizacje. Szukam jakiejkolwiek z pomiędzy nich, którąby była samem złem, samym błędem, i nie znajduję żadnej takiej. Nie, natura człowieka nie tak jest utworzoną, nie takie piętno odciska ona na dziełach swoich. Wszystko, co tworzy, tworzy na swoje wła-

sne podobieństwo. Cechą dzieł ludzkich jest właśnie mieszanina dobrego i złego; strony wzniosłe obok słabych; coś z anioła, a coś ze zwierzęcia. I właśnie duszom wielkim przystoi badać te rzeczy i pracować nad zmniejszeniem tego, co jest zwierzęcem, a rozwojem tego, co jest anielskiem. Potępiać ryczałtowo, mogą tylko zarozumialcy i głupcy.

Jeszcze jedna uwaga. Jakież jest pochodzenie tej nowożytnej cywilizacji? Gdyby pogaństwo zmarło wczoraj, gdyby od jego zgonu upłynęło zaledwie sto albo dwieście lat, moglibyście powiedzieć, że to nowy przejaw tego pogaństwa, które było nie zmarłe, tylko przytajone. Ale wszakże chrześcijaństwo panuje już przeszło osiemnaście stuleci. Przez lat tysiąc osiemset społeczeństwo ludzkie było pod wpływem jego biskupów, kapłanów, zakonników, i raptem społeczeństwo to ma być samym błędem, samem złem! To rzecz niemożliwa. To nie zgadza się nietylko z naturą ludzką, ale z historją, z boskim i świętym wpływem Kościoła. Naczynie, w którem przez długi czas przechowywano jakąś wonność, pozostaje nią przesiąknięte. Cywilizacja nasza, pochodzenia chrześcijańskiego, utworzona z żywiołów chrześcijańskich, musi mieć strony szlachetne i wzniosłe; — a jeżeli posiada i strony słabe, złe, zgubne nawet, jest to przymieszka złego nieunikniona, we wszystkiem, co ziemskie. To też pomiędzy tą cywilizacją a Kościołem mogą być trudności, ale nie walka, a tem bardziej nie walka na śmierć.

Walka na śmierć! walka dopóki jedna z dwóch stron nie padnie! To straszne określenie! Czyż myślicie, że Kościół chce zabić społeczeństwo tegoczesne? Albo czy sądzicie, że owo społeczeństwo jest w stanie zabić Kościół? Cóż tedy za przyszłość nam rokujecie? Wiem, co chcecie powiedzieć, że nadchodzi koniec świata. Przyzywacie go, pragniecie; w ten sposób chcecie rozstrzągnąć kwestję. Znaczy to, że stwarzacie położenie bez wyjścia, a potem szukacie z niego ucieczki w urojeniach. Zaiste, ładny sposób!

## I.

Nie kupiłem jeszcze książki: Zatarg Kościoła z tegoczesnem społeczeństwem. Nie wiem, na czem zasadza ona ten zatarg. Ale nie mogę przestać myśleć, o tem naszem społeczeństwie. Czyżby ono było istotnie tak złe, za jakie je podają? Czyż jest całkowitym błędem, całkowitem złem? Czyż nic już w niem nie przypomina macierzyńskiego, czystego łona Kościoła, z którego wyszło?

Może się mylę, ale według mnie ślepy tylko może nie dostrzec w społeczeństwie tegoczesnem wszystkich stron pięknych i wzniosłych, tego postępu, o którym ludzkość dotychczas marzyła tylko, ale nigdy go nie urzeczywistniła, a przynajmniej nigdy w takiej pełni i z takim blaskiem.

Wyliczymy tu główne z tych zdobyczy prawdziwej cywilizacji.

1. Wolność jednostek i zupełne bezpieczeństwo własności. Przypatrzcie się wiekom ubiegłym, zobaczcie, jak te dwa zasadnicze pierwiastki i podstawy wszelkiego cywilizowanego społeczeństwa, walczą z najrozmaitszemi przeszkodami, jak wybijają się na powierzchnię wolno i z trudnością; i powiedzcie, w jakiem społeczeństwie były kiedy tak powszechnie przyjęte i wprowadzone w życie.

2. Równość wszystkich obywateli wobec prawa. Wspaniały to krok na drodze postępu. Jesteśmy wszyscy równi, równi pochodzeniem, równi naturą, równi przeznaczeniem, równi w Adamie i w Chrystusie: dla czegóż nie mielibyśmy być równymi w obliczu prawa? A jednakże z jaką to trudnością, Kościół wprowadził tę piękną zasadę do życia społecznego! Starożytność przeciwstawiała jej swój podział na ludzi wolnych i niewolników; wieki średnie — podział na panów i poddanych; nowsze czasy — podział na szlachtę i chłopów, tworzących dwie kasty w jednym narodzie. Kościół przezwyciężył to wszystko. Któż to spowodwał ten ruch tak powolny, nieznaczny napozór, a tak nieprzeparty, który przez piętnaście stuleci

stopniowo usuwał wszystkie przegrody? Jaka siła tak zbliżyła powoli wszystkie klasy? Siła Tego, który powiedział: „Wszyscy jesteście braci[a]“[1]), czyli równi, nietylko przed Bogiem, ale przed ludźmi, tak w życiu obywatelskiem i społecznem, jak w życiu nadprzyrodzonem.

3. Dostępność urzędów publicznych dla wszystkich. Nikt mi nie zaprzeczy, jeżeli powiem, że to jest także klejnot ze skarbnicy Kościoła. Nikt zaiste wyżej nie postawił władzy, hierarchji, wszelkiego dostojeństwa, jak Kościół. Ale wszystko to dostępne jest wszystkim. Każdy wierny może zostać kapłanem; każdy kapłan — biskupem; każdy biskup może osięgnąć godność papieża. Niema tu ani kast, ani zamkniętych kół. Wszystko stoi otworem. Olbrzymia hierarchja Kościoła przeżywa wszystkie zasługi, zdolności i cnoty. Ale ileż jeszcze trudu miał Kościół, zanim doprowadził do dojrzałości w życiu społecznem, ten piękny owoc Ewangelji. Użył do tego nauki, przykładu, namowy, wpływu i nakoniec po wiekowych walkach, po cierpliwem wyczekiwaniu, do którego są zdolne tylko istoty nieśmiertelne, cel swój osiągnął. Wysławiają zdobycze roku 1889. Przyjmuję to wyraźnie z niezbędnemi zastrzeżeniami. Ale są to zdobycze Kościoła na ludzkiej pysze.

4. Sympatja dla cierpiących, miłość do maluczkich i ubogich; pociąg nieprzeparty, czasem źle skierowany, a nawet wyzyskiwany, ale wogóle szczery i gorący, do polepszenia ich losu, tak pod względem umysłowym i moralnym, jak materjalnym. Rzecz to zupełnie nieznana w starożytności, w społeczeństwie chrześcijańskiem zjawiająca się z początku ledwie, jako objawy pojedyńcze; — a która wnika powoli w obyczaje, wchodzi nareszcie do praw i nadaje nową cechę prawodawstwu tegoczesnego społeczeństwa.

5. A oto jeszcze rys znamienny poczucie godności człowieka. Społeczeństwo odczuwa wolność człowieka

[1]) Matth. XXIII, 8

i ma dlań poszanowanie. Szanuje go nawet w kolebce, nawet w łonie matki. Człowiek także czuje swoją wielkość; ma wysokie poczucie swojej godności. Ma je mężczyzna, ma je także niewiasta, tyleż co i mężczyzna, a czasem więcej jeszcze. Dzięki też temu odrzucono już wiele szkaradnych nadużyć. Mniejsza o to, że to poczucie ludzkiej godności jest u wielu ludzi albo źle zrozumiane, albo jałowe, przechodzące w pychę, albo pozbawione koniecznej podstawy — religji: dosyć, że istnieje; i w braku wszelkich innych cech, ta jedna byłaby wystarczająca, ażeby opromienić tegoczesne społeczeństwo, nieznaną dotychczas wzniosłością i pięknością.

Zaiste w tem wszystkiem niema miejsca na walkę, ani na niezgodę pomiędzy Kościołem a nowożytnem społeczeństwem. Wszystko to jest dziełem Chrześcijanizmu, wychodzi z łona Ewangelji i po wiekach oporu i walki, jest jej społecznym rozkwitem.

## II.

Ale są to główniejsze cechy tegoczesnego społeczeństwa. Ma ono jeszcze inne, niemniej piękne. Jedną z nich jest olbrzymi rozwój wszystkich nauk; namiętność wiedzy, śmiałość wnikania w najskrytsze tajniki przyrody, a przy tem wszystkiem tak szczęśliwe odkrycia, — że nie sposób jest obecnie przewidzieć, dokąd to dojdzie. Umysł ludzki musiał się kształcić wieki całe, zanim nabrał tyle gruntowności i równowagi, żeby mógł sobie pozwolić na tak śmiałą działalność.

A jednakże autor książki, którą właśnie kupiłem, tutaj widzi rozbrat pomiędzy Kościołem a tegoczesnem społeczeństwem. Kościół według niego, nie rozumie tego wielkiego ruchu naukowego. Nie kieruje nim, ponieważ brak mu światła; podejrzywa go, boi się, bo mu może brak siły. Nie koniec na tem. Jeżeli się dobrze rzecz zbada, prawdopodobnie znajdzie się, że Kościół ruch ten

potępia i zabiera się do zwalczania tegoż, ponieważ on mu się sprzeciwia.

Ile słów, tyle błędów. Kościół nigdy nie potępiał postępu nauk. Ani go potępia, ani się obawia. Kościół nie obawia się nauki, obawia się tylko półmędrków.

Kościół nie byłby tem, czem jest, gdyby nie posiadał głębokiego, bezwzględnego przeświadczenia o swej boskości. Nie zaprzeczycie, że wierzy on w swoją nieomylność. Otóż wiara ta nie dopuszcza takich obaw, o jakie go posądzacie. Wam się zdaje, że Kościół jest zaniepokojony, że trwożą go wasze badania ziemi i przestworów niebieskich, bo mogą doprowadzić do wyników sprzecznych z jego nauką. Ach, jakże go nie znacie! Owszem, badajcie, ile tylko zechcecie. Prawda jest jedna tylko, chociaż ma różne promienie. A wspaniały ów promień, zwany nauką, nie sprzeciwi się nigdy temu innemu promieniowi, zwanemu wiarą. Dążą one do zjednoczenia swojego blasku.

W istocie za wyjątkiem nieszczęsnej sprawy Galileusza, gdzie prawdziwa nauka weszła w zatarg z fałszywą egzegezą, a gdzie swoją drogą, nie widzimy żadnego rozstrzygnięcia wyrzeczonego w warunkach nieomylności — wskażcie mi jakikolwiek postęp naukowy, któryby nie miał poparcia Kościoła. Duchowni to w średnich wiekach wynaleźli busolę, proch strzelniczy, — odkryli obrót ziemi, ruch ciał niebieskich. Genjusze głęboko religijne: Kepler, Newton, Leibniz, Pascal, Malebranche stworzyły w w. XVII ów wielki prąd naukowy, za którym i my jeszcze obecnie podążamy. Wiara nie przeszkodziła żadnemu z nich w najśmielszych dociekaniach. Dzisiaj nazwiska takie jak Cuvier, Elie de Beaumont, Ampére, Biot, Cauchy, Claude Bernard, Quatrefage, Dumas, stawią nam przed oczy wiarę połączoną z nauką, wiarę całkowitą, gorącą, rządzącą życiem całem, albo przynajmniej wiarę odzyskaną na łożu śmierci, a nie wymagającą ani odwołania, ani zaprzeczenia ich prac naukowych.

I tak samo, jak Kościół nie krępował nigdy postępu wiedzy, postęp wiedzy nie krępował Kościoła. Czasem jakieś odkrycie niedokładne, cząstkowe, wydało się sprzecznem z jego nauką; ale skoro zostało należycie zgłębione i uzupełnione, zawsze ją potwierdziło. Ileż razy widziało to nasze stulecie! Jakimże podziwem byłby przejęty Bossuet, gdyby zobaczył, jak nauka tłumaczy owo stworzenie świata przed słońcem, które sprawiało mu tyle kłopotu. W prawdziwie cudowny sposób uchyla się stopniowo zasłona, kryjąca dzieło sześciu dni stworzenia. Co dziś jeszcze pozostaje niewyjaśnionem, będzie wyjaśnione w swoim czasie. Wie o tem Kościół. To też czeka, spokojny, o przyszłość. I ani przedwczesna radość nieprzyjaciół, ani mimowolny niepokój jego dzieci, nie mącą tej niezachwianej pogody ducha, cechującej istoty, które posiadają prawdę.

Jeżelibyście teraz zapytali Kościoła, dokąd zmierza ten wielki ruch naukowy, jakie zmiany spowoduje on w ustroju społecznym: odpowiedziałby, że tego nie wie. Gdyby spytano papieżów, św. Leona, św. Grzegorza Wielkiego, świętych biskupów Ambrożego, lub Augustyna, dokąd zmierza cesarstwo rzymskie, czy cesarze będą mieli dosyć sił do odparcia hord barbarzyńskich, albo czy będą przez nie pokonani, i jaką postać przybierze potem społeczeństwo: możeby ci wielcy ludzie wiedzieli coś o tem przez swój genjusz. Ale jako biskupi, jako papieże mówiący w imieniu Kościoła, nie wiedzieli nic. Tak samo gdyby w w. XIV, kiedy to zachwiała się budowa średniowieczna, kiedy pojawiły się pierwsze początki samorządu narodów, ktoś zapytał papieży i biskupów, dokąd świat dąży i na jakich podstawach odbuduje się przyszłość, odpowiedzieliby oni: Nie wiemy. Wiemy, jakie jest przeznaczenie wiekuiste dusz; nie wiemy, jakie będzie stopniowanie w rozwoju społeczeństw.

Nie szukajcie tedy u Kościoła rozstrzygnięcia, dokąd zmierza ten wspaniały postęp naukowy XIX stulecia, w jaki sposób przeniknie on masy i jakie zmiany na świe-

cie sprowadzi. Mówić wam to, nie jego jest rzeczą. Takie przewidywania, to pole do zaciekań się dla ludzkiego genjuszu. Kościół czyni swoje, przypominając wam bezustannie, że tylko sprawiedliwość podnosi narody, i że jeśli dusze psują się i poniżają, nadaremnie państwa zaopatrują się w armaty i wojska. Kościół jest jak latarnia morska, której światło wskazuje okrętom drogę, jaką powinny obrać, i niebezpieczeństwa, jakie im grożą: ale która ostrzegłszy, pozostawia im wolny wybór pomiędzy dobrą i złą drogą. Ich to będzie winą, jeżeli z ostrzeżenia nie skorzystają.

Pod względem więc naukowym, Kościół i społeczeństwo tegoczesne nie stoją w żadnej sprzeczności ze sobą. Przeciwnie, Kościołowi to zawdzięcza nasze społeczeństwo tegoczesne dojrzałość umysłową, karność ducha, umożliwiające mu ów wysoki polot, śmiałe dociekania, — a jako ich następstwa, te szczęśliwe wynalazki, które charakteryzują czasy obecne i są ich chlubą.

## III.

Badajmy dalej tegoczesne społeczeństwo. Uderza mię w niem jeszcze jeden rys znamienny: całość jego swobód publicznych[1]). Pozostawmy na stronie wolność religijną, której musimy się osobno bliżej przyjrzeć, i o której będziemy mówili później. Teraz przypatrzmy się tylko wolności politycznej i wyznajmy głośno, że nietylko, iż niema powodu obawiać się tu konfliktu: ale właśnie Ewangelji, Kościołowi, zawdzięczają społeczeństwa rozwój swobód

[1]) Kiedy mówimy o swobodach i instytucjach, cechujących tegoczesne społeczeństwo, rozumiemy je w samej ich treści, w ideale pojętym po chrześcijańsku, tak jakby mogły i powinny być urzeczywistnione w narodzie katolickim; a nie tak, jak je zazwyczaj praktykują obecnie, kiedy nasi prawodawcy i rządzący są prawie wszyscy przejęci duchem rewolucyjnym, najgorszym wrogiem tegoczesnego społeczeństwa.

politycznych, i to rozwój nie zagrażający ich bezpieczeństwu.

Czytajmy, co pisze o tem św. Tomasz. Ten wielki umysł i wielki święty, rozmyślając w ciszy, szuka politycznego ideału społeczeństwa, i oto, na czem go zasadza: „Dobra organizacja polityczna wymaga jednej rzeczy, oto iżby wszyscy mieli jakiś udział w rządzie: ut omnes aliquam partem habeant in principatu". To jest, dodaje, „prawdziwy sposób, żeby zachować spokój w narodzie i żeby cały naród kochał swoją konstytucję i bronił takowej. Ut omnes talem ordinationem ament et custodiant"[1]). To jest ideał. W istocie, nic doskonalszego nie można obmyśleć. Otóż tegoczesne społeczeństwo dąży do urzeczywistnienia tego ideału, tak wzniosłego i godnego chrześcijańskich narodów, niemożliwego przed Ewangelją i bez niej. Pracuje ono nad tem zadaniem z gorliwością, czasem źle skierowaną i za pomocą instytucji obmyślanych często niedość przezornie, które prowadzą dalej, niż się iść zamierzało, i spowodowują chwilowo stan chorobliwy. Ale żadna z tych instytucji nie jest zła sama w sobie, ani przeciwna prawu Bożemu; a przeto żadna z nich nie może sprowadzić na posługujące się niemi społeczeństwo potępienia Kościoła.

Zbadajmy owe instytucje z tego punktu widzenia. Nic nad nie ważniejszego i bardziej zasługującego na uwagę czytelnika.

Pierwszą z nich jest kontrola władzy przez zgromadzenia obradujące. Zadaniem tych zgromadzeń jest przedewszystkiem, uchwalanie dochodów państwowych, oraz rozporządzanie niemi; a powtóre kontrola postępków władzy, tyczących się czci kraju na zewnątrz, a bezpieczeństwa wewnątrz. Nie myślę, iżby ktokolwiek znajdował w tem coś złego, coś przeciwnego prawu Bożemu. Takie zgromadzenia istniały we Francji zawsze; usuwane by-

[1]) Summ. 1-a, 2-ae, quaest. CV, art. I.

wały tylko z jej szkodą i wstydem. Nie będę zaprzeczał, że w niektórych chwilach naszej historji, przywłaszczyły one sobie zbytnią władzę, ze szkodą władzy królewskiej; że przywłaszczając niezależną sobie władzę, stały się winne wielu nadużyć; że w innych znowu okresach czasu, przez nadużycie słowa nieciły i podtrzymywały w kraju niepokój i niezadowolenie. Ale nie w tem rzecz. Chodzi nam o to, czy owe zgromadzenia są same przez się instytucją złą, przeciwną prawu Bożemu, czyli też nie. Oczywiście, że nie. A skoro nie, zatem gdzie indziej szukać należy przyczyn, dla których Kościół miałby, jak mówią, społeczeństwo tegoczesne potępiać.

W dawnej Francji, członków tych obradujących zgromadzeń, wyznaczało zawczasu ich urodzenie i klasa, do której należeli. Dzisiaj, kiedy zniknął rozdział stanów, są oni wybieralni. Prawo wyboru, ograniczone z początku, przysługuje dzisiaj wszystkim. I to właśnie nazywa się g ł o s o w a n i e m p o w s z e c h n e m. Oto druga instytucja, zapomocą której społeczeństwo nowoczesne dąży do urzeczywistnienia ideału społeczności politycznej, wskazanego przez św. Tomasza: „U t o m n e s a l i q u a m p a r t e m h a b e a n t i n p r i n c i p a t u".

Nie mojem jest zdaniem badać, czy to śmiałe przedsięwzięcie nie było przedwczesnem; czy to, co jest możliwem w małym kraju, jak Szwajcarja, może być urzeczywistnionem w narodzie tak licznym, jak francuski; czy lud dojrzał pod względem oświaty i moralności do czynności tak delikatnej: są to wszystko rzeczy, podlegające kompetencji mężów stanu i których tutaj rozstrzygać nie będziemy. Nam tutaj chodzi o to jedynie, czy głosowanie powszechne samo przez się jest złem, przeciwnem prawu Bożemu, zasługującem na klątwę Kościoła? Któż śmiałby to utrzymywać? Nietylko, że nie jest ono złem, ale według mnie zbyt dobrem i pięknem. Jest to wspaniały owoc Ewangelji, którego używanie winno być zaszczytem i przywilejem odrodzonej ludzkości.

Kościół zawsze posługiwał się głosowaniem powszechnem; i dzisiaj się niem posługuje. Większa część jego zakonów niem się rządzi. Cóż może być piękniejszego, prawdziwszego i sprawiedliwszego, nad powszechne głosowanie, kiedy dusze głosujących są prawe, pragnące jedynie dobra ogółu, a nie myślące o swojej korzyści. Jeżeli w jakimś narodzie okazuje się ono niedobrem w skutkach, jestże to winą samej instytucji? Bynajmniej; pochodzi to z niewiadomości i namiętności ludzi, którzy się nią posługują. Prawidło ogólne: im więcej chrześcijańskiem będzie dane społeczeństwo, tem bardziej będzie się nadawało do zaprowadzenia w niem powszechnego głosowania. A jeżeli przeciwnie, w chwili zaprowadzenia go w społeczeństwie, pracujecie nad wygnaniem z tegoż społeczeństwa Boga, to znaczy cnoty, zapomnienia o sobie, poświęcenia swoich interesów dobru publicznemu; jeżeli naokoło urn wyborczych zgromadzacie nie sumienia, ale wzburzone namiętności: wtenczas głosowanie powszechne, pozbawione swojego hamulca i światła, zwróci się przeciwko społeczeństwu i stanie się zgubą jego. Wtedy ujrzymy, jak niepomne na honor, oddane na łup przewrotnych instynktów, będzie szukało ludzi potępionych przez prawo, przez władzę i przez sumienie ogółu, im oddając pierwszeństwo. Wkrótce trudno będzie być dość nieuczciwym, ażeby pozyskać większość głosów. I zatrwożone społeczeństwo ze wstrętem odrzuci tę zgubną w skutkach instytucję. A raczej nie mogąc jej odrzucić, (bo postęp ma to do siebie, że skoro się uczyniło krok naprzód na jego drodze, niemożna już się wstecz cofnąć), będzie szukało dla niej wędzidła, hamulca, — nie znajdzie żadnego poza obrębem Kościoła, — własnym kosztem dojdzie do przekonania, że nie można mieć korzyści z owoców Ewangelji, ścinając samo drzewo, i nie można cieszyć się chwałą swobód publicznych, odrzucając religję, która je na świat wydała i która sama tylko nadaje im całą wartość.

Społeczeństwo nowoczesne, uważając, że niedość jeszcze urzeczywistnia ideał politycznej społeczności, gdzieby

wszyscy mieli udział w rządzie: Ut omnes aliquam partem habeant in principatu, — do instytucji wyżej wymienionych: zgromadzeń prawodawczych, — narodowego, departamentowego i gminnego, — wybranych przez ogólne głosowanie, dodało prawo pozwalające każdej jednostce, wygłaszać publicznie swoje zdanie o przebiegu spraw publicznych. I to jest tak zwana wolność prasy. Jest ona zamieszczona we wszystkich konstytucjach, jakie u nas były od roku 1789. Z Francji rozeszła się wszędzie i niema już prawie kraju, gdzieby nie panowała, i nie panowała wszechwładnie.

Cóż trzeba myśleć o wolności prasy? Nie pytam, jakie zdanie winienem mieć o niej jako obywatel kraju: czy w danym kraju, przy danym charakterze narodu i jego obecnem prawodawstwie może to być instytucja szkodliwa, czy użyteczna: nie chodzi mi o tę stronę kwestji. Mówię jako chrześcijanin, jako kapłan. W imię wiary, w imię religji pytam: „Jest-li to instytucja zła sama w sobie, przeciwna prawu Bożemu? Może w niej nareszcie znaleźliśmy ową przyczynę, dla której, według tyle utartego zdania, Kościół nie będzie się mógł nigdy pogodzić z nowożytnem społeczeństwem?"

Jeżeli pod wolnością prasy będziemy rozumieli prawo przyrodzone, poprzedzające wszystkie instytucje i nad nie wyższe, wyrażania słowem, pismem i drukiem i ogłaszania wszelkich swoich myśli, jakiekolwiekby one były, o wszystkiem bez wyjątku, bez żadnego ograniczenia, zapewne, taka wolność jest występną, przeciwną wierze, moralności, zdrowemu rozsądkowi, wielokrotnie przez Kościół potępiona i na to potępienie zasługująca. Zobaczymy, że nieinaczej pojmuje ją rewolucja; dotąd wszelako taką wolność prasy udało się jej wprowadzić do jednej tylko z naszych konstytucji, a mianowicie z roku 1793. Ale usuńmy te nadużycia. Przypuśćmy, że wolność prasy jest ograniczana przez dobre prawa, podległa nadzorowi bacznego i mądrego rzą-

du, — że z przekroczeń swoich musi zdawać rachunek przed trybunałami, — cóżby było w takiej wolności złego, przeciwnego wierze, ściągającego na nowożytne społeczeństwo gromy Kościoła? Nic oczywiście.

Przyznacie mi, chyba, że żadne społeczeństwo nie istniało nigdy, ani istniećby mogło, bez wolności wypowiadania swoich przekonań. Ucisk w tym względzie nie doprowadza do niczego dobrego, nie czyni bynajmniej zaszczytu poddającemu się mu narodowi i wreszcie nie może być nigdy długotrwałym. Przyznacie również, że gdyby wolność prasy była ograniczoną przez prawa mądre, sprawiedliwe, niedopuszczające w niej żadnych wybryków, karcące wszelkie przekroczenia; gdyby dbano o to, ażeby korzystać z niej mogli tylko ludzie godni tego zaszczytu, i gdyby ludzi bez czci i wiary nigdy do niej nie dopuszczano, — to wolność prasy, zamiast być zgubną, przeciwnie, mogłaby być zbawienną, mogłaby zapobiegać wielkim nadużyciom, wskazywać niezbędne ulepszenia, niejako do nich zmuszać, — i przyczyniać się dzielnie do rozwoju umysłów i postępu społeczeństw.

Piękny przykład tego przedstawia nam Kościół. Każdy musi przyznać, że żadne społeczeństwo nie przechowuje swoich podstawowych zasad, w stanie takiej nienaruszalności, jak on właśnie. Nikt nie tknie w nim bezkarnie żadnego dogmatu, sakramentu, żadnego szczegółu ogólnej karności. Wszystkie podstawy są nienaruszalne. Ale poza tem jakaż swoboda przekonań! Przypatrzcie się tylu szkołom teologicznym; ileż tam rozpraw, ile przeciwnych sobie systemów, jak gorąco broni się tam swojej nauki, z jakim zapałem wyznaje się i głosi zasady obranego przez się mistrza! Czasem walka stawała się tak żywą, że Kościół dla utrzymania pokoju widział się zmuszonym nakazać milczenie. W innych znowu wypadkach, zabraniał tylko zbyt gwałtownych określeń. Ale najczęściej pozostawiał walczącym zupełną wolność; i ta wolność słowa, rozpraw, szkół, wzniosła ów wielki gmach

teologji katolickiej i wzniosła z całem bezpieczeństwem, ponieważ podstawowa doktryna była nienaruszalną. Gmach ten i dziś jeszcze wzrasta w ten sam sposób i przez taką samą wolność. Owóż jeżeli taka wolność, naturalnie obok niezbędnej ostrożności, jest dozwoloną w Kościele, dlaczegóż nie miałaby być dozwoloną w państwie, które pomocy Bożej ma mniej niż Kościół, a nawet nie ma jej wcale, — musi zatem rządzić się jedynie światłem ludzkiem, a więc może być tylko wdzięczne tym, którzy mu go udzielają?

Zatem wolność prasy sama w sobie, przy należytych środkach ostrożności i unikaniu nadużyć, — zła nie jest. Dobrze zrozumiana i mądrze w czyn wprowadzona, jest użyteczna i w pewnej mierze — niezbędna.

Zrobiwszy to zastrzeżenie, łatwiej nam wypowiedzieć całą myśl naszą. Wolność prasy, jak i wszelka wolność publiczna, wypływa z Ewangelji. Powstała ona ze słowa, które odkupiło ludzkość; z najdroższej krwi, która zmniejszyła złe instynkty ludzkości tej i przywróciła na ziemi możliwość panowania dobru. Ale wolność ta jest może ze wszystkich najdelikatniejszą, — potrzebuje do życia atmosfery najczystszej. Kwiat to przepiękny, wykwitły z Ewangelji i tylko w jej słońcu mogący rozkwitać, a bez niej wyradzający się i zatruwający społeczeństwo.

Gdyby nawet nie wykazywało tego doświadczenie, mówi to sam rozum. Im mniej chrześcijańskiem jest dane społeczeństwo, tem bardziej mnoży się w niem gatunek ludzi żądnych wyniesienia, rozpustnych, chciwych, nieprzyjaciół Boga i dusz. Otóż prasa jest dla nich tem schronieniem, jakiego potrzebują. Ukrywa ich pod osłoną bezimienności, pozwalając im z poza łamów dziennika, jakby z poza węgła, miotać pociski w dusze ludzkie i w społeczeństwo.

Z drugiej znów strony w miarę zmniejszania się wpływu religji, zmniejsza się wogóle siła odporna społeczeństwa. Władza nie jest już dostatecznie silna, prawo dostatecznie szanowane, sumienie publiczne dość delikat-

ne, obyczaje dość czyste, ażeby ogólne potępienie i represja prawna tłumiły nadużycia prasy. Prasa opanowuje społeczeństwo, a jednocześnie zaczyna się jego rozkład, jak to dziś widzimy aż nazbyt często. Czegóż nie chwytano się już od lat osiemdziesięciu, ażeby tę prasę powstrzymać i nią pokierować! A czegóż dokazano? System zapobiegawczy zapomocą cenzury; system karny zapomocą trybunałów i sądów przysięgłych; system kaucji, ostrzeżeń, obowiązujących podpisów i t. p.: prasa drwi sobie ze wszystkiego. Społeczeństwo było zawsze pokonanem. To coś nakształt walki byka z rojem os. Wspaniałe zwierzę gniewa się, uderza nogą o ziemię, rzuca się naoślep przed siebie z nastawionymi rogami, pieni się. Próżne wysiłki. Skłuty, pokaleczony, będzie musiał paść pod tysiącem żądeł nieuchwytnego wroga.

Takie jest położenie obecne. Wolność prasy jest to rzecz byt doskonała, ażeby mogła istnieć bezkarnie w społeczeństwie już niechrześcijańskiem. Takie społeczeństwo potrafi jeszcze pozbyć się bandytów grasujących po jego gościńcach: ale nie da sobie rady z bandytami, grasującymi w jego prasie.

Cóż wobec tego czyni Kościół? Ubolewa on i płacze, widząc społeczeństwo tak słabem, znoszącem takie nadużycia. Ostrzega je przed grożącem mu niebezpieczeństwem. Przychodzi mu na pomoc, potępiając tę nieograniczoną wolność prasy. Owo mniemane prawo, starsze i wyższe rzekomo od wszelkich konstytucji, prawo ogłaszania swoich przekonań, jakiekolwiekby one były, bez żadnego ograniczenia ani kontroli, piętnuje on jako fałszywe, niedorzeczne, przeciwne tak rozumowi, jako też i wierze, — jednem słowem, zasługujące na potępienie. Ale zawsze mądry i pełen umiarkowania, jako kierowany przez Ducha Bożego, nie posuwa tego potępienia za daleko, nie gani wolności prasy w pewnych granicach, strzeżonej i hamowanej przez dobre prawa; a szczególniej nie ciska z jej powodu gromów na społeczeństwo tegoczesne.

Streszczając tedy to, cośmy powyżej wyłuszczyli, żadna ze swobód publicznych, tworzących jakgdyby rusztowanie, szkielet, podtrzymujący budowę nowoczesnego społeczeństwa, — żadna nie jest sama przez się złą, żadna nie sprzeciwia się prawu Bożemu. Wszystkie dobrze pokierowane byłyby użytecznemi. Wszystkie wyrosły z Ewangelji, której stanowią urzeczywistnienie społeczne. Ale — i to jest ich zaszczytem, — wszystkie mogą dawać dobry i pożądany owoc, jedynie w społeczności przejętej duchem Ewangelji.

## IV.

Jeszcze jedna kwestja, drażliwsza nad poprzedzające: swoboda religijna. Pod tem wyrażeniem, rozumiem tak wolność wyznań, jak i sięgając głębiej, wolność sumienia. Może tu znajdziemy nakoniec przyczynę, dla której Kościół nie zgodzi się nigdy z nowoczesnem społeczeństwem.

Zapewne, zwiększanie się liczby wyznań, bezwarunkowo nie może uchodzić za rzecz dobrą. Najlepiej ażeby wszystkie dusze miały jednego tylko Boga, jedną wiarę, jeden chrzest, jeden Kościół, jedną wspólną drogę do wieczności, z której wyszły. Rozum, serce, sumienie, powtarzają za Jezusem Chrystusem: „Mój Ojcze, niechaj będą jedno!"

Gdyby zatem wolność wyznań zapanowała, jako wyraz uznania dla ich mnożenia się; gdyby społeczeństwo tegoczesne oświadczyło, że daje wszystkim wyznaniom swobodę, ponieważ wszystkie są zarówno prawdziwe; takiej wolności niepodobnaby było przyjąć. Ale rzeczy nie tak się mają; wolność wyznań narzuciła się sama jako konieczność, jako wynik okoliczności, wobec których wszelki opór ludzki był niemożliwym.

Wyznanie żydowskie pierwsze wywalczyło sobie swobodę. Przez swą niepokonaną żywotność znużyło rządy,

zmusiło je niejako do przyznania mu prawa do życia. Niepodobna przecież zawsze zabijać i deptać. I jeśli wyznanie żydowskie jest wolne, społeczeństwo chrześcijańskie za to nie odpowiada, bo nie ono dało mu wolność, tylko tamto wzięło ją sobie samo. Zresztą na długo przedtem, zanim rządy uległy, Stolica Apostolska dała im sama przykład, udzielając prześladowanym żydom schronienia, w którem przedewszystkiem korzystali ze swobody wyznania.

Wyznanie protestanckie zdobyło sobie miejsce jeszcze energiczniej. Po rozszerzeniu się w wyższych klasach społeczności francuskiej, chwyciło za broń i zaczęło domagać się prawa istnienia. Wojna trwała długie lata; protestantyzm nie dawał się pokonać. Była nawet chwila, kiedy o mało, że nie zasiadł na tronie; a kiedy katolicyzm przez zrządzenie Boże, odebrał mu księcia, przez którego miał zagarnąć władzę: książę ten nadał niemniej protestantyzmowi wolność, zdobytą przezeń ostrzem miecza i której dłużej mu odmawiać nie można było. Podpisano edykt Nantejski ku radości całej Francji, zmęczonej i wyczerpanej przez walki religijne. Że zaś to był akt politycznej konieczności, świadczy o tem to, że kiedy Ludwik XIV, po osiemdziesięcioletniej przerwie, chciał przywrócić jedność wiary w państwie, przez ponowne wygnanie protestantów, — nie mógł tego dokazać. Po raz drugi miecz wypadł z rąk Francji katolickiej, i była zmuszoną przyznać wolność sumienia protestantom.

Odtąd nie dała na tej drodze nowego kroku. Trzy tylko są we Francji uznane wyznania: wyznanie katolickie, wyznanie protestanckie i wyznanie żydowskie; i oba ostatnie zawdzięczają swe uznanie okolicznościom, o które rozbił się i zawsze rozbijać się będzie wszelki opór ludzki. Wszelkie marzenia o jedności religijnej, muszą tymczasem pozostać marzeniami. I w jakiż sposób Kościół mógłby wyklinać tegoczesne społeczeństwo za fakt, któremu katolicka Francja musiała się poddać nie będąc w stanie mu zapobiec? Wolność wyznań, to tylko traktat pokojowy

po walkach, które powinny być na zawsze zaniechane. Nie rozstrzyga ona bynajmniej, kwestji prawdziwości lub też fałszywości różnych wyznań. To nie zasada, to fakt.

Zapewne, można ubolewać, że naród taki, jak Francja, liczący około czterdziestu miljonów katolików, a tylko pół miljona protestantów i ledwie dwieście tysięcy żydów, nie daje świadectwa swojej wierze, przynajmniej głosząc, jak w konkordacie z r. 1801, że „religja katolicka jest wyznaniem znacznej większości Francuzów"; przez co wolność innych wyznań nabrałaby charakteru szlachetnej gościnności; ale nie o to nam chodzi. Chodzi o to, czy wolność wyznań taka, jaka zapanowała we Francji, nie jako zasada, ale jako fakt, jest niedozwolona, grzeszna, ściągająca na społeczeństwo nowoczesne potępienie Kościoła? A któżby śmiał to utrzymywać? Czyż Stolica Apostolska nie dawała urzędowego pozwolenia, na przysięgę wierności różnym konstytucjom, np. konstytucji z r. 1830, w skład których wchodzi przecież swoboda wyznań? Jeżeli zatem Kościół nie może się zgodzić z tegoczesnem społeczeństwem, to przyczyną tego nie jest także i wolność wyznań.

Pozostaje jeszcze wolność sumienia; otóż mimo, że przedmiot jest tak drażliwy, kilka słów wystarczy dla wykazania, że i na tym gruncie nie będzie, a nawet być nie może żadnego konfliktu, między Kościołem a nowoczesnem społeczeństwem.

Zaiste, wobec Boga nie może być żadnej wolności sumienia. Wobec prawdy i błędu, dobra i zła, objawionych, znanych jest tylko możliwość — nigdy prawo — wyboru.

Zaiste też Kościół, jako przedstawiciel Boga i depozytarjusz skarbu prawdy, nie może uznawać wolności sumienia. Według jego nauki, każdy człowiek rodzi się poddany prawdzie i jej prawom, obowiązany do wykonywania tych praw w takiej mierze, w jakiej mu są wiadome. Dlatego Kościół chrzci nowonarodzone dziecko, wiedząc, że nie odbiera mu żadnej prawowitej wolności su-

mienia i nie czyni mu żadnej krzywdy, ale przeciwnie wyświadcza mu wielkie dobrodziejstwo, wprowadzając jak najśpieszniej do królestwa prawdy.

Ale czyż to, co mówimy o Bogu i o Kościele, a mianowicie, że wobec nich, jako wobec źródła albo nieomylnego depozytarjusza prawdy, nie może istnieć wolność sumienia, — da się powiedzieć i o państwie? Zapytajcie samego Kościoła, czy państwo, na mocy swojej tylko władzy, ma prawo krępować moją swobodę religijną? Odpowie wam, że nie. Bo gdyby państwo miało kierować swoimi poddanymi w kwestjach religji, musiałoby samo móc pewnie, nieomylnie o prawdzie wyrokować. Czynili to wprawdzie królowie chrześcijańscy, ale czynili to oni jako upełnomocnieni przez Kościół, a nie na mocy prawa przywiązanego do ich królewskiej korony. Kościół czynił z nich niejako swoich zewnętrznych biskupów, i oni dawali mu zbrojne poparcie. Ale kiedy państwo jest odosobnione od Kościoła, skądże ma prawo do przepisywania mi prawd, w jakie mam wierzyć? Tyle wiem w tej kwestji, co i ono. A kiedy jeszcze państwo, tak jak dzisiaj, składa się kolejno a nawet jednocześnie z katolików, protestantów, żydów, racjonalistów, ludzi bez żadnej religji! Powiecie, że to jest nieszczęście. Naturalnie, i bardzo wielkie nieszczęście. Ale jakże je zmienić? Tymczasem, w warunkach obecnych, wolność sumienia przedstawia się jako nieruchoma konieczność. Jedyne to urządzenie dzisiaj możliwe. Kościół to widzi, i na tym także punkcie nie może powstać żadne rozdwojenie pomiędzy nim a nowoczesnem społeczeństwem.

## V.

Ma jednakże społeczeństwo tegoczesne skazę, ma szczelinę w jednolitości swej budowy; ale ta skaza w niem nie jest wrodzona, tę szczelinę można naprawić. Temu całokształtowi swobód publicznych brakuje jednej rzeczy:

wykończenia. A wykończeniem tem winnoby w niem być ogólne i publiczne oddawanie czci Temu, który stworzył człowieka i społeczeństwo, urzędowe uznanie praw Boga, najwyższego Pana tak narodów, jak i jednostek, i Jezusa Chrystusa, któremu zostały oddane w dziedzictwo wszystkie narody. Tego wykończenia nie wszędzie jednak braknie w nowoczesnem społeczeństwie. Nie braknie go w Anglji, ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Prusach, ani w Bawarji, ani w Holandji, ani w Belgji... Niezawsze też brakowało go we Francji. Bo też żadna ze składowych części społeczeństwa francuskiego nie jest mu przeciwną. Owszem, wszystkie się go domagają. To jakby wspaniały Kościół, któregoby szczyt obalono. Gmach jest jeszcze piękny, wzniosły, ale niewykończony. Nie straciłby nic, tylkoby zyskał, gdyby mu przywrócono jego nadpowietrzną wieżycę.

Że tak się rzecz ma z nowoczesnem społeczeństwem, można się o tem przekonać, czytając memorjały podane przez duchowieństwo, szlachtę i stan trzeci w r. 1789. Te memorjały, to metryka urodzenia nowoczesnego społeczeństwa. Tam widzimy, jak duchowieństwo, szlachta, cały naród pragnie, domaga się wszystkich owych publicznych swobód i instytucji, składających społeczeństwo tegoczesne: perjodycznych zgromadzeń narodowych; naznaczania podatków przez nie wyłącznie; ogólnego głosowania; wolności prasy, przy powściąganiu jej nadużyć; dożywotności urzędów; bezpłatnego wykonywania sprawiedliwości i t. d. W żadnym z tych memorjałów nie widać przypuszczenia, iżby te doniosłe instytucje mogły stać w sprzeczności z religją całego narodu. Owszem, musi wszystko być z sobą w harmonji. Pragną wolności, ale pod kierunkiem i opieką religji; pragną, iżby prąd młodej wolności był ograniczany i osłaniany przez dwa sędziwe brzegi: władzę królewską i religję. Taka była myśl ogólna. Przyznają to sami Quinet i Taine.

Że ono połączenie wolności z religją, tak wszędzie pożądane i upragnione, było możliwem i być niem nie

przestało, pokazuje przykład narodów, które wyżej wymieniłem. Pokazuje to także uważne zbadanie naszych swobód. Żadna z nich, ani nawet swoboda wyznań nie sprzeciwia się publicznemu, narodowemu uznaniu religji przez państwo. Żadna nie sprzeciwia się modlitwie wielkich Zgromadzeń reprezentujących naród francuski, ani prawu niedzielnego odpoczynku, zaprzestania pracy w dniu Bogu poświęconym. Żadna nie wymaga, iżby małżeństwo religijne nie miało wcale wartości wobec władz krajowych; i tak społeczeństwu jak i rodzinom wyszłoby tylko na dobre, gdyby państwo uznawało ceremonję małżeństwa kościelną za wystarczającą i pod względem cywilnym. Społeczeństwo nowoczesne nie odtrąca tedy bynajmniej religijnego swego wykończenia, więc też brak owego wykończenia nie może stanowić przeszkody niepokonanej, do żadnego porozumienia się niedopuszczającej. Cień to przypadkowy jedynie, skutek słabości katolików, którego usunięcie leży w ich mocy. Niech pracują nad uszlachetnieniem ducha ogółu, nad wprowadzeniem wiary w obyczaje i prawa; a przyjdzie czas, kiedy pokonawszy wszystkie trudności, będą mogli wznieść krzyż na szczycie nowoczesnego społeczeństwa. Nie będą potrzebowali poruszyć na to, ani jednego kamienia społecznej budowy.

## VI.

W skład społeczeństwa nowoczesnego wchodzą żywioły rozmaitego rodzaju.

Są w niem naprzód części wspaniałe, zrodzone z Ewangelji i stanowiące bezsprzecznie społeczne jej urzeczywistnienie, których rozwój, powolny ale ciągły i nie dający się przytłumić, a i dziś jeszcze nieskończony, mimo że wysoko posunięty, możemy śledzić przez ciąg dziewiętnastu stuleci.

Są też inne części, również wspaniałe, równie z Ewangelji zrodzone, ale może przedwcześnie wprowa-

dzone do teraźniejszego społeczeństwa i przy obecnych warunkach prawie niemożliwe do urzeczywistnienia, a przynajmniej potrzebujące, jeśli mają być nieszkodliwe, ale użyteczne — iżby duch chrześcijański przeniknął głębiej do wszystkich klas społecznych.

Są nareszcie i części niebezpieczne, które nie z Ewangelji wyszły i nie mogą być uważane za postęp; które powstały ze smutnych starć i które należy przyjmować jako bolesne, lecz niemniej pożyteczne i potrzebne m o d u s v i v e n d i.

To są główne pierwiastki nowoczesnego społeczeństwa. Społeczeństwo to biorąc je w samej jego treści i oddzielając odeń zło przypadkowe, treści jego nie stanowiące, — jest jeszcze najmniej niedoskonałem ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały. Przewyższa o wiele cesarstwo rzymskie, nawet chrystjanizowane przez Konstantyna i Teodozjusza; przewyższa średniowieczne społeczeństwo feudalne, z jego brakiem bezpieczeństwa osób i własności, jego niegodziwym podziałem ludzi na wolnych i poddanych, brutalstwem jego obyczajów i wadliwym wymiarem sprawiedliwości; przewyższa o wiele nawet absolutną monarchję Ludwika XIV z różnemi jej nadużyciami.

Talleyrand mówił: „Rewolucja obejdzie świat wokoło" Za pozwoleniem tego przenikliwego badacza: nie rewolucja to, ale nowoczesne społeczeństwo obejdzie świat wokoło. Już panuje ono wszechwładnie we Francji, w Anglji, w Stanach Zjednoczonych. Dostało się do Włoch, Hiszpanji, Prus, Austrji. Nie mogła przed niem zawrzeć bram Rosja, teraz zdobywa ono nowe bramy Konstantynopola i weszło właśnie do Japonji. Nic nie zdołało mu się oprzeć i nic nie zdołało zmusić je do odwrotu. Gdyby na tronie Francji panował Karol Wielki, albo święty Ludwik, musieliby przyjąć je w jego głównych zarysach. Mogliby je udoskonalić, ale nie zburzyć. Przez chwilę tylko, na początku naszego wieku można było mniemać, że owa powszechna zmiana praw i instytucji jest tylko przypadkową, wynikiem przejściowej mody; poczem stare społe-

czeństwo odzyszcze prawa swoje. Dzisiaj rozumiemy, żeśmy się mylili. To początek nowej epoki. A epoki trwają czasem i lat tysiąc.

Widziało to papiestwo jak my, i lepiej i pierwej od nas. To też nigdy nie stanęło wrogo wobec tego, co stanowi samą jego istotę; nigdy nie powiedziało, że nie będzie mogło z niem się zgodzić. Przeciwnie, uznało je urzędowo, traktowało z jego przywódcami; zezwalało na przysięgę jego konstytucjom. Bezustanku osłaniało je i broniło, a od kogo?... Od jego najgorszego wroga — rewolucji.

Cóż to jest rewolucja? Trzeba starać się zbadać to do głębi. Dobre zrozumienie tej kwestji może rzucić wielkie światło, na położenie przedstawiające tyle nieporozumień.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### Wielki wróg nowoczesnego społeczeństwa: rewolucja.

Rewolucja nie jest to nowoczesne społeczeństwo, to rak, który je toczy.

Rewolucja nie utworzyła nowoczesnego społeczeństwa, ale omal go nie zdławiła w kolebce jeszcze, i teraz stanowi jego żywioł rozkładowy.

Rewolucja nie zrodziła się z Ewangelji; zrodziła się mimo Ewangelji, z namiętności przez Ewangelję potępionych. Jest jej przeciwieństwem i pała do niej nienawiścią.

Ten, kto to rozumie, przejrzy jasno w straszliwych ciemnościach chwili obecnej i wytłumaczy sobie zachowanie się Kościoła. Kościół nowoczesnego społeczeństwa nie potępiał nigdy, ale rewolucję potępił wielekroć i zawsze będzie ją potępiał.

Pomiędzy Kościołem a społeczeństwem tegoczesnem, jest możliwość porozumienia się; pomiędzy Kościołem a rewolucją — żadnej. Albo Kościół zabije rewolucję, albo ona Kościół. Śmiertelny to pojedynek.

Czemże jest tedy rewolucja?

Przedewszystkiem rewolucja — to idea: gdyby nie to, nie wstrząsałaby tak światem. Następnie, to idea przeciwna wyraźnej nauce Kościoła; to herezja jak arjanizm, jak pelagjanizm, która jak wszystkie wielkie herezje będzie miała swój przebieg, zrobi może więcej szkód od innych, bo nastaje na same podstawy społeczne; ale która, jak i inne herezje, nie ostoi się przed wszechmocnymi gromami Kościoła.

W całkowitej ewolucji idei rewolucyjnej są trzy stadja, następujące po sobie. Liberalizm: doktryna wyznawana przez tych, którzy przez zdrowy rozsądek lub bojaźliwość zatrzymują się w pół drogi. Następnie radykalizm, zagrażający nam obecnie: doktryna tych, którzy przez namiętność albo logikę idą aż do końca. I nareszcie socjalizm, który ostrożnie utwierdza się w zajętej pozycji i oczekuje przyszłości.

A na przekór wszystkim zaprzeczeniom, ta trójca stanowi jedność. Z pierwszego wynika drugi, a z drugiego — trzeci. Wszystkie zaś razem są tem, co określiłem mianem r a k a nowoczesnego społeczeństwa i byłyby tego społeczeństwa całkowitą zgubą, gdyby nie Kościół. Rozpatrzmy rzecz szczegółowo, bo oto jesteśmy wobec palącej kwestji społecznej.

## I.

Gdyby rok 1789 zastał był Francję do głębi chrześcijańską, wszystkie dobre zarodki, o których mówiliśmy w rozdziale poprzedzającym, rozwinęłyby się w niej bez przeszkody. Każda instytucja powstałaby z instytucji, która ją poprzedziła, jako krok dalej na drodze postępu; każda swoboda pojawiłaby się z potrzebnym hamulcem i równoważnikiem, i gdyby Zgromadzenie narodowe ogłosiło wówczas swoje zasady, mielibyśmy piękny i chrześcijański wykład praw Boga i obowiązków człowieka.

Na nieszczęście wiek XVIII był ze wszystkich wieków najkapryśniejszy, a zarazem najbardziej zepsuty. Dał się opanować sofistom, utopistom i marzycielom. Około 1789 r. pojęcia w klasach wyższych ulegały zupełnemu spaczeniu. Przyjęto za pewnik, że się jest „w wieku oświeconym"; że nadszedł nareszcie „wiek rozumu"; że dotychczas rodzaj ludzki był „w dzieciństwie"; że teraz jest „pełnoletni"; że przyszedł czas „znieść granice" i „panowanie kłamstwa" zastąpić „panowaniem prawdy".

Owo „kłamstwo" miało być religijne i społeczne. Był to naprzód Chrystjanizm, jego nauka, moralność, obrzędy, historja, księgi święte. Wszystko to wyszydzano. Wszystko uważano za błąd, łatwowierność, zabobon, bajki niegodne ludzi rozumnych, straszliwą przeszkodą w postępie ludzkości; bo przecież tak utrzymywali Wolter, Diderot, d'Alembert, Lamettrie, Helwecjusz. A ponieważ Chrystjanizm miał wówczas stanowisko oficjalne, miał udział we władzy; ponieważ bronił się wespół z władzą królewską i z parlamentami, nietylko że był przedmiotem pogardy, ale i nienawiści. Tymczasem wyśmiewano go, czekając chwili, w której będzie można rzucić się nań z całą zajadłością.

Drugim kłamstwem był ustrój społeczny; nietylko to, co w nim było nierównością i nadużyciem, wynikiem czasu i ułomności ludzkiej, ale społeczeństwem samem w sobie. Społeczeństwo, to nagromadzenie zapór, więzów i ograniczeń. Otóż poco te zapory? Wymyśliła je w początkach garść przebiegłych i zbrodniczych pasterzy, aby móc łatwiej strzyc i zarzynać trzodę. „Odwołuję się do wszystkich instytucji politycznych, cywilnych i religijnych; zbadajcie je do gruntu; i chyba mocno się mylę, jeśli nie zobaczycie, jak rodzaj ludzki był przez cały szereg stuleci naginany pod jarzmo, które nakładała nań garść szalbierzy... Niedowierzajcie temu, kto chce zaprowadzać porządek, bo to zawsze prowadzi za sobą opanowanie innych, po skrępowaniu ich przepisami porządku"[1]). — „Społeczeństwo, to stała wojna władcy przeciw wszystkim i wszystkich jego członków pomiędzy sobą. Czyni to człowieka złym"[2]). „Człowiek jest złym nie dlatego, ażeby był takim, ale ponieważ go takim uczyniono"[3]).

Stopniowo myśl ta przemaga nad wszystkiemi innemi i staje się osią całego umysłowego ruchu. Powtarza się

---

[1]) Diderot, P e n s é e s p h i l o s o p h i q u e s, passim.
[2]) Rousseau, L e t t r e à M. d e B e a u m o n t.
[3]) Id., Emile, tom. I.

bezustanku, że człowiek z natury swojej jest dobry, że pozostawiony swoim naturalnym popędom dąży do prawdy, do sprawiedliwości, do dobroczynności, do wszelakiego dobra. Jeżeli czasem zboczył z tej drogi, to dlatego, że rozdrażniano go przez niedorzeczne zapory, przez ucisk i rozmaite ograniczenia. Usuńcie prawodawcę, sędziego, żandarma, a nie będzie występków. „Właśnie wasze rządy sprowadzają nieszczęścia, którym myślicie przez nie zapobiegać... Berła żelazne! prawa niedorzeczne! wam to zawdzięczamy, że nie mogliśmy wypełnić naszych na ziemi obowiązków!"[1]).

Społeczeństwo nietylko, że przez swoje różne ograniczenia i ucisk rozdrażniało człowieka, ale go też paczyło przez fałszywe wychowanie, błędne zasady, przykłady niegodziwe. Wszystkie swoje błędy zawdzięcza człowiek społeczeństwu. Jemu to każdy może i powinien przypisywać wszystkie swoje upodlenia i występki. „Wszystkie one są obcemi jego naturze; wszystkie są naleciałościami z zewnątrz. Z natury swojej człowiek jest szczęśliwy i dobry; społeczeństwo czyni go zepsutym i nieszczęśliwym"[2]). Znieście wszystkie te instytucje, prawa, urzędy, władzę, a wtedy człowiek zostawiony samemu sobie, odzyskuje wolność, stanie się napowrót dobrym i szczęśliwym.

Przyszłość byłaby tak piękna, postęp tak pewny, gdyby nie społeczeństwo, owa instytucja fałszywa, despotyczna, zrodzona z tyranji. To też z jakąż siłą i zawziętością rzucą się na tę starą zaporę! „Widać to z namiętnego tonu, z ponurej i pełnej goryczy wymowy nowej nauki. Już to nie żarty, nie zabawa; wznosi się głos brzmiący oburzeniem i przenika poza salony, do tego tłumu prostaczego i cierpiącego, którego wszystkie stłu-

---

[1]) Id., Lettre à M. de Beaumont, p. 24. Rousseau u e de Jean-Jacques, 3-e entretien, p. 193.

[2]) Rousseau, Lettre à de M. de Beaumont, p. 24. Rousseau juge de Jean-Jacques, 3-e entretien, p. 193.

mione urazy pierwszy znajdują wyraz, i którego niszczycielskie instynkty wprędce się rozpętają"[1]).

Ale to jeszcze najmniejsze z niebezpieczeństw. Nietylko, że marzą o zburzeniu wszystkiego: religji, społeczeństwa, władzy królewskiej, urzędów, dzieł rutyny, zepsucia i tyranji, — ale chcą też wszystko odbudować. Chwila to uroczysta. Teraz będą już dwa światy: świat przeszłości i przyszłości; świat człowieka jeszcze bezrozumnego, wodzonego na paskach, i świat człowieka rozumnego i wolnego. Do dzieła zatem! Stwarzajcie nowe instytucje, bo nic z tego, co było w dawnem społeczeństwie, nie może się już przydać. Wszystko to było fałszywe, sztuczne, zrobione dla istoty sztucznej. Nie znano człowieka prawdziwego, człowieka samego w sobie, tego człowieka, który pozostaje jednakowym we wszystkich warunkach, w każdym kraju, w każdej epoce. Teraz go mamy. Zbadajcie go po odrzuceniu odeń wszystkiego, co nie jest nim samym: jego rodziców, przeszłości, środowiska, w jakiem się urodził. Dla tej to istoty będzie się odbudowywało społeczeństwo.

Jakaż jest ona, ta istota prawdziwa, nie sztuczna, nie stworzona ręką ludzką, ale taka, jaka wyszła z rąk natury? Naprzód jest to człowiek równy wszystkim innym ludziom. Nie jest od nikogo wyższym, ale też nikt nie jest wyższym nadeń. Ma zatem prawo do wszystkich korzyści narówni z innymi. Wszelkie przywileje, to niesprawiedliwość i krzywda. Nowe społeczeństwo nie będzie ich miało. A jeśliby na nieszczęście z biegiem czasu wkradły się jakie, będą zawsze fałszywe, zawsze bezprawne. Nie będą nigdy obowiązujące. Społeczeństwo będzie je zawsze mogło odrzucić. Pierwszą jego podstawą będzie zawsze społeczna równość, o ile tylko być może najzupełniejsza.

Powtóre ten człowiek jest dobry. Przypatrzcie mu się poza obrębem społeczeństwa i zanim ono nań wpłynęło: jest on z gruntu dobry, zdrów tak umysłem jak i sercem, ciążący z natury swojej ku prawdzie i cnocie. A za-

[1]) Taine, l'Ancien régime, p. 294.

tem powinien być wolny. Pocóż stawić zapory przed kimś, kto nigdy nie dopuści się przekroczenia ani nadużycia? Taki człowiek ma prawo do wolności w jaknajszerszem słowa tego zastosowaniu; powinien mieć prawo myśleć, co tylko mu się podoba i o każdym przedmiocie; powinien mieć prawo mówić, pisać, stowarzyszać się, wyrażać swoje przekonania i wpajać je drugim. Ta wolność jest nieograniczona. Nie powstaje z żadnej umowy, ani z praw żadnych. Jest wyższa od wszelkich praw i od nich starsza. Jest nieutracalna, nieuchwytna. Tworzy drugą podstawę nowego społeczeństwa.

Po trzecie ten człowiek dobry, wolny, ten człowiek równy wszystkim innym, z natury rzeczy nikogo ponad sobą nie ma i mieć nie może. Ponieważ jednakże do życia społeczeństwa potrzebna jest władza, on ją stwarza. W tym celu każdy na rzecz społeczeństwa składa część władzy, jaką ma nad samym sobą, i w ten sposób władza jest tylko ogólną sumą ustępstw indywidualnych. Ale w jakim celu ogołociłem się z części mojej władzy i powierzyłem ją innym? Ażeby załatwiali moje sprawy w mojem zastępstwie i tak, jak mi się to będzie podobało. Rząd, urzędnik, przywódca, to zatem nie przełożony, tylko płatny sługa, a władzę, którą mu powierzyłem, mogę w każdej chwili odebrać. Powierzając mu tę moją władzę wcale się jej nie wyrzekłem; należy ona zawsze do mnie i mogę mu ją odebrać, kiedy tylko zechcę. Przywódca narodu to nietylko sługa płatny, ale którego w każdej chwili można odprawić. „Akt, przez który naród poddaje się swoim naczelnikom, to nic więcej, jak proste przyjęcie do służby, powierzenie im stanowiska, na któremby w imieniu swego mocodawcy, sprawowali władzę przezeń sobie powierzoną. Władzę tę może on ograniczać, zmniejszać i odbierać według swojego upodobania“[1]). Wobec ludu owi przywódcy nie mają praw żadnych. Nie mogą mu stawić żadnych warunków. On może ich na-

[1]) Rousseau, Contrat social, III, I.

znaczać i zrzucać, jak sam zechce. Jeżeli zboczą z wytkniętej im drogi albo stawią opór, bunt jest nietylko „najpierwszem prawem, ale powinnością najświętszą". Ta strona teorji rewolucyjnej prowadziła do anarchji, do niestałości rządu, do ciągłego burzenia.

Ale zato druga jej strona prowadziła do despotyzmu, do nieograniczonej dyktatury państwa. W systemie tym istotnie państwo jest wszystkiem, jednostka niczem. Państwo, to suma wszystkich woli. Otóż co znaczy wola jednostki wobec takiej sumy woli? Jednostce pozostaje tylko swoją rolę do niej zastosować. Nadto państwo jest źródłem wszystkich praw. Przed nową ugodą społeczną niema żadnych praw; ona je sama tworzy, a zatem posiada moc zmieniania ich i ograniczania. Niema nawet własności. Nowa społeczność uważana jest jako powstała w próżni, bez niczego, coby ją poprzedzało. Wszystka ziemia należy do niej. Państwo jest właścicielem wszystkiego. Jeżeli posiadam cośkolwiek, to jedynie przez względność państwa, za jego zezwoleniem. Tak samo rzecz się ma z wychowaniem moich dzieci. Państwu zależy więcej na ich wychowaniu, aniżeli mnie. Więcej należą do niego, niż do mnie. Ono zatem jest ich przyrodzonym wychowawcą i nauczycielem. Tylko za jego zezwoleniem mogę je wychowywać u siebie i tak, jak chcę. Nakoniec państwo ma swoją religję, religję przyrodzoną. Jeżeli ja wyznaję inną, to z jego łaski i z zastrzeżeniami. Państwo wolałoby, żeby nie było innej, jak jego. Wszystko, co sprzeciwia się jedności społecznej, nie jest nic warte. W każdym razie ta inna religja, wszystko jedno jaka, nie posiada żadnych praw wobec państwa, — ono zaś ma nad nią moc zupełną, a przedewszystkiem prawo takiego jej krępowania różnemi przepisami, ażeby mu nie zawadzała.

## II.

Takie oto błędne i niedorzeczne myśli napełniały obałamucone głowy naszych ojców, przed rokiem 1789.

Z tego niezdrowego ogniska wyjdzie rewolucja. Pierwiastki, które się na nią złożą, nietylko że są rozkładowym żywiołem dla każdego społeczeństwa, dla każdej władzy, dla wolności, ale sprzeciwiają się dogmatowi katolickiemu. Stanowią prawdziwą herezję, jak arjanizm, jak jansenizm, i to z potrójnego punktu widzenia.

Naprzód rewolucja stawia jako zasadę, że człowiek rodzi się dobrym, a zatem powinien być wolnym. Otóż to sprzeciwia się wierze. Człowiek nie rodzi się dobrym; rodzi się w stanie upadku, z winy pierwszego człowieka. Według nauki Kościoła każdy człowiek przychodzi na świat skłonny do złego, potrzebujący dla oparcia się mu łaski Boskiej, wychowania chrześcijańskiego, któreby zniweczyło w nim złe popędy i skłaniało go ku dobremu. Tak samo i każdy naród, chociażby w najbardziej kwitnącym stanie rozwoju, jest skłonnym do złego tak w całości swojej, jak i w każdej jednostce, i także potrzebuje praw ochronnych i hamulców. Ludzkość cała, na którą składają się te wszystkie jednostki i narody, jest chora. Zapewne, że jest mniej chora, aniżeli przed odkupieniem; że jest rekonwalescentką. Stopniowo nabiera sił coraz więcej. To też może stopniowo używać coraz większej swobody; i to stanowi postęp społeczny, zależny od coraz lepszego stanu zdrowia chorego. Ale ponieważ to zawsze jest stan rekonwalescencji, a nie zupełnego zdrowia, więc swobody tej musi chory używać zawsze przezornie, pod okiem i nadzorem lekarza.

I to jest drugi punkt, na którym teorja rewolucyjna sprzeciwia się nauce Kościoła i stanowi herezję. Ponieważ przyjęto za pewnik, że człowiek jest dobry, rewolucja domaga się dlań wolności; nie wolności rozsądnej, ograniczanej i powstrzymywanej przez prawa, odpowiedzialnej za swoje wybryki i nadużycia, ale wolności bezwzględnej, nieograniczonej, prawa starszego i wyższego od wszystkich praw i konstytucji, mówienia i pisania o wszystkiem, o czem się chce, jako też stowarzyszenia się w celu propagowania swoich pojęć. Wolność to tak

zgubna dla dusz, tak antyspołeczna, że wszyscy publicyści tegocześni, nawet najmniej chrześcijańscy, potępiają ją również surowo, jak i Kościół.

Po trzecie, według nauki katolickiej społeczeństwo pochodzi z woli Bożej, Bóg je stworzył; zatem wszystko, na czem się ono wspiera, władza, prawo, rodzina, własność, powinny być szanowane, jako nadane od samego Boga. Przeciwnie według nauki rewolucji wszystko to ma początek czysto ludzki, wszystko wynika z umowy społecznej, bez żadnego, choćby tylko pośredniego, wdania się Boga. Cóż za rolę ma mieć Bóg w podobnem społeczeństwie? Już conajmniej można powiedzieć, że rolę niepotrzebną, przywłaszczoną a zatem szkodliwą, i że ażeby przywrócić panowanie prawdy, trzeba go zeń wygnać.

To też ostatnim artykułem rewolucyjnego credo jest to później tak zwana laicyzacja społeczeństwa, rzecz równie barbarzyńska, jak i nazwa. Precz z Bogiem zewsząd: z rządu, ze zgromadzeń narodowych, z praw, ze szkół, ze szpitali, zewsząd. Na tym ostatnim punkcie nauka rewolucyjna staje w tak końcowej sprzeczności z nauką Kościoła, że żadne porozumienie się, żadna zgoda nie może nigdy mieć miejsca pomiędzy Kościołem a rewolucją.

Takie oto myśli dziwne, nie do pojęcia, wirowały w obałamuconych głowach naszych ojców, — myśli tworzące w swym całokształcie wyraźną herezję. W r. 1789 zaczynały one ledwie przesączać się na prowincję, a chociaż się zjawiły w niektórych miastach większych, były tam w mniejszości. To też w Memorjałach z tego roku prawie nie widzimy ich śladu. Wzmiankują je tam poto jedynie, ażeby je potępić, ażeby oświadczyć, że jeśli się im da ucho, wszystko stracone. Ale chociaż pozbawione wpływu na prowincji, w Paryżu były wszechpotężne. Królowały niepodzielnie w salonach. W zgromadzeniach: narodowem, konstytucyjnem ścierały się z pojęciami katolickiemi, napływającemi ze wszystkich stron

Francji. Rok 1789 był burzliwem spotkaniem tych dwóch wielkich prądów.

## III.

Jedna rzecz miała powiększyć niebezpieczeństwo. Liberalizm jeszcze z pewnem umiarkowaniem stosuje swoje fałszywe zasady; powstrzymuje zbyt gwałtowne ich wyniki; często nawet wypiera się ich i usiłuje je przytłumić. A chociaż te jego zasady, nawet miarkowane, rozprzęgają społeczeństwo, podkopując jego podstawy: dzieje się to zwolna, ponieważ pojęcia jego o społecznym porządku przeciwdziałają, do pewnego stopnia, jego fałszywym teorjom o naturze człowieka i jego wolności. Na nieszczęście liberalizm rewolucyjny zrodził dziecko, które szybciej odeń bierze się do roboty: radykalizm. Radykalizm, to liberalizm logiczny, liberalizm nie cofający się przed swojemi własnemi wynikami. Nie można oczekiwać, iżby teorja zatrzymała się w pół drogi. Albo odrzućcie liberalizm, albo znieście jego wynik, radykalizm. Mówicie, że wszyscy ludzie przychodzą na świat dobrzy, wolni, równi w prawach. Czemże tedy jest wasze społeczeństwo? Czyliż nawet po oczyszczeniu go przez noc 4-go sierpnia, nie jest jeszcze pełnem najróżnorodniejszych przywilejów i nierówności, najeżone tamami i zaporami? Jesteśmy równi, zatem precz z przywilejami! Jesteśmy wolni, zatem precz z przymusem wszelkim! A że religja i królewskość były to w r. 1789 tamy najwyższe, że po obaleniu ich inne, mniejsze, nie przedstawiałyby żadnego oporu, rzucono się na królewskość i na Kościół. Rok 1789 zrodził 1793, i polały się strumienie krwi.

Możnaby sobie jeszcze wytłumaczyć ten ponury i krwawy epizod przy początku rewolucji, chociaż i wówczas pocóż było wydzierać gwałtem to, co wszyscy: król, szlachta, duchowieństwo gotowi byli dać z dobrej woli. Ale, rzecz godna uwagi, to, co byłoby zaledwie zrozu-

miałem jako chwilowy szał gniewu, od tej pory powtarza się bezustannie. Mieliśmy rewolucję z r. 1830, z 1848, dni czerwcowe, 4 września, komunę, — jakby konwulsje perjodyczne, wstrząsające Francją co jakieś lat piętnaście.

A jednakże liberalizm rewolucyjny nie zaniedbał niczego, żeby na gruzach dawnego systemu zbudować społeczeństwo wzorowe. Zostawszy panami placu, jego wyznawcy zaczęli stosować swoje zasady: człowiek rodzi się dobry, nie podlega nikomu, ale ustępuje część swojej władzy na rzecz władzy naturalnej; prawo, to wyraz woli ogółu; Bóg niepotrzebny, usunięty na stronę; Kościół również, bo przyrodzona dobroć człowieka starczy za wszystko. Zdawałoby się, że takie arcydzieło przetrwa wieki; tymczasem zaledwie żyć zaczęło nowe społeczeństwo, podniosły się nowe krzyki, zawsze te same: Znowu zapory! znowu prawa! znowu nierówności! Precz z tem wszystkiem!" I to powtarza się co lat piętnaście i pomimo wszelkich usiłowań powtarzać się nie przestanie.

Naprzód widziano w tem tylko pojedyńcze fakty, objawy gniewu niezadowolonego ludu. Ale wkrótce musiano wniknąć głębiej w stan rzeczy i spostrzeżono, że rana o wiele jest głębsza. Nie były to r e w o l u c j e, ale rewolucja, czyli nie wybuchy gniewu przemijające, tłumaczące się okolicznościami, ale teorja świadoma siebie, ustawiczna, nieubłagana, wroga nie temu albo owemu społeczeństwu, ale wogóle społeczeństwu; nie tej lub owej władzy, ale wogóle władzy. To właśnie radykaliści nazywają I d e ą. C r e d o radykalistów rozpłomienia zapałem tysiące fanatyków. Oto są główne jego artykuły, logicznie wynikające z nauki liberalistów.

RADYKAŁ.

Utrzymujecie, że wszyscy ludzie rodzą się dobrzy, zdrowi, równi, zasługujący na wolność nieograniczoną. Dajcie ją nam tedy!

LIBERAŁ REWOLUCJONISTA.

Ależ ją macie. Macie wolność sumienia, wolność wyznań, wolność prasy, wolność stowarzyszania się; czegóż wam jeszcze trzeba?

RADYKAŁ.

Wszystkiego. Te swobody są tylko pozorne. Są one na każdym kroku ograniczane i krępowane.

LIBERAŁ REWOLUCJONISTA.

Ależ przecie są zastrzeżenia potrzebne, są granice niezbędne dla porządku społecznego.

RADYKAŁ.

Dla jakiego porządku? Tego, coście sami wymyślili? Porządek to sztuczny, samowolny, tyrański. Nie chcemy go.

LIBERAŁ REWOLUCJONISTA.

Ależ władza jest potrzebna.

RADYKAŁ.

Nie chcemy jej.

LIBERAŁ REWOLUCJONISTA.

Ależ własność jest potrzebna.

RADYKAŁ.

Nie chcemy jej.

LIBERAŁ REWOLUCJONISTA.

Ależ religja jest potrzebna.

RADYKAŁ.

Nie chcemy jej tem bardziej. Nienawidzimy tych wszystkich instytucyj wymyślonych przez was, mieszczuchy, zachowawcy, syci zjadacze chleba. Teraz nasza kolej urządzić świat tak, jak uważamy za najlepsze. Wy

zburzyliście dawne społeczeństwo, ażeby na jego miejsce ustanowić swoje. Teraz na nas kolej zburzyć wasze społeczeństwo, a ustanowić nasze.

Niechże sobie radykaliści zostaną panami placu. Sądzicie, że wtedy już nastąpi coś trwałego. Otóż nie; zawsze rewolucjonista znajdzie większego od siebie rewolucjonistę. I tak będą ludzie zstępowali stopień po stopniu, coraz dalej w tę przepaść, i nie uspokoją się, aż stargają wszystkie więzy, religijne, polityczne, rodzinne i społeczne: Boga, władzę, rodzinę i własność. Na tych ostatnich punktach radykalizm przechodzi w socjalizm tak, jak sam powstał z liberalizmu.

Zdawałoby się, że takie zasady powinny przejmować zgrozą; tymczasem przeciwnie. I d e a, jak ją nazywają, stworzyła p o k o l e n i e; zrodziła c z ł o w i e k a, w którego się jakby wcieliła. Człowiek ten żyje dla idei, dla niej się poświęca, za nią umiera. Choćby był najbiedniejszym, znajdzie co tydzień choć grosz na propagowanie idei. Idzie do więzienia, wstępuje na rusztowanie, pocieszając się nadzieją zwycięstwa idei. Idea przejmuje go takim ponurym i dzikim zapałem, że nie cofnie się przed niczem, dla zapewnienia jej powodzenia. Wszystkie środki są dla niego dobre: rozruchy, bunty, tępienie inaczej myślącej mniejszości, zdeptanie konstytucji, pogarda praw i przysiąg, nawet sztylet, morderstwo, jeżeli to wszystko doprowadzi do triumfu idei.

Przyjrzyjcie się tej rasie ludzi, dotychczas nieznanej. Rasa to gwałtowna, krańcowa, zuchwała, niemal szalona, a jednakże potężna i do zwalczenia trudna. Skąd się ona wzięła? Kto ją wydał? Kto ją uwiecznia? Bo czasy zmieniają się, ale ludzie pozostają ci sami. Widząc jak pojawiają się przy końcu wieku XVIII, jak przeżywają wstrząśnienia i pozostają po ich przejściu; jak kolejno rzucają się na wszystkie władze i wszystkie wkońcu podkopują; jak prześladowani przez rządy organizują się na nowo w ukryciu, a po wytropieniu ich kryjówek chronią się do jeszcze głębszych; jak powoli rozszerzają się poza

Francję i popod ziemię; zalewają świat cały; jak we Włoszech posługują się tak popularną ideą jedności włoskiej, ażeby wszystko obalić i zdeptać; jak do Prus przenikają pod mianem socjalistów, a aż do Rosji pod mianem nihilistów; jak przebywają Ocean, ażeby podburzać spokojną i religijną ludność Ameryki Południowej, Meksyku, Nowej Grenady i t. d., jak powracają do Hiszpanji i burzą lud w imię legitymizmu, którym posługują się mimo, że nim gardzą; widząc jak pod wszystkiemi strefami mają tylko jedną myśl, a raczej jedną nienawiść: nienawiść wszelkiej władzy, i jak wszędzie pracują nad tem, ażeby ją zbezcześcić zanim będą mogli ją obalić; jak w tej nienawiści prym dają najwyższej z władz wszelkich — religji i Kościołowi, i wreszcie jak rzucają się na samego Boga, wyganiając Go zewsząd — stawimy sobie pytanie, czy przyrodzone tło natury ludzkiej, składającej się z pychy, dzikiej niepodległości i pożądliwości, wystarcza do wyjaśnienia tego zjawiska, i czy nie powinniśmy uznawać tu niewidzialnej, ale istotnej obecności jakiegoś czynnika wyższego, niż człowiek, i odeń gorszego?

## IV.

Tocqueville utrzymuje, że rewolucja nie jest w zasadzie przeciwna religji; że „wojna wydana religji była jedynie odosobnionym epizodem rewolucji; rysem jej wybitnym ale pomimo to przemijającym; przejściowym wytworem pojęć, namiętności, poszczególnych faktów, które poprzedziły i przygotowały rewolucję, — ale bynajmniej nie treścią jej i duchem“[1]). Błąd to ważny. A to, co Tocqueville dalej mówi, zamiast dowodzić prawdy jego twierdzenia, przemawia owszem na korzyść naszego: „Rewolucja, mówi on, zrodzona z faktów, przeciw którym sama broń podniosła, niwecząc je, powinna była stopniowo zanikać razem z niemi, ginąc przez własne zwycięstwo...

---

[1]) Tocqueville, l'Ancien régime et la révolution, p. 8.

Chrześcijanizm wzbudzał ową wściekłą nienawiść nietyle jako doktryna religijna, ile jako instytucja polityczna; ale dlatego, że jego kapłani chcieli kierować sprawami tamtego świata, ale że na tym byli właścicielami, panami, że pobierali dziesięciny, że zarządzali dobrami ziemskiemi". Jeśliby to było prawdą, to z chwilą, kiedy kapłani przestali być „właścicielami, panami, pobieraczami dziesięcin", rewolucja, gdyby nie była antyreligijną, powinna była zostawić ich w spokoju. Stało się przeciwnie. Prześladowano ich tak samo, jak kiedy byli bogatymi. Doprowadźcie ich do tego, ażeby mieli wiązkę słomy i kawałek czarnego chleba, a również będziecie ich prześladowali. Dlaczego, to nie trudno zrozumieć. Chcecie, ażeby człowiek był wolny; odrzucacie wszystkie hamulce. Otóż ponieważ religja, to hamulec największy, rzecz naturalna, że nienawidzicie jej nad wszystko inne. Wszakże widzieliśmy to podczas komuny. Zaraz potem, kiedy pokorne i oderwane od świata duchowieństwo okazało się tak patrjotycznem, rzucono się na nie bez najmniejszego powodu, jedynie dlatego, że w jego ręku są tablice prawa. To samo dzieje się i teraz. Chociaż rewolucja osiągnęła to, czego chciała, nie przestaje posuwać się naprzód w tym samym kierunku. Naprzód wygnała ze szkół wizerunek Ukrzyżowanego, odrzuciła modlitwę, naukę katechizmu; potem wypędziła miłosiernych braci i siostry; następnie zaczęła prześladować inne zakony; zmniejszyła pensje biskupów, zanim zacznie prześladować osobiście ich samych i ich kapłanów. Wszystko to wypływa z tego, że rewolucja z natury swojej jest antyreligijną. Jest to tak prawdziwem, że stojący na czele rządu czynią to wszystko omackiem, wahając się, pomimo woli, usiłując a nie mogąc zatrzymać się wpół drogi, Patrząc na to czuje się poza nimi jakąś tajemną siłę, której parciu zmuszeni są ulegać. Jakaż to siła? Siła rewolucji, antyreligijnej z natury swojej.

Ostatni argument Tocqueville'a zwraca się również przeciw niemu. „Zwróćcie uwagę, powiada on, jak bieg

czasu wyświetlił tę prawdę, że wojna wytaczana religjom była tylko pojedyńczym epizodem rewolucji, a nie wynikiem jej ducha. W miarę jak umacniało się jej dzieło polityczne, upadało jej dzieło antyreligijne; w miarę, jak wszystkie instytucje polityczne, w które godziła, rozsypywały się w proch..., w miarę, jak duchowieństwo coraz więcej odosabniało się od wszystkiego, co z niem razem upadło, — potęga Kościoła, wpływ jego na umysły coraz się wzmagał i umacniał.... Kto wierzy w to, że społeczeństwa demokratyczne z natury swojej są wrogie Kościołowi, błądzi grubo".

To nie ulega wątpliwości. Ani w społeczeństwie tegoczesnem, ani wogóle w demokracji niema nic, coby się z religją nie mogło zgodzić; a niejedno bardzo jej sprzyja. Stanowczo i nieuchronnie antyreligijną jest tylko rewolucja. Gdyby Tocqueville widział był komunę, a lepiej jeszcze spokojną rzeczpospolitę z r. 1881, spaliłby to, co napisał. De Maistre lepiej od niego rozumiał położenie pisząc te słowa: „Rewolucja jest szatańską".

Nigdy owa zepsuta i buntownicza strona ludzkiej natury nie była lepiej przygotowana do przyjęcia tej choroby, poddawana umiejętniejszym impulsom, kierowaną według planu bardziej systematycznego, — i nigdy też nie groziło światu straszniejsze niebezpieczeństwo.

## V.

Wobec tego położenia z konieczności przychodzi na myśl pytanie, skąd możemy wyglądać ratunku? Czy może nas wyratować liberalizm rewolucyjny, który sam to położenie stworzył? Wszakże on sam zrodził radykalizm, socjalizm, nihilizm; czyż może walczyć ze swemi własnemi dziećmi? Czy przynajmniej może je powstrzymywać, opanować je, zapobiec ażeby z gruntu nie zrujnowały społeczeństwa? Nie może. Nikt nie może zwalczać własnych zasad. A wszak to zasady liberalizmu rewolucyj-

nego, jego fałszywe i szkaradne teorje o wrodzonej człowiekowi dobroci, o prawie wszystkich ludzi do nieograniczonej wolności, o nicości religji, sprowadzają niebezpieczeństwo. Przedstawiliśmy starcie się zdań pomiędzy radykałem i liberalnym rewolucjonistą. Na gwałtowne reklamacje radykalisty liberalista nie może nic odpowiedzieć, przynajmniej nic stanowczego, nic rozstrzygającego. Zasłania się tylko argumentem porządku publicznego, którego tamten nie uznaje. Uniemożebnił on posłuszeństwo, przez odjęcie władzy jej boskiej aureoli. Władzę uczynił wahającą się i niepewną, czyniąc ją zależną od powszechnego głosowania. Przygotował grunt pod wszystkie nadużycia wolności, głosząc, że człowiek jest z natury tak dobrym, że nie może wolności tej nadużyć. Podkopał stopniowo wszystkie podpory, rozkruszył mury, rozprzęgł wszystkie ochronne instytucje w społeczeństwie. A teraz, kiedy wskutek jego fałszywych zasad, społeczeństwo jest prawie zupełnie bez ochrony i dzikie zwierzęta chcą je opanować, cóż on może dla ich powstrzymania? Zakłopotanie jego bije w oczy. Jedną ma tylko ucieczkę, — zyskać na czasie, powiedzieć im: „Bądźcie cierpliwi, jeszcze jest za wcześnie, zaczekajcie jeszcze trochę". Ale jakże kazać czekać zgłodniałym? Przy takich sprawach powstrzymujący padają najpierwej ofiarą.

Jeszcze jedną ma liberalizm ucieczkę i używa jej też bardzo często: oto wydaje na łup Kościół. Dzisiaj będą to Bracia Doktryny chrześcijańskiej, jutro Siostry Miłosierdzia, pojutrze inni. Potwór wszystko chwyta, wszystko pożera, i zawsze jest głodny, zawsze domaga się więcej. Pożre i was, żyrondyści, i was, oportuniści. I poznacie, ale zapóźno, że mogliście rozwiązać potwora, ale nie macie dosyć siły, ażeby go napowrót okiełznać.

Zbliża się godzina, kiedy będą tylko dwie potęgi, Kościół i rewolucja, i staną przeciwko sobie oko w oko; rewolucja wszechpotężna i Kościół rozbrojony; rewolucja zbrojna we wszystkie oręże i Kościół pod każdym względem ubezwłasnowolniony, skrępowany. Wówczas według

słów Chrystusa, kto ma oczy, niechaj patrzy, „kto czyta, niech rozumie“[1]); a kto jest zbyt małego wzrostu, niechaj wchodzi na dach, ażeby lepiej widzieć. Będzie to widowisko przejmujące grozą.

Kościół przez trzy wieki walczył z państwem rzymskim i pokonał je; przez dwa i pół wieki walczył z arjanizmem i pokonał go również. Tak samo po sześciowiekowej walce osiągnął zwycięstwo nad mahometanizmem. Z protestantyzmem walczy od lat trzystu pięćdziesięciu, i obecnie patrzy na jego konanie.

Z rewolucją walczy Kościół dopiero od lat stu i nie powiem, ażeby ją pokonał. Przeciwnie, nigdy nie była ona bliższą triumfu. Ale pokona ją, oswobodzi świat od niej; i społeczeństwo tegoczesne przezeń zbawione, uzna go znowu za oswobodziciela i za matkę.

---

[1]) Matth. XXIV, 15.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

**Deklaracja praw człowieka. — Jaki w jej zredagowaniu miał udział Kościół, a jaki rewolucja.**

W chwili, kiedy się nowoczesne społeczeństwo rodziło, pomiędzy Kościołem, którego jest dzieckiem, a rewolucją, której może stać się ofiarą, — zapragnęło ono zredagować uroczystą Deklarację zasad, na których się opiera. Miała swoją dawna Francja, posługująca się dla jej nakreślenia piórami Karola Wielkiego, Ludwika Łagodnego, Lotarjusza, Ludwika świętego. Miała również Anglja wielką kartę swych swobód publicznych, wymuszoną niemal przez naród na Janie Bez Ziemi. Za tym przykładem poszły prawie wszystkie narody, a przedewszystkiem Hiszpanja i Portugalja. Każdy kraj miał uroczystą, ułożoną wspólnie Deklarację zasad, na jakich się opierał. Nic tedy dziwnego, że i społeczeństwo nowożytne chciało mieć swoją; i gdyby ją było napisało ze współudziałem Kościoła, Deklaracja ta byłaby wielkim i wspaniałym manifestem narodu chrześcijańskiego. Na nieszczęście w chwili, kiedy społeczeństwo nowoczesne zabierało się do jej pisania, rewolucja wytrąciła mu pióro i sama ułożyła deklarację... w stylu Rousseau. Nie mogła zmienić jej treści; ta pozostała wspaniałą i żaden naród nie miał nic podobnego. Ażeby mogła być taką, trzeba było osiemnastu wieków chrystjanizmu. Ale jak wiele pozostawia do życzenia jej redakcja! Raz mglista, dwuznaczna, to znów fałszywa; prawie wszędzie szkaradna.

Przyjrzyjmy się temu szczegółowo. Zobaczymy, jak Kościół i rewolucja wydzierają sobie nowoczesne społeczeństwo; jeden, by je zbawić, druga — by zgubić.

## I.

Oto naprzód tytuł i wstęp Deklaracji:

Deklaracja praw człowieka i obywatela, uchwalona w sierpniu r. 1789 i umieszczona na czele francuskiej konstytucji, z dnia 3—14 września 1791 r.

„Przedstawiciele ludu francuskiego zasiadający w zgromadzeniu narodowem, biorąc pod uwagę, że nieświadomość, zapomnienie lub pogarda praw człowieka są jedynemi przyczynami klęsk publicznych i zepsucia rządów, postanowili w uroczystej Deklaracji wyłuszczyć prawa człowieka przyrodzone, nienaruszalne i święte, ażeby... i t. d."

Już w pierwszych słowach przedmowy czuje się tchnienie rewolucji. Zgodnie z prawdą należało powiedzieć: „Biorąc pod uwagę, że nieświadomość, zapomnienie, albo pogarda praw Bożych i obowiązków człowieka są prawdziwemi przyczynami klęsk publicznych". Dwie te wersje różnią się pomiędzy sobą o jeden tylko wyraz, ale jakiejże doniosłości jest ten wyraz!

Naogół wszystkie artykuły Deklaracji mają tę samą cechę: grunt prawdziwy, często podziwu godny, wypływający prawie zawsze z Ewangelji; zredagowanie albo niejasne, dwuznaczne, albo całkowicie mylne.

Artykuł I ogłasza dwie wielkie zasady Ewangelji: wolność i równość. Jaka szkoda, że redagowała go rewolucja, a nie katolicyzm.

„Art. I. Ludzie rodzą się i są wolnymi i równymi we wszystkich swoich prawach. Różnice społeczne mogą być uzasadnione, jedynie tylko swoją użytecznością dla ogółu".

Pierwszy wiersz jest zredagowany poprostu niedorzecznie. Należało powiedzieć: „Ludzie rodzą się równymi przed Bogiem, są równymi wobec prawa i równymi pozostają pomimo wszelkich różnic, zależnych od rodzaju pracy, od uzdolnienia i cnoty". Wtedy można było dodać: „Różnice społeczne mogą być uzasadnione jedynie tylko pożytkiem ogółu". Należało również powiedzieć: „Ludzie rodzą się i pozostają zawsze wolnymi, pod warunkiem posłuszeństwa Bogu i prawu, i poszanowania praw bliźniego".

Redakcja II artykułu gorszą jest jeszcze. W treści swojej jest on sprawiedliwy i piękny. Ani Grecja, ani Rzym, ani żaden naród pogański nie zdobyłby się na nic podobnego:

„Art. II. Celem wszelkiego stowarzyszenia politycznego jest zachowanie w całości przyrodzonych i nieulegających przedawnieniu praw człowieka. Prawami temi są: wolność, równość i stawianie oporu uciskowi".

Czuje się tu nowe tchnienie. Gdyby to powiedzieli poganie, byłoby to pięknem i godnem podziwu, ale jak na chrześcijan, to za mało. Celem stowarzyszeń politycznych jest nietylko zachowanie w całości przyrodzonych i nie ulegających przedawnieniu praw człowieka, — ale także wolność jego w wykonywaniu obowiązków, niemniej świętych i nie ulegających przedawnieniu, jak jego prawa, i ułatwienie mu osiągnięcia celu wiekuistego. Słowa: s t a w i a n i e o p o r u u c i s k o w i są nieokreślone, — mogą dawać pole do nadużyć. A jednakże prawdą jest, że społeczeństwo istnieje poto, iżby samotną i słabą jednostkę chronić od wszelkiego ucisku.

Artykuł III mówi o zasadzie wszechwładztwa narodowego: głębokie to zagadnienie, o którem starożytność nawet nie pomyślała, a które pomału zostało oświetlone przez słońce Objawienia. Jest to jeden z punktów, na które najśmielsze światło rzucił duch katolicki; ale na nieszczęście to także jeden z tych, które nieszczęsny duch Rousseau'a najbardziej zawikłał i wypaczył. Prawda, że

z teorji katolickiej odrzucił jedno tylko słowo, ale słowo to było: Bóg, — i wraz z tem cała teorja stała się fałszywą, zgubną, istną trucizną dla społeczeństwa. Tak się dzieje i ze środkami, służącemi za lekarstwo dla ciała; często odjęcie jednego pierwiastka lek życiodajny w truciznę przemienia.

Oto jest owa redakcja artykułu III:

„Zasada wszelkiej władzy spoczywa z konieczności w narodzie; żadne ciało, żadna jednostka nie może wywierać władzy, któraby odeń bezpośrednio nie pochodziła". Trzeba było powiedzieć: „Zasada wszelkiej władzy spoczywa z konieczności w Bogu, który nadaje ją bezpośrednio narodowi. I wtedy śmiało można było dodać: „Żadne ciało, żadna jednostka, ani król nawet, nie może wykonywać władzy, od narodu wyraźnie albo domyślnie mu nienadanej".

Artykuł IV rozpoczyna się niefortunnie: „Prawo jest wyrazem woli ogółu". Należało rzec: „Prawo jest wyrazem woli Boga, objawiającej się w woli ogółu". Ale zato dalszy ciąg jest wspaniały: „Wszyscy obywatele winni mieć udział w prawodawstwie, bądź osobiście, bądź przez swoich przedstawicieli. Prawo winno być dla wszystkich jednakowem, czyto kiedy się opiekuje, czy kiedy karze. Wszyscy obywatele, jako równi wobec niego, mają mieć jednakowy dostęp do wszystkich godności, posad i urzędów publicznych, każdy według swoich zdolności i bez żadnej innej różnicy, jak cnota i talent". Wszystko to, — toć najczystsza Ewangelja.

To samo da się powiedzieć o artykułach VII, VIII i IX. „Zawierają one, mówi Mgr. Nardi, wspaniały program. Te trzy artykuły zabezpieczające wolność, cześć i życie obywateli państwa, są bardzo dobre i sprawiedliwe. Na nieszczęście duch rewolucji występuje znowu w redakcji art. X.

„Art. X. Nikt nie powinien być niepokojonym za swoje przekonania, nawet religijne, jeżeli tylko ich objaw nie zakłóca porządku publicznego".

A zatem w rzeczach religji mają być tylko przekonania. Istnienie Boga, nieśmiertelność duszy, różnica pomiędzy dobrem i złem, miałyby być tylko przekonaniami, równie dobrze jak ateizm i materjalizm! Przekonaniom zaś tym jednaby tylko miała być zakreślona granica: porządek publiczny. Ani jednego słowa o Bogu, o jego wzgardzonej woli. To najzupełniejszy ateizm.

Moglibyśmy prowadzić dalej te porównania; wszędzie jest to samo. Rewolucja opanowała ów wykwit społecznej sprawiedliwości i dobroci, chrześcijańskiej wolności i równości, wypaczyła każde jego orzeczenie. Odjęła im miarę; odebrała boski pierwiastek chroniący od zepsucia. Najpiękniejsze myśli doprowadziła do przesady, odejmując im przez to ich piękno. Wprowadziła do nich opaczne tłumaczenia, czyniąc je niebezpiecznemi, a często zgubnemi. Jednem słowem, z tego, co powinno było być wspaniałym manifestem narodu chrześcijańskiego, zrobiła dzieło błędne i szkodliwe.

Ale najprzewrotniejszy cios rewolucji, to absolutne unikanie w Deklaracji wszelkiej wzmianki o Bogu i religji. Oto ci prawodawcy, występując w imieniu Francji, narodu od piętnastu wieków rdzennie chrześcijańskiego, chrześcijańskiego jeszcze w chwili, kiedy ją piszą, nie śmią wymówić nawet imienia Bożego! Mówią: „W obecności i pod opieką Najwyższej Istoty". Co za upadek, w porównaniu do początku prawa salickiego: „Niech żyje Chrystus, który kocha Franków!" Albo do duchem chrześcijańskim tchnących postanowień Karola Wielkiego, św. Ludwika, nawet Ludwika XIV. Inny duch powiał, zacierając i wykreślając imię Boga i Chrystusa zewsząd, gdziekolwiek je ojcowie nasi nakreślili.

Byłoby tedy zasadniczym błędem instytucje stanowiące nowoczesne społeczeństwo, owe piękne swobody z Ewangelji zrodzone, brać za jedno z ich wykładem w Deklaracji praw człowieka. Owe instytucje istnieją poza nią i powiem, że pomimo niej. De-

klaracja zamiast być ich podporą, zagrażała i dziś zagraża ich istnieniu. Jest ona dziełem rewolucji. Był to pierwszy akt, przez który rewolucja usiłowała też zagarnąć w swoje władanie nowoczesne społeczeństwo. Nie mogąc zdusić go w kolebce, pokusiła się przynajmniej o jego wynaturzenie i wykolejenie.

## II.

To, co się rozpoczęło w r. 1789, trwa do dziś dnia. Oto już sto lat, jak rewolucja prowadzi swoje dzieło. Wszystkie te instytucje, zrodzone po większej części z Ewangelji, wszystkie swobody, których domaga się nowoczesne społeczeństwo, rewolucja usiłuje przerobić na swój sposób. Wykłada je po swojemu; przywłaszcza sobie ojcostwo; utrzymuje, że sama tylko rozumie ich ducha; pracuje bezustannie nad przyswojeniem ich sobie. Jednem słowem, zapomocą fałszu i podstępów zabarwia je w sposób tak podejrzany, że przestrasza wielu katolików i przerzuca ich do przeciwnego obozu.

Żądacie naprzykład wolności wyznań; rewolucjoniści żądają jej również, ale nie w tem, co wy, znaczeniu: wy żądacie tego, jako socjalnej konieczności; oni, jako prawa bezwzględnie najwyższego i nad wszystkie inne starszego.

Żądacie wolności nauczania; oni łączą się z wami, ale z jakże odmienną myślą przewodnią! Wy chcecie wolności dla dobra, cnoty, prawdy, a zatem wolności Kościoła; oni chcą wolności dla obojętności, niewiary, zła, jednem słowem wolności rewolucyjnej.

Używacie słów: społeczeństwo nowożytne, — i oni się niemi posługują, ale nie w tem co wy znaczeniu. Wy przez nie rozumiecie społeczeństwo, którego znamienną cechą jest panowanie swobód publicznych; oni rozumieją społeczeństwo, które wyrzekło się Boga, w którem On nie

ma miejsca nigdzie, ani w szkole, ani w armji, ani w szpitalach, ani na cmentarzach; z którego wraz z Nim wygnano wszystkich tych, którzy się Jemu poświęcili, ażeby lepiej służyć ludziom. Wasze nowoczesne społeczeństwo nie może istnieć bez wolności; ich społeczeństwo obchodzi się bez niej doskonale, i faktycznie odrzuca ją wielu. W rzeczywistości społeczeństwo ich jest zupełnem przeciwieństwem waszego, ale nosi to samo miano.

Przysięgacie nareszcie na tę lub inną konstytucję polityczną, w takiem znaczeniu, w jakiem chce to mieć Kościół. Ale oto oni narzucają wam, katolikom, przysięgę na konstytucję w duchu ich własnym, w duchu racjonalistycznego sceptycyzmu, albo religijnego indyferentyzmu. „Ale jakiemże prawem? — pyta Mgr. Dechamps. — Liberalizm nie jest konstytucją; nie ma on prawa narzucania nam swoich teoryj"[1]). A ksiądz biskup z Liège mówi niemniej wyraźnie: „Trzeba się bardzo wystrzegać, ażeby nie brać za jedno konstytucji i liberalizmu. Kościół katolicki nie bierze ich za jedno. Potępia on liberalizm, jako zbiór i wyznanie zasad fałszywych i bezbożnych. W konstytucji zaś widzi społeczną konieczność, której nie można się opierać, bez narażenia kraju na nieustające zamieszki, których to zamieszek nie chce on i chcieć nie może"[2]).

Są tu w istocie dwie rzeczy bardzo różne: są instytucje społeczeństwa nowoczesnego i jest ich wykład przez rewolucję. Instytucje, to rzecz rzeczywista, sama w sobie istniejąca. Rewolucja, to pewien sposób ich pojmowania. W instytucjach nowoczesnego społeczeństwa są strony dobre, mniej dobre i niebezpieczne. W rewolucji wszystko jest złem. Rewolucja jest doktryną, a doktryna ta jest herezją.

Przypuśćmy, że się tę herezję wypleni z umysłów, tak jak wypleniło się arjanizm naprzykład; co się stanie

[1]) Mgr. Dechamps, 3-e lettre à un publiciste, Du Serment de fidélité, p. 24.

[2]) Instruction synodale, 1878.

z instytucjami, ze swobodami publicznemi? Czy zaginą one razem z rewolucją? Przeciwnie. Pozostaną również pięknemi, piękniejszemi nawet, pozbawionemi tego właśnie, co czyniło je niebezpiecznemi.

Rozpatrzcie dokładnie to szczególne położenie, w jakiem znajdujemy się teraz. Niebezpiecznem jest ono w najwyższym stopniu. Gdyby społeczeństwo nowoczesne i rewolucja domagały się rzeczy sprzecznych, wręcz sobie przeciwnych, nie mogłoby być żadnej dwuznaczności. Tymczasem chcą one tego samego, ale nie w ten sam sposób je pojmują. Używają tychże samych słów, ale nie w tem samem znaczeniu. Domagają się tych samych swobód; ale podczas kiedy społeczeństwo nowoczesne chce je mieć umiarkowane, poddane prawu, rewolucja chce ich nieumiarkowanych, posuniętych do ostateczności, bez żadnego hamulca, stojących ponad wszelkiem prawem. Jednem słowem, sądząc z pozorów, nowoczesne społeczeństwo i rewolucja idą jedną drogą; dążą do jednego celu; płyną, że tak rzec można, jednem łożyskiem. Stądto pochodzi ogromna dwuznaczność i niebezpieczeństwo straszliwe. Jak strumień, który spadając z gór w przezroczystych kaskadach, trafia na pewne pokłady ziemi, gdzie traci pierwotną swoją czystość, i wtedy, zanim ją odzyszcze stopniowo, toczy przez czas pewien zmącone fale: tak wspaniały ten ruch społeczny, który wypłynął z Ewangelji i przebył wieki średnie, sprowadzając powoli na ziemię sprawiedliwość, dobroczynność, wolność, równość wobec prawa, dostępność urzędów dla wszystkich obywateli państwa, podniesienie klas niższych, wszystkie społeczne owoce Ewangelji, — spotkał naraz na swojej drodze męty wieku XVIII; nasiąknął tam sofizmami jednych, utopjami drugich, niewiarą innych, i oto obok i jakgdyby we środku czystego prądu, który stworzył nowoczesne społeczeństwo, powstał nurt mętny i błotnisty, który je burzy i zatruwa. Oprze się ono temu złowróżbnemu prądowi; ale któż może powiedzieć, jak i kiedy?

## III.

Świat zaczyna już dostrzegać na czem właściwie zasadza się groźne zagadnienie teraźniejszości. Chodzi o to, kto zawładnie tegoczesnem społeczeństwem. Czy rewolucja, która omal nie uśmierciła go w samym początku, a teraz z pewnością pogrążyłaby je w przepaść; czy Kościół, który je stworzył i sam tylko uczynić je może wielkiem i trwałem.

Dwie tedy rzeczy mają teraz katolicy do zrobienia. Naprzód powinni pracować nad oddzieleniem nowoczesnego społeczeństwa od rewolucji; starannie wyodrębniać ich splątane ze sobą składowe żywioły, ażeby raz nareszcie wystąpiła jasno różnica pomiędzy społeczeństwem a rewolucją, pomiędzy chorym a toczącym go rakiem.

Następnie trzeba to społeczeństwo zjednoczyć z Kościołem. Nie możemy już wątpić, że zaświtała nowa era w dziejach świata. „Przez czas długi, mówi de Maistre, sądziliśmy, że to, co widzimy, jest tylko wypadkiem; błądziliśmy grubo, gdyż jest to e p o k a. A przecież epoki trwają i lat tysiące". Otóż czy można potępić i odrzucić od siebie ten świat, który się rozpoczyna, który trwać może dziesięć lub więcej stuleci? Czyż nie właściwszem będzie poszukać jakiegoś m o d u s v i v e n d i z nim? Przecież Kościół, będąc wiekuistym, nie może być skutym z formami przejściowemi. Godził się on z cesarstwem Konstantyna i Justynjana, potem z feodalizmem, a następnie z monarchją więcej albo mniej absolutną. Dlaczegóż nie miałby się zgodzić ze swobodniejszą, nową formą życia społecznego, która się nazywa nowożytnem społeczeństwem?

Prawda, że ten nowy porządek wytwarza położenie bardzo drażliwe, zagadnienia bardzo skomplikowane. Ale jest to jeszcze jedna przyczyna, ażeby nie przesądzać pośpiesznie; ażeby dobrze rozróżniać, co można przyjąć, a co należy odrzucić, i określić w jakiej mierze i z jakiemi zastrzeżeniami można się nań zgodzić. Kwestjami temi

zajmowali się wszyscy myśliciele; interesowały one wszystkich wielkich ludzi naszego stulecia. A chociaż jest jeszcze wiele rzeczy niejasnych, które dopiero praca przyszłości wyświetli, wiele już zostało dokonane przez ludzi dzielnego umysłu i dobrej woli, pod okiem Kościoła i jego Najwyższych Pasterzy.

Czy można się dziwić, że katolicy popadli w niejeden błąd, dotykając tych zagadnień, tak do rozwiązania trudnych i tak dotychczas mało badanych? Dwa szczególniej z tych błędów roznamiętniały czas jakiś wiernych, siejąc między nimi niezgodę i zagrażając przyszłości. Na szczęście Kościół czuwał; nadprzyrodzona przezorność i boskie światło, kierujące krokami jego pasterzy, zażegnały niebezpieczeństwo i rozproszyły wszystkie chmury, jak to niebawem zobaczymy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### O nadprzyrodzonej przezorności i nadludzkiem świetle Stolicy Apostolskiej, względem społeczeństwa nowoczesnego i rewolucji.

Nie było wypadku większego, nad powstanie nowoczesnego społeczeństwa. Ale też niema nadeń ciemniejszego. Ukazanie się jednoczesne rewolucji i nowoczesnego społeczeństwa, duch pierwszej rzucający się na kolebkę drugiego i oświecający ją swojem fałszywem światłem, zmieszanie tych dwóch prądów takie, że często czystego od zmąconego odróżnić niepodobna: — wszystko to nagromadziło grube i długo trwające ciemności. Przez lat dziesięć, dwadzieścia, trudno coś dostrzec; — jest się za blisko wypadków. Przypuszcza się, że to burza, rodzaj gorączki; że to minie, jak mijają burze. Nie wątpi się, że dawne społeczeństwo wróci niebawem, a z niem królowie, szlachta, duchowieństwo, stan trzeci, wszystkie swobody i przywileje. Co najwyżej znikną niektóre nadużycia, ale dawna forma rządu odrodzi się tem żywotniejsza i silniejsza. Długi czas złudzeniom tym ulegały wszystkie umysły, nie wyjmując najgenjalniejszych.

Ale z biegiem czasu prawda wychodziła najaw. Zaczęto spostrzegać, że w owym wielkim ruchu z r. 89 było coś, co nie umierało, owszem rozwijało się i obejmowało świat cały. Ale co to było? Czy to było dobrem, czy złem; — szatańskiem, czy boskiem? Tego z pewnością nie wiedziano. Zdania były rozdzielone, nawet pomiędzy katolikami. Jedni widzieli tylko rewolucję, ohydną rewolucję i wydawali trwożne okrzyki. Drugich uderzał prze-

dewszystkiem rozkwit społeczeństwa nowoczesnego, i ci się cieszyli. Pierwsi, biorąc za jedno to społeczeństwo z rewolucją, żywili do niego nienawiść należną tylko rewolucji. Drudzy, widząc samo tylko społeczeństwo, skłonnymi byli uniewinnić rewolucję, albo przynajmniej zapominać o niej, a nawet jej przyklasnąć. Cały wiek XIX cierpiał wskutek tych dwóch błędów i cierpiałby dziś jeszcze, gdyby nadprzyrodzona mądrość Najwyższych Pasterzy nie przyczyniła się do rozproszenia ciemności. Cały szereg encyklik, breve, odezw konsystorjalnych Piusa VI, Piusa VII, Grzegorza XVI, Piusa IX, Leona XIII, przyczynił się do rozjaśnienia tych trudnych zagadnień. Piętnowali oni w nich rewolucję, rzucali klątwy na jej fałszywe zasady, ohydne swobody, bezbożne nadużycia; ale kierowani przez Ducha Bożego, nie brali jej nigdy za jedno ze społeczeństwem nowoczesnem. Nie potępili żadnej ze swobód publicznych w tym zakresie, w jakim owo społeczeństwo ich się domaga. Przeciwnie, traktowali z niem oficjalnie, tak samo, jak z rządem Ludwika XIV, Franciszka I i Ludwika św. Niedosyć na tem; pozwalali biskupom, kapłanom, wiernym, zaprzysięgać konstytucjom nowoczesnego społeczeństwa posłuszeństwo, podtrzymywanie, a w potrzebie obronę. Jednem słowem rozróżniali ustawicznie społeczeństwo nowoczesne i rewolucję; i o ile zawsze potępiali tę ostatnią, o tyle strzegli się potępiać pierwszej.

Zdziwią się tu może ci z moich czytelników, którzy wyobrażają sobie, że papieże XIX stulecia, a szczególniej Grzegorz XVI i Pius IX, rzucali gromy na nowoczesne społeczeństwo. Przedstawię im teksty tych bull, encyklik, alokucyj konsystorjalnych. Niech sądzą sami.

## I.

Jeżeli zamierzam udowodnić w tym rozdziale, że papieże nie potępiali nigdy nowoczesnego społeczeństwa; że uważali je jako formę społeczną najzupełniej dozwo-

loną, a nawet względnie do okoliczności, od innych lepszą: — nie chcę przez to powiedzieć, że wyrzekli się oni wielkiego ideału społeczeństwa chrześcijańskiego, takiego jak go Kościół zawsze pojmował. Kościół ma ideał doskonałości społeczeństwa, tak samo jak ma ideał doskonałości rodziny i jednostki; i żadnego nie może się wyrzec, bo wszystkie wypływają z otrzymanego przezeń objawienia i z jego więcej lub mniej bezpośrednich wyników.

Owym zaś ideałem zupełnej doskonałości i piękności społecznej jest naród, w którym wszyscy mają jednego Boga, jedną wiarę, jeden chrzest, jedną jedyną religję[1]). Naród taki, zjednoczony w wierze, uznaje naturalnie zwierzchnictwo Boga; wypisuje imię Chrystusa na czele swoich konstytucyj, praw, wszystkich aktów ważniejszych; a otaczając czcią religijną dwie władze, które sam nad sobą ustanowił i które zachowuje zawsze w zgodzie ze sobą, postępuje na drodze podwójnego udoskonalenia się, ludzkiego i boskiego za przewodem władzy duchownej i władzy świeckiej, złączonych ściśle ze sobą.

Pozwólcie Kościołowi na taki ideał; zgódźcie się, że jest on pięknym. W podobnem państwie wolność wyznań nie byłaby potrzebna, ponieważ wszyscy obywatele są przypuszczalnie jednej wiary i zaiste mają wszelkie prawo, nie dać sobie odebrać tej drogocennej jedności. Ale kwitłyby tam wszystkie inne swobody i można śmiało twierdzić, że nigdzie indziej rozwój ich nie mógłby być świetniejszym, a zarazem mniej niebezpiecznym.

W każdym razie, chociaż ta forma społeczna jest ze wszystkich najpiękniejsza, nie jest przecież jedyną. Są inne, mniej od niej doskonałe, ale mające swoje piękne strony i często wskutek okoliczności niezbędne. Kościół umie uwzględnić takie konieczności; i chociaż nie usuwa

[1]) „Ach zapewne, lepiejby było dla ludzkości, gdyby oprócz jednego Boga miała także jedną religję, jeden obrządek, jeden Kościół. Czytelnicy wybaczą, że nie zatrzymujemy się dłużej na tej kwestji, leżącej w zakresie ideału". (John Lemoinne, Journal des Débats, 13 mars 1882.)

z przed oczu ludów swojego wielkiego i pięknego ideału, nie zmusza ich do doskonałości, do której w danej chwili nie są zdolnymi.

Są to rzeczy, które trzeba było powiedzieć na początku, dla rozjaśnienia przed sobą drogi i uniknienia dwuznaczności.

## II.

Przejdziemy teraz do współczesnego społeczeństwa i wykażmy, że papieże nigdy go nie potępiali. Potępiali rewolucję; potępiali niektóre swobody w ich znaczeniu rewolucyjnem; ale społeczeństwa nowoczesnego — nigdy! Wyraźnie to zaznaczył Pius VI, skoro w roku 1791 ujrzał się zmuszonym wytknąć nadużycia Zgromadzenia Narodowego. „Musimy uprzedzić, mówi wielki papież, że zamiarem naszym nie jest stawiać zarzuty nowym prawom cywilnym, na które król mógł się zgodzić, a n i p r z y k ł a d a ć r ę k ę d o p r z y w r ó c e n i a d a w n e g o r z ą d u F r a n c j i. Ktoby to przypuszczał, wznawiałby p o t w a r z szerzoną jedynie w c e l u z o h y d z e n i a r e l i g j i“[1]). Jakież były te nowe prawa, którym papież nie miał nic do zarzucenia? Były to prawa czysto cywilne, opiewające zniesienie przywilejów, równość opodatkowania, bezpłatny wymiar sprawiedliwości i t. d., które kładąc kres dawnemu porządkowi rzeczy, dawały początek społeczeństwu nowoczesnemu. Papież nietylko że wyraźnie zastrzega, iż nie ma nic przeciwko tym prawom, ale nadto odpiera zarzut, jakoby chciał przywrócić dawny porządek rzeczy, nazywając zarzut ten p o t w a r z ą. Tak samo mówili wszyscy papieże XIX stulecia. Dla nich nie było nigdy, dawnego ani nowego porządku rzeczy. Dla nich istnieje tylko naród chrześcijański, posiadający najzupełniejszą swobodę urządzania się, jak

[1]) Breve Q u o d a l i q u a n t u l u m, 10 marca, 1791.

uważa za dobre dla siebie, a do którego spraw politycznych oni się wcale nie mieszają; wyjąwszy kiedy chodzi o potwierdzenie, lub obronę zasad religji, któreby były naruszone, wypaczone albo wogóle zagrożone.

Taką jest treść sławnego L i s t u Piusa VI do biskupa diecezji Troyes, encykliki M i r a r i v o s, ogłoszonej przez Grzegorza XVI przeciw nadużyciom A v e n i r, — bulli Q u a n t a c u r a, ogłoszonej przez Piusa IX. Weźcie te teksty, weźcie wszystkie inne dokumenty papieży XIX wieku; śledźcie ich wątek, będący zawsze w zgodzie ze sobą, i znajdźcie tam jedno jedyne słowo potępiające nowoczesne społeczeństwo. Potępiona jest tylko rewolucja; jej zgubne swobody, posunięte za daleko, które zagrażają nowoczesnemu społeczeństwu i mogą przerwać jego istnienie. Przypatrzmy się trochę szczegółom.

Pierwszem, co potępiają wszyscy papieże, a co bynajmniej nie należy do części składowych współczesnego społeczeństwa, jest odrzucenie narodowej czci publicznej; wyłączenie z rządu żywiołu religijnego; ateizm państwowy.

Powtarzam, prawny ów ateizm wcale nie jest jednym z pierwiastków nowoczesnego społeczeństwa. Niema go ani w Anglji, ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Szwajcarji katolickiej, ani we Włoszech, ani w Hiszpanji; i nie zawsze był we Francji. U wszystkich tych narodów, społeczeństwo współczesne występuje w całej swej pełni, doskonałe, z całym pięknym zastępem swobód publicznych, uwieńczonych przez publiczne, narodowe wyznawanie religji.

A kiedy mówię o religji narodowej, nie rozumiem pod tem religji państwowej. Tej ostatniej nie zna wcale Ameryka. A jednakże czytajcie, co pisze o tem Tocqueville, jakie miejsce dają tam religji w zgromadzeniach politycznych, w sprawach gminnych, w najdrobniejszych szczegółach życia publicznego. Wszędzie mają kult społeczny, chociaż nigdzie nie mają państwowej religji. Znosząc zatem owo publiczne wyznanie wiary, nie udosko-

nala się nowoczesnego społeczeństwa, ale się je kaleczy. Cóż tedy dziwnego, że wszędzie, gdzie tylko ukaże się ten ateizm, Stolica Apostolska potępią go i piętnuje. Czyniąc tak, nie potępia społeczeństwa nowoczesnego, ale i owszem broni go.

Możnaby znaleźć niezliczoną liczbę tekstów, świadczących o tem. Przytoczymy naprzód Piusa VII: „Wielka boleść napełniła naszą duszę, skoro poznaliśmy nową konstytucję królestwa Francuskiego (1814, wydaną przez senat Paryski i ogłoszoną w dziennikach). Dostrzegliśmy, że religja katolicka jest w niej całkowicie pominięta milczeniem, i że niema w niej nawet wzmianki o wszechpotężnym Bogu, przez którego panują królowie"[1]).

Przytoczmy jeszcze Piusa IX: „Nie jest wam tajnem, że nie brak dzisiaj ludzi ośmielających się twierdzić, że doskonałość rządów i postęp społeczeństw wymagają koniecznie, iżby owe społeczeństwa były urządzane i rządzone bez brania w rachubę religji, tak jakgdyby ona wcale nie istniała, a przynajmniej bez żadnego rozróżniania religji prawdziwej i fałszywej"[2]).

Oto jest pierwszy błąd społeczny potępiony przez papieży. Któż poważy się twierdzić, że ateizm ow jest jednym z zasadniczych pierwiastków społeczeństwa nowoczesnego, i że potępienie jego zawierało w sobie potępienie tegoż społeczeństwa? Dotyczyło ono jedynie toczącego je raka.

Poza tym ateizmem społecznym, zwracają najwięcej uwagę papieży XIX wieku wyniki, jakie ludzie chcą zeń wyprowadzić wolność sumienia i wolność wyznań, w zakresie najzupełniej do przyjęcia niemożliwym. Tutaj także znajdźcie mi jeden jedyny tekst, gdzieby papieże potępiali wolność sumienia i wyznań w takiem znaczeniu, w jakiem wymaga ich nowoczesne społeczeństwo to jest

---

[1]) Breve Post tam diurnas, 29 kwietnia, 1814.
[2]) Encyklika Quanta cura, 8 grudnia, 1864.

jako niekompetencję rządu już niechrześcijańskiego i jako wynik konieczności społecznej. Potępili oni i napiętnowali z mocą iście apostolską, ową wolność sumienia, mieniącą się być prawem najwyższem i od wszelkich praw religji starszem, jako konieczne następstwo nadanej przez Boga czowiekowi wolnej woli; i ową wolność wyznań, córkę społecznego ateizmu, utrzymującą, że wszystkie religje winny być jednakowo szanowane i otaczane opieką, ponieważ wszystkie są równej wartości. Posłuchajmy Grzegorza XVI: „Mamy obecnie do zaznaczenia inną przyczynę zła. Jest nią indyferentyzm, czyli ten przewrotny system, według którego można osiągnąć zbawienie duszy w każdem wyznaniu religijnem, byle tylko obyczaje były dobre i postępowanie uczciwe... Z tego to nieczystego źródła wyszedł ów drugi niedorzeczny, trudny do pojęcia obłęd, przypisujący każdemu prawo domagania się wolności sumienia"[1]).

Pius IX wraca do tej kwestji i kładzie jeszcze większy nacisk na nią. Mówiąc o ateizmie w rządzie, czyli o błędzie tych, którzy utrzymują, że trzeba urządzać społeczeństwo bez brania w rachubę religji, tak jakgdyby ona wcale nie istniała, dodaje: „Wskutek tego najzupełniej fałszywego pojęcia o rządzie społecznym, nie wzdragają się nauczać, że swoboda sumienia i wyznania jest prawem właściwem każdemu człowiekowi, i że to prawo powinno być głoszonem i zapewnionem w każdem dobrze ukształtowanem państwie"[2]).

Oto dwa najsłynniejsze i najdobitniejsze ustępy, które można przytoczyć przeciwko wolności sumienia i wyznań. I cóż w nich znajdujemy? Czy może potępienie owej wolności sumienia, która jest tylko uznaniem niekompetencji Państwa niechrześcijańskiego? Zaiste nie. Albo może potępienie wolności wyznań, przyjętej jako wynik konieczności społecznej? I to nie. Potępioną tu jest tylko

---

[1]) Encyklika Mirari vos, 15 sierpnia, 1832.
[2]) Encyklika Quanta cura, 8 grudnia, 1864.

dogmatyczna wolność sumienia i wyznań, wyprowadzona z założenia, że wszystkie religje są jednakowo prawdziwe albo jednakowo fałszywe, że zatem człowiek ma najzupełniejszą wolność wybrania tej, którą chce, albo nie wybrania żadnej. A za dowód, iż właśnie ta fałszywa wolność jest potępiona, niech służy to, że Kościół, jak to zobaczymy, nie wzdragał się nigdy zezwalać na przysięgę wierności konstytucjom, gdzie wolność sumienia i wyznań są zamieszczone w tem znaczeniu, jak je pojmują wszyscy uczciwi ludzie.

To, co mówimy o wolności sumienia i wyznań, staje się jeszcze bardziej bijącem w oczy, kiedy chodzi o wolność prasy. Tutaj nie może już powstać cień nawet wątpliwości. Pokażcie mi tekst chociaż jeden, gdzieby była potępiona inna wolność prasy, jak wolność w takiem znaczeniu, w jakiem jej chce rewolucja: czyli bezwzględna, stojąca ponad prawem wszelkiem, bez kontroli i ograniczeń.

Oto są owe teksty:

Pius VI, 10 marca 1791 r., w swojem brewe, wydanem do biskupów Zgromadzenia Narodowego, gani toż Zgromadzenie, że ustanowiło „jako prawo człowieka w społeczeństwie, ową wolność bezwzględną, która nietylko że zapewnia zupełną nietykalność wszelkich opinij religijnych, ale nadto daje jeszcze swobodę myślenia, mówienia, pisania, a nawet drukowania bezkarnie o rzeczach religji, wszystkiego, co może nasunąć najbardziej wyuzdana wyobraźnia; prawo potworne, które wszelako Zgromadzeniu wydaje się być prostem następstwem, przyrodzonej ludziom równości i wolności".

Pius VII, 29 kwietnia 1814 r., mówi: „Doświadczenie (od 1791 do 1793 r.) wykazało, że ta wolność prasy (taka, jak jest zamieszczona w konstytucji z 1793 r. czyli bez hamulca i ograniczeń) była główną przyczyną zepsucia obyczajów, podkopania wiary i powstawania buntów i zamieszek. Należałoby i nadal obawiać się tych nieszczę-

śliwych skutków, gdyby, co nie daj Boże, udzielono każdemu swobody drukowania wszystkiego, cokolwiek mu się podoba. Si, quod Deus avertat, libera cuilibet quae magis placeant typis, mandandi potestas permitteretur"[1]).

Grzegorz XVI, 15 sierpnia 1832 r., wypowiedziawszy swe zdanie o rewolucyjnej i bezbożnej wolności sumienia, kończy: „To zgubne obłąkanie jest nadto umacniane przez zupełną i nieumiarkowaną wolność opinji, szerzącą spustoszenie wszędzie, w Kościele i w Państwie, ku radości niektórych poważających się utrzymywać, że wyniknie z tego jakaś korzyść dla religji". Dalej zaś: „Do tego rzędu należy owa wolność zgubna i budząca najpoważniejsze obawy, wolność prasy ogłaszania pism wszelakiego rodzaju, której niektórzy poważają się żądać tak zapalczywie".

Pius IX, 8 grudnia 1864 r., zaznacza: „Są tacy, którzy nie wahają się nauczać, że wszyscy obywatele państwa mają prawo do zupełnej wolności wygłaszania publicznie, słowem, drukiem lub w inny sposób, swoich opinji, bez względu na to, jakiemi one są i bez żadnych ograniczeń ze strony władzy kościelnej lub świeckiej".

Choćby kto był najzapaleńszym zwolennikiem swobód nowoczesnych, nawet człowiekiem niewierzącym, pytam go, czy to wszystko nie jest prawda? Czy bezwzględna wolność wypowiadania wszelkiego rodzaju przekonań, nie jest dla narodów bardzo groźnem niebezpieczeństwem? Czy nie takie jest zdanie największych umysłów naszego stulecia? Potomność, wolna od naszych złudzeń, będzie kiedyś patrzyła ze czcią na tych pasterzy rzymskich, którzy nie dawali się unieść żadnym przemijającym prądom swojej epoki i wśród burz wszelkich, dzierżyli silną dłonią pochodnię prawdziwej

[1]) Breve Post tam diurnas, 29 kwietnia, 1814 r.

wiary i prawdziwego rozumu. Ale jednocześnie będzie wielbiła ich mądrość i umiarkowanie. Potępiają energicznie wolność przekonań i prasy, ale jakąż? Czy wolność roztropną, umiarkowaną i trzymaną na wodzy przez dobre prawa? Nie; tylko i jedynie wolność nieograniczoną, libertate immoderata; niczem nie hamowaną, bez kontroli żadnej, plena illa atque immoderata libertate opinionum; wolność głoszenia swoich myśli bez względu na to, jakie są one, conceptas quascumque, i bez prawa wtrącania się do tego władz jakichkolwiek, nulla auctoritate coarctandam. Jakiż mąż stanu, nawet pozbawiony wiary, nie odczułby, że to głos prawdy?

A więc, czy ta wolność naganna, nieznająca hamulca ni granic, potrzebną jest istotnie współczesnym społeczeństwom? Bynajmniej. Wolność taka przedostała się raz tylko do naszej konstytucji, w r. 1793[1]). W szesnastu innych konstytucjach następujących kolejno po sobie od r. 1789 do 1880, wolnością, której się domagają, jest wolność „poddana prawu[2]), ograniczana przez prawo[3]), wolność odpowiedzialna za swoje nadużycia przed sądem[4]), wolność trzyma w pewnych granicach, przez prawa lub swobody innych, albo bezpieczeństwo ogółu“[5]); jednem słowem jest to wolność mądra, umiarkowana, powstrzymywana przez hamulce niezbędne. A nikt nie może przytoczyć ani jednego słowa papieży, ganiącego taką wolność.

Jednem słowem, możecie przejrzeć wszystkie bulle papieskie z XIX wieku; znajdziecie w nich potępienie

[1]) Konstytucja z r. 1793. Art. VI. „Każdy człowiek ma prawo objawiania swoich myśli i przekonań“. — Art VII. „Wolność prasy i wszelkiego innego sposobu ogłaszania swoich myśli, nie może być wzbronioną, zawieszoną ani ograniczoną“.

[2]) Senatus consultus z 18 maja 1804 r. Nadanie konstytucji z r. 1814.

[3]) Konstytucja z r. 1795. — Karta z r. 1830.

[4]) Konstytucja z r. 1814. — Akt dodatkowy do konstytucji Cesarstwa z 23 kwietnia r. 1815.

[5]) Konstytucja z r. 1848.

wszystkich nadużyć swobód publicznych, wszystkich błędów, które je paczą i wynaturzają. Ale nigdy i nigdzie nie znajdziecie potępienia samego nowoczesnego społeczeństwa.

III.

Idźmy dalej. Nietylko że papieże nie potępiali nigdy społeczeństwa współczesnego, ale traktowali z niem najpoważniej, nie jeden raz, ale po wielekroć. Pozwalali biskupom, kapłanom i wiernym, przysięgać na wierność rozmaitym konstytucjom, jakie ono sobie układało, a w jakich skład wchodzą wszystkie swobody, bez których się ono obejść nie może: co jest najlepszym dowodem, że niemasz w nich nic złego, ani niedozwolonego.

Nieco wcześniej, w r. 1790, kiedy chodziło o cywilną ustawę dla duchowieństwa i kiedy Zgromadzenie Narodowe zażądało od niego przysięgi, duchowieństwo stanowczo jej odmówiło; papież uznał tę przysięgę za występną, odszczepieńczą i karał wszystkich, którzy ją złożyli. Tutaj nic podobnego nie miało miejsca, i skoro tylko zażądano przysięgi na konstytucje nowoczesnego społeczeństwa, została ona wszędzie dozwoloną.

Dawniej jeszcze, kiedy od katolików angielskich zażądano przysięgi na wierność królowi, papież Paweł V im jej zabronił. „Z samych wyrażeń tej przysięgi, pisał do nich, powinniście widzieć, że niepodobna jest ją składać, bez uchybienia wierze katolickiej i bez narażenia na niebezpieczeństwo zbawienia duszy, gdyż jest w niej wiele rzeczy przeciwnych wierze i zbawieniu“[1]). Otóż gdyby konstytucje nowoczesnego społeczeństwa zawierały również rzeczy przeciwne wierze katolickiej, ani Pius VI, ani Pius VII, ani Grzegorz XVI, nie dozwoliliby składania na wierność im przysięgi.

[1]) Breve Magno animi moerore. Vobis ex verbis ipsis perspicuum esse debet quod hujusmodi juramentum salva fide catholica et salute animarum vestrarum praestari non potest, cum multa contineat quae fidei et saluti aperte adversentur“.

A co większe jeszcze nadaje znaczenie temu upoważnieniu do przysięgi, jest to, że papieże dawali je zaledwie po poważnem zbadaniu znaczenia niektórych wyrażeń.

I tak w r. 1804, przed samą koronacją Napoleona, zakomunikowano papieżowi Piusowi VII rotę przysięgi, jaką miał złożyć cesarz w Notre-Dame. Między innemi artykułami był ten: „Przysięgam, że uszanuję wolność wyznań i zapewnię jej poszanowanie". Pius VII bardzo się zaniepokoił tem wyrażeniem. Co to miało być, to poszanowanie wolności wyznań? Miałoż się to poszanowanie odnosić do samej istoty wyznań i zawierać w swem pojęciu wewnętrzny akt przyzwolenia i wiary w prawdę ich dogmatyczną? W takim razie obrzęd namaszczenia na króla byłby niemożliwy. Czy może znaczyło to jedynie tolerancję i opiekę dla prawa osób, a bynajmniej nie uznanie doktryny, ani potwierdzenie jej prawdziwości? W takim razie zgoda, ale potrzeba jasno to wypowiedzieć. Zaczęły się tedy pertraktacje, na skutek których Napoleon kazał upewnić papieża, że zakwestjonowane wyrażenia uszanować i zapewnić poszanowanie, mają się rozumieć tylko jako poszanowanie w znaczeniu cywilnem, i że wreszcie jest to sposób wyrażania się uświęcony we Francji zwyczajem, a który oznacza jedynie zagwarantowanie bezpieczeństwa[1]). Książę Talleyrand, minister spraw zagranicznych oficjalnie, a kardynał Fesch nieoficjalnie[2]) ponowili to zapewnienie, i uspokojony papież udał się do Francji.

---

[1]) Depesza kardynała Caprara, 8 lipca 1804. r.

[2]) Depesza ks. Talleyranda, 18 lipca 1804. r.

List kardynała Fescha do kardynała Gonsalvi, 29 sierpnia 1804 r. „Co się tyczy swobody wyznań, pozwolę sobie przypomnieć Jego Świętobliwości odpowiedź w tej kwestji p. Talleyranda. Minister mówi w niej kategorycznie, że swoboda wyznań, a istota tych wyznań są to rzeczy całkiem różne; że pierwsza stosuje się tylko do jednostek, daną religię wyznających; druga zaś znaczy za-

Trochę później w r. 1815 kiedy Ludwik XVIII nadał konstytucję, gdzie było powiedziane: „Każdy wyznaje swoją religję z jednakową swobodą i doznaje jednakowej opieki dla swego wyznania", papież kazał sobie wytłumaczyć, jakie jest prawdziwe znaczenie wyrażeń: „jednakowa swoboda; jednakowa opieka". Czy miało to oznaczać, że wszystkie wyznania będą otaczane jednakową opieką, ponieważ wszystkie są uważane za mające jednakową wartość? W takim razie przysięga byłaby odstępstwem. Ludwik XVIII kazał odpowiedzieć przez swojego ambasadora, że konstytucja nie takie miała znaczenie. Ambasador de Blacas napisał oficjalnie „Jego Arcychrześcijańska Mość, ogłaszając religję katolicką za religję państwową, musiał tym ze swoich poddanych, którzy wyznają inne religje, jakie znalazł uznane we Francji, zapewnić wolność wykonywania swoich obrządków, zabezpieczył ją im więc przez konstytucję i złożoną na tęż konstytucję przysięgę. Ale ta przysięga nie może w niczem naruszać dogmatów ani praw Kościoła, ponieważ niżej podpisany jest upoważniony oświadczyć, że ma ona być rozumianą jedynie odnośnie do praw cywilnych. Takiem jest zobowiązanie, które król zaciągnął, a którego musi dotrzymać. Takiem też jest zobowiązanie, jakie zaciągają wszyscy jego poddani, przysięgając na posłuszeństwo konstytucji i prawom królestwa; przysięga zaś ta nie zmusza ich i nigdy zmusić nie może do czegokolwiek sprzeciwiającego się prawom Kościoła"[1]). Po takiem wyjaśnieniu, papież zezwolił na przysięgę.

---

sady i naukę, z których się ona składa; że zachowywanie jednej, nie jest bynajmniej potwierdzeniem drugiej.

Z tego wyraźnego oświadczenia wynika oczywiście, że przysięga szanowania wyznań i zapewnienia im poszanowania nie oznacza nic innego, jak tolerancję cywilną i bezpieczeństwo jednostek. I oczywiście w tem to znaczeniu należy rozumieć odpowiedź p. Talleyranda".

[1]) Depesza p. de Blacas z d. 15 lipca 1817 r.



PROPERTY OF
ST. JOHN CANTIUS' HOUSE OF STUDIES
Congregation of the Resurrection.

We dwa lata potem w r. 1817 kiedy Niderlandy nadały sobie konstytucję na wzór francuskiej, kładąc tylko większy jeszcze nacisk na swobodę wyznań, papież zaniepokoił się również i przedsięwziął większe jeszcze ostrożności tem bardziej, że redakcja tych artykułów dosyć była niezręczna. Brzmiały one tak: „Wolność przekonań religijnych zapewnia się wszystkim. Jednakową opieką otacza się wszystkie wyznania religijne, istniejące w królestwie". Papież nietylko, że wymógł na rządzie wyjaśnienie znaczenia dwóch tych artykułów, ale nadto sam wyjaśnił biskupom i kapłanom, w jakiem znaczeniu mają składać przysięgę. Oto owa formuła, jaka została posłana duchowieństwu: „Ja niżej podpisany oświadczam solennie i protestuję, że przez przysięgę złożoną na konstytucję nie zobowiązuję się do niczego, coby się sprzeciwiało nauce albo prawom Kościoła katolickiego, apostolskiego, rzymskiego; że nigdy nie popełnię nic takiego, coby mu było przeciwne; owszem, że będę go popierał w każdym wypadku, wszystkiemi możliwemi środkami; i że przysięgając opiekę wszystkim wyznaniom religijnym Państwa, to jest osobom religje te wyznającym, rozumiem pod tem tylko opiekę prawną, bez uznawania przez to ani bezpośrednio, ani pośrednio, zasad przez nich wyznawanych, a przez religję katolicką potępionych".

Rząd zaakceptował tę formułę i papież oświadczył, że biskupi i kapłani nie powinni robić żadnej trudności w przysięganiu na konstytucję, ponieważ sens wyrażeń omawiających wolność wyznań został w zupełności wyjaśniony i przysięga tyczy się jedynie opieki prawnej nad osobami, a nie tolerancji dogmatycznej dla zasad"[1]).

[1]) List Monsignora księcia de Meàn arcybiskupa Malines, 13 listopada 1817 r.

W r. 1830 powstała ta sama trudność. Religja katolicka nie była już uznana za religję państwową, ale poprostu za religję większości Francuzów. Nadto ogromny nacisk był położony na wolność sumienia i wyznań. Zwrócono się do papieża z zapytaniem, czy można przysięgać w tych słowach: „Przysięgam wierność królowi Francji, posłuszeństwo karcie konstytucyjnej i prawom królestwa". Pius VIII odparł, że kwestja była już rozstrzygnięta, a ponieważ rząd obecny nie odwołał wyjaśnień udzielonych przez rządy dawniejsze, można było składać przysięgę.

Te tak dokładne i ważne orzeczenia papieża Piusa VII, stały się punktem wyjścia dla postępowania Stolicy Apostolskiej, względem współczesnego społeczeństwa. Zkolei wszystkie narody nadały sobie podobne konstytucje i wymagały na nie przysięgi od duchowieństwa. Papieże nie żądali już nawet wyjaśnień. Zostało jednozgodnie przyjęte, że skoro się przysięga wierność konstytucjom, gwarantującym o s o b o m wolność ich wyznania, nie przyzwala się przez to n a w y z n a w a n e p r z e z n i e b ł ę d n e z a s a d y, i nie zobowiązuje się do niczego s p r z e c i w i a j ą c e g o s i ę p r a w o m B o g a i K o ś c i o ł a. Powoli weszło to w zwyczaj i nie przedstawia już dla nikogo trudności.

Zwróćcie też uwagę, że we wszystkich tych zabiegach papieży, niema mowy o wolności prasy. Wszystkie te konstytucje głoszą wolność prasy nie bezwzględną, bez kontroli i ograniczeń, ale trzymaną na wodzy przez prawo i przed niem odpowiedzialną. Papież nie zajmuje się nią wcale; nie widzi w niej żadnej przeszkody do przysięgi.

Zwróćcie uwagę i na to, że papież nie podnosi też faktu, iż religja katolicka nie jest uznana za religję panującą. Oczywiście wolałby, ażeby tak było. Oczywiście nie pozwoliłby utrzymywać, że jest to postępem dla narodów nie mieć religji państwowej. Ale sam ten fakt, że religja katolicka nie jest uznana za panującą, nie powstrzymuje bynajmniej Ojca św. od zezwalania na przysięgę. Rzecz

ta nabrała największego rozgłosu w r. 1802. Po raz pierwszy wchodził wówczas papież w uroczyste z nowoczesnem społeczeństwem układy. Przywiązywał wielką wagę do tego, ażeby religja katolicka zachowała w konkordacie swoje odwieczne stanowisko publicznego, narodowego wyznania Francji, wyznania jej rządu. Nalegał usilnie, ażeby zamieszczono to na czele konkordatu. Napoleon zgodziłby się chętnie, ale ponieważ chodziło mu o to, ażeby nie wywołać trudności, o które wszystko mogłoby się rozbić, żądał, iżby wstęp do konkordatu stwierdził jedynie, że religja katolicka, apostolska, rzymska, jest wyznaniem znacznej większości Francuzów. Papież ustąpił i podpisał konkordat. Tak samo było w r. 1817 w Niderlandach, w 1830 we Francji; a potem wszędzie. I papież nie uważał, żeby to stanowiło przeszkodę do przysięgi.

Nietylko tedy papieże nigdy społeczeństwa nowoczesnego nie potępiali, ale wchodzili z niem w układy. Po zgłębieniu znaczenia jego konstytucji, w których są wymienione wszystkie swobody publiczne, a mianowicie swoboda wyznań, pozwolili biskupom, kapłanom i wiernym przysięgać na te konstytucje, czyli zobowiązywać się do czuwania nad ich całością i w razie potrzeby stawania w ich obronie; i tem samem wykazali jawnie, że nie było w nich nic takiego, na coby się Kościół nie mógł zgodzić.

## IV.

Niech i tak będzie, powiecie, ale zapominasz o Syllabusie; zapominasz, jak nowoczesne społeczeństwo uczuło się dotkniętem jego ogłoszeniem. A czyżby było niem dotknięte, gdyby nie czuło się potępionem? Nie, potępionem nie było, ale zaszła tu omyłka, nieporozumienie. Nieporozumienie to stworzone, a potem rozdmuchane i zaostrzone przez najrozmaitsze namiętności, wzburzyło umysły. Czas, który wszystko łagodzi, rzucił już na ten słynny dokument prawdziwe światło. Zrozumiano już, że

nie zagraża on nowoczesnemu społeczeństwu, ale je broni i osłania. Potępia tylko jego błędy; ostrzega przed niebezpieczeństwem. Nie jest on zresztą wyrokiem nieomylności Stolicy Apostolskiej; jest aktem władzy kierowniczej wymagającym, rozumie się, posłuszeństwa; ostrzeżeniem, przesłanem wszystkim biskupom, dla zwrócenia ich uwagi na zasadzki nieprzyjaciela.

Przytoczę tu słowa sławnego teologa, który po ich napisaniu właśnie został mianowany kardynałem.

„Syllabus, pisze kard. Newman, nie posiada znaczenia dogmatu... Należy go przyjąć jako akt posłuszeństwa papieżowi, a nie jako akt wiary; a posłuszeństwo to trzeba okazać, rozpatrując oryginały i dokumenty papieskie (odezwy i encykliki), do których się odnoszą wszystkie jego ustępy.

„Nadto, skoro zbadamy te dokumenty, widzimy, że Syllabus nie może nawet być nazwany echem głosu apostolskiego, gdyż w przedmiocie, w którym każdy wyraz taką ma wagę, nie jest on wcale dosłownem przepisaniem tekstów papieskich, w których jest mowa o potępianych błędach, jak to powinnoby mieć miejsce, kiedy chodzi o potępienie jakiegoś specjalnego błędu.

„Wyraz ten, Syllabus, zwany katalog: tłumaczenie nazywa go skrótem. Skrótem czego? Powiedziałem to już: skrótem twierdzeń, które papież w przeróżnych odezwach, encyklikach i innych dokumentach uznał za błędne, w ciągu całego swego papiestwa. Kto zrobił wyciąg tych zdań ze wszystkich tych dokumentów urzędowych i zebrał je razem? Niewiadomo. Tyle tylko wiemy, że to streszczenie błędów zostało rozesłane z rozkazu papieża przez ministra spraw zagranicznych wszystkim biskupom. Jednocześnie przesłał im kardynał encyklikę z grudnia 1864 r., dokument mający powagę dogmatyczną. Kardynał oznajmia w swoim cyrkularzu, że papież rozkazał mu to uczynić. Oto są jego słowa: „Ojciec św. przypuszczając, że może nie doszły do biskupów niektóre jego odezwy i inne listy, albo mowy z tych lat osta-

tnich, kazał zebrać wszystkie błędy, które uznał za takie, a to dla użytku biskupów". Takim jest Syllabus i cel jego. Nie zawiera on ani jednego słowa pisanego przez papieża; są tam same tylko wnioski błędne i tytuł, który brzmi jak następuje: Syllabus zawierający główne błędy naszego czasu, które są zaznaczone w odezwach konsystorjalnych, w encyklikach i innych listach apostolskich naszego Ojca św. papieża Piusa IX. Jest drugi dodatek: po każdym błędzie znajdujemy odsyłacz do odezwy, encykliki albo innego dokumentu, w którym błąd ten jest potępiony.

„Powinniśmy zatem przyjmować Syllabus z wielką uległością, jako przesłany biskupom świata przez władzę papieską. Ma on przez to samo pośrednią sankcję swoją; ale sam przez się jest on tylko i jedynie uszeregowaniem przez niewiadomego autora pewnych błędów. Nie byłoby nawet żadnego dowodu, że papież widział go kiedykolwiek, gdyby nie świadczyła o tem aprobata na liście kardynała. Nie posiada on żadnego znaku, ani pieczęci, świadczących o bezpośrednim stosunku z papieżem. Kto jest jego autorem? Zapewne jakiś wyższy teolog, ktoś z wybitniejszych osobistości. Byłżeby to sam kardynał Antonelli? Z pewnością nie. W żadnym razie nie jest nim papież i nie chcę brać tego dokumentu za to, czem nie jest. Nie dlatego tak mówię, żeby miało mi być trudno albo przykro odrzucić i potępić zebrane tam błędy, gdyby papież wymagał tego ode mnie; ale nie uczynił tego dotychczas, a nie może przelać swego prawa na innych. Wraz ze świętym Hieronimem pragnę mówić zgodnie z następcą św. Piotra. Przyjmuję wszystko co papież twierdzi w rzeczach wiary i moralności, ale potrzeba, ażeby twierdził to on osobiście, z urzędu i bezpośrednio, nikt bowiem inny nie posiada władzy nade mną"[1]).

[1]) List do księcia Norfolk z okazji świeżych pism p. Gladstone'a, przez J. H. Newman'a, Oratorjanina.

Widzimy z tego zasługującego na uwagę wyjaśnienia, jaki charakter nosi osiemdziesiąt opinij zebranych w Syllabusie. Wszystkie one były potępione przez papieża, ale nie w tych samych wyrazach, ani przez dokumenty jednakowej wagi. Niewszystkie się odnoszą do kwestji wiary albo obyczajów, gdzie papież jest nieomylnym, gdy przemawia ex cathedra; ale i do kwestji karności, w której niezawsze jest nieomylny. Wielka ich ilość mówi o rzeczach nieobjawionych. Nareszcie streszczenie tych opinij, ułożone nie przez papieża[1]), nie przesłane przezeń publicznie Kościołowi powszechnemu[2]), nie ogłoszone uroczyście i nie przybite na podwojach św. Piotra[3]), nie było nawet podpisanem przez papieża. Gdyby papież chciał był nadać mu charakter urzędowy, podpisałby je był, tak jak podpisał encyklikę z niem razem wysłaną. Nie uczynił tego; tak że nietylko, iż nie widzimy w Syllabusie aktu nieomylnego nauczania papieża, ale zaledwie ośmielamy się uważać go za akt papieski.

---

[1]) Proszę zwrócić uwagę, co mówi kard. Antonelli: „Ojciec św. przypuszczając, że może nie doszły do biskupów niektóre jego odezwy, albo mowy z tych lat ostatnich, kazał zebrać wszystkie błędy, które uznał za takie".

[2]) „Następnie rozkazał mi Ojciec św. dopilnować, ażeby ten Syllabus był rozesłany wszystkim biskupom, iżby ci biskupi mieli przed oczami wszystkie błędy i zgubne nauki, które zostały przezeń odrzucone i potępione". Nie zaleca im, żeby ogłosili go wiernym, co byłoby niezbędnem, gdyby wymagał od wszystkich aktu wiary.

[3]) W tym samym dniu, kiedy nieomylność papieża została ogłoszona na Soborze Watykańskim, nowe prawo zostało wywieszone wszędzie, gdzie się to zwykle czyni, przez Cursora apostolskiego Ludwika Serafini. Tak samo uczyniono w r. 1854 z ogłoszeniem Dogmatu Niepokalanego Poczęcia. Syllabus nie był nigdzie wywieszonym.

W czasie obchodu jubileuszu w r. 1867 jeden z komisarzy, któremu powierzono ułożenie adresu do biskupów, chciał wymienić w adresie tym Syllabus; oparł się temu jeden z prałatów rzymskich, mówiąc, że nie był to w rzeczywistości, biorąc ściśle, akt samego papieża.

Z pomiędzy osiemdziesięciu twierdzeń zawartych w Syllabusie, cztery tylko dotyczą współczesnego społeczeństwa. Przyjrzyjmy się im i porównajmy je z dokumentami pasterskiemi, z których są wyjęte[1]). Zobaczymy, że żadne z nich nie okazuje się wrogiem nowoczesnego społeczeństwa, a przeciwnie sprzyja mu. Żadne z nich zresztą nie wymaga aktu wiary.

**Pierwszy błąd tyczący się nowoczesnego społeczeństwa.**

(Twierdzenie LXXVII.)

Błędnem jest utrzymywać, że w naszej epoce nie jest już pożyteczne, iżby religja katolicka była uważana za jedyną religję państwa, z wyłączeniem wszystkich innych wyznań.

Twierdzenie powyższe jest wyjęte z alokucji wygłoszonej przez papieża Piusa IX w tajnym konsystorzu, d. 26 lipca 1855 r. A przecież wiemy, że przemówienia wygłoszone na tajnym konsystorzu, przez to samo nie są i być nie mogą aktami nieomylnego nauczania. Nadto twierdzenie to nie jest zamieszczone w alokucji. Wypływa z niej tylko jako wynik logiczny. Papież zawarł z Hiszpanją konkordat, w którym religja katolicka uznana była za religję państwową. Nadchodzi rewolucja i zrywa konkordat pod pozorem, że w naszej epoce nie jest już pożyteczne, iżby religja katolicka była uważana za jedyną religję państwa. Papież gani zamachy rewolucji, ale twierdzenia powyższego odezwa nie zawiera, wypływa ono z niej tylko domyślnie.

Zresztą błąd to oczywisty. Bo zgoda na to, że w niektórych krajach wskutek rozdwojenia umysłów, niepo-

[1]) Encyclique, Syllabus et Documents, auxquels renvoie le Syllabus, en français et en latin, par M. l'abbé Raulx. 2 vol. in 8-o. Paris, Lagny, 1865. — Praca nader cenna, dla chcących przeprowadzić nad Syllabusem poważne badania.

dobna uznać katolickiej religji za jedyną religję państwa. Uznał to sam Ojciec święty. Ale utrzymywać, że tam, gdzie jeszcze istnieje jedność religji, należy ją obalić; że tam, gdzie panuje pokój, należy wprowadzić rozmaitość wyznań, a co zatem idzie: spory i niezgodę, — i to pod pozorem, że epoce naszej już nie przystoi cierpieć gdziekolwiek religijną jedność, — oburza to zarówno zdrowy rozsądek i rozum jak i wiarę.

### Drugi błąd tyczący się nowoczesnego społeczeństwa.

(Twierdzenie LXXVIII.)

Błędem jest mówić, że prawo miało słuszność, iż postarało się w niektórych krajach katolickich, ażeby każdy z przybyłych tam cudzoziemców mógł wykonywać obrządki swojego wyznania.

To wyrażenie jest wyjęte z alokucji Acerbissimum, wygłoszonej na tajnym konsystorzu 27 września 1852 r. Ale wyjęte jest z niej tylko jako wynik logiczny. W Nowej Grenadzie był cały lud katolicki. Nadchodzi rewolucja, wypędza zakonników, więzi biskupów, kapłanów, zabrania składania ślubów zakonnych, zachęca zakonników do odstępstwa, i po takiem skrępowaniu wyznania katolickiego daje wszystkim emigrantom, Chińczykom, Japończykom prawo otwierania swoich świątyń i nauczania w nich doktryn wszelkiego rodzaju. Papież ubolewa nad taką zaciętością, potępia ją energicznie. Wypływa stąd samo przez się twierdzenie ogólne, że „błędem jest utrzymywać, iż prawo miało słuszność, że postarało się w niektórych krajach, ażeby każdy z przybyłych tam cudzoziemców mógł wykonywać obrządki swojego wyznania". Twierdzenie to ogólne jest prawdziwe; papież go jednakże nie sformułował. Wypływa tylko, i to pośrednio, z odezwy, która zresztą, jako wygłoszona na tajnym konsystorzu, nie wymaga aktu wiary.

**Trzeci błąd tyczący się nowoczesnego społeczeństwa.**

(Twierdzenie LXXIX.)

Błędem jest mówić, że zupełna swoboda wszystkich wyznań i całkowite prawo pozostawione wszystkim głoszenia publicznie wszelakiego rodzaju zdań i przekonań, nie są jedną z przyczyn demoralizacji narodów i szerzenia się plagi indyferentyzmu.

Twierdzenie powyższe jest wyjęte prawie dosłownie z alokucji Nunquam fore, wygłoszonej 15 grudnia 1856 r. na tajnym konsystorzu przez Ojca św. Piusa IX. Ale czyliż nie zgodzi się na nie każda dusza uczciwa? Jakżeby udzielona wszystkim bez wyjątku, nawet najbardziej zepsutym, swoboda publicznego głoszenia wszystkich myśli i zdań, chociażby najbardziej nieuczciwych i niemoralnych, nie miała być jedną z przyczyn zepsucia narodu? A zupełna swoboda wszystkich wyznań, nietylko chrześcijańskich, ale i pogańskich i najniemoralniejszych, jakżeby nie miała popychać do niepewności, wątpliwości, do indyferentyzmu lud, który nie umie sam przez się rozpoznać, co jest prawdziwe! I do czegożeśmy to doszli, że trzeba dowodzić prawdy podobnego twierdzenia!

**Czwarty błąd tyczący się nowoczesnego społeczeństwa.**

(Twierdzenie LXXX.)

Błędem jest mówić, że Pasterz rzymski może i powinien pogodzić się z postępem, liberalizmem i cywilizacją nowoczesną.

W gruncie rzeczy temu to źle zrozumianemu twierdzeniu przypisać należy burzę, jaką Syllabus wzniecił. A jednakże znaczenie jego jest chyba bardzo jasne.

Jeżeli chodzi o społeczeństwo nowoczesne takie, jakiem przedstawiliśmy je powyżej, o ów piękny całokształt instytucyj biorących początek z Ewangelji, dojrzałych pod okiem Kościoła, papież godzić się z niem nie ma potrzeby.

Jeżeli przeciwnie chodzi o społeczeństwo nowoczesne przejęte i zatrute liberalizmem rewolucyjnym, które jest zaciętym wrogiem Kościoła, papież godzić się z niem nie może. Otóż dosyć jest przeczytać odpowiadający temu twierdzeniu tekst alokucji Jam dudum, z której jest ono wyjętem, ażeby przekonać się, że chodzi tu jedynie o to ostatnie.

„Cóż to jest, ta nowoczesna cywilizacja, mówi kardynał Pecci, Leon XIII, którą Kościół potępia, i z którą wszelkiej wspólności wyrzeka się najwyższy Kościoła naczelnik, nieomylny nauczyciel wiernych? Zaiste, to nie cywilizacja, przez którą człowiek udoskonala się pod trzema względami, jakie wskazaliśmy powyżej; wcale nie, to cywilizacja, która chce zająć miejsce Chrystjanizmu, a pozbawiając nas go, pozbawić zarazem wszelkiego dobra, w które wpływ jego nas wzbogacił". Dodaje: „Gdyby ci, którzy posługują się zręcznie Syllabusem, ażeby jątrzyć świat przeciw Chrystjanizmowi, pomyśleli byli o tem, że nie dosyć być zręcznymi, ale trzeba przedewszystkiem być uczciwymi: wtedy zamiast wzbudzać nienawiść świata, przedstawiając mu z całej długiej przemowy jedno oderwane twierdzenie, usiłowaliby wyjaśnić jego znaczenie na podstawie dokumentów, z których było wyjętem, a które były starannie wskazane. Czyniąc to, przekonaliby się z łatwością, że nie istotna cywilizacja wykwitła z pnia Chrześcijaństwa i na nim owocująca potępioną została przez Stolicę Piotrową, — ale ta rzecz samozwańcza, która przywłaszczyła sobie miano prawdziwej cywilizacji, a jest tylko nieubłaganym jej wrogiem"[1]).

---

[1]) Lettre pastorale de M-gr. Pecci, archevêque de Pérouse, sur l'Eglise et la civilisation, 1877—1878.

## V.

Im więcej rozczytujemy się w zbiorze dokumentów pasterskich, tem bardziej uderza nas przezorność, cechująca zachowanie się papieży wobec tego drażliwego zagadnienia, jakiem jest nowoczesne społeczeństwo. Nagany ich nie dotykają nigdy samej jego istoty. Potępiają oni energicznie rewolucję; wytykają fałszywe jej zasady, jej bezprawia i nadużycia, wolność prasy nieograniczoną i absolutną, wolność wyznań stawianą jako ideał, sekularyzację państwa podawaną jako postęp; ale nigdzie nie potępiają wolności roztropnej, uczciwej, kierowanej i miarkowanej przez dobre prawa. Ani jednem słowem nie potępiają społeczeństwa nowoczesnego, samego w sobie. Przeciwnie, pracują nad nadaniem mu żywotności usuwając zeń błędy, któreby paraliżowały działanie jego instytucji i zagrażały przez to nieuchronnie jego istnieniu.

A jakby dla ostatecznego rozświetlenia tego drażliwego przedmiotu po śmierci Piusa IX, którego zadaniem było odstraszać płomienistym mieczem, od granic nowoczesnego społeczeństwa jego nieprzyjaciół, — stolicę Piotrową objął Leon XIII, trzymając w ręku te piękne listy pasterskie, w których wykazuje, że nietylko Kościół, postęp i cywilizacja nie wyłączają się wzajemnie, ale że właśnie tak postęp jak cywilizacja pochodzą od Kościoła i tylko przez niego istnieć mogą.

O szczęście wiary! o niewymowne dobrodziejstwo nieomylności nauczania! Oto przychodzi niebezpieczna sytuacja. Umysły się roznamiętniają. Wśród katolików nawet zdania są podzielone. Jedni przerażeni zasadami rewolucji, utożsamiając ją niesłusznie z nowoczesnem społeczeństwem, przeklinają to ostatnie, odsądzają je od czci i wiary, obsypują złośliwemi zarzutami, tak że mniemać możnaby, że katolicy są zaprzysięgłymi wrogami nowoczesnego społeczeństwa. Inni zaniepokojeni takiem postępowaniem, czując, że to droga fałszywa, skłaniają się stanowczo na stronę nowoczesnego społeczeństwa.

Ale biorąc je także niesłusznie za jedno z rewolucją, a pragnąc gorąco skłonić je do Boga, słabną wobec rewolucji do tego stopnia, że przyjmują od niej zasady, a przynajmniej dążności nie dające się pogodzić z wiarą. Na szczęście jest Kościół. On czyni światłość; on oddziela dzień od nocy. On mówi jednym: Nie bierzcie społeczeństwa nowoczesnego za jedno z rewolucją, ażeby mieć prawo potępiać to społeczeństwo. A drugim: Nie bierzcie rewolucji za jedno z nowoczesnem społeczeństwem, ażeby mieć prawo rozgrzeszania rewolucję. Rozłączajcie, co powinno być rozłączone. Kochajcie nowoczesne społeczeństwo, które pochodzi od Chrystjanizmu, a nienawidźcie rewolucji, która jest jego wrogiem.

## VI.

Jeszcze jedno słowo w tym bogatym przedmiocie. Kościół, który nigdy nowoczesnego społeczeństwa nie potępił, który wchodził z niem w oficjalne układy, który go bronił i uczynił je zdolnem do życia, wskazując i potępiając zagrażające mu błędy i namiętności, sam jeden tylko umożliwia mu dojrzałość. Nie oskarżajmy go, że dotychczas nie doprowadził go do niej. Kościół ma poczucie drażliwych sytuacyj, ma delikatność uczuć macierzyńską. Gdyby społeczeństwo nowoczesne zamiast mu niedowierzać i zamykać się przed nim zwróciło się ku niemu, Stolica Apostolska znalazłaby już do tej pory orzeczenia jasne i wyraźne, w których byłyby przedstawione prawdziwe stosunki starego Kościoła i młodocianego społeczeństwa z wielką korzyścią dla wszystkich. Znajdzie je i zabezpieczy przyszłość; bo przyszłość stanowczo należy do nowoczesnego społeczeństwa.

Intuicja genjalnych ludzi idzie tu w parze z faktami.

Jak wody rzek nie wracają do źródeł, tak społeczeństwo nowoczesne nie da się cofnąć. Pójdzie swoją drogą, szerząc dalej swoje zdobycze. W niespełna sto lat opanowało ono połowę Europy; opanowuje i resztę. Opanowało Anglję i Amerykę; opanuje Australję, Oceanję,

wszystkie ziemie, gdzie panuje genjusz anglosaksoński. Widzimy nowy zwrot w Japonji; domaga się ona parlamentu, wolności prasy; będzie miała i wolność wyznań. Będzie tak samo z Konstantynopolem, z Egiptem, z Indjanami, ze wszystkiemi narodami aż do najdalszych krańców Wschodu. Monarchje despotyczne znikną jedne za drugą, a zastąpi je ta forma społeczeństwa, którą cechuje panowanie swobód publicznych. Zapewne, ponieważ ta forma ma swoje strony niebezpieczne, będą tam od czasu do czasu reakcje, zamachy stanu, powrót monarchji; ale będzie to chwilowe tylko. Społeczeństwo nowoczesne pójdzie swoją drogą i będzie szerzyło dalej swoje zdobycze. Takie jest przekonanie wszystkich myślicieli XIX wieku, Napoleona I, de Maistre'a, Chateaubrianda, Tocqueville'a, O. Lacordaire'a. Czuje się, że dawny świat się kończy, a zaczyna okres nowy. Oto co mówią wszyscy.

Jakiemże będzie w tej nowej epoce położenie Kościoła? Nie trudno to przewidzieć. Wszystko już zostało zbadane w tem stuleciu, i wszystko jest gotowe. Kościół nie będzie zaprzeczał nowoczesnemu społeczeństwu żadnej z jego swobód. Uzna je wszystkie; a wpływem swoim przeistoczy je stopniowo. Przyjmie swobodę wyznań; ale nie dozwoli kapłanom swoim ani wiernym utrzymywać, że ona jest ideałem, i że nie byłaby stokroć lepsza jedność dusz wszystkich w wyznaniu jednej i tej samej wiary. Przyjmie wolność prasy; ale nie wolność pisania wszystkiego, nawet rzeczy najbezbożniejszych i najbardziej niemoralnych. Taką wolność będzie uważał zawsze za bezeceństwo i wpoi stopniowo to przekonanie we wszystkie narody. Nie będzie wymagał od państw, ażeby go uznały za wyznanie panujące, i nie będzie się uskarżał na pozbawienie go niektórych przywilejów, bez jakich może się obejść najzupełniej; ale będzie wymagał pełnej wolności i jawności swoich obrzędów, i będzie przypominał narodom, że obowiązkiem ich jako narodów jest oddawanie Bogu czci publicznej. Po-

za tem dozwoli Kościół społeczeństwu nowoczesnemu jak najswobodniejszego rozwoju, i przychylnem okiem będzie patrzył na każdy jego krok na drodze postępu.

Stopniowo narody spostrzegą się, że Kościół nie jest wrogiem ich wolności, a dręczone wstrząśnieniami dogorywającej rewolucji zrozumieją, że tylko w nim znajdą prawdziwą podporę. Wtedy zmieni się oblicze świata. Oto co mówi o tem Tocqueville: „Gdyby katolicyzm uchronił się raz wreszcie od politycznych nienawiści, które powzbudzał, jestem prawie pewny, że ten sam duch wieku, który wydaje się być mu tak przeciwnym, stanie się dlań przyjaznym, a jego zdobycze odrazu znacznie się rozszerzą" [1]). I będziemy to widzieli. Narody staną się napowrót chrześcijańskiemi; zbliżą się do Kościoła i przyjdą doń po błogosławieństwo nowego swego ustroju społecznego. Kościół im go nie odmówi, i swobody przezeń uświęcone przestaną być niebezpieczne. Będzie istniała swoboda wyznań; ale obok religji narodowej, jako uprzejma gościnność udzielona innym wyznaniom. Będzie wolność prasy, ale umiarkowana, odpowiedzialna, zamknięta w granicach słuszności, podniesiona do godności publicznego urzędu, zaszczytnej służby społeczeństwa. Będą zgromadzenia prawodawcze, same wyłącznie uchwalające prawa i podatki, i wspomagające swem światłem władzę, która będzie coraz mniej panowaniem. A jeżeli i to nowe społeczeństwo nie uchroni się od wstrząśnień, — bo inaczej nie byłoby ludzkiem społeczeństwem — to przynajmniej będzie miało silne podwaliny, a podczas burzy spoczywać będzie na kotwicach. „Chrystjanizm, pisał Chateaubriand na początku tego stulecia, zdaje się być pogrzebany, ale będzie miał swe zmartwychwstanie, i on to posłuży za podwaliny, na których po paruset latach zostanie odbudowane stare, rozkładające się dziś społeczeństwo" [2]).

---

[1]) De la Démocratie en Amérique, t. III, p. 48.
[2]) Études historiques, Introduction.

Bardzo być może, że przy tym nowym ustroju społecznym Kościół mimo niezaprzeczonych doń praw swoich nie będzie posiadał tych, co przedtem, swobód ani przywilejów. Ale co straci pod jednym względem, zyska pod drugim. Zapewne, że w tym nowym stanie rzeczy spotka on tyleż namiętności, tyleż nienawiści, prześladowań i walk; ale znajdzie w nim i nową broń do ich pokonania: większą niezależność, wynikającą z powszechnej wolności; łatwiejsze stosunki pomiędzy papieżem a duchowieństwem; zupełną niezależność w zwoływaniu soborów; a u wiernych wiarę szczerszą, bo bezinteresowniejszą, inicjatywę wciąż podniecaną przez większą naogół działalność, i nakoniec większą w oczach wszystkich aureolę boskości, ponieważ będzie istniał wpośród tylu trudności, przez nikogo nie podtrzymywany.

Przyłączą się do tego jeszcze inne korzyści. Sam tylko Kościół posiada dostateczną siłę żywotną do zniesienia walk, wypływających nieuchronnie z wolności prasy i z wolności wyznań. Nie ma jej protestantyzm; tem mniej wyznania pogańskie. Kościół ucierpi w tych walkach, ale w nich nie zginie, kiedy przeciwnie protestantyzm dokona w nich swojego żywota. Jego kościoły narodowe popierane przez państwo, osłaniane od trzechset lat mieczem i prawem, runą pod tchnieniem wolności wyznań. Wolne badanie, dotychczas skrępowane i ubezwłasnowolnione, odżyje na nowo dzięki wolności prasy i wyda prawdziwe swoje owoce. Nawrócenia przybiorą znaczne rozmiary.

W pogańskich narodach da się to uczuć jeszcze dużo więcej. Nic się nie ostoi przed wolnością prasy. Runą bałwany; prześladowczy miecz wypadnie z ręki władzy, wytrącony przez wolność wyznań w Chinach, w Japonji, w Tonkinie, — wszędzie. Nic już nie będzie powstrzymywało misjonarzy, i dotrą oni do najdalszych krajów.

Ile czasu trwać będzie ta nowa forma świata, którą dziś mianujemy „nowoczesnem społeczeństwem"? Któż to może powiedzieć? Może lat tysiąc, a może i więcej.

A kiedy się już narody znużą nią tak, jak znużyły się formą rzymską, feudalizmem średniowiecznym, despotyzmem wieku odrodzenia i zaczną pragnąć nowych form społeczeństwa, Kościół przychylnie spoglądać będzie na ich pierwsze próby, ganiąc i usuwając błędy, grożące klęskami, i macierzyńską ręką wprowadzając je w nowe „społeczeństwo nowoczesne", które im będzie się wydawało wspaniałe, — gdy piękne jest wszystko, co się rozpoczyna, — ale w którem macierzyńskie jego serce i doświadczenie wskazywać im będzie radości i cierpienia, nadzieje i rozczarowania, klęski i ofiary, takie jak za czasów Ludwika XIV, w czasach feudalizmu i w epoce Konstantyna — ciężkie doświadczenia, od których nie może uchronić żaden postęp materjalny, moralny, polityczny, ani społeczny, a które będą mogły pokonać, jedynie opierając się na Kościele i zachowując prawo Boże.

# EPILOG.

## O CZCI DLA PAPIEŻA.

Każde stulecie ma swoje specjalne nabożeństwa, zastosowane do swoich potrzeb lub niebezpieczeństw. Dogmaty są niewzruszone, ale nabożeństwa zmieniają się, nie w swoich podstawach wiekuistych jak dogmaty ale w swem natężeniu i rozpowszechnieniu, które zależą od okoliczności.

Bolesne wydarzenia, których świadkiem było ubiegłe stulecie: śmierć Piusa VI w Walencji, niewola Piusa VII w Fontainebleau, wygnanie Piusa IX do Gaêty, zabór państwa Kościelnego, zajęcie Rzymu przez wojska chrześcijańskie, internowanie w Watykanie Piusa IX i Leona XIII — trafiły w samo serce pobożność katolicką. Pod temi ciosami ocknęła się ona; wzrosła aż do entuzjazmu. Opis jej przejawów będzie stanowił jeden z najpiękniejszych epizodów historji katolicyzmu w w. XIX.

Ale niezależnie od tych rzeczy przejściowych, na które nie będziemy kładli nacisku, jakże potężne i trwałe są pobudki, które powinny budzić nasze przywiązanie do papieża! Jakież uczucie wiary, czci, puwinno w nas rodzić samo jego miano — Chrystusowego Namiestnika! Jakiego poświęcenia, jakiej niezłomnej

wierności wymaga jego dostojeństwo naczelnika Kościoła! Jaki smutek winien nas przejmować na widok tego Rzymu, stworzonego przez Boga dla papieży, a zgwałconego świętokradzko przez rewolucję!

Rozpatrzmy to szczegółowo i zakończmy ten tom traktujący o Kościele, rozważaniem naszych obowiązków względem jego dostojnego Pasterza.

# Część pierwsza.

## Papież, Namiestnik Jezusa Chrystusa.

---

### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

#### O obecności Chrystusa w Kościele, przez Najświętszy Sakrament.

Nie można dosyć podziwiać harmonji, zachodzącej między religją katolicką a duszą ludzką. Stworzone są dla siebie. Religja nie zna ani jednego prawa, któreby nie wyrastało z najgłębszych zakątków ludzkiej duszy; a dusza ta znowu nie ma ani jednej dążności, ani jednego pragnienia, — mam tu na myśli pragnienia prawa, dążności szlachetne i czyste, będące zaszczytem ludzkiej natury — których zaspokojenia, ukojenia, nie znalazłaby w religji katolickiej. Tak, że możnaby powiedzieć, iż całokształt praw i ustaw religijnych, to tylko całokształt aspiracyj serca człowieka przeniesionych w sferę wyższą i jakgdyby przebóstwionych. To też im bardziej kto postępuje w praktyce i w miłości Chrystjanizmu, tem większym cieszy się spokojem; i nie wiem za co należy bardziej podziwiać Świętych tych bohaterów Kościoła, — czy za obfitość światła i wysokość ich cnót, czy za niezrównany ich pokój.

Nie rozszerzając się dłużej nad tem prawem ogólnem, które wskazaliśmy już wielokrotnie w ciągu naszej pracy,

i które stanowi niejako nić jej przewodnią, damy jego nowy przykład, wykazując przy rozpatrywaniu jednej z najważniejszych instytucyj Chrystjanizmu — papiestwa, zgodność tej instytucji z jedną z nieprzepartych potrzeb natury ludzkiej.

Aż nadto dobrze znana to już prawda, że serce jest stworzone do kochania, i że najgorętszem pragnieniem serca jest istotna obecność ukochanego przedmiotu. Wszelkie rozłączenie jest nieznośnem dla miłości. Stąd owe łzy pożegnalne, stąd boleść długich rozłączeń, niepocieszony smutek po śmierci, wszystkie te bolesne wzruszenia, wymownie świadczące, że skoro się kocha, pragnie się wciąż widywać, i jeśli możebne nigdy się nie rozłączać.

Jeżeli więc Bóg kocha człowieka, jak tego uczy religja i jak o tem nie wątpi rozum, i jeżeli z drugiej strony ze wszystkich miłości najgłębiej w sercu ludzkiem zakorzenioną i najbardziej niepożytą jest miłość Boga, jakież powinno być główne prawo religji, jej pierwsza zasada, cała jej podstawa? Czyliż nie ustawiczna obecność Boga wobec człowieka, a człowieka wobec Boga?

Więc też od początku wszystko dąży do jej zapewnienia. Ludzkość wzdycha do niej wnet po stworzeniu. Im więcej miłują Boga patrjarchowie i prorocy, tem goręcej do Niego wzdychają. A nawet ludy bałwochwalcze tak głęboko czują tę potrzebę Boskiej obecności, że ona jest właśnie źródłem ich błędów. Owe świątynie i bałwany to nic innego, jak wołanie ludzkości do Boga, jak prośba: „Zstąp ku nam, stań się człowiekiem, kamieniem, jeśli tego potrzeba, ale nie odmawiaj nam szczęścia twej istotnej wpośród nas obecności".

I Bóg także, który kocha człowieka, więcej niż jest przezeń kochany, boć to jest właściwością ojców, co darzą dzieci miłością, której te nigdy nie potrafią sprostać, — pragnie jeszcze bardziej niż człowiek ciągle z nim przebywać. Dopóki człowiek wart był tego, Bóg uczynił zadość temu pragnieniu, i Pismo św. ukazuje Go nam

przechadzającego się pod drzewami raju, z serdeczną poufałością ojca i przyjaciela. Zmuszony do cofnięcia się, cierpi nad tem. Miłość Jego nie może znieść tego oczekiwania przez cztery tysiące lat, które Jego mądrość nakazuje, ażeby człowiek uczuł swoją winę. Ukazuje się ludziom ustawicznie w rozmaity sposób: przez proroków swoich przesyła im wyrazy miłości i pamięci; wynajduje różne sposoby, ażeby omylić czas i nakazać cierpliwość swemu sercu, aż nadejdzie dzień oznaczony w przedwiecznych wyrokach, kiedy nareszcie będzie mógł przyjść i stać się człowiekiem i mieszkać między nami, darząc nas szczęściem istotnej swej wśród nas obecności.

Oto naczelny fakt religji, i to wszystkich religij; bo każda ma za cel związek Boga i człowieka; bo ten związek nie może mieć miejsca bez miłości, a skoro tylko jest miłość, wymaga ona obecności przedmiotu ukochania.

Ale, jak już powyżej widzieliśmy[1]), to prawdziwe przemieszkiwanie Boga na ziemi, urzeczywistnione przez Wcielenie, miało dwie strony ujemne. Było naprzód za krótkie. Trzydzieści trzy lata, i koniec! To tylko krótkie zjawisko, odwiedziny ludzkości; to nie owa rzeczywista obecność, której domaga się serce, bo ono pragnie obecności wieczystej, bo ono mówi do ukochanego: „Zostań, o zostań na zawsze; nie rozłączajmy się nigdy!" Co więcej, obecność przez Wcielenie była zbyt ograniczona przestrzenią. Palestyna mały zakątek ziemi widziałaby i posiadała Zbawiciela, a cały świat miałby być pozbawiony tego szczęścia! A te wszystkie tysiące dusz rozsianych w czasie i przestrzeni, spragnionych również rzeczywistej obecności miałyby nigdy go nie zaznać! To niemożliwe, i dlatego Chrystus, skoro raz zstąpił na ziemię, nie mógł już jej porzucić; musiał pozostać z nami aż do skończenia wieków.

Ale tu znowu nasuwały się inne trudności. Ewangelja miała być ogłoszona, wiara rozpowszechniona, Kościół

---

[1]) Chrystjanizm i czasy obecne, t. I, roz. X.

ustanowiony. Miłość Boża miała napełniać wszystkie dusze. Cóżby się stało, gdyby Chrystus pozostał na ziemi widzialnym? Te tysiące męczenników, tak ochotnie krew swą za Niego przelewających; te dziewice miłujące Go jako swojego jedynego Oblubieńca; ci samotnicy uciekający na pustynię, ażeby nic nie przeszkadzało im myśleć jedynie o Nim; ci uczeni doktorowie, sławiący Go tak wymownie; wszystkie te dusze podniesione do tak wysokiego stopnia złączenia z Bogiem, czyliż nie rzuciłyby się do Palestyny? A jeśli we dwanaście wieków potem, cała Europa chrześcijańska podążyła skwapliwie na Wschód, dla oswobodzenia tylko grobu Chrystusa; jeżeli widziano całe te zastępy krzyżowców, płaczące jak niewiasty, przy obchodzeniu murów jerozolimskich, któż może przewidzieć, coby się stało w razie, gdyby Zbawiciel był tam żyjący i widzialny? Bieg prawidłowy spraw ludzkich i rozwój społeczeństw doczesnych byłyby zatamowane.

A wolność dusz! Czy myślicie, że nie ucierpiałaby także wobec tak olśniewającej obecności, jak Wcielenie? Dobre to było, dopóki Duch święty nie oświecił ludzi. Widzialnemu w ciele Chrystusowi służyła za zasłonę ogólna nieświadomość. Był wpośród ludzi, a ludzie Go nie widzieli; sami apostołowie mieli aż do końca jakgdyby bielmo na oczach. Ale przenieście się myślą w najbliższy czas po Zesłaniu Ducha św., kiedy to bielmo opadło; wiecież coby się było stało? Większa część dusz tych, o których dopiero mówiłem, że zbiegłyby się z całego świata dla oglądania Jezusa, nie chciałaby już Go opuścić, nie odstępowałaby Go ani na chwilę i bardzo prędko zostałaby utwierdzona w łasce i podniesiona na najwyższy stopień miłości Bożej. Można także wnosić, że wiele z pomiędzy nich byłyby krępowane na drodze do doskonałości, nazbyt zmysłowem szczęściem takiej obecności, jak to miało miejsce z apostołami, przed którymi Zbawiciel odsłaniał się stopniowo, a którzy w miarę tego przywiązywali się doń zbyt po ludzku. Dlatego też Zbawiciel mówił: „Dobrem jest dla was, aże-

bym odszedł". Dlatego także po swojem zmartwychwstaniu pozwolił się dotknąć jedynie tym, co wątpili: a Magdalenie, której dusza była oświecona przez wiarę, nie dozwolił tego szczęścia, ażeby ono nie przyniosło ujmy doskonałości jej życia, złożonego Mu w ofierze.

Oto czemby była dla sprawiedliwych obecność widzialna Jezusa, trwająca dalej po Zesłaniu Ducha Św. Z drugiej znowu strony przerażenie nas ogarnia na samą myśl, jakiby charakter przybrał grzech i jak pośpiesznie dokonywałyby się potępienia. Te bezustanne zamachy, stanowiące krwawą historję Kościoła, te prześladowania, herezje, policzki wymierzane papieżom: skierowałyby się przeciwko samejże osobie Zbawiciela. Każda z tych zbrodni przybrałaby cechę bogobójstwa, a wtedy już potrzeba byłoby tak strasznych kar, jak te, które były zsyłane na naród żydowski, któreby ścigały aż w najdalszych pokoleniach ostatnią kroplę krwi występnej. Byłby to świat inny niż ten, który Bóg stworzył.

Chrystus ukazywał się widocznie w ciele, dopóki Go świat jeszcze nie znał. Z chwilą, kiedy Go miał poznać, trzeba było, ażeby zniknął, a raczej ażeby nie znikając, — bo ani On, ani my nie moglibyśmy się obejść bez rzeczywistej Jego obecności, — pozostał na świecie pod zasłoną, i żeby zamiast obecności Wcielenia, dał nam inną obecność tak samo rzeczywistą, tak samo zupełną, ale innego rodzaju, zgodniejszą z warunkami bytu dusz i społeczeństw.

To właśnie uczynił Zbawiciel, ustanawiając Najświętszy Sakrament. Zasłoną tą, która była na oczach wszystkich przez trzydzieści trzy lata jego śmiertelnego życia, a miała opaść przy świetle zesłanego Ducha Świętego, osłonił swoją boską osobę, i mnożąc cuda, potrafił pozostać ukryty, a jednak obecny wszystkim wiekom, a w każdym wieku wszystkim miejscom, w każdem zaś miejscu duszom wszystkim.

Nie dyskutuję, wskazuję tylko na fakty. Nie staram się przekonać tych, którzy nie wierzą; staram się tylko

przypomnieć wierzącym tę niewysłowioną tajemnicę, która jest podstawą religji i jej koroną.

Jakże godni pożałowania są ci, którzy bluźnią takiej tajemnicy; którzy nie rozumieją, że jest ona arcydziełem miłości, że odpowiada wszystkim porywom i dążnościom serca; że wszystkie kochające dusze, gdyby tylko śmiały, marzyłyby o stworzeniu czegoś podobnego dla siebie; i że rozpaczą miłości jest właśnie to, że tego nie potrafi. Przypuśćmy, czytelniku, że jesteś ojcem, że twoja rodzina wzrasta dokoła ciebie. Nadchodzi czas, kiedy twoi synowie i córki rozpraszają się po świecie, zdala od miłego gniazdka, które tuliło ich dzieciństwo. Pozostajesz samotny przy opustoszałem ognisku. Cóżbyś uczynił, gdyby twoja możność dorównywała twojej miłości? Czyż nie chciałbyś mieszkać z każdem ze swoich dzieci i ze wszystkiemi razem? I czyliż nie dlatego udajesz się na czas jakiś do jednego, to znowu do drugiego, usiłując omylić serce twoje przez ten rodzaj obecności niedoskonałej, ułomnej, nazbyt krótkiej, która ci nie wystarcza, a którą mimo to musisz się zadowolnić? Ale gdyby te ukochane dzieci, rozproszone po świecie, zapotrzebowały cię nagle wszystkie naraz; gdybyś się dowiedział, że są chore, umierające, i wzywają twojej pomocy, cóżbyś uczynił? Gdybyś mógł podwoić się, pomnożyć w dziesięcioro, ażeby być ze wszystkiemi naraz, czyż nie uczyniłbyś tego z radością, choćby cię to nawet o cierpienie przyprawić miało? Ale to cudowne wynalazki: listy, koleje żelazne, telegrafy, — czyż to wszystko nie ma na celu przyjścia z pomocą twemu sercu i stworzenia ci pewnego rodzaju rzeczywistej obecności, sięgającej tak daleko jak twoje uczucia? Świat oddawna już nad tem pracuje; teraz dosięga urzeczywistnienia tego cudu. Po wiekach genjalnych usiłowań jest już coraz go bliższym; i mielibyście się dziwić, że to, cobyście wy uczynić pragnęli, Bóg uczynił: Bóg, który jest ojcem, którego ojcowstwo jest o całe niebo od waszego wyższe; który ma dzieci na Wschodzie i na Zachodzie,

w miastach i wsiach, dzieci nie mogące się bez Niego obejść i bez których On się obejść nie chce! O, jeżeli już koniecznie chcecie, zaprzeczajcie istnienia rzeczywistej obecności, ale nie bluźnijcie przeciwko niej. Najbardziej boskie to marzenie; najszczytniejszy wynalazek miłości. Samibyście ją stworzyli, gdyby to było w waszej mocy.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### O obecności Chrystusa w Kościele przez papieża.

A jeżeli Chrystus jest rzeczywiście obecny w Najświętszym Sakramencie, czy jest tam obecny całkowicie? Czyli inaczej, czy pod zasłoną hostji posiadamy wszystko co On, rodząc się, przyniósł na ziemię, wszystko co Apostołowie kochali i wielbili w Jego boskiej osobie wszystko, czego potrzeba duszom?

Oczywiście, że nie.

Pierwszą rzeczą, jaka nas uderza za zbliżeniem się do przybytku, w którym przemieszkuje Jezus, jest otaczające Go milczenie. Jezus jest tu rzeczywiście obecny, ale jest niemy; nie mówi. O Panie, gdzież jest Twoje słowo? Dlaczegoś go nam nie zostawił? i czyliż takie nieme wpośród nas przebywanie, to istotnie dalszy ciąg twojej boskiej obecności przez Wcielenie?

I nietylko, że Jezus w ołtarzu nie przemawia, ale i nie rządzi. Żywi dusze, ale niemi nie kieruje. Tak samo jak Jego słowa, brak tu Jego świętego rządu, Jego duchowej władzy. O Jezu, cóżeś uczynił z Twą laską pasterską i dlaczego, chcąc pozostać na zawsze między nami obecny, pozostawiłeś nam tylko połowę siebie?

Bo im więcej zbliżam się do przybytku, im bardziej wpatruję się w poświęconą Hostję spojrzeniem wiary i miłości, przenikającem zasłony, tem bardziej mi się zdaje, że jest inny Jezus, którego tam niema.

Widzę tam wprawdzie dzieciątko w żłobku. Oto jego boskie narodzenie, jego milczenie, jego upokorzenie jak w Betleem. Widzę także pachołę z Nazaretu. Oto jego

życie ukryte, jego niepojęte posłuszeństwo. Widzę jeszcze słodkiego ukrzyżowanego z Kalwarji; ciało jego jest od krwi oddzielone tak, jak na krzyżu; a jeżeli poprzez te pozory śmierci poszukam dusz Zbawiciela, obecnej pod temi oddzielonemi i rozłamanemi postaciami, widzę toż samo poświęcenie, tę samą Bogu za nas ofiarę. Nakoniec, oto boski pogrzebany. Cyborjum ma kształt grobu; poświęcone osłony przypominają całun, a zbliżając się doń przemawiamy zcicha jak w mieszkaniu, które śmierć nawiedziła.

Tak jest, na tym ołtarzu są wszystkie te sceny z życia Jezusa. Stanowią one naszą radość i naszą boleść dzisiaj jak stanowiły radość i boleść Marji i Apostołów dziewiętnaście wieków temu. Miłość Jezusa zwyciężyła czas, pokonała odległość. Błogosławię cię, o Zbawicielu, że nie dozwoliłeś, by Twa obecność była martwa niejako, ale czynna, żyjąca, działająca jak niegdyś, i że uwieczniłeś i rozpowszechniłeś wszystkie wielkie fakty Twojego życia: Twój żłobek, krzyż i grób Twój. Taka wspaniałomyślność w miłości przejmuje mnie uwielbieniem; ale o Zbawicielu, jest w tem również coś, co wzbudza żal mój i zdziwienie. Bo przecież jest jeszcze inna strona Twojego życia, którą uwiecznić byłoby Ci równie łatwo, jak tamtą, a przecież niema jej w ołtarzu. Jest Jezus, którego szukam, a nie znajduję pod poświęconą Hostją.

Gdzież jest bowiem ten Jezus, który przebiegał miasta i miasteczka Galilei i głosił prawdę publicznie, nieomylnie i wszystkim? Gdzie Jezus potępiający błędy, zawstydzający obłudników i strzegący dusz, aby nie stały się ofiarą nieświadomości lub sofizmatów? Gdzie nakoniec Jezus wybierający Apostołów, wkładający na nich ręce i mówiący: „Idąc nauczajcie wszystkie narody; a którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone"?

Brakuje mi zatem całej połowy Ciebie, mój Zbawicielu; szukam jej nadaremnie w tym przybytku, gdzie nie słychać Twojego głosu. I jakiejże połowy! Omal że nie

powiedziałem: najpotrzebniejszej. Brakuje nam tego nieomylnego słowa, które samo tylko mocne jest powstrzymać dusze i narody od chwiania się za podmuchem każdej doktryny; brakuje tej najwyższej władzy i tego kierownictwa bez których, wedle słów Apostoła, bylibyśmy podobni do błędnych owieczek, pozbawionych pasterza. Czyż to tego chciałeś mój Jezu? Dałeś nam jak niegdyś pasterzom i świętym niewiastom szczęście nawiedzania Twojej kolebki i grobu, a miałbyś nie dać nam usiąść z apostołami u nóg Twoich, słuchać prawdy, wychodzącej z ust Twoich, przedstawiać Ci dręczące nas wątpliwości, być Ci posłusznymi jako nauczycielowi i przewodnikowi. To niemożliwe; i jeżeli niema w Najświętszym Sakramencie całej tej połowy Jezusa, to znaczy, że ona jest gdzie indziej.

I jest istotnie; jest w Watykanie; jest w papieżu. Papież jest drugą formą rzeczywistej obecności Chrystusa w Kościele.

Zapewne, mógł był Chrystus uwiecznić i upowszechnić swoją istotną obecność, posługując się jedną tylko tajemnicą. Nie chciał. Dlaczego? Nie badajmy tego teraz; zobaczymy to później. Poprzestańmy tymczasem na tem, że nie uczynił tak, ponieważ nie chciał. Wolał ukryć się pod dwiema zasłonami. Ażeby zadowolnić ten poryw serca, pragnącego nie rozłączać się z tymi, których ukochało, stworzył sobie dwa rodzaje obecności zupełnie od siebie różne, — bo wielcy mistrzowie nie powtarzają się nigdy w swoich dziełach, — obydwa niewysłowione, a które w połączeniu obejmują Wcielenie w całej jego rozciągłości, jego doskonały rozkwit w czasie i przestrzeni.

O tajemnico dwóch zasłon, pod któremi się kryje całkowity Zbawiciel! podwójny cudzie, stanowiący oś całego Chrystjanizmu! Kto mi da zrozumieć cię, ażeby móc lepiej ukochać Tego, którego osłaniasz!

## ROZDZIAŁ TRZECI.

### Jak te dwa rodzaje obecności Chrystusa dopełniają się wzajemnie.

Musimy pogłębić myśl, wskazaną przez nas w poprzedzającym rozdziale, gdyż jest ona pierwszorzędnej wagi i do tego mało znana.

Chrystus złożył w Przenajświętszym Sakramencie ciało, krew, duszę i Bóstwo swoje; ale nie złożył weń swojego słowa. Zachowuje w nim milczenie; nie przemawia w nim ani w zwyczajnych, ani w nadzwyczajnych wypadkach. Przemawiał niekiedy cudownie przez krzyże, obrazy lub posągi; nigdy przez poświęconą Hostję. Objawiał się w Najświętszym Sakramencie pod postacią dzieciątka, człowieka umierającego; ale były to zawsze postacie milczące, usta bez głosu. Dlaczegoż to? Ponieważ usta Chrystusa są gdzie indziej; ponieważ słowo Jego jest w papieżu.

Zbawiciel zachował sobie w Najświętszym Sakramencie jedno tylko słowo, słowo przyjaźni, miłości; słowo, które mówi się pocichu, które słyszy się sercem. Jeżeli dusza wasza łaknie takiego słowa, idźcie do przybytku Pańskiego, wpatrzcie się w Zbawiciela. Nie powie On wam nic, zrozumiecie jednak wszystko. A jeżeli niepokoją was zasłyszane, a sprzeczne ze sobą doktryny; jeżeli trwoży was nowa jakaś książka, zyskująca poklask świata; jeżeliś współczesny Arjuszowi, Lutrowi, Janseniuszowi chcesz wiedzieć, co masz trzymać o bóstwie Jezusa Chrystusa, o konieczności spowiedzi, o skuteczności łaski: napróżno udawałbyś się do Chrystusa, milczącego

w Najświętszym Sakramencie. Idź do Chrystusa przemawiającego, idź do papieża. Ciało i krew Zbawiciela są w ołtarzu świętym; nieomylna prawda i boska nauka są w Watykanie.

A jak nie złożył Zbawiciel w Najświętszym Sakramencie swojego słowa, nie złożył w nim i boskiej swej władzy. Zgodnie z Jego własnemi słowami: „Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi"[1]), nikt nie może mieć władzy nad duszami, oprócz tego, któremu Zbawiciel powiedział: „Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam"[2]). A gdzież dziś mówi Zbawiciel te słowa, które niegdyś mówił nad brzegami jezior Galilejskich? Bo mówi je bezustannie; powtarza je codzień tysiącom dusz, powołanym przez siebie do kapłaństwa; gdyby ich nie mówił, zginąłby Kościół, zginęłoby dzieło zbawienia. Gdzież więc jest Chrystus, kiedy mówi te twórcze słowa, dające kapłanów i biskupów Wschodowi i Zachodowi? Czy w Najświętszym Sakramencie? Nie; jest w papieżu! Pałasz chęcią poświęcenia się na służbę Boga i dusz; zbliż się do ołtarza. Chrystus tchnie na zarzewie serca twojego i rozniecі w niem ów żar miłości, który prowadzi do największych poświęceń. Ażeby lepiej służyć Bogu i duszom, pragniesz zachować czystość, poświęcić najsłodsze porywy serca; idź do ołtarza, Chrystus dotknie swoją niepokalaną ręką twego serca, i stanie się ono marmurowe przez czystość, a ogniste przez miłość. Ale jeżeli po nabyciu cnót kapłańskich, chcesz mieć także przysługującą kapłanowi władzę, nie udawaj się po nią do Najświętszego Sakramentu; tam jej nie otrzymasz. Udaj się do papieża. Najświętszy Sakrament może czynić świętych, ale jeden tylko papież może czynić biskupów i kapłanów.

Cóż jeszcze dodam, ażeby dać tej idei blask oczywistości? Tak samo, jak Chrystus jest prawdą i władzą jest on i najwyższą siłą, na której wszystko spoczywa: jednostki

---

[1]) Matth. XXVIII, 18.
[2]) Joan. XX, 21.

i społeczeństwa, narodowości i kościoły. A gdzież złożył on tę siłę? Czy w Najświętszym Sakramencie? Nie; złożył ją w papieżu. W ołtarzu złożył tylko tę siłę poufną, przystosowaną do każdej duszy, która nas podtrzymuje w chwilach smutku i słabości. O tak, tę siłę, zarówno jak słowo przyjaźni i miłości, znajdujemy tylko w Najświętszym Sakramencie. Ale siła, która podtrzymuje Kościół, która wstrzymuje narody katolickie od popadnięcia w herezję albo w schyzmę, nie jest tam: ona jest w papieżu. Świat miał tego dowody oczywiste, w upadku owych wielkich Kościołów, Aleksandryjskiego, Antjocheńskiego, Konstantynopolitańskiego, który tak wstrząsnął Wschodem w starożytności; albo w upadku w w. XVI biskupstw angielskich i części niemieckich. Upadły wszystkie nie dlatego, żeby się nie łączyły z Chrystusem obecnym w Najświętszym Sakramencie: ale że nie dosyć były złączone z Chrystusem w papieżu.

Sam tylko Chrystus obecny w ołtarzu może umocnić duszę i nadać jej stałość niezachwianą. Sam tylko Chrystus obecny w Watykanie, może podtrzymać Kościół i dać mu wiecznotrwałość.

Tajemnicą Chrystjanizmu jest właśnie ten cud rzeczywistej obecności Wcielenia, uwiecznionej i rozpowszechnionej pod dwiema zasłonami. Czego Chrystus nie złożył pod jedną z nich, złożył pod drugą; i możemy Go posiadać w zupełności wtedy tylko, kiedy umiemy szerokim polotem serca, na którym polega pełnia życia katolickiego, podążać od Eucharystji do papieża i od papieża do Eucharystji. Poza temi dwiema tajemnicami, stanowiącemi jedno, mamy Chrystusa zmniejszonego (On sam to tak urządził) nie wystarczającego już potrzebom dusz, ani społeczeństw, nie mogącego nawet się bronić i znikającego wprędce jak sen.

Pomyślcie, coby się stało z Chrystusem obecnym w Najświętszym Sakramencie, bez Jego koniecznego dopełnienia t. j. bez Chrystusa obecnego w papieżu? Czemu może opór stawić Najświętszy Sakrament? Czy prze-

szkodzi rozruchom, herezjom, burzeniu się umysłów zuchwałych, niespokojnych i żądnych nowości? A w następstwie czy zapobiegnie niepokojom sumienia, niepewnościom umysłu, błędnym doktrynom? Czy utrzyma w świecie światło? Odrzućcie papieża; Chrystus, Chrystus w Eucharystji, nie jest już całkowitym; to Chrystus niewystarczający, patrzący w milczeniu na niesnaski w swoim Kościele, przyglądający się bezsilnie burzeniu swojego dzieła.

Wiek XVI widział tego przykład wiekopomny. Kiedy Luter odłączył się od Kościoła, z pewnością nie chciał odłączyć się od Chrystusa; tak przynajmniej mówił, i można mu wierzyć. Wykarmiony od najwcześniejszych lat miłością Bożą, nosił on w sercu niezagojoną ranę; dowiodły tego jasno smutek i zgryzoty dni jego ostatnich. Aby się nie odłączyć od Chrystusa, jak tego pragnął, myślał, że dosyć będzie, odrzucając papieża, zostawić Najświętszy Sakrament. Ale oto wkrótce dzielą się umysły, mnożą błędy; niema jedności, niema ostatniej instancji, niema posłannictwa niezaprzeczenie boskiego, niema słowa zdolnego uspokoć sumienia. W jednych zuchwalstwo, w drugich opór, we wszystkich niepewność. Luter próbuje się w to wdać; chce nakazać milczenie. Odpowiadają mu okrzyki: „Ktoś ty? Kto ci nadał władzę? Skąd płynie twoje posłannictwo?" — Daremnie podaje się za proroka, apostoła, posłanego wprost od Jezusa. Każą mu okazać autentyczne tego dowody; a ponieważ ich nie posiada i powołuje się jedynie na widzenia, którym nikt nie chce dać wiary, wzmaga się bezrząd i prawdy, szarpane na wszystkie strony, padają ofiarą jedna za drugą.

A jednak Chrystus był rzeczywiście obecnym na ołtarzach reformowanego kościoła. Luter konsekrował ręką zbrodniczą wprawdzie, ale niemniej konsekrował; i wszyscy biskupi i kapłani, których pociągał za sobą do schyzmy, nie utracili przez to swojej władzy konsekrowania ważnie. Chrystus był tam zatem rzeczywiście obecny, ale niemy, nie mogący utrzymać w łonie reformy prawdy

i jedności; nie mocen wystąpić w swojej własnej obronie; na podobieństwo owych rozbitków, schronionych na skałę, którzy widzą, jak fale dosięgają ich powoli, i mogą dokładnie obliczyć chwilę, kiedy zostaną przez nie uniesieni. Wkrótce też zniknął Chrystus z przybytku reformowanych kościołów, czy to, że ręce, które Go tam chciały utrzymać, straciły już swą władzę, czy że ci którzy mogliby jeszcze konsekrować ważnie, stracili wiarę w rzeczywistą obecność. Bo szarpiąc symbol, rzucono się jednocześnie na sakramenty, zaprzeczano najszczytniejszemu z nich; i tak Chrystus zstępował powoli z ołtarzy reformy, zawsze zresztą w najgłębszem milczeniu, nie otworzywszy ust ani dla obrony, ani dla skargi.

Trudno opisać udręczenia niektórych dusz, mniej od innych zaślepionych, albo mniej niekonsekwentnych, które zachowując Najświętszy Sakrament a odrzucając papieża, wyobrażały sobie, że będą mogły zachować rzeczywistą obecność Jezusa na świecie. Z niepokojem i przerażeniem patrzyły one na dzieło burzycieli, i żal gorzki przejmował je za każdym nowym zamachem. Słały modły do Boga; wołały: „Panie, przemów! dzieło Twoje ginie!" A kiedy Bóg milczał wciąż, wpadały w straszliwe zniechęcenie. Ale czyjaż to wina, że reforma nie słyszała już słowa Bożego? Dlaczegóż rozdzieliła Chrystusa? Dlaczego zachowując zasłonę, pod którą On milczy, odrzuciła tę, pod którą przemawia?

A co się stało z reformą, stanie się zawsze. Chrystus jest obecny pod dwiema zasłonami; ktokolwiek odrzuci jedną, nie zachowa drugiej i utraci niebawem całego Chrystusa.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### Dwie zasłony.

Eucharystja i papież są to zatem dwie zasłony, utkane przez nieskończoną miłość, ażeby osłaniać i miarkować obecność Chrystusa w świecie.

Różne od siebie pod mnóstwem względów, mają wszelako obie te zasłony jeden rys wspólny: oto obie są jednakowo utworzone z cieni i świateł. Nieprzeniknione ciemności i najwznioślejsze światło, w niewysłowiony sposób złączone z sobą, na nie się składają.

Było rzeczywiście odwiecznym Chrystusa zamiarem objawić się, ukrywając się zarazem; przebywać w świecie, ale tak, ażeby Go mogli znajdować ci jedynie, którzy Go szukać będą; a rozumieć ci, którzy Go będą kochali. I dlatego potrzeba było, ażeby były wielkie cuda, by przejmowały radością i miłością tych, którzy uwierzą; a zarazem potrzeba było, iżby te cuda były widoczne tylko oczom wiary, dla zmysłów niedostrzegalne, a nawet im się sprzeciwiające, aby miłość wierząc czyniła z siebie ofiarę.

Teologowie, którzy zgłębiali tajemnicę Najświętszego Sakramentu, nie zgadzają się co do liczby cudów, jakie w niej jaśnieją. Jedni liczą ich dwanaście, inni czternaście; Bourdaloue, ze wszystkich najdokładniejszy, sprowadza tę liczbę do ośmiu, prawda, że pierwszorzędnych. Badając starannie znaleźlibyśmy ich może tyleż samo w ustanowieniu papieża. Bo i o cóż chodziło? Ni mniej, ni więcej, tylko o uczynienie z człowieka, ze zwyczajnego człowieka, Namiestnika Chrystusa, narzędzia, którem się bę-

dzie posługiwał w nauczaniu świata — i zasłony, za którą kryć się będzie, ażeby go uświęcić. Ileż to potrzeba było nato cudów!

Spróbujmy je tu wykazać.

Naprzód, każdy człowiek jest, jak mówi Pismo święte, kłamcą: „Każdy człowiek kłamca"[1]). Wprowadza w błąd siebie i drugich. Stąd to ten gorzki wniosek. „Nie ufajcie w synach człowieczych"[2]). A jednakże ten sam człowiek podległy błędom, złudzeniom, nieświadomości, ten zwodzący i zwodzony, użyczy ust swoich Chrystusowi, ażeby stały się nieomylnym przewodem prawdy. Cud pierwszy.

Potem, człowiek jest niestały; płynie jak obłok za każdym wiatru powiewem. Zaprzecza dziś temu, w co wierzył wczoraj; czcić będzie jutro to, co wyszydzał wczoraj. I ten duch niespokojny, ruchliwy, chwiejny, spragniony nowości, będzie zasłoną i narzędziem niewzruszonego ducha Jezusa Chrystusa. Cud drugi.

Nadto, przyznajemy to ze wstydem, człowiek jest zepsuty, ma do złego pociąg, posunięty czasem do szału i namiętności; zdradza Boga z upodobaniem. I ten to człowiek ma przechować nienaruszonem nieskalane źródło łaski i cnoty, i zlewać je na świat bez przerwy i słabości. Cud trzeci.

Kiedy człowiek zdradzi cnotę, wiecie jakiej pokusie ulega zwykle? Oto fałszuje prawdę, nagina zasady, przystosowuje do swych skażonych obyczajów prawa; bywało tak zawsze. Ale tutaj nigdy tego nie będzie. Człowiek, głowa Kościoła, chociażby najbardziej osobiście zepsuty, przechowa czystym i nienaruszanym depozyt prawdy i cnoty. Cud czwarty.

Ale nie na tem koniec. Człowiek trwa krótko jak przepływająca fala. A przecież Chrystus musi trwać zawsze. Prawda i cnota muszą pozostać zawsze na ziemi; więc

---

[1]) Ps. CXV, 11.
[2]) Ps. CXLV, 3.

też uczyniwszy jednego takiego człowieka, trzeba będzie ich uczynić sto, tysiąc, zrobić z nich łańcuch, nieprzerwane następstwo, sięgające aż do krańców czasu. Cud piąty.

A nietylko, że papież będzie musiał być nieśmiertelny, albo nieśmiertelnie z popiołów się odradzający, ale będzie musiał być powszechny, sięgać do wszystkich krajów, jak będzie sięgał do wszystkich czasów; całkowicie z nim zjednoczeni heroldowie winni go otaczać i przenosić głos jego aż do ostatnich krańców kuli ziemskiej. Cud szósty.

Nie koniec na tem. Zaledwie człowiek taki się ukaże, wszystko sprzysięgnie się przeciw niemu; nietylko czas, traf, nietrwałość rzeczy doczesnych, ale wszystkie namiętności, wszystkie grzechy. Będą usiłowali nie dopuścić go do wypowiadania prawdy; pozbawią go zębów i języka, by mówić nie mógł: ale on mówić nie przestanie. Nic nie zdoła zatrzymać prawdy na ustach tej istoty tak małej, tak ułomnej, tak chwiejnej i drżącej. Cud siódmy.

Widzimy tu wiele trudności. Dla stworzenia tej drugiej zasłony trzeba naruszyć wszystkie prawa świata moralnego: uczynić człowieka nieśmiertelnego, niezwyciężonego, oświecającego wszystkie miejsca i czasy, stawiającego czoło wszystkim zamachom, wyższego ponad słabości wszelkie, czyli człowieka, któryby już nie był człowiekiem, — tak, jak dla stworzenia zasłony Eucharystycznej, trzeba było naruszyć wszystkie prawa świata fizycznego i uczynić chleb, któryby już nie był chlebem.

To jest pierwszy szereg cudów, których potrzeba było dla stworzenia papieża. Mówię, pierwszy; bo gdyby Chrystus poprzestał był jedynie na wyliczonych powyżej boskich przymiotach papiestwa, nie byłby utworzył zasłony. Stworzyłby jeden z tych cudów olśniewających, wobec których niema już miejsca dla wiary. Człowiek nieomylny, niewzruszony, człowiek, przeciw któremu wszystko się sprzysięga, a nikt nic nie może, który odradza się z własnych popiołów, byłoby to za wiele światła; a ponie-

waż blask tego cudu musiałby wzrastać z biegiem wieków, nadeszłaby z konieczności chwila, że oczywistość musiałaby zabić wiarę i odjąć miłości zasługę wszelką.

Do tych zatem tak hojnie rozsianych świateł, musiał Chrystus domieszać cienie i uczynił to w sposób niemniejszego podziwu godny.

Oto boskie te przywileje nadał papieżowi, li tylko jako p a p i e ż o w i. Jako człowieka, pozostawił go podległym wszystkim ludzkim żądzom, wszystkim słabościom, wszelkiemu zepsuciu.

Jako papież, użyczający swojego głosu Bogu dla nauczania świata. Najwyższy Pasterz jest nieomylny. Pod każdym innym względem jako człowiek, podlega nieświadomości, złudzeniom, błędom, słabościom i ograniczoności ludzkiego umysłu.

Jako papież jest świętym, szerzącym z konieczności świętość, niezdolnym jej się sprzeniewierzyć. Jako człowiek jest on wolny, skłonny do złego, ciążący ku niemu wolą z natury swej skażoną. Może być zepsuty tajemnie; może stać się publicznie występny.

Jako papież jest niezłomny i nieśmiertelny. Człowiek może słabnąć, drżeć, obawiać się: papież — nigdy. Człowieka można wtrącić do więzienia; można mu ściąć głowę. Papież nie umiera; jak feniks odradza się z popiołów.

Z tego połączenia świateł i cieni wyszła zasłona, utworzona tak harmonijnie, że bieg czasu nigdy tej harmonji nie naruszył. Światło wzrasta codzień, ale codzień wzrastają i cienie. Stu papieży następujących kolejno po sobie w prawdzie, w nieomylności, w niewzruszoności; ileż to światła! Ale ci papieże byli ludźmi, a zatem każdy z nich miał słabości, namiętności, krewnych, ambicje: ileż to cieni!

Ta zasłona to jak owe obrazy, wynalezione przez kunszt nowoczesny, gdzie widzimy dwa różne oblicza, według tego, z jakiego punktu na nie patrzymy. Patrząc na papieża z jednego punktu widzenia, widzi się człowieka tylko; patrząc z innego, dostrzega się Chrystusa.

Tajemnica wiary! oto co musimy rzec o papieżu, powiedziawszy to wpierw o Najświętszym Sakramencie.

Wierzyć, by wiedzieć, oto czego trzeba wobec tak jednej, jak drugiej z obu zasłon, tających przed nami całkowitego Zbawiciela; inaczej wszystko zaleją ciemności.

Bo i cóż widzicie w Sakramencie Ołtarza, jeżeli nie macie wiary? Chleb tylko, nic więcej. Zapewne, zastanawiając się głębiej, musicie uczuć zdziwienie nad skutkami tego chleba. Widzicie, jak ludzie wszelkiego wieku i stanowiska pożywają ten chleb i twierdzą, że z niego czerpią światło, pociechę, siłę, odwagę. To nie może nie zadziwić. W ich liczbie znajdziecie umysły wyższe, genjusze, jak Bossuet, Pascal, de Maistre, Lacordaire; a nie sięgając tak wysoko — ludzi niepospolitych, może waszych przyjaciół, inteligencje, którym przyznajecie wyższość serca, o których szczerości jesteście przekonani. Jakże to wytłumaczyć? Inni znowu, zdumiewając świat nadludzką cnotą i bohaterskiem poświęceniem, np. taki święty Wincenty à Paulo, św. Franciszek Salezy i tylu innych — twierdzą głośno, że cała ich cnota stamtąd pochodzi. Trzebaby być dotkniętym potrójną ślepotą, ażeby na widok tego wszystkiego nie odczuć podziwenia. A jednakże, powtarzam, bez wiary nie przenikniecie poza zasłonę i nie będziecie widzieli w Najświętszym Sakramencie nic, prócz chleba.

Ale jeżeli dusze wasze oświeci wiara, jakiż widok przedstawi się zachwyconym oczom waszym! Oto pod tą marną zasłoną, sam Jezus Chrystus, Syn Boga jednorodzony, przez miłość ukryty. Ileż tu życia w tem cyborjum, mającem pozór zamkniętego grobu! Niczem jest wobec niego życie natury, z jego nieśmiertelną siłą rozrodczą. Tam przychodzą wszystkie dusze; tam gaszą się wszystkie pragnienia; tam wszystkie rany znajdują kojący balsam, a chore serca nadzieję. Stamtąd wynikają bystre potoki życia, które pochłaniają dusze, a wyniszczając je nie-

jako, odradzają do wiekuistej miłości. Wszystko to jest ukryte przed sercem wątpiącem i przeczącem: ale żyje i jest widocznem dla tych, co wierzą, ufają i kochają.

Otóż papież nosi tę samą cechę. Ktokolwiek nie wierzy nie zobaczy w nim nic innego, jak człowieka, monarchę, jak tylu innych. Będzie się naturalnie dziwił, że ten władca trzyma się tak mocno, na tak słabym tronie; będzie zadawał sobie pytanie, czem się to dzieje, że kiedy się tak łatwo obala innych królów, z tym nie można dać sobie rady. Będzie się może oburzał tem, co będzie nazywał uporem tego k s i ę d z a, powtarzającego dzisiaj to, co mówiono dwanaście już wieków temu i niechcącego zmienić swych pojęć wtedy, kiedy wszyscy zmieniają swoje; stojącego jak niewzruszona skała, wpośród wciąż wzburzonych fal ludzkości. I to jest wszystko, co zobaczy. Conajwyżej, jeżeli jest bardziej zastanawiającym się — zjawisko to, oprócz ciekawości i zdziwenia, nasunie mu myśl, że coś w tem jednakże być musi, że człowiek to nie taki, jak inni. Ale przeniknąć zasłonę, danem jest tylko wierze i miłości. Niech zamknie oczy, niech uwierzy pokornie w nieomylne słowo Boże, a wtedy tak, jak w Eucharystji, zasłona się uchyli. Ujrzy wtedy cuda: ujrzy, jak Chrystus ukryty poza człowiekiem, oświeca świat, stawi mu czoło, rozprasza wszystkie ciemności i znosi zwycięsko wszystkie napaści; ujrzy, jak ten człowiek w wykonywaniu tego posłannictwa, użycza Chrystusowi swego głosu, swego czynu, swojej postaci ludzkiej; jak Chrystus udziela temu człowiekowi swojej nieomylności, swojej boskiej władzy, i jak świat zarówno nie może unicestwić tego człowieka, jak nie może unicestwić samego Chrystusa, który chce być ukryty za tą zasłoną.

Taki oto jest papież, taki Najświętszy Sakrament. Są to dwie zasłony, bardzo pod niektórymi względami różne, ale bardzo pod innymi do siebie podobne: obie utkane ze świateł i cieni, obie będące dziełem miłości nieskończonej i tylko dla miłości zrozumiałe; bo wynalazek miłości pojąć i ocenić może tylko miłość.

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### O szczególnej łączności pomiędzy Chrystusem a papieżem.

Możemy już teraz wyrobić sobie właściwe pojęcie o papieżu. Jest to Jezus Chrystus, ukryty pod zasłoną i sprawiający w dalszym ciągu za pośrednictwem człowieka swoje publiczne posłannictwo wpośród ludzi.

Ks. Olier mówił o Ojcu Condren: „Był on tylko pozorem, powłoką tego, czem się być wydawał. Był jak Hostja z ołtarza. Zewnątrz widzimy postać i przymioty chleba, ale wewnątrz jest Chrystus"[1]. Oto prawdziwe pojęcie, jakie należy mieć o papieżu.

Zapewne, osobistość papieża pozostaje nienaruszoną. Człowiek istnieje w nim w całej integralności swojej natury, z całą wolnością i odpowiedzialnością. Ale w chwili, kiedy Kościół obiera go za swoją głowę, mocą tego wyboru, dlatego by mógł wypełniać obowiązki świętego Namiestnictwa, do jakiego jest powołany, zostaje podniesiony do zjednoczenia z Chrystusem, zjednoczenia jedynego w swoim rodzaju i nie dającego się porównać z żadnem innem.

Czytajcie Pismo św., spytajcie tradycji, a będziecie zdumieni i zachwyceni charakterem tego związku.

Papież przemawia, to Chrystus przemawia. Papież naucza jakiejś prawdy, to Chrystus jej naucza. Papież ustanawia biskupa, to Chrystus go ustanawia. Papież kanonizuje świętego, nadaje odpust, wyklina grzesznika; Chrystus czyni to wszystko z nim razem. Co tylko czyni

---

[1]) M. Faillon, Vie de M. Olier, t. I, p. 838.

papież, pełniąc swój urząd, czyni z nim wespół Chrystus. I trzeba koniecznie przyjąć, że jest tak, a nieinaczej; bo gdyby można było przypuścić, że skoro papież dokonywa czegoś w zarządzie Kościoła, Chrystus chociaż przez chwilę nie działa w nim i przez niego; gdyby można było z dobrą wiarą i ze słusznością powiedzieć słowa, które przypisują gniewnemu uniesieniu Pascala: „Chociaż papież potępił moją książkę, niebo ją rozgrzeszyło", — nie byłoby już Kościoła ani Odkupienia.

Zbawiciel, ażeby nam dać pojęcie o niewysłowionej jedności, łączącej Go z Ojcem, mówił: „Ojciec mój aż dotąd działa: i ja działam"[1]), działamy wespół. To samo, sprowadzając jedynie do właściwej miary, można powiedzieć o Chrystusie i o papieżu. Działają oni razem. Razem rządzą Kościołem. Razem podtrzymują go, oświecają, uświęcają. Ta wspólność działania widnieje na każdej stronicy Ewangelji. Jeżeli Kościół jest tam przedstawiony jako królestwo. Chrystus jest jego głową niewidzialną, papież jego głową widzialną. A wszakże Kościół pomimo tego, jest królestwem jednem, niepodzielnem, ma jedną tylko głowę, ulega woli; stąd można wywnioskować, jak ścisłe musi być zjednoczenie pomiędzy Chrystusem a papieżem.

Jeżeli Kościół jest trzodą, Jezus Chrystus jest jej pasterzem niewidzialnym, papież widzialnym; a Duch Św., jakgdyby w obawie, ażeby jedność Jezusa i papieża nie była dość jasno zaznaczona, pośpiesza dodać, że tem niemniej jest jedna tylko trzoda i jeden pasterz.

Jeśli Kościół jest domem, Chrystus jest jego fundamentem niewidzialnym, papież widzialnym; tak że jest to jakgdyby dom, wspierający się na dwóch spojonych ze sobą głazach. Jeden z nich jest na powierzchni ziemi i można go widzieć, — drugi pod ziemią ukryty, więc niewidzialny. Ale pierwszy nie utrzymałby się bez drugiego, ktoby je rozdzielił, podkopałby i zniszczył dom cały.

---

[1]) Joan. V. 17.

Jeżeli nareszcie Kościół jest przedstawiony jako dziewica, jako czysta i płodna małżonka, Chrystus jest jej małżonkiem niewidzialnym, papież widzialnym; a jednakże ma ona tylko jednego małżonka, „Czystą pannę stawić jednemu mężowi Chrystusowi“[1]). Stąd widzimy, jak jest łączność, jaki związek ścisły, niewysłowiony, jedyny w swoim rodzaju między Chrystusem i papieżem.

Jest to jakgdyby wzajemne przenikanie się, i umysł ludzki, zachwycony tajemnicą, którą dostrzega, ale której nie potrafi wyrazić, nie znajduje dla niej słów nad słowa świętej ofiary. Per ipsum, et cum ipso, et in ipso.

Związek to tak ścisły, że znamy jeden tylko, który go przewyższa. To związek jedyny, nadzwyczajny, najzupełniej tajemniczy, który zachodził i zachodzi zawsze między Jezusem Chrystusem i Najświętszą Matką Jego. Ale poza tym wyjątkiem twierdzimy z najzupełniejszą pewnością, że żaden inny związek nie może być z nim porównany, i że żaden święty, choćby największy, nie był nigdy tak złączony z Chrystusem przez łaskę uświęcającą, jak jest nim papież mocą swojego dostojeństwa.

To też jakąż czcią otacza papieża Kościół, rozumiejący te rzeczy lepiej od nas! Żadne wyrażenie nie zdaje mu się zbyt silne, dla wyrażenia tego wzajemnego przenikania się, czyniącego z Chrystusa i z papieża jego głowę, widzialną a zarazem niewidzialną, i jego jedynego oblubieńca. Przenosi na papieża miłość, jaką ma dla Zbawiciela. Otacza go tą samą czcią; każe klękać przed nim, całować mu nogi, oddawać mu cześć zewnętrzną, która byłaby przesadą, gdyby nie stosowała się do Jezusa Chrystusa, niewidzialnie, a ściśle z osobą papieża złączonego.

W tem leży tajemnica wielkości papiestwa i otaczającej ją aureoli. Papież jest wielkim, godnym największej

[1]) II, Cor. II, 2.

czci naszej nie dlatego, że zajmuje wysokie stanowisko, nie dla swojego osobistego genjuszu, cnoty, zręczności w polityce, ani nawet dla usług, które oddaje duszom i społeczeństwom. Jest wielkim dlatego, że jest Namiestnikiem Jezusa Chrystusa, narzędziem, zapomocą którego Zbawiciel prowadzi dalej swoje wśród ludzi posłannictwo — i zasłoną, poza którą się ukrywa, ażeby wypróbować naszą wiarę i miłość.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

### O uczuciach, jakich doznajemy u stóp papieża.

Jeżeli prawdą jest to, cośmy powiedzieli, jeżeli Jezus Chrystus ukryty w Eucharystji zjednoczył się ściśle z papieżem, wynika z tego, że u stóp Chrystusowego Namiestnika musimy doznawać wrażeń podobnych do tych, jakie nas przejmują u stóp Ołtarzy. I jest tak rzeczywiście.

Oto, czytelniku, wchodzisz do kościoła. Jeżeli nie wierzysz w rzeczywistą obecność, uderza cię jedynie piękność gmachu, jego wspaniałe linje, malowidła i rzeźby, zdobiące jego ściany. Ale przypuśćmy, że wchodzi tam człowiek przejęty wiarą; dla takiego wszystko to ma zaledwie podrzędne znaczenie. On przedewszystkiem szuka ustronnej kaplicy, gdzie spoczywa Najświętszy Sakrament. Poznaje ją po lampce płonącej dniem i nocą, przechodzi przez kościół, zaledwie nań rzucając okiem i klęka u stóp ołtarza, mieszczącego cyborjum. Tam jest Bóg! Bóg przez miłość ukryty w tej ciemnej kaplicy. Zapomina chwilowo o świecie, zapomina o samym sobie, w uczuciu szczęścia wobec Chrystusa tam przytomnego.

Znane to dobrze uczucie duszom wierzącym. Otóż czegoś podobnego doświadcza się u stóp papieża.

Przypominam sobie, jakgdyby to było wczoraj, ten daleki już czas, kiedy dusza moja po raz pierwszy otworzyła się na przyjęcie tych wrażeń. Byłem wówczas młody; jechałem do Rzymu z sercem przepełnionem wiarą. Jest pierwsza wiara, tak jak jest pierwsza miłość. Dusza moja miała tę świeżość wiary i tę młodość serca, które przemijają, niestety, jak wszystko na świecie. Zaledwie

się znalazłem na owej sławnej rzymskiej równinie, wpośród której wznosi się wieczne miasto, serce wezbrało mi niezmiernem oczekiwaniem. W całych Włoszech widziałem dotychczas jeden tylko Rzym; w Rzymie teraz widziałem tylko papieża. Wychylony przez okno, rozglądałem się ustawicznie, szukając wzrokiem Rzymu. Wtem na zakręcie drogi, woźnica ukazuje mi punkt błyszczący na krańcu widnokręgu. Była to kopuła św. Piotra. Już nie spuszczam z niej oczu przeniósłszy się na kozioł powozu, aby łatwiej napawać się jej widokiem, z każdą godziną większym i wyraźniejszym. Gdybym mógł, leciałbym tam na skrzydłach. „O miasto święte, mówiłem w duchu, ty wiesz, co mnie do ciebie sprowadza. Nie obojętne mi są twoje starożytne wspomnienia i twoja chwała czasów nowszych. Cenię twoich Scypionów, Cezarów, Cyceronów, Rafaelów i Michałów Aniołów. Ale nie tego szuka serce moje. Ono pożąda przedewszystkiem Piotra, ono chce widzieć tę opokę niewzruszoną, na której Chrystus zbudował Kościół swój; tę apostolską stolicę, gdzie przebywa w majestacie swym ten, komu powiedzianem było: „Paś baranki moje, paś owce moje!“ On jest tam; żyje, mieszka o parę kroków ode mnie“! Te i tym podobne myśli przejmowały mą duszę radością i zachwytem. „O Piotrze, niechaj cię zobaczę, niech ucałuję twe nogi, a potem mogą mi zawiązać oczy, mogą mnie uprowadzić; cóż mię to może obchodzić? Widziałem Rzym, Rzym żyjący, wiekuisty; Rzym Jezusa Chrystusa. W porównaniu z tym Rzymem, cóż znaczy ten drugi!“

Zaledwie przybyliśmy na miejsce, biegnę do św. Piotra. Noc już zapadła; kościół był zamknięty. Ciemne kontury Watykanu rysowały się na przedziwnie pogodnem niebie. Wchodzę na schody bazyliki; całuję jej podwoje. W jednem z okien Watykanu błyszczało światełko. Może tam jest pokój Papieża! Może on w tej chwili zasyła modły za świat cały! Wzruszony padam na kolana. Dziś jeszcze pamiętam łzy, które mi rzęsiście płynęły z oczu; ale palące słowa, które cisnęły mi się na

usta nie pozostały w mojej pamięci. Pamiętam tylko, że były to wyrazy wiary, czci, oddania się całkowitego Kościołowi i papieżowi.

W kilka dni potem stanąłem przed obliczem Ojca św., Piusa IX. Nie widziałem w nim ani starca, ani króla, ani świętego, ani doktora; widziałem jedynie i wyłącznie Namiestnika Jezusa Chrystusa, służącego temu ukochanemu Mistrzowi jako zasłona i jako organ; wzruszony, upadłem do stóp jego, jako do stóp Chrystusowych.

Oto pierwsze uczucie, jakiego doznajemy wobec Najświętszego Sakramentu i wobec Papieża. Ale nie jest ono jedyne.

Ze słodkiem uczuciem szczęścia z posiadania Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, miesza się wiele podziwu i uwielbienia. Jakto! Bóg zniżył się aż do mnie! Zeszedł tak nisko, ażeby się ze mną nie rozłączać! Rozmyślając nad tem czujemy, jak podziw nasz przechodzi w zachwyt. A ponieważ tak w Kościele jak i w człowieku wszelkie głębokie uczucie musi sobie znaleźć wyraz, z tego uczucia powstały piękne uroczystości Bożego Ciała. Charakteryzuje je uczucie triumfu. Kiedy procesja wychodzi z kościoła, kiedy biją wszystkie dzwony i odzywają się bębny, a my widzimy ubogiego kapłana niosącego Jezusa Chrystusa pod tak pokorną postacią, doznajemy pewnego rodzaju zachwytu.

Tego samego uczucia i niemniej żywo doznaje się w Rzymie, w dzień św. Piotra. W tym dniu obnoszą triumfalnie Chrystusa utajonego nie w Eucharystji, ale w papieżu. Uderzają również we wszystkie dzwony, biją w bębny; niezliczone tłumy padają na kolana; a kiedy poza orszakiem kapłanów, biskupów, kardynałów, ukaże się papież w tiarze, a tysiące głosów śpiewa: T y j e s t e ś o p o k ą, a n a t e j o p o c e z b u d u j ę K o ś c i ó ł m ó j, — to choćby się nie miało wiary, pada się na kolana, podziwiając triumf, i błogosławi się Boga, który bezbronnemu starcowi, przedstawicielowi prawa, sprawiedliwości, wolności dusz dał moc i chwałę, których

nigdy mieć nie będą najdumniejsi mocarze. Ale jeżeli wiara oświeca duszę, jeżeli się patrzy na tego starca jako na zasłonę, poza którą jest sam żyjący Chrystus, wtedy znaczenie słów: T y ś j e s t o p o k a — rośnie, rozszerza się w bezmiar. Dusza przechodzi z podziwu do uwielbienia, z uwielbienia do zachwytu. Nie widzi się już człowieka, widzi się samego tylko Chrystusa, i w zachwycie nad taką chwałą, nie umiejąc jej należycie wysławić, śpiewa się ze świętym Tomaszem:

Quantum potes, tamtum aude:
Quia major omni laude,
Nec laudare sufficis.

Możnaby mnożyć porównania, rozważać jedno po drugiem wszystkie wzruszenia, przejmujące duszę u stóp ołtarzy; wszystkie odnaleźlibyśmy żyjące i tak samo przejmujące duszę u stóp papieża. Wskażemy tu jeszcze jedno.

Oprócz triumfalnej procesji Bożego Ciała, jest jeszcze inna procesja z Najświętszym Sakramentem, o zupełnie różnym charakterze. To procesja Wielkiego Czwartku. Niema tam dzwonów, niema śpiewów, niema tych świętych uniesień duszy, które oddał tak dobrze św. Tomasz w swojej prozie: L a u d a, S i o n. W smutku i milczeniu idziemy za Zbawicielem niesionym do grobu. Dusza jest przygnębiona wspomnieniem Męki Jego, Śmierci, tych niewymownych cierpień wciąż ponawianych i wciąż wzmaganych. Stąd to owe nabożeństwa zadośćczyniące i błagalne, owe stacje pod grobem w Wielki Czwartek i Piątek, te smutne i przeciągłe spojrzenia, któremi obejmujemy świętą Hostję, owa niema boleść na widok takiego ogromu miłości zapoznawanej i wzgardzonej.

Otóż tego uczucia doznajemy żywo i u stóp papieża w niektórych epokach. Kiedy bijąca o ściany Watykanu fala wznosi się wyżej, niż zazwyczaj; kiedy zniewagi stają się liczniejsze i krwawsze; kiedy obłuda, podstępy,

zdrady i niesprawiedliwości sprzysięgają się, by znów krzyżować Chrystusowego Namiestnika, wtedy ogarniają duszę naszą uczucia podobne do tych, o których mówiliśmy przed chwilą. Zapominamy o tiarze; widzimy jedynie cierniową koronę. Chrystus cierpiący w swoim Namiestniku staje się przedmiotem miłości smutnej, cichej, zbolałej ale wielkiej. Na usta ciśnie się wyznanie winy, a w sercu powstaje żądza zadosyćuczynienia. Uczucie miłości przenika nas o wiele jeszcze głębiej, aniżeli w dniach triumfu i radości.

W tym wypadku znajdujemy się obecnie, a ból tej chwili łagodzą jedynie słowa Zbawiciela: „Oto wstępujemy do Jeruzalem, a syn człowieczy będzie wydan, i podadzą go ku naigrawaniu i biczowaniu i krzyżowaniu, a trzeciego dnia zmartwychwstanie"[1]).

Czy więc dusza nasza zbliża się do Ołtarza, czy do Watykanu, zbliżenie to potrąca w niej jedne i te same struny. Raz odczuwa ona pokój, skupienie, milczący podziw, zapał, radość z przymieszką dumy na widok pokonanego świata, upokorzonych zmysłów, obalonych potęg, Chrystusa zwycięskiego. To nakoniec smutek, pragnienie naprawy winy i zadosyćuczynienia, miłość podsycaną boleścią.

O, jakże słodkiemi są te uczucia, doznawane u stóp Ołtarzy i u stóp papieża! To balsam ożywczy, którego tak potrzebujemy wśród zgiełku świata. Nie zna go ten tłum, o którym mówił święty apostoł Paweł, że jest „bez Boga"[2]). My, chrześcijanie, posiadamy tego Boga, żyjącego pośród nas, obecnego rzeczywiście duszom naszym, ukrytego wprawdzie, ale ukrytego dlatego tylko, ażebyśmy mieli szczęście zaprzeć się siebie przez miłość dla Niego.

---

[1]) Matth. XX, 18, 19.
[2]) Ephes. II, 12.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

### O równoległym rozwoju nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu i czci dla papieża.

O tem, że nabożeństwo do Najśw. Sakramentu i cześć dla papieża w tak bliskim są względem siebie stosunku mimo swoich zasadniczych różnic, świadczy jeszcze i to, że jak w narodach całych, tak w pojedyńczych duszach oba te kulty rozwijają się równomiernie. Jednocześnie powstają, jednocześnie wzrastają, zmniejszają się i gasną: na podobieństwo dwóch kół osadzonych na jednej osi, których poruszenia z konieczności są od siebie zależne.

Weźcie jakiekolwiek stulecie, zobaczcie, jaką była jego cześć dla papieża, a dowiecie się, ile miało nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu. Zajrzyjcie w głąb duszy, a gorącość i moc jej uczuć dla Najśw. Sakramentu da wam miarę jej oddania się i czci dla papieża. Oto naprzykład wieki średnie, które tak gorącą pałały miłością dla Najśw. Sakramentu, które dla przechowywania go wznosiły tak wspaniałe katedry, które dla wysławiania go układały tak cudowne prozy i hymny, tchnące takim zapałem, — jakiż miały kult dla papieża! Nietylko, że słały mu do stóp dusze, ale i państwa. Chciały go mieć królem świata tak, jak był władcą Kościoła; i to, co tylu zaślepionych i bezbożnych historyków przypisywało ambicji papieży, było tylko wynikiem pobożności narodów.

To samo widzimy w duszach Świętych. Ich cześć dla papieża jest tak samo bezgraniczna, jak ich nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu. Czytajcie te stare żywoty Świętych, tak pełne namaszczenia, porównajcie rozdziały

traktujące o ich nabożeństwie do Najśw. Sakramentu i o ich poświęceniu dla Kościoła i papieża: znajdziecie ten sam zapał, tę samą miłość gorącą, a w potrzebie tę samą z siebie ofiarę.

Weźcie przeciwnie wieki i dusze, w których stygnie nabożeństwo do Najśw. Sakramentu; zobaczycie jak równomiernie stygnie w nich i cześć dla papieża. Przytoczę tego jeden tylko przykład; był on słynnym w swoim czasie, a jest jeszcze tak bliskim, że nie może nie być zrozumianym. Mam na myśli wiek XVII, który miał tak głębokie poczucie o majestacie Boga, świętości Jezusa Chrystusa, dostojności jego kapłaństwa, i który zaliczałby się do wieków najbardziej uduchownionych, gdyby miał również głębokie poczucie miłości Bożej. Na nieszczęście tego mu brakowało. Stąd było coś ciasnego, niedokończonego w jego duchownym kierunku; a ponieważ to, czego nie pojmował czyli miłość, było rzeczą najważniejszą, bo w Bogu bardziej jeszcze, niżeli w nas, wszystko wypływa z serca: stąd też było coś zimnego i obcego, co nie dopuściło całkowitego rozwoju najpiękniejszych dzieł jego. Nie pojmując miłości, jakże mógł pojmować Najświętszy Sakrament? Pod pozorem uszanowania, oddalał odeń wiernych. Zniósł częstą Komunję św.; i były klasztory, zaludnione dziewicami, które opuściły wszystko dla Chrystusa, skąd omal, że nie usunięto Komunji dorocznej, ponieważ cały rok nie wydawał im się dostatecznym na przygotowanie do przyjęcia straszliwego Boga Eucharystji.

I rzecz godna uwagi, w miarę, jak się oddalano od Najświętszego Sakramentu, zaczęto się oddalać i od papieża. Stawiano zapory pomiędzy Najśw. Sakramentem a duszami; zaczęto je również stawiać pomiędzy papieżem a wiernymi. Pod pozorem uszanowania, Chrystus utajony w Eucharystji, nie mógł już służyć za pokarm duszom; pod pozorem wolności Chrystus ukryty w papieżu nie mógł już rządzić Kościołem. I tak, jak więziono Go z tysiącznemi oznakami uszanowania w ołtarzu, tak

też więziono Go w Watykanie, nie szczędząc zapewnień czci i miłości.

A ponieważ w tymże czasie przerabiano dawną liturgję Kościoła, pod pozorem nadania jej piękniejszej formy, skorzystano z tej okoliczności, ażeby zmniejszyć hołdy, któremi pobożność wiernych otaczała Najświętszy Sakrament. W niektórych diecezjach Boże Ciało przestało być uważane za pierwszorzędne święto. Zniesiono jego oktawę; odrzucono ustępy, w których Ojcowie Kościoła wysławiają jego cuda. Mało brakło, ażeby nie wyrzucono też prozy św. Tomasza, dla zapału, z jakim mówi o Najświętszym Sakramencie. Jednocześnie też zmniejszano, osłabiano to wszystko, co mogło podsycać kult względem papieża. Z dwojga świąt poświęconych uczczeniu stolicy św. Piotra, skasowano jedno; obniżono o jeden stopień święto Głowy Kościoła, a oktawę jego zniesiono; odrzucono wszystkie te piękne karty, w których św. Ireneusz, św. Hieronim, św. Jan Złotousty, św. Leon, wysławiali wielkość i przywileje papiestwa. I nareszcie odrzucono zupełnie w wielu kościołach modlitwę za papieża. Modlono się za króla, potem za biskupa; ale o papieżu nie wspomniano nawet.

To równomierne a postępowe stygnięcie nabożeństwa do Najśw. Sakramentu i czci dla papieża, ma wielkie znaczenie. Niemniejsze ma inne zjawisko, powtarzające się bardzo często w duszach, a które występowało też nieraz jaskrawo w społeczeństwach. Oto nietylko, że oba te kulty razem rodzą się i razem umierają, ale umierając ustępują miejsca równej im nienawiści. Przytoczymy tutaj dwa słynne tego przykłady: w XVII w. reforma; w XVIII rewolucja.

Dziwny zaiste widok przedstawia ta ukryta w każdej doktrynie siła logiki, której musi ulegać wszystko i wszyscy, nawet najsilniejsi i najenergiczniejsi. Luter, potępiony przez papieża, obrzuca go zniewagami, okazuje mu wzgardę i dopuszcza do swojej duszy nienawiść, która się wkrótce wylewa w konceptach cynicznych, w bez-

wstydnych karykaturach. Zaraz potem, jakgdyby stanął na spadzistej pochyłości, nie może zachować dla Najświętszego Sakramentu ani pobożności, ani miłości, ani nawet poszanowania. Jakiś fatalizm popychał go do zmniejszania, do ograniczania zakresu tego cudu. Zaprzecza przemianie materji; wyśmiewa ofiarę mszy św., a rzeczywistą obecność uznaje jedynie w chwili Komunji, i to jak najkrótszą, zaledwie przelotną. Chciałby ją był zupełnie odrzucić; potężny jego umysł, który go czynił tem winniejszym, rozumiał i widział dobrze ścisły związek pomiędzy Najświętszym Sakramentem a papieżem, to też pisał, że „uczyniłby mu wielką przyjemność ten, ktoby mu podał dobry sposób zaprzeczenia istotnej obecności; ponieważ nic nie byłoby mu więcej na rękę, w wykonaniu zamiaru zaszkodzenia papiestwu"[1]). Te dobre sposoby, których brak Lutrowi, znajduje niebawem Kalwin. Wkrótce Najświętszy Sakrament jest już tylko symbolem, wspomnieniem. Jezus Chrystus nie jest w nim obecny; jest tam tylko chleb. A ponieważ nie sposób się powstrzymać na tej pochyłości, zjawiają się wprędce bluźnierstwa. Wyszydzają Eucharystję tyle co i papiestwo. To ostatnie jest nierządnicą, tamto — bałwochwalstwem. I ciż sami ludzie, którzy będą oblegać Rzym, z okrzykami nienawiści dla papieża, rzucą się na kościoły, będą gwałcili cyborja, palili poświęcone Hostje i będą tańczyli wokoło płomieni z bezwstydnemi śpiewkami, w których niewiadomo, kto jest przedmiotem większej nienawiści: czy Chrystus obecny w Eucharystji, czy Chrystus osłonięty osobą papieża.

Nie upłynęło jedno stulecie, a świat przerażony okropnościami reformacji, ujrzał większą jeszcze ohydę, ale w której, rzecz szczególna, to samo prawo otrzymywało najjaskrawsze potwierdzenie. Rewolucja zrodzona z reformy, jako zwyrodniała córka z występnej matki, prześcignęła ją wkrótce we wszelkiego rodzaju potwor-

[1]) Bossuet, Histoire des variations, liv. II, Chap. I.

nościach. Reforma rozbijała cyborja, by z nich wydzierać poświęcone Hostje; rewolucja uczyniła więcej. Po zgwałceniu cyborjów, pokalała takowe. Sadzała na ołtarze obnażone prostytutki, ażeby chlebowi anielskiemu, winu, które rodzi panny, wyrządzić najbezecniejszą zniewagę, jaką tylko mogła wymyślić wyrafinowana bezbożność. Ale zważcie, jaka to pochyłość; zaledwie zgwałcono przybytek, już gwałcą Watykan. Wdzierają się doń nocą; porywają papieża; i ci sami republikanie, którzy z bronią w ręku obecni byli profanacji Najświętszego Sakramentu, klasnęli w ręce, widząc jak „były papież", jak go nazywali, znękany i umierający, wywożony był do Francji.

Skończmy na tem. To cośmy rzekli, dostatecznem jest, by wykazać istnienie prawa. Przytoczenie większej ilości faktów, nie przyczyniłoby się do jego wyświetlenia. Zawsze nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu będzie wytwarzać w duszach cześć dla papieża. Zawsze wzgarda papieża, będzie prowadziła za sobą wygaśnięcie nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu. I nie trzeba się temu dziwić, gdyż pod każdą z obydwóch tych zasłon, przedmiotem naszej wiary i miłości jest ta sama najczcigodniejsza osoba Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa.

# Część druga.

## Papież, głowa Kościoła.

---

### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

#### Ojciec święty.

Papież pod względem stosunku swego do Chrystusa jest t a j e m n i c ą, przedmiotem głębokiej wiary. Pod względem stosunku do Kościoła, jest c u d e m, przedmiotem nieskończonego podziwu. To nieustający cud religji katolickiej.

Wszystko, co składa się na wspaniałą budowę Kościoła, jest nacechowane prostotą i śmiałością. Czujemy, że dla wielkiego mistrza każda trudność była tu igraszką. Ale nie wiem, czy gdziekolwiek obie te cechy występują tak wyraźnie, tak oczywiście, jak właśnie w ustanowieniu papieża. Naprzód ustanawia Chrystus Kościół, sięgający do wszystkich punktów przestrzeni i czasu, a następnie łączy go, skupia i streszcza w papieżu. Prosty jest i śmiały ten plan Boży, według którego cały Kościół powszechny i wiekuisty wspiera się na jednym człowieku.

Ale Bóg nietylko że oparł Kościół na papieżu, ale jeszcze złączył jeden z drugim, uczynił ich j e d n o ś c i ą. „Papież i Kościół, to jedno". Głębokie te słowa wypowiedział św. Franciszek Salezy. Jaśnieją one blaskiem diamentu.

Hipokrates, mówił: „Gdyby człowiek był jednością, nie umierałby". Istotnie, gdyby był jednolitym, kędyż mogłoby się zakraść rozdwojenie, smutny rozdział, którym jest śmierć? Dusza jest jednolita, niezłożna, nie ma części; jest też nieśmiertelna. Tak jest też i z aniołami. Tak z Bogiem, Ojcem aniołów i dusz. Wszystko, co jest jednolitem, nie zna śmierci. Gdyby można było postawić osobno papieża, a osobno Kościół, śmierć byłaby możliwą. Ale Bóg spoił jednego z drugim nierozdzielnie i na wieki.

Ogół wytwarza sobie o papieżu, głowie Kościoła, pojęcia niedokładne, powierzchowne. Niektórzy widzą w nim tylko monarchę, jak wszyscy ziemscy monarchowie, rządzącego najrozleglejszym ustrojem duchowym. Inni wznoszą się wyżej, widzą w papieżu Najwyższego Kapłana; wybranego przez samego Boga i postawionego przezeń na czele Kościoła, ale pozostającego niejako nazewnątrz tegoż Kościoła. Stawią oni Kościół z jednej strony, papieża z drugiej; papieża ponad Kościołem, ale odrębnie od niego. Jeden według nich mógłby źle rozporządzić, drugi mógłby nie usłuchać. A to do tego stopnia, że brano nawet w szkołach za temat rozpraw, coby się stało, gdyby papież podążał w jedną stronę, a Kościół w drugą. Niedorzeczne te spory wykazują, jak dalece niektórzy nie rozumieją ducha tego arcydzieła Zbawiciela. „Papież i Kościół, to jedno". Można ich razem w proch zetrzeć, — nie można ich rozdzielić. I w tem tkwi owa niczem nie zmącona radość, owo głębokie uczucie bezpieczeństwa, napełniające duszę prawdziwych chrześcijan. Nikt nie wydrze Kościołowi papieża; nikt nie wydrze papieżowi Kościoła. „Papież i Kościół — to jedno".

W jakiż sposób stanowią oni tę jedność? W czem spoczywa łączący ich węzeł? Mówiłem przed chwilą, że Chrystus stworzył naprzód Kościół, a potem skupił go, skoncentrował w papieżu. Tajemnica jest o wiele głębsza. Naprzód uczynił Chrystus papieża. Uczynił go wpierw, niż Kościół. Napełnił go światłem, życiem,

boską elektrycznością; a potem rzekł: „Promieniuj światło, łaskę, władzę; uczyń Kościół. Wysnuwaj go ze swego wnętrza, nie raz, ale sto, tysiąc razy, co stulecie, co godzinę, bezustannie aż do końca świata. „Oto jest ta tajemnica. Kościół jest ciągłym, nieustannym wytworem papieża.

Jak Bóg nie stworzył nas jednorazowo, ale stwarza nas ustawicznie, tchnąc w nas ciągle byt, ruch i życie; tak papież stwarza ustawicznie Kościół. Niema w nim jednego promienia światła, jednej kropli życia, jednego atomu władzy, któreby w każdej godzinie, w każdej chwili nie spływały nań za pośrednictwem papieża.

Kościół jest królestwem światła; opływa w nie. Świetlane prądy przebiegają go we wszystkich kierunkach i bezliku, przejmując podziwem i uniesieniem dusze patrzące nań oczami wiary. A wszystko to pochodzi od papieża. Trzeba o nim powiedzieć to, co powiedzianem było o św. Janie Chrzcicielu: „Nie był on światłością, ale iżby świadectwo dał o światłości“[1]). Papież nie jest światłością; prawdziwa światłość — to Jezus Chrystus. Ale papież daje o niej świadectwo. Nie jest wytwórcą światła, ale jego szafarzem. Całe to niezmierne światło rozlane w ewangeljach, w tradycji Kościołów, we wspomnieniach ludzkości, gdzie jest zmieszane z ciemnościami ludzkiemi, papież bierze, wyswabadza je, oddziela od ciemności, zlewa je na świat cały jasne, bez chmur, miłe dla oka, rozgrzewające serce, tętniące życiem. Usunąć papieża — to usunąć z widnokręgu słońce. Światło błyszczy jeszcze i w ciemnościach, ale ciemności już się niem nie oświecają. Skończyła się społeczność dusz w światłości.

To samo da się powiedzieć o łasce uświęcającej. Kościół jest społecznością dusz w miłości Bożej. Otóż ta miłość utrzymuje się, żyje, wzrasta i staje się szczytną przez to tylko, że jest zraszana łaską. Pomyślcie, ile to

---

[1]) Joan. I, 8.

tysięcy rozgrzeszeń spływa jak ożywcza rosa na to drzewo miłości Bożej, piękne, ale nieraz zbrukane, zeschłe, okryte pyłem ziemskim, nadając mu nowe życie i piękność. Pomyślcie, ile to tysięcy Komunij zasila je sokami życiodajnemi, daje barwę kwiatom, smak owocom, wzrost gałęziom, szerzącym cień dokoła. Zliczcie, ile łask spływa na Kościół w jednym dniu, w jednej godzinie. Z tego to źródła pochodzą wszystkie cnoty: pokora, czystość, poświęcenie, zaparcie się siebie, apostolstwo, męczeństwo. Wszystko jest wynikiem tych ożywczych deszczów, tej słodkiej rosy łaski. Ale odrzućcie papieża, a nie pozostanie nic z tego. Wszystkie łaski Bóg złożył w jego ręce, ażeby przez jego pośrednictwo spływały nieustannie na Kościół.

Jak wszelka łaska i światłość, tak też i wszelka władza spływa tylko przez papieża. On ustanawia biskupów, reguluje i rozgranicza ich władzę; a przez biskupów stanowi kapłanów, tworząc tym sposobem obejmującą cały Kościół, sieć władz rządzących i wymierzających sprawiedliwość, na podobieństwo owej sieci nerwów czucia, która oplata ciało ludzkie.

Tak więc wszystko idzie z papieża. On stwarza Kościół, a z nim i przezeń oświeca i uświętobliwia dusze.

Coś podobnego miało miejsce w dniach rajskich, w chwili narodzin ludzkości. Naprzód stwarza Bóg Adama, według energicznego wyrażenia tekstu, czyni zeń duszę żyjącą: „I stał się człowiek w duszę żywiącą“[1]). To znaczy, że czyni zeń źródło życia, jedyny pierwiastek wszelkiego ludzkiego istnienia. I ażeby lepiej zamiar ten uwidocznić, wyprowadza nawet z Adama niewiastę; a w niej, przez nią i z nią, Adam da potem życie całemu pokoleniu.

Ten pierwszy rzut oka odsłania już nam prawdziwe oblicze papieża, jego święty charakter, przyczynę dla której mówimy mu z miłością: O j c z e, O j c z e ś w i ę t y,

---

[1]) Gen. XV, 45.

błogosławiony Ojcze. Ojcem jest ten, kto daje życie. Owóż on daje mi je; daje je mojemu duchowi, mojemu sercu, mojemu sumieniu. A to, co daje mnie, daje wszystkim. Dawni chrześcijanie, dla wyrażenia tajemnicy tego powszechnego ojcowstwa, nazywali papieża nietylko Ojcem świętym, ale Ojcem Ojców, Pater Patrum. Niektórzy nawet są zdania, że „papież, papa", to skrócenie tych dwóch wyrazów, Pater Patrum. W każdym razie żadnym okrzykiem nie rozbrzmiewały częściej sobory, jak tą nazwą, jakgdyby Ojcowie zgromadzeni na nich odczuwali tem żywiej potrzebę głosić, że on jest Ojcem ich wszystkich. Żadna też doktryna nie była wyznawaną tak stanowczo, jak to całkowite, zupełne, powszechne ojcowstwo papieża. Gdyby prawo to miało wyjątek, gdyby gdziekolwiek był jaki biskup, arcybiskup, patrjarcha, jakikolwiek zwierzchnik duchowny, któryby mógł dawać życie boskie bez otrzymania go od papieża: któryby mógł skutecznie konsekrować biskupa, bez otrzymania na to w tej albo w innej formie władzy od papieża, gdzieżby była jedność Kościoła? Ale nie, tak nie jest. Oto kapłan, który mi dawał pierwszą Komunję, który chrzcił moje dzieci, który jest moim duchownym przewodnikiem; kocham go, szanuję, nazywam go ojcem; ale jest nim i być może tylko dlatego, że przez pośrednictwo biskupa czerpie ustawicznie życie boskie u źródła jego — u papieża. Czerpie stamtąd również ten biskup, przed którego błogosławieństwem korzę się z miłością; gdyż ów pierwiastek siły, rodzącej dusze Bogu, który otrzymuje przez konsekrację, pozostaje w nim w stanie biernym i nieprodukcyjnym, jeżeli nie zostanie rozwiązanym i wprowadzonym w stan czynny przez papieża. Od niego zatem pochodzi istotnie wszelkie życie; i serce wzruszone pragnąc go godnie uczcić i odpowiednio do swojej ku niemu miłości, czci i wdzięczności nazwać, nie znajduje wyrazu stosowniejszego, jak Ojciec, Ojciec święty.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### Jak papież został podstawą i osią Kościoła.

Czyż potrzeba upewniać, o Zbawicielu, zanim pójdziemy dalej, że Ty jesteś i będziesz zawsze naszym jedynym Ojcem? Czyż trzeba dowodzić, że Twój Kościół nie będze nigdy miał innej podstawy, jak Ciebie samego? Czyż trzeba wołać, że życie, tkwiące w naszych duszach od Ciebie tylko pochodzi? Uczyńmy to; tem łatwiej nam potem będzie wysławiać Ojca, którego nam dałeś i podstawę, na której nas umocniłeś.

Było to nazajutrz po chrzcie Zbawiciela. Duch Święty spoczął na Jego głowie w postaci gołębicy. Głos się dał słyszeć z wysokości niebios: „Ten jest syn mój miły, w którymem upodobał sobie“[1]). A iżby niebo i ziemia razem ogłosiły bóstwo Tego, który nosił w sobie niebo i ziemię, ludzkość w osobie Jana Chrzciciela, wskazała nań, mówiąc: „Oto Baranek Boży; oto, który gładzi grzech świata“[2]). Wszystkie zasłony rozdzierały się jednocześnie i wskazywały, że nadeszła dla Jezusa godzina wyjścia z dotychczasowego milczenia i ukrycia i rozpoczęcia swego wielkiego posłannictwa.

Nie miał wszakże jeszcze uczniów. Przyszło doń dwóch; ale ani dziewicza tkliwość Jana, ani gorący zapał Andrzeja nie ściągnęły na siebie Jego boskiego spojrzenia. Ale oto nadchodzi trzeci. Ten nie przyszedł nawet z własnego popędu; trzeba go było przyzwać. Niemniej

---

[1]) Matth III, 17.
[2]) Joan. I, 29.

Jezus zatrzymuje się; spogląda na niego; wpatruje się weń, według energicznego wyrażenia tekstu, i mówi mu: „Tyś jest Symon, syn Jona; ty będziesz zwan Cephas"[1]). Co znaczą te słowa? Co znaczy, o Jezu, to twoje wejrzenie?

„Wejrzał nań", powiada Ewangelja. Intuitus eum. Kilka jest czasowników oznaczających patrzenie. Jest słowo videre, widzieć, widzieć zwyczajnie, widzieć kogoś tak, jak się widzi wszystkich. Jest słowo aspicere, patrzeć, zauważyć, rozpatrywać starannie, z uwagą, rozróżniać w tłumie. Następnie trzecie słowo: Intueri, przejrzeć do głębi, przeniknąć aż do wnętrza. Stąd wyraz intuicja, rodzaj spojrzenia wyższego, wszechpotężnego, właściwego genjuszowi. Tego to słowa użył Ewangelista: Intuitus eum.

Jak artysta patrzy na marmur, z którego ma stworzyć arcydzieło; jak Michał Anioł w bryle kamienia widział boski posąg Mojżesza, oczekujący na tchnienie jego geniuszu; jak musiał patrzeć Bóg w raju na garść prochu, z którego powstać miał człowiek: tak Jezus patrzy na Szymona. Nie widzi on Szymona; widzi Piotra. Nie widzi rybaka Galilejskiego; widzi papieża. Intuitus eum. Niedosyć na tem. Jego wejrzenie sięga dalej. Widzi nie papieża, ale papiestwo, następców Piotra, cały szereg dwudziesto — pięćdziesięciowiekowy naczelników Kościoła. Widzi ich — a widząc, wybiera. Myślą stawia ich u podstawy swego Kościoła. Oto w czem leży doniosłość, wielkość tego wejrzenia; oto dlaczego natchnione Księgi wyrażają się o niem: Intuitus eum. O Jezu, świat może się już teraz burzyć, szatan wściekać; święta dynastja jest przewidziana, przeznaczona, nakreślona zawczasu, jak ta prosta linja, która już nigdy i wobec niczego nie zboczy, jak szereg potężnych skał, o które rozbijać się będą wszystkie nawałnice.

---

[1]) Joan. I, 42.

Na to wskazują i słowa towarzyszące wejrzeniu: Tyś jest Symon, syn Jona; ty będziesz zwan Cephas. Tyś jest Mastai, będziesz się zwał Piotr. Tyś jest Pecci, będziesz się zwał Piotr. Rzucisz imiona ziemskie; przybierzesz imię wieczności. Piotr, opoka, to znaczy coś niewzruszonego, niezachwianego, coś, co nie przechodzi z człowiekiem razem, ale trwa z Bogiem.

Oto, co znaczy imię Piotr. Ale jakże często imiona nie są w zgodzie z rzeczywistością! Oto dziecina jakaś nazywa się Blanka, a nie jest białą; oto na inną wołają: Różo, a jest blada, jak liść jesienny. Młodzieniec może się nazywać Piotr, a być chwiejnym, jak trzcina. Czyżby i tutaj tak być miało? O nie, mój Boże! W Tobie nic niema nieprawdziwego; prawdziwe też nadajesz imiona. Tyś zmienił imię ojca narodu żydowskiego; nazwałeś go Abrahamem, czyli Ojcem wierzących[1]), i istotnie był on ojcem i naczelnikiem niezliczonych pokoleń, które napełniły świat świadectwem swojej wiary. Szymon jest nazwany Piotrem, i po trwających wieki burzach będzie tak samo niezachwianym i niezachwianym na zawsze!

Ale pocóż Szymonowi taka niespożytość? Co chce zeń uczynić Zbawiciel?

W stworzeniu Kościoła tak jak w stworzeniu świata Bóg działa bez pośpiechu, z majestatyczną powagą. Dzisiaj wytyka jeden punkt, jutro drugi. Wtedy dopiero stawia krok drugi, kiedy dał już ludziom dosyć czasu do zrozumienia pierwszego. Wiele już dni upłynęło od chwili, kiedy Jezus powiedział Piotrowi: Tyś jest Symon, syn Jona; ty będziesz zwan Cephas, opoka, — a nic jeszcze nie wyjaśniło tajemnicy tej zmiany imienia. Już kończył się drugi rok posłannictwa Chrystusa. Chcąc uniknąć burzy huczącej nad jego głową i zakosztować trochę spokoju, Zbawiciel z Apostołami udał się w głąb pustyni Cezaryjskiej. Rozmawiano

---

[1]) Gen. XVII, 5.

o współczesnych wydarzeniach i o ścieraniu się zdań co do osoby Mistrza, gdyż jedni utrzymują, że to jest Eljasz, drudzy, że Jan Chrzciciel, albo któryś z proroków. „A wy kim mię być powiadacie?" zapytał znienacka Zbawiciel. Na te słowa z serca Piotra wyrywa się okrzyk: „Tyś jest Chrystus, syn Boga żywego"[1]). Oto okrzyk Piotra, oto okrzyk papieża. Rozbrzmiewa dziś po raz pierwszy; odtąd będzie rozbrzmiewał zawsze. Papież po to tylko istnieje ażeby nim świat napełniać.

Słuchajcież, co powiedział Zbawiciel. Błogosławionyś jest Symonie Barjona, bo ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech. A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój; a bramy piekielne nie zwyciężą go.

Widzicie teraz związek między pierwszem wejrzeniem Jezusa na Piotra, a drugiem, i jak pierwsze słowa: Tyś jest Symon syn Jona; ty będziesz zwan Cephas, były przygotowaniem do drugich: Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój. Jakgdyby mówił: „Nietylko nazwałem cię opoką, ale uczyniłem cię opoką. Ludzie ułomni mogą tylko nadać imię; ja z imieniem łączę rzeczywistość. Jesteś więc naprawdę opoką, a na tej opoce zbuduję mój Kościół. Jaki Kościół? Czy martwy? Nie; mój Kościół żyjący, Kościół nieustannie ożywiony prądem miłości idącym z mojego serca, a który przez ciebie jedynie dochodzić będzie do tego Kościoła.

A iżby lepiej uwidocznić, do jakiego stopnia wszystko w Kościele musi się opierać na Piotrze, Zbawiciel dodaje zmieniając przenośnię: I tobie dam klucze królestwa niebieskiego. Królestwo niebieskie, to powszechna i wiekuista społeczność dusz w miłości Bożej. Piotr ma klucze do niej. Nikt nie wejdzie tam

[1]) Matth. XVI, 13—19.

inaczej, jak przez niego; nikt nie może tam wykonywać władzy, mieć udziału w światłości, w życiu, inaczej jak przez niego. Gdyby było inaczej, klucze jako symbol nie miałyby znaczenia. Oddają panującym klucze od miast, uznając publicznie najwyższe ich nad niemi zwierzchnictwo. Oddają właścicielowi klucze od domu jako uznanie, że dom do niego należy. Tobie dam klucze królestwa niebieskiego. Te klucze należą do mnie, ale ja dam je tobie i tylko tobie jednemu. To też ktokolwiek nie wejdzie przez Piotra, pozostanie poza królestwem niebieskiem, wydziedziczony ze światła i życia, z których tylko tam można korzystać.

Jaśniej jeszcze wyraża to Zbawiciel, dodając: A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związano i w niebiesiech; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązano i w niebiesiech. Wszystko: Zbawiciel nie czyni żadnego wyjątku. Robiąc Piotra żyjącą podwaliną swego Kościoła, dając mu klucze otwierające go i zamykające wszechwładnie, daje mu do całkowitego i dowolnego rozporządzenia wszystkie zawarte w tym Kościele skarby. Oczywiście w zamiarach Boga leży, ażeby wszystko w Kościele wspierało się na tym jednym człowieku. Nic nie mogło być śmielszego nad ten pomysł; w niczem ręka Boża nie miała się świetniej w ciągu wieków objawić.

To też po ocenieniu doniosłości słów: Tyś jest Opoka i t. d., zwróćmy uwagę na to, jak są wypowiedziane. Czuje się w nich jakiś zapał nadziemski. Jak Bóg, po usianiu gwiazdami przestworów niebieskich i zaludnieniu ich istotami rozumnemi, cieszy się, widząc że to wszystko jest dobre i wielkie: tak Zbawiciel, po wybraniu drogocennnego kamienia, który ma być podwaliną Jego Kościoła, tego kamienia tak maluczkiego, mówiąc po ludzku, tak wątłego i kruchego, na którym ma się wspierać budowa wiekuista, doznaje także uczucia radości; spogląda na tego Piotra, ubogiego, ciemnego, niepiśmiennego rybaka i woła. Błogosławionyś

jest, Symonie Barjona! Zwróćcie uwagę na ten zwrot, tak u Zbawiciela niezwyczajny; brzmi to jakgdyby śpiew: Błogosławionyś jest, Symonie Barjona, i dalej: A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój. Wszystko to tchnie boską radością i uniesieniem.

O duszo moja, przyłącz się do tego uniesienia! Pomyśl jakim jest człowiek: prochem. Pamiętaj, człowiecze, żeś proch jest i w proch się obrócisz; cieniem, falą przemijającą; i powtarzaj z ekstazą słowa zwrócone do tego prochu, do tego cienia: Na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

**Jakim kosztem będzie papież podwaliną i osią Kościoła.**

Ale czyż takie dzieło będzie możliwe? Czyż ten cień, zwany człowiekiem, będzie mógł dźwigać Kościół? Czy możliwe jest, by pod wodzą tej przemijającej istoty, istniała naprawdę wiekuista społeczność dusz w światłości i miłości? Czyliż ten, który podejrzywając zamiar tej boskiej społeczności porwał Zbawiciela i zaniósł na górę, próbując Go zwyciężyć, a nie dopiąwszy tego, rzucił się nań i przybił Go do drzewa, ażeby unicestwić Jego dzieło, nie przedsięweźmie nic przeciwko Namiestnikowi Chrystusa, przeciwko Ojcu chrześcijan? Czyż nie ucieknie się w tym celu do ułudy, podstępu, a w potrzebie i do przemocy? Jeżeli nie będzie mógł przywieść go do upadku, czyż nie będzie usiłował Go zamordować? Spytajmy o to ewangelję i historję.

Zaledwie Zbawiciel przyoblekł Piotra tą wysoką godnością, a już zatrzymuje na nim swe spojrznie, ale nie takie jak to, o którem mówiliśmy przed chwilą, radosne, jaśniejące zapałem; — spojrzenie inne, zdradzające wzruszenie, rozrzewnienie, boskie współczucie. I rzekł Pan: Symonie, Symonie[1]). Nazywa Go jego imieniem i dwukrotnie, ażeby okazać mu swą tkliwość i przygotować go do straszliwego zwierzenia, jakie ma mu zrobić. Oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę. Jaka zażartość. Przesiać was wszystkich, zmiażdżyć jak zboże pod cepem, jak ziarno we młynie.

[1]) Luc. XXII, 31—34.

A l e m j a p r o s i ł z a t o b ą. Wszyscy będą zmiażdżeni, ale Zbawiciel prosił za jednym tylko, ażeby wyraźniej zaznaczyć cel swój, iżby wszyscy otrzymywali wszystko przez jednego. A l e m j a p r o s i ł z a t o b ą. A o cóż dlań prosił? Czy żeby nie był zmiażdżony, starty na proch, jak inni? Czy żeby nie doznał podczas męki przygnębienia, ani zniechęcenia? Czy może żeby nigdy nie zbłądził? Bynajmniej. A l e m j a p r o s i ł z a t o b ą, a b y n i e u s t a ł a w i a r a t w o j a. O to jedno prosił.

We wszystkiem papież może zbłądzić, ale nie w wierze. Wszystko w nim może osłabnąć, nawet cnota. Cnota zginąć może; jest ona własnością papieża, osobistem jego dziełem. Wiara nie jest jego własnością. Należy ona do Kościoła, należy do dusz. Uciskani, złamani, mordowani, kuszeni, upadający nawet, będą papieże podawali jeden drugiemu jaśniejącą pochodnię, której nic nie zdoła zgasić. A l e m j a p r o s i ł z a t o b ą, a b y n i e u s t a ł a w i a r a t w o j a. Taka jest prośba Tego, który rzekł do Ojca: „A jamci wiedział że mnie zawżdy wysłuchasz“[1]).

A dlaczegoż prosił Zbawiciel, ażeby wiara Piotra nie ustała? Dla niego? Nie. Więc dla czegóż? Dla innych, dla Kościoła, ażeby mógł utwierdzać w wierze bracią swoją. A t y n i e k i e d y n a w r ó c i w s z y s i ę, p o t w i e r d z a j b r a c i ą s w o j ą. Oni także będą łamani, miażdżeni, mordowani. O t o s z a t a n p o ż ą d a ł w a s, a b y p r z e s i a ł j a k o p s z e n i c ę. Biskupi w swej diecezji, kapłani w swej parafji będą uciskani, prześladowani, upokarzani. Kościoły różnych krajów, dziś Francuski, jutro Włoski lub Hiszpański, przechodzić będą przez próbę ognia. Ale Piotr będzie zawsze na swem stanowisku, by je utwierdzać. I jak przez niego otrzymują władzę i światło, tak otrzymywać będą i siłę. Ten prześladowany będzie umacniał prześladowanych, będzie im udzielał siły, którą będzie dla nich otrzymywał

[1]) Joan. XI, 42.

z nieba. Chrystus będzie wspierał bezpośrednio jednego tylko, ale przez niego wszystkich innych.

Widzimy też to codziennie. Choć więzień w swoim Watykanie, który pozostaje mimo to tronem wolnego słowa, papież, stojąc w centrze świata, utwierdza swoich braci. Dodaje odwagi prześladowanym biskupom; wieńczy ofiary; wprawia w drżenie katów. A ty nawróciwszy się, potwierdzaj bracią twoją. Któż może nie podziwiać pod tym względem życia Piusa IX? Ileż to encyklik, przemówień konsystorjalnych! Gdzie tylko Kościół był prześladowany, uciskany, tam zaraz śpieszył on z podtrzymaniem. Każdy prześladowany biskup był przezeń pocieszany; każde nadużycie Rewolucji napiętnowane. Głos jego brzmiał z końca w koniec świata. A ty nawróciwszy się, potwierdzaj bracią swoją.

Jakże wzniosłym jest ten urząd apostolski! Jakże wymownemi te bulle papieskie, w których powagę władzy upominającej i potępiającej łagodzi słodycz miłości, która boleje i błaga. Wielka zaiste jest dobroć boga. Zawsze bowiem na tej smutnej ziemi będzie głos, którego nie będą mogły przytłumić ani błędy, ani namiętności; głos, który cieszyć będzie strapionych, krzepić ofiary prześladowania, piętnować katów; płakać nad upadłymi i który wobec zaprzeczeń prawdy, porażek deptanej sprawiedliwości, poniewieranego honoru i prawa, głosić będzie zawsze prawdę, cnotę, honor, sprawiedliwość i wolność na pociechę i umocnienie dusz prawych.

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### Krwawa dynastja.

Oto szatan pożądał was, aby przesiał, jako pszenicę. Co za żądanie! I w jakiejże pełni skorzystał on z pozwolenia!

Przejrzyjcie listę papieży od wieków osiemnastu. Było ich dwustu sześćdziesięciu. Któryż z nich nie był dręczony, mordowany?

Od św. Piotra do św. Melchiadesa, współczesnego Konstantynowi, było trzydziestu dwóch papieży. Wszyscy, oprócz dwóch, umarli śmiercią męczeńską. A jeszcze i ci dwaj papieże byli wygnani za wiarę. Wszyscy inni bywali ścinani, kamienowani, topieni, rzucani dzikim zwierzętom w amfiteatrach. Jakaż dynastja rozpoczynała kiedykolwiek od trzydziestu skazańców? Symonie, Symonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę.

Z Konstantynem wiara chrześcijańska wstępuje na tron; od Konstantyna do Karola Wielkiego było sześćdziesięciu dwóch papieży. Może teraz nastał już czas pokoju, triumfu w purpurze i koronie? Słuchajcież. Papież Liberjusz jest wygnany do Francji. Innocenty I, Leon Wielki, wystawieni są na gniew Alaryka i Genseryka. Św. Symmachusa napadają zbrojnie na ulicach Rzymu i wymordowują otaczających go kapłanów. Jan I jest wtrącony do więzienia i umiera wskutek złego obchodzenia się i niewygód. Agapit umiera na wygnaniu. Sylwerjusz ujęty przez wysłańców cesarzy, sprzyjających herezji, odarty z szat kapłańskich, ogolony, zostaje zesłany na wyspę, gdzie

umiera z głodu. Wigiljusza odrywają ciągnąc za włosy i brodę od ołtarza który obejmuje ramionami, i wywożą na wygnanie, gdzie ginie. Pelagjusz II padł ofiarą zarazy we własnym pałacu, zamienionym na szpital. Postać Grzegorza Wielkiego jaśnieje aureolą cierpienia na tle rozpadającego się państwa rzymskiego. Św. Marcina I, wywożą z Rzymu w kajdanach na wygnanie do Chersonezu Taurydzkiego. Sergjusz I, uwieziony ze swego pałacu, przebywa lat siedem na wygnaniu. To samo byłoby z Janem VI, gdyby lud rzymski nie zbuntował się i nie przepędził wysłańców cesarskich. Papież Konstantyn, Grzegorz II i Grzegorz III są ciągle zagrożeni przez spiski, jakie cesarze knują na ich życie. Stefan III nie zdołałby się ocalić, gdyby jego wołanie o pomoc nie zostało usłyszane przez Karola Martela, Pepina i Karola Wielkiego. Takim jest drugi perjod. Purpura papieży jest prawie zawsze krwią zbroczona. Symonie, Symonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę.

Idźmy dalej. Od Karola Wielkiego do św. Ludwika mamy osiemdziesięciu czterech papieży. Może już teraz będą mieli chwałę, spokój, szczęście? Nie; Golgota trwa w dalszym ciągu. Św. Leon III, za życia Karola Wielkiego jeszcze, jest ujęty przez wichrzycieli i wrzucony nawpół żywy do więzienia. Św. Paschalis I widzi wymordowanych dokoła siebie kapłanów i cudem tylko uchodzi śmierci. Za Grzegorza IV pałac papieski jest napadnięty przez Saracenów, którzy rabują i profanują Kościół św. Piotra. Św. Leon IV zwycięża ich w Ostji; ale za Jana VIII powracają; papież ten jest uwięziony w kościele św. Piotra, uchodzi z wielką trudnością i umiera ze zmartwienia na widok smutnego stanu Włoch. Stefan VI zastaje Rzym w gruzach, kościoły spalone, klasztory zrabowane i tysiące więźniów do przygarnięcia i żywienia. Leon V umiera z niedostatku w więzieniu, do którego został wtrącony przez antypapieża Krzysztofa. Jan X zostaje uduszony z rozkazu margrabiów Toskanji. Jan XI do śmierci jest

więźniem w zamku św. Anioła. Benedykt V jest oblegany w Rzymie przez Ottona, przeciwstawiającego mu antypapieża, i umiera na wygnaniu. Benedykt VI zostaje uduszony w zamku św. Anioła. Jan XIV umiera w więzieniu z głodu i nędzy. Grzegorz V zostaje ogołocony ze wszystkiego i wygnany z Rzymu. Sylwester II jest otruty. Jan XIX składa tiarę. Benedykt VIII musi opuścić Rzym i uciec do Saksonji. Grzegorz VI widzi wichrzycieli rzymskich, popieranych przez Henryka III, króla niemieckiego; pociągnie to za sobą inne niebezpieczeństwa, które wzrosną do straszliwych rozmiarów. Św. Leon IX wpada w ręce Normandów. Wiktorowi II zagraża dwukrotnie trucizna. Aleksander II, ścigany przez Henryka IV, króla niemieckiego, ginie nędznie w ucieczce. Grzegorz VII, pomimo całego swego genjuszu i świętości, umiera na wygnaniu w Salerno, ze słowami: „Kochałem sprawiedliwość, a nienawidziłem nieprawości, i dlatego umieram na wygnaniu". Wiktor III ginie od trucizny zadanej mu, jak mówiono, z rozkazu Henryka IV. Urban II zamyka się w Kolizeum, jak w twierdzy i tam czeka na śmierć swoich prześladowców. Paschalis II za to, że nie chciał koronować Henryka II jako cesarza Niemiec, zanim ten nie przysięgnie szanować wolność Kościoła, zostaje przez niego ujęty, związany jak złoczyńca, i umiera w Benewencie z niewczasów i zgryzoty. Gelazjusz II, wtrącony do więzienia, z wielką trudnością uchodzi i przybywa do Kluniaku, gdzie umiera. Inocenty II jest więziony i wydany na śmierć przez Rogera, księcia Sycylji. Lucjusz II, ugodzony kamieniem w czasie zamieszek, pada ofiarą męstwa, z jakiem bronił praw Kościoła. Aleksander III chroni się do Francji, zwykłego przytułku prześladowanych papieży, ażeby uniknąć gwałtów Fryderyka Barbarossy. Lucjusz III ginie na wygnaniu. Urban III, na wieść o wzięciu Jerozolimy przez Saladyna, umiera ze zmartwienia. Tak dochodzimy do Inocentego III, współczesnego Filipowi Augustowi i św. Ludwikowi. Nie wiemy jeszcze, co gotują papieżom wieki średnie, ale cóż to za krwawa litanja dotąd! S y m o n i e,

Symonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę.

Od św. Ludwika do Ludwika XIV — sześćdziesięciu dwóch papieży. Może już nareszcie zobaczymy triumf Kościoła, panowanie jego nad światem? Patrzmy dalej. Zaledwie umarł Inocenty III, a już na nowo rozpoczynają się próby. Grzegorz IX z wyżyn zamku św. Anioła patrząc jak Saraceni, posiłkowani przez Fryderyka II, palą rzymskie kościoły i klasztory, umiera ze zgryzoty nad tak niegodnem postępowaniem chrześcijańskiego książęcia. Inocentego IV tylko ucieczka do Francji chroni od zamachów tegoż Fryderyka. Aleksander IV umiera na wygnaniu w Viterbo. Bonifacy VIII otrzymuje policzek od Filipa Pięknego. Benedykt XI umiera otruty, i jak mówiono, tą samą ręką, co na szczęście nie jest dowiedzionem. Klemens V osiada w Awinionie, gdzie przez siedemdziesiąt lat papiestwo jest w niewoli. Adrjan VI, który wrócił do Rzymu, widzi rodzącą się wielką schizmę Zachodu i najróżnorodniejsze troski. Kiedy schizma zachodnia się kończy, rozpoczyna się protestantyzm. Leon X zdaje się nie widzieć niebezpieczeństwa, ale Adrjan umiera ze zmartwienia na widok jego postępów. Klemensa VII oblega w Rzymie konstabl Burbon, którego protestanckie wojsko rabuje kościoły i obwołuje Lutra papieżem, w samej bazylice św. Piotra. Pod Pawłem III, Juljuszem III, Pawłem IV papiestwo jest ukrzyżowane pomiędzy protestantyzmem a islamizmem. Św. Pius V łamie potęgę tego ostatniego. Ale po odłączeniu się od Kościoła Anglji, Szwajcarji, Niemiec, Sykstus Piąty dręczony jest obawą odstępstwa Francji. Za Urbana VII powstaje jansenizm, a za Aleksandra VII galikanizm. Inocentego XI policzkuje Ludwik XIV rokiem 1682. Inne są teraz próby. Nie miecz to już, nie trucizna i wygnanie, ale niewola moralna, poniżenie, upokorzenie. Symonie Symonie oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę.

Zbytecznem byłoby już chyba uzupełniać ten obraz odmalowaniem papiestwa z wieku XVIII i XIX. Klemens

XI i Klemens XII widzą początek pewnego rodzaju ogólnego buntu przeciwko Bogu i Kościołowi. Zamykają ich w Rzymie; bulle ich są wzbronione. Do Paryża, Madrytu, Neapolu, Wiednia nie wpuszczają już słowa papieskiego. Benedykt XIV jest współczesny Wolterowi. Klemens XIII patrzy na wyganianie zewsząd zakonu Jezuitów; Klemensowi XIV przykładają miecz do gardła ażeby ich skasował. Pius VI uwieziony z Rzymu, umiera więźniem w Dalmacji. Pius VII leje łzy w Fontainebleau. Pius IX, przeszedłszy przez Gaetę umiera w Rzymie, ogołocony z władzy świeckiej. Leon XIII nie mógł się koronować u św. Jana Lateraneńskiego, ani nawet u św. Piotra. Symonie, Symonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę.

Takie są dzieje papieży. Z jakąż wściekłością szatan ich prześladuje, łamie, miażdży! Ale jakże przytem cała ta jego zaciekłość jest bezsilna! Czegoż przeciw nim dokazał? Alem ja prosił za tobą. Zejdźcie do katakumb; leży tam trzydziestu papieży zamordowanych. Ucałujcie pobożnie ich groby, a uczujecie w nich tchnienie życia, powiew nieśmiertelności; kamienie same zdają się wołać: Alem ja prosił za tobą. Zwiedźcie zamki i lochy, gdzie byli więzieni Marcin I, Leon III, Grzegorz VII; gdzie poumierali dlatego, że kochali sprawiedliwość a nienawidzili nieprawości. Poklęknijcie w tych pustych lochach, a poczujecie to samo tchnienie życia, ten sam powiew nieśmiertelności i w sercach waszych usłyszycie ten sam głos zwycięski: Alem ja prosił za tobą. Albo jeżeli czasy te wydadzą się wam nazbyt odległe, zwiedźcie Walencję, Fontainebleau, Gaetę; albo lepiej jeszcze udajcie się do Watykanu, klęknijcie u stóp Leona XII a na widok tego pasterza przez wszystkich opuszczonego, ale przeciwko któremu nikt nic nie może, w uszach waszych i w sercu rozbrzmi ten sam głos zwycięski: Alem ja prosił za tobą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### Beatitudo vestra.

A jednakże pomimo tylu boleści, mianują papieża dziwnem mianem: Beatitudo vestra. Mówią mu: Błogosławiony, szczęśliwy Ojcze, Beatus Pater. Co to ma znaczyć? Czy to ironja, czy nowa jaka tajemnica?

Niektórzy myślą, że nazywają papieża Błogosławionym dlatego, iż Zbawiciel pierwszy go tak nazwał, mówiąc: „Błogosławionyś jest, Symonie Barjona". Inni uważają, że ta nazwa Błogosławiony, pomimo tylu cierpień, odnosi się do jego wysokiej godności, która łączy go tak ściśle z Bogiem. Ale żadne z tych obu wyjaśnień nie wydaje mi się dosyć szczytnem. Według mnie, Błogosławiony nazywa się papież nie pomimo swych cierpień, ale właśnie dla nich.

Nazywają go Błogosławionym z powodu tych słów Chrystusa Pana: „Błogosławieni, którzy płaczą"[1]).

Nazywają go Błogosławionym dla tych słów Zbawiciela: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości"[2]).

Nazywają go Błogosławionym i dla tych jeszcze słów Zbawiciela, które tak pięknie uzupełniają poprzednie: „Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was będą i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamiąc dla mnie. Radujcie się i weselcie się"[3]).

---

[1]) Matth. V, 5.
[2]) Matth. V, 10.
[3]) Id. V, 11, 12.

Nazywają go Błogosławionym dla tych słów św. Piotra: „Ale się weselcie, uczestnikami będąc Chrystusowych ucisków"[1]). Oto, na czem zależy jego błogosławioność, jego szczęśliwość.

Niektórzy w cierpieniach papiestwa widzą tylko wyniki politycznych wydarzeń, w które bywa zamieszane. Wielki poeta florencki, Dante, szerszy miał pogląd. Na całą wzgardę, szyderstwa, policzki, przygnębiające za jego czasów papiestwo, patrzy on jako na dalszy ciąg męki Zbawiciela. „Widzę, woła, Chrystusa więźniem w osobie jego Namiestnika; widzę Go ponownie wydanego na pośmiewisko; widzę Go znów napawanego octem i żółcią; widzę Go umierającego pomiędzy dwoma łotrami. Widzę nowego Piłata, tak okrutnego, że to go nie nasyca"[2]). Oto, czem są cierpienia papiestwa, widziane z wysoka; są one przedłużeniem męki Zbawiciela. Dlatego to papież nazywa się błogosławiony; nie pomimo swoich udręczeń, ale jak to już mówiłem, właśnie z ich powodu, z powodu swoich upokorzeń, swoich dojmujących smutków, swoich niezmiernych bólów i doznawanych ciągle przemocy: A l e w e s e l c i e s i ę, u c z e s t n i k a m i b ę d ą c C h r y s t u s o w y c h u c i s k ó w.

Widzieliśmy w pierwszym tomie tej pracy, że tylko cierpienie jest wielkie i owocne; że tylko ono zdolne jest naprawiać i zbawiać. Ażeby zgładzić zło, oczyszczać dusze, podnosić w nich poziom dobra, cnoty, nie wystarcza genjusz, ani chwała. Nato potrzeba krwi: „Bez rozlania krwi nie bywa odpuszczenia"[3]). Oto dlaczego religja katolicka, pod tylu względami wyższa o całe niebo nad wszelkie inne religje, przewyższa je nadewszystko tem, że jest największym wylewem krwi boskiej, zadośćczyniącej i odkupującej. Przekreślcie cuda, proroctwa, dobrodziejstwa, miłosierdzie, odnowienie świata; zapomnijcie

[1]) I. Petr. IV, 13.
[2]) Dante, C z y ś c i e c, śpiew XX.
[3]) Hebr. IX, 22.

o wszystkiem, co uświęca Chrystjanizm i czyni zeń wiekuistą religję rodu ludzkiego. Pozostanie mu krzyż w pośrodku czasu i kuli ziemskiej, a na tym krzyżu Bóg-Człowiek, odkupujący ludzkość cierpieniem i śmiercią. Temu nie wyrówna nic i nigdy!

A ponieważ cud taki, chociaż bezmierny, nie mógł być przemijający, posłuchajcie, co uczynił Chrystus, ażeby go uwiecznić i upowszechnić.

Katolicy wiedzą po pierwsze, iż w Najświętszym Sakramencie Zbawiciel upowszechnił i uwiecznił nietylko rzeczywistą swoją obecność, ale i swoją ofiarę. Codzień na ołtarzach ciało jest oddzielone od krwi; krew płynie wobec Boga; a nasi dawni malarze, przedstawiający krzyże otoczone cudnymi aniołami, zbierającymi boską krew z rąk, nóg i serca, malowali je również wokoło ołtarza, zbierających zeń krew ofiarną: by ją wylewać następnie na ubogich, nieszczęśliwych, grzeszników i na płomienie czyśćcowe. Świętej pamięci Olier w istniejącym do dziś jeszcze obrazie, odtworzył ten piękny pomysł z całą ścisłością teologiczną. Bo nie zapominajmy, że jeśli świat jeszcze istnieje, jeśli jeszcze nie stał się pastwą swoich namiętności, to dlatego, że w każdem niemal mieście, w każdej bodaj najuboższej wiosce jest kościół, jest kielich ofiarny, jest krew boska wylewana z miłości, a ważąca na szali sprawiedliwości Bożej tysiąckroć więcej, aniżeli potoki krwi grzeszników. Golgota jest wszędzie i skończy się z grzechem dopiero.

I to jest pierwszy sposób, w jaki Zbawiciel uwiecznił i upowszechnił swoją ofiarę. Ale jest jeszcze i drugi. Pismo święte uczy nas, że Wielki budowniczy, stwarzając Kościół, uczynił to w ten sposób, iżby w nim się mogło dopełnić to, czego brakuje męce Chrystusowej[1]); to jest iżby do boskich Jego cierpień, dodawał on tę cząstkę

---

[1]) Colos. I, 24. I wypełniam to, czego niedostawa utrapieniom Chrystusowym, w ciele mojem za ciało Jego, które jest Kościół.

cierpień czysto ludzkich, których potrzeba dla ostatecznego zadosyćuczynienia za winy. Ukrzyżował tedy Zbawiciel Kościół swój z sobą i obok siebie. Uczynił zeń królestwo dobrowolnego cierpienia. Jego dusze najpiękniejsze, im są piękniejszemi, tem bardziej tchną tylko jednem pragnieniem: „Cierpieć, albo umrzeć! cierpieć zawsze, a nie umierać nigdy!" Urząd kapłański, przewodniczenie wiernym, wymaga jako koniecznego warunku, publicznego wyrzeczenia się najbardziej uprawnionych radości serca ludzkiego. Święte śluby zakonne, składane codziennie przez tysiące dusz, są jakgdyby trzema świętemi gwoździmi, przebijającemi wszystkich zakonników, wszystkie dziewice do krzyża Chrystusowego. A i wszyscy wierni, chociaż nie są powołani do współcierpienia w męce, w stopniu tak wysokim, nie są odeń całkowicie wolni. W ten albo inny sposób muszą nosić na sobie stygmata ran Zbawiciela. Wogóle w tem królestwie Kościoła, przedsionku królestwa wiecznego, każdy powinien wiedzieć, że nim rozpocznie się dlań nigdy nie kończące się szczęście niebiańskie, największem tu na ziemi szczęściem, największem błogosławieństwem jest błogosławieństwo łez, płynących z żalu za grzechy albo z miłości; błogosławieństwo cichości i łagodności, która znosi i cierpi; błogosławieństwo czystości, która odrywa się od rzeczy stworzonych; błogosławieństwo prześladowania, które krzyżuje, a nadewszystko błogosławieństwo miłości, oddającej się na ofiarę. Takim jest Kościół; jest on drugą Golgotą: męką człowieka jako szczytne echo Męki Boga!

Na tej Golgocie, w tem błogosławionem królestwie ofiary, papież ma naturalnie udział królewski. Jest on głową ukoronowaną cierniem. Jak podczas Męki wszystkie zniewagi były skierowane ku świętej Głowie Zbawiciela, tak samo teraz skierowane są ku papieżowi. Nic mu nie jest oszczędzone, ani policzki, ani plwanie. W każdem stuleciu wychyla on do dna kielich męki. Jest on w Kościele jakby wiekuistym Ecce Homo.

Ludzie świeccy dziwią się, że Bóg zezwala na takie postępowanie ze swoim zastępcą; ale ten, kto zna tajemnicę krzyża, nie dziwi się, lecz podziwia. Rozumie on, dlaczego papież nazywa się Błogosławionym i dlaczego wszystkie wieki z pewnym rodzajem czci, współczucia pełnej, korzyły się u stóp jego.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

**Jeszcze jeden i to wyższy warunek, któremu papież musi czynić zadosyć, ażeby mógł być Głową Kościoła.**

Przypatrzmy się w dalszym ciągu, jak boski Mistrz pracuje nad utworzeniem Głowy swojego Kościoła.

Po owem pierwszem spojrzeniu Chrystusa na Piotra, w którem jaśnieją radość i triumf: Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój; po drugiem spojrzeniu tchnącem boskiem współczuciem: Symonie, Symonie, oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę, alem ja prosił za tobą; oto spojrzenie trzecie jeszcze piękniejsze od tamtych obu, które uczy nas ostatecznie, jak powinniśmy zapatrywać się na papieża.

Było to już po Zmartwychwstaniu, w chwili ostatecznego zlecenia Piotrowi rządów Kościoła. Zbawiciel pyta go: Symonie Janów, miłujesz mię? Jakgdyby mu mówił: O człowiecze, jakże wielki ciężar spada na twoje barki! Jaka odpowiedzialność cię obciąży! Kochajże mnie, ażebyś nie upadł pod ciężarem. „Symonie Janów, miłujesz mię więcej niźli ci"[1])?

Za chwilę spogląda nań znowu ze współczuciem i pyta powtórnie: Symonie Janów, miłujesz mię? Jakgdyby mówił: O człowieku, jakie cierpienia cię czekają, jakie męki, jakie udręczenia duszy! Kochajże mnie, ażebyś we mnie znajdował pociechę i umocnienie! Symonie Janów, miłujesz mię?

---

[1]) Joan. XXI, 15—17.

Nie koniec na tem. Po raz trzeci spogląda nań Jezus, i z jeszcze większym smutkiem i głębszem współczuciem pyta: Symonie Janów, miłujesz mię? Jakgdyby mówił: O człowieku, na jak wielkie pokusy możesz być narażony na tej wysokości, na którą cię wynoszę! A gdybyś upadł, jakże strasznym byłby twój upadek! Kochajże mnie całą siłą twojej duszy, ażeby postępki twoje były na wysokości twego posłannictwa. A ponieważ masz być wyniesiony ponad wszystkich w Kościele, kochajże mnie więcej, aniżeli wszyscy inni, ażebyś nad wszystkich był święty. Symonie Janów, miłujesz mnie więcej, niźli ci?

Oto jakiem jest ostatnie wejrzenie Chrystusa na Piotra. Jest ono bardzo tkliwe i bardzo smutne. Czuć w niem, że pod tym ogromem wielkości jest człowiek słaby, ułomny, jest grzesznik, który może być kuszony, dręczony, który może się ugiąć pod brzemieniem. Wzrusza to Zbawiciela. I nas wzruszać powinno. W tej słabości papieża jest coś wzruszającego, czcigodnego. Łzy jego są święte; biada tym, którzy je wyciskają. O jękach jego można powiedzieć to, co Pismo św. mówi o jękach matki. Słyszy się je z przerażeniem; nie zapomina się o nich nigdy. Błędy papieża! Zapewne, popełnia je, musi popełniać, ponieważ jest człowiekiem. Wszak popełniamy je my, przy całej pospolitości naszego życia; jakżeby mógł ich się ustrzec on, przy szczytności swojego? Ale błędów tych nie powinniśmy widzieć. Kiedy Noe, drugi ojciec rodzaju ludzkiego, był w tem tajemniczem upojeniu, o którem mówi Biblja, jeden z jego synów widział to i wyśmiał. Ale Bóg przeklął Chama, a wszystkie narody i wszystkie sumienia będą go przeklinały zawsze. Pobłogosławił zaś Bóg i z nim cała ludzkość, dwóch synów, którzy podeszli z uszanowaniem i zarzucili płaszcz na uśpionego ojca; bo tak w rodzinie, jak w społeczeństwie i Kościele ojcostwo jest święte, a największą i kary najgodniejszą zbrodnią jest zbrodnia dziecka, które ośmiela się widzieć błędy ojca swojego i z nich szydzić.

Wrogowie Kościoła myślą, że mu bardzo szkodzą, wskazując w najciemniejszych miejscach historji kilku papieży mniej godnych swojego szczytnego posłannictwa. Ślepi nie widzą, że to są ziemskie cienie, które Bóg dopuszcza, ażeby miarkować boski blask papiestwa. Z dwustu sześćdziesięciu papieży Kościół kanonizował osiemdziesięciu dwóch, czyli jedną trzecią całej liczby. Czterdziestu czterech nosiło habit zakonny; więcej niż pięćdziesięciu obrano w ich nieobecności, albo pomimo ich najgorętszego wypraszania się od straszliwego brzemienia. Że w tym jaśniejącym świętością szeregu dwustu sześćdziesięciu papieży, kilku w czasach najsmutniejszych okazuje się mniej godnymi swojego wysokiego urzędu, czegoż to dowodzi? Wolnej woli ludzkiej, której wszyscy inni użyli jedynie dla cnoty i świętości. Pomimo tych plam kilku cały szereg najwyższych pasterzy, uważany jako jedna osoba Piotra, mógł bez obawy zaprzeczenia powiedzieć po przebyciu osiemnastu stuleci: P a n i e, t y w s z y s t k o w i e s z, t y w i e s z, ż e c i ę m i ł u j ę[1]).

Nasze czasy były w tem szczęśliwszem od innych położeniu, że na stolicy Piotrowej widziały tylko ofiary we łzach. Pius VI zapoczątkowuje przebudzenie się wiary we Francji, ukazując przez okna powozu, w którym przybywał jako więzień, twarz nacechowaną dobrocią i smutkiem. Pius VII pozostawił wśród nas wspomnienie nieszczęścia, znoszonego z najwyższą godnością; a świat nieprędko zapomni pogody jaką jaśniał Pius IX wśród burzy.

I nietylko, że męczennikami, ale świętymi byli ci wszyscy papieże, których pamiętamy. Kiedy Pius VII wstępował na stopnie ołtarza, lud paryski tłoczył się, by go widzieć, i mówił z uwielbieniem: „Jak dobrze ten papież Mszę odprawia"! A ledwie zamknął oczy Pius IX, już świat zdaje się oczekiwać niecierpliwie na jego kano-

[1]) Joan. XXI, 17.

nizację. Dzięki niech będą Bogu, że stuleciu naszemu ukazał papiestwo w tem świetle, w jakiem je mogło zrozumieć; z tym urokiem i niejako wykończeniem, jak pięknie mówi Bossuet, które nieszczęście nadaje cnocie. Oby zawsze tak było; oby, pomimo wszelkich strapień i ucisków, jakiemi Panu podoba się nawiedzać swój Kościół, oczy nasze zwracały się zawsze ku Rzymowi, a serca mogły zawsze czcić i miłować.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

**Papież jako ustawiczny czynnik powszechności Kościoła.**

Symonie Janów, miłujesz mię więcej, niźli ci? Zaiste, wszyscy apostołowie miłowali Chrystusa Pana. Śmierć dla Niego ponieśli. Przeżyli oni sami siebie w tych wielkich Kościołach apostolskich, którym przekazali umysł swój i serce, a które dokładały tyle starań, ażeby Chrystus był znany i kochany. Przypatrując się jednak bliżej żarliwej działalności tych Kościołów, widzimy tam brak powszechności i wiekuistości. Kościoły te upadły wszystkie; nie głoszą już imienia Chrystusowego. Nawet kiedy żyły, nigdy nie pomyślały o głoszeniu go całemu światu. Jeden tylko Piotr wraz ze swymi następcami otrzymał dar nawracania nieustający i powszechny na wszystkie wieki i na przestrzeń całego świata. Symonie Janów, miłujesz mię więcej niźli ci? Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję.

Przypatrzcie się temu świętemu następstwu pasterzy rzymskich. Zaledwie zostało ono zapoczątkowane przez Piotra, już promieniuje naokoło siebie miłość Tego, którego Piotr jest Namiestnikiem. Ogień ten tak szybko ogarnia wszystkie miasta włoskie, że historja nie może podążyć za jego postępem. W jednej niemal chwili całe Włochy otrzymują biskupów mianowanych przez Piotra i namaszczonych przezeń na wodzów i Ojców ludów, które zdołają pozyskać Chrystusowi.

Alpy nie uchroniły Galji od szerzenia się w niej tego ognia. Już Piotr święty i trzeci jego następca, św. Kle-

mens, wysłali św. Trofimjusza do Arles, św. Marcjala do Limoges, św. Dionizego do Paryża; a św. Ireneusz i towarzysze jego, przybyli z Grecji z serca św. Jana, nie omieszkali przejść przez Rzym, aby otrzymać tam błogosławieństwo, które czyni owocnem wszelkie apostolstwo. „Jakiż Kościół, pyta Bossuet, zrodził tyle innych Kościołów? Z niego wyszedł najpierw cały Zachód, a my w nim pierwsi. Tyś to Panie natchnął Piotra i jego pierwszych następców, ażeby przysłali nam biskupów, którzy pozakładali nasze Kościoły"[1]). Inocenty zaś I mówi: „Oczywista jest, że w Italji, Galji, Hiszpanji, w Afryce, w Sycylji i na wyspach im przyległych nikt inny nie założył Kościołów, jak tylko ci, których Piotr i jego następcy podnieśli do godności kapłanów"[2]).

Po Galji przyszła Wielka Brytanja, i ta wyspa świętych to także bezpośrednia zdobycz Piotrowa. Nawrócenie jej datuje się od dnia, w którym sławny i święty papież Grzegorz Wielki ujrzał na forum rzymskiem młodych niewolników i został uderzony ich pięknością. Spytał, kim byli. Odpowiedziano mu, że są to Anglowie. Raczej aniołowie, woła. Od tej chwili wielkie to serce marzy tylko o tem, ażeby to tak piękne plemię pozyskać Chrystusowi. Kreśli plany, wybiera misjonarzy, stawia na ich czele św. Augustyna, człowieka o umyśle tak gorącym, a tak zrównoważonym, o sercu apostolskiem w duszy Rzymianina — i wkrótce Anglja zostaje nawrócona. Za nią idzie Szkocja, Irlandja zaś poprzedza w tem obie. I oto jest na morzu boski trójnóg, z którego ulatuje ku niebu wonne kadzidło wiary i miłości.

To samo ma miejsce przy nawróceniu się Niemiec. Żaden z wielkich Apostołów Północy nie rozpoczyna swej misji bez błogosławieństwa Piotrowego, a prawie zawsze sami udają się po nie do Rzymu. Św. Wilfryd odwiedza Rzym dwa razy i z błogosławieństwem, opieką

---

[1]) Discours sur l'unité de l'Eglise, II-e partie.
[2]) Innoc. I, Epist. ad Decent.

i poparciem papieża głosi słowo Boże we Fryzji i u Anglosaksów południowych; św. Wilbrod po dokonaniu już niejednej pracy apostolskiej, udaje się do Rzymu i zostaje tam przez Papieża Sergjusza w bazylice św. Cecylji mianowany biskupem Fryzji; św. Bonifacy, wielki misjonarz Niemiec, zostaje mianowany przez Papieża w kościele świętego Piotra i, złożywszy przy grobie Księcia Apostołów przysięgę wierności, wraca z błogosławieństwem Ojca świętego w lasy Niemiec, ażeby dokonać wielkiego dzieła nawrócenia tego kraju. Byli również u grobu św. Piotra po sankcję swojej działalności i błogosławieństwo: św. Korbinian jeden z pierwszych, którzy Germanji głosili słowo Boże; św. Amant, który kazał na brzegach Skaldy i Dunaju; św. Kilian, który ewangelizował Frankonję; Paweł Formozjusz, Donat, Leon, Marynus, wysłani do Bułgarji przez papieża Mikołaja I; Egidjusz, którego Jan XIII skierował do Polski; i Wilbald wysłany na apostołowanie Wandalów.

To samo da się powiedzieć o św. Ansgarym, którego papież Grzegorz IV ustanowił swoim legatem dla szerzenia Chrystjanizmu pomiędzy Szwedami, Duńczykami, Islandczykami i wszystkiemi narodami Północy, grożąc klątwą każdemu, ktoby próbował stawić mu przeszkody; o św. Cyrylu, założycielu Kościoła słowiańskiego, który przybył do Rzymu, by spocząć i życia dokonać; o św. Wojciechu, który dotarł aż do Prus, gdzie został umęczony za wiarę i gdzie ze krwi jego powstały zastępy uczniów, którzy dokonali jego dzieła.

Tak więc z Piotrowego to natchnienia zostały kolejno nawrócone: Włochy, Galja, Hiszpanja, Wielka Brytanja, Szwecja, Holandja, Niemcy, Prusy, Polska i olbrzymie przestrzenie północne. Wszędzie Piotr szerzył imię Mistrza swego. Wiele potrzeba było na to czasu; wiele krwi. Iluż to misjonarzy pomarło w drodze! Ilu ustałoby wśród drogi bezsilnych i zniechęconych, gdyby Stolica Apostolska nie czuwała nad nimi bezustanku, jak wódz w czasie potyczki nad swojem wojskiem; gdyby ich nie

podniecała, nie kierowała, nie błogosławiła, nie uświęcała; gdyby na miejsce misjonarzy osłabionych przez wiek i nędze wszelakie, nie posyłała sił świeżych, aż póki nie ustanowiła w Europie jedności ze wszystkich najtrwalszej, jedności w poznaniu i miłowaniu Jezusa Chrystusa. Symonie Janów, miłujesz mię? Tak, Panie, mógłby odpowiedzieć cały Zachód, my jesteśmy dowodem, że miłuje on ciebie więcej, niż inni.

To samo może powiedzieć i Wschód. Któż płakał łzami bardziej gorzkiemi nad jego upadkiem? Kto usilniej i niezmordowaniej starał się o wyrwanie go z herezji, o powrócenie go Chrystusowi? Z wysokości Rzymu, tego obserwatorjum stojącego w środkowym punkcie świata, z wyżyn tego arcybiskupiego pałacu, gdzie brzmiało tak radośnie pierwsze, a tak smutnie ostatnie hasło do wojen krzyżowych, papieże nie przestawali podbudzać Europę do tego zbrojnego ruchu, który byłby zbawieniem dla Wschodu. Przypisywano im najrozmaitsze pobudki. Czytajcie ich listy, przemówienia na soborach, proklamacje. Cel ich jest jeden, a jest nim nietylko odebrać grób Chrystusa z rąk niegodnych, co już byłoby wypełnieniem słów Piotrowych: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję; kierują nimi pobudki jeszcze wyższe. Chcą oni uratować dusze od herezji i niewiary, oddać je Chrystusowi i pozyskać Mu ich jeszcze więcej. Oprócz więc zastępów rycerzy, idących na zdobycie grobu Zbawiciela, widzimy wyprzedzające je liczniejsze może jeszcze zastępy misjonarzy, dążących w milczeniu ku olbrzymim przestworom Azji. Kto je posyła? Piotr. A poco? Dla pozyskania dusz Chrystusowi.

„Utrzymywano, mówi de Maistre[1]), że krucjaty nie udały się; prawda. Ani jedna się nie udała. A jednak wszystkie się udały". Rozbudziły wyobraźnię ludzką. Otworzyły przed nią nowe przestwory. Dały jej tajemnicze przeczucia. Nie, ziemia nie może się tu kończyć. Trzeba ją okrążyć. A kiedy to się stało, kiedy Krysztof

[1]) De Maistre, Du Pape, p. 9.

Kolumb odkrył już Amerykę, a świat o tem odkryciu głośno się cieszył, wyobraźnię zaś rozpłomieniła myśl o bogactwach odkrytych w nowym świecie: w sferze wyższej, spokojnej a świętej papieże myśleli tylko o duszach. Na głos ich tłumy misjonarzy i apostołów pośpieszyły śladem Zbawiciela i jego towarzyszy. Zrosili oni dziewicze te krainy najczystszą krwią swoją; chronili nieszczęśliwych ich mieszkańców przed pychą i chciwością Hiszpanów; i jeżeli nie zdołali usunąć wszystkich nadużyć, przynajmniej podtrzymywani i błogosławieni przez Stolicę Apostolską, założyli tam królestwo Chrystusowe. Nie możemy tu wchodzić we wszystkie szczegóły, przytaczać wszystkich dokumentów, ale są one niezliczone i podziwu godne. Stanowią przedziwny komentarz do słów św. Piotra: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję.

Tymczasem papieże odczuwali już oddawna potrzebę uorganizowania misji, ażeby nie były zależne od wzniosłych, ale przemijających porywów gorliwości jednostek, jakoteż zdwojenia ich siły przez skupienie ich pod jednem kierownictwem. W tym celu Grzegorz XV ustanowił w r. 1622 kongregację Propagandy (De propaganda fide), a następca jego, Urban VIII założył w r. 1627 kollegjum tegoż nazwania, gdzie miano wychowywać młodzieńców pochodzących ze wszystkich stron świata i mających tam powrócić, mówiących różnemi językami, ale wyznających jednego Boga, mających jedną wiarę, jeden chrzest, jedno serce; symbol powszechności Kościoła w jego boskiej jedności. Kiedy się kocha, pragnęłoby się napełnić świat cały chwałą tego, kogo się miłuje. I to właśnie stanowi treść życia papieży przez dziewiętnaście stuleci. Symonie Janów, miłujesz mię więcej, niźli ci? Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

### Papież jako podnieta i regulator świętości Kościoła.

Ale to jeszcze nic; oto coś większego, coś bardziej podziwu godnego. Jak już powiedziałem, w miłości, tak dla Boga jak i dla ludzi, są różne stopnie. Są stopnie elementarne i stopnie szczytne. Rozszerzać na całej powierzchni kuli ziemskiej znajomość wielkiego i dobrego Boga, który ją stworzył; walczyć przeciw błędowi, bałwochwalstwu i zabobonowi, uwłaczającym czci Jego; pracować nad tem, ażeby ludzie znali Go i kochali, a z Nim razem kochali cnotę, sprawiedliwość; nie dać się niczem powstrzymać, ani zniechęcić, — i to przez ciąg dziewiętnastu wieków: wielkie to zaiste posłannictwo, i któryż człowiek uczciwy i bezstronny nie uchyli głowy przed tym zastępem Pasterzy, którzy poświęcali się temu posłannictwu przez całe wieki? Są to wszakże zaledwie pierwsze stopnie miłości Bożej. Któż wypowie wszystko, co papieże czynili, ażeby ją wznieść na stopnie najszczytniejsze? Kto przedstawi wszystkie ich usiłowania, by rozpalać i podsycać płomień ofiary, zaparcia się siebie, dziewictwa, poświęcenia życia całego, dla ulżenia wszelkiej nędzy ciała i duszy? Niema ani jednego zakonu, od poświęconych wykupywaniu niewolników, pielęgnowaniu zadżumionych, wspomaganiu i leczeniu ubogich chorych, aż do oddających się najsurowszemu życiu kontemplacyjnemu, któryby nie miał za podstawę bulli papieskiej, będącej mu zarazem podnietą i regulatorem. Ktoby zebrał w jedno wszystkie listy papieży, pisane w celu ośmielenia miłości w najszczytniejszych objawach, miałby

najwspanialsze potwierdzenie tych słów Piotra: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię miłuję.

Mimo to w postępowaniu papieży uderza mnie i zachwyca najbardziej nie owo zachęcanie i pobudzanie czystych, mężnych, kochających Chrystusa miłością najszczytniejszą, chociaż i to wysoce piękne i podziwu godne; — ale ich roztropność i przezorność. W każdem wielkiem uczuciu jest nieco szału. Miłość unosi człowieka; odrywa go od rzeczywistości; i to jest przyczyną, że każda miłość, chociażby najpiękniejsza, przedstawia pewne niebezpieczeństwo. Można wzlecieć pod niebiosa, ale można też, niestety, opisać w tym wzlocie parabolę, wydającą się i będącą w istocie z początku dążeniem w górę, ale która zakreśli niebawem krzywą linię zwrotną i sprowadzi na ziemię. Ileż złudzeń w kwestjach tak delikatnych! Jak mała przestrzeń oddziela czasem wniebowzięcia prawdziwe od wniebowzięcia pozornego, kończącego się upadkiem w błoto! Otóż w tych właśnie kwestjach postępowanie Stolicy Apostolskiej zasługuje może najbardziej na uwielbienie. Czy pochwaliła ona kiedykolwiek choćby jeden wzlot duszy złudny? Czy tamowała kiedykolwiek wzlot istotny? Jest ona przezorną, bada ostrożnie; nie myli się nigdy. Kiedy bojaźliwi teologowie chcą stawić przeszkody wzlotowi św. Teresy, Stolica Apostolska wdaje się i rozwiązuje jej skrzydła. Kiedy cichy i święty arcybiskup Cambrai daje się porwać urokowi pięknych, ale fałszywych teorji czystej miłości, Stolica Apostolska spostrzega niebezpieczeństwo i wskazuje mu takowe.

Kiedy świętobliwy ojciec Muard przedstawił w Rzymie regułę strasznej surowości, Ojciec św. Pius IX zapytał go z uśmiechem: „A cóż wobec tego wszystkiego myślisz zrobić ze zwierzątkiem"? I pasterz święty własną ręką wykreślił ostrości nadmierne. I takie jest zawsze postępowanie Stolicy Apostolskiej. Rządzi się ona dwoma zasadami: nadludzką gorliwością w zachęcaniu

odważnych miłośników i niewysłowioną przezornością w kierowaniu nimi i w powstrzymywaniu ich.

Piękniejszem nad to, według mego zdania, jest chyba tylko owo boskie jasnowidzenie, będące co prawda w związku z nieomylnością przywiązaną do urzędu papieskiego, z jakiem Stolica Apostolska wyróżnia z pomiędzy tych wszystkich wzniosłych miłośników, tych, których miłość była zupełna, bez żadnych skaz i nadużyć, i którzy przez tę doskonałość miłości zasługują, ażeby im dać miejsce na ołtarzach. Z jakąż ostrożnością rozstrząsa ona ich życie! Jak skrupulatnie oddziela cuda, w których jawnie i bezspornie widnieje ręka Boża, od cudów wątpliwych! Z jaką pewnością odróżnia prawdziwych aniołów światłości, od przybierających ich pozory! Powiedział ktoś, że dostatecznym dowodem boskości Kościoła jest Katechizm; jest nim także i Martyrologium. Posiada je jeden tylko Kościół katolicki, a w całej tej księdze tak napozór niemożliwej i w materji tak delikatnej ani jeden wiersz nie uległ dotąd sprostowaniu lub wykreśleniu.

Czy widział kiedy świat dynastję królów, którejby jednym celem było szerzenie znajomości i miłości Boga? Większość panujących myśli tylko o sobie, o swej dynastji; najlepsi myślą o swym kraju. Któryż myśli o ludzkości? A szczególniej któryż z nich sięga ponad jej doczesny interes? Szczytem zabiegów nawet największych jest szerzenie tego, co się nazywa cywilizacją. Ale któż myśli o duszach? Kto myśli o Bogu? Kto myśli o wieczności? Kto myśli o podniesieniu tego biednego plemienia ludzkiego, tak poniżonego, tak lgnącego do ziemi; o skierowaniu ku niebu jego pragnień i dążności? Nikt, tylko jedna Stolica Apostolska. Oto pracuje ona nad tem już dziewiętnaście stuleci. Możecie robić tu wszelkie zastrzeżenia. Możecie wymienić papieży, którzy myśleli o czem innem. Nawet myśląc o czem innem, myśleli o tem; a znaczna ich większość myślała tylko

o tem. I już za to jedno ludzkość, gdyby nie była tak zaślepioną, czciłaby na kolanach tę jedyną na świecie dynastję, która od dziewiętnastu wieków jeden ma tylko przedmiot pieczołowitości: dusze, i jeden cel: nauczanie, oczyszczanie, uszlachetnianie i nadprzyrodzone przeobrażanie ludzkości. Symonie Janów, miłujesz mię więcej, niźli ci? Tak, Panie, Ty wszystko wiesz; Ty wiesz, że Cię miłuję.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

### O naszych obowiązkach względem papieża, jako Głowy Kościoła.

Tak więc „Kościół i papież to jedno". I nietylko, że Kościół wspiera się na papieżu, jako na niewzruszonym fundamencie, ale papież stwarza go przez ciągłe wlewanie weń życia. On to uczynił Kościół jedynym, świętym, katolickim, apostolskim; on mu nadaje te wielkie cechy wyłączne i niepodzielne. On jest pierwiastkiem jego jedności, dźwignią jego powszechności. On jest nigdy nieustającem źródłem jego świętości, on — zawsze żywym pniem, rodzącym kwiaty i owoce jego apostolstwa. Atlas podpierał świat i upadał pod jego ciężarem; papież podpiera Kościół i nie ugina się pod tem brzemieniem. Wszystko wspiera się na tej słabości; wszystko z niej wypływa i przez nią żyje; tak że gdyby, co jest niemożliwem, Kościół zginął, papież sam przez się jedynie mocą nadanego mu ojcowstwa wskrzesiłby go bez odwoływania się do pomocy Bożej.

Z tego widzimy, że uczuciem, jakie budzić w nas winna dostojna osoba papieża, jest synowskie przywiązanie w połączeniu z pogodną ufnością. Jest on niezwyciężony, niespożyty. Ma obietnice. Ziemia może chwiać się w posadach; on jest niezachwiany. O Piotrze, o papieżu, do kogożbyśmy poszli? Słowa żywota wiecznego masz.

A nietylko papież jest niezłomny, ale jest nim o n j e d e n tylko w Kościele. Wszystko może upaść oprócz niego jednego. Może on sobie nie być ani najgłębszy

w teologji, ani najuczeńszy w piśmie, ani najmocniejszy w prawie kanonicznem; może nie być znakomitością w filozofji czy też w naukach ścisłych, — ale jest tym, któremu Chrystus powiedział: Tyś jest opoka. Może ustępować Tertuljanowi w potędze stylu oratorskiego; może nie dorównywać Orygenesowi ani św. Augustynowi w bystrości, lub Bossuetowi w wymowie; ale Tertuljan upadnie, prawowierność Orygenesa stanie się podejrzaną, Augustyn będzie musiał napisać swoje odwołania, Bossuet podpisze cztery artykuły, które w następstwie okażą się sprzeczne z orzeczeniem powszechnego Soboru: jeden tylko Papież pozostanie nieskażony żadnym błędem. Fale nowego potopu, smutniejszego niźli pierwszy, mogą zatopić wszystkie wyżyny; nie dosięgną nigdy Watykanu, skąd papież będzie zawsze nad niemi górować. To też do niego i tylko do niego powinniśmy się przywiązać całą głębią naszej istoty, tak silnie, tak bezwzględnie, ażeby żadne wydarzenia, żadne klęski, żadne przewroty nie mogły nas z nim nigdy rozłączyć. Panie, do kogóż pójdziemy? Słowa żywota wiecznego masz[1]).

Prawda, że Stolica Apostolska przechodzi niekiedy przez straszne próby; jest miotana straszliwemi burzami; ale nie znaczy to nic; wszystkie te burze były zawczasu przewidziane, przepowiedziane, zarządzone, tak iżby nietylko nie obaliły Stolicy Apostolskiej, ale dodały jej blasku. Cóż może zaszkodzić największa wściekłość fal tej skale, którą Bóg umieścił wpośrodku morza? Piękną jest ona w swej granitowej niewzruszoności, nawet czasu pogodnego, kiedy się fale kładą łagodnie u jej stóp; ale o ileż piękniejsza, o ile silniejsza, a przynajmniej o ile ta jej niewzruszoność lepiej się uwydatnia, kiedy się morze burzy, pieni, usiłując bezskutecznie nią zachwiać. Nietylko tedy, że próby, jakie przechodzi papiestwo, nie są w stanie zachwiać ufności duszy wspierającej się na

[1]) Joann. VI, 69.

obietnicach Chrystusowych, ale przeciwnie mogą nawet wzmocnić jej wiarę i przywiązanie. Widząc, jak Papież jest ogołocony ze wszelkiej ludzkiej pomocy, jak jest opuszczony, zdradzony przez tych, którzy powinniby go bronić; wiedząc, że wyczerpał już wszystkie środki obrony i na nic już nie może rachować, — dusza taka nie mogąc się już niczego spodziewać od stworzeń, zwraca tembardziej serce ku Bogu, wierzy tem mocniej w obietnice Chrystusowe; a czyniąc wysiłek nadprzyodzony, by się zdobyć na wiarę niezłomną, tem silniej się wspiera na słowie Bożem, im bardziej zawodzi ją wszystko na ziemi. Oto jest prawdziwe przywiązanie do papieża, przywiązanie boskie, nadprzyrodzone, na które się zdobywając, serce ludzkie bólem swoim oddaje cześć Panu.

Nie spodziewajmy się wszelako dojść kiedykolwiek do tej stałości, wierności, siły, wesela w cierpieniu, — do tego nadprzyrodzonego podniesienia ducha; jeżeli nasze przywiązanie do papieża nie jest przeniknięte miłością, jak mówi św. Franciszek Sależy. Miłość tylko może wznieść się tak wysoko, i to tylko w niektórych duszach wybranych. Nie trudno jest miłować w szczęściu i nierzadko się to spotyka. Ale pięknem, trudnem, boskiem prawdziwie jest kochać w cierpieniu; pozostać wiernym temu, co się ukochało, w opuszczeniu, w pogardzie. Serce nasze czuje to tak dalece, tak dobrze widzi, że miłość prawdziwa najlepiej się objawia w cierpieniu, że instynktownie szuka ku temu sposobności. Mówimy do osoby ukochanej: „Nie życzę ci nieszczęścia; Bóg widzi, że dałbym życie, by ci go oszczędzić; ale gdyby cię dotknęło, zobaczyłbyś!“ Jakgdybyśmy mówili: „Dotychczas kochałem cię w szczęściu jedynie; nie znasz mnie jeszcze dobrze; w cierpieniu dopiero poznasz mnie i całą moją miłość!“

Prawda, że jeden z pogańskich poetów mówi przeciwnie. Utrzymuje, że cierpienie nie przyciąga przyjaciół, ale ich rozprasza.

Donec eris felix multos numerabis amicos;
Tempora si fuerint nubila, solus eris.

Ale ja go potępiam za te słowa. Cierpienie odstrasza przyjaźń pospolitą; wszystkie inne nowym opromienia blaskiem. Tłum cofa się, ale pozostają wybrani. Patrzcie, ilu przyjaciół ma Chrystus, wjeżdżając triumfalnie do Jerozolimy! A ilu mu ich pozostało w trzy dni później, kiedy wstępuje na Golgotę? Trzech, czy czterech zaledwie, to prawda; ale w tych kilku jest więcej miłości, aniżeli w najliczniejszych rzeszach. Tak się dzieje i z Kościołem. Iluż ma on przyjaciół we czci i powodzeniu! Ale niech nadejdzie niepowodzenie, niech rozszaleje burza, niech wybuchnie prześladowanie, — jakże ich wtedy mało! Mało bardzo, ale są to dusze wybrane. Wtedy męczennik schodzi do katakumb i gotuje się na przypieczętowanie krwią swojej wiary. Wtedy biskup siada na swej stolicy, mówiąc: Tu położę głowę. Wtedy młodzieniec opuszcza dom, rodzinę — chwyta za broń i woła: Dopóki ja żyję, nikt cię nie tknie! Wtedy biedna robotnica pracuje w dzień i w nocy, myśląc: Jestem bardzo biedna, ale i mój grosz znajdzie się w świętopietrzu.

A wśród tych poświęceń ileż najgorętszych wyrażeń wiary i miłości! Właśnie podczas takiej burzy, woła Bossuet: „Gdybym kiedykolwiek o tobie zapomniał, o święty Kościele rzymski, niech sam o sobie zapomnę! Niechaj mój język przyschnie do podniebienia mego, jeśli kiedy nie będziesz pierwszym w mej pamięci!". A Fenelon, spiorunowany tylko co gromami Kościoła i przez to większy: „O, Kościele rzymski, matko i mistrzyni Kościołów wszystkich ciebie będę zawsze opiewał, ciebie czcił i wysławiał". A Lacordaire: „O Rzymie, widziałem cię wśród nawałnicy, alem cię przeto nie zapoznał. Poniżony, upokorzony, ukazałeś się oczom moim piękniejszy, niż w dniach panowania. Burza, wobec której zachowałeś zupełny spokój, bo cię owiewał swem tchnie-

niem Duch Boży, budziła cześć pełną współczucia w sercu prostego wyznawcy, mniej przyzwyczajonego do wiekowych zmian i przewrotów".

Oto, co sprawiają w duszach wielkich cierpienia Kościoła i Stolicy Apostolskiej. Nie osłabiają wiary, a umacniają i podnoszą miłość.

# Część trzecia.

## Mieszkanie papieża.

### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

**Jak pobożność katolicka dała Rzym papieżowi.**

I tak, czy będziemy uważali papieża jako Chrystusowego Zastępcę, czy widzieć w nim będziemy Głowę Kościoła: jest on zawsze przedmiotem wiary, synowskiej czci i miłości, których każdy wiek nowe przynosi dowody. Gdybyśmy je chcieli wyliczać wszystkie, nigdybyśmy nie skończyli. Przytoczymy tu jeden tylko wyjątkowo doniosły, który teraz szczególniej powinien być przedmiotem uwagi wszystkich chrześcijan. Jest nim ta pobożność katolicka, która dała papieżowi Rzym, urządziła go, jakgdyby umeblowała z religijnem staraniem, ażeby stał się godny służyć za mieszkanie Chrystusowemu Namiestnikowi.

Zdawałoby się, że Piotr winien był osiedlić się w Jerozolimie, iżby Namiestnik Chrystusa nauczał świat z tego samego wzgórza, na którem umarł Mistrz jego. Jest w tem tyle tkliwego uroku, że nie oparłby się mu człowiek pozostawiony sam sobie. Ale Mistrz widział to, co było zakrytem przed oczyma Piotra. Środek ciężkości świata miał być przyniesiony. Skończona była na długo wybitna rola, jaką Babilon, Aleksandrja, Antjochja i Jerozolima odegrały w ogólnym ruchu ludzkości. Światło przechodziło ze Wschodu na Zachód; a chociaż zaledwie

pierwszemi promieniami złociło ono Galję, Hiszpanję, Niemcy, Anglję — to przez dwa tysiące i więcej lat cały ruch ludzkich interesów miał się skupić w tej stronie. Cóżby robił papież w Jerozolimie? Byłby za daleko, zbyt trudny byłby dostęp do niego; nie mógłby działać skutecznie. To też zaledwie umarł Zbawiciel, niewidzialna siła uprowadza Piotra daleko od Jerozolimy, aż do Antjochji. Antjochja to ogromne miasto, stolica wschodniego świata, pełna Żydów, środowisko handlu wszystkich narodów. Piotr zakłada tam swoją stolicę; łatwiej mu będzie stamtąd oddziaływać na cały Wschód. Istotnie tak wielka jest liczba nowonawróconych i ich gorliwość, że tam powstaje nazwa Chrześcijan. Ale to tylko przystanek tymczasowy. Piotr jeszcze za daleko jest od centrum spraw ludzkich. Wkrótce ta sama niewidzialna siła wygania go z Antjochji, tak jak wygnała z Jerozolimy i powoli prowadzi do Rzymu. Teraz jest już we środku świata. Czy pozostanie tam? Nie. Wybucha prześladowanie i Piotr opuszcza Rzym. Zbawicel musi mu się ukazać i zawrócić go z drogi przemocą niejako, ażeby w tem mieście umarł i założył swoją nieśmiertelną stolicę. Ta niepewność, to wahanie się Piotrowe lepiej uwidaczniają zamiary Opatrzności.

Ta sama tajemnicza siła, która Piotra do Rzymu zawiodła, cesarzy zeń oddala. Są oni tam u siebie od wieków we środku świata. Pobudowali tam sobie pyszne pałace, nagromadzili w nich bogactwa wszystkich narodów. I oto oddalają się; przenoszą swoje trony do Medjolanu, do Pawji, do Rawenny, do Konstantynopola. Jakaż ręka odpycha ich tak od Rzymu? Ręka Boga, który przeznaczył Rzym na mieszkanie Chrystusowego Zastępcy; ale także i pobożność katolicka, cześć narodów dla papieża, jakieś uczucie delikatności chrześcijańskiej, które nie pozwalało im mieć papieża za poddanego, skoro byli jego synami.

Dodam tu jeszcze jedną uwagę. Z początku wszyscy biskupi, a szczególniej patrjarchowie nazywają się Ojca-

mi: Papa; słodkie to miano przepełnia roczniki kościelne pierwszych wieków. Jakaż to siła zmusza powoli biskupów do wyrzeczenia się tego tytułu? Niema tu ani wyroków, ani ustaw soborów; wszystko się dzieje dzięki pobożności, czci, dzięki owemu uczuciu chrześcijańskiej delikatności, o którem wyżej wspomniałem. Dochodzi powoli do tego, że nikt już nie używa tej nazwy, prócz jednego tylko papieża rzymskiego, czyli mówiąc właściwiej, prócz jednego papieża. Wszyscy również mają z początku miano Jego Świątobliwości, i wszyscy powoli zarzucają ten tytuł, zostawiając go temu, który godnością i ojcowstwem przewyższa wszystkich.

Jednocześnie z tem, jak najwięksi i najświętsi czynili te dobrowolne ustępstwa na rzecz papieża, miłość synowska i pobożność katolicka przejawiały się jeszcze w inny sposób. Pamiętacie tę piękną scenę, opisaną w Aktach Apostolskich. Piotr święty spotyka ubogiego, kładzie rękę na jego głowie i mówi mu: „Srebra i złota nie mam, lecz co mam, to tobie daję. W imię Jezusa Chrystusa Nazareńskiego, wstań, a chodź"[1]).

Na ten widok wierni i nowonawróceni mówią Piotrowi: Nie masz złota ani srebra, ale masz światło, masz łaskę, masz władzę; uzdrawiasz chorych i kaleki, będziesz wskrzeszał ludy. O ty ubogi, prawdziwy Namiestniku ubogiego Chrystusa, zanim powstaną narody chrześcijańskie i będą mogły mieć o tobie staranie, weź złoto i srebro nasze. „Przynosili i kładli przed nogi Apostolskie"[2]). To samo, co wierni Jerozolimy, czynili i chrześcijanie państwa rzymskiego. Przez ciąg trzech stuleci Piotr, jedynie z miłosierdzia wiernych miał odzież, mieszkanie i pożywienie. Dziś jeszcze wskazują nam w Rzymie domy, gdzie odważni chrześcijanie mieli sobie za szczęście i zaszczyt dzielić się stołem i mieszkaniem z ubogim Namiestnikiem ubogiego Zbawiciela.

---

[1]) Act. III, 6.
[2]) Ibid., IV, 34, 35.

Tymczasem ten ubogi spełniał swoje posłannictwo: szerzył światło, cnotę; przetwarzał dusze i rodziny; odradzał świat cały. I nadszedł dzień, w którym narody chrześcijańskie, powołane przezeń do życia, rzekły doń: „Ty jesteś naszym ojcem, myśmy twoje dzieci; otóż nie chcemy, ażebyś mieszkał na łasce". I jak dzieci, które pragnąc mieć wpośród siebie starego ojca, budują mu dom we środku swoich posiadłości, gdzie będzie mógł przemieszkiwać niezależny i czczony, — narody chrześcijańskie dały Namiestnikowi Chrystusowemu na mieszkanie miasto, a miastem tem był Rzym.

Co czyni ten dar jeszcze pękniejszym, to sposób, w jaki został ofiarowany, a mianowicie nie odrazu, ryczałtowo przez jeden naród lub jednego władcę. Rzym dawany był papieżowi stopniowo, po szczególe, przez wszystkich. Dzisiaj pole, jutro dom, pałac; pojutrze wieś w okolicach Rzymu, miasto; potem znowu kawał ziemi. Nie mamy wszystkich aktów nadania, ale w każdym razie przechowało się ich dużo, a każdy zaczyna się w taki mniej więcej sposób: „Chcąc uczcić błogosławionego apostoła Piotra, w osobie jego następcy i t. d.". W tym szeregu testamentów z wielką prostotą, a niemniejszą siłą, widnieje cała cześć ludów dla Namiestnika Chrystusowego.

Tymczasem zjawiają się barbarzyńcy, a z nimi rabunek miast, ucieczka ludności, bezskuteczne błaganie o pomoc cesarzów bezsilnych, a nazbyt oddalonych; i to, co w początku było tylko darem, wypływającym z religijnej czci i miłości synowskiej ludów, staje się wypływającem z konieczności oddaniem się w ręce tego, który sam jeden wpośród ogólnej ruiny może otoczyć opieką i ocalić.

Oto jak Rzym danym był papieżowi. Nic on zeń nie kupił, nic nie wziął gwałtem, o nic nie prosił. Wszystko otrzymał. Długo odmawiał, długo opierał się; wzywał na pomoc ginącej ludności cesarzów, egzarchów, wodzów rzymskich. Przez cały jeden wiek mianował się nieudol-

nym do dźwigania tak wielkiego ciężaru, nie posiadając ani wojska, ani urzędników. Ale nic nie pomogło. Wyniósł go na tron pobożny zapał jednych, trwoga drugich; katolicka pobożność wszystkich. Któraż władza na świecie może się czemś podobnem pochwalić?

A kiedy to już było faktem dokonanym, kiedy Rzym został w ten sposób dany papieżowi i Zastępca Chrystusa miał już siedzibę stosowną do swojej wysokiej godności, jeden z narodów chrześcijańskich młody, świeżo ochrzczony położył rękę na rękojeści miecza i powiedział: „Dopóki ja żyję, nikt się go nie tknie!"

Narodem tym była Francja, starsza córa Kościoła!

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### Rzym.

Już u pierwszych Ojców Kościoła znajdujemy tę myśl, że Bóg stworzył Rzym dla Kościoła; że od głównych swych zarysów do najmniejszych szczegółów, od purpury swych konsulów i swych Cezarów do pięknych swych wzgórzy i horyzontów był on przeznaczony od wieków na tron, na którym miał zasiąść Namiestnik Chrystusowy.

Przeznaczone na punkt środkowy powszechnego Kościoła, Włochy zostały umieszczone w geograficznym centrze świata, w równej odległości od Wschodu i Zachodu, w styczności ze wszystkiemi wybrzeżami. Nie są wyspą, jak np. Malta, coby utrudniało przystęp do nich. Dla tej samej przyczyny nie są jak Berlin, położone w głębi lądu. Bóg nadał im dogodny kształt półwyspu i umieścił pomiędzy dwoma morzami, z których jedno, Śródziemne, oblewa brzegi Francji, Hiszpanji, Afryki i Egiptu, — drugie, Adrjatyckie, przez cieśninę Dardanelską i morze Czarne styka się z całym Wschodem. Leżąc tym sposobem między dwoma morzami, piękna Italja wspiera się głową o wysokie góry, które ją łączą z Francją, Szwajcarją, Austrją, przez nie zaś z całym lądem Europejskim; piękne zaś stopy swoje wyciąga w stronę Afryki i Egiptu. Bok jej lewy kąpie się we wschodzącem słońcu, otwierając liczne, a urocze zatoki, od Wenecji do Brindisi okrętom przybywającym ze Wschodu. A kiedy słońce, przebiegłszy bezmiar nieboskłonu, rzuca ostatnie swe promienie na drugi jej bok, złoci ono swemi blaski wspaniałe zatoki Genui, Livorno, Gaety i Neapolu, które się zdają przy-

zywać do siebie okręty z Zachodu. „Żaden kraj, mówi Napoleon, nie ma tak wybornego pod tym względem położenia. Razem z większemi i mniejszemi wyspami mają Włochy tysiąc dwieście mil wybrzeży, czyli o trzecią część więcej, niźli Hiszpanja, a o połowę więcej, niż Francja"[1]). Wyjątkowe to zatem położenie. Ani Jerozolima, Antjochja, Babilon, Ateny w świecie starożytnym; ani Londyn, Petersburg, Wiedeń w nowożytnym, nie wytrzymują porównania z Rzymem. Mógłby się może pokusić o to Paryż lub Madryt ale oba są zbyt oddalone od Wschodu.

Za dowód, że Bóg, nadając Włochom taką postać, chciał by przez Rzym stały się punktem środkowym powszechnego królestwa, służyć może to, że jednocześnie odmówił im wszelkich danych do stania się wielkim narodem pod względem politycznym. Włochy mają dwadzieścia pięć miljonów mieszkańców i nigdy ich więcej mieć nie będą, co już samo czyni je państwem trzecio lub czwartorzędnem. Nadto nie mają one nic z tego, co stanowi bogactwo narodów: ani kopalni złota lub srebra, jak wielkie mocarstwa Wschodu; ani kopalni węgla lub żelaza, jak wielkie państwa zachodnie. Mają zboże, ale tylko tyle, ile same potrzebują. Wina mają mało, i to takie, które nie znosi przewozu. Kraj znajdujący się w takich warunkach, że niema nic do dania innym narodom wzamian za to, czego potrzebuje od nich, musi z konieczności pozostać na stanowisku podrzędnem, gdyż nie posiada żadnych warunków do osiągnięcia wyższego. Los ten stałby się był udziałem samejże rzeczypospolitej rzymskiej, gdyby po zjednoczeniu pod swojem panowaniem Włoch i czując, że jej za ciasno w swoich granicach, nie była z genjalną śmiałością podbiła całego ówczesnego świata, czyniąc go swoim lennikiem. Albo Włochy nie będą niczem, albo będą panem i jakby ogniskiem świata całego.

[1]) Napoléon, Mémoires.

Ale odmawiając temu pięknemu półwyspowi złota, węgla i żelaza, owych żywiołów, którym zawdzięczają swą potęgę inne narody, Bóg nie szczędził mu darów o wiele cenniejszych. Ponieważ przeznaczeniem jego było, stać się punktem środkowym powszechnej religji, świętej a boskiej społeczności dusz, które Chrystus wynosi ponad ziemię i nad nie same: powinien był posiadać pierwiastki nie tego, co na ziemi druzgocze i ujarzmia, ale tego, co podnosi, zachwyca, co wszystko idealizuje i opromienia poezją. Centrum religji powinno było być ojczyzną piękna w każdej jego formie. To też ma on dla swoich rzeźbiarzy najbogatsze kopalnie najpiękniejszych w świecie marmurów. Ma dla swych koncertów najcudowniejsze głosy. Ma dla swych malarzy szczytne podniety i niedorównane wzory w piękności swojego ludu, w uroczych krajobrazach, w czystości atmosfery, w czarodziejskiej grze światła. Wszystko w nim jest pięknem, harmonją, wszystko jest cudownie przystosowane do tej religji, która gardzi tem, co poziome i banalne; która uskrzydlając dusze, chce je widzieć na wyżynach i ceni sztuki piękne właśnie dlatego, że są to skrzydła, które nas unoszą ponad ciemności i pospolitość tej smutnej ziemi.

Wszelako na tej przepięknej i poetycznej ziemi Bóg umieścił niegdyś państwo, które Prorok nazywa „żelazną, druzgoczącą wszystko szczęką"; któremu Rzymianie sami dali dziką wilczycę za symbol. Lecz Bóg uczynił to umyślnie. Z jednej strony chciał przez to okazać, jak cudownie utworzone są Włochy nato, by być niewielkiem państwem, same przez się, ale punktem środkowym państwa powszechnego; z drugiej zaś, jak owo państwo, zawdzięczające swój byt sile fizycznej, było nietylko mniej pięknem, ale mniej powszechnem, mniej trwałem i wiekuistem, niżeli państwo, któremu dały byt, wiara i miłość. Słodkie panowanie Chrystusa, opowiadane przez ubogich, zwyciężyło na wszystkich puknach okrutne panowanie Cezarów; i kiedy to ostatnie trwało zaledwie trzy

czy cztery stulecia, tamto istnieje od lat tysiąca ośmiuset i nic nie wskazuje, ażeby miało być bliskiem końca.

Przygotowując zaś Rzymowi te wyjątkowe warunki, zniewalające go albo nie być niczem, albo też być punktem środkowym świata, Bóg dawał mu jednocześnie odpowiednie otoczenie. Otoczył go samotnością i milczeniem; uciszył naokoło niego wrzawę tego świata. Na kilka godzin przed wejściem do Rzymu, czy to od strony Florencji, czy Neapolu, spotyka się jedynie olbrzymie przestrzenie, leżące odłogiem, a pokryte zeschłą trawą. Ani wsi, ani osad, ani nawet drzew i ptaków; nic, tylko od czasu do czasu spotyka się trzody białych wołów, albo zdziczałych koni. Odczuwa się tu majestat pustyni, w połączeniu z melancholją pustki i opuszczenia. Pomimowoli podróżny nastraja się poważnie i nie wjeżdża do Rzymu tak, jak się wyjeżdża do Londynu lub Paryża.

Ramy takie, przygotowane ręką Boga dla świętego miasta i odpowiednie jego posłannictwu, były jak najpożądańsze dla starego Rzymu, Rzymu cezarów; upokarzały go. Kilkakrotnie owa wszechmocna królowa narodów usiłowała usunąć, zmienić to niegodne siebie otoczenie, ale napróżno. Mogła poprzecinać tę pustynię drogami triumfalnemi, pobudować na niej wspaniałe wodociągi, porozrzucać grobowce; ale nie mogła zmienić charakteru jałowych i dzikich obszarów. Zwiększyła go nawet jeszcze z biegiem czasu, kiedy poprzerywane drogi, zburzone wodociągi i grobowce, do głębokiej samotności pustyni dodały melancholję ruin. I wówczas harmonja pomiędzy surową stolicą katolicyzmu, a jej otoczeniem, stała się całkowita.

W miarę zbliżania się do Paryża albo Londynu, wędrowiec odczuwa pewne upojenie pychy. Ruch fabryk, dymy, mnóstwo kominów, mnogość zamków i willi, otoczonych pięknemi parkanami, przywodzą na myśl wielkość i potęgę ludzkości. Innych zupełnie uczuć doznaje się w okolicach Rzymu. Tam nie można zrobić kilka kroków, żeby nie odczuć całej nicości człowieka, krótkości

życia, próżności wszystkich naszych zabiegów i niestałości wszystkiego, co nie odnosi się do Boga. Poważne myśli nasuwają się same przez się umysłowi wędrowca, podczas kiedy jego stopa depcze tę ziemię pełną prochów zmarłych i pamiątek niestałości rodzaju ludzkiego.

Smutna i milcząca ta płaszczyzna wkrótce się zresztą zaczyna wznosić. Kończy się ona amfiteatrem wzgórz, tworzących wokół Rzymu jakgdyby cyrk olbrzymi. Nic nie dorówna piękności tych gór; łagodne ich linje rysują się z nadzwyczajną czystością na idealnie przeźroczem niebie. Światło nieznane w naszych zimnych strefach, cieniuje ich kontury, łagodzi cienie, jednoczy harmonijnie najróżnorodniejsze barwy i stosownie do tego, czy słońce wznosi się, czy też zniża, narzuca na nie przeźroczą zasłonę ze złota, tęczy lub purpury. Obszerny ten amfiteatr ma tylko od Wschodu szeroki wykrój. Wypełnia go morze, iskrzące się w tej przerwie jak srebrna linja i dopełniające przez urozmaicenie wielkość i piękność widoku.

Modlitwa, rozmyślanie, myśli poważne i religijne, tak łatwo powstające wśród rzymskiej Kampanji, odrywają duszę od ziemi i zbliżają ją do nieba.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

### Co pobożność katolicka uczyniła z Rzymu, ażeby mógł służyć za mieszkanie Namiestnikowi Chrystusowemu.

Pobożność katolicka, dając papieżowi Rzym, urządzała go jednocześnie z nieskończoną sztuką i delikatnością, ażeby gród ten, poświęcony fałszywym bogom i skalany tylu zbrodniami stał się godnym służyć za mieszkanie Namiestnikowi Chrystusowemu; oczyszczała go, meblowała niejako; nadawała mu cechę stosowną do jego nowego przeznaczenia. Dusza kształtuje ciało. Człowiek urządza swoje mieszkanie. Dusza szlachetna i dusza gruba nie przebywają w takiem samem otoczeniu. Ani Eskimos, ani czerwonoskóry nie mieszkają tak, jak inteligentny Grek. Tak ciało jak i dom noszą na sobie odbicie zamieszkującej je istoty.

Pod tym względem Rzym jest niezrównany. Jak Bóg, chcąc stworzyć siedzibę dla człowieka, zaczął tę pracę zawczasu i w piętrzących się jeden nad drugim pokładach kuli ziemskiej, złożył dowody swej długiej i tajemniczej pracy: tak i w Rzymie są jakgdyby pokłady, ułożone jakąś troskliwą i delikatną ręką tak, ażeby uczynić zeń miejsce jedyne w swoim rodzaju, a odpowiednie dla tego, który je zamieszkuje.

Pierwszy pokład najgłębszy, składa się z ruin i popiołów państwa rzymskiego. Niemożna uczynić w mieście kroku bez zetknięcia się z jakiemiś sławnemi szczątkami. Tu jakaś kolumna wznosi się samotnie pomiędzy domami. Tu znów domy są ukryte i jakgdyby obramowane arkadami jakiegoś cyrku. Zejdź, czytelniku z Kapitalu,

miń prochy Forum, idź wzdłuż wspaniałych ruin Palatynu z jednej strony, świątyni Pokoju i Zgody z drugiej, i dojdź do olbrzymiego Kolizeum, a wypocząwszy tam chwilkę, idź na pola, rozciągające się od Najświętszej Panny Większej, do Świętego Krzyża Jerozolimskiego. Albo, jeżeli wolisz, zwiedź olbrzymie zwaliska Termów Karakalli, Termów Tytusa, albo Złotego Domu Nerona. Oto co pozostało z rzymskiego kolosu. Cóż to za cudowne podłoże, składające się z prochów zmarłych i z ruin państw, dla tego wiekuistego Kościoła, mówiącego nam zawsze o nietrwałości rzeczy tego świata i o pogardzie wszystkiego, co się kończy na ziemi. Choćbyś był nie wiem jak wielki, niedościgły; chociażbyś przepychem olśnił świat cały; oto co zostawisz: popioły, zgliszcza, połamane kolumny, walące się triumfalne łuki; wszystko, co dowodzi tej nicości człowieka, jaka jest pierwszym dogmatem Kościoła katolickiego. Wynajdźcież miejsce stosowniejsze na siedzibę Namiestnika Chrystusowego, tego, który mówi ludom i społeczeństwom to, co mówi najuboższy pleban najpokorniejszej z dusz: „Pamiętaj, żeś proch i w proch się obrócisz".

Prorok wspomina o olbrzymim posągu, którego głowa sięgała niebios. Wtem odrywa się od góry mały kamyczek i uderza posąg, który rozsypuje się w proch. Tego to posągu szczątki tworzą w Rzymie pierwszy pokład gruntu, na którym spoczywa stolica św. Piotra.

Ruiny te wszelako nie mają w sobie zimna śmierci. Przenika je gorące tchnienie Chrystjanizmu. Jak owym suchym kościom dotknięcie proroka, tak szczątkom tym tchnienie Chrystjanizmu przywróciło życie, używając ich na chwałę Bożą. Oto na Forum trzy piękne kolumny korynckie; prowadziły one niegdyś do świątyni Kastora i Polluksa; dzisiaj stanowią portyk Kościoła świętych Kozmy i Damjana. Oto naprzeciw Palatynu ruiny świątyni Wenery; jak owoc wyrasta z kwiatu, wyszedł z nich dom i Kościół świętej Franciszki Rzymianki. Wspaniałe wschody marmurowe, prowadzące do A r a - C o e l i, po-

chodzą ze świątyni Numy. Wejdźcie do kościoła św. Marji Anielskiej, św. Wawrzyńca za Murami, św. Marji in Cosmedin. Cóż to są te przepyszne kolumny, mozaiki, posadzki z drogich marmurów? Są to szczątki pałaców, teatrów, świątyń państwa rzymskiego, ocalone, oczyszczone przez Chrystjanizm i użyte przezeń na chwałę i służbę Boga. A ta mieszanina gmachów chrześcijańskich z pogańskiemi; to wkraczanie starożytnych ruin pogańskich do kościołów chrześcijańskich; kościoły chrześcijańskie, dźwigające się z gruzów pogańskich, a pomniki bałwochwalstwa, służące za podporę chrześcijańskim pomnikom, które je nawzajem podtrzymują i ochraniają: — wszystko to tworzy razem widok, którego się gdzie indziej nie spotyka, a którego piękność wzrusza głęboko, pobudzając umysł do coraz nowych rozmyślań.

Na tym pierwszym pokładzie leży drugi, składający się również z ruin i prochów, ale z prochów przeobrażonych przez męczeństwo. Są to w olbrzymich i niecałkowicie jeszcze dotąd poznanych podziemiach katakumb szczątki tych, którzy pomarli dla Boga. Liczba ich jest niezmierzona. W VII wieku, przy poświęceniu Panteonu, wydobyto z rozkazu papieża Bonifacego IV i przewieziono wśród łez i pieśni radosnych, trzydzieści dwa wozy świętych kości. W w. VIII Paweł II, w. IX Paschalis I, Leon IV, Stefan VI prowadzili dalej te wykopaliska, których dokończyć nie mogli ani Grzegorz X, w X stuleciu, ani Sylwester II w XI, ani Paschalis II, Gelazjusz II, Anastazy IV w XII, ani Marcin V w XV, a którym i teraz daleko jeszcze do końca. Coraz to nowe odkrywają odnogi, coraz nowe żyły tych skarbów. — Pierwszy zatem pokład, to zabytki państwa rzymskiego; drugi — zabytki pierwszych wieków Chrześcijanizmu. Ale podczas kiedy pierwszy zasmuca tylko duszę, przywodząc na pamięć nicość człowieka, drugi pociesza ją i pokrzepia, mówiąc jej o nadziei i nieśmiertelności.

Jakkolwiek nieprzebranem jest bogactwo katakumb, nie stanowi ono jeszcze największych części bogactw

Rzymu w tym kierunku. Jakiś magnes niewidoczny zgromadził wokoło stolicy Piotrowej najcenniejsze relikwje. Prawie wszyscy Apostołowie przyszli złożyć swe szczątki dokoła tronu nieomylności. Święci Piotr i Paweł w Watykanie; św. Jakób Młodszy i św. Filip w kościele św. Apostołów; św. Maciej w Santa Maria Maggiore; św. Bartłomiej w kościele na wyspie jego imienia; św. Szymon i Juda u św. Piotra; ramię św. Mateusza u Santa Maria Maggiore; głowa św. Andrzeja w Watykanie; palec św. Tomasza w kościele św. Krzyża Jerozolimskiego. Jest to jakby nieustająca Rada Dwunastu, wspierająca natchnieniami swemi tego, w którym żyje duch całego kolegjum apostolskiego. A obok Apostołów tylu i tak sławnych Doktorów Kościoła: św. Ignacy Antjocheński, św. Justyn, św. Grzegorz Nazjanzeński, św. Jan Złotousty, św. Leon, św. Grzegorz Wielki! Tyle dziewic: św. Domicylla, św. Pudencjanna, św. Praksedа, św. Agnieszka, św. Cecylja! Tyle świętych niewiast: św. Helena, św. Monika, św. Franciszka Rzymianka! Tylu świętych założycieli zakonów: św. Ignacy, św. Filip Nereusz, św. Paweł od Krzyża i tylu innych, których wyliczanie nie miałoby końca!

A nietylko posiada Rzym zimne ich prochy, ale i relikwje żyjące: domy, w których mieszkali; pokoje, gdzie modlili się i płakali; więzienia, gdzie ich zamykano; łańcuchy, które ich krępowały; tysiące świętych zabytków, z których tchnie ich dusza. Oto dom u stóp Kapitolu, obok Pola Marsowego, gdzie mieszkał św. Paweł, kiedy przybył do Rzymu upominać się o swoje prawa rzymskiego obywatela. Oto pałac, w którym senator Pudens gościł św. Piotra; ołtarz, na którym pierwszy papież mszę odprawiał, posadzka mozaikowa, po której stąpał, nawet krzesło, w którem zasiadał, nauczając pierwszych wiernych. Oto łaźnie, gdzie uduszono św. Cecylję w tej cudnej postaci, którą uwiecznił wielki rzeźbiarz. Oto klasztor, gdzie św. Grzegorz Wielki płakał nieśmiertelnemi łzami nad państwem rzymskiem. Tutaj spotkali się św.

Franciszek z Assyżu i św. Dominik; tutaj św. Dominik wskrzesił zmarłego; tu rośnie drzewo pomarańczowe, które on własnoręcznie zasadził i które wypuściło nową odrośl, kiedy sławny O. Lacordaire odnowił jego dzieło. W tej izdebce zamykano św. Filipa Nereusza, kiedy odprawiał mszę, ażeby gwar cisnącego się tłumu nie przerywał mu zachwycenia, w jakie wówczas wpadał. Tam św. Karol Boromeusz zdumiewał Rzym surowością swojej pokuty. Tam umarł św. Ignacy; tam się modlili i uczyli razem z rzymską młodzieżą anielscy młodziankowie, św. Alojzy Gonzaga i św. Stanisław Kostka.

Widziałem we Florencji w kościele św. Krzyża pomniki Dantego, Michała Anioła, Galileusza; z większem jeszcze wzruszeniem zwiedziłem dom, w którym mieszkał Rafael; klasztor błogosławionego Fra Angelico, Fra Bartolomeo, Sawonaroli. Kamień, na którym siadał śpiewak Boskiej Komedji, u stóp dzwonnicy Giotta; i zrozumiałem to tchnienie poezji i sztuki, jakie przeszło niegdyś ponad tym szlachetnym krajem. Widziałem w Paryżu, w muzeum francuskich władców pamiątki królewskie: od tronu Chilperyka, do polowego łóżka pierwszego konsula; od godzinek św. Ludwika do więziennego stołka Ludwika XVI — i pojąłem, dlaczego niektórzy ludzie nie mogli znieść tego pełnego chwały, a wzruszającego widoku. Jest wszakże coś piękniejszego jeszcze nad królewskie Muzeum w Paryżu; coś wymowniejszego, niż dom wielkich ludzi we Florencji; są to w Rzymie święte szczątki, żyjące wspomnienia, domy i groby świętych, to jest dusz najwznioślejszych, najszlachetniejszych, najczystszych, najwspaniałomyślniejszych, — jednem słowem największych, jakie istniały kiedykolwiek.

Jakgdyby zaś nie dosyć było tych świętych relikwij ażeby uczynić z Rzymu muzeum nad wszystkie muzea, pobożność katolicka sprowadziła z Jerozolimy zabytki cenniejsze jeszcze. Żłobek, w którym narodził się Zbawiciel, jest u N. P. Marji Większej. Stół, na którym usta-

nowił szczytną tajemnicę Ciała i Krwi swojej — u św. Jana Lateraneńskiego. Słup przy którym był ubiczowany, — u św. Praksedy. Włócznia, którą przebito Mu serce, — u św. Piotra. Schody, po których zeszedł, idąc na Kalwarję, są na wzgórzu Lateraneńskiem. A nieopodal w kościele św. Krzyża Jerozolimskiego jest znaczna część drzewa Krzyża św., kilka cierni z korony, jeden z gwoździ, któremi przybito Jego święte ręce i nogi, oraz nadpis w trzech językach, który miał na Krzyżu. Cóż jeszcze możnaby dodać? Możnaż było wznieślej przyozdobić Rzym, przeznaczając go na mieszkanie papieża?

Na tych to skarbach, na tych drogich relikwjach Zbawiciela i Świętych Jego, wyrósł bujny plon Kościołów rzymskich. Mówią, że jest ich dzisiaj jeszcze trzysta sześćdziesiąt pięć, tyle, ile dni w roku. Licząc zaś te wszystkie, które budowano w Rzymie przez ciąg wieków, oto do jak zdumiewającego dochodzimy wyniku: budowa jednego Kościoła na każde piętnaście miesięcy, w nieprzerwanym ciągu tysiąca dwóchset lat[1]). Ale bardziej jeszcze, niż ich starożytność, mnogość, piękność i bogactwo, świadczące o pobożności, która powołała je do życia — zdumiewa sposób, w jaki powstały. Wszystkie narody przyłożyły do tego rękę. Wszystkie chciały mieć w Rzymie swoje świątynie, swoje święta, swoje groby narodowe. Nietylko wszystkie narody, ale nawet prawie wszystkie prowincje. Nietylko w ogólności Hiszpanie, ale są tu i Aragończycy, Katalończycy, mieszkańcy Walencji, Majorki; nietylko w ogólności Francuzi, ale i Burgundczycy, Bretończycy, Flamandczycy; a z Włoch — Neapolitańczycy, Lombardczycy, Wenecjanie, mieszkańcy Lukki; z Wielkiej Brytanji — Anglicy, Szkoci, Irlandczycy; z Niemiec — Germanie, Węgrzy, Słowianie; są Polacy; są Ormianie i Abisyńczycy. Chwała Boża rozbrzmiewa w każdej godzinie dnia, w językach wszystkich narodów, Rzym jest nietylko najwspanialszym relikwjarzem, ale

[1]) Gerbet, Esquisse de Rome chrétienne, t. I, Ch. III.

i największą świątynią. Jedyny to w swoim rodzaju widok; bo podczas, kiedy gdzie indziej gorączkowy ruch i pośpiech spraw ludzkich przygniata nasz umysł i pomimo naszej woli ściąga go na ziemię: tutaj wszystko mówi nam o Bogu, wszystko podnosi nasze myśli ku wiekuistej rzeczywistości. Popioły pod nogami, a dzwony ponad głową. Wymowny widok tego, co przemija, z nieustającem objawieniem tego, co trwa wiecznie. Takim jest Rzym. Jakże stosowne to miejsce dla Namiestnika Chrystusa!

Jeszcze jeden i ostatni rys jego piękności. Jednocześnie z nieustającą modlitwą, wznoszącą się ku niebu, z błogosławionych kopuł niezliczonych jego kościołów, rozkwitają nieustannie u ich stóp w Rzymie chrześcijańskim najpiękniejsze kwiaty wiary, miłości, pokuty. Po tych kamieniach, zużytych krokami ciemiężycieli narodów, stąpają teraz ustawicznie słudzy ubogich, ojcowie dusz, głosiciele pokoju. Oto ten młodzieniec, promieniejący radością, to kapłan dopiero wyświęcony; udaje się on do Chin, do Korei, na miejsce umęczonego tam właśnie misjonarza. Ten starzec obciążony wiekiem, to biskup z Ameryki, przybywający do Rzymu prosić papieża o rozdzielenie diecezji, którą gorliwość jego otworzyła kilkaset lat temu, a której katolicka ludność tak przez ten czas wzrosła pod jego zarządem, że potrzebuje teraz dwóch albo trzech biskupów. Ten znowu kapłan z długą brodą w arabskim burnusie powraca w palące pustynie Afryki, skąd już tym razem pewnie nie wróci. Oto Siostry Miłosierdzia, Siostrzyczki Ubogich, jadące zakładać szkoły i szpitale w Kairze, Alepie, Mossulu, Konstantynopolu. Oto Karmelitanki o długich zasłonach, które udają się aż do Indji dla zakładania tam swych pokutniczych klasztorów. Prawie zaś wszyscy generalni przełożeni zakonów przebywają w Rzymie, skąd kierują całym tym ruchem: na wzór owych cherubinów, stojących przed tronem Bożym, według słów proroka, a gotowych w każdej chwili pójść lub wysłać swe bataljony, stosownie do wskazówek

woli Najwyższego. Nowi ci zdobywcy zajmują miejsce dawnych. Są to przedstawiciele nieznanego dotychczas królestwa: królestwa pokory, dobrowolnego ubóstwa, tkliwego współczucia dla bliźnich, nadprzyrodzonego podniesienia dusz. Pod tak zbawiennym wpływem Rzym pogański zmieniał się powoli. Kształtował się na wzór swego nowego Króla. Stał się godnem Jego mieszkaniem.

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### Kościół św. Piotra w Rzymie.

Jest wszelako w samym Rzymie miejsce, które jest właściwem mieszkaniem papieża, a w którem pobożność katolicka nagromadziła prawdziwe cuda. To bazylika św. Piotra z Watykanem, który jest jej przedłużeniem. Żałowałbym tego, któryby znalazłszy się tam, nie odczuł tchnienia czci katolickiej dla papieża, i jakby silniejszego odblasku wielkich cech Kościoła katolickiego, którego on jest punktem środkowym.

Dziewiętnaście wieków upłynęło od chwili, kiedy pobożne ręce, zdjąwszy z krzyża ciało św. Piotra, pogrzebały je w podziemiach, gdzie jeszcze spoczywa; a kościół wzniesiony na jego grobie istnieje dotąd. Wzrastał on stopniowo, upiększał się aż do czasu, w którym dzięki śmiałości nowego swego planu, stał się przez okazałość swych rozmiarów i imponujący swój przepych świątynią, nie mającą sobie równej, najpiękniejszą w świecie.

W całym tym wzroście i budowie bazyliki, rozróżnić trzeba trzy okresy.

Na początku jest to tylko mogiła, ukryta w ciemnej krypcie osłonięta małem sklepieniem. Wnętrze jej zdobi kilka malowideł, a oświeca lampa; u stóp jej grzebią się papieże katakumb. Pierwszy ten okres trwał trzy wieki.

Zjawia się Konstantyn i jedną z pierwszych jego trosk jest wydobycie drogiej mogiły z otaczających ją ciemności. Nie tykając sarkofagu, nie ruszając go z miejsca, przykrywa go cypryjskim spiżem i wieńczy krzyżem ze złota; a po zamurowaniu sklepienia wznosi ponad

niem wielką bazylikę, wspartą na stu kolumnach, przyozdobioną drogim marmurem i mozaiką. Ten święty sarkofag, zawierający ciało św. Piotra, jest więc podwaliną gmachu. Nikt nie tknął go nigdy; nikt go nawet nie widział, wyjąwszy tylko raz jeden w końcu XVI stulecia kiedy przerabiano posadzkę w kościele. Uderzenie oskardem przebiło sklepienie Konstantyna i odkryło grobowiec św. Piotra. Uprzedzono wnet o tem papieża Klemensa VIII, który podążył tam z pośpiechem w towarzystwie Bellarmina i kilku innych kardynałów. Czas jakiś klęcząc, wpatrywał się w krzyż złoty, widoczny przy świetle pochodni, poczem kazał zamurować przy sobie otwór, i od tej pory nigdy go już nie otwierano.

Ten wielki kościół, który Konstantyn wzniósł na grobie św. Piotra, był poprzedzony trójkątnym portykiem, przyozdobionym mozaiką i uwieńczonym krzyżem. Miał on kształt bazyliki rzymskiej i wspierał się na stu kolumnach. Była tam już pośrodku K o n f e s j a św. Piotra, gdzie płonęły jarzące lampy. Przechowywano już tam ze czcią małe krzesło drewniane, zdobne rzeźbą z kości słoniowej, na którem zasiadał Piotr, nauczając w katakumbach. Tam od V wieku wierni przychodzili całować nogę posągu bronzowego, który dawniej przedstawiał Jowisza kapitolińskiego, a potem na rozkaz papieża św. Leona, został przetopiony na posąg Książęcia Apostołów. Tam kazali się grzebać papieże z powodu przepełnienia krypty podziemnej. Tam nareszcie napływali bezustanku pielgrzymi ze wszystkich krańców świata. Jednym z tych pielgrzymów był Karol Wielki. Leon III zaprowadził go do bazyliki w dzień Bożego Narodzenia. Wstawał właśnie z klęczek po wysłuchaniu Mszy przed K o n f e s j ą, kiedy papież, ulegając nagłemu natchnieniu, zbliżył się doń i włożył mu uroczyście na głowę cesarski djadem Konstantyna, z poklaskiem całego ludu.

Karol Wielki nie omieszkał przed odjazdem spłacić zaciągnięty dług wdzięczności. Uważając, że stukolumnowa bazylika Konstantyna rozciąga się zbyt przy ziemi, na

wzór gmachów pogańskich, że zamało wystrzela ku niebu, wzniósł nad nią wysoką kampanilę o barwach niebieskiej ze złotem, z krzyżem na wierzchołku. To drugi okres budowy i wzrostu kościoła św. Piotra w Rzymie. Przetrwał on dwanaście wieków, od IV do XVI.

Nareszcie w r. 1506, kiedy miały nastać tak ciężkie dla Kościoła czasy, ogromna bazylika powiększa się jeszcze, jakgdyby dla okrycia grobu św. Piotra, tego centrum jedności katolickiej, jeszcze większym blaskiem. Zakładają olbrzymie fundamenty; genjusz Michała Anioła podwyższa jej sklepienia, a na szczycie i bez tego już wyniosłem, śmiała jego ręka stawia panteon Agrypy i wieńczy go krzyżem na wysokości, której nie dosięgła nigdy przedtem sztuka.

Bazylika przewyższa swoim ogromem wszystkie gmachy całego świata. Dowcipny miano pomysł, znacząc na jej posadzce, zaczynając od absydy, długość największych kościołów w świecie. Jedne z nich dochodzą tylko do transeptu; inne trochę dalej, do pierwszych arkad nawy; inne znowu do drugich; wszystkie o wiele nie dochodzą do drzwi. Niektóre z pomiędzy największych nie dorównywają samemu przedsionkowi. Są takie kościoły, które, gdyby było możebnem unieść je w górę za pomocą jakiejś olbrzymiej maszynerji i opuścić w jeden z czterech filarów podtrzymujących kopułę, całe tam zmieściłyby się.

A jednakże wchodząc do kościoła św. Piotra, nie odnosi się z początku wrażenia ogromu. Olbrzymia ta świątynia wydaje się zwyczajną. Niejeden Kościół gotycki może wydać się od niej większym. Dopiero obchodząc go, przebiegając we wszystkich kierunkach, spostrzegamy, jak jest ogromny. Czemu to przypisać? Doskonałej harmonji wszystkich części gmachu, jak powiadają, a może raczej ekscentryczności najnowszych architektów, którzy rozszerzając wymiary wyższe kosztem niższych, zmniejszyli perspektywę. Tak, czy inaczej, złudzenie nie trwa długo. Kiedy przeliczymy siedemset czterdzieści osiem kolumn podtrzymujących gmach, lub zdobiących go trzysta osiem-

dziesiąt dziewięć posągów; kaplice, z których każda jest tak wielka, jak katedra[1]); kiedy przypatrujemy się szczegółom, np. aniołom kropielnicy, albo nogom posągów, zamieszczonych pomiędzy kolumnami; a nadewszystko kiedy wpatrzymy się w kopułę, poczucie ogromu powraca w całej sile. Im dalej, tem się bardziej zwiększa ono. Przygniata nas ten ogrom; i rozmiary bazyliki wydają się nam wkońcu większemi jeszcze może, niż gdyby rzucały się w oczy odrazu na wstępie.

Podziw i uwielbienie, jakie odczuwamy na widok rozmiarów kościoła, podnosi jeszcze piękność składających się nań materjałów. Odrzucono kamień, a użyto tylko samego marmuru, przeważnie marmuru białego. Wspaniałe z jednej sztuki filary żłobowane, sięgające sklepienia, wiążące je łuki, mury z ogromnemi posągami, które je zakrywają, olbrzymie tafle posadzek naw i chóru — wszystko to jest z marmuru białego. Nadaje to świątyni jakąś cechę czystości, młodości, coś świetlanego i zwycięskiego. A jakgdyby dla wzmocnienia wrażenia tego, sklepienia są w kasetony białe ze złotem, a kopułę zdobią przepiękne malowidła z mozaiki. Nie odrzucono całkowicie marmurów kolorowych; szkoda było pozbawiać się materjałów tak cennych i pięknych, jak cipolin, verdo antico, porfir; ale użyto ich wyłącznie w nawach bocznych, ażeby tem lepiej uwydatnić niepokalaną białość głównej nawy.

Oprócz marmuru użyto jeszcze tylko dwóch materjałów: złoconego bronzu i mozaiki. Ołtarze, kolumny baldachimu, katedra św. Piotra i czterech podtrzymujących ją doktorów Kościoła, balustrada transeptu — są ze złoconego bronzu; dzięki czemu wybitnie odróżniają się od tła głównej nawy, białego ze złotem. Wyobraźcie sobie nad ołtarzami najcenniejsze mozaiki, z których każda kosztowała przynajmniej sto pięćdziesiąt tysięcy franków, a będziecie mieli pojęcie o przepychu Kościoła św. Piotra.

---

[1]) De Brosses.

Ale o czem nie możecie nie widząc mieć pojęcia, to o doskonałej harmonji tych kształtów, tonów, kolorów. Nic rażącego, nic krzyczącego. Dusza artysty i poety cieniowała te tak różnorodne barwy i zlewała je w najcudniejszą jedność. Kiedym był młodszy, wydawało się mi, że może byłoby piękniej, gdyby kościół św. Piotra był kościołem starym, brzemiennym jak chrześcijanizm wiekowemi prochami, jak np. kościół św. Marka w Wenecji. Ale potem zmieniłem zdanie. Jeżeli Chrześcijanizm jest stary jak świat, jest on również wiecznie młody; odnawia się jak orzeł z każdym wiekiem; odradza się jak feniks z popiołów. Otóż tę to cechę, wyłączną własność Kościoła, — bo wszystko starzeje się, ale nic się, jak on, nie odnawia, — przypomina i symbolizuje wiekuista i promienna młodość kościoła św. Piotra w Rzymie.

Tem niemniej widnieją tam na każdym kroku wiekuistość i starożytność Kościoła katolickiego. Dokoła grobu św. Piotra, ułożyło się kolejno do snu wiecznego mnóstwo papieży. Napełnili oni kościół podziemny, gdzie się znajduje grobowiec, potem zkolei kościół górny. Ciekawy jest widok ich posągów. Najdawniejsi leżą na grobach, z zamkniętemi oczami, ze złożonemi rękami, pogrążeni we śnie i w mroku. Potem powoli zaczynają się podnosić, wspierają się na swych grobowcach, zdają się patrzeć na tłumy. Później siadają już na tronach, w tiarach, z kluczami w ręku, z wyciągniętemi ramionami, jakgdyby nie ukończyli jeszcze swojego posłannictwa. Niektórzy stoją nawet; przemawiają, błogosławią, rozkazują; zdają się naprzekór śmierci panować jeszcze. Ale ostatni papieże pokorniejszą przybierają postawę: Klemens XIII, Pius VI, Pius VIII, klęczą ze złożonemi rękami w postawie modlitewnej i błagalnej. Z głębokiem wzruszeniem wspominamy wobec ich grobów życie ich pełne niepokojów i prób ciężkich, ich niejednokrotne wygnania, ich powroty triumfalne: widząc we wszystkiem jawne dowody niepożytej Kościoła wiekuistości.

Widnieje tu w równej mierze i świętość jego. Pomiędzy wielkiemi filarami, podtrzymującemi sklepienia, wyżłobiono dwa rzędy nisz jedne nad drugiemi gdzie stoją olbrzymie posągi świętych. Każdy z nich jest z białego marmuru i ma cztery metry wysokości. Idąc za szczęśliwem natchnieniem, wybrano założycieli zakonów: św. Benedykta i św. Brunona; św. Dominika i św. Franciszka z Assyżu; św. Ignacego Lojolę i św. Franciszka Salezego; św. Wincentego à Paulo i św. Teresę i t. d. To cała historja świętości, wielkiej świętości tego, który nazywa się legjon t. j. Kościoła katolickiego, który rodzi całe zastępy świętych. Ażeby zaświadczyć o wierze Kościoła w nieograniczony wzrost tej świętości, pozostawiono pewną ilość nisz pustych. Czekają one na wielkich założycieli zakonów przyszłości.

Pod wpływem innego dziwnie pięknego natchnienia uwydatniono inną cechę Kościoła, jego powszechność. U św. Piotra znajdują się konfesjonały przeznaczone dla wszystkich narodowości. Nad każdym z nich inny widnieje napis: pro lingua graeca, pro lingua illirica, pro lingua polonica, pro lingua anglica, — pro lingua lusitana, pro lingua gallica etc.

Zawsze znajdziesz tam kapłanów; modlą się oni, czytają, przechadzają się w pobliżu swoich konfesjonałów, czekając na grzeszników; jak owe czaty, stawiane w czasie burzy nad morzem w miejscach niebezpiecznych, ażeby ratowały rozbitków. Kapłani ci mają całą władzę papieską; są jakgdyby papieżem spowiadającym. Niema tak wielkiej zbrodni, któraby nie znalazła tam współczującego serca, rozgrzeszającej ręki. Iluż tam ludzi dźwignęło się ze swojej hańby, swojej nędzy, swoich wyrzutów sumienia, i pod pozorem podróży dla rozrywki, przyszło złożyć u św. Piotra przygniatający ich ciężar! Przybywają oni, wiem to, z najdalszych puszcz Nowego świata, z krain Kaukazu, ale częściej jeszcze z zepsutych głębin Paryża, Wiednia lub Londynu. Jakże cudowną jest ta religja,

która zna tak dobrze serce ludzkie, a ran jego dotyka delikatnością i miłością!

Bardziej jeszcze, niż o wiekuistości, świętości i powszechności Kościoła, świadczy św. Piotr o jego jedności, o niepożytej trwałości jego kamienia węgielnego, o potędze tego twórczego słowa: Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój. Piotr święty zapełnia swoją obecnością całą tę świątynię, tak wysoką, tak rozległą, tak świetlaną. Żyje on tam, przemawia; najwyższe zaś tego wrażenia dają przedewszystkiem trzy pomniki.

Wchodząc do kościoła, przy ostatnim filarze na prawo, jednym z czterech podtrzymujących kopułę, spostrzegamy posąg św. Piotra. Jest on z bronzu, wielkości naturalnej; Książę Apostołów siedzi na starożytnem krześle z białego marmuru, pod baldachimem z mozaiki czerwonej ze złotem. Przed nim pali się zawsze lampa. Utrzymywano, że to posąg Jowisza kapitolińskiego. Tyle jest w tem prawdy, że w V wieku św. Leon, na podziękowanie Bogu za oswobodzenie Rzymu od najazdu Atyli, kazał przetopić posąg Jowisza kapitolińskiego, na starożytny i uświęcony tradycją wizerunek św. Piotra. Zachowano prawie bez zmiany togę rzymską, ale klucze zastąpiły piorun, a ręka grożąca zmieniła się w błogosławiącą. Noga prawa, ukryta pod togą, wysunęła się naprzód i apostoł daje ją do pocałowania pielgrzymom. Któż zliczy, ile tych pocałunków złożono na niej przez przeciąg tysiąca trzechset lat? Metal został przez nie zużyty, stracił formę. A czyjeż to pocałunki tak go zużyły? Pocałunki świętych, apostołów, biskupów, dziewic, wielkich ludzi wszystkich narodów i wszystkich języków; pocałunki wiary, miłości Boga, oddania się św. Piotrowi i Kościołowi!

Po dotknięciu czołem i ustami stopy św. Piotra, postępujemy kilka kroków naprzód i dochodzimy do Konfesji. Tam to od tysiąca ośmiuset lat, spoczywa ciało św. Piotra. Schodzimy w dół szerokiemi, podwójnemi schodami z białego marmuru. Sto czterdzieści dwie lamp ze

złoconego bronzu oświeca dzień i noc te uświęcone schody. Naprzeciwko bronzowych drzwi, zamykających kryptę, znajduje się posąg przedstawiający papieża Piusa VI w postawie klęczącej, ze złożonemi rękami. Któż to jest ten człowiek, którego grobowiec jest przedmiotem tak wielkiej czci? To ten ubogi rybak Galilejski, który dziewiętnaście wieków temu przyszedł ze swego kraiku i umarł na krzyżu na Janiculum. Ubogi rybak, człowiek nic nie znaczący, ale któremu Chrystus, Pan nieba i ziemi, powiedział: Tyś jest Opoka, a na tej Opoce zbuduję Kościół mój. Odnajdź groby Cezara, Augusta, odnajdź grób Nerona i porównaj!

Po oddaniu tu czci i odmówieniu modlitwy, idziemy dalej i dochodzimy do absydy kościoła, gdzie czeka nas nowy widok. Stoi tu katedra Piotrowa, krzesło drewniane, na którem zasiadał w katakumbach, kiedy nauczał lud. Katedra ta znajdowała się już w bazylice wzniesionej przez Konstantyna; zmieniała często miejsce, była umieszczana to w przedsionku, to w samymże kościele; służyła papieżom podczas koronacji w święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Ale wprędce z obawy zużycia tak drogocennej relikwji, objęto ją całą bronzem, następnie zaś pod wpływem szczęśliwego natchnienia, umieszczono ją w głębi kościoła na zaszczytnem miejscu, które i dziś zajmuje; ponad nią unosi się gołąb, wieńczy ją papieska tiara, otaczają aniołowie, a podtrzymują wielcy doktorowie Kościoła: św. Ambroży, św. Chryzostom, św. Atanazy, i św. Augustyn. Olbrzymie ich posągi są ze złoconego bronzu. Szkoda może, że nie są one dłuta Michała Anioła. Chciałoby się widzieć w nich więcej spokoju. Wobec ciszy i pokoju tej bazyliki, stosowniejszemi byłyby szaty w linjach prostych, spadające na ich stopy, a przypominające sobą wiekuistą pogodę Kościoła. Ale może artysta miał w tem myśl inną, przedstawiając ich unoszonymi przez wicher burzliwy, który szarpie ich szaty bez poruszenia, bez zamącenia spokoju ich dusz, oraz katedry Piotrowej. Może chciał przedstawić gwałtowność wichrów,

rozpasanych przeciwko Kościołowi i bezskuteczność tej gwałtowności. W każdym razie całość robi przejmujące wrażenie i znowu przychodzi na myśl wiekuiste pytanie: „Gdzież złoty tron Augusta? Gdzie Nerona tron z kości słoniowej? Gdzie państwo, którego imperatorzy gnębili świat? Wszystko znikło; wszystko obróciło się w proch i nicość, oprócz skromnego, drewnianego krzesła, na którem Piotr św. zasiadał w katakumbach.

A jeżeli zdumieni tylu cudami chcecie odnaleźć ich źródło, zbliżcie się do K o n f e s j i, podnieście oczy na jej olśniewającej piękności kopułę, o olbrzymiej średnicy, o barwach tak harmonijnych, a która zdaje się być świetną tiarą, położoną na grobie ubogiego rybaka. U podstawy tej kopuły biegnie dokoła szeroki pas mozaiki, a na nim napis złotemi literami, mającemi siedem stóp wysokości. Przeczytajcie go, a znajdziecie rozwiązanie zagadki: T y ś j e s t O p o k a, a n a t e j O p o c e z b u d u j ę K o ś c i ó ł m ó j. Oto co opiewa gmach cały; oto co jest wytłumaczeniem jego znaczenia.

Ale żeby całkowicie pojąć to znaczenie, należy koniecznie widzieć kościół św. Piotra w czasie bytności w nim papieża. Kościół św. Piotra to mieszkanie papieża. Mieszka on tam, jak ongi wielki kapłan mieszkał w świątyni. Tam podąża w święta, niesiony w swej s e d i a, w otoczeniu posłów wszystkich narodów; wśród ogromnych tłumów ludu, ażeby celebrować oficjalnie. Tam się także udaje na modlitwę samotną. Przed smutną epoką, którą teraz przebywamy, spotykano go tam często, jak bez żadnej okazałości, prawie sam, przychodził ucałować nogi św. Piotra i klęcząc błagał o światło, o siłę, o wszystkie łaski, których potrzebował. Św. Pius V przychodził tam często w nocy, nawiedzając boso i ze łzami siedem ołtarzy otaczających K o n f e s j ę. Pius VI i Pius VII przed udaniem się na wygnanie modlili się tam poraz ostatni. Pius IX przyszedł tu po poświęconą Hostję, którą umieścił na piersiach, zanim uszedł do Gaëty. Kiedy papież upada pod ciężarem troski, nieomylny głos duszy

wzywa go do św. Piotra. To nietylko jego mieszkanie; to jego twierdza. Tam leżą święte kości pierwszego papieża, wiekuistego oświeciciela i obrońcy papiestwa. Tam spoczywają prawie wszyscy papieże, szczególniej ostatni, najciężej doświadczani. Tam wieją z grobowców i ze sklepień krzepiące wspomnienia, boskie przykłady. W tej atmosferze dusza papieża nabiera siły; wraca on do siebie gotów na nowe próby i cierpienia.

W inne dni, inne widzimy obrzędy. Do św. Piotra wzywa papież wiernych całego świata, w czasie wielkich jubileuszów, kanonizacji Świętych, ogłaszania dogmatów. Kościół św. Piotra może pomieścić sześćdziesiąt pięć tysięcy ludzi. Ale w takie dni bywa za ciasno. Na szczęście wspaniałem przedłużeniem kościoła jest niezmierny plac św. Piotra, ze swą szeroką kolumnadą, z pięknemi kolumnami, z wiele mówiącym obeliskiem i z bezmiernem niebem ponad tem wszystkiem. Wychodząc z kościoła, wierni gromadzą się na schodach, pod dwustu osiemdziesięciu czterema kolumnami portyku, wreszcie na całym placu.

Wtedy wychodzi z kościoła i papież, ukazuje się na wielkim balkonie, modli się z całym tym ludem, który nie mógł modlić się z nim w bazylice. Potem wyciąga ręce i czyni to, o co nie kusił się nikt na świecie, żaden król, cesarz, ani zdobywca: daje uroczyste błogosławieństwo: Miastu i Światu — Urbi et Orbi.

Nic na świecie nie dorówna temu widokowi. Ludzie odchodzą wzruszeni, podniesieni na duchu, powtarzając w sercu słowa, które dopieroco śpiewały tysiące: Tyś opoka, a na tej Opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go.

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### Watykan.

Watykan jest przedłużeniem kościoła św. Piotra. To świeckie mieszkanie papieża, tak jak św. Piotr jest mieszkaniem świętem. Tam przyjmuje on posłów wszystkich narodów. Tam radzi z biskupami katolickimi o sprawach ich diecezji i całego Kościoła. Tam zwykli wierni dostępują niekiedy szczęścia oglądania go, ucałowania jego rąk i nóg i otrzymania dla siebie i swych rodzin specjalnego błogosławieństwa.

Jak to już powiedziałem wyżej, człowiek stwarza swoje mieszkanie: czyni je na swe podobieństwo. Ciekawem jest zbadać Watykan pod tym względem. Wielkość papiestwa, jego potęga, prostota jego obyczajów, szlachetność upodobań, zamiłowanie sztuk pięknych widnieją tam na każdym kroku, czyniąc z Watykanu pałac jedyny w swoim rodzaju.

Początki jego nie są dobrze znane. Nazwa Watykanu pochodzić ma stąd, że jakby przeczuciem jakiemś boskiem, w czasach pogańskich, w miejscu tem wygłaszano wyrocznie. Prawdopodobnem jest, że jak tylko św. Piotr został tam pogrzebany, i jak tylko stało się to możliwem ze względu na prześladowanie, jego następcy znaleźli tam jakieś pomieszczenie. Przypuszczają, że mieszkał tam św. Anaklet. Pewnem jest to, że Leon III przyjął tam Karola Wielkiego, podczas jego pobytu w Rzymie. W każdym jednak razie olbrzymie budowy, jakie dziś widzimy, rozpoczęli papieże dopiero po powrocie z Awinjonu.

A jak kościół św. Piotra jest największym ze wszystkich kościołów świata, tak Watykan jest największym ze wszystkich pałaców. Długość jego przenosi dwieście pięćdziesiąt metrów. Liczą w nim dwadzieścia dziedzińców, osiem głównych schodów, dwieście bocznych i trzynaście tysięcy sal i komnat. Najwięksi budowniczowie pracowali nad nim przez lat czterysta.

Rozpoczyna budowę papież Mikołaj V, którego inicjatywa widnieje tu na każdym kroku. W roku 1447 każe on Bernardo Rosseliniemu przedstawić sobie projekt olbrzymiego pałacu. W roku następnym Alberti rozpoczyna roboty, wznosi część tego wspaniałego gmachu i otacza go wysokiemi murami, zniesionemi później. W roku 1473 Baccio-Pintelli dodaje kaplicę Sykstyńską. W roku 1506 Bramante rozpoczyna budowle otaczające dziedziniec św. Damazego, ale ma zaledwie czas wykończyć parter. Nad tym parterem Rafael w roku 1568 wznosi jedne nad drugiemi, trzy rzędy otwartych galeryj (l o g g i e), ale i on umiera przed dokończeniem dzieła, wykończa jedynie część od strony miasta; dwie pozostałe są wykończone za Grzegorza XIII. W roku 1546 San-Gallo wznosi kaplicę Paulińską i salę królewską, służącą za przedsionek jej i kaplicy Sykstyńskiej. Wkońcu w roku 1560 Bernini buduje schody królewskie (s c a l a r e g i a), któremi znoszą uroczyście papieża w s e d i i do kościoła św. Piotra.

Oto niektóre gmachy główne; później, za Klemensa XIII-go, Piusa VI, Piusa VII i t. d., wzniesiono wiele innych przeznaczonych na muzea. Widzimy, że praca nie ustawała od lat blisko czterechset. Każde schody, każda sala i kaplica są dziełem jakiegoś wielkiego budowniczego. Jest to i zaletą i wadą zarazem. Chciałoby się trochę więcej jedności. Przytem pałac niedosyć dobrze się przedstawia. Zasłania go kolumnada. Całą jego piękność, całą wspaniałość jego rozmiarów widzi się dopiero z dziedzińca św. Damazego.

A jednocześnie z tem, jak do budowy pałacu papieże wzywali największych budowniczych, do przyozdobienia

go powoływali największych malarzy. Przykład tu daje również Mikołaj V. Sprowadza on z Florencji błogosławionego braciszka Jana z Fiesole, przezwanego Angelico, z powodu przedziwnej czystości i duszy i malowideł jego, i powierza mu przyozdobienie freskami murów swojej kaplicy. Błogosławiony Angelico już był wtedy zasłynął, jako wielki Święty i jako niezrównany malarz. Z klasztoru swego we Florencji zrobił nieśmiertelne muzeum. Papież przychodził często przyglądać się jego robocie; podziwiał jego pobożność, jego ekstazę. Dla oszczędzenia mu czasu, lubił go zapraszać na śniadanie i bawił się naiwnością świętego zakonnika, kiedy ten wymawiał się co chwila od czegoś brakiem pozwolenia: jakgdyby nie domyślał się nawet, że najwyższa władza papieża mogła zastąpić władzę jego przeora. Freski, któremi pokrył mury kaplicy, przedstawiają życie św. Stefana, oraz św. Wawrzyńca. Trudno sobie wyobrazić artytystyczniejsze ugrupowanie, szlachetniejsze draperje. Chciałoby się wprawdzie widzieć pod temi draperjami nieco więcej ciała; na twarzach zato panuje taki spokój, taka słodycz, taki wdzięk niewinności i taki niebiański wyraz, że się zapomina w zachwycie o wszystkiem innem.

Nieco później, około roku 1503, Pius III sprowadził do Watykanu Perugina, książęcia i naczelnika szkoły umbryjskiej, mistrza Rafaela. Mówią, że pod koniec swego długiego życia Perugino zgnębiony śmiercią Sawonaroli, dał sobie zepsuć i duszę swoją i genjusz; że malował już tylko za pieniądze i sceptycznie, powtarzając ciągle jedne i te same twarze i nie umiejąc już nawet ożywić ich wyrazem. Ale wówczas był on w pełnym rozkwicie swego cudownego talentu. Namalował właśnie ową komnatę C a m b i o z Peruzy (1500—1502), prawie godną zająć miejsce obok komnat Rafaela; a przed dwoma wielkiemi freskami C a m b i o: H o ł d p a s t e r z y i P r z e m i e n i e n i e, rozpoczął się ten okrzyk uwielbienia, który brzmi do dzisiaj. Rzym znał już Perugina, który odwiedził go był zamłodu i pozostawił mu wspaniałą bytności swej pamiątkę.

Papież uszczęśliwiony, że ma do swego rozporządzenia takiego mistrza, powierzył mu pomalowanie al fresco kilku sal swoich apartamentów.

A podczas kiedy Perugino przybył z Peruzji, inny artysta również wielkiej sławy Domenico Ghirlandajo przybywa z Florencji, gdzie pokrył był pięknemi malowidłami chór kościoła Santa Maria Novella (1485—1490). Przedstawił w nich historję św. Jana Chrzciciela i Najświętszej Panny z zadziwiającą na owe czasy wielkością i prostotą stylu, pięknością kolorytu i już z pewnym początkiem wdzięku w postawach, w ruchu, w draperjach i prawdy w wyrazie twarzy. On to był mistrzem Michała Anioła, jeżeli można powiedzieć, że Michał Anioł miał mistrza.

Do tych dwóch wielkich artystów dołączmy Pinturrichia, naśladowcę i przyjaciela Perugina, o pendzlu zbyt łatwym, ale o wyobraźni świetnej i o uczuciu bardzo subtelnem. Kardynał Piccolomini (później Pius III) polecił mu odmalować al fresco, w Libreria w Siennie, historję swego stryja, Piusa II. Zdaje się, że w tej pracy uciekł się do pomocy Rafaela, dwudziestoletniego wtedy młodziana. Ale ustępuje ona o wiele przepysznym freskom w kościele Santa Maria del Popolo, które są arcydziełem Pinturrichia, a byłyby z pewnością i przedmiotem obowiązkowych pielgrzymek wszystkich miłośników piękna, gdyby ich odrestaurowanie nie było tak niezdarnem. Ozdobił on również malowidłami cztery sale apartamentu Borgia; ale te uległy zniszczeniu za Leona X.

Wielu innych niemniej sławnych malarzy powołano w tym czasie do przyozdobienia Watykanu. Wymieńmy główniejszych:

Lucca Signorelli z Kortony, którego wielki fresk Sąd Ostateczny, w katedrze Orwietańskiej, odznaczający się szerokością rysunku i pięknością ekspresji, był przedmiotem uwielbienia Michała Anioła i stamtąd to prawdopodobnie zaczerpnął on natchnienie do swego obrazu. Przypuszczają także, że jednego z aniołów, tego,

który trzyma tamburino, naśladował Rafael w obrazie Świętej Rodziny, znajdującym się obecnie w Luwrze.

Boticelli, który zachował sztywność i oschłość linji szkół pierwotnych, ale którego zaleca gorące uczucie, oraz delikatna i nacechowana cierpieniem piękność jego dziewic i jego Świętych.

Philippino Lippi, który ukończył w kościele d e l C a r m i n o w Wenecji, freski Masaccia, zmarłego w dwudziestym szóstym roku życia, freski, które były przedmiotem studjów Perugina, Rafaela, Leonarda da Vinci i Michała Anioła. Lippi dorównał prawie zupełnie swemu pierwowzorowi, a przynajmniej tak dobrze ukończył jego malowidła, że trudno rozróżnić, co jest Masaccia, a co dziełem jego.

Wreszcie Antonio Razzi, przezwany Sodomą, zamało znany we Francji, ale którego freski w kościele św. Katarzyny w Siennie, szczególniej S p a s i m o są godne najsławniejszych mistrzów.

Watykan, jak widzimy, był wtedy tem pod względem malarstwa, czem w wiekach XIII i XIV kościół św. Franciszka z Assyżu i Campo-Santo w Pizie. Kto tylko odznaczył się jakiemś pięknem malowidłem we Florencji, w Peruzji, w Siennie, w Orwieto, w Kortonie, w całych Włoszech tego papież nie omieszkał wezwać do upiększenia Watykanu.

Większość tych mistrzów pracowała właśnie tam razem, kiedy przybył młody malarz, którego Juljusz II spotkał w Peruzji, gdzie został uderzony jego pierwszemi próbami. Był to Rafael. Miał zaledwie lat dwadzieścia siedem, a już zdążył stworzyć mnóstwo arcydzieł. Należał on do tej rasy istot, które można nazwać boskiemi, a które upiększają wszystko, czego się dotkną, nadając wszystkiemu idealną piękność. Juljusz II dał mu jednocześnie salę i przedmiot (r. 1511). Polecił mu namalować to, co niewłaściwie nazywają D y s p u t ą o N a j ś w i ę t s z y m S a k r a m e n c i e, a co istotnie powinnoby nosić miano kontemplacji i adoracji N. Sakramentu. Rafael szybko,

bo w kilka miesięcy ukończył ten olbrzymi fresk, gdzie sześćdziesiąt pięć osób, święci w niebie, papieże, biskupi, zakonnicy na ziemi jednoczą się w tej adoracji. A zaraz potem, jakgdyby dla lepszego uwydatnienia zasadniczej myśli obrazu, wymalował naprzeciwko Szkołę ateńską. Podziw był ogólny. Dwa te freski w niczem do siebie nie były podobne i tem właśnie podnosiły wzajemnie swoją wartość. W jednym z nich doskonała jedność, kontemplacja spokojna a żarliwa, cisza i niebiański spokój. Całe niebo i ziemia skupione dokoła osoby Zbawiciela, tam obecnego w chwale, tu ukrytego pod zasłoną eucharystyczną.

W Szkole ateńskiej wręcz przeciwnie. Żadnej jedności. Grupy tylko. W górze Platon i Arystoteles, nie są oni wszakże przedmiotem zajęcia dla nikogo; każdy pochłonięty swoim systemem, tworzącym grupę, szkołę. Wyborny to obraz tego, czem była starożytna filozofja, gdzie tyleż było systemów, ile głów.

Ale w obu freskach ta sama doskonałość rysunku; te same ciała pulsujące życiem pod odzieżą; ten sam idealnie piękny wyraz; młodzieńcy olśniewają pięknością, starcy tchną boską pogodą; a wszędzie niewysłowiony urok, płynący z umiaru i wdzięku iście greckiego.

Papież Juljusz II oglądając te freski tak był niemi zachwycony, że rozkazał zniszczyć wszystkie dotychczasowe malowidła i powierzyć Rafaelowi wszystkie apartamenty Watykanu. Ale szlachetny młodzian nie zgodził się na to; zachował freski sufitu, wykonane przez jego mistrza Perugina, jakoteż części wykończone przez Sodomę i rozmaite mitologiczne postacie jego pendzla, wcielając je zręcznie w swoje dzieło.

Kiedy tak Rafael wkraczał zwycięsko do Watykanu, rozpoczynał w nim malowanie komnat (stanze) i przygotowywał się do wzniesienia, a następnie malowania Galerji (loggie), inny genjusz, również nadzwyczajny, został wezwany i niejako zniewolony przez Juljusza II. do ozdobienia freskami sufitu kaplicy Sykstyńskiej. Był nim

Michał Anioł. Nie należy porównywać Michała Anioła i Rafaela; są to zaiste dwa genjusze, ale wręcz przeciwnej natury. Jeden, to boski improwizator, drugi, pracownik wytrwały i uparty. Pod mistrzowską ręką jednego powstają najdoskonalsze kreacje bez żadnego niemal wysiłku, na podobieństwo tych dojrzałych owoców, co się same odrywają od drzewa. Drugi, nigdy niezadowolony, wciąż poprawia i przerabia swe dzieła, nie mogąc osiągnąć wymarzonego przez się ideału, i pozostawia prawie wszystkie niewykończonemi. Rafael szczęśliwy, uśmiechnięty, umiera w trzydziestym siódmym roku życia, w całym blasku młodości i w całej pełni genjuszu; Michał Anioł gaśnie w późnej starości, ponury, zgnębiony nieszczęściami ojczyzny, zniechęcony do wszystkiego, nawet do swojej sztuki, z twarzą napiętnowaną takim samym wyrazem gorzkiego smutku, jak i jego mistrz Dante.

W gruncie rzeczy Michał Anioł był więcej rzeźbiarzem i budowniczym, niż malarzem. Wymaganie Papieża, ażeby przyozdobił malowidłami kaplicę Sykstyńską, wydawało się mu ohydnym kaprysem, może nawet podstępem, uknutym przez nieprzyjaciół. Zmuszony ulec, sprowadził sobie do pomocy artystów mających już praktykę, ponieważ sam nie malował nigdy a l f r e s c o. Ale wprędce, zniecierpliwiony ich miernotą, oddalił ich, zamknął się w kaplicy i zaczął pracować sam; praca jednakże szła mu powoli. Juljusz II nie posiadał się z niecierpliwości. Czy skończysz raz przecie? — pytał często artystę. — Skończę wtedy, kiedy będę zadowolony z siebie — brzmiała odpowiedź. — Jeżeli nie skończysz prędko, każę cię zrzucić z rusztowania. Mimo to Michał Anioł nie śpieszył się wcale. Uparty, niezmordowany, żyjąc chlebem i wodą, pracując ze strasznem natężeniem myśli, ukończył sufit w lat cztery. Kiedy go odsłonięto, Juljusz nie żył już niestety, ale swoją niezłomną wolą, równą woli Michała Anioła, zmusił tegoż do stworzenia dzieła, nie mającego sobie równego. Jako malowidło sufit kaplicy Sykstyńskiej jest arcydziełem Michała Anioła, przewyższającem

tysiąckrotnie Sąd Ostateczny, bo ma wszystkie jego zalety, a mianowicie wielkość, dumę, śmiałość, grozę wielkiej namiętności, a niema wad jego, albo przynajmniej małe ich tylko zaczątki. Zawsze jednakowy podziw wzbudzać będą te sceny biblijne, oddane z taką siłą: Bóg ciskający w przestrzeń kulę ziemską; stworzenie słońca i księżyca; Bóg unoszący się nad wodami; wspaniałe stworzenie Adama; upadek pierwszego człowieka, wygnanie z raju. Można powiedzieć, że Michał Anioł dodał jeszcze do piękności tekstu biblijnego. Przypatrzcie się także prorokom i sybillom: Jonaszowi pojętemu w tak wysokim stylu; Jeremjaszowi, którego głowa opada na ręce pod ciężarem gorzkiej boleści; Sybilli Kumejskiej, zatapiającej płomienne oczy w trzymaną przed sobą księgę. Przypatrzcie się tym wszystkim postaciom, poprzez pył trzech stuleci, dym świec, wysokość stu stóp, dzielącą was od nich — i powiedzcie, czy podobna stworzyć dzieło wspanialsze a zarazem bardziej harmonijne.

Tymczasem Rafael pracował także. Jako budowniczy — wznosił loggie, a jako malarz — przyozdabiał je. Wezwał on swoich młodych uczniów, gorących wielbicieli jego genjuszu: Guljo Romano, Jana z Udine, Penni i t. d. Pracowali oni z nim wespół i pod jego kierunkiem. Naogół on tworzył plany, kreślił sepją szkice, wykończał sam niektóre części i pod swojem okiem kazał wykończać resztę. Właśnie w tym czasie odnaleziono termy Tytusa, zdobne prześlicznemi arabeskami. Rafael przyswajał je sobie, dodając im jeszcze wdzięku, dzięki swej niewyczerpanej wyobraźni i twórczości. Michał Anioł odtworzył był właśnie po mistrzowsku pierwsze sceny z Biblji. Rafael czerpał z niej treść także, nie próbując rywalizować z malarzem kaplicy Sykstyńskiej, za wyjątkiem paru scen, w których nie ustąpił najpotężniejszym kreacjom Michała Anioła. Niestety, nie doprowadził dzieła swego do końca! Dnia jednego wezwano go z pracowni do papieża. Dążąc śpiesznie do Watykanu, przeszedł pod palącemi promieniami słońca cały plac św. Piotra, a przybywszy do wiel-

kiej, chłodnej sali, poprzedzającej gabinet musiał czekać czas jakiś na papieża, który był zajęty. Zaziębił się, wrócił już z gorączką i umarł w kilka dni, licząc trzydziesty siódmy rok życia. Niepocieszony papież odwiedził go na łożu śmierci i ze łzami ucałował rękę, która stworzyła tyle arcydzieł. Uczniowie jego ukończyli jak mogli stanze i loggie, według starannie wykonanych rysunków, jakie pozostały po wielkim artyście.

Ale kaplica Sykstyńska była niedokończona; pozostawała cała ta ogromna przestrzeń, którą zajmuje dzisiaj Sąd Ostateczny. Papież życzył sobie, aby cała ta część muru została zapełniona jednym wielkim freskiem, a komuż to można było powierzyć, jeżeli nie Michałowi Aniołowi. On tylko jeden mógł stworzyć obraz godny tego plafonu, w który włożył tyle genjuszu, a porównania z którym nie wytrzymałoby żadne inne malowidło.

Ale Michał Anioł wcale sobie tego nie życzył. Był wówczas zajęty i pochłonięty grobowcem rodziny Medyceuszów i nie chciał oderwać się od dzieła tyle już razy przerywanego. Papież musiał układać się z Medyceuszami, by uzyskać od nich uproszczenie planu grobowca, przez ujęcie mu kilku posągów, wymagających wiele czasu i pracy, i żeby odesłali mu Michała Anioła jak najprędzej. A kiedy wielki artysta, za przybyciem do Rzymu, nie zamierzał brać się do dzieła, papież przyszedł raz sam do jego pracowni, w otoczeniu dziesięciu kardynałów, by nadać swej bytności uroczysty charakter wizyty monarszej. Wobec tego artysta musiał ulec i zabrał się do fresku Sądu Ostatecznego, tak jak przedtem do sufitu, prawie wbrew swojej woli.

Inne to wszakże były czasy. Michał Anioł miał już lat nie trzydzieści sześć, ale koło sześćdziesięciu. Nadto ostatnich dwudziestu pięciu lat użył był na studjowanie rzeźby starożytnej, anatomji, torsów greckich i rzymskich, nagości wszelkiej. Nareszcie, chociaż pozostał chrześcijaninem pełnym wiary, jego duch i ręka nabrały pogańskiego zacięcia, którego nie mógł się już pozbyć. Znawcy

odnajdują w tym olbrzymim fresku uderzającą cechę pośpiechu. „Przed ukończeniem dzieła niecierpliwość opanowała pracownika; część niższa jest słaba, czy to, że niezadowolony ze swej pracy, pozostawił ją niedokończoną, jak grób Medyceuszów, czy też, że dla rozerwania się i pobudzenia do skończenia, artysta uciekł się do fantazji, a nawet do karykatury“[1]). Bądź co bądź, odsłonięcie tego fresku nie wywołało już tego okrzyku podziwu, jakim przyjęto jego plafon; zdania były podzielone; wielu chwiało głową, i po upływie trzech stuleci podziw nie stał się wcale jednomyślnym.

Z punktu widzenia chrześcijańskiego, dzieło to jest chybione. Chrystus, to nie Bóg Ewangelji; to Jowisz gromowładny. Najświętsza Panna — to nie ta Virgo potens, w której pokładają nadzieję chrześcijanie; drży ona zarówno, jak wszyscy. Aniołowie, pomimo swych skrzydeł, to silne chłopaki, dźwigające w pocie czoła krzyż, słup. A te wszystkie nagie ciała, rzucone jedne na drugie, pomieszane, splątane razem w najdziwaczniejszych pozach; a te ciała zmartwychwstałe, które zamiast być lekkiemi, uduchowionemi potrzebują lin dla dźwignięcia ich ku Sędziemu; a ta barka Charona, ten Styks, wszystkie te wspomnienia pogańskie; wszystko to wzniecało zdziwienie i zgorszenie. Paweł IV, ulegając powszechnemu oburzeniu, omal nie kazał zniszczyć fresku. Ocalał on wszelako; przykryto tylko niektóre zbyt krzyczące nagości. Należą się za to dzięki papieżom; bo pomimo tych mnogich wad, dzieło sprawia wrażenie potężne, przejmujące grozą. Pociemniały farby; pozacierały się odcienie; dym świec i pył wieków okrył te potężne postacie jakąś pomroką szarą o sinawych żyłkach; wpatrzcie się w nie wszelako dłużej, dowoli; rozpatrzcie oddzielnie każdą grupę; nie myślcie o treści, zwróćcie tylko uwagę na każdą postać z osobna — a zobaczycie, że niejedna nie ustępuje największym kreacjom, jakie kiedykolwiek powstały. Stary Adam tak

[1]) Sigalon, 279.

straszliwy w błaganiu swojem; potężna Ewa, przyciskająca do łona jedną z przerażonych córek swoich, w postawie starożytnej Nioby; potępieniec, siedzący w niemej rozpaczy a zakrywający ręką oczy, ażeby nie widzieć przepaści, w którą się pogrąża, i ten drugi, owinięty skrętami węża, nieruchomy, ze straszliwym śmiechem na ustach: wszystkie te genjalne kreacje, dorównywujące najpotężniejszym kartom Dantego i w tem samem poczęte natchnieniu, należą do malarstwa w wielkim stylu.

Ale dosyć już w tej materji, o której możnaby pisać tomy całe. Tak więc papieże powierzali budowę swego pałacu najsławniejszym budowniczym, a przyozdobienie go — najsławniejszym malarzom. Gdzie widziano kiedy coś podobnego? Weźcie pałac Tuileryjski przed pożarem; Wersal, kiedy był zamieszkanym przez wielkiego króla; pałac St. James w Anglji; wszędzie znajdziemy drogocenne sprzęty, wspaniałe zwierciadła, mnóstwo złoceń. Ale gdzie znajdziecie taką prostotę, taką wielkość, taki przepych pełen smaku i prawdziwego artyzmu? Pokażcie mi pałac, któryby był miejscem obowiązkowej pielgrzymki wszystkich artystów, z którego jego władca byłby zniewolonym usunąć się przed ciekawymi i zachwyconymi tłumami, pragnącemi przyjrzeć się nagromadzonym przezeń arcydziełom!

Ale architektura i malarstwo nie są jedyną siłą przyciągającą cudzoziemców do Watykanu, jest jeszcze inna, conajmniej równie wielka. Jest to wspaniała kolekcja starożytnych posągów, najpierwsza w świecie zdaniem wszystkich znawców, rozpoczęta przez Juljusza II i Leona X, prowadzona dalej przez Klemensa VII i Pawła III, nakoniec pomieszczona wspaniale przez Klemensa XIV, Piusa VI i Piusa VII. Klemens XIV wybudował dziedziniec Belwederski, z czterema pawilonami po rogach, tak dobrze nadającemi się do podziwiania w ciszy zawartych w nich arcydzieł. Pius VI wzniósł wielkie sale Muz, Biustów, salę della Biga i t. d., i wzbogacił je dwoma tysiącami posągów; nareszcie Pius VII dokończył wspaniałą

instalację, wznosząc Braccio-Nuovo, kosztem półtrzecia miljona.

A podziw wzbudza nietylko bogactwo sal o posadzkach z białego marmuru, o granitowych i porfirowych kolumnach, ozdobionych najdroższemi mozaikami, ale także wspaniały ich rozkład. „Najcenniejsze posągi mieszczą się w oddzielnych gabinetach, gdzie ciemnopurpurowe ściany skupiają całe światło i całą uwagę widza na posągach. W ornamentacji zachowana jest powaga i starożytna miara; tradycje utrzymane i wzniesione lepiej niż gdzie indziej; papieże i ich budowniczowie mieli poczucie prawdziwej wielkości i smak wysoce artystyczny, nawet w wiekach XVII i XVIII"[1]).

Ale co przewyższa wielkość sal i artystyczny rozkład to niezmierna ilość i wysoka wartość nagromadzonych w nich arcydzieł. „Jest to prawdopodobnie największy w świecie skarbiec starożytnej rzeźby"[2]), mówi jeszcze Taine. Ampère zaś powiada: „Muzeum Watykańskie jest najpierwsze w świecie, gdyż zawiera najwięcej arcydzieł starożytności i największe z nich. Umysł się mąci wobec ich liczby i piękności"[3]). A oto kilka z nich w Belwederze: Laokoon, który pomimo boleści, graniczącej z rozpaczą, jest piękny w swym bólu, czego nie rozumieją często nowsi artyści; Apollon, nie dorównywający wprawdzie Wenerze z Milo, będący niemniej arcydziełem sztuki starożytnej, dzięki promiennej piękności głowy i wytworności całokształtu; Antinoüs, mniej słynny niż Apollo, ale może większy, pojęty prościej, szerzej; posąg Meleagra, łowcy i wojownika, łączący wdzięcznie giętkość z siłą; tors Belwederski, przedmiot podziwu i studjów Michała Anioła i t. d. W Braccio-Nuovo wspaniały posąg Augusta, niemniej piękny — Demostenesa; posąg pod nazwą Pudicitia, tak skromny i czysty, w spadających długich szatach; Szybkobiegacz starożytny, trzymający w le-

[1]) Taine, Voyage en Italie, t. I, p. 133.
[2]) Id. ibid., p. 144.
[3]) Ampère, t. II, p. 27.

wej ręce strigilum do ocierania potu; posąg Minerwy, znaleziony w XVI wieku na Ekswilińskiem wzgórzu; olbrzymi posąg Nilu z szesnaściorgiem dzieci, symbolizujących szesnaście stopni wysokości jego przyboru; starożytna Kanefor w wielkim stylu pierwotnych posągów Partenonu i t. d.

Trudnoby było wyliczyć wszystkie te arcydzieła, które papieże z takiem zamiłowaniem gromadzili, a z takiem poszanowaniem i tak wspaniale we własnym pałacu pomieścili. Miano za złe papieżom, że polecili ubrać kilka posągów u św. Piotra i w kaplicy Sykstyńskiej. Ale były one w kościołach, u stóp ołtarzy, na oczach kobiet i dzieci. Tutaj nie uczynili nic podobnego, zostawili arcydzieła greckie i rzymskie w całej ich prostocie starożytnej, dla poważnych badaczy, chcących je studjować.

Wspomnijmy mimochodem mnóstwo innych, mieszczących się w Watykanie muzeów, a mianowicie: muzea etruskie, egipskie, muzeum religijne, museo profano, gabinet papyrusów, wielką galerję napisów chrześcijańskich i pogańskich — i zatrzymajmy się na innej osobliwości pałacu papieżów, na bibljotece.

Za założyciela tej bibljoteki powinno się uważać Mikołaja V, który zebrał dziewięć tysięcy rękopisów. Sykstus V w r. 1588 wzniósł teraźniejszy gmach. Ciągłe, rozumnie prowadzone zakupy, postawiły bibljotekę watykańską w pierwszym rzędzie, zwłaszcza pod względem rękopisów.

Tutaj także odrzucono wszystko, co było pospolitem, łatwem do napotkania gdzie indziej. Ubiegano się jedynie za tem, co rzadkie, co cenne prawdziwie. Zgromadzono dwadzieścia trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt siedm rękopisów, tak wschodnich, jak greckich i łacińskich, ale zawsze pierwszorzędnych.

Liczba druków wynosi zaledwie około pięćdziesięciu tysięcy, ale jest tam może najpiękniejsza w świecie kolekcja inkunabułów. Nie mówię o archiwach, które nie

mają ceny tak ze względu na ilość, jak i wartość dokumentów.

Takim jest pałac papieży. Miło pewnie będzie katolikom stwierdzić, że wśród królewskich pałaców w Europie, stoi on najwyżej pod względem umysłowym i artystycznym, że najlepiej odpowiada potrzebom duszy i umysłu; że wszystko w nim tchnie prostotą i wielkością; że obcy mu jest fałszywy przepych, że w jego murach jaśnieją tradycje dobrego smaku i sztuki w wielkim stylu.

W tym olbrzymim pałacu, papież zajmuje ledwie kilka komnat i to najskromniejszych. „Grzegorz XVI przyjął mnie, pisze Chateaubriand, w niewielkiej, wąskiej komnacie, siedząc przed stołem, nad którym widniał wielki krucyfiks. Pokazał mi, że czyta G é n i e d u C h r i s t i a n i s m e, którego tom otwarty leżał na stole. Trudno spotkać lepszego człowieka, godniejszego kapłana i mającego więcej prostoty władcę".

Takim widziałem Piusa IX; takim ujrzałem niedawno Leona XIII; a ta prostota w wielkości, to ubóstwo wśród tylu skarbów, danych światu, sztuce, nauce, ukazały duszy mojej papiestwo takiem, jakiem przedstawiała mi je moja wiara i jakiem pragnęło je znaleźć serce moje.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

### Obowiązki pobożności katolickiej względem papieża w chwili obecnej.

A jednakże Rzym nie jest już dziś mieszkaniem papieża! Jest jego więzieniem! Pobożność katolicka nie umiała zachować papieżowi tego, co mu sama ofiarowała. Z wyjątkiem garstki walecznych, w duszy których głos wiary i honoru zwyciężył wszelkie względy ludzkie, i którzy życiem swojem bronili zagrożonego papiestwa, pobożność katolicka okazała haniebną słabość wszędzie:

W Austrji, której rząd, zaprzątnięty nędzną kwestją Wenecji, nie potrafił nic powiedzieć, ani uczynić, żeby dowieść papieżowi i Kościołowi, że w żyłach jego płynie krew Hohenstaufów.

W Hiszpanji, zawsze tak katolickiej, tak szlachetnej, ale która szarpana domową wojną, zrujnowana i osłabiona przez niezgodę, mogła jedynie słać zagrożonej Stolicy Apostolskiej jałowe życzenia i bardziej jeszcze jałowe ubolewania.

We Francji, gdzie ta słabość, trzeba to przyznać, była szczególniej bolesną, była to bowiem słabość placówki, zajmującej swój posterunek od dwunastu stuleci, która po raz pierwszy chowała wobec nieprzyjaciela miecz do pochwy i uchodziła ze wstydem. To też grom ugodził niezwłocznie przeniewierczy naród. Zostaje on pokonanym na dwudziestu polach bitew; jego władca widzi się zrzuconym z tronu; młody zaś dziedzic tego tronu, pomimo niewinności i wzniosłości swej duszy, umiera w dwudziestym roku życia, jak umarł niegdyś syn

pierwszego Napoleona, jak umrą zawsze synowie tych, którzy ściągną rękę na papieża, albo wydadzą go jego nieprzyjaciołom.

Nigdzie wszakże pobożność katolicka nie okazała się bardziej winna, jak we Włoszech. Kraj ten uprzywilejowany, któremu Bóg uczynił ten zaszczyt, że go wybrał na punkt środkowy swego Kościoła, nietylko pozwolił rozsypać się w proch swej wiekowej wielkości i chwale, ale się sam przyczynił do tego.

Wina tu ciąży na rewolucji. Chcąc zabić Kościół, wymierzyła pierwszy cios jego głowie, a iżby Włochy jej w tem nie przeszkadzały, oślepiła, olśniła mirażem mniemanej wielkości. Powiedziała im, że są pierwszym narodem świata, pierwszym przez swoich polityków, poetów, artystów; a jeżeli nie odgrywają żadnej roli w Europie, winno temu przedewszystkiem papiestwo, które zajmując ich środek, jest wiekuistą przeszkodą do ich zjednoczenia, — a następnie Austrja, której żelazne berło obezwładnia kilka najpiękniejszych ich prowincyj, od Medjolanu do Wenecji. Niech tylko ubędą Włochom oba ciężary, a poszybują swobodnie jak okręt, któremu ujęto obezwładniający go ładunek.

Idee te, płomienne patrjotyzmem, wznieciły we Włoszech rodzaj gorączki; i nietrudno było przewidzieć, że nic nie zdoła ich opamiętać.

W tym programie rewolucyjnym była wszelako część prawdy; samym fałszem bowiem nie pociągnie się nigdy ani narodu, ani pojedyńczej duszy. Prawdą było, że zagarnięcie Włoch przez Austrję było rzeczą nieprawną, ohydną, wprost występną. Niema w historji nic haniebniejszego nad widok narodu, znoszącego niewolę, chyba tylko widok narodu, niewolę tę narzucającego. Wszystkie szlachetne dusze opłakują to nieszczęście, a łzy ich, podsycając gniew Boży, sprowadzają wybuch, druzgoczący ciemiężycieli i ich jarzmo.

Pius IX czuł, że nadchodzi czas tego wybuchu, i napisał do cesarza austrjackiego, prosząc go o dobrowolne

wyrzeczenie się zajętych prowincyj włoskich. Ale niekażde serce zdolne jest pojąć myśl wielkiego serca. Gdyby cesarz austrjacki spełnił prośbę papieża, nie byłoby wojny włoskiej; nie byłoby powstania prowincji Państwa Kościelnego, a przychylny zwrot w usposobieniu ogółu umocniłby papieża na tronie. Oto, jakie może mieć skutki brak albo szerszego poglądu, albo wielkoduszności w sercu męża stanu.

Co się tyczy urojenia, jakoby papież był wrogiem swobody i wielkości Włoch, rozwiałoby się ono samo przez się, jako nie wytrzymujące świadectwa historji ani krytyki. W imię tych swobód i tej wielkości Włoch, dwie partje brały się ciągle za bary w nieszczęsnym tym kraju: Gwelfowie, stronnicy wolnych Włoch, i Gibelinowie, stronnicy Niemiec. Otóż każdy Papież był Gwelfem. Żadne nadużycia wolności nie zdołały uczynić go Gibelinem, jak to miało miejsce z Dantem. Był zawsze najpierwszym z Włochów, przywódcą włoskiej wolności i wielkości, odważnym obrońcą niezawisłości narodu. Walczył za kraj aż do końca, a że nie mógł zapobiec jego upadkowi wina to nie jego serca, lecz jego słabości.

Prawda, że ponieważ Rzym jest odwieczną siedzibą papieża, trzeba było wyrzec się myśli uczynienia z Włoch państwa jednolitego, albo poszukać dla nich innej stolicy. Mówili to wszyscy ludzie mądrzy i umiarkowani. Ale czyż słucha kto głosu mądrości wtedy, kiedy wzruszenie ogarnie masy ludu? I tutaj go nie usłuchano. A jednak, chociaż to było tak niedawno, ogólne uczucie niezadowolenia, brak wiary w przyszłość u ludzi stojących u steru włoskiego rządu — wszystko to zdaje się ostrzegać, że się tu sprzeciwiano jakiemuś tajemnemu wyrokowi Opatrzności. Uczucie to wzrastać będzie; Włochy coraz bardziej będą się przekonywały, że prawdziwem ich przeznaczeniem nie jest zjednoczenie; że sprzeciwia się temu ich ustrój geograficzny i że nawet ze stolicą w Rzymie, spójnia łącząca Neapol i Palermo z Medjolanem i Wenecją, będzie zawsze słaba. Zobaczą, że zamiast bogatym

i kwitnącym, stały się narodem ubogim, obarczonym długami, niezdolnym do wzbogacenia się kiedykolwiekbądź. Pożałują czasów świetności rzeczypospolitych, albo świetności księstw; czasów, kiedy Rzym nie znał poborów ani podatków; i wady ojcowskiego rządu, na który tak powstawano, wydadzą się mało znaczącemi wobec nieznośnych ciężarów jakie nakłada zjednoczenie. Kiedy idee te dojrzeją, pobożność katolicka będzie miała do odegrania wielką rolę we Włoszech.

Ale nie powinna ona poprzestać na wyczekiwaniu tej chwili; powinna ją przygotować; powinna za pomocą słowa, pióra, głosowania, prasy, wszystkich środków i wpływów jakiemi rozporządza protestować nieustannie w imię prawa i sprawiedliwości. Powinna nie dopuszczać przedawnienia; powinna pracować nad pogodzeniem obu tych świętych spraw, jakiemi są Włochy i papiestwo, i nad przyśpieszeniem chwili, kiedy bez żadnej przemocy zbrojnej, a nadewszystko bez wzywania obcej interwencji, samą tylko siłą wskrzeszonej w duszach wiary i pobożności zwróci Rzym papieżowi. Restytucja Rzymu papieżowi dobrowolna ze strony Włoch katolickich: oto wspaniałe zadanie przyszłości.

Tymczasem katolicy Francji i innych krajów będą pamiętali o ubóstwie papieża. Wraz z władzą świecką stracił on wszystkie środki materjalne, a zachował wszystkie ciężary i obowiązki swego dostojeństwa. Musi mieć pieczę nad wszystkiemi kościołami, tak temi, które powstają, jak i temi, które prześladowanie chce obalić. Musi utrzymywać misjonarzy, rozsianych po Chinach, Japonji, Korei, i biskupów stanowiących placówki na krańcach Indyj. Musi utrzymywać seminarja Propagandy, której dobra uległy sprzedaży, by podkopać apostolstwo u korzenia. Nie koniec na tem. Na nim ciąży obowiązek utrzymania tego kolegjum kardynałów, którzy mu służą radą; a jeszcze bardziej owych trybunałów duchownych, owych wielkich kongregacyj, których zadaniem jest rozstrzygać wszystkie kwestje teologiczne, kanoniczne, litur-

giczne wszystkich krajów i we wszystkich językach, a o których słabe zaledwie pojęcie mogą dać biura francuskich ministerjów. Musi także utrzymywać kościoły rzymskie: Św. Piotra, Najświętszej Panny Większej, Św. Jana Lateraneńskiego i Św. Krzyża Jerozolimskiego, gdyż cztery te bazyliki, będące tem dla Rzymu, czem dla Francji Wersal, Fontainebleau i Compiégne, są pozostawione na jego opiece. Nareszcie nie może dać upaść Watykanowi i tym wszystkim arcydziełom Rafaela i Michała Anioła, któremi go poprzednicy jego wzbogacili. Na to wszystko nie dosyćby było budżetu królewskiego, a on nie posiada nic. I oto po osiemnastu stuleciach dobrodziejstw, ubogi, ogołocony ze wszystkiego, wyciąga dziś do nas ręce.

O Ojcze, któżby pomyślał, że dojdziesz do tego i że po nawróceniu i ucywilizowaniu Europy, będziesz musiał powiedzieć jej tak, jak niegdyś Piotr św.: „Nie mam srebra, ani złota, ale co mam, to wam oddaję. Mam prawdę, która pomimo kładzionych jej tam, oświeca waszą burzliwą Europę; mam łaskę, której tajemniczy wpływ wznieca w duszach cnoty nieprzemijające i jedyne, które potrafiłyby was zbawić. Mam władzę, która podtrzymuje resztki waszej władzy; stwarzam posłuszeństwo, które wy podkopujecie, i utrzymuję na waszem czole promień dobrodziejstwa, którego nie jesteście już godnymi." O Ojcze, rozumiemy, co to są za dobrodziejstwa. O Namiestniku Chrystusowy, upokorzony i wbrew otaczającej cię wzgardy, triumfujący, my cię nie opuścimy! Wespół z tobą walczyć będziemy aż do końca; nie będziemy szczędzili ani złota, ani krwi naszej; i przez cały czas, póki trwać będzie obecne przesilenie, będziemy mieli w pamięci te słowa św. Ludwika:

„Kochany synu, nie zapominaj nigdy o papieżu Rzymskim i przychodź mu z pomocą w każdej jego potrzebie".

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

# Spis rzeczy.

Str.

Przedmowa autora . . . . . 1

## CZĘŚĆ I.

## Kościół katolicki.

### ROZDZIAŁ I.

### Ciało Kościoła.

I. Części składowe budowy Kościoła: dusze . . . . . 7
II. Jego prawdziwe rozmiary . . . . . 9
III. Plan, układ jego: jest to społeczność zewnętrzna, widzialna . 14
IV. Budowa ciała Kościoła i jego główne członki. Śmiałość tej budowy . . . . . 15
V. Żyjąca jedność ciała Kościoła . . . . . 18
VI. Wiekuista trwałość jego. . . . . 20

### ROZDZIAŁ II.

### Rząd Kościoła katolickiego.

I. Budowa Kościoła, łącząca w doskonałem stosunku trzy główne formy socjalne . . . . . 22
II. Naprzód papiestwo . . . . . 23
III. Następnie biskupstwo..... kapłaństwo . . . . . 27
IV. Organizacja to tak prawdziwa, prosta, naturalna, niezbędna, że gdyby nie była przez Boga nadana Kościołowi, ten ostatni musiałby ją sobie sam stworzyć . . . . . 30
V. Boska niezmienność, a zarazem pełna harmonji podatność tych różnych stopni hierarchji . . . . . 33
VI. Stwarzają papieża, biskupów, kapłanów, Chrystus jednocześnie daje im broń. Władza i wolność Kościoła . . . . . 36

VII. Ale to jeszcze tylko ciało Kościoła; potrzeba mu duszy. Jak ją zsyła Zbawiciel. Niespożytość Kościoła ożywionego Duchem świętym . . . . . 39

ROZDZIAŁ III.

**Boski depozyt, powierzony Kościołowi. — Jak potrzeba było, iżby Kościół był nieomylny, ażeby mógł strzec tego depozytu, tłumaczyć go i nim szafować.**

I. O potrzebie boskiego depozytu . . . . . 44
II. Jak takowy utworzył się powoli i stopniowo drogą natchnienia 47
III. Boski depozyt powierzony Kościołowi . . . . . 52
IV. Niezbędność pomocy Boskiej, ażeby Kościół mógł depozyt ten w całości przechować . . . . . 55
V. I czytać takowy . . . . . 57
VI. I takowy tłumaczyć . . . . . 59

ROZDZIAŁ IV.

**Nieomylność papieża.**

I. Słowa Ewangelji, gdzie jest mowa o papieżu, są źródłem, z którego potokiem spływa światło . . . . . 64
II. Od samego początku, przed wszelkiemi określeniami, widzimy jasno dwie rzeczy: papież ma całkowitą świadomość władzy, jaką mu nadał Zbawiciel również ma . . . . . 66
III. Świadectwa największych genjuszów i świętych . . . . . 68
IV. Wzmagająca się coraz ambicja patrjarchów Konstantynopola zmusza Kościół do orzeczenia władzy papieża. Pierwsze dogmatyczne orzeczenie w Lionie w r. 1245 . . . . . 69
V. Wielka schizma zachodnia. Drugie dogmatyczne orzeczenie we Florencji w r. 1439 . . . . . 73
VI. Ukazuje się Luter. Daje się czuć potrzeba trzeciego dogmatycznego orzeczenia. Dlaczego nie doszło ono do skutku w Trydencie . . . . . 76
VII. Wypadki zaszłe po soborze Trydenckim czynią je niezbędnem 79

ROZDZIAŁ V.

**Orzeczenie nieomylności papieża na soborze Watykańskim.**

I. Pierwszy dogmat orzeczony na soborze Watykańskim: duchowne, bezpośrednie i powszechne zwierzchnictwo papieża nad wszystkimi chrześcijanami . . . . . 82
II. Drugi dogmat z pierwszego wynikający: nieomylność w nauczaniu Najwyższego Pasterza. . . . . 85

III. Kilka ważnych uwag o tem orzeczeniu: naprzód prawdziwa istota nieomylności . . . . . 88
IV. Następnie ścisły przedmiot tejże. . . . . 93
V. Nakoniec zasada jej i boskie źródło . . . . . 96

## ROZDZIAŁ VI.

### Próżne zarzuty przeciw nieomylności papieskiej. — Szczęśliwe wyniki orzeczenia.

I. Papież jest człowiekiem. Jakże może być nieomylny? . . 100
II. Nietylko papież jest człowiekiem, ale i grzesznikiem . . . 101
III. Cóżby się stało, gdyby papież i Kościół były w rozterce? . 103
IV. Co będzie, jeżeli papież będzie zbyt śmiały, jeżeli będzie wyrokować naoślep, według własnego widzimisię, bez badań i zasięgania rad niczyich? . . . . . 104
V. Czy władze świeckie nie mają powodu obawiania się takiej władzy papieża? . . . . . 106
VI. Poco zresztą określanie tej kwestji, bez której wybornie się dotychczas obchodzono? . . . . . 108
VII Orzeczenie to jednakże nietylko stosowne, ale i niezbędne, pociągnie za sobą najszczęśliwsze wyniki . . . . . 110

## ROZDZIAŁ VII.

### O życiu Kościoła. — Prawa rządzące owem życiem.

I Życie, to rozwój. — Przypuszcza ono dwa pierwiastki: niezmienność i postęp . . . . . 114
II. Więc też widzimy tę niezmienność i ten postęp we wszystkich dziełach Bożych, nadewszystko zaś w Kościele . . . . . 116
III. Inne znamienne cechy życia: dawność, powszechność, jedność i świętość. . . . . 119
IV. Jak Bóg i człowiek pracują razem nad urzeczywistnieniem ich w Kościele . . . . . 123
V. Boska piękność tych cech . . . . . 127

## ROZDZIAŁ VIII.

### O życiu Kościoła (fakty). Boska niezmienność Kościoła.

I. Niezmienność, pierwszy składowy pierwiastek Kościoła. Jest ona konieczna z natury rzeczy . . . . . 129
II. Bardzo trudna do urzeczywistnienia . . . . . 132
III. A jednakże jest potrójna i wspaniała. Wobec brutalnej siły niezmienność jestestwa . . . . . 135

IV. Wobec siły intelektualnej — niezmienność nauki . . . . . 137
V. Wobec rozpasania namiętności — niezmienność miłości . . 139
VI. A co najcudowniejsze, że ta potrójna niezmienność spoczywa na jednym człowieku . . . . . 141

## ROZDZIAŁ IX.

### O życiu Kościoła (fakty).

### Boski postęp Kościoła: 1) Postęp jestestwa.

I. Postęp Kościoła bardziej jeszcze godzien podziwu, mniej rozważany, a również pewny, jak i jego niezmienność. A nasamprzód postęp jestestwa . . . . . 144
II. Czego było potrzeba dla osiągnienia tego postępu . . . . 147
III. Postęp osiągnięty. Pierwsze rozszerzenie się Kościoła. Ogarnięcie przezeń całego państwa Rzymskiego . . . . . 150
IV. Drugie rozszerzenie się. Ogarnięcie przezeń całej Północy i Zachodu . . . . . 153
V. Zwrócenie się jego potem na Wschód . . . . . 156
VI. Protestantyzm, który stał się przyczyną zwłoki, w tym postępie katolicyzmu . . . . . 158
VII. Na szczęście zwłoka ta ma się już ku końcowi i postęp znowu się rozpocznie . . . . . 160

## ROZDZIAŁ X.

### O życiu Kościoła (fakty).

### Boski postęp Kościoła. 2) Postęp światła.

I. Postęp prawdy jeszcze piękniejszy, aniżeli postęp jestestwa. W jakiej formie dał nam Bóg prawdę? W formie najzupełniej postępowej . . . . . 166
II. Wspaniały tekst św. Wincentego Lireńskiego . . . . . 169
III. Niemniej piękny tekst św. Tomasza. Nauka bulli *Ineffabilis* . 171
IV. Dlatego to, że protestanci tego nie rozumieli, wpadli w takie błędy. Szkoda, że Bossuet nie wyjaśnił im tego wielkiego prawa *Rozwoju* dogmatów . . . . . 175
V. Prawo do postępu prawdy nie sprzeciwia się w niczem jedności Kościoła, przeciwnie, jeszcze lepiej ją uwydatnia . . 178
VI. Dlaczego tak jest? . . . . . 179
VII. Zgodność tych dwóch wielkich praw: rozwoju dogmatów i jedności Objawienia . . . . . 181

ROZDZIAŁ XI.

**O życiu Kościoła (fakty)**
**Boski postęp Kościoła. 3) Postęp miłości.**

I. Postęp nabożeństwa . . . . . 185
II. Postęp ofiary . . . . . 188
III. Postęp życia zakonnego . . . . . 190
IV. Postęp w pojawianiu się świętych . . . . . 191

ROZDZIAŁ XII.

**Dusza Kościoła.**

I. Kościół jest ciałem, ożywionem przez duszę żyjącą, którą jest Pan nasz Jezus Chrystus . . . . . 196
II. Gdzie przebywa ta dusza Kościoła . . . . . 198
III. Jak boska ta dusza wyciska swoje piętno na całym Kościele.
IV. Jego umysł . . . . . 199
V. Jego sumienie . . . . . 202
VI. Jego sposób postępowania . . . . . 204
VII. Jego uczucia . . . . . 205
VIII. Nawet jego ciało którego piękność jest często przyćmiewana przez ułomności dzieci jego, ale mimo to pozostaje nigdy niezmieniona . . . . . 208
IX. A którego słabość jest wystawiona na wszelakie napaści, ale nigdy nie jest pokonana . . . . . 210
X. Jego łzy, jego cierpienia, nienawiść otaczająca go, nienawiść powszechna, nieubłagana, przechodząca w niektórych duszach w nienawiść samegoż Boga. Wszystko świadczy o nieustającej obecności Chrystusa w Kościele jego . . . . . 211

---

## CZĘŚĆ II.

## Kościół i Kościoły.

ROZDZIAŁ I.

**Stan religji protestanckiej. — Jak się tłumaczy, że protestantyzm trwa dotychczas i nie został pochłonięty przez swoją zasadę.**

I. Początek protestantyzmu . . . . . 216
II. Zasada, będąca podstawą tej religji. Zasada ta z natury swojej znosi wszelką religję . . . . . 221

III. Cecha ta istnieje jasno w całej historji protestantyzmu . . . 224
IV. Bossuet, badając tę zasadę i pierwsze jej wyniki, przepowiada rychły upadek religji protestanckiej . . . . . 226
V. A jednakże przepowiednia ta nie spełniła się. — Z czego to pochodzi? Protestantyzm, żeby nie zginąć, stał się *katolickim*. A kiedy to jeszcze nie wystarczyło, upaństwowił religję . . 228

ROZDZIAŁ II.

**Stan religji protestanckiej — Jak się tłumaczy, że protestantyzm trwa dotychczas i nie został pochłonięty przez swoją zasadę.** (Ciąg dalszy.)

I. Protestantyzm nie może wystarczyć duszom, i ta jego niedostateczność jest jeszcze dotkliwsza, aniżeli bezsilność jego dogmatów . . . . . 235
II. Udręczenia serc wzmagane przez wzrastający niepokój umysłów . . . . . 241
III. Usiłowania otrząśnięcia się z tego stanu. *Przebudzenie* . . 244
IV. Niepowodzenie *przebudzenia*. Potrójny prąd unosi coraz więcej całe życie i jakby całą istotę protestantyzmu . . . . . 246
V. Bossuet omylił się co do czasu jedynie. — Protestantyzm kona . . . . . 251

ROZDZIAŁ III.

**Stan protestantyzmu polityczny i społeczny. — Wzrost narodów protestanckich i mniemane chylenie się do upadku narodów katolickich.**

I. Przyjrzenie się owemu mniemanemu upadkowi ras łacińskich. Ziemia nie miała nigdy ras większych. Wielkość tę winny one Kościołowi . . . . . 255
II. Mówią, że są one w upadku: dobrze; ale z czem idzie w parze ten upadek? Bezsprzecznie z odstępstwem ich od wiary katolickiej. Nic więc dziwnego . . . . . 258
III. Ale nieprawda; nie znajdują się one w upadku; są tylko chore; przebywają przesilenie . . . . . 260
IV. A w tem stadjum choroby posiadają jeszcze więcej życia, i życie lepsze, aniżeli narody protestanckie . . . . . 262

ROZDZIAŁ IV.

**Stan protestantyzmu polityczny i społeczny. — Wzrost narodów protestanckich i mniemane chylenie się do upadku narodów katolickich.** (Ciąg dalszy.)

I. Przyjrzenie się temu mniemanemu wzrostowi narodów protestanckich. Uwagi wstępne . . . . . 265

II. Nie należy zaprzeczać wielkości narodów protestanckich; ale tę wielkość zawdzięczają one tysiącletniemu wychowywaniu ich przez Kościół. Protestantyzm w niczem im do niej nie dopomógł . . . . . 267
III. Nadto wielkość ta zależy od trzech przyczyn, które nietylko, że wcale nie świadczą o cywilizacyjnych zdolnościach protestantyzmu, ale przeciwnie wykazują całą jego religijną i polityczną nicość . . . . . 271
IV. Wreszcie owa wielkość jest dziwnie niedoskonała, właśnie wskutek nieobecności Kościoła . . . . . 277
V. Rasy anglosaksońska i germańska nie dorównałaby rasom łacińskim i w takim razie, gdyby pozostały katolickiemi . . 281
VI. Odczuwa się nawet wątpliwość co do trwałości ich wielkości politycznej . . . . . 283
VII. Chyba, że powrócą na łono Kościoła. Wtedy odzyskają swoje istotne wspaniałe zadanie . . . . . 285

# CZĘŚĆ III.

## Kościół i społeczeństwo tegoczesne.

### ROZDZIAŁ I.

### Społeczeństwo tegoczesne.

I. Jestże to prawda, że istnieje walka pomiędzy Kościołem a nowożytnem społeczeństwem? . . . . . 292
II. Uwagi nad tegoczesnem społeczeństwem. Pierwsze cechy jego piękności. Niema tu miejsca na walkę z Kościołem . . 294
III. Nowy piękny rys tegoczesnego społeczeństwa: wspaniały rozwój nauk. Czyżby to stanowiło *casus belli?* . . . . . 297
IV. Inny rodzaj piękności: wszystkie swobody, jakich używa, a jakich dotąd nie miało żadne społeczeństwo. To także nie może być przyczyną walki z Kościołem . . . . . 305
V. Drażliwa kwestja wolności religijnej: wolność sumienia i wyznań. Ale na tym punkcie można się z Kościołem porozumieć 308
VI. Wszelako całej tej pięknej wolności naszego społeczeństwa brak jednej rzeczy, ażeby była całkowita: brak jej, ażeby narody uznawały publicznie Tego, komu swą wolność zawdzięczają. Ale społeczeństwo tegoczesne nie odrzuca tego w zasadzie; owszem, dąży ku temu . . . . . 310

## ROZDZIAŁ II.

### Wielki wróg nowoczesnego społeczeństwa: rewolucja.

I. Błędne i niedorzeczne pojęcia, napełniające głowy naszych przodków przed r. 1789, które zrodzą rewolucję . . . . . 314
II. Rewolucja jest nietylko rozkładowym żywiołem społeczeństw; jej zasady sprzeciwiają się nauce katolickiej. Stanowią one herezję z trzech względów . . . . . 319
III. Nie można ich złagodzić ani ograniczyć, ponieważ siłą samej logiki muszą iść coraz dalej do wszystkich nadużyć . . . . 322
IV. Dziwny pomysł P. Tocqueville, że rewolucja w zasadzie nie sprzeciwia się religji . . . . . 326
V. Kościół tylko zdoła zwyciężyć rewolucję . . . . . 328

## ROZDZIAŁ III.

### Deklaracja praw człowieka. — Jaki w jej zredagowaniu miał udział Kościół, a jaki rewolucja.

I. Deklaracja praw człowieka powstała z Ewangelji, ale została zredagowana przez rewolucję . . . . . 332
II. Ogromna chociaż napozór nieznaczna różnica pomiędzy żądaniami nowoczesnego społeczeństwa . . . . . 336
III. Stąd groźne zagadnienie, które ciąży nad teraźniejszością: Czyjem będzie to społeczeństwo? Czy rewolucji, która je zgubi, czy Kościoła, który sam tylko może utrzymywać w niem życie? . . . . . 339

## ROZDZIAŁ IV.

### O nadprzyrodzonej przezorności i nadludzkiem świetle Stolicy Apostolskiej, względem społeczeństwa nowoczesnego i rewolucji.

I. Ideał chrześcijańskiego społeczeństwa . . . . . 342
II. Papieże nie tracą go nigdy z oczu; ale nigdy też nie potępiali nowoczesnego społeczeństwa . . . . . 344
III. I nietylko, że go nie potępiali, ale nadto traktowali z niem uroczyście bardzo wiele razy z zachowaniem wszelkich względów . . . . . 351
IV. Nadto stawali w jego obronie i już uchronili je od zguby, wykazując zagrażające mu błędy i namiętności . . . . . 356
V. i VI. I tylko oni mogą doprowadzić je do stanu zupełnego rozwoju, i doprowadzą, jeżeli ono im zaufa . . . . . 364

# EPILOG.

## O czci dla papieża.

## CZĘŚĆ I.

### Papież, Namiestnik Jezusa Chrystusa.


Rozdz. I. O obecności Chrystusa w Kościele przez Najświętszy Sakrament . . . . . 373
„ II. O obecności Chrystusa w Kościele przez papieża . 380
„ III. Jak te dwa rodzaje obecności Chrystusa dopełniają się wzajemnie . . . . . 383
„ IV. Dwie zasłony . . . . . 388
„ V. O szczególnej łączności pomiędzy Chrystusem a papieżem . . . . . 394
„ VI. O uczuciach, jakich doznajemy u stóp papieża . . 398
„ VII. O równoległym rozwoju nabożeństwa do Najśw. Sakramentu i czci dla papieża . . . . . 403


## CZĘŚĆ II.

### Papież, głowa Kościoła.


Rozdz. I. Ojciec Święty . . . . . 408
„ II. Jak papież został podstawą i osią Kościoła . . . 413
„ III. Jakim kosztem będzie papież podwaliną i osią Kościoła . . . . . 419
„ IV. Krwawa dynastja . . . . . 422
„ V. Beatitudo vestra . . . . . 427
„ VI. Jeszcze jeden i to wyższy warunek, któremu papież musi zadośćuczynić, ażeby mógł być Głową Kościoła. 432
„ VII. Papież jako ustawiczny czynnik powszechności Kościoła . . . . . 436
„ VIII. Papież jako podnieta i regulator światłości Kościoła. 441
„ IX. O naszych obowiązkach względem papieża, jako Głowy Kościoła . . . . . 445

# CZĘŚĆ III.

## Mieszkanie papieża.


Rozdz. I. Jak pobożność katolicka dała Rzym papieżowi . . 450
„ II. Rzym . . . . . 455
„ III. Co pobożność katolicka uczyniła z Rzymu, ażeby mógł służyć za mieszkanie Namiestnikowi Chrystusowemu . . . . . 460
„ IV. Kościół Św. Piotra w Rzymie . . . . . 468
„ V. Watykan . . . . . 478
„ VI. Obowiązki pobożności katolickiej względem papieża w chwili obecnej . . . . . 492

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 064723148